

Martina Cole

ROZGRYWKA MAURY

Księga pierwsza

Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia.

Honore de Balzac, 1799-1850

Prolog

1994

- A więc jednak jedziesz do klubu?

Głos Terry'ego był nabrzmiały złością i Maura ze zdenerwowania przymknęła oczy. Nienawidziła, kiedy się kłócili, a było jasne, że ich kłótnia sięgnie za chwilę olimpijskich wyżyn. Zanosilo się na nią od kilku dni. Westchnęła i policzyła w duchu do dziesięciu, zanim mu odpowiedziała.

- Muszę, Terry. Roy sam sobie z tym nie poradzi.

Gdy Terry wychodził z pokoju, wzrok Maury podążył w ślad za nim, ale w jej głowie kłębiły się myśli związane z klubem w Soho, na Dean Street. Zbyt bolało myślenie o Terry'm, choć był dla niej wszystkim. Zarejestrowała wyraz jego twarzy, gdy wychodził. Zmierzył ją zimnym wzrokiem, jakby nic nie znaczyła dla niego, była nikim. Miał na twarzy wypisane oburzenie i rozczarowanie, widziała to.

Była tym załamana, przerażona, ale zarazem wściekła. Przecież wiedział, wiedział od zawsze, że jak przyjdzie co do czego i pojawią się kłopoty, będzie musiała zająć się klubami i innymi interesami rodziny. I właśnie dokładnie tak było teraz: mieli poważne kłopoty.

Jej brat Roy robił, co mógł, ale potrzebował przenikliwości Maury, potrzebował jej wsparcia. Jak zresztą wszyscy mężczyźni w rodzinie. Radził sobie z codziennymi problemami, ale nigdy nic potrafił sprostać zagrożeniom. Pozostawiony sam sobie albo szarżował, albo się załamywał.

Przycisnęła rękę do ust na myśl o tym, co ma jeszcze do zrobienia tego dnia. Wydawało się, że dni porachunków to przeszłość, że już wszystko zostało ustalone i wyjaśnione, granice wpływów wytyczone. Jak bardzo się myliła! Teraz na domiar złego miała jeszcze na głowie konflikt z Terry'm, który wkurzał ją postawą starej zrzędy.

Wyrzała przez okno tarasowe i przyglądała się przez chwilę, jak z posesji ewakuują się robotnicy, którzy musieli dostać się do studzienek kanalizacyjnych na jej podjeździe. Skończyli już i zauważyła, że posprzątali po sobie. Automatycznie rzuciła jeszcze okiem, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Było.

Jeden z mężczyzn spojrział na nią zza okna i uśmiechnął się. Maura go zignorowała. Wstała i wyszła z pokoju, przez szeroki hol wejściowy dotarła do kuchni. Terry stał przy podwójnych drzwiach wychodzących na ogród, który był dla nich dwojga miejscem szczególnym, gdzie razem pracowali, pielęgnując rośliny, i gdzie spędzali wspólnie spokojne chwile. To był ogród wymarzony dla dzieci, dla rodziny, czego Maura nigdy nie doświadczyła, chyba że jako przybrana matka, bo taką była dla Carli, córki Roya, i dla jej syna Joeya. Była dla nich wszystkim, tak jak i oni dla niej.

Nawet jej bracia, ci, którzy przeżyli - a zostało trzech z ośmiu - oczekiwali jej przewodnictwa i pomocy. Zwłaszcza Roy potrzebował jej bardziej niż pozostali. Do niego należało teraz zarządzanie całością interesów rodziny Ryanów, interesów legalnych, jak handel nieruchomościami, firmy developerskie i pożyczkowe czy nocne kluby, oraz mniej oficjalnych. Ryanowie pożyczali pieniądze graczom pod zastaw hipoteki, i dobrze, ale finansowali również przestępców za udziały w ich procederze oraz oferowali dobra i usługi, których z reguły nie świadczą renomowane banki: pojazdy z silnikami o wysokiej mocy do ucieczek, broń rozmaitego rodzaju, bezpieczne domy, nowe tożsamości. Choć Terry uważał, że Maura wyłączyła się z gry, w rzeczywistości jej zaangażowanie w sprawy było chyba większe niż w złotych latach osiemdziesiątych, kiedy jej najstarszy brat był królem, a ona królową londyńskiego świata przestępczego.

Maura Ryan nadal wzbudzała strach nawet w najodważniejszych facetach, w najbezwzględniejszych gangsterach. Zwłaszcza odkąd wymigała się od kary za największą w historii kradzież złota w sztabach, a to dzięki sprytnemu wykorzystaniu do szantażu starannie przygotowanego przez Ryanów *dossier* z informacjami na temat skorumpowanych policjantów najwyższej rangi, przekupnych polityków, a nawet skandali w rodzinie królewskiej. To zapewniło trwałe bezpieczeństwo jej samej, Terry'emu i całej rodzinie. Jednak teraz Ryanowie mieli poważne kłopoty, które nawet ją przerażały. Miała złe przeczucia. To nie była jedna z kolejnych prób przejęcia interesu przez kilku łachmytów szukających swojej szansy, to było realne zagrożenie i najmniej w tym wszystkim był jej potrzebny Terry na karku. Bo choć bardzo go kochała, a Bóg jeden wie, że bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek na świecie, nie mogła pozostawić spraw ich własnemu biegowi. Nie mogła ich złożyć w nieudolne ręce Roya, ponieważ oznaczałoby to koniec ich wszystkich.

Spróbowała z Terryem innej taktyki.

Zachodząc z tyłu, oplótła go ramionami wokół pasa i przytuliła się.

- Nie kłóćmy się, co? Wiesz, że nie mogę wypuścić spraw z rąk.

Nie dał się przejednać, był zły. Kiedy się złościł, sprawiał wrażenie małego chłopca, rozpuszczonego malca, jakim w pewnym sensie był. Jako policjant miał władzę i wpływy, a to zmienia człowieka. Powrót do cywila był dla niego bardzo bolesny i nigdy nie pozwolił jej o tym zapomnieć. Teraz nawet jego głos brzmiał, jakby należał do rozkapryszzonego dziecka.

- Spodziewałem się, że to powiesz, Maura. Zawsze tak było, może nie? Wspaniała Maura Ryan, skumplowana z bandziorami. Niech tylko coś pójdzie nie tak i już lecisz do swojego prawdziwego domu, do Soho. Do tych wszystkich podrzutek, dziwek, hazardzistów, całego tego gnoju, który nazywasz przyjaciółmi i rodziną.

Maura, wpatrzona w tył jego głowy, nie widziała twarzy. Gdyby wylał na nią kubek lodowatej wody, nie byłaby bardziej wstrząśnięta, niż słysząc te słowa. Były niesprawiedliwe, obrzydliwe, małostkowe. Rodzina była dla niej ważna i Terry zawsze o tym wiedział.

- Jak śmiesz! - syknęła. - Za kogo ty się do cholery uważasz?

Kiedy się odwrócił, aż się wzdrygnęła, tak wielka pogarda malowała się na jego przystojnej twarzy. Z kciukiem wymierzonym we własną pierś, oświadczył głośno:

- Powiem ci, kim jestem. Jestem byłym detektywem, inspektorem Terryem Petherickiem. I facetem, który rzucił dla ciebie wszystko.

Maura odsunęła się od niego, zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- Chyba ci rozum odjęło, jeśli strzelasz we mnie takimi bzdurnymi argumentami. - Po jego oczach widziała, że go zraniła, ale zaśmiała się ponownie, tym razem głośnie. - Bo mówmy konkretnie, co ty właściwie dla mnie rzuciłeś? Przekonałeś się przecież, że prawdziwi przestępcy i szumowiny tego świata legną się w twojej profesji... a mimo to łatwo pogodziłeś się z tym, że mnie zamknęli na dłużej, pamiętasz? Dopiero kiedy się zorientowałeś, że ciebie też chcą załatwić, przeszedłeś na drugą stronę i związałeś się ze mną...

Terry spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich odbicie swojego bólu i westchnął.

- Nic nie rzuciłeś, kochanie - kontynuowała. - Byłeś na dobrej drodze, żeby wylecieć z policji, kiedy poszedłeś do swoich szefów z kwitami, które przechowywał mój brat Geoff. Nie chcieli takich jak ty w swoim klubie. Byłeś dla nich za uczciwy, mój drogi. Oni wolą mieć do czynienia z ludźmi mojego pokroju. Przynajmniej wiedzą, na czym stoją.

Terry musiał przyznać, że to prawda, w głębi duszy zawsze był tego świadom.

- Całe to pieprzenie na temat twojej kariery, rzucania wszystkiego... no nie, przypominam sobie przecież czas, kiedy twoja wspaniała kariera była na pierwszym miejscu. Woląłeś swoją pracę ode mnie, tylko że ja byłam wtedy w ciąży i w rezultacie to właśnie ja wszystko straciłam, pamiętasz?

Znowu się od niej odwrócił, nie mogąc patrzeć jej w oczy. Zaśmiała się sarkastycznie.

- Mój brat siedzi tak głęboko w gównie, że nie chciałbyś nawet o tym słyszeć, kochanie. Nie byłbyś w stanie zrozumieć, z czym musi się uporać. Nie wiem, jak to jest z tobą i ludźmi takimi jak ty, ale ja będę teraz przy moim bracie, tak jak zawsze byłam, i jak on zawsze był przy mnie. Jeśli nie możesz tego pojąć, to tylko marnowaliśmy czas przez ostatnie lata.

Zaczął dzwonić telefon, ostry i uporczywy dźwięk rozładował niebezpieczne napięcie między nimi.

- Czemu nie odbierasz? Duży Brat cię potrzebuje - zakpił Terry.

Wiedziała, że to Roy, panikujący Roy, pewnie nie pojmując, dlaczego jeszcze do niego nie dotarła. Wytrzymała jednak spojrzenie Terry'ego, dopóki dzwonienie nie ustało.

Patrząc na zegarek, powiedziała wreszcie cicho:

- Lepiej się już ruszę.

Ale nie chciała go tak zostawiać.

- A więc jednak jedziesz?

- Nie mam wyboru, Terry, nie rozumiesz?

- Każdy ma jakiś wybór, Maura, cokolwiek o tym myślisz. Popatrzyła na jego przystojną twarz. Nadal była w nim zniewalająca siła, która sprawiała, że ciągle go pragnęła.

- A więc dokonałam wyboru, tak?

Odchodząc, rzuciła jeszcze przez ramię:

- Bo ty wiesz wszystko o dokonywaniu wyborów, to chciałbyś mi powiedzieć? Fakt, przez te lata kilku dokonałeś.

- Nie dokonałem ani jednego wyboru, którego bym żałował.

Popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- To dlatego, że nie możesz zająć w ciążę, Terry. Biologia chroni mężczyzn przed prawdziwymi wyborami, prawdziwymi decyzjami. Każda decyzja, jaką podjąłeś, dotyczyła tylko ciebie i nikogo więcej.

Wyszła do holu i usłyszała za sobą jego kroki.

- A co z Joeyem? - zapytał.

Myślała intensywnie przez kilka sekund, zanim przypomniała sobie, że dzisiaj miała odebrać ze szkoły syna Carli. Terry uśmiechnął się z satysfakcją.

- Zapomniałeś o nim, może nie? Jak widzę, znowu odnalazłeś się w roli dyszącej żądzą zemsty matki chrzestnej gangu.

Zanim mu odpowiedziała, oblizła usta.

- Jesteś zazdrosny, Terry? Umierasz ze strachu, że mogę znaleźć sobie coś, co zainteresuje mnie bardziej niż ty. Obserwowałam cię przez kilka ostatnich lat, jak unikałeś moich braci i udawałeś, że nie istnieją. Przełknęłam to. Prawie to rozumiałam. Ale nigdy nie udawałam, że jestem kimś innym, niż faktycznie jestem. I to jestem z wyboru. Wiesz, co Roy kiedyś powiedział? Że jestem bardziej mężczyzną niż wszyscy faceci, których spotkał w życiu. Myślę, że miał rację. Teraz akurat uważasz, że mam za dużo z mężczyzny. A czy dotąd nie miałam za dużo z kobiety? Nie byłam zbyt uległa?

Weszła na górę po schodach, zostawiając go bez szansy na odpowiedź.

Dziesięć minut później była już przebrana z dżinsów i bluzy w piękny zamszowy kostium i wyglądała jak ktoś zupełnie inny. Terry poczuł jej magnetyzm, gdy weszła do salonu i uśmiechnęła się do niego.

- Przykro mi, Maura, że tak wyszło.

Wzruszyła ramionami.

- Musiało do tego dojść wcześniej czy później, Terry. W głębi duszy nosiliśmy to oboje. Kocham cię całym sercem, ale mam inne zobowiązania. W odróżnieniu od ciebie nie mogę ich rzucić dla kaprysu.

- Powiedz raczej, że nie chcesz...

- Uważam, że nie mogę. Nigdy nie słuchasz tego, co się do ciebie mówi. Muszę uporządkować sprawy. Jeśli tego nie zrobię, będą zagrożeni ludzie. Śmiertelnie zagrożeni.

- To chyba nic niezwykłego w waszym zawodzie?

Telefon znowu zaczął dzwonić.

- Lepiej odbierz - mruknął. - Chyba oboje wiemy kto to.

Kiwnęła głową i odebrała telefon.

- Dobrze, Roy. Zaraz wyjeżdżam. OK?

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na mężczyznę, którego kochała przez połowę życia.

- A więc co? Bajbajlandia?

Nie odpowiedział jej. Wpatrywali się w siebie dłuższą chwilę. Żadna kobieta nigdy nie działała na niego jak Maura Ryan i żadna nie będzie, wiedział to. Zawsze to wiedział.

- Odbiorę Joeya - zaofiarował się.

Kiwnęła głową.

- Będę ci za to wdzięczna.

Uśmiechnął się.

- Wezmę twojego merca. Joey woli kabriolet. Uwielbia jazdę z opuszczonym dachem.

Zaśmiała się.

- Jest Ryanem - odparła. - Uznaje tylko to, co najlepsze.

Te słowa zirytowały Terry'ego, ale nie zawracał sobie głowy ripostą. Gdyby tylko Maura potrafiła spojrzeć na pewne rzeczy z jego punktu widzenia. Dostrzec, co robi sobie i swojej rodzinie, utrzymując te podejrzone kluby, a w nich dziwki. Wybór tego rodzaju życia rodził niebezpieczeństwo i przemoc. Uznawali jedynie prawo ulicy. I choć wiedział, że ostatnich kłopotów nie mogła ot tak zostawić, fakt, że nadal była w to wszystko zaangażowana wbrew jego radom, napełniał go goryczą. A także fakt, że wciągało ją to niemal bez reszty. To rozwścieczało go najbardziej. Rzuciło się w oczy, że znowu była w swoim żywiole, po raz pierwszy od wielu lat. On tak naprawdę nigdy jej nie wystarczał, co było jasne dla obojga.

Po kilku sekundach powiedział:

- Weź moje bmw. Niech Roy nie czeka w nieskończoność.

Mówił jej tym samym, że nie odchodzi od niej. Jeszcze ze sobą nie zerwali. Kiedy to sobie uświadomiła, poczuła, że zadrzało jej serce. Gdyby tylko zechciał zrozumieć, że ona musi angażować się w rodzinne interesy. Jedynie to naprawdę potrafiła robić i była to druga wielka miłość jej życia. Dzięki temu opływali we wszystko, mogli spełniać wszystkie swoje zachcianki, przy czym on ciągnął z tego nie mniejsze korzyści niż ona. Czasami przypominał jej matkę. Obydwoje lubili dostatnie życie, lecz żywili nienawiść i pogardę do sposobu, w jaki zdobywało się na nie pieniądze. Hipokryci, jedno i drugie.

Ale uśmiechnęła się do niego, bo gdy byli sami i dotykali się, wszystko inne szło w zapomnienie. Będzie dobrze. Przez to też uda im się przejść. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Pozostały jednak wątpliwości, czy ta kłótnia nie będzie ostatnią kroplą przepelniającą czarę. Ale skoro on ma wrócić do domu, będzie mogła spróbować jeszcze raz z nim porozmawiać. Dokładnie wyjaśnić, co się dzieje. Na pewno wtedy zrozumie.

- Tak bardzo cię kocham, Terry.

Nie odpowiedział. Wziął jej kluczyki i wyszedł z domu. Stała przy oknie i parzyła, jak idzie do samochodu. Robotnicy już poszli i była z tego zadowolona. Tkwili tam przez większą część ranka i popołudnia.

Terry otworzył drzwi samochodu - nigdy nie były zamknięte na klucz - widziała, jak pochyla się, wsiadając do środka. Kiedy umieścił kluczyki w stacyjce, uśmiechnął się do niej i to ją ucieszyło. Nabrała wiary, że wyjdą zwycięsko z tej ostatniej sprzeczki.

Eksplozja rzuciła ją przez piękny pokój, który tak pieczołowicie urządzała. Lądując ciężko na kanapie, z okropnym bólem w plecach, słyszała dzwoniący bez końca telefon.

A potem przyszła błoga nieświadomość.

Rozdział 1

Roy Ryan był przerażony. Dopadł telefonu przy pierwszym dzwonku. Słyszając głos żony, Janine, z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Tylko tego mu teraz brakowało, jej roztrajkotanej gęby, która nie zamknęłaby się przez następne trzy godziny. Gdyby narzekanie było sportem olimpijskim, jego stara zdobyłaby złoto. Telefon zadzwonił jeszcze raz. Nie podniósł słuchawki, wiedząc, że to znowu będzie Janine ze swoim skamlaniem. Była okropnie upierdliwa, w tym momencie nienawidził jej bardziej niż kiedykolwiek.

Ukrył twarz w dłoniach i stłumił wzbierający szloch. Pocił się ze strachu. Czuł zapach własnego potu i wilgoć zbierającą się pod pachami. Gdzie jest Maura, do jasnej cholery? Już dawno powinna tutaj być.

Pewnie jest jeszcze w łóżku z tym kutasem Petherickiem.

Przez moment odczuwał wstyd, że tak pomyślał. Maura miała prawo do Terry'ego, ciężko walczyła, żeby go zdobyć. Nie wolno o tym zapominać. Petherick jednak przede wszystkim pozostawał gliną, nie tylko w ocenie Roya, ale także wszystkich innych, którzy się liczyli. Roy był przekonany, że właśnie to tkwiło u podłoża ich ostatnich kłopotów. Ktoś kapował jak diabli, dając psom cynk o planowanych akcjach, i podejrzewano, że winowajcami są Ryanowie. Były glina w rodzinie nie pasował do ich roboty - chyba że ów glina byłby skaptowany. A Petherick nigdy nie dał się przekupić.

Tak naprawdę ten nadęty alfons niemal ich nie zauważał, patrzył na nich z góry, nawet na ich matkę, a Maura uważała, że wszystko ma się kręcić wokół jego zafajdanej policyjnej dupy.

Znowu westchnął. Oczy piekły go od braku snu i miał na twarzy jednodniowy zarost. Powinien się trochę przespać, ale teraz nie było na to czasu.

Blisko dziesięć lat spokoju w mieście i nagle rozpętuje się piekło. Dlaczego? Kto kryje się za tymi wszystkimi aresztowaniami, za tym fermentem? Ktoś maści na potęgę i Ryanowie muszą odkryć kto, zanim stracą zaufanie klienteli: gangsterów pierwszej ligi z Londynu i południowego wschodu. Dzisiaj mieli zacząć naloty na niepokornych dawnych wspólników. Ale gdzie u diabła jest jego siostra? Nie mogli ruszyć bez Maury.



Janine zabolalo grubiaństwo męża. Zaciskała zęby ze złości, co sprawiło, że jej twarz wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle. Nalała sobie dużą porcję ginu i przełknęła go gładko,

czując, jak palący płyn dociera do jej obwisłego brzucha. Zamknęła oczy, by delektować się tym doznaniem, a gdy otworzyła powieki, uchwyciła swoje odbicie w lustrze naprzeciwko.

Poczuła łzy napływające do oczu. Wyglądała na starszą, niż była, znacznie starszą. Blżej siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki, nie miała się co oszukiwać.

Na szafce stała jej fotografia z dnia ślubu i Janine przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią, przypominając sobie, jak się wtedy czuła ze świeżo upieczonym mężem przy boku i dzieckiem rosnącym w brzuchu. Miała wtedy długie rude włosy, które przyciągały uwagę i w końcu przyciągnęły też Roya.

Gdyby posłuchała matki i ojca! Oni przejrzeni go od pierwszego wejrzenia, jego i jego rodzinę. Ale podobnie jak wiele narzeczonych przed nią, była przekonana, że potrafi zapanować nad swoim mężczyzną. Jak się okazało, nikt nad nim nie panował, nawet policja londyńska, a Bóg jeden wie, ile razy próbowali. Ale ona go chciała, pragnęła tak bardzo jak żadnego innego mężczyzny ani przedtem, ani potem. Problem leżał w tym, że chciała go nadal, zawsze tak było i zawsze będzie, mimo że nią gardził.

Nalała sobie jeszcze jedną porcję ginu i połknęła dwie tabletki valium. Pomoc do dziecka w pigułce dla znerwicowanych mamusiek. Uśmiechnęła się do siebie, co robiła bardzo rzadko, nieświadoma, że z uśmiechem wygląda znacznie młodziej.

Gdyby człowiek zawczasu wiedział, jak będzie wyglądało jego życie...

Leżała na kanapie i myślała o swojej córce Carli, dziecku, które rodziła z wielką nadzieją, a którego potem, od najwcześniejszych dni, tak bardzo nie lubiła. Bo okazała się jej rywalką, która całkowicie zawładnęła zauroczonym nią Royem - jej, Janine, nigdy się to nie udało. Teraz Carla była bardziej córką Maury niż jej i Janine to odpowiadało. Ciotka i kukułcze jajo chwaliły sobie ten układ. Ale syn Janine, Benny Anthony, noszący imiona po swoim nieżyjącym wujku, to zupełnie inna para kaloszy. On był jej. Cokolwiek myślał Roy, Benny był tylko jej. Pomimo że ojciec uformował go na swoje podobieństwo, był królem jej serca. Syn był dla niej wszystkim i Janine wierzyła, że któregoś dnia przejrzy Roya i wróci do niej. W końcu Maura i Roy pokażą, jacy są naprawdę, a wtedy ona, Janine, przyjmie swojego chłopca z otwartymi ramionami.

Była to jej ukochana wizja. Nieustannie do niej wracała, choć w głębi duszy wiedziała, że to się raczej nie zdarzy. Benny to cały Ryan, od stopy rozmiaru czterdzieści siedem po ciemne, gęste włosy na głowie. Był niczym wskrzeszony Michael Ryan, wyglądał jak sobowtór swojego nieżyjącego wuja. Ale nie było to tylko fizyczne podobieństwo. Benny miał również sposób myślenia Michaela. I właśnie to ją najbardziej przerażało w chwilach,

gdy myślała trzeźwo. Jednak podczas gdy Michael uwielbiał swoją matkę, Bennie nienawidził Janine i bez skrępowania jej to okazywał.

Potrząsnęła głową, by odsunąć te okropne myśli na temat jedynaka. Chłopak jeszcze wiele się nauczy, przejdzie twardą szkołę. Taką samą jak jego matka. Był wystarczająco bystry, żeby w końcu zobaczyć, jacy są wszyscy Ryanowie - że to dranie.

Na tę myśl znowu się uśmiechnęła. Nalała sobie kolejną porcję ginu i gładko go przełknęła. Nie minęła godzina, jak zasnęła.



Belmarsh. Więzienie o zaostrzonym rygorze.

Vic Joliff rechotał - duży łysy zbir z bezwzględными małymi czarnymi oczkami, teraz zmrużonymi z radości.

- Jesteś pewien? To na pewno była Maura Ryan, całkiem sztywna?

Petey Marsh kiwnął głową.

- Z tego co wiem, ktokolwiek był w tym samochodzie, nie miał prawa przeżyć.

Vic zatarł ręce.

- Postaw dobrego drinka klawiszowi, który przekazał tę wiadomość. Jeszcze z niego skorzystamy. A więc Maura Ryan została zdjęta ze sceny... Spadaj, muszę pomyśleć.

Petey migiem opuścił celę. Tak naprawdę wcale nie lubił Joliffa, jego nikt nie lubił, ale u takich jak on można było czasem zarobić, gdy się było w potrzebie. I lepiej u niego niż u Irlandczyków, tych pieprzonych Paddies, którzy robili wokół siebie szum, bo byli „polityczni”. Vic Joliff był przynajmniej gangsterem w starym stylu, z takimi pieniędzmi, reputacją i szaleństwem w sobie, że narzucał posłuch. Ale przecież to, że Petey dla niego pracował, wcale nie musiało znaczyć, że go lubił, jasne?

Zastanawiał się przez chwilę, czym Maura Ryan mogła narazić się Vicowi i czy to był z jego strony akt zemsty. Vic potrafi celnie strzelać z więziennej celi, a krążyły plotki, jakoby Ryanowie nie byli już tą rodziną co za czasów Michaela, choć samą Maurę uznawano za siłę, z którą należało się liczyć. Jednak jeśli została z niej miazga, i do tego, jak niosła wieść, rozbryzgana po całym Essex, w takim razie ster przejmował jej brat Roy, który nie był największym bystrzakiem w stajni Ryanów. Pozycja Stephena Hawkinga jako najtęższego angielskiego mózgu nie była zagrożona.

Petey zrobił sobie skręta i próbował się zrelaksować na łóżku. Dni były tutaj długie, za długie. Jeżeli Joliff wchodzi w wojnę gangów, to będzie z tego przynajmniej jeden pożytek. Pomoże złagodzić tę cholerną nudę.

Uśmiechnął się do siebie. W tym skrzydle nie było takiej atrakcji, odkąd ktoś gwizdnął magnetowid. Jeszcze po trzecim przeszukiwaniu cel próbowali im wmawiać, że to jakiś więzień go zwędził. Ale od początku było dla wszystkich oczywiste, że w najostrzejszym więzieniu w Europie, z tak doskonałymi zabezpieczeniami, żaden sprzęt nie mógłby wyparować i maczał w tym palce jakiś funkcjonariusz. Cóż, takie jest życie.

Westchnął i położył się z powrotem, nadal próbując się zrelaksować, co nie było łatwe przy ciągłym hałasie i bezlitosnej nudzie. Życie w więzieniu może być jak powolne umieranie, choć szybki koniec można sobie zorganizować nawet tutaj - z własnej ręki lub z czyjąś pomocą.

Usłyszał zgrzytliwy śmiech Joliffa i zatkał uszy dłońmi, mając nadzieję, że Ryanowie wcześniej czy później wyciągną stąd tego dupka, by dokonać na nim zemsty.

Szybko dopalił skręta i odpuścił sobie odpoczynek na rzecz dobrego treningu na siłowni.

◆◆◆

Benjamin Anthony Ryan był potężnym facetem. Olbrzymem. Trenował z ciężarkami i w efekcie miał ciało jak mistrz olimpijski. Był dumny ze swojego wyglądu, pracował nad nim nieustannie. Dziś był w siłowni Pata we wschodnim Londynie i pocił się ostro, jego twarz o grubych rysach była czerwona od wysiłku.

Zobaczył, że idzie do niego jego goryl, Abul Haseem, z telefonem przyklejonym do ucha, a jego urodziwa twarz ma pośepny wyraz zamiast zwykłego uśmiechu. Domyślił się, że coś się stało.

- Co się dzieje? - zapytał przyciszonym głosem.

To, co miał usłyszeć, nie było przeznaczone dla postronnych uszu.

Abul pokręcił głową, zanim odpowiedział:

- Ktoś podłożył bombę u twojej ciotki, Ben, tylko tyle wiem.

Patrzył, jak zmienia się wyraz twarzy Bena, przechodząc w ułamku sekundy od niedowierzania do kipiącej złości.

- Co ty pieprzysz?

Ludzie zaczęli się na nich gapić, zaintrygowani furią w jego głosie.

Abul wyłączył telefon i szepnął:

- Nie tutaj, Benny. Samochód jest na zewnątrz, ojciec czeka na ciebie w szpitalu.

Benny ruszył za nim bez słowa, wdzięczny losowi, że ma przy sobie kumpla, który potrafi zachować taki spokój w chwili kryzysu.

A był to kryzys na olimpijską miarę.

Poczuł napływające do oczu łzy i nie był pewien, czy to z powodu ciotki, czy ze złości. Tak czy inaczej chętnie rozplakałby się jak dziecko.

Abul, przyjaciel od czasów szkolnych, obecnie bardziej brat niż kumpel, ścisnął go za ramię.

- Najpierw musimy się wywieść, co zaszło, nie sądzisz, stary?

Benny kiwnął głową

- Osobiście zabiję sukinsynów. Co myśleli, że im ujdzie taki numer? Jeśli coś jej się stało, to przysięgam, że ich rozerwę gołymi rękami. I dowiedzą się, do czego służy zestaw modelarski Airfix.

Abul natychmiast zamknął oczy. Benny miał manię sklejaną ludziom powiek; mówił, że panicznie się tego boją i tu Abul w pełni się z nim zgadzał. Na samą myśl o czymś takim robiło mu się niedobrze.

◆◆◆

W poczekalni szpitalnej Oldchurch Hospital zirytowana Sarah Ryan odtrąciła ramię najstarszego syna i krzyknęła:

- Na Boga, Roy, jeszcze nie zdziecinniałam!

Mimo że przekroczyła już osiemdziesiątkę, nadal była czerstwa i zdrowa. Drobniejsza niż kiedyś, zdawała się kurczyć z dnia na dzień, ale umysł miała sprawny jak zawsze, wystarczyło jej posłuchać.

- Mamo, pozwól, żeby któryś z chłopców odwiózł cię do domu. To będzie długa noc...

Przerwała mu ruchem dłoni.

- Przy was też zdarzyło mi się trochę takich nocy przez te wszystkie lata. Zwłaszcza z Michaeliem i waszym szmatławym ojcem. A teraz powiedz mi, co się, u diabła, dzieje.

Roy patrzył na stojącą przed nim małą kobietę. Skąd u niej taka siła woli?

- A w ogóle gdzie jest Terry? Powinien tu być. Roy zwilżył językiem wargi, zanim odpowiedział.

- W samochodzie była bomba, mamo. Przeznaczona dla Maury. Gdy Terry uruchomił silnik...

Sarah zamknęła oczy, jakby tego było już dla niej za dużo.

- Co? To znaczy, że Terry nie żyje?

Roy przytaknął.

- Święta Mario, Matko Chrystusa! Co ona tym razem rozpętała?

Winą natychmiast obarczyła córkę. Roy miał ochotę uderzyć matkę za tak niesprawiedliwą reakcję.

- Gdziekolwiek się pojawi, tam jest śmierć. Śmierć i zniszczenie. Moi biedni chłopcy...

Urwała, bo Roy zakręcił się na pięcie i odwrócił od niej. Świadomość tego, co się zacznie dziać, przyprawiała ją o mdłości. To mogło oznaczać tylko jedno: zanosilo się na więcej mokrej roboty, a stała za tym jak zwykle Maura.

Skąd się u niej wzięła taka córka? Martwiła się o Maurę, odkąd dziewczyna na tyle dorosła, by dołączyć do nikczemnego fachu braci. Ich bezceństwa mogła przełknąć, jednak nie była w stanie zaakceptować tego, że córka jest taka sama. To było nie do przyjęcia, nie do przyjęcia u kobiety. Ale najgorsze były tego następstwa. Kolejna bezsensowna śmierć.

Terry Petherick był przyzwoitym człowiekiem, kochał tę blond dziwkę, którą wydała na świat. Był kiedyś uczciwym i dobrym policjantem, więc Sarah nie mogła zrozumieć, co takiego zobaczył w jej córce.

Podeszła do syna i szarpnęła go, żeby stanął z nią twarzą w twarz.

- Nie odwracaj się ode mnie, chłopcze, kiedy do ciebie mówię.

Uwolnił się od niej niezbyt uprzejmie i powiedział ściszone głosem:

- Nie zapytasz o swoją córkę? Swoją jedyną córkę? Nie chcesz się dowiedzieć, co z nią? Żyje, umarła, została kaleką?

Potrząsnęła głową.

- Nie obchodzi mnie to...

Roy podniósł dłoń na znak, by ucichła.

- Więc zjeżdżaj do domu, mamó. Na pewno dowiesz się później wszystkiego od Janine.

Sarah patrzyła za nim, gdy odchodził, i przez chwilę było jej smutno. Potem wróciła złość. Maura była powodem wszystkich kłopotów w rodzinie. Potrafiła każdego przekabacić. Zmuszała ich do dokonania wyborów. Sarah usadowiła się na porysowanym plastikowym krześle, ułożywszy na kolanach dużą skórzaną torebkę.

Mogła poczekać, żeby się dowiedzieć, co jest grane. Była dobra w czekaniu, Bóg świadkiem, przez lata nabrała praktyki.

Pięć minut później jej wnuk Benny przeszedł obok niej - jakby nie istniała. Otworzyła torebkę, wyjęła różaniec z oliwkowego drewna i zaczęła się modlić.

◆◆◆

- Cholerna stara czarownica! Ją i moją matkę powinno się raz na zawsze uciszyć.

W Royu odezwał się synowski instynkt.

- Nie mów tak o mojej matce. Ani o swojej.

Benny wzruszył ramionami, narastała w nim złość.

- Słuchaj, tato, to para starych mściwych wiedźm, dobrze o tym wiesz, tak samo jak ja. Cały ten „szacunek dla rodziców bez względu na wszystko” przeżył się już za czasów pieprzonej arki Noego! Nie mogę znieść żadnej z nich i jestem pewny, że ciocia Maura nie chce ich tutaj. Więc skończmy pierdolić i przejdźmy do rzeczy. Kto to zrobił i jak się odplacimy?

Roy miał wrażenie, że to rozwścieczony Michael stoi przed nim jak żywy i patrzy na niego oczami Bena. Przejął go dreszcz, podobieństwo było ogromne - miał jednak nadzieję, że jego chłopak był heteroseksualny. Ale nawet timbre głosu miał identyczny jak Michael i tym przyciągał ludzi. Był arogancki jak Michael i tak samo mściwy. Maura uwielbiała go, a on ją, ku rozgoryczeniu Janine.

Pojawił się lekarz.

- Co z nią, doktorze?

- Jest przytomna. Dostała w głowę, ale to nic poważnego. Kilka rozcięć i siniaków. Nie widzę żadnych cięższych urazów. W każdym razie fizycznych.

Roy odprężył się.

- Dzięki. Możemy ją zobaczyć?

- Ale tylko pięć minut, nie dłużej.

Benny uściskał ojca i Roy uświadomił sobie jego siłę i młodość. I to, że ma temperament Michaela - nie mija kilka sekund, a z wściekłego brytana zmienia się w radosnego szczeniaka lub na odwrót.

- Ale fart, tato. Ale cholerny fart.

Roy zdał sobie sprawę, że już niedługo straci kontrolę nad tym chłopcem, a o tym, co się wtedy może zdarzyć, wolał nie myśleć.

◆◆◆

Maura wyglądała okropnie i Roy się domyślił, że już wie o śmierci Terry'ego.

- Wszystko w porządku, Maws?

Zamknęła oczy i kiwnęła głową.

Benny przysunął sobie krzesło. Biorąc jej dłoń w swoją, lekko ją ścisnął.

- Czuwamy tu. Jesteś bezpieczna.

Maura uśmiechnęła się słabo.

- Dzięki, Benny. Domyślacie się, kto to zrobił?

- Pewnie jakiś alfons z Shoreditch.

Benny mówił dość głośno i Maura się skrzywiła. Ściszył głos:

- Bo chyba nikt inny, jak myślisz?

Przeniósł wzrok z Maury na ojca, który potrząsnął głową.

- To nie Jimmy Milano, on jest czysty jak łąza. Maura dała mu nauczkę jakiś czas temu. Benny sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

- Dzięki, że mi powiedzieliście.

Gorycz w jego głosie nie uszła ich uwagi. Benny został wyznaczony do ściągania haraczu z Milano, gdy ten po raz pierwszy pojawił się we wschodnim Londynie. Ale jak się okazało, gość miał dobrego protektora, jednego z najlepszych oficerów policji w służbie Ryanów. Milano nie stanowił zagrożenia. W odróżnieniu od starej gwardii był pośledniego formatu; ani tęga głowa, ani twardziel.

- Miałem ci powiedzieć, Benny, ale wszystko się...

Roy nie dokończył, bo Benny mu przerwał.

- Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

Jak zwykle, poczuł się zaatakowany. Milano to była jego największa wpadka i wszyscy o tym wiedzieli.

- Zewsząd dochodzą smrodliwe sygnały, Benny. Teraz przede wszystkim musimy wyeliminować podejrzanych.

- Słusznie, kurwa! Eliminować! Właśnie to zamierzam zrobić z tymi skurwysynami. Maura znużona zamknęła oczy.

- Przystaniesz wreszcie używać tego słowa? Irytuje mnie.

- W porządku, Maura. Nie musisz zaraz wyskakiwać ze skóry.

Był ciężko urażony i ciotka, nagle pełna współczucia dla niego, zapytała łagodnie:

- A co mówią gliny?

- Jeszcze niewiele wiem. Nasi z policji zadzwonią do nas po południu z informacjami.

- Mówiąc to, Roy popatrzył na syna. - Ty z nimi pogadasz. Zobaczysz, co mogą...

Benny znowu mu przerwał:

- To już zrobione. Abul się tym zajął po drodze.

Roy kiwnął głową.

- Chcesz, żeby jeszcze coś zrobić, Maws?

Potrząsnęła ostrożnie głową i opadła z powrotem na poduszki.

- Jak najszybciej zabierzcie mnie stąd do prywatnej kliniki. Zanim spadną nam na głowę media i wezmą nas pod ostrzał.

- Załatwione, Maws. Przyjdziemy później, dobra?

Gdy wychodzili z pokoju, zawołała:

- I trzymajcie z dala matkę! Nie ścierpię jej teraz.

Gdy zamknęli drzwi, wyciągnęła się na łóżku i zaczęła wspominać wydarzenia dnia. Kłótnia. Terry wychodzący bez pojednania. Ostatnie spojrzenie na niego. Uśmiechnął się zza przedniej szyby jej samochodu, zanim przekreślił kluczyk w stacyjce i został rozerwany przez bombę przeznaczoną dla niej.

Teraz, kiedy odszedł, kiedy odszedł naprawdę, ból i poczucie winy zostaną z nią do końca życia. Nie ma jednak czasu na żale. Została wypowiedziana otwarta wojna i będzie musiała przegryźć się przez to gówno, spróbować znaleźć w tym jakiś sens.

Połknęła łyżę. Czas się pozbierać i kontynuować, co zaczęła. Odłożyć uczucia na później.

Tak właśnie Maura Ryan postępowała przez całe życie.

◆◆◆

Garry Ryan był wściekły. Jego dziewczyna, Anita, bardzo ponętna mimo nadwagi i tiku nerwowego, przyglądała się bacznie, jak przerzuca swój notatnik z telefonami. Zapisując nazwiska, mruczał coś pod nosem. Śmiertelnie się go bała, gdy był taki.

Spojrzał na nią ciemnoniebieskimi oczami.

- Zrób mi filiżankę herbaty, Nita, i zarezerwuj lot do Londynu. Ale już.

Kiwnęła głową.

- Też lecę, Gal?

Była zdenerwowana, jak zawsze, gdy miała do niego sprawę. Westchnął.

- A chcesz polecieć?

Było to pytanie zadane uprzejmym tonem, co zdarzyło mu się chyba po raz pierwszy. Nie chciała opuszczać Marbelli. Kochała to miejsce, zwłaszcza bez niego. Ale odpowiedziała mu bez wahania:

- Oczywiście, kochanie.

Garry zaśmiał się, co przeraziło ją jeszcze bardziej.

- Nie, nie lecisz. Nawet mnie nie lubisz. Ty lubisz prestiż. Kiedy mnie nie będzie, sprawdź w słowniku, co to znaczy.

Kiwnęła głową, czując ulgę, że nie musi z nim jechać.

- A więc pakuj się i spieszaj.

Zamrugła kilka razy i żałośnie zapytała:

- Ale gdzie pójdę?

Garry miał już dość tej rozmowy i odparł lekceważąco:

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Znajdziesz coś. Takie jak ty zawsze znajdujają.

Zaląła się łzami.

- Ty cholerny draniu. Dlaczego mnie tak traktujesz?

Wstał. Stojąc przed nią, delikatnie ujął jej podbródek, lekko podciągnął do góry i łagodnie pocałował ją w usta.

- Bo taki już jestem, głupia. A teraz zrób mi herbatę i zamów lot, bądź dobrą dziewczynką.

Zobaczył w jej oczach bezradność i przez chwilę zrobiło mu się jej żal. Tylko przez chwilę, bo w gruncie rzeczy nią gardził, gdyż cokolwiek robił czy mówił, trwała przy nim.

- Coś ci powiem. Jeżeli będziesz naprawdę grzeczna, pozwolę ci tu zostać jeszcze przez tydzień, dopóki nie znajdziesz sobie czegoś innego. To chyba bardzo w porządku, nie?

Odsunęła się od niego, milcząco demonstrując przygnębienie. Godzinę później był już w drodze na lotnisko, nie zaprzatając sobie głowy Anitą, z którą był związany od dwóch lat. Taki był Garry Ryan.

W samolocie układał plan zemsty na tym, kto stał za próbą zamordowania jego siostry Maury. Wiedział, że na Maurze by się nie skończyło, zagrożona była reszta rodziny. Winnym przydadzą się długie nogi, bo kiedy wróci do kochanej Brytanii i zorientuje się w sytuacji, poleje się krew, to pewne.

Już się na to szykował.

◆◆◆

Sandra Joliff była wysoka, miała silikonowe piersi, opaleniznę z solarium i śnieżnobiałe zęby. Blond włosy, zrobione w pasemka, były ostrzyżone tak, że tworzyły seksowną gęstwę wokół jej twarzy.

Czuła się okropnie. Przez całą noc była na nogach i bolały ją nerki od nadmiaru kokainy i wódki. Jej twarz poszarzała pod opalenizną i Sandra marzyła, by jak najszybciej wziąć prysznic i napić się herbaty.

Następnego dnia zamierzała odwiedzić męża i musiała na tę okazję dobrze wyglądać. Wiedziała, że jest z niej dumny i nie chciała sprawić mu zawodu. Stary Vic był w porządku. Wiedział, jaka jest, i wspólne życie zbudowali wokół swoich słabości.

Gdy skręcała na podjazd domu w Emerson Park, zatrąbił na nią z tyłu jakiś samochód, a ciemnowłosy mężczyzna pokazał jej palec w obraźliwym geście. W odpowiedzi zrobiła to samo.

- Palant!

Wiedziała, że zajechała mu drogę, ale była zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Wychodząc z samochodu, spojrzała na podjazd. Front posesji wyglądał nieskazitelnie. Nigdy

nie mogła się dość nadziwić, jak jej się teraz powodziło dzięki Vicowi. Wychowała się w komunalnym mieszkaniu, a teraz żyła niczym królowa. Jej dwie córki chodziły do prywatnej szkoły, a ona miała bmw 330 i pieniędzy jak lodu. To był dla niej szczęśliwy dzień, kiedy się spodobała Vicowi, chwalała mu! Wyjął ją ze starego życia i przeniósł do nowego bez chwili wahania.

Otworzyła drzwi do wielkiego domu z pięcioma sypialniami i wyłączyła alarm. Wchodząc do kuchni, zobaczyła, że na środku podłogi leży ich doberman Kelly. Z nosa i pyska ciekła mu krew, a całym ciałem wstrząsały drgawki. Klęknięła obok psa i pogłaskała go po głowie.

- Już dobrze, Kelly. Co ci się stało, kochanie?

Przemawiała do niego ściszym, pocieszającym głosem. Pies wcisnął nos w jej dłoń i cicho zaskowyczał. Obok leżał kawałek krwistego mięsa. Podejrzała, że doberman został otruty.

Wstając, wyczuła czyjaś obecność, a kiedy się odwróciła, ujrzała stojącego za nią mężczyznę. Był wysoki i mocno zbudowany, elegancko ubrany, w rzeczy z dobrego domu mody. Mimowolnie otaksowała go wzrokiem. W skali od jednego do dziesięciu dałaby mu cztery punkty, ale obcięła jeden za maskę narciarską, którą miał na twarzy. Uśmiechnął się szeroko, przez otwór w masce ukazując idealnie białe zęby.

- Coś ty za jeden i co do jasnej cholery robisz w mojej kuchni?

Jej brawura mu się spodobała. Patrzył na Sandrę z uznaniem, a ona poczuła obrzydzenie na myśl, że mógłby mieć ochotę ją zgwałcić. No, niechby tylko spróbował.

Wyprężyła się, choć nie czuła się zbyt pewnie na wysokich szpilkach.

- Sandra?

Miał głos niski i przyjemny, mówił z lekkim akcentem. Zesztywniała.

- A kto, kurwa, chce to wiedzieć?

Cały czas zachowywała się z godnością, zdecydowana nie okazywać strachu, który ją obezwładniał.

- Wiesz, kim jestem? Kim jest mój mąż? Jak się o tym dowie, krew się poleje, człowieku.

Uśmiechnął się.

- O to właśnie chodzi, Sandra. Właśnie dlatego tu jestem.

Popatrzyła na niego z osłupieniem.

- Że co? O co ci chodzi, pieprzony świrze?

Pies znowu zaskowyczał, więc odruchowo spojrzała w dół.

- Dobrze, Kelly. Za chwilę wezwę weterynarza, piesku, jak tylko ten popapraniec sobie stąd pójdzie.

Znowu spojrzała na mężczyznę.

- Nie wiesz, człowieku, w co się pakujesz. Ostrzegam cię, mój mąż to ciężki kaliber, a twoje najście wkurzy go do nieprzytomności.

Mężczyzna rozpiął płaszcz i zobaczyła obrzynek. Otworzyła szeroko niebieskie oczy, gdy zrozumiała, co intruz zamierza zrobić. Rzuciła się do tylnych drzwi; szkło z nich rozprysnęło się wokół, pierwszy strzał trafił ją w łydki. Kiedy upadła, mężczyzna stanął nad nią i zaczął się śmiać.

Skręcała się na podłodze, w nogach czuła palący ból.

- Co robisz? Zabierz, co chcesz, człowieku, zegarek, wszystko, ale błagam, mam dwie małe córeczki.

Łkała w szoku i bólu.

- Przykro mi, kochanie, to nic osobistego.

A potem wypalił jej w twarz. Gdy to robił, nadal się śmiał.

Dzieci Sandry musiała odebrać ze szkoły jej matka, przypuszczała więc, że córka znowu pozwoliła sobie na pijacki maraton. Zabrała dziewczynki na noc do siebie, ale postanowiła pomówić ostro z Sandrą o zaniedbywaniu dzieci. Odkąd Vic siedział, zupełnie jej odbiło, ciągle była poza domem, cały czas nafaszerowana koką, i wreszcie matka zaczynała mieć tego dość. W tej sytuacji ciało Sandry znalezione zostało dopiero po dwudziestu czterech godzinach.

Vica Joliffa trzeba było potraktować środkami uspokajającymi, gdy dotarła do niego ta wiadomość, tak samo matkę Sandry, gdy następnego dnia odkryła okaleczone ciało córki, a obok zwłoki psa. Chantel i Rochelle musiały teraz zamieszkać z babcią, która paliła jak smok i żyła grą w bingo.

Policja nie wiedziała, co myśleć o tym zabójstwie. Tak jak wszyscy inni.

Sandra była tylko żoną, cywilem, nie angażowała się w interesy Vica, choć jak mawiali niektórzy, wciągała przez nos większość zysków. Ale to był problem jej męża, niczyj inny.

To z pewnością nie była jego robota. Uwielbiał ją, mimo że nie omijała żadnej okazji do zdrady. Przełykał to, bo wiedział, że jest młoda, pełna życia i temperamentu. Ulegała prawom natury. Nie wyszła za niego z miłości.

Gdy potem powiązano to morderstwo z bombą w samochodzie Maury Ryan, pewien recydywista stwierdził: „Nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie minie tydzień, jak chodnikami, popłynie krew”.

W rzeczywistości jego przepowiednia spełniła się w ciągu dwóch dni.

Rozdział 2

Sheila Ryan uśmiechnęła się, gdy mąż przesunął rękę po jej brzuchu.

- Nigdy się nie poddajesz, co?

Lee, najmłodszy z żyjących braci Ryan, zaśmiał się.

- Nigdy.

Znowu miała nudności, suche, męczące torsje, a on cierpliwie masował jej plecy.

- Ta dzidzia daje mi się we znaki.

- To chłopiec, Sheila. Ma to po rodzinie swojego ojca.

Zaśmiała się, bo chociaż tym razem bardzo źle to znosiła, była szczęśliwa, że znowu jest w ciąży. Uwielbiała być w ciąży i czuć, jak w jej brzuchu rośnie dziecko. Jego ruchy i świadomość, że za jej sprawą powstaje z niczego nowy człowieczek, za każdym razem wprawiały ją w zachwyt.

Z braku snu miała pobladłą twarz, a szaroniebieskie oczy były otoczone czarnymi obwódkami. Lee kochał ją szaleńczo i nie było ważne, jak wyglądała. Kiedy była brzemienna, z nieproporcjonalnym, sterczącym brzuchem, czuł się najszcześniejszym z ludzi. Bracia naśmiewali się z niego, ale wiedział, że go kochają. Odkąd miał Sheilę, nigdy nie spojrzął dłużej na żadną kobietę, zdarzyć mu się mogła tylko jakaś nocna przygoda od czasu do czasu. Nie chciał ryzykować utraty tego, co posiadał.

Westchnęła ciężko.

- Fatalnie się czuję. Nie było tak przy żadnym z poprzednich dzieci.

- Jak mały się urodzi, zobaczysz, że było warto.

- To może być ona, pamiętaj. Tym bardziej że ta ciąża jest zupełnie inna od tamtych.

Ścisnął ją za ramię.

- Możesz sobie pomarzyć. Ja mam tylko męskie plemniki.

Znowu się roześmiali. Lee popatrzył czule na żonę i jak zawsze przeszył go dreszcz radości, że należy właśnie do niego. Miał nadzieję, że urodzi dziewczynkę. W głębi duszy pragnął córki, po czterech chłopakach byłaby to miła odmiana. Wiedział, że Sheila chciałaby dziewczynkę. Podobnie jak jego matka, która zachowywała się tak, jakby winiła go za to, że mają czterech chłopców. A czy on mógł wybierać?

- Kocham cię, Sheila.

Popatrzyła mu w oczy.

- Wiem.

Otworzyły się drzwi sypialni i do środka wpadli chłopcy, ich czterej synowie. Kiedy Sheila próbowała zwymiotować w przyległej łazience, najmłodszy, Jason, zapytał poważnie:

- Czy dziecko mamusi już wychodzi?

Wszyscy się roześmiali.

Lee uniósł w górę trzylatka i zapytał głośno:

- Kto ma ochotę na śniadanko? Jajka, bekon i grzanki z patelni dla moich chłopców, co wy na to?

- Lee, przestań, i tak mi jest niedobrze.

Gdy usłyszał, że żona znowu wymiotuje, zawołał do niej:

- Przepraszam, Sheila. Dla ciebie tylko suchy chleb, tak?

Chłopcy znowu się zaśmiali i Lee radośnie zgarnął ich na dół. Bez względu na to, jakie kłopoty miał w pracy, nigdy nie przynosił ich do domu. Ta zasada bardzo dobrze służyła mu w życiu, a jego życiem była teraz Sheila. Ona i dzieci. Choć źle się działo w tych dniach w rodzinie Ryanów, jego własna mała rodzina nie miała najmniejszego pojęcia, że coś jest nie tak był zdecydowany trzymać ich od tego z dala. Sheila wiedziała, jaka jest sytuacja, i była tego samego zdania. Poza domem był inny świat i oboje, na ile mogli, chronili przed nim dzieci.

Telefon zadzwonił, gdy Lee akurat podawał jajka, więc odebrał jego najstarszy synek, Gabriel. Dość duży jak na swoje osiem lat, miniaturowy Ryan, jak i pozostali chłopcy.

- Tak, dobrze, wujku Roy. Powiem mu, właśnie robi śniadanie.

Lee usłyszał, jak Gabriel śmieje się z czegoś, co powiedział wujek, i poczuł się dumny z całej swojej rodziny. Byli ze sobą zżyci i kochali się. Nic nie mogło stanąć między nimi.

- Wujek Roy powiedział, że spotka się z tobą w biurze.

- Dobrze. Dziękuję, Gabrielu.

Do kuchni weszła Sheila. Długie blond włosy miała starannie wyszczotkowane, a wielki brzuch skryty pod atlasowym szlafrokiem. Uśmiechnęła się żałośnie do męża, stawiając przed sobą filiżankę herbaty i talerzyk z dwoma tostami.

- Znowu będziesz dziś późno?

Lee skinął głową.

- A więc do nieprędkiego zobaczenia.

Pocałował ją czule, a czwórka chłopców pozwoliła sobie na znaczące uśmiešky.

◆◆◆

Garry i Roy jedli śniadanie w domu matki. Tu Garry zatrzymywał się najchętniej, kiedy zjeżdżał do Londynu.

- Joliff dostał wiadomość, że to my z zemsty zabiliśmy jego dziewczynę, chociaż tego nie zrobiliśmy. Tak czy owak myślę, że to on załatwił Terry'ego. Coś poważnego wisi w powietrzu.

- Wszystko jest z pewnością ukartowane, ale poczekajmy na informacje od innych chłopców.

Sarah słuchała ich jednym uchem. Gdy postawiła przed nimi Przysmak Bena, uśmiechnęli się z uznaniem.

- Nie ma to jak trochę tłuszczu, mamó. Zatyka stare tętnice.

- Zamknij się i jedz, głupku.

Wyszła z kuchni do salonu. Niewiele zmienił się przez lata, nadal był zagracony figurami świętych i wyściełanymi meblami. Pod fotografiami pięciu nieżyjących synów paliły się świece, a przez ramy przewieszzone były różańce. Czterech z nich zamordowano - winiła za to córkę. Według Sarah nawet wypadek, jaki miał Leslie, należało przypisać Maurze, a nie nadmiarowi wchłoniętego przez niego alkoholu i narkotyków. Bo czy nie pracował tej nocy w jej klubie? Wszyscy od dawna wiedzieli, że ma problem z alkoholem, a ona mimo to nadal kazała mu pracować w klubie, gdzie miał nieograniczony dostęp do whisky, myślała Sarah ponuro.

W rzeczywistości Leslie bez opamiętania faszzerował się koką i aż się prosił o wypadek. Kiedy do tego doszło, zabił nie tylko siebie, ale również dziewiętnastoletnią hostesę, która jechała w jego samochodzie, oraz starsze małżeństwo w ciemnoniebieskiej ładzie.

Ale Sarah wiedziała swoje - pięciu jej wspaniałych synów nie żyło, a ta dziwka dalej chodziła po świecie, jakby cały do niej należał.

Uklękła i przeżegnała się.

Modląc się, powędrowała wzrokiem za okno, na rozpościerający się za nim widok całego Notting Hill, którego każda piędź warta była obecnie fortunę, co ją zdumiewało. Dwa domy dalej, na Lancaster Road mieszkała nawet gwiazda rocka. Zadziwiający, myślała Sarah, że znajdują się ludzie, którzy chcą wydawać tyle pieniędzy na jakiegokolwiek miejsce tutaj. Pamiętała dni, kiedy roiło się tu od karaluchów, a miejscowi ciężko tyrali, żeby nakarmić hordy swoich dzieci. Kiedyś szukali tu schronienia najbiedniejsi, teraz ludzie zabijali się, żeby tu mieszkać. Winiła za to tego idiotę Tony'ego Blaira. Bezklasowe społeczeństwo? Kto by chciał słuchać takich bzdur!

Jej wnuk Benny wetknął głowę przez drzwi.

- Cześć, babciu? Czy tata już przyszedł?

Jego głos był chłodny, jakby była nieznajomą, którą się pyta o drogę.

- Jest w kuchni. Zrobić ci coś do jedzenia?

- Nie, mama Abula nas nakarmiła.

Delikatnie zamknął drzwi, a Sarah uśmiechnęła się do siebie. Grzeczniej ten Benny. Ale tak jak jej Michael, który był szurnięty, co powtarzała codziennie, i on potrafił być niezłym łobuzem.

Nie przyznałaby nawet sama przed sobą, że Benny jej nie lubi, ale wyczuwała to i wiedziała także, że nie tylko do niej odnosi się z pogardą. Swoją własną matkę traktował tak samo. Mimo wszystko każdy grzeczniejszy gest ze strony wnuka wprowadzał Sarah w dobry nastrój na cały dzień.

Garry był z nią na porannej mszy, co poprawiło jej humor, ale śmierć Terry'ego pogrzyżała w mroku całą rodzinę. Sarah zastanawiała się, czy Maura znów pojawi się na ulicach. A dokładniej, w co jeszcze wpakuje ich wszystkich. Tego właśnie chciałyby się od kogoś dowiedzieć.

Znała Maurę i przypuszczała, że ulicami znowu popłynie krew. Jej córka była twarda i niebezpieczna. Ten śliczny jasnowłosy aniołek, którego wydała na świat z taką radością wiele lat temu, był dla niej zmorą. Maura wyrosła na taką potęgę, że musieli się z nią liczyć wszyscy, i policjanci, i przestępcy.

Gdyby to ona leżała martwa, a nie ten dobry człowiek, byłoby to dla Sarah łatwiejsze do zniesienia. Niestety, teraz Maura rozpęta piekło, będzie więcej trupów. Tak właśnie mściła się jej córka, gdy ktoś jej pokrzyżował szyki lub ją rozwścieczył.

Pocałowała Chrystusa na krzyżyku zwisającym z różańca i zaczęła się modlić jeszcze żarliwiej, z oczami wzniesionymi w górę, jakby widziała tam Jezusa.

◆◆◆

Carla odgarnęła do tyłu gęste brązoworude włosy. Ten ruch upodobił ją do matki, Janine, ale na tym podobieństwo się kończyło.

Była kobietą o słodkiej twarzy, kochała swojego syna Joeya i ciotkę Maurę, która przez całe życie była jej przybraną matką, choć różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie pięć lat.

Maura była dla niej matką, siostrą i bratnią duszą w jednej osobie. Carla wiedziała, że zastępowała ciotce dziecko, którego tamta nigdy nie miała. Bardzo ceniła sobie to, że mimo upływu lat ciągle się kochały i miały bliski kontakt, jak w dzieciństwie.

Wchodząc do szpitala, zrobiła w myśli przegląd potrzebnych Maurze rzeczy, które dla niej ze sobą wzięła.

W jednoosobowej, opłacanej przez Ryanów sali w szpitalu Nuffield w Brentwood Maura oglądała właśnie Sky News i była rozwścieczona, bo prezenter wiadomości mówił o niej jako o „Maurze Ryan, bizneswoman z East Endu”. Pochodziła z Notting Hill, a teraz mieszkała w Essex. Mogli przynajmniej tego nie poprzekreć. Wstała i wyłączyła telewizję, gdy bratanica weszła do pokoju.

- Bzdury! To wszystko bzdury! Nie znają mnie... nic o mnie nie wiedzą!

Carla przewróciła oczami i stwierdziła żartobliwie:

- Dzięki Bogu.

Rozśmieszyła Maurę.

- Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, że jeszcze potrafię się śmiać.

Carla objęła ciotkę i mocno uścisnęła.

- Tak mi przykro, Maws, tak bardzo, bardzo przykro. Terry był dobrym facetem.

Po raz pierwszy wspomniała o tym, co się stało. Maura przytrzymała Carlę w uścisku, jakby bała się ją puścić.

- Jesteś pewna, że chcesz pojechać ze mną do domu?

Maura przełknęła napływające do oczu łzy.

- Najzupełniej. Czuję się już dobrze i będę do skutku ścigać te mendy winne śmierci Terry'ego. A kiedy ich dorwę...

- Pamiętaj, że jestem przy tobie.

Maura odpowiedziała wątlym uśmiechem.

- Doceniam to, Carla. To bardzo dużo dla mnie znaczy. Ale ty masz skupić się na Joeyu, zgoda?

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wkroczyła Marge Dawson.

- Jasny gwint! Ten czarnuch przy drzwiach nie chciał mnie wpuścić.

Najstarszy syn Tony'ego Dooleya, Tony Junior, stał za Marge, a na jego przystojnym obliczu malowało się zaskoczenie. Dooleyowie byli znaną rodziną ochroniarzy. Tony Senior przez wiele lat pilnował Maury, zanim oddał tę posadę jednemu ze swoich chłopców.

- Przepraszam, Maura, strasznie się napierała.

- Pewnie że tak, ty bezczelny gówniarzu.

Marge była wściekła i nie zamierzała tego ukrywać.

- Znałam ją, zanim ty się urodziłeś, taki owaki, więc powiedz swojemu ojcu, żeby nie żałował kija na wyuczenie cię dobrych manier, smarkaczu.

Tony Dooley z niedowierzaniem pokręcił głową i wychodząc, delikatnie zamknął drzwi. Miał prawie dwa metry wzrostu, był rostry jak dąb. Widok jej malutkiej przyjaciółki sztorcującej Tony'ego wywołał u Maury wybuch szczerego śmiechu. I tego właśnie było jej trzeba. Wszystkie trzy zaczęły pokładać się ze śmiechu. Głośny rechot Marge udzielał się Maurze. Z oczu ciekły jej łzy i kapało z nosa. Jednak gdy wzięła chusteczkę, poczuła nagle, że znowu przygniata ją potworny ciężar straty. Spontaniczny wybuch śmiechu wyzwolił tłumione emocje i rozszlochała się na dobre. Łkała rozdzierająco, wtulona w fotel przy oknie, a Carla i Marge głaszały ją po plecach, mrucząc słowa pocieszenia.

Płacz jej dobrze robi, porozumiały się wzrokiem.

- Wypłacz się, dziewczyno. Wyrzuć to z siebie.

Maura szlochała, mając przed oczami obraz ostatniego uśmiechu, jakim obdarzył ją Terry. Tak się nie powinno było stać, to niesprawiedliwe. To ona powinna zginąć, nie miałyby przed sobą perspektywy życia bez niego.

Wydawało się, że będzie spazmować w nieskończoność. Kiedy przycichła, Marge zamówiła duży czajnik mocnej herbaty.

- Wlej to w gardło, dziewczyno, a potem zaczniemy cię pakować i do domu, dobrze?

Maura skinęła głową.

- Dzięki. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

Marge nie starzała się dobrze. Wyglądała na więcej niż swoje czterdzieści cztery lata. Od zawsze miała nadwagę, źle zrobioną trwałą i niefachowo, w domu nakładaną farbę. Jej makijaż niezmiennie szokował, a nieustanne skargi na stopy były irytujące dla otoczenia. Ale Maura darzyła ją głębokim uczuciem, skrywanym pod bezceremonialnością, z jaką zwracały się do siebie. Były przyjaciółkami od dzieciństwa i przez te wszystkie lata dzieliły się swoimi smutkami i radościami.

Mając przy sobie i Carłę, i Marge, Maura mogła na kilka minut zapomnieć o niebezpieczeństwie i uporządkować myśli.

Terry zginął przez nią i ta świadomość była trudna do zniesienia. Również pamięć o ich kłótniach. A ostatnia gorzka wymiana zdań była najcięższym wspomnieniem. Kochał ją, wiedziała to, i ona również go kochała. Było tak od zawsze i byłoby nadal...

Stanął między nimi jej sposób na życie. W najskrytszych zakamarkach jej duszy tkwiła przez te wszystkie lata spędzone z Terry'ym świadomość, że żyje tylko połowicznie, i do tego najtrudniej było jej się przed samą sobą przyznać. Tylko wtedy, gdy przywdziewała szaty Maury Ryan, kobiety niebezpiecznej, była w swoim żywiole, czuła ten podniecający dreszczyk oczekiwania na to, co przyniesie nowy dzień. Zdawała sobie sprawę, że nie nadaje

się na żonę, a jej jedyna szansa na macierzyństwo i została zaprzepaszczona przez aborcję dokonaną w jakimś obskurnym pomieszczeniu. To było dziecko jej i Terry'ego.

W głębi duszy nigdy mu nie wybaczyła, że ją wtedy zostawił, przedkładając nad nią swoją pracę. Wspaniała karierę policjanta. Ale nie przestała go z tego powodu kochać, pomimo żywionej urazy. Teraz miała go pochować. A właściwie to, co z niego zostało.

Marge i Carla pakowały jej rzeczy i porozumiewały się wzrokiem. Kiedy Maura poszła do łazienki umyć twarz, Marge szepnęła do Carli:

- Jedna z nas musi z nią być przez cały czas.

Carla kiwnęła głową.

- Nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

Marge wzruszyła ramionami.

- A ja tak. Kiedy zginął Michael. W jej życiu było za dużo śmierci.

Carla nic na to nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Maura wyszła z łazienki w pełnym makijażu i z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- No to chodźmy, dziewczyny, jedźmy do domu, OK?

Carla obserwowała ciotkę, która zachowywała się teraz, jakby nic się nie zdarzyło.

Wyrzuciła to wszystko z głowy, jak zwykle - nie pozwoliłaby sobie na przeżywanie żałoby.

Ale kłopoty wisiały w powietrzu, tego Carla była pewna.

Wiele na to wskazywało.

◆◆◆

Benny, Garry i Roy spotkali się z Lee w garażu w Camden. Gdy zamykali za sobą drzwi, Benny rzucił jeszcze okiem na drogę, żeby sprawdzić, czy aby ktoś ich nie obserwuje.

- Kto wyprowadzał samochód na zewnątrz? - zapytał Garry.

- Abul. Miał ochotę na przejażdżkę - odpowiedział Benny.

Garry uśmiechnął się do niego. Kochał bratanka, mieli podobny temperament.

- Dobrze, chłopcze. Mamy tu pod nogami trochę ciekawych rzeczy. Kilka sztuk z arsenału firmy Armalite. Mała wyrzutnia rakiet. Szpadle są w kącie. Lepiej zaczniście kopać.

Lee zaśmiał się.

- A co ty masz zamiar robić, Gal?

Garry wzruszył ramionami

- Zajmę się herbatką dla was, to jasne. Naturalnie pozwolę wam się dobrze przedtem napocić.

- Naturalnie!

Benny, zawsze chętny do fizycznej pracy, z zapałem zaczął kopać. Pozostali dwaj obserwowali go przez chwilę, podziwiając jego siłę.

- Jak Maura? - Garry ściszył głos.

Roy westchnął.

- Niezbyt dobrze. Podobnie z nią było, gdy odszedł Michael. Jak zwykle dusi wszystko w sobie.

- Szczęśliwie pozbyła się tego pieprzonego śmiecia, gdybyś chciał wiedzieć, co myślę. Ten Patherick to był alfons. Dziewczyna jak brzytwa, a tu była ślepa.

- Chyba wszyscy jesteśmy, gdy w grę wchodzi miłość?

Garry roześmiał się.

- Ja nie. Nigdy nie spotkałem nikogo, na kim by mi zależało. Co innego popieprzyć, wypuścić się gdzieś razem od czasu do czasu, ale jak pozwolisz komuś zbliżyć się do siebie, weźmie cię na własność. Omota cię, będziesz robił głupoty.

Lee wiedział, że Garry ma na myśli jego i Sheilę. Rozzłościł się.

- Nie wszystkim chodzi tylko o to, co mogą dostać, Gal. Nie wszystkie kobiety są dziwkami.

Garry drwiąco uniósł brwi.

- Wszystkie. Pokaż im kilka funciaków, dużego fiuta, ładne auto i są twoje. Weź tylko kobietę Joliffa, to dziwka pierwszej wody.

- Była, wujku Gal.

- Daruj sobie tego „wujka”, jeśli łaska, Benny. Garry w zupełności wystarczy.

- Nam to przypisują, a wiesz, co to znaczy, prawda? - I Roy nie ukrywał zaniepokojenia.

Garry przytaknął, ale był zirytowany defensywnością brata.

- To znaczy, że musimy uderzyć pierwsi, ot, co to znaczy. Więc pospieszcie się i kopcie, chłopcy. Niech bitwa się rozpocznie.

◆◆◆

- Maura chce, żebyśmy przyszli w porze lunchu do jej mieszkania nad klubem.

W głosie Roya nadal była niepewność i Benny odniósł się do tego faktu.

- Wątpisz, czy Maura będzie za tym? Wskazał szpadlem na dziurę.

Garry zaśmiał się, a Lee dołączył.

- Maura zastrzeliłaby cię, gdybyś jej załazł za skórę, chłopcze, zapamiętaj to. Pozbiera się. To jedyna znana mi kobieta, która myśli jak facet. I potrafi zapanować nad uczuciami. Będzie w porządku, gwarantuję.

Benny skinął głową, usatysfakcjonowany odpowiedzią Gala. Ale Roy nie zdradzał swojego zdania. Poczekaj i zobacz. Chociaż oni wszyscy byli zadowoleni, że Terry zniknął z horyzontu, to Maura na pewno nie. Dla niej świat kręcił się wokół Pethericka i żaden z nich nie mógł wybić jej tego z głowy. A aktualna afera zaczęła się prawie od niczego, Maura miała mu tylko pomóc dogłębnie wyjaśnienia i załatwieniu kilku spraw. Teraz była otwarta wojna. Oglądanie Bena zachowującego się jak statysta w „Ojcu chrzestnym” byłoby zabawne, gdyby to wszystko nie było tak śmiertelnie serio.



Lana Smith była niska i puszysta, miała piersi w kształcie melonów, nie tylko zaprzeczające prawu grawitacji, ale sprawiające, że wyglądała jeszcze grubiej - o ile to możliwe. Od urodzenia dziecka - kilka miesięcy temu - nadal przybierała na wadze.

Gdy wysiadła z samochodu, żeby wejść do miejscowego solarium, ujrzała przed sobą mężczyznę drobnej budowy, z kręconymi włosami. Uśmiechał się do niej. Nigdy nie dawała się zbić z tropu, w ułamku sekundy zmierzyła się z jego brązowymi oczami i zarozumiałym uśmiechem. Nóż zauważyła chwilę później.

Wbił jej się w brzuch i ciął w górę aż do mostka, zostawiając rozwartą dziurę. Gdy potknęła się o krawężnik, poczuła, jak zalewa ją krew tryskająca z ciała. Mężczyzna już odjeżdżał, błotnikiem samochodu uderzył ją jeszcze w ramię, tak że z głuchym łoskotem upadła plecami na chodnik.

Jej mała córka Alicia, spała smacznie w foteliku samochodowym, dopóki nie obudziło jej wycie karetek i samochodów policyjnych, a wtedy otworzyła buzię do niekończącego się krzyku, aż poczerwieniała ze złości i wysiłku.



Maura słuchała w osłupieniu relacji o śmierci dwóch kobiet żon osławionych gangsterów z południowego wschodu. Z nie dowierzaniem przymykała oczy i kręciła głowę.

- Dlaczego ktoś miałby pomyśleć, że to my zabiliśmy? To przecież żony, dziewczyny, cywile. Niby co mielibyśmy przez to osiągnąć? Obie miały dzieci, do jasnej cholery.

- Komuś zależy na tym, żeby nas w to zrobić.

Uwaga Bena rozdrażniła Maure, wzniosła oczy ku niebu.

- Do diabła, Ben, nie przyszło mi to do głowy. Gdzieś ty był, jak rozdawali rozumu?

Benny jak zwykle poczuł się dotknięty.

- Nie musisz być złośliwa, Maura.

Przerwała mu.

- Zamknij się, do cholery, Ben. Nie czas ani miejsce na głupie, szczeniackie rezonerstwo, jasne? To głębokie bagno tylko dla dorosłych. Kenny, mąż Lany, to ostry facet i nie żartuje. Gdyby wziął cię za kołnierz i udusił gołymi rękami na środku rynku w Romford, nikt by się nie przyznał, że cokolwiek widział. Musimy to wszystko szybko wyjaśnić, inaczej cały arsenał firmy Armalite nie zatrzyma Smitha przed naszym progiem.

Słowa Maury otrzeźwiły wszystkich. Nawet Garry zgodził się, że mają problem.

- To groźny zawodnik. Będzie szalał, mając teraz na głowie dziecko bez matki. Lepiej jak najszybciej zorganizujemy spotkanie.

Benny był nadal sceptyczny. Prychnął z dezaprobatą.

- Pieprzyć go, przecież nic nie zrobiliśmy.

Garry odwrócił się do bratanka i wycedził:

- Kenny Smith jest jednym z niewielu ludzi, z którymi się liczę. To ci powinno wystarczyć, traktuj go z respektem. Całkiem porządny gość, dopóki się nie wkurzy - wtedy wpada w szał. Tego faceta cenią jako mediatora, gdy pojawiają się kłopoty. Tym się zajmuje. Jest szanowany i lubiany. To jego zamierzaliśmy prosić, żeby był łącznikiem między nami i Joliffem. Tylko że teraz jesteśmy na liście dziesięciu jego największych wrogów, z numerem pierwszym, i będziemy musieli poszukać kogoś innego do tej roboty.

Maura przetarła oczy wewnętrzną stroną dłoni, widoczny znak, że jest zdenerwowana.

- Musimy się dowiedzieć, kto nas wrabia. Nie wykluczam, że Kenny nam pomoże, jeśli spróbuję delikatnej perswazji. Garry, Roy i Lee... chcę was zabrać jako asekurację, ale ja sama będę z nim gadać.

Garry skinął głową. Benny nie został wzięty w rachubę, ale otwarcie nie zaprotestował.

- A co ja mam robić, gdy wy będziecie się wałęsać po nocy? - zapytał tylko.

Maura spojrzała na niego surowo.

- Będziesz miał się czym zająć, Ben. Objedziesz nasz personel, tych wszystkich z drugiego szeregu, i napędzisz im porządnego stracha. Sprawdź, czy zdołasz się czego dowiedzieć. Ale, proszę, nie sklejjaj nikomu powiek. To źle wpływa na interesy.

Benny był najwyraźniej podekscytowany perspektywą dobrej zabawy, ale Maura popatrzyła na niego z niesmakiem.

Choć przypominał jej brata Michaela wyglądem i temperamentem, w przeciwieństwie do najstarszego Ryana, który miał wyjątkową głowę do interesów, Benny był przydatny jedynie jako brutalny żołnierz. Siał postrach, gdy wpadał w szał - jak Michael - i właśnie jego złą sławę chciała wykorzystać do swoich celów. Jeśli ktokolwiek coś wiedział, najprędzej

wyzna to Benowi Ryanowi. Kochała go, ale z trudem znosiła jego dzikość, zwłaszcza teraz, kiedy mieli tyle innych zmartwień.

Wiedziała, że go obraziła, lecz się tym nie przejęła. Nie miała zamiaru przykładać plastrów na jego zranioną dumę. Niech się nauczy radzić sobie w życiu, jak każdy z nich. Wiedziała, że ojciec Bena podziela jej punkt widzenia, i tylko to się dla niej liczyło.

- Maura, kontaktowałem się już z kilkoma osobami w mieście, żeby sprawdzić, czy dostanę jakiś cynk na temat tych morderstw - powiedział Lee. - Dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem.

Tu wtrącił się Garry, obcesowo pytając Maurę:

- A co z glinami? Co mówili o Terry'm?

Maura spodziewała się tego pytania i spodziewała się, że to właśnie Garry je zada. Nikt inny nie miałby odwagi zapytać ją o to wprost. Napięcie w pokoju było prawie nie do zniesienia, gdy mu odpowiadała.

- Na razie ich spławiłam. Spotkam się oczywiście z naszym kumplem Caldwellem, zanim zacznę się zastanawiać, czy pogadać jeszcze z kimś innym.

Garry kiwnął głową usatysfakcjonowany.

- Był jednym z nich, więc będą zainteresowani nie mniej niż my, mam rację?

Głos Bena zabrzmiał prowokacyjnie i Maura miała ochotę schwytać bratanka za gardło i udusić. Zamiast tego powiedziała chłodno:

- Wiesz co, Ben? Pewnego dnia przez swoją jadaczkę ściągniesz na siebie nie lada kłopoty, a pierwszych doczekasz się z mojej strony. Cokolwiek myślisz o Terry'm Pethericku, a szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi, należał poprzez mnie do tej rodziny. Ostrzegam cię, Benny... - powoli rozejrzała się po pokoju - ...ostrzegam was wszystkich, jakiegokolwiek żywicie urazy do Terry'ego, zostawcie je za progiem. Musimy teraz pracować razem i nie mam zamiaru tłumaczyć się nikomu ani wam, ani glinom. Zrozumieliście, co powiedziałam?

Jej niebieskie oczy były zimne jak lód, a twarz z perfekcyjnym makijażem kamienna. Po raz pierwszy Benny widział ciotkę w takim wydaniu, skądinąd znanym jej braciom, i dało mu to do myślenia. Zdał sobie sprawę, że w takim nastroju bez mrugnięcia okiem kazałaby skrócić go o głowę, gdyby to miało ułatwić jej polowanie na wroga. Nie, nie przeraziła go tym razem, lecz wzbudziła podziw. Strach był kluczem w ich biznesie, a ona należała do nielicznych kobiet, które potrafiły się nim posługiwać. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Maura działa pod silną presją. Ani też, że dba o to, by trzymali się razem i tworzyli wspólny front w przestępczym podziemiu.

Maura zdawała sobie sprawę, że był za młody i zbyt niedoświadczony, by rozumieć, co się dzieje. Fatalnie skończy, jeśli nie będzie ostrożny. Nigdy jeszcze nie był w centrum wojny gangów, a wiedziała, że nim minie tydzień, Benny przejdzie chrzest ogniowy. Będzie miała na niego oko, pomoże mu, jeśli zajdzie potrzeba, ale dzisiaj nie miała zamiaru go niańczyć. Niech pozna swoje miejsce w szeregu, im szybciej, tym lepiej dla niego. Przyjdzie dzień, kiedy przez niewyparzoną gębę i butę jej bratanek wpadnie w poważne tarapaty i należało mu to uświadomić.

Obecni w pokoju mężczyźni mierzyli go wzrokiem i Benny poczuł się nieswojo. Dotarło wreszcie do niego, że musi mieć się na baczności. Nawet ojciec nie zamierzał bronić go przed Wspaniałą Maura.

Nigdy przedtem jej tak ostrej nie widział. Przekonał się nareszcie, że wszystko, co o niej słyszał, było prawdą. Rozpierała go duma, że jest częścią tej rodziny. Cieszyło go poczucie przynależności. Zyskiwał we własnych oczach, bo czuł się im równy.

Uśmiechnął się jednym z tych swoich szerokich, rozbrajających uśmiechów, które przyciągały do niego zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Maura, patrząc na bratanek, miała wrażenie, że widzi śmiejącego się do niej zmarłego Michaela, pierwszego mężczyznę, którego podziwiała i kochała.

Szczerząc zęby, Benny rozejrzał się po pokoju i rzekł z szelmowską miną:

- Teraz wiem, gdzie jest moje pieprzone miejsce, co?

Maura nie mogła mu się oprzeć. Uścisnęła go mocno.

- Jesteś zarozumiałym skurczybykiem, Ben - rzekła.

Garry ziewnął głośno i rzucił w przestrzeń:

- Co prawda, to prawda, Maws. No, ale już najwyższy czas ruszać w drogę. Musimy przemówić Smithy'emu do rozumu, zanim zrobi się ciemno.

Nie uszło uwadze Roya, że syn omamił Maurę. W głębi duszy stale się nim martwił. Benny był w gorącej wodzie kąpany i ojciec wiedział, że musi go pilnować, bo gotów nieźle namącić przez swój temperament i szczeniacką arogancję.

Nie chciał się przyznać sam przed sobą, że syn go przerażał, ale tak było. Napawał go śmiertelną trwogą. Jak niegdyś jego wuj Benny był popieprzonym oszołomem. Tylko patrzeć, jak wyrwie się spod kontroli.



Kenny Smith patrzył na swoją maleńką córeczkę śpiącą w łóżeczku i połykał łzy. Jego naznaczoną blizną twarz wykrzywił grymas bólu, czyniąc ją jeszcze brzydszą. Matka Kena,

Eileen, megiera z East Endu, z trwałą na włosach i nieodłącznym papierosem zwisającym z ust, głaskała go po ramieniu.

- Nie do wiary, Ken. Do diabła, to nie do wiary.

Mocno ścisnął jej dłoń.

- Pieprzeni Ryanowie! Wtrącają się we wszystko i teraz nie ma mojej małej Lany.

- Nie takiej małej, synu. Była wielka jak chałupa, odkąd urodziła dziecko.

Kenny przewrócił oczami.

- Nie zaczynaj, mamó. Cokolwiek o niej myślisz, była moją kobietą i matką maleńkiej Alicii.

- Była niedzisiejsza, i tyle. Ale nieważne. Ja zajmę się dzieckiem, a ty, synu, zrób z tym wszystkim porządek.

- O to się nie martw. Rozpętam, kurwa, trzecią wojnę światową!

Eileen nie była zaskoczona zawziętością syna.

- Posłuchaj, wezmę dziecko do siebie, dobrze? Ty będziesz działał stąd. Ale załatw sprawy szybko, bo mam stracha. Skoro biorą się za dziewczyny, to każdy może się bać o swoje życie, dobrze mówię?

Kenny kiwnął głową.

- Spotykam się ostatnio z tym i owym z naszych. Niezadługo Ryanowie mogą się znaleźć w kupie gówna większej niż wysypisko w Basildon. Żona Vica i reszta... to się ludziom nie podoba.

Eileen zapaliła papierosa Benson & Hedges wyciągniętego z obfitych zapasów trzymany w kieszeni fartucha.

- Nie przy dziecku, mamó - powiedział z wyrzutem.

Prychnęła.

- Tobie to chyba nie zaszkodziło, co?

Westchnął i wyszedł z pokoju. Musi to wszystko jak najszybciej pozłatwiać. Po pierwsze, Ryanowie, po drugie, niania do dziecka. Przez chwilę zastanawiał się, czy Ryanowie nie przypisali mu wysadzenia w powietrze tego gliniarza, faceta Maury, i czy nie rewanżowali się za to. Byłoby to jednym wielkim *qui pro quo*. Odrzucił to przypuszczenie. Ten, kto zabił jego Lanę, zrobił to z czystej niegodziwości i zapłaci za to z nawiązką.

Nalał sobie dużą brandy i wypił ją jednym haustem, bo potrzebował alkoholu. Zbierało mu się na płacz, ale zdusił go w sobie. Nie dzisiaj. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na żalobę. I nie on jeden będzie wtedy pogrążony w żalu.

Rozdział 3

Radon Chatmore był rastafarianinem z długimi dreadami i akcentem wychowanka dobrej szkoły. Został ochrzczony w Kościele katolickim, a na drogę rastafarianizmu wszedł, gdy skończył siedemnaście lat, podążając raczej za modą niż z powodu przekonań religijnych. Jak jego ojciec miał głowę do interesów, choć sam wolał mówić o wrodzonym sprycie. Pseudonim „Coco” zawdzięczał temu, że był królem kokainowym w klubach wschodniego Londynu. Został zwerbowany przez Bena Ryana rok wcześniej, dzielili się zyskami w stosunku sześćdziesiąt do czterdziestu i pili razem regularnie. Toteż kiedy Abul zaprosił go na spotkanie z Bennym, uznał, że jak zwykle chodzi o przyjacielską pogaduchę przy piwie. Gdy zabrano go do opuszczonej stodoły w Ramsden Bellhouse, zaniepokoił się. Wyciągany przez Bena z samochodu, nie miał już wątpliwości, że siedzi w gównie po uszy, a że był dokładnie naćpany, przerażało go to jeszcze bardziej, niż gdyby był całkiem przytomny.

- Benny, co cię, kurwa, ugryzło?

Jego afektowany głos z nienagannym akcentem, jak u spikera BBC, wkurzył Bena. Zaczął kopać i okładać Coco pięściami jeszcze na zewnątrz stodoły. Abul siłą odciągnął go od niego.

- Poczekaj, aż weźmiemy go do środka, tu ktoś może nas zobaczyć z drogi.

Ciężko dysząc, Benny patrzył, jak Abul podnosi protestującego Coco i ciągnie go do stodoły.

Wewnątrz były dwa stoły. Na jednym stał kosz delikatesowy. Na drugim były narzędzia Bena, a wśród nich osławiony klej i elektryczny paralizator dla bydła. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby Coco wiedział, co się święci. Halogenowe reflektory oświetlały to miejsce jak na planie filmowym.

- O co chodzi, Ben? Co tu jest, do cholery, grane?

Coco trząsał się ze strachu.

Abul widział bezradność w jego oczach, ale nie mógł mu pomóc. Gdy Coco popatrzył na niego z męczeńskim wyrazem twarzy, bezradnie rozłożył ręce. Dał mu do zrozumienia, że jest zdany tylko na siebie. Choć dotąd byli kumplami, Abul trzymał teraz sztamę z Bennym i tak musiało być. Coco zrozumiał to pomimo ogarniającej go paniki.

Benny stał przed nim z nieprzejednaną twarzą i zimnym wzrokiem. Jego błękitne oczy, których Coco zawsze mu zazdrościł, rozbłyskiwały złością.

- Co wiesz o Vicu Joliffie?

Coco przełknął ślinę, w gardle zupełnie mu zaschło.

- Nic o nim nie wiem, Ben. Tylko tyle, że jest ostry.

Benny przemierzył stodołę wte i wewte, kręcąc głową, jakby nie dowierzał temu, co usłyszał. Jakby wiedział, że jest okłamywany, i uważał to za szokujące, a jednocześnie dziwnie zabawne. Zaśmiał się lekko, zanim zaczął mówić.

- Co słyszę? Uważasz mnie za pieprzonego frajera? - Popatrzył na Abula z miną skrzywdzonego niewiniątka. - Mam wypisane na czole „cipa” czy jak? - Teatralnym gestem wskazał własne czoło. Abul z trudem powstrzymywał się od śmiechu. W takim nastroju Benny był lepszy niż niejeden aktor komediowy.

Coco dla odmiany miał ochotę się rozplakać. Słyszał o temperamencie Bena, bo kto nie słyszał. Ale po raz pierwszy napady szału, z jakich ten facet sływał, miały być skierowane przeciwko niemu.

Abul nie odzywał się, wiedział, że nikt tego od niego nie oczekuje. Znał ulubioną taktykę Bena, stosowaną podczas przesłuchań.

- Odpowiesz mi czy nie?

Coco już prawie płakał. Bał się zesrać ze strachu, gdy klękał przed swoim oprawcą.

- Benny, błagam cię. Przysięgam, że...

Karny kopniak w twarz był jak wybawienie - pozbawił go przytomności. Abul zbadał mu puls.

- Mamy go na chwilę z głowy. Zrobić herbaty?

Benny kiwnął głową.

- Umieram z głodu. Wyjmij kanapki i całą resztę, zrobimy sobie piknik jak się patrzy.

Abul wziął się do rozpakowywania koszyka. Dopilnował, żeby zawartość odpowiadała gustom Bena. Gorąca słodka herbata w termosie oraz mnóstwo konkretnego żarcia i świeżych owoców. Kiedy układał jedzenie na talerzach, Benny usypał im po dużej kresce kokainy. Abulowi zamarło serce. Gdy to zadziało, Benny będzie przeginał na całego.

- On chyba nic nie wie, jak myślisz, Ben?

Benny wzruszył potężnymi ramionami i pociągnął haust herbaty z kubka. Zanim odpowiedział, odgryzł duży kęs kanapki od Marksa and Spencera, więc miał pełne usta i jego głos by stłumiony.

- Ta jest pyszna. Co jest w środku?

- Kurczak po indyjsku i sałatka. Zapychające, ale smaczne.

Na podłodze Coco zajączał z bólu. Benny przyłożył mu solidnego kopa.

- Zamknij się, alfonsie jeden, nie widzisz, że mamy przerwę na herbatę? - Zaśmiał się z własnego dowcipu. - Nie ma lepszych przekąsek niż te od Marksa and Spencera.

Abul przytaknął skinieniem głowy.

- Warto zapłacić trochę więcej, no nie? Co masz zamiar z nim zrobić? - Wskazał głową na Coco.

Benny przeżuł ostatni kęs kanapki, zanim odpowiedział.

- Zabiję go, jak mi się zdaje.

- Chyba żartujesz!

Benny potrząsnął głową.

- W życiu nie byłem poważniejszy, bracie. Ludzie widzieli, jak zabierałeś go ze sobą. To najlepszy znany mi sposób przekazania sygnału, że jestem na wojennej ścieżce. Mam rację czy nie?

Abul westchnął.

- To nie jest wróg. Ma porządny dom, porządną mamę i tatę, i porządną dziewczynę. Zarabia dla ciebie szmal. Daj mu do cholery spokój, człowieku.

Benny z udawanym przerażeniem przyłożył mu rękę do serca.

- Chyba źle z tobą, Abul. Chcesz mu włazić w dupę czy jak?

- Jesteś walniętym świrem, tyle ci powiem, Benny.

- Ubijmy interes, OK?

Abul kiwnął głową.

- Zostawię go przy życiu, ale pod jednym warunkiem, dobra?

Abul znowu przytaknął.

- Ostatnia kanapka dla mnie.

Benny mówił to zupełnie serio, Abul znał go na tyle. Udał więc, że się zastanawia, zanim odpowiedział. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak postępować z Bennym.

- Niech będzie. Umowa stoi.

Benny wylał resztkę gorącej herbaty na twarz nieprzytomnego Coco, żeby go ocucić.

- Zbudź się, kretynie, wstawaj i skończmy z tym. Mam dziś gorącą randkę z piersiastą dziewczyną.

Kiedy Coco wreszcie oprzytomniał, zobaczył nad sobą Benny'ego Ryana z pałąk elektryczną w ręku i szerokim uśmiechem na twarzy.

◆◆◆

Kenny Smith pocałował córeczkę na pożegnanie i zatrzasnął drzwi swojego okazałego domu w Laindon. Wsiadł do nowego mercedesa. Gdy wkładał kluczyk do stacyjki, poczuł na szyi lufę rewolweru.

Garry Ryan odezwał się cicho, ale groźnie:

- Jedź, Smithy, i nie rób zbędnych ruchów. Kenny, zdenerwowany, przymknął oczy.

- Ryan, ty gnoju. Co chcesz zrobić? Sierotę z mojego dziecka?

Garry zaśmiał się.

- Chyba że sam będziesz się o to prosił. Bo pomyśl chwilę. Gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył. W jednej sekundzie, bez jednego słowa. A teraz jedź.

- Dokąd?

- Po prostu jedź. Za chwilę spotkamy się z przyjaciółmi. Cieszysz się, prawda? Pogadamy o dawnych czasach.

Kenny ruszył, choć serce podjechało mu do gardła, a ręce świerzbiły, żeby sięgnąć do schowka, gdzie na wszelki wypadek miał schowaną broń.

◆◆◆

Danzig, oficer straży więziennej, cicho przechodził przez blok. Był wczesny wieczór i szczególnie niebezpieczni więźniowie siedzieli akurat przed telewizorem. W odróżnieniu od włamywaczy i złodziei samochodów w zakładach otwartych podopieczni Maksa mogli oglądać telewizję tylko przez jedną godzinę, i to zaledwie dwa razy w tygodniu. Wynikały z tego same kłopoty, bo wściekali się, gubiąc się w akcji telenowel, a teraz, kiedy zniknął magnetowid, nie można było nawet nic nagrać. Danzig westchnął. Władze czasami zapominały, że był to zakład dla gangsterskiej śmietanki. Nuda i wrodzona inteligencja tych facetów stanowiły niebezpieczną mieszankę.

Gość z perspektywą osiemnastoletniej odsiadki nie radzi sobie z nerwami. Potrzebuje więcej zajęć niż młodzik posadzony na dwa lub trzy lata. I nie chodzi o to, żeby takim facetom umilać życie, lecz by ułatwić służbę klawiszom. Bo niby jak ma pilnować kupy mężczyzn ktoś, kto się ich przez cały czas śmiertelnie boi?

Przed wejściem do świetlicy Danzig głośno wytarł nos, aby uprzedzić więźniów, że nadchodzi. Dzięki temu przerywali jakąś zakazaną rozrywkę - do czasu, aż znowu wychodził. Ku swojemu zdziwieniu wewnątrz zastał tylko dwóch, w ciszy oglądających program *Na pomoc zwierzętom*.

Skierował kroki do swojego pokoiku służbowego, po drodze machając ręką na innego funkcjonariusza. Otworzył drzwi z klucza i zobaczył w swoim biurze Vica Joliffa. Wisiał na belce sufitowej, usta miał wypchane papierami z biurka Danziga. Był tam między innymi los na loterię, co go maksymalnie wkurzyło, ponieważ teraz stał się dowodem.

Los był oczywiście cały zalany krwią, bo ten, co powiesił sukinsyna, podciął mu też gardło. Ciężko wzdychając, Danzig włączył alarm.

Zapowiadała się długa noc, a on umówił się z najstarszą córką na oględziny mieszkania. Miał przygotowaną zaliczkę i czekał na córkę, bo chciał jeszcze przekazać

więzniom otrzymane od niej wiadomości z zewnątrz. Teraz, wraz z Joliffem, ten dodatkowy dochód rozpływał się w sienie mgły.



Marge z podziwem słuchała, jak Maura rzeczowo rozmawia przez telefon z domu Carli. Jak zwykle przyjaciółka imponowała jej umiejętnością samokontroli i koncentrowania się na tym, co było w danej chwili najważniejsze: na rodzinie i interesach. Ona sama, matka dwóch dorosłych córek i syna, zbyt często dawała się ponieść emocjom i uważała to za swą największą słabość. I choć jej mąż uwielbiał swoją małą żywiołową Marge, ona zdawała sobie sprawę, że rządzi nim i domem dzięki łzom, złości i krzykom. Zadręczała wszystkich wokół siebie, próbując układać im życie. Z radością uporządkowałaby też życie przyjaciółce, gdyby miało to jej pomóc i gdyby Maura pozwoliła.

Było to jednak mało prawdopodobne.

Do pokoju wszedł Joey. Miał trzynaście lat i był ładnym chłopcem, bardziej podobnym do matki niż do ojca - i za ten drobny akt łaski każdy z rodziny codziennie dziękował Bogu. Malcolm Spencer był typem nadętego cherlaka i we własnym mniemaniu świetnym architektem. Bóg raczy wiedzieć, co Carla w nim zobaczyła, ale zasłona szybko spadła jej z oczu gdy zorientowała się, jaki z niego oszust.

Joey miał ciemnokasztanowe włosy i przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu, po Ryanach odziedziczył kształt nosa i kwadratową szczękę. Gorąco podziwiał ciotkę Maurę.

- Mama kazała zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz.

Maura uśmiechnęła się do niego.

- Nie, dziękuję, za minutkę kończę.

- W porządku.

Gdy wyszedł z pokoju, Marge rzuciła zalotnie:

- Gdybym była dwadzieścia lat młodsza!

Maura zaśmiała się.

- Chciałaś chyba powiedzieć: trzydzieści.

Marge odpowiedziała uśmiechem.

- Prawda. Czemu ten pieprzony czas tak pędzi, Maws?

Maura wzruszyła ramionami.

- Kto to wie, Marge. No, ale na mnie już pora.

- A dokąd to się wybierasz?

Maura wyczuła lęk w jej głosie, lecz odparowała ostro:

- A cóż to, Marge, jesteś z policji?

Jednak Marge nie spuszczała z niej wzroku, oczekując odpowiedzi na swoje pytanie. Ale jej nie usłyszała. Zamiast tego Maura stwierdziła:

- Wszystkim zainteresowanym wyjdzie na dobre, jeśli nie będziesz o niczym wiedziała, Marge. Czego nie wiesz, nie wygadasz.

Przyjaciółka poczuła się urażona i nastroszyła się jak kura.

- Powinnaś już wiedzieć, że nigdy niczego bym nie wygadała.

- Mogłoby ci się to zdarzyć, gdyby ktoś przystawił ci pistolet do twarzy albo nóż do gardła któregoś z twoich dzieci.

Marge zbladła.

- Mówisz poważnie?

- Ktokolwiek to robi, zabija cywilów. Nikt nie jest bezpieczny, kochanie, zwłaszcza osoby mi bliskie. Rozumiesz, w czym rzecz?

Marge wpatrywała się w nią bez słowa.

- To miejsce jest bezpieczne jak Fort Knox - dodała Maura. - Ale mimo to wyprawię stąd Joeya i Carlę. Nic jeszcze o tym nie wiedzą, więc buzia na kłódkę.

- Nawet ciebie strach oblatuje, co? - rzekła Marge z niedowierzaniem.

Maura kiwnęła głową. Sięgnąwszy po torebkę, pocałowała przyjaciółkę w policzek.

- Zabieraj się do domu, staruszko. Zadzwoń do ciebie jutro, OK?

Marge usłyszała jeszcze, jak Maura ze śmiechem rozmawia ze swoim ochroniarzem, Tonym Dooleyem Juniorem, a potem uświadomiła sobie w pełni grozę tego, co się wokół działo. Musiała usiąść na kanapie, żeby pozbierać myśli.

Przez te wszystkie lata, kiedy się przyjaźniły, przymykała oczy na niejasne interesy Maury. Wierzyła też, że niebezpieczne czasy już minęły. Teraz jednak miała okazję zrewidować osąd o swojej najlepszej przyjaciółce, wejrzeć w jej mroczny świat.

Zadrzała.

Było to jak spojrzenie w gorejącą otchłań piekła.

◆◆◆

Kenny Smith siedział w salonie dobrze strzeżonego domu Ryanów w Orsett, w Essex. Nie był tym zachwycony, czego nie ukrywał. Garry nalał mu dużą brandy z kryształowej karafki.

- Ładnie tu, prawda?

Głos Garry'ego był neutralny. Kenny nie pofatygował się, by odpowiedzieć, ale oburzenie na jego twarzy mówiło więcej niż słowa. W tym miejscu było więcej ochroniarzy niż w nocnym klubie w Southend i Kenny wiedział, że nie ma najmniejszych szans na

ucieczkę. Pozostawało siedzieć i czekać na rozwój wypadków, co było trudne dla kogoś, kto przyzwyczaił się, że zwykle gra pierwsze skrzypce i cieszy się szacunkiem z racji swego wysoko cenionego zajęcia.

Patrzył na tego świra, bo tak zawsze myślał o Garrym Ryanie, i głowił się nad jakimś planem wyjścia z opresji. Wiedział, że dom jest duży, z rozległym terenem, z okna widział szosę i wydedukował, że to A13. Było do niej około ćwierć mili przez otwarte pola. Nie sposób się kryć, ale gdyby szybko biegł, w ciemności miałby szansę. Mocno ścisnął szklanę zastanawiając się, co zyska, jeśli rzuci nią Garry'emu Ryanowi w twarz. Uśmiechnął się na tę myśl, a Garry - który go obserwował - zachichotał.

- Ostatnia rzecz, o jakiej marzę, to mieć twarz ociekającą brandy, i szczerze ci to odradzam, Kenny. Nie zagrażam ci tutaj ani ja, ani nikt inny, masz moje słowo. Ale jeśli zaczniesz się wygłupiać, bez najmniejszych skrupułów uciszę cię raz na zawsze, jasne?

Kenny kiwnął głową. Nie miał wpływu na sytuację, w jakiej się znalazł, i było to dla niego bardzo bolesne. Był przyzwyczajony do tego, że to on rozdaje karty. Ileż to razy obserwował takiego jak ten frajera, który przeginał, gdy przyszło mu pilnować jeńca. To było kilka bardzo pouczających godzin.

Kiedy do pokoju weszła Maura Ryan, poczuł taką ulgę, że niemal się do niej uśmiechnął. Ale Maura wyglądała nieprzystępnie, i znowu zaczął wątpić, czy zobaczy jeszcze swoją małą córeczkę oraz czy będzie na pogrzebie swojej żony.



Sarah Ryan, uśmiechając się serdecznie, otworzyła drzwi wejściowe młodemu księdzu.

- Dzień dobry, ojczy.

Była wniebowzięta. Kapłan u jej drzwi wejściowych, co mogli widzieć wszyscy sąsiedzi, to jakby spełnienie jej wyobrażenia o rajy na ziemi. Wiadome było wszystkim wokół, kim są jej dzieci i nieraz zdumiewało ją, że tak wiele osób jest pod wrażeniem ich gangsterskiej sławy. Dla niej samej była ona wyłącznie powodem do wstydu i zgorzienia.

- Jestem ksiądz Peter, nowy proboszcz parafii świętego Bartolomeusza. Przyszedłem z wizytą duszpasterską.

Jego irlandzki akcent był dla uszu Sarah jak muzyka. A jakim wspaniałym, przystojnym był mężczyzną z tymi kręconymi, porządnie zaczesanymi włosami i czarnymi wesołymi oczami, poprowadziła go do salonu ze skwapliwością, na jaką tylko pozwalał jej podeszły wiek. Zaróżowiła się z radości. Ten młody człowiek tak miło się do niej uśmiechał.

Gdy usadowił się na kanapie, zauważyła, że przypatruje się figurkom świętych, i powiedziała z dumą:

- Zawsze byłam dobrą katoliczką, szczerze wierzącą. Czy mogę ojcu przynieść herbatę i kawałek ciasta?

- Tak, poproszę, to brzmi kusząco.

Gdy wychodziła z pokoju, była w siódmym niebie. Właśnie tego potrzebowała dla poprawienia nastroju, ponieważ znajdowała się w dołku psychicznym. Była bardzo przygnębiona z powodu Terry'ego, więc pojawienie się młodego księdza akurat teraz potraktowała jak dar od losu. Robiąc herbatę, przesiewała w myślach historie, którymi mogłaby uraczyć księdza, żeby jej rodzina wydała mu się mniej bandycka. Niewiele takich mogła przywołać na pamięć, zresztą zła sława jej dzieci i tak była zbyt głośna.

Weszła z powrotem do pokoju, aby zapytać gościa, czy życzy sobie cukier, i jej oczom ukazał się widok, jakiego nigdy w życiu by się nie spodziewała. Młody ksiądz myszkował po kredensie, otwierając szuflady i grzebiąc w jej listach oraz innych osobistych rzeczach. Trzymał w ręku starą fotografię Sarah z jej dziewięciorgiem dzieci i gdy przyglądała się temu oszołomiona, przedarł zdjęcie na dwie części.

- Co ksiądz, na Boga, robi?

W donośnym głosie Sarah brzmiała stanowczość. Używała takiego tonu wiele lat temu, gdy dziewiątka jej dzieci buszowała po domu, a ona musiała znaleźć posłuch w tym rozgardiaszu.

Młody mężczyzna popatrzył na nią przeciągle i nagle jego ciemne oczy przestały wyglądać przyjaźnie.

◆◆◆

Doktor Jamie Snell z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, jak on mógł to przeżyć. Na szyi musieliśmy mu założyć czterdzieści szwów, a zanim go pocięli, dostał przecież niezłe lanie. Wygląda na to, że wieszając go, zatrzymali tym samym wpływ krwi. Miał szczęście.

Strażnik wzruszył ramionami.

- Vic to twardy gość.

- Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Nadal jest nieprzytomny i dopiero jeśli przetrwa noc...

Doktor Snell pozostawił zdanie niedokończone. Strażnik Boston uśmiechnął się zadowolony.

- W każdym razie dla mnie to będzie spokojna noc. Gwarantowane, że drań się nie obudzi i nie będzie mi grał na nerwach. - Usiadł wygodnie przy łóżku na oddziale intensywnej terapii i otworzył „The Sun”. Rozłożył gazetę na krzyżówce, i z powagą poślinił ołówkę.

Doktor Snell szybko wypisał orzeczenie i po rozmowie z dyżurną pielęgniarką opuścił oddział.

Vic Joliff słuchał tego wszystkiego poprzez mgłę bólu; był facetem twardszym, niż ktokolwiek z nich przypuszczał.

I wiedział, jak to wszystko rozegrać.

◆◆◆

Benny i Abul podrzucili Coco do miejscowego szpitala o 8:45. Benny zachował milczenie, gdy Abul zapewniał ich ofiarę, że to nie było nic osobistego. Tego wymagały interesy. Coco był załamany tym, co spotkało go z rąk kumpli, a przy tym jak najpilniej potrzebował pomocy lekarskiej.

Zanim wysiadł z samochodu, wymamrotał żałośnie:

- Nigdy bym cię nie zdradził, Benny, powinienes mi wierzyć.

Benny skinął łaskawie głową jak znudzony papież.

- Odpieprz się wreszcie, Coco. Mówiłeś to już z pięćdziesiąt razy.

Kiedy odjeżdżali, Abul spojrział na Bena i obaj wybuchnęli śmiechem.

- Słyszałeś, jak kwiczał, gdy przyłożyłem mu do żeber paralizator?

- Lekarze domyślą się, co się stało, ale Coco nie piśnie ani słowa.

Abul mówił to z pełnym przekonaniem. Benny wzruszył ramionami.

- A kogo obchodzi, co on powie. To zwykły kutas. Czterdzieści minut później samochód zatrzymał się przed blokiem mieszkalnym w Southend. Benny wysiadł z auta i udał się do apartamentu na samym szczycie. Drzwi otworzyła drobna, ciemnowłosa, siedemnastoletnia dziewczyna.

- Cześć, Ben.

W jej głosie była radość, że go widzi. Obdarował ją jednym z tych swoich zniewalających uśmiechów, które jednały mu sympatię i życzliwość.

- Ściągaj z siebie wszystko, Carol. Za godzinę mam spotkanie.

Dziewczyna cmoknęła z niezadowoleniem i oparła ręce na biodrach. Jej przekorne spojrzenie rozśmieszyło Bena.

- Ty pieprzony romantyku - warknęła.

Zarechotał jeszcze głośniejsze.

- Słuchaj, Carol, jeśli masz zapotrzebowanie na romantyka, to oddaj klucze i wybierz się na poszukiwania.

Wziął ją tam, gdzie stała, opartą o ścianę. Posuwał ją brutalnie, aż krzyczała z bólu. Uderzył ją mocno w twarz, więc wstrzymała oddech, bojąc się ruszyć czy pisnąć, dopóki Benny nie skończy. Przez cały czas bluzgał jej w ucho sprośnościami, których starała się nie brać do siebie. Przyjdzie do niej jutro albo jeszcze dziś w nocy z przeprosinami - z pieniędzmi i słodkimi słówkami. Właśnie takiego Bena kochała, a nie tego maniaka, który pojawiał się po to tylko, by ją szybko przelecieć

Piętnaście minut później był z powrotem w samochodzie i jechał z Abulem do Camden. Carol siedziała na podłodze w holu, obolała i zraniona, i łkała. Na ścianie za sobą spostrzegła plamy rozmazanej krwi i rozszlochała się jeszcze głośniejsze.

Pod nosem powtarzała w kółko jak mantrę jedno słowo:

- Drań, drań, drań.

◆◆◆

- Cześć, Kenny.

Maura przywitała go wiele znaczącym półuśmiechem i to wystarczyło, by Kenny przypomniał sobie jej magnetyzm i silną indywidualność. Lubił Maurę od zawsze; była jedną z nielicznych kobiet, które naprawdę szanował. Ale nie była jak inne kobiety. Miała w sobie taki sam chłód jak jej brat Michael. I była nieprzewidywalna jak wszyscy ludzie sukcesu w ich branży. A do tego świetnie się prezentowała, choć już dawno skończyła czterdziestkę.

- Maura.

Był bardzo spięty. Nie chciał okazywać strachu, jaki nachodził go falami, ale przemknęło mu przez głowę, że Maura Ryan i tak go wywacha. Taką zdolność mają ponoć suki, a ona mogłaby przemienić się w sukę, gdyby ją naszła taka fantazja. We wściekłą sukę.

- Masz ochotę coś zjeść, Ken? Albo się napić?

Potrząsnął głową.

- Jeśli czegoś chcesz, Maura, to wyjaśnienia. Nic mniej, nic więcej.

Nalała sobie drinka, usiadła naprzeciw niego, spojrzała mu prosto w oczy, po czym powiedziała niewinnie:

- Dokładnie tego samego oczekiwałam od ciebie.

Kenny'ego zatkało, a wyraz osłupienia na jego twarzy rozbawił Garry'ego.

- Zamordowałaś moją żonę!

Teraz z kolei Maura potrząsnęła głową.

- To nieprawda, Kenny. Od dobrych paru lat nie wychylamy się i siedzimy cicho na dupie. Nic nam nie wiadomo, żebyśmy mieli z kimś na pieńku. Ale wygląda na to, że ktoś próbuje wpakować nas w niewyobrażalną kabałę, stwarzając pozory, że to my mordujemy cywilów.

- Do cholery, straciłem żonę, matkę mojego dziecka.

Maura przez chwilę milczała, jakby chciała przetrwać tę informację. W końcu powiedziała:

- Bardzo ci współczuję z powodu twojej straty, Kenny, ale zapominasz, że mnie też ktoś próbował załatwić. Zamiast tego zabili mojego partnera.

- Był gliną i w dodatku nieprzyjaźnie nastawionym. Przykro mi, Maura, ale ludzie nie ufali ci już, odkąd się z nim związałaś. Chyba musiałaś to zauważyć, kochanie? Taka mądra babka jak ty...

Garry wstał. Patrząc z góry na siedzącego na krześle Kenny'ego, ryknął:

- Za kogo ty się, kurwa, uważasz, i czy wiesz, do kogo mówisz, co? Pieprzyć cię, moja rodzina dawała ci przez lata nieźle zarobić i nigdy nie przyłożyliśmy ręki do zapudłowania choćby jednej osoby. Jedzą nam z ręki sędziowie i gliniarze, a w swoim czasie wyciągnęliśmy z mamra niejednego recydywistę. Swoje opinie zachowaj dla siebie i trzymaj się tego, co jest na rzeczy.

Maura musiała odciągnąć od niego brata siłą i Kenny zdał sobie sprawę, że ociera się o śmierć.

- Pozwól mnie i Benowi zająć się nim, Maws. Daj nam tego czereśniaka - nalegał Garry.

Na myśl o Bennym Rynie, Królu Airfixa, jak go nazywano, Kenny poczuł się jeszcze gorzej. Jeśli to w ogóle możliwe. Ale nie spuścił z tonu.

- Nie waż mi się grozić, Garry Rynie. Uczestniczyłem w tej grze, gdy ty jeszcze czyściłeś swojemu bratu buty. Nie boję się ciebie. Miałem do czynienia z różnymi, od starych mistrzów po młodych gnojków, nie zapominaj o tym!

Wstał, piniąc się ze złości. Niemal czuł jej smak w ustach.

- Pieprzony Super Glue i cholerne groźby! Czy myślicie, że jesteście pierwszymi twardzielami, jacy chodzą po tych zaszranich ulicach? Powiedzieć ci coś, czego nauczyłem się dawno temu, Garry? Zawsze znajdzie się ktoś twardszy od ciebie, kto sięgnie po to, co masz, i zrobi wszystko, żeby ci to zabrać. Fortuna kołem się toczy. Ale nikt nigdy dotąd nie tykał żon ani rodziny. To zawsze było święte...

- I tak jest dotąd. - Głos Maury nadal był spokojny. - Siadajcie obydwaj, bo zabiorę wam piłkę i nie będziecie mieli o co się bić. Zachowujecie się jak dwa dzieciaki.

Obaj mężczyźni usiedli zawstydzeni, a ona kontynuowała tym samym spokojnym tonem:

- Kenny, przysięgam na grób Michaela, że ani ja nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Lany, ani nikt z naszych, OK? A teraz chciałabym się dowiedzieć, dlaczego ludzie myślą, że to robota Ryanów. U kogo zasięgałeś języka i kto cię poinformował, że to my za tym stoimy. Chcę to wiedzieć natychmiast, tej nocy, żebyśmy mogli pojechać do nich i uciąć sobie z nimi przyjacielską pogawędkę. Złapać byka za rogi.

Kenny nic jej na to nie odpowiedział.

Ruchem głowy nakazała bratu, żeby ich zostawił, więc wyszedł z ociąganiem. Potem naląła jeszcze dwie brandy i jedną wręczyła Kenny'emu. Gdy sączyli drinki, odniosła wrażenie, że napięcie powoli opada.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Kenny - powiedziała.

Teraz, kiedy zostali sami, jej głos był cieplejszy.

Zwiesił dużą ogoloną głowę na piersi, tak że nie widziała jego twarzy, tylko czoło z sinobiałą blizną, która równiutko dzieliła na pół jedną z jego brwi.

- Ona była w porządku, moja Lana, cokolwiek ludzie gadali. Dobra z niej była dziewczyna.

W jego głosie był przejmujący żal.

- A teraz, kurwa, moje biedne dziecko...

Nie mógł skończyć zdania.

Maura chwyciła jego dłoń i ścisnęła ją.

- Wiem, że przechodzisz piekło, Kenny, ale musisz uwierzyć, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Ani ze śmiercią żony Joliffa. Kryje się za tym jakaś brudna intryga, a ja i moi ludzie znaleźliśmy się pod ostrzałem. Muszę to rozwikłać, i to szybko. Chyba mnie rozumiesz, prawda? I potrzebuję twojej pomocy, Kenny. Bardziej niż kiedykolwiek.

Kiwnął głową

- Wierzę ci. Zawsze byłaś wobec mnie w porządku.

I naprawdę jej wierzył. Nos mu podpowiadał, żeby jej zaufać, a on zawsze polegał na swojej intuicji. Dlatego nadal był wśród żywych, mimo tylu lat na pierwszej linii frontu.

Maura dolała mu brandy.

- A więc, Ken, skąd miałeś te informacje?

- Od Rebekki Kowolski. Znasz ją pod panińskim nazwiskiem. Goldbaum.

Na dźwięk tego nazwiska Maura poczuła zawrót głowy, zemdlilo ją. Przywodziło na pamięć koszmarne epizody z jej życia, o którym chciałaby zapomnieć, choć nieraz powracał w złych snach.

- A skąd ona to wiedziała?

- Od swojego starego, oczywiście. To drobny trybik w dużej maszynie. Pracuje dla Joego Żyda, w firmie, która wywodzi się z Silvertown.

- Znam Joego bardzo dobrze. Dlaczego miałby wplątywać się w coś takiego? To dla niego za poważna sprawa. Ze mną by nie zaczynał.

Kenny znowu wzruszył ramionami.

- Co mogę ci powiedzieć, jestem wyrocznią delficką czy jak? Joe jest teraz na fali. Prowadzi interesy z większością tutejszych grup. Może załatwić dowolną licencję, od pubów po mecze bokserskie. Dobrze się ustawił.

- A jaką rolę gra w tym Rebekka?

Skończył drinka i wystawił szklankę po więcej brandy, zanim odpowiedział.

- Z tego co wiem, ona jest tam mózgiem. Kocha narkotyki a w każdym razie je sprzedaje. Jest przebiegła i ma głowę do interesów, za to jej mąż to pieprzona marionetka. A ona ma do ciebie urazę, prawda? O ile dobrze pamiętam, załatwiliście z Michaeliem jej staruszkę?

Maura ponownie napełniła szklanki. W głowie miała zamęt, ściagała ją przeszłość, ale nie ta, do której by chciała wracać.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wparował Garry z twarzą czerwoną ze złości.

- Ktoś pobił mamę!

Popatrzyli na niego zszokowani.

- Co?

Maura nie wierzyła własnym uszom.

- Jest w szpitalu, jakiś gliniarz właśnie zadzwonił na moją komórkę. Dała mu mój numer, wyobrażasz sobie?

- Pieprzyć twoją komórkę, Gal. Co z mamą?

- Nic strasznego, ale jest w szoku. Złapię Roya i powiem mu, żeby do niej pojechał. Do Lee odezwał się jakiś weteran i Lee uznał, że to gra warta świeczki, więc pojechał na spotkanie. A my co, wychodzimy gdzieś dzisiaj czy nie?

Maura kiwnęła głową.

- Poczekaj, aż się dowiesz dokąd, Gal. Obudzimy upiory przeszłości.

Kenny obserwował ich z rezerwą. Ktokolwiek porwał się na nich, musi być szaleńcem, pomyślał. I jeśli nie Ryanowie, to kto był winny śmierci jego żony? Tylko to chciał wiedzieć. Kiedy się dowie kto, Ryanowie nie będą mu potrzebni.

- Jadę z wami - zaofiarował się.

Maura spojrzała na niego chłodno.

- I tak miałeś jechać, ale dziękuję, że sam to zaproponowałeś. Dopóki nie będziemy pewni, że powiedziałeś nam wszystko, co wiesz, będziemy cię trzymać jak psa na smyczy.

Niczego innego się nie spodziewał.

Rozdział 4

Roy patrzył, jak matce zakładają opatrunki. Miała podbite oko i zwichnięty nadgarstek. Gdy widział ją w takim stanie na szpitalnym łóżku, wściekłość wręcz go rozsadała. Zawsze na widok jej bezradności przypominały mu się różne rzeczy z dzieciństwa. Jak dbała o to, by zawsze byli nakarmieni i porządnie ubrani, nie mając prawie żadnej pomocy ze strony ojca - faceta, dla którego picie i hazard były o wiele ważniejsze niż rodzina. Kiedy pięć lat temu Benjamin Ryan Senior rozstał się wreszcie z życiem na podłodze kantoru jakiegoś bukmachera w Kilburn, Roy i jego bracia nie ukrywali ulgi. Chyba tylko Maura żałowała starego sukinsyna - no i mama oczywiście. Miał ochotę objąć ją teraz i pocieszyć, tak jak ona go pocieszała, kiedy był dzieckiem.

Wydawała mu się taka krucha - dopóki nie poczęstowała go jedną ze swoich tyrad. Przymknął oczy z nieukrywaną irytacją.

- Nie patrz tak na mnie! To was obarczam za to winą. Ja, waszą siostrę, tę dziwkę o kamiennym sercu. Założę się, że to ona za tym stoi.

Pielęgniarka z trudem powstrzymywała się od śmiechu i Roy nagle zdał sobie sprawę, że jego despotyczna matka odbierana jest przez ludzi jako postać komediowa. Chciałby odbierać ją tak samo.

Młoda policjantka ze zdziwieniem uniosła brwi i zaciągnęła zasłonę oddzielającą część sali przeznaczoną dla ofiar wypadków. Widać było, że jest zaskoczona sceną rozgrywającą się na jej oczach. Ryanowie słynęli z bezwzględności, a oto jeden z nich potulnie znosił wrzaski i obelgi z ust matki. Na komisariacie mówiło się, że szef jest opłacany przez tę rodzinę. Że robi to, co mu każą, włącznie z blokowaniem normalnych awansów i nadawaniem wyższych stopni tylko tym, którzy są powolni Ryanom. Był pośmiewiskiem całego komisariatu. Kiedy wyjechał na urlop, ktoś puścił w obieg dowcip, że wylądował w szpitalu gdzie odcinają mu stołek od dupy. Był patentowanym leniem! A to, że wspomniany

trzytygodniowy urlop spędził w pięciogwiazdkowym hotelu na Florydzie, też wywołało komentarze.

- Panie Ryan, mój przełożony czeka na zewnątrz. Chciałby zamienić z panem kilka słów.

Roy wstał i warknął:

- Najwyższy czas, do cholery.

Kiedy wyszedł z pomieszczenia, policjantka uśmiechnęła się do Sarah.

- Czy mogłaby pani opisać napastnika?

Pomarszczona twarz Sarah przybrała wyraz skupienia zawodniczki w teleturnieju, gdzie gra idzie o wysoką stawkę.

- Był dobrze zbudowany, przystojny i ubrany jak ksiądz.

Policjantka zareagowała półuśmiechem.

- Ksiądz? A to coś nowego.

- Będzie trupem, kiedy go dorwę.

Słyszając głos Benny'ego, dziewczyna aż podskoczyła, a on uśmiechnął się do niej chłodno. Była młoda i ładna, ale nie zwrócił na to uwagi. Rzucił mu się w oczy jedynie mundur. Od razu pojęła, że działa na niego jak płachta na byka. Po raz pierwszy w życiu poczuła się poważnie zagrożona, chociaż ten młody przystojny mężczyzna nic złego jej jeszcze nie zrobił. Jednak gdy patrzył na poturbowaną babkę, widziała zawziętość na jego twarzy. Była wdzięczna losowi, że nie na niej będzie wyładowywał swoją agresję.

Sarah próbowała ratować sytuację.

- Och, Benny, czy mógłbyś mnie zabrać do domu?

To była prośba bardzo starej, kruchej kobiety, więc policjantka była zaskoczona jego bezceremonialną odpowiedzią.

- Przeżyjesz, babciu. Nie jójcz. Tata cię zabierze.

Wyszedł, a na twarz Sarah powrócił typowy dla niej mars i głos nabrał ostrych tonów.

- Mały skurczybyk.

Policjantka szybko spisała niezbędne zeznanie i z ulgą opuściła szpital, mając dość ich wszystkich.

Dopiero po powrocie na komisariat w pełni zdała sobie sprawę, z kim miała do czynienia. Nie знаła osobiście najważniejszych Ryanów i była pod wrażeniem. Mogła teraz brylować w kantine, co jej niezwykle pochlebiało. Cieszyło ją jednak, że nie zetknie się już nigdy więcej z tymi gangsterami.



Dom Rebekki Kowolski w Totteridge zaszokował Maurę. Był ogromny, miał elektronicznie sterowane bramy i odpowiednią liczbę groźnych dobermanów na terenie.

- Widać tu parę milionów, co? - rzucił z przekąsem Garry.

- Bóg z nimi - odparła Maura. - Nic mi do tego, jeśli powiedzą nam to, co chcę wiedzieć.

Rozmyślnie zlekceważyła uwagę brata, co musiało go rozdrażnić. Ale mogła myśleć jedynie o twarzy Sammy'ego Goldbauma, kiedy ona i Michael pojawili się wtedy u niego. Jedynie morderstwo, w którym brała udział osobiście, i to wspomnienie nadal nie dawało jej spokoju. Było to tak dawno temu, a mimo to wydawało się równie realne jak wtedy. Poczula, że zawartość żołądka podchodzi jej do gardła, i przełknęła ślinę.

Zatrzymali się pod samą posesją i Kenny kilkakrotnie wciskał guzik domofonu, ale nikt nie odpowiadał. Odwrócił się w stronę samochodu.

- Nikogo nie ma w domu.

- Sprawdźmy - powiedział Garry.

Otworzył puszkę domofonu i coś przy niej majstrował. Po minucie elektryczna brama rozsunała się. Kiedy jechali w stronę domu, z rozbawieniem patrzyli, jak dobermany pospiesznie zmykają przez otwartą bramę.

Z bliska dom wydawał się jeszcze większy. Z krętego podjazdu widzieli kryty basen i saunę w przeszklonej przybudówce. To była naprawdę imponująca posiadłość. I oświetlona jak elektrownia Battersea, choć wyglądało na to, że nikogo tam nie ma.

Garry westchnął.

- Chyba nie bawi się z nami w chowanego? Powinien trzymać fason, no nie?

Kenny wzruszył ramionami.

- Tak samo jak ty, Garry.

Zapadło milczenie. Gdy podjechali do drzwi wejściowych wszyscy wysiedli z samochodu. Było jakoś niesamowicie. Rezydencja sprawiała wrażenie zasiedlonej przez głuche echo jak to bywa z opuszczonymi przez ludzi wielkimi domami.

- Włam się, Gal - rozkazała Maura.

Natychmiast się do tego zabrał. Zauważyła, że Kenny jest zdenerwowany, i uśmiechnęła się złośliwie.

- Nic się nie martw, Ken, on jest ekspertem. Żadne gliny nie przyjadą. Garry mógłby się dostać nawet do Bank of England.

- Jak go znam, jest tam częstym gościem.

Nawet Maura roześmiała się z tego żartu i atmosfera trochę się rozluźniła.

- Tylko tego nam teraz trzeba: dać się zamknąć za główniane włamanie. Już nigdy nie moglibyśmy chodzić z podniesionym głowami - rzucił Kenny.

Maura i Garry zrywali boki ze śmiechu. Dwie minuty później drzwi wejściowe były otwarte i znaleźli się w przestronnym holu.

- Ja pierniczę, widać tu niezły szmał. Muszą spać na forsie.

Podziw w głosie Kena nie uszedł uwagi Maury.

- Mówią, że najlepszy szmał robią kapusie - mruknęła.

Nic na to nie odpowiedział. Przeszli przez hol do imponujących podwójnych drzwi, które otworzyła sama Maura. Za chwilę miała tego żałować - ich oczom ukazała się bowiem scena rzezi, szokująca i obrzydliwa. Przywołała wspomnienia, które Maura od dawna starała się wymazać z pamięci. Domyślała się, że bezgłowe ciała na podłodze salonu to Rebekka i jej mąż, ale nawet nie próbowali tego potwierdzić, wszyscy troje natychmiast się wycofali.

Maura miała przed oczami Sammy'ego, ojca Rebekki. Też był bez głowy w momencie, gdy jej brat Michael dokonał aktu zemsty. Ten obraz tak bardzo przypominał dzisiejszą scenę mordu, że Maura poczuła na szyi lodowate języki strachu.

Ktokolwiek był sprawcą tej rzezi, wiedział o nich wszystkich zdecydowanie za dużo i to przerażało ją najbardziej.

To był ktoś, kogo oni wszyscy znali. To musiał być ktoś bardzo bliski.

Pozostawało pytanie - kto?

◆◆◆

Lee spotkał się z jednym z informatorów Ryanów, starym wygą Denny Thomasem. Denny żył w swoim czasie z włamów, a teraz wycofał się z fachu i zarabiał na kielicha, nadstawiając ucha. Każdy go znał i lubił, więc zawsze był dość dobrze poinformowany. Okazjonalnie, tak jak teraz, bywał wykorzystywany jako zwiastun złych wieści.

- No co tam, Denny?

Lee rozglądał się po małym komunalnym mieszkaniu i bezskutecznie próbował znaleźć czysty sprzęt, na którym mógłby usiąść. Wreszcie zdecydował się na poręcz sfatygowanej skórzanej kanapy.

- Dalej, wyrzuć to z siebie, nie mam całej nocy.

Denny sprawiał wrażenie zdenerwowanego i Lee wywnioskował, że nie usłyszy niczego przyjemnego.

- Ktoś próbował załatwić Vica Joliffa w Belmarsh.

Lee, osłupiały, zamknął oczy.

- Kto, Denny? Kto próbował go załatwić?

Denny wzruszył ramionami

- Nie wiem.

Lee starał się zapanować nad wzburzeniem. Tylko tego było im teraz trzeba. Widząc, że Denny aż się trzęsie ze zdenerwowania, poczuł przez chwilę litość dla tego ludzkiego wraka.

Denny podszedł do staroświeckiego barku, który nosił jeszcze ślady dawnej świetności, i nalał im obu po dużej szkockiej. Całe to jego lokum sprawiało wrażenie nieużywanego rumowiska gratów, a sam Denny wyglądał, jakby żył na ulicy. Lee nie mógł wyjść ze zdziwienia, bo pamiętał jeszcze Denny'ego w eleganckich garniturach i zawsze z dziewczyną u boku. Żył wtedy na pełnych obrotach. Teraz wyglądał jak zwykły pijaczyna, co to wyczekuje pod urzędem na odbiór zasiłku dla bezrobotnych.

Gospodarz trzęsącą się ręką podał gościowi drinka.

- Jakiś młody facet czekał na mnie pod pubem. Siedział w nowiutkim saabie i miał ze sobą kolorowego typa... chyba Pakistańca. Kazali powiedzieć wam, że stary Vic omal nie przejechał się na tamten świat.

Lee wznosił oczy do sufitu.

- Jaja sobie robisz?

Denny zakrztusił się swoim drinkiem, ale na jego twarzy pojawił się wyraz dawnej twardości, gdy odwarknął:

- Myślisz, Lee, że chciałbym się w to wplątywać? Naprawdę tak myślisz? W dawnych latach pracowałem z twoim bratem Michaelem. Byłem częścią tej firmy, gdy ty jeszcze koszulę w zębach nosiłeś. Zostałem wciągnięty w to gówno przez obcych i tylko przekazuję wiadomość. To wszystko.

Bał się, to było po nim widać. Lee jeszcze raz poczuł litość. Denny nie mógł brać w tym udziału, był facetem bez ikry. To dlatego w swoim czasie nie wyrósł nigdy ponad pospolitego włamywacza.

Lee musiał teraz przekazać tę wiadomość dalej. Ważne było, co na to powie Maura. Tymczasem próbował jeszcze wydobyć z Denny'ego rysopisy facetów, ale jego wzrok nie był już ten co niegdyś, jak zresztą i sam Denny.

Vic Joliff budził postrach, czuli przed nim respekt nawet Ryanowie. Lee miał nadzieję, że jest już nieszkodliwy, bo martwy. To by im bardzo ułatwiło życie.

◆◆◆

Janine obserwowała męża przy goleniu. To dziwne, ale lubiła na niego patrzeć, mimo że go nienawidziła. Roy nadal ją pociągał fizycznie, co było niemal niewiarygodne,

zważywszy na ich wzajemną zażartą nienawiść. Fakt, że wciąż budził w niej pożądanie, samą ją zdumiewał.

- Gdzie wychodzisz?

Jej głos był ostry jak zawsze, gdy mówiła do męża. Roy westchnął ciężko.

- Wychodzę, i tyle.

- Wrócisz do domu?

Zaśmiał się cicho.

- A czy słońce wstanie? Trawa będzie rosła? Wrócę, no chyba że Tony Blair zostanie wreszcie katolikiem... A zresztą gównu cię to obchodzi.

Janine odwróciła się, przeszła przez sypialnię i ogarnawszy po drodze jednym rzutem oka przygotowane przez męża ubranie, poczuła satysfakcję, że ten nie wybiera się nigdzie z żadną panną. A panny Roya to były niezłe dziewczynki. Młodziutki, z jędrnymi piersiami i mózdzkami komara. Właśnie takie lubił.

To w dalszym ciągu bolało, nawet po tylu latach. Gdy schodziła na dół, przemknął obok jej syn, nie zaszczyciwszy jej żadnym słowem ani spojrzeniem.

- Co u Sarah? - zapytała.

Nienawidziła samej siebie za ten jęczący głos. Zrobiłaby wszystko, żeby syn odnosił się do niej w cywilizowany sposób. Benny nawet nie raczył jej odpowiedzieć, poszedł na górę, jakby ona w ogóle się nie odezwała. Janine poczuła, jak ją ściska w gardle, ale bez łez przełknęła zniewagę. Jej komedianctwo, jak to określał, wprawiało go w tym większą irytację.

Własny syn bezwstydnie ją ignorował, ale wierzyła, że doczeka dnia, kiedy wróci do niej na kolanach i będzie błagał, żeby z powrotem przyjęła go pod swoje skrzydła. Ta myśl trzymała ją przy życiu, dodawała sił. Ceniła sobie też standard życia, jaki zapewniał jej mąż, choć - podobnie jak Sarah Ryan - nigdy by się do tego głośno nie przyznała.

Pięć minut później obaj mężczyźni wyszli i została znowu sama w pustym i nieprzytulnym domu. Gdy nalała sobie dużą wódkę, rozległ się dzwonek. Cmokając z dezaprobatą, otworzyła drzwi. Była pewna, że to albo mąż, albo syn czegoś zapomniał. Tymczasem zobaczyła przed sobą potężnego mężczyznę w narciarskiej masce, który przyłożył jej broń do twarzy i popchnął w głąb mieszkania.

◆◆◆

Nie ochłonawszy jeszcze z szoku po wizycie w posiadłości Kowolskich, Maura zwolniła Kenny'ego do domu, zastrzegając, że skontaktuje się z nim, gdyby coś jeszcze się

wydarzyło. Na własne oczy widział, jak bardzo byli zaskoczeni i wstrząśnięci, więc zaczął nabierać przekonania, że faktycznie ktoś ich wrabia.

Po mocnym drinku w klubie Maura i Garry spotkali się z Royem i Bennym w ich hurtowni w Canning Town. W małym kantorze było ciepło i nie rozmawiali, póki nie wypili kawy.

- Dlaczego mama? - zapytała w końcu cicho Maura.

Garry wzruszył ramionami.

- A czemu nie? Przecież ktokolwiek to robi, chce nas wkurzyć.

- Wygląda na to, że gdziekolwiek się ruszymy, oni są tam przed nami. Trzeba przyznać, że są dobrze zorientowani.

- Mogą nas śledzić. Mogli śledzić nas od dawna.

W głosie Benny'ego słychać było wściekłość, która nim miotła.

Maura kiwnęła głową.

- To prawda. Myślę, że Ben trafił w sedno.

Garry miał wątpliwości.

- Ktoś z naszych by to zauważył. Przecież nie jesteśmy, kurwa, amatorami. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Oczywiście z wyjątkiem małego Benny'ego.

- Och, pieprz się.

Garry roześmiał się głośno, ale Maura była zirytowana, Roy również.

- Kiedy ty wreszcie dorośniesz, Garry? To poważna sprawa.

- Wiem, że poważna, ale musimy nabrać dystansu. Śmianie się z przeciwności losu jest w najlepszym brytyjskim stylu, dobrze mówię? Zastanów się nad tym.

Maura potrząsnęła głową.

- Nie będę się śmiać. Matka, choćby była wrzodem na dupie, a jest, nie zasługuje na taki policzek, zwłaszcza nie od jakiejś małej firmy z marzeniami o potęgze. Bo o niczym innym nie może tu być mowy. Po prostu musimy dobrze się rozejrzeć i znaleźć sprawców. Tak jak mówiłam, zaczniemy od nalotów na dawnych członków organizacji. Ktokolwiek to jest, zdecydowanie za dużo wie o naszej przeszłości. I rozpusza plotki.

Było to logiczne, trafiło im do przekonania.

- A co mówią gliny?

Roy wzruszył ramionami.

- To co zawsze. Będą mieli oczy i uszy otwarte. Samo życie, nie? Płacimy słońną pensję temu Billingsowi, ciulowi jednemu, a on teraz robi w portki, bo chcemy czegoś w zamian. W każdym razie dałem mu taki popęd, że do końca życia popamięta. Czy wiecie, co

miał czelność powiedzieć mi prosto w oczy? „Nie będziesz mi groził, Ryan”. Serio, tak mi odpalił prosto w twarz.

Oczy Garry’ego zrobiły się wąskie jak szpareczki.

- Kiedy Billings siedział jeszcze w wydziale narkotykowym, był alfonsiem jak się patrzy. Zabierał pieniądze pracującym dziewczynom, a to jest podłe.

- I właśnie wtedy go dorwaliśmy, Garry, pamiętasz?

- I wiem też, że miał kutasa obciążanego więcej razy na Hugh Grant. Jedna z dziewczyn mówiła mi, co on naprawdę lubi, skurwieli jeden... nieletnie, niedorośle siksy. Facet ma trzy córki i ciekaw jestem, jak by się czuła jego stara, gdyby to wyszło na jaw.

Maura nie znosiła takiego gadania, ale pohamowała irytację

- Zbierzcie coś na niego, Gal. Chcę zdjęcia, dużo zdjęć. Może nawet wideo. Macie złapać tego skunksa za pysk i nie popuścić, bo będziemy go potrzebować. Pieniądze wpakowane w niego są na straty. Powinniśmy szantażować go od samego początku. Zaoszczędzilibyśmy fortunę.

- Kto jak kto, ale my wiemy, jacy są gliniarze, no nie siostrzyczko?

Garry z premedytacją pozwolił sobie na tę złośliwość pod jej adresem. Maura miała ochotę dać mu w twarz, ale się powstrzymała. Zamiast tego ryknęła:

- Zatrzymaj dla siebie swoje durne uwagi, Gal! Staram się zapanować nad sytuacją, ale ostrzegam, jeszcze jedna tak odzywka i wam nie daruję. A że ludzie uważają was za świrów, nikt za wami nie stanie, gdy się do was dobiore.

Zabrała swoją torebkę, ale zanim wyszła z pokoju, twardo popatrzyła każdemu z mężczyzn w oczy, kipiąc ze złości.

- To nie było w porządku, Gal - mruknął Roy.

Garry uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wcale nie. To ją nakręca. Trzeba ją wkurwić od czasu do czasu, żeby nie oplakiwała tego alfonsa Pethericka.

- To jakaś spaczona logika, wujku Garry, jeśli wolno.

Przez chwilę byli cicho, a potem Garry zapytał z całą powagą.

- Czy ludzie naprawdę myślą, że jestem świrem?

Nawet Roy się roześmiał.

Dziesięć minut później, kiedy przejechał Lee i powiedział im o Vicu Joliffie, żaden z nich już się nie śmiał.



Maura dojechała do domu Carli i skręciła na podjazd. Jeszcze nie ochłonęła ze złości. Wyłączyła silnik i światła, siedziała w samochodzie i łkała. Oplakiwała Terry'ego i ich stracone dziecko, płakała nad sobą.

Szloch wstrząsał jej ciałem. Cofnęła się myślami w przeszłość, do chwili gdy po raz pierwszy ujrzała człowieka, który później na tyle sposobów zrujnował jej życie. Matka miała od początku rację, ich przeznaczeniem było zniszczyć się nawzajem. On zniszczył ją, odchodząc, gdy była w ciąży. Kiedy wyrwano z jej ciała płód, całe życie Maury się zmieniło. Młoda, beztraska dziewczyna przeistoczyła się w zgorzkniałą, twardą kobietę. Z kolei ona zrujnowała mu karierę, a potem los uczynił ją ostatecznie narzędziem jego unicestwienia.

Za kilka dni ceremonia pogrzebowa. Zgodnie z życzeniem Terry'ego jego doczesne szczątki zostaną skremowane. Przerazało ją to. Jakby karty jej życia też się zamknęły. Coraz trudniej było jej wstawać co rano. Zmuszała się jednak do tego, choć sama sobie nie potrafiłaby odpowiedzieć po co i dlaczego.

Nawet ostatnie wydarzenia nie uwolniły jej od natrętnych myśli o Terry'm Pethericku. Ale wiedziała, że jak wiele innych wspomnień i te także zagrzebie głęboko w sobie i stłumi. Do czasu, aż jakieś przypadkowe słowo czy zdjęcie znowu je przywoła. A wtedy, tak jak i teraz, będzie musiała znowu zmierzyć się z konsekwencjami własnego postępowania.

Niewiele brakowało jej do pięćdziesiątki, choć lustro sugerowało co innego. Wiedziała, że nadal wygląda atrakcyjnie, ale nie poprawiało jej to samopoczucia. Kwestia wyglądu nie miała dla niej znaczenia. Od lat się tym nie przejmowała. Po prostu dbanie o siebie weszło jej w nawyk. Była to maska dla świata. Terry wielbił jej urodę, a w każdym razie tak mówił, ale nie ze względu na niego kupowała drogie ubrania i buty. Kupowała je, bo w jej świecie to, co nosisz, mówi innym, kim jesteś. Powiedzenie „nie szata zdobi człowieka” było, jej zdaniem, gównem warte. Zdobę, to oczywiście, w przeciwnym razie renomowane firmy projektanckie dawno już wypadłyby z interesu.

Znowu oparła głowę na kierownicy, płacząc gorzko. Rzeczy Terry'ego nadal są w zniszczonym przez bombę domu i trzeba będzie kiedyś tam wrócić. Bała się tego. Kiedy zobaczy jego zdjęcie albo poczuje zapach jego wody po goleniu, załamie się pięknie jej serce. Musi usunąć Terry'ego ze swoich myśli i życia skoro chce przetrwać, a musi, bo rodzina potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Wytarła oczy i zapaliła papierosa. Powoli się uspokajała. Przywołała na pamięć uśmiechniętą twarz swojego brata Michaela i odpowiedziała mu łagodnym uśmiechem. Tak bardzo odczuwała jego brak.

Zawsze się do niego odwoływała, gdy potrzebowała rad. Wyobrażała sobie w takich chwilach, co by jej doradził, a potem starała się postępować tak, jak by tego oczekiwał.

Siedziała cicho, snując plany, i nagle stukanie w okno samochodu trochę ją przestraszyło. To była Carla. Maura z uśmiechem zsunęła szybę. Słowa siostrzenicy tak nią wstrząsnęły, że zapomniała o własnych troskach.

- Mama jest w bardzo ciężkim stanie. Postrzelono ją dzisiaj wieczorem.

Z oczu Carli popłynęły łzy i Maura wyskoczyła z samochodu, żeby ją pocieszyć. Pomimo niewielkiej różnicy wieku zawsze była dla Carli podporą, matkowała jej bardziej niż Janine. Kiedy ruszała z bratanicą do szpitala, zadzwonił Garry z wieściami o Vicu Joliffie.

◆◆◆

Roy, odrętwiały, patrzył na pozbawione czucia ciało żony. Dostała dwa strzały, w klatkę piersiową i w nogi. Podobnie jak Sandra Joliff. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś ośmielił się zrobić najście na jego dom z użyciem broni.

Zszokowana twarz Benny'ego mówiła mu, że syn myśli o tym samym. Kto mógł za tym stać? Kto o zdrowych zmysłach ośmielił się nastawać na Ryanów i dlaczego właśnie na nich? Janine była jego żoną, wprawdzie ostatnio tylko oficjalnie, ale fakt pozostawał faktem.

Gdy się w nią wpatrywał, nagle poczuł nabrzmiewające w piersi wzruszenie. Przypomniał sobie pełną życia rudowłosą dziewczynę, która zdobyła jego serce wiele lat temu, i coś ścisnęło go za gardło. Nie powinien się z nią żenić, nie powinien wyrwać jej z domu rodziców, z ich sklepu mięsnego i „pozycji społecznej”, bo dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Rzuciła to wszystko dla niego, a on nawet nie próbował uświadomić sobie kiedykolwiek, jakie to musiało być dla niej trudne. Z czasem zaczęła trzymać sztamę z matką, obnosząc się ze swoją przyzwoitością. Zawarły świętoszkowate przymierze, co go dręczyło i drażniło przez niemal całe ich małżeńskie pożycie.

Nienawiść Janine do Maury była kolejną kością niezgody, tak jak nieustanna troska o Benny'ego i niepokój, co z niego wyrośnie. Gdy Roy teraz na nią patrzył, zrozumiał, że przynajmniej w kwestii syna miała rację. Benny był zimnym draniem. Nie członkiem gangu, twardzielem, jak lubił o sobie myśleć, lecz pospolitym bandziorem. Nie lepszym niż najgorsi kibole czy inne szmaty. Całe życie podporządkował prawu pięści. Nie dawkował go w racjonalny sposób, ale stosował na co dzień. Zwykła wymiana zdań na parkingu mogła sprowokować go do ataku.

Roy zamknął oczy i ujął dłoń żony. Była chłodna. Dawno zapomniał, jak delikatne są jej ręce. Patrzył na pierścionek zaręczynowy, który jej kupił, na obrączkę ślubną, którą przez tyle lat nosiła, i poczuł, że łzy cisną mu się do oczu. Wszystko jej wynagrodzi, przyrzekł sobie w duchu. Będzie udawał, jeśli trzeba, ale znowu uczyni ją szczęśliwą, choć była to ostatnia rzecz, o jaką dbał dotąd. Dopiero teraz pojął, że miała rację, martwiąc się od lat, że

ich syn wyrasta na drugiego Michaela, choć niestety nie ma jego życiowego sprytu. Benny jest po prostu brutalny, podczas gdy Michael używał siły jako środka do celu. Sam Roy też się do tego przyczynił, że Janine popadła w depresję i rozpiła się. Czy kiedykolwiek zdoła jej zadośćuczynić?

Jeśli ona umrze, ktoś drogo zapłaci za dzisiejszą akcję. Zapłaci tak czy owak, nawet jeśli Janine przeżyje.

Znowu poczuł adrenalinę rozchodzącą się po całym ciele. Teraz to była sprawa osobista. Ktoś robił sobie z nich jaja i Roy nie zamierzał tego odpuścić. Ktoś będzie musiał zapłacić za tą zniewagę, drogo zapłacić. Pałał żądzą zemsty.

Ręka Janine drgnęła w jego dłoni. Był to tylko odruch, ale Roy odebrał to jako znak od niej: masz rozpętać piekło i znaleźć sprawców.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

Oczywiście spełni jej życzenie.

Benny obserwował matkę i ojca z mieszanymi uczuciami. Zafascynowała go twarz ojca, na której malowały się zmienne emocje. Sam miał cichą nadzieję, że matka umrze. Zawsze działała mu na nerwy, potrafiła tylko narzekać, a do tego była w zмовie z jeszcze jedną zmorą jego życia - babką.

Siedział bez słowa i życzył jej śmierci, choć ojciec chciał, aby przeżyła. Przeciwstawne emocje spotkały się przy szpitalnym łóżku Janine.

◆◆◆

Była trzecia po południu, gdy na sygnał domofonu Billy Mills otwierał drzwi wejściowe z grymasem niezadowolenia na twarzy. Kiedy jednak zobaczył Maurę Ryan i jej ochroniarza Tony'ego Dooleya, rozpromienił się. Zawsze lubił Maurę, zawsze.

- Witaj, Maws, wszystko gra?

To było pozdrowienie i pytanie. Wiedział, że miała kłopoty, ale nie chciał nic mówić na ten temat, dopóki ona sama nie zacznie - takie były reguły. Maura uśmiechnęła się i weszła do mieszkania.

Billy mieszkał w luksusowym apartamencie na najwyższym piętrze w Barrier Point we wschodnim Londynie. Był pośrednikiem, i to wysoko cenionym. Wszyscy go lubili. Podobnie jak Kenny Smith współpracował z różnymi firmami i nie wiązał się z żadną, zachowując niezależność. Była to niebezpieczna, lecz lukratywna działalność.

Nalewając Maurze drinka, przyglądał jej się z rezerwą. Wiedział, co się przytrafiło Vicowi Joliffowi i rodzinie Ryanów, bo z racji swego zajęcia musiał być dobrze

poinformowany. Przyszło mu do głowy, że Maura niekoniecznie przybyła tu po radę, być może oskarży go o jakieś konszachty poza jej plecami. Była to przerażająca perspektywa.

Maura przejrzała jego myśli i przez kilka chwil sączyła drinka w milczeniu, zanim wreszcie zapytała:

- Co wiesz, Billy?

Była wystarczająco sprytna, żeby mu o niczym nie mówić. Najpierw chciała go wysłuchać.

Lubił ją, od zawsze. Miał nadzieję, że nie straci jej sympatii, gdy przekáže, co wiedział.

◆◆◆

Lee przesunął się na kanapie i przytulił do Sheili, błagając raz jeszcze:

- Proszę cię, weź dzieci i jedź do naszego domu w Hiszpanii.

Potrząsnęła głową.

- Nie bądź głupi, Lee. Mają szkołę...

Przerwał jej:

- Ja nie proszę. Ja ci każę.. Nie żartuję. Wyślę tam kogoś z tobą, ale musisz pojechać.

Pogładził jej wystający brzuch. - Zrób to, proszę. Zrób to dla mnie.

- Nie.

Z trudem podciągnęła się do pozycji siedzącej.

- Lee, o co tutaj do licha chodzi? Mam jechać do Hiszpanii z dziećmi? Jakbyśmy mogli w jednej chwili zebrać się i jechać dla twego kaprysu. Mam tu mnóstwo do zrobienia w związku z tym maleństwem. - Poglaskała się po brzuchu. - Do tego dzieci są w szkole, nie mają teraz wakacji. Nie będę zmieniała im otoczenia. Zapomnij o tym, Lee.

- Ktoś zastrzelił dzisiaj Janine.

Niechętnie to mówił, nie chciał, żeby za dużo wiedziała o rodzinnych interesach. Wszyscy na jego prośbę trzymali ją w niewiedzy. Patrząc na jej ściągniętą smutkiem twarz, nim wspomniał o ataku na swoją matkę, to byłoby za wiele.

- Co takiego? Zastrzelił, z broni?

Nie mogła uwierzyć, mimo to zeszywniała ze strachu.

- Dlaczego ktoś miałby zastrzelić Janine?

Zaczynała wpadać w histerię. Próbował ją uspokoić, obejmując swoim niedźwiedzim uściskiem.

- Kto będzie następny? Dzieci? Czy dlatego chcesz mnie stąd wywieźć, że mogę być następna na liście? - Pobladła z przerażenia. - Och, Boże, Boże! Ktoś chce zastrzelić mnie i moje dziecko, tak?

Już nie mówiła normalnie, tylko krzyczała. Lee był przerażony.

- Oczywiście że nie, skarbie, to tylko tak na wszelki wypadek. Nikt nie dotknie ani ciebie, ani dzieci, obiecuję. Chcę cię stąd wywieźć, żebyś sam był spokojniejszy. Będę teraz w domu gościem i nie dam rady należycie się tobą zajmować.

Była to czcza paplanina i dobrze o tym wiedział. Sheila odtrąciła go. Był zaskoczony jej siłą.

- Ty draniu! Mamy żyć w strachu przez ciebie?

- Przesadzasz...

Oczy rozszerzyły jej się z oburzenia i wrzasnęła:

- Przesadzam? Janine została zastrzelona, każesz mi uciekać z dziećmi do Hiszpanii i mówisz, że przesadzam. Wróć na ziemię, do cholery!

Widział, że jest przerażona, a gdy jej ręce powędrowały do brzucha i skuliła się z bólu i strachu, żałował, że dał się wciągnąć braciom do rodzinnego biznesu. Ale za późno było na takie myśli, bo już w nim tkwił. Po uszy.

- Odchodzę, Lee. Jadę do mamy, natychmiast. Nie zostanę tutaj, żeby zamordowano mnie we własnym domu.

Próbował jeszcze raz wziąć ją w ramiona, ale znowu go odepchnęła.

- Nie dotykaj mnie. Kiedy trzymałeś nas z dala od waszych spraw, mogłam jakoś z tym żyć. Ale teraz niebezpieczeństwo czai się u progu naszego domu...

Przypomniał sobie, jak jego własna matka wiele lat temu mówiła to samo do jego brata Michaela. Zrobiło mu się smutno. Wiedział, że ta noc zaciąży na ich małżeństwie, będzie nie do odrobienia. Już dostrzegał odrazę w oczach Sheili. Wiedział, że darzy dzieci miłością nieporównywalnie gorętszą od uczucia, jakie żywiła dla niego. Gdyby miała wybierać między nim a dziećmi, bez wahania wybrałaby dzieci. Właśnie za to ją tak kochał. To przede wszystkim decydowało o jego przywiązaniu do żony: była domatorką, troszczyła się o rodzinę. Teraz te same wartości stały się powodem rozdzwienku między nimi, tak wielkiego, że być może nie da się tego naprawić.

Był zrozpaczony tym, co się dzieje. Sheila była dla niego wszystkim, tak samo chłopcy. Nigdy nie dochodziło między nimi do nieporozumień, nigdy się o nic nie pokłócili. Sprawami rodzinnej firmy zajmował się poza domem i Sheili o niczym nie opowiadał. Dzięki temu mogli być razem; fakt, że żona o niczym nie wie, uważał za gwarancję jej

bezpieczeństwa. Wszyscy wiedzieli, że Sheila jest cywilem, prawdziwym cywilem. Nigdy nie zabierał jej do restauracji, w których bywali Ryanowie i inne rodziny z przestępczego podziemia. Chodził z Sheilą i dziećmi do Harvesters, do diabła. Był pantoflarzem i tak go przezywano w ich świecie. Pytano go zawsze o dzieci, bo wiadomo było, że obok interesów tylko to się w jego życiu liczy. Trzymał się z dala od lokali z tańcami erotycznymi i ze striptizem. Wszyscy wiedzieli, że takie gównno w ogóle go nie pociąga. Myślał, że w ten sposób zapewni dzieciom i Sheili bezpieczeństwo. Ale teraz ktoś naruszył reguły gry, a w konsekwencji w niebezpieczeństwie znaleźli się ci, których kochał. Kto słyszał, żeby rodzina stawała się celem? To był jakiś cholerny koszmar.

Teraz miał problem ze śmiertelnie przerażoną Sheilą, która będzie mu to miała za złe do końca życia. Znał ją dobrze i wiedział, że mu tego nie zapomni, zwłaszcza teraz, gdy te małe nóżki wierzgają w jej brzuchu. Będzie się bała o mające się urodzić dziecko i o chłopców. Bardziej niż o siebie.

Płacz Sheili ściągnął do pokoju cztery pary czujnych oczu. Strach na twarzach synków uświadomił mu, co musiała przeżywać przez te wszystkie lata jego własna matka, jak cierpiała chowając martwych synów. Po raz pierwszy ją zrozumiał.

Zrozumiał, dlaczego nienawidziła życia, jakie wiedli - i nadal wiodą.

Śmierć każdego z braci była straszna, ale gdyby stracił któreś z dzieci, nigdy by się już nie pozbierał. Skulił się pod ich przenikliwym spojrzeniem, bo wiedział, że słyszeli niemal każde słowo, jakie padło między nim i ich matką.

Sheila podbiegła do nich i krzyknęła:

- Pakujcie się! Zabieramy rzeczy i jedziemy do mojej mamy.

Gdy patrzył, jak zagarnia dzieci na górę, poczuł się bardzo samotny, jak nigdy w życiu.

◆◆◆

Billy i Maura patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział na jej pytanie.

- Nie będzie ci się to podobało, Maura, ostrzegam cię. Muszę cię też prosić o przyrzeczenie, że nie zdradzisz, kto ci to powiedział, bo powtarzam tylko plotkę. Traktuję to jak przyjacielską przysługę, nic więcej.

- Mów.

- Słyszałaś o Vicu, jak rozumiem?

Czuła jego narastający lęk. Przytaknęła.

- Szukaj odpowiedzi na swoje pytania w Liverpoolu. Vic działa tam od dłuższego czasu i chce wyrwać wam, co tam macie.

Zobaczył, że Maura zbladła.

- Żartujesz, Billy?

Uśmiechnął się lekko.

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej serio. Ale pamiętaj, to nie wyszło ode mnie.

Maura była wstrząśnięta. Nalał jej jeszcze jednego drinka. Gdy go podawał, poprosiła cicho:

- Powiedz mi wszystko, co wiesz, od samego początku.

Rozdział 5

- Sheila, proszę, wracaj.

Lee słyszał desperację we własnym głosie, gdy błagał żonę, by go nie opuszczała. Dzwoniła jego komórka, powinien ją odebrać, inaczej Maura i chłopcy pomyślą, że coś mu się stało.

Sheila zatrzymała się po drodze do swojego terenowego mitsubishi tylko po to, żeby powiedzieć sarkastycznie:

- Odbierz telefon, Lee. Nie będziesz tak przeżywał naszego odejścia, bo jak widać jesteś potrzebny ukochanym braciom Jak cię znam, zrobisz wszystko, co ci każą.

Po raz pierwszy mówiła do niego w taki sposób, co go zabolalo.

- Moja praca to moja sprawa, dobrze o tym wiesz. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, zwłaszcza przy dzieciach.

Ta reprimenda tak ją rozzłościła, że dodała:

- Twoja praca nigdy przedtem nie burzyła spokoju w tym domu, prawda? A teraz co? Pakuję ubrania do samochodu i rozglądam się, czy ktoś nie strzeli do nas z ukrycia.

- Nie bądź głupią kurwą...

Oboje znieruchomieli pod wrażeniem słowa, jakie padło z jego ust. Nawet chłopcy byli zszokowani.

- Przepraszam, Sheila. Proszę, nie zostawiaj mnie tak.

Z trudem wdrapała się do swojej terenówki i bez słowa odjechała.

Jego telefon znowu zadzwonił, ale Lee rzucił go na ziemię i deptał po nim, zgniatał go pod nogami, aż została z niego tylko kupka plastiku i mikrochipów.

- Pieprzyć to, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć...

Nadal powtarzał w kółko to jedno słowo, gdy pół godziny później pod jego dom podjechał Garry.



Tommy Rifkind mieszkał w dużym domu w Chester, przy tej samej przecznicy co trzech piłkarzy Liverpoolu i dwóch dobrze znanych baronów narkotykowych. Kochał to miejsce. Gina, jego żona od trzydziestu lat, sprowadziła dekoratora wewnątrz i teraz dom wyglądał jak z magazynu Space Ace. Nie był w jego guście, ale wiedział, że robi odpowiednie wrażenie na gościach.

Miał też dziewczynę o imieniu Simone, półkrwi Angielkę, z burzą włosów i sarnimi oczami, gotową wyjść za niego, byleby tylko o to poprosił. Nie wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy. Gina była jego najlepszą przyjaciółką i sprawdzoną partnerką życiową, chorowała na raka piersi, o czym nikomu nie mówili. Uwielbiał ją, a ona jego. Simone była tylko przelotnym flirtem, a Gina, mądra kobieta, zdawała sobie sprawę, że facet typu Toma potrzebuje od czasu do czasu młodszej partnerki, więc przemykała na to oko. Przekonana, że mąż nigdy jej nie opuści, czuła się bezpieczna.

Ich jedyne dziecko, Tommy Junior, nie kontaktował się z ojcem od ponad dziesięciu lat, kiedy to Tommy Senior stanął przed sądem za napad z bronią w ręku i przynależność do gangu. Junior, który studiował wtedy na uniwersytecie, był przekonany, że ojciec jest biznesmenem. Pracował teraz jako chemik, ożenił się z miłą dziewczyną i miał dwóch małych chłopców. Senior widywał ich tylko dzięki wstawiennictwu Giny i kochał ją za to jeszcze bardziej. Czuł żal do Juniora, że odpłaca mu się czarną niewdzięcznością, choć zapewnił mu lepszy start w życiu niż miał sam.

Nieślubny syn Tommy'ego Seniora ze związku z niejaką Lizzie z Toxteh wrodził się za to w ojca, tyle że nie miał jego sprytu. Był zwykłym oprychem, co Tommy'ego bardzo martwiło. Też miał na imię Tommy, ale mówiono o nim Tommy bo nosił panieńskie nazwisko matki - Bradshaw. Był przez Ginę mile widziany w ich domu i również za to Tommy Senior ją kochał.

Z uśmiechem na twarzy obserwował dwóch wnuków chlapiących się w krytym domowym basenie. Krzyknął do swojego adiutanta Jossa Championa:

- Spróbuj wydzwonić tego bękarta jeszcze raz, słyszysz?

Joss, potężny mężczyzna, który z uwagi na swój wygląd mógłby grać w filmach studia Hammer Horror, wzruszył masywnymi ramionami.

- Właśnie próbowałem, nadal nikt nie odpowiada.

Tommy wyglądał na zaniepokojonego.

Przeszli do jednego z przestronnych salonów i gdy Tommy nalewał sobie drinka, usłyszał, że otwierają się drzwi wejściowe.

Uśmiechnął się do Jossa.

- Pojawił się nareszcie, najwyższy czas, do licha.

Odwrócił się w stronę drzwi i zdębiał, gdy zamiast syna ujrzał Maurę Ryan, która wyglądała w obramowaniu framugi jak na portrecie. Przez sekundę nie mógł jej rozpoznać.

- Co do...

- Witaj, Tommy, dawno się nie widzieliśmy.

Na dźwięk jej głosu stracił rezon. Tak było zawsze. Od lat mu się podobała, choć czuł się w jej obecności stremowany. Miała w sobie to coś. I pociągał go jej chłód. Wiedział, że pod wieloma względami jest do niej podobny.

Joss, zawsze onieśmielony przy kobietach, zrobił się czerwony jak burak. Maura spojrzała na niego, uśmiechnęła się lekko i rzekła:

- Nie rozbieraj mnie oczami, Joss, bo się przeziębę.

Tommy roześmiał się, a Maura mu zawtórowała.

- Co cię sprowadza?

- Może byś najpierw zaproponował mi drinka?

- Oczywiście.

Maura przyglądała mu się. Nawet po pięćdziesiątce Tommy był nadal przystojnym facetem, brunetem z jasną cerą i tylko oczy zdradzały jego pochodzenie. Jego dziadek był dokerem z zachodnich Indii. Tommy miał elegancką sylwetkę i lubił nosić szyte na miarę garnitury. Maura z przykrością pomyślała o tym, co musi mu za chwilę powiedzieć. Zawsze lubiła Toma. Ale gra szła o rodzinę i Tommy będzie musiał zrozumieć, że to nie żarty.

Gdy podawał jej szkocką, zapytał:

- Twoja wizyta oznacza kłopoty, tak?

Wzięła podany jej trunek i kiwnęła głową.

- Obawiam się, że tak, Tom. Duże kłopoty.

◆◆◆

Janine nadal walczyła o życie, a Roy siedział przy jej łóżku i delikatnie trzymał ją za rękę. Posiniaczona Sarah stała obok, przesuwając paciorki różańca. Ten szmer był jedynym słyszalnym dźwiękiem w pokoju, nie licząc cichego szumu monitorów.

O dziwo, jej obecność dodała Royowi otuchy. Przypomniało mu się dzieciństwo i czas burzy. Matka zasłaniała wtedy lustra, zaciągała zasłony, a wszystkie dzieci siedziały w ciemności odmawiając różaniec. Michaela i Garry'ego doprowadzało to do szału, ale on to lubił. Czuł się wtedy bezpieczny.

Twarz Janine była blada i cierpiąca, a on zdawał sobie sprawę, że był powodem każdej wrytej na niej zmarszczki. Ogarnęło go wielkie poczucie winy, chętnie zająłby jej miejsce na szpitalnym łóżku, żeby nie musiała znosić bólu. Po raz Pierwszy od lat poczuł wobec niej opiekuńcze uczucia.

Do pokoju weszła pielęgniarka, wytrącając go z tego nastroju. Puścił dłoń żony i rozparł się na krześle.

- Idź napić się kawy. Podogładam jej za ciebie, synu. Potrzebujesz chwili wytchnienia
- powiedziała Sarah.

Wstał z wdzięcznością.

- Dzięki, mamó. Doceniam to.

Sarah wzruszyła ramionami.

- Zawsze byłam w pogotowiu, żeby nad wami czuwać, tylko czy wy to zauważaliście?

- Przynieść ci filiżankę herbaty, mamó?

Skinęła głową.

- Robię się na to wszystko za stara. Już niedługo pociągnę i szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać końca. Twój biedny ojciec, Panie świeć nad jego duszą, ma przynajmniej tę pociechę, że jego synowie spoczywają przy nim w pokoju wiecznym.

Łzy napłynęły jej do oczu i głos uwiązł w gardle. Roy objął ją. Znowu uświadomił sobie, że jest bardzo stara i bardzo krucha.

- Synu, czy choć przez chwilę możesz sobie wyobrazić, co ja czułam przez te wszystkie lata? Chowałam do ziemi dziecko za dzieckiem, i to nie z powodu choroby, nie. Moi synowie byli mordowani, zarzynani jak zwierzęta, a ja musiałam żyć z tą świadomością dzień po dniu. A teraz patrz na Janine, patrz na matkę swojego syna, wplątaną w to wszystko tylko dlatego, że nie potraficie być normalnymi ludźmi, choć lat wam przybyło. Nie umiecie żyć jak przyzwoici mężczyźni i przyzwoite kobiety. Benny idzie tą samą drogą i codziennie modłę się do Boga, żebyś nigdy nie musiał identyfikować w kostnicy ciała z twojej krwi i kości.

Odwróciwszy się od niego, przyoblekła twarz w spokój. Roy wyszedł z sali. Ale jej słowa, tak jak przewidywała, towarzyszyły mu, gdy szedł po herbatę. Po wyjściu syna znów zaczęła się modlić:

- Święta Mario, Matko Boża, spraw, by mój syn przejrzał i zrozumiał, że błądzi. Spraw, by choć jedno moje dziecko stanęło przed Chrystusem w pokorze i z miłością Boga w sercu.



Benny i Abul zostali zatrzymani na A13, gdy dojeżdżali do wiaduktu w Canning Town. Zatrzymali ich dwaj młodzi policjanci we fiacie panda. Funkcjonariusze byli na luzie i najwyraźniej chcieli się trochę rozerwać. Mieli się wkrótce przekonać, co oznacza konfrontacja z dwoma podobnie usposobionymi facetami, którzy na dodatek nie mają elementarnej poszanowania dla władzy.

Benny zatrzymał się, a Abul pstryknął peta przez okno.

- Czym możemy służyć, panowie policjanci? - zapytał Benny.

Prowokował ich szyderczym tonem i bezczelną miną. Obydwaj policjanci nie mieli co do tego wątpliwości.

- Wysiadać z samochodu.

Benny i Abul spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

- Słucham? A na mocy jakiego prawa tego żądacie? Jechaliśmy z przepisową prędkością, ostrożnie, mamy zapięte pasy. Jako obywatel demokratycznego kraju mam prawo wiedzieć, dlaczego zostałem zatrzymany.

Abul już rechotał. Zawsze pękał ze śmiechu, gdy Benny udawał dżentelmena.

- Co was tak do cholery śmieszy?

Abul natychmiast przestał się śmiać, co policjanci zaliczyli jako ważny punkt dla siebie w tej rozgrywce. Zaraz potem jednak, gdy Benny i Abul odpięli pasy, zorientowali się, że sytuacja staje się groźna. Po wyjściu z samochodu obaj mężczyźni podszli prosto do bagażnika i za parę sekund pojawili się ponownie z kijami baseballowymi owiniętymi taśmą izolacyjną.

- Ty pierwszy - powiedział Benny, machając ręką.

Abul znowu parsknął śmiechem.

- Nie, ty pierwszy.

Ruszyli z kijami baseballowymi na policjantów i okładali ich, zagrzewani głośnymi wiyatami niektórych przejeżdżających kierowców.

Gdy Benny i Abul robili swoje, kłaniając się mijającym ich samochodom, z piskiem opon zatrzymał się przy nich komisarz Featherstone, nakazując im ostro, żeby przestali się popisywać i spieprzali. Jako jeden z „zaprzyjaźnionych” gliniarzy miał teraz za zadanie wystąpić w roli ich ambasadora i przekonać poszkodowanych, żeby nie składali raportu.

◆◆◆

- Lepiej usiądź, stary.

Joss, który wyczuł drzenie w głosie Maury, przyniósł im butelkę whisky i postawił ją na stoliku obok. Wiedział, że będzie im potrzebna. Fakt, że Maura Ryan osobiście przybyła

tu, do Liverpoolu, mówił sam za siebie. Wiedział też dobrze, po co tu przyjechała, ale nie zamierzał się z tym wychylać.

Tommy sprawiał wrażenie zdziwionego, kiedy Maura ujęła i uścisnęła jego rękę.

- Dokładnie wiem, jak się poczujesz za kilka minut, uwierz mi. Ale pamiętaj, to nie osobistego, tylko interesy. Nie chciałam tego, lecz sprawa wymknęła mi się z rąk. Twój chłopak, Tommy. B, zrobił najście z bronią na moją rodzinę. Wdarł się do naszych domów, Bóg mi świadkiem, do domów! W dodatku bez powodu, Tommy. Bez żadnego powodu. Jest winien śmierci członków naszej rodziny i nie mówię tu o partnerach w interesach, tylko o matkach, żonach...

Tommy potrząsał głową.

- Nie, nie, na pewno się mylisz, Maura. Ten gnojek jest rozrabiaką, zgadzam się, ale wie, że jest za durny, żeby was brać na cel...

- Głowy nie miał do takiej roboty, lecz serce tak. Przyznasz, że miał. Wiem, jak się czujesz, Tommy, ale musieliśmy zrobić, co trzeba. Nawet ty musisz to zrozumieć.

Obserwowała malujące się na twarzy Toma emocje i sercem była z nim.

- Nie wolno mi było tego odpuścić. Próbował stworzyć pozory, że to my rozpętaliśmy wojnę. Nie mogliśmy zrozumieć, o co chodzi. Objechaliśmy wszystkich, starając się dowiedzieć co się do cholery dzieje. I czy wiesz, że jeszcze potem do żony Roya oddano dwa strzały na progu jej własnego domu?

Ciemne oczy Toma rozszerzyły się.

- O kurwa, chyba żartujesz!

- Chciałabym, żeby tak było. Ale to jest jak koszmar na jawie. Opowiem ci wszystkie szczegóły, kiedy już będziesz w stanie ich wysłuchać. Nalej sobie jeszcze jednego drinka.

- Czy on już nie żyje?

Głos Toma Rifkinda był głuchy, bezbarwny.

Maura kiwnęła głową.

- Na pewno. Garry i Lee porwali go z mieszkania. Musieli to zrobić, zrozum, dla przykładu, żeby postraszyć innych.

Tommy Rifkind ukrył twarz w dłoniach i zapłakał jak dziecko.

- Tylko nie Garry...

Mimo odruchu współczucia dla człowieka opłakującego stratę syna Maura powiedziała twardo:

- Garry się zawziął. Musieliśmy przekazać innym wyraźne ostrzeżenie, to chyba jasne? Wspólnicy Tommy'ego B muszą wiedzieć, z kim zadarli i w co się wpakowali. Za nich też się weźmiemy w odpowiednim czasie.

Joss nalał im i sobie kolejnego drinka i Maura z przyjemnością poczuła w gardle palące ciepło alkoholu.

- Więc nic nie mógł wynegocjować?

Maura popatrzyła na niego.

- Nie bądź głupi. Ty byś negocjował, gdybyś był na naszym miejscu?

- To zabije jego matkę.

Wzruszyła ramionami.

- Życie bywa kurewskie. Co, Joss?

Pokiwał głową bez słowa. Na szczęście znany był z małomówności. Gdyby musiał teraz otworzyć usta, rozkleiłby się jak Tommy.

Do pokoju weszła Gina i widząc rozpacz męża, podeszła do niego. Podniosła go z krzesła i wyprowadziła z pokoju, przyjaźnie skinąwszy głową w stronę Maury.

Maura zwróciła się do Jossa.

- Powiedziałaś jej przez telefon, o co chodzi. Zawsze byłam w dobrych relacjach z Giną. Wiedziałam, że Tommy będzie potrzebował jej wsparcia, gdy usłyszy taką wiadomość.

- Czy jego chłopak kombinował z Vikiem Joliffem?

Joss mówił niskim, chrapliwym głosem, jakby mu zardzewiał od rzadkiego używania.

Maura przytaknęła.

- Ambitny mały skurwiel - mruknął Joss. - Ma to w genach, jak sędzę.

- Kto miesza, Joss? Vic Jolitt?

Kiwnął głową.

- Ale słowo przestrogi, panno Ryan. Zanim pani wykończy Joliffa, niech się pani dowie, kto jeszcze z nim był. Takiej wielkiej afery sam by nie pociągnął. Joliff to ostry kaliber, ale nie mózgowiec.

- Dzięki, sama już do tego doszłam. A na razie Vic Joliff jest unieszkodliwiony, leży z podejrzanym gardłem w więziennym szpitalu. Dostaniemy go, zanim zdoła się ruszyć.

◆◆◆

Tommy B rozpaczliwie szlochał, spazmy wstrząsały całym jego ciałem.

- Mam cię, kurwa, w kółko pytać o to samo? Kto jeszcze w tym siedzi? Wiesz bardzo dużo o interesach mojej rodziny... skąd? Dać ci coś na odświeżenie pamięci?

Głos Garry'ego odbijał się echem od ścian baraku stojącego na złomowisku należącym do Toma Rifkinda. Od niechcenia przejechał elektryczną piłą nad związanymi nogami chłopaka.

Tommy B był w szoku, miał zmętniałe oczy. Gdy Garry go kopnął, wykrzywił usta w niemym krzyku.

- Po... powiedziałem wam wszystko, co wiem - zajęczał po chwili. - Robiłem, co mi kazał Joliff. On wszystkim rządzi. Miejcie litość, niech to się skończy!

Nabiegłe krwią oczy spojrzały błagalnie na drugiego z Ryanów. Stojący za plecami brata Lee wyminął Garry'ego, trzymając w ręku ciężką latarkę. Zamachnął się nią, z całej siły uderzając Tommy'ego B w skroń. Torturowany mężczyzna był zapewne wdzięczny niebiosom, zapadając w niebyt.

Garry się wkurzył.

- Czekaj, Lee. Co się tak gorączkujesz? Po kiego wyrwałeś się z tą latarką?

Lee naskoczył na brata.

- Śmiechu warte. Mityguje mnie największy narwaniec po tej stronie Atlantyku. Wyrwałem się? Chciałeś, żeby był przytomny, kiedy będziesz mu odcinał ręce i nogi? Powiedział nam wszystko, co wie. Powiedział, że to on załatwił Sandrę Joliff, choć diabli wiedzą, dlaczego to zrobił. Kto by znosił taki okrutny wpierdol, gdyby miał się czym wykupić?

Garry poczuł się obrażony.

- Uczysz mnie mojej roboty, co? Chcesz zarobić w pysk czy jak? Masz muchy w nosie, odkąd wyjechaliśmy z Londynu. Przez całą drogę wydawało mi się, że obok siedzi wyrośnięty dzieciak. - Zaczął mówić dziecinnym głosem: - „Jak daleko jeszcze?”. Omal nie zacząłem śpiewać pieprzone „koci, koci łapci”, żebyś się nie nudził.

Lee mimo woli zaczął się śmiać.

- Odpierdol się ode mnie.

- Dobra, co jest grane?

- Sheila mnie rzuciła.

Garry wzruszył ramionami.

- Trudno jej się dziwić. To wszystko musiało ją ruszyć. Mnie ruszyło. Wyobraź sobie, jak ona się czuła, zwłaszcza z tym wielkim brzuchem. Jasne, że się przejęła. Ale wróci przed końcem tygodnia.

Zobaczył, że na twarzy brata pojawia się wyraz nadziei, i uściśnął go.

- Odpręż się, Lee, wszystko będzie dobrze. Ty i ona jesteście jak ta pieprzona rodzinka Bradych. Teraz pomóż mi wciągnąć go na stół. Zróbmy, co mamy zrobić, i zbierajmy się do domu.

- Musimy odcinać mu ręce i nogi?

Garry spojrzał na Lee jak na wariata.

- Jasne, że nie, ale jak to zrobimy, ludzie będą mieli o czym gadać. Spójrz na to w ten sposób. Wszyscy będą wiedzieli, że to nasza sprawka, poprawimy nasze wariackie notowania i powstrzymamy zasrańców, którzy chcą nam wejść w paradę. Stara dobra zasada.

Lee wyszczerzył zęby, zadowolony, że Garry uspokoił go co do Sheili.

- Masz rację, to się trzyma kupy.

- Sam widzisz, braciszku, że to ma sens. Dawaj tu piłę elektryczną.

◆◆◆

Maura i Joss musieli czekać pół godziny, zanim Tommy Rifkind pojawił się znowu w salonie. Nadal był w szoku, ale panował nad sobą. Maura zaczęła mu wyjaśniać, co się stało.

Najpierw opowiedziała o śmierci Lany Smith i Sandry Joliff i obserwowała zmieniający się wyraz jego twarzy, gdy stopniowo uświadamiał sobie, w co się wpakował jego syn.

- Joliffa zaatakowano w Belmarsh, co było nie lada wyczynem, a my nadal nie wiemy, kto za tym stał, ale przypuszczamy, że Joliff przez swoje knowania wszedł temu i owemu w paradę. Prawdopodobnie jeszcze żyje. Niezadługo złożymy mu wizytę.

- A więc mój chłopiec został wykorzystany przez Joliffa, tak?

Maura wzruszyła ramionami.

- Może to Joliff był przez kogoś wykorzystywany i wciągnął do tej sprawy Tommy'ego B. Jeszcze nie wiem. Powoli składamy wszystko w całość. Bomba podłożona w moim samochodzie wkurzyła moich braci, nie mówiąc o mnie. Nie dam się nikomu zastraszyć i niech sobie inni myślą o Terry'ym co chcą, dla mnie był partnerem nie tylko w łóżku.

Skończyła drinka, Joss nalał jej kolejnego. Dała im czas na przetrwanie jej słów. Wreszcie się odezwała:

- Bardzo mi przykro, Tom, naprawdę. Ale chyba rozumiesz, że nie mieliśmy wyboru. Zwłaszcza że pobito też moją matkę. Nikt by czegoś takiego nie przelknął.

Tommy potrząsnął głową i westchnął.

- Był zasranym draniem, nie przeczę. Wydawało mu się, że połknął wszystkie rozumy. Teraz jest inny świat, Maura. Młodzi ustanawiają własne prawa. Chciał złapać za ogon zbyt wiele srok... kluby z tańcem erotycznym, prostytutki, sama wiesz.

- A narkotyki? W to najchętniej bawi się Joliff.

Tommy wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, Maura, wszyscy w tym siedzimy. To prawdziwa kopalnia złota.

- Ale z tego co wiem, twój chłopak wszedł w crack. Nie akceptuję tego biznesu.

Joss był zaskoczony jej hipokryzją.

- Przecież to też kokaina, tylko inaczej spreparowana.

- Ja zostawiam te sprawy młodszym członkom rodziny. Mnie to brzydzi. Nigdy nie zajmowałam się skagiem czy crackiem.

- A co z tym nowym drągiem? Tym crankiem czy jak go tam zwą?

Joss wydawał się mocno zainteresowany jej odpowiedzią.

Maura uśmiechnęła się.

- W tych dniach podciąga się różne rzeczy pod mój znak firmowy. Zdaję się budzić ostatnio coraz większy respekt.

Zadzwoił jej telefon, przyłożyła go do ucha. Popatrzyła na Tommy'ego Rifkinda.

- Przykro mi, Tommy. Już po wszystkim.

Kiwnął głową. Maura była zaskoczona spokojem, z jakim przyjął wiadomość o śmierci dziecka. Ale jeśli alternatywą miały być celebrowane zabiegi Garry'ego z użyciem piły, chyba każdy rodzic odetchnąłby z ulgą.

◆◆◆

Sarah i Roy czuwali razem przy łóżku Janine.

Drugiego dnia skrzep znalazł drogę do serca i śmierć była kwestią sekund. O 3:28 rano Janine wydała ostatnie tchnienie.

Roy siedział potem jeszcze wiele godzin, trzymając ją za rękę. Dopiero kiedy przyszła Carla z Joeyem, cofnął dłoń. Przytulił córkę i trzymał ją w uścisku, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić, a całym jego ciałem wstrząsa szloch.

- Kochanie, ona odeszła i nikogo poza mną przy niej nie było. Żadnego z jej dzieci.

Carla nic nie rzekła, tylko obejmowała ojca. Patrząc na ciało matki, odczuwała wstyd, że nie ma w niej żalu. Janine przez całe życie traktowała ją jak powietrze. Wyglądało na to, że tylko Roy przeżywa stratę. Postarzał się w ciągu tych godzin, a lunatyczny wyraz jego oczu budził w Carli lęk.

Odmawiała z nim modlitwę, kiedy do sali wkroczył wystrojony Benny.

- Odeszła, Ben, twoja matka odeszła - w głosie Roya słychać było ból i gniew.

- Popatrz na swoją matkę, chłopcze, i obyś do końca życia nie zapomniał, że przyczyniłeś się do jej śmierci - dodała lodowatym głosem Sarah.

- Wiesz, babciu, co mówią? Jaka mać, taka nać. Pamiętaj o tym następnym razem, kiedy poczujesz potrzebę prawienia mi kazań - dociął jej Ben.

Rzucił na matkę krótkie spojrzenie i wyszedł. Carla i Joey poszli w jego ślady.

Sarah popatrzyła smutno na Roya.

- Maura ci go odebrała, tak jak odebrała mi was wszystkich wiele lat temu. Pochowasz Bena, Roy, wspomnisz moje słowa, pochowasz go i biorę Boga na świadka, że im wcześniej, tym lepiej. Jest niebezpieczny, to kopia mojego Michaela. Ale Michael miał serce, a w tym chłopcu nie ma nic poza nienawiścią.

Roy nic nie odrzekł, wiedział, że to prawda.

◆◆◆

W tym samym czasie matka Tommy'ego B patrzyła na głowę swojego syna w kostnicy szpitala publicznego w Liverpoolu.

Gdy złorzeczyła na los i pomstowała na tych, którzy zrobili to jej dziecku, nie była świadoma, że dwaj sprawcy byli już z powrotem w Londynie, gdzie czekały na nich jeszcze inne obowiązki.

Jeśli o nich chodzi, to zarówno Garry, jak i Lee zapomnieli już o Tommym B. Ale jego ojciec nie zapomniał. Ani Vic Joliff.

◆◆◆

Więzienni medycy zbyt szybko postawili krzyżyk na Joliffie. Był silniejszy i sprytniejszy, niż ktokolwiek przypuszczał. Mimo że stracił ponad dwa litry krwi i na szyi miał świeże szwy, zdołał złapać za gardło ospałego strażnika stojącego na warcie przy jego łóżku i zmusił go do zdjęcia mu kajdanków. Ułożył nieprzytomnego glinę w pościeli, a sam schował się w koszu na brudną bieliznę i czekał na wczesnoporaną wywózkę. Potem obezwładnił kierowcę, a porzucony van został znaleziony na wybrzeżu Kentu.

Sam Joliff jakby się rozpląnął. Ślad po nim zaginął, ciała nie odnaleziono.

Ryanowie wychodzili z siebie. W tej sprawie było za dużo niejasnych wątków. Najbardziej wkurzająca była plotka, jakoby Joliff skumał się z jedną z ich policyjnych wtyczek. Wyglądało na to, że starszy inspektor Billings był na tyle głupi, że brał pieniądze również od rywala Ryanów. Maura nie mogła pozostawić tego bez wyjaśnienia - i bez kary. Dała Benny'emu *carte blanche* w tej sprawie. Miał się dowiedzieć, ile zdoła.

◆◆◆

Starszy inspektor Roland Billings jadł kolację z żoną i córkami, kiedy głośno zapukano do drzwi. Kochał swój dom duży, wolno stojący, w najlepszej części Brentwood. Pomyślał że to pewnie ktoś do niego, zwykle tak bywało o tej późnej porze dnia. Nie spodziewał się jednak Bena Ryana i jego hinduskiego ochroniarza. Usłyszał głos Benny'ego, zanim go zobaczył.

- Czy zastałem drogiego Rolanda, kochanie?

Przesadnie uprzejme słowa wypowiedziane zostały tonem groźby, co nie uszło uwadze ani Rolanda Billingsa, ani jego żony Dolores. Gdy inspektor wstawał z krzesła, serce podchodziło mu już do gardła.

Benny wszedł do jadalni, jakby był u siebie. Widząc trzy dziewczynki z rozdziawionymi buziami, powiedział rubaszenie:

- Nie miałbyś ochoty na trochę zabawy z tą trójką, Abul? No, może nie z tymi aparatami na zębach. Niech poczekają jeszcze kilka lat, co, panie Billings? Wtedy będą jak trzeba. Takie jak sam lubisz, młodziutki i naiwniutki. Takie właśnie lubisz, prawda?

Dolores już wyprowadzała dziewczynki z pokoju, a rozochocony Abul udawał, że jej pomaga.

- Przetrzymaj je na górze i sama też tam zostań, skarbie. Nie dzwoń nigdzie, dopóki nie wyjdziemy, bo ściągniesz na rodzinę duże kłopoty. Musimy chwilkę porozmawiać z Rolandem.

Dolores jak na czterdzieści sześć lat była dobrze zakonserwowana. Wiedziała, że mąż trzyma w domu sporo gotówki i należała do kobiet, które beztrząsco wydają pieniądze bez zastanawiania się, skąd pochodzą. Po raz pierwszy nabrała podejrzeń co do ich źródła i ogarnął ją lęk.

Abul powiedział cicho:

- To nie żarty, kochanie. Twój mąż siedzi po uszy w gównie, a jeśli jego szefowie dostaną cynk o naszej wizycie, ugrzęźnie jeszcze głębiej. Weź dziewczynki i siedźcie cicho, choćby nie wiem co, OK?

Kiwnęła głową i pospiesznie umknęła z dziećmi przed oczu przerażających intruzów.

Roland Billings usiadł z powrotem przy stole, czując, że mu się ze strachu przewracają wnętrzności.

- Co wy do diabła robicie w moim domu? - Nadał głosowi stanowcze brzmienie, choć czuł się bezsilny.

Benny zaśmiał się.

- Myślałem, że jesteście kumplami, Roland. Ja, ty i moja ciotka Maura. Pamiętasz Maurę, która daje ci forszę regularnie jak w zegarku?

Rozejrzał się wokół, cmokając z podziwu. W samej jadalni były dwa stojące zegary, poza tym w holu duży zegar firmy London Lock, a na stolikach i kominku całe mnóstwo starych zegarów podróżnych. Billings był niewątpliwie poważnym kolekcjonerem.

- Byłaby zadowolona, widząc, na co wydajesz ten szmal i w ogóle. Ona też lubi stare zegary, tak jak ty.

- Wynoś się w cholere z mojego domu i zabierz tę małpę ze sobą!

Nawet Benny'ego zaskoczyła nienawiść bijąca z jego głosu.

- Czyżby był pan rasistą, panie Billings?

Jawnie sobie szydził. Popatrzył na Abula i obaj zarechotali.

- Hej, Ben, czy to aby na pewno glina? - zapytał zjadliwie Abul.

Billings był zdziwiony, że jego rasizm budzi u takiego kryminalisty jak Benny Ryan większą odrazę niż jego policyjny mundur.

- Chcę, żebyście obaj się stąd wynieśli - powiedział ostrym tonem, ale nie zdołał ukryć zaniepokojenia.

- Przecież jesteście kumplami, Roland. Ja i poczciwy Abul. Płacimy ci pensję, synu, żeby twoje córki mogły chodzić do dobrych szkół i żeby twojego kutasa obciążały małe dziewczynki z okolic Cross.

- Nie jesteście moimi kumplami.

- Och, słyszałeś, Abul? Wiesz, Roland, moja stareńka babcia ma takie jedno powiedzonko: „Pokaż mi, z kim przestajesz, a powiem ci, kim jesteś”. I co ty na to?

Billings wstał.

- Wynoś się z mojego domu, Ryan.

Głos Bena był niebezpiecznie cichy, gdy powiedział:

- Nie graj pieprzonego twardziela, panie Billings, bo i tak zrobią ci kuku. Widzisz, my wiemy. Wiemy wszystko dzięki jednej wizycie, którą złożyliśmy w Liverpoolu. Vic Joliff wykorzystywał tamtejszych gnojków, żeby narobić wokół nas smrodu. Teraz prysnął, a my uważamy, że miał oficjalną pomoc, jeśli kapujesz, o czym mówię.

Inspektor z powrotem usiadł. Opuszczała go wola stawiania oporu.

- To smutne, panie Billings, kiedy ludzie giną we własnych łóżkach od ran postrzałowych i różnego rodzaju samookaleczeń, prawda?

Siedzący przed nimi mężczyzna zrozumiał groźbę.

- Właziłeś w dupę Joliffowi, bracie. Brałeś jego pieniądze i nasze. Jesteś zafajdanym dwulicowym kutasem. Moja matka została postrzelona na progu własnego domu, wiedziałeś o tym? A najgorsze jest to, że nie miała nic wspólnego z rodzinnymi interesami. Tak się składa, że nawet jej nie lubiłem, ale to nie ma, kurwa, żadnego znaczenia. Jak by ci się podobało, gdybym zastrzelił twoją żonę i córki? Wpieniłbyś się, no nie?

Billings gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Groźby eskalowały z każdym zdaniem i jego przerażenie rosło.

- Wyobraź sobie, że ktoś wpadł na pomysł, żeby przechytrzyć Ryanów. Ty pewnie byś o czymś takim nawet nie pomyślał. Jesteś na to za rozsądny, co?

Inspektor potrząsał głową tak energicznie, że aż miał świece w oczach.

- Dobry z ciebie gość. Ale chyba rozumiesz, że ktoś musi dostać po łapach, więc postanowiliśmy właśnie ciebie umieścić na początku listy zasrańców, bo kolegowaliśmy się z Vikiem chętnie i od dawna.

Benny rozłożył ręce w geście: „nic nie mogę na to poradzić”, na co Abul znowu zaczął się pokładać ze śmiechu i to przeraziło Billingsa bardziej niż wszystko dotąd. Wiedział, że cokolwiek zamierzają z nim zrobić, będzie to dla nich dobra zabawa.

- Posłuchajcie - wyjąkał - nie tutaj... nie w moim domu... Twarz Bena wykrzywił grymas wściekłości.

- Aha, więc wszystko jest w pieprzonym porządku, kiedy ktoś wnosi broń i nieszczęście do domów mojej rodziny, ale nie do twojego, tak?

Kiedy to wykrzyczał, zwałił zastawę stołową na podłogę. Echo roztrzaskujących się talerzy niesło się po całym domu i do uszu Bena dotarł dochodzący z góry płacz kobiety i dzieci.

Wziął ocalały na stole widelec i z rozmachem wbił go w dłoń Billingsa, unieruchamiając go na chwilę przy stole. Potem, szarpiąc mężczyznę za przód koszuli, zaciągnął go do kuchni. Na elektrycznej kuchence w dużym garnku gotowało się spaghetti.

Benny zanurzył w garnku dłoń Billingsa i z uciechą słuchał, jak jego ofiara wrzeszczy z bólu.

- Założę się, że cholernie boli, co? Musisz opowiedzieć o tym Vicowi następnym razem, jak będziecie gawędzić.

Wyciągnął z garnka pokrywającą się pęcherzami dłoń policjanta.

- Gdzie on jest, Billings? Pomogłeś mu, tak?

- P-po drugiej stronie k-kanalu. Nie wiem, gdzie potem pojechał. Przysięgam. Był okropnie pokiereszowany, mógł nie przeżyć.

Zaczynały się objawy wstrząsu. Abul patrzył na rękę policjanta. Była czerwona jak homar i ból musiał być nie do niesienia.

Benny powściągnął swój temperament tylko na kilka chwil i znowu wsadził ręką Billingsa do garnka.

W końcu inspektor stracił przytomność. Kiedy osunął się na podłogę, Benny kopnął go z całej siły w głowę i chlusnął mu w twarz wrzątkiem.

Gdy wychodzili, Abul poślizgnął się na porzrzuconym po całej kuchni spaghetti. Benny zaczął się śmiać i zanim dotarł do samochodu, obaj zanosili się od śmiechu. Zapalili skręta i odjechali, a dochodzący z kwadrofonicznych głośników samochodu ryk Shaggy'ego zakłócił na chwilę spokój tej zacnej okolicy.



Maura składała do ziemi prochy Terry'ego Pethericka, ale po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, nie mogła się skupić podczas skromnej uroczystości pogrzebowej. Miała wrażenie że oskarżycielskie oczy matki wwiercają się w jej ciało.

Żaden z chłopców nie przyszedł i była z tego powodu zadowolona. Przybyło niewiele osób, ale z tego też była zadowolona. Czują, że zamknęła jakiś rozdział w życiu. Nie mogła wiedzieć, że najbardziej przerażający jest jeszcze przed nią.

Gdy ścisnęła dłoń Carli, po raz pierwszy od lat ogarnął ją spokój. Zdawała sobie sprawę, że nie na długo, ale w końcu sama wielokrotnie powtarzała, że jej życie nigdy nie było spokojne.

Jej starzy przyjaciele, Marge i Dennis Dawsonowie, byli przy niej, gdy łała łzy nad grobem Terry'ego Pethericka z którym właśnie oni ją niegdyś poznali, ale było to dawno w innym czasie, innym miejscu, w czasach niewinności. Nie żywiła nadziei, iż te czasy kiedykolwiek wrócą.

Księga druga

Nie ludźcie się: Bóg nie dozwoli z siebie szydzić. A co człowiek sieje, to i żąć będzie.

List do Galatów 6, 7-8

Rozdział 6

2000

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Maws!

Joey i Carla obudzili Maurę, skacząc po jej łóżku jak wariaci.

Okrągła rocznica, pięć z zerem. Jak to jest?

Zaśmiała się.

- Niedługo się dowiesz, Carla. Dokładnie za pięć lat. A przynieśliście mi śniadanie do łóżka? Właściwie jestem już emerytką, niedługo trzeba będzie mnie karmić.

- Mówią, że pięćdziesiątka to od nowa czterdziestka, ciociu Mauro.

Joey zachichotał. Mając prawie dwadzieścia lat, nadal zachowywał się jak mały chłopiec i choć nie przeszkadzało to Maurze, w jego matce wzbudzało niepokój. Był duży, jak wszyscy mężczyźni w rodzinie Ryanów, ale zniewieściały. Benny wytykał mu, że jest maminsynkiem, i choć mówił to żartem, Carla nigdy nie śmiała się z tego jak inni. Widząc, że Joey wślizgnął się do łóżka ciotki, z trudem zapanowała nad irytacją. Był za dorosły na takie wygłupy i zamierzała go ofuknąć.

Na razie złapała go tylko za rękę i powiedziała ciepło:

- Wyłaż, ale już. Przynieś Maurze śniadanie, a ja w tym czasie dam jej prezenty i kartki z życzeniami.

Podniósł się z łóżka, ale spojrzał na matkę nieprzychylnym wzrokiem. Wyszedł z pokoju rozdrażniony.

Maura uśmiechnęła się smutno.

- Musisz się z tym pogodzić, Carla. On jest gejem albo ja nie nazywam się Maura Ryan. Pozwól mu być sobą, na miłość boską. To nic takiego.

Carla nie odpowiedziała. Kiedy się złościła lub martwiła robiła się podobna do matki. Miała jej rude włosy i zielone oczy. Mimo czterdziestu pięciu lat wyglądała świetnie, a szczupła sylwetka jeszcze odejmowała jej lat.

Zadzwoił dzwonek do drzwi i po kilku minutach do sypialni wszedł Joey z ogromnym bukietem kwiatów. Maura ucieszyła się na ich widok, a gdy przeczytała bilecik, jej oczy rozbliły.

- To od Rifkinda z najlepszymi życzeniami z okazji urodzin. Przynajmniej on nie napisał „pięćdziesiątych” i bardzo mu się to chwali.

Joey wyszedł z sypialni, śpiewając *Love Is in the Air*, co rozbawiło Maurę.

Carla śmiała się razem z nią.

- Tommy Rifkind ma bzika na twoim punkcie i miły z niego facet. Chciałabym, żeby to za mną się uganiał. Nie opierałabym się długo.

- Serio?

Carla przytaknęła, przeciągając się przy tym jak Kot z Cheshire.

- Nie wykopałabym go z łóżka.

Maura parsknęła śmiechem.

- Ja też nie!

Rozchichotały się jak dwie nastolatki plotkujące o swoich sympatiach.

- Jest w tym dobry? Założę się, że tak, wygląda na niezłego ogiera.

Maura zasznurowała usta.

- To tajemnica.

Carla wzruszyła ramionami.

- Buzię zamykasz, a nóżki rozkładasz.

- Ty wstrętna małpo!

- Otwórz prezenty, zanim nasz Graham Norton wróci z twoim śniadaniem - mruknęła z przekąsem Carla.

- Nie mów tak, to dobry dzieciak. - W głosie Maury nie było już rozbawienia.

Carla westchnęła.

- Wiem. Ale nie podoba mi się to. Jest wbrew naturze.

- A kim my jesteśmy, żeby rozstrzygać, co jest zgodne z naturą? Pamiętasz, co mówił mój ojciec, jak sobie popił? „Jezus musiał być gejem, bo się zadawał z dwunastoma facetami i prostytutką”.

- Uważaj, żebyś nie chlapnęła czegoś takiego przy swojej matce.

Pięć minut później Joey i Carla wyszli z pokoju, a Maura zabrała się do śniadania. Przy jajecznicy i wędzonym łosiosiu rozmyślała o Tommym Rifkindzie, aktualnym kochanku.

Ciężko przeżył śmierć syna i Maura to rozumiała. Kiedy ni z tego, ni z owego przyjechał do Londynu, z czystej uprzejmości podjęła go winem i obiadem. Pozostawali jedynie przyjaciółmi, dopóki żona Toma nie zmarła na raka dwa i pół roku temu. Maura pojechała z Garrym na jej pogrzeb do Liverpoolu. Wypływało to ze szczerego współczucia, lecz było też dyplomatycznym posunięciem. Każdy wiedział, kto załatwił syna Tommy'ego, więc fakt, że widywano ich teraz razem, stanowił jakąś gwarancję bezpieczeństwa dla niej i rodziny.

Ale przyjaźń oparta na wzajemnym szacunku powoli przechodziła w coś więcej. Tommy nagle zaczął bywać w Londynie prawie w każdy weekend i Maura często dotrzymywała mu towarzystwa. Minęły prawie dwa lata, zanim poszli ze sobą do łóżka, a byli wtedy po wielu drinkach. Przypieczętowali w ten sposób sprawę i tak zaczął się ich związek. Teraz Maura zastanawiała się, co dalej. Jak długo powinna to ciągnąć? W obecnym układzie sił ona była głową potężnego klanu Ryanów, a choć Tommy wiele znaczył w Liverpoolu, w Londynie raczej się nie liczył. Była zbyt przebiegła, żeby nie wiedzieć, iż ich związek będzie znacznie korzystniejszy dla Toma niż dla niej, co zresztą przy lada okazji wypominał jej Garry.

Ale obcasowość Toma w sprawach seksu, będąca wielką odmianą po Terry, i naturalna otwartość, z jaką mówił o sobie i swoim życiu, zbliżyły go do niej bardzo. Od niego nie oczekiwała czułości i delikatności. Doszło też do niej pocztą pantoflową, że porzucił dla niej swoją wieloletnią przyjaciółkę co potrafiła docenić. Dobrze wiedział, że w przeciwieństwie do jego żony nie będzie tolerowała żadnych przygód na boku. Maura przez całe życie dbała o to, by budzić respekt w swoim otoczeniu, nie mówiąc już o wrogach. Znowu zaczęła się zastanawiać, co dalej z nimi będzie.

Wyciągnęła rękę i pogładziła poduszkę, na której wiele razy spoczywała głowa Toma. Pomagał jej znosić wewnętrzną samotność. Nadal brakowało jej Terry'ego, mimo że budowała już sobie nowe życie bez niego. Stopniowo jego fotografie trafiały na mniej eksponowane miejsca w domu, a w sypialni wylądowały w szufladzie toaletki. Bolało ją serce, gdy widziała na zdjęciach, jak przytulają się do siebie, bolało nawet myślenie o nim, więc po prostu postanowiła wykreślić go ze swojego życia i ze swojej pamięci. W tym była dobra. Musiała być.

Od dziecka, od kiedy jej brat Anthony został zamordowany w więzieniu przez Stavrosa, ich rywała w interesach, uczyła się zacierać takie przeżycia w pamięci, aż wspomnienia wyblakną i wreszcie znikną. Dzięki temu przetrwała i chyba nie umiałaby już żyć inaczej. Jej nauczycielem był Michael i bardzo pragnęła, żeby mógł być teraz przy niej. Ciągle jeszcze odczuwała jego brak.

Zadzwoił telefon, wytrącając ją z zadumy. Zaczynał się kolejny pracowity dzień. Podniosła słuchawkę, uwalniając głowę od zbędnych myśli. Najważniejsze były interesy, nie mogła sobie pozwolić na leżenie w łóżku i sny na jawie, nawet w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin.

Wychodząc jakiś czas potem spod prysznic, mruknęła pod nosem:

- Chrzanić pięćdziesiątkę.

◆◆◆

Sarah dekorowała tort urodzinowy dla córki, mając nadzieję, że Garry i Roy namówią ją do zakopania toporu wojennego. Miała osiemdziesiąt siedem lat i czuła, że jej czas się zbliża. Chciała zawrzeć z Maurą pokój, jeśli byłoby to możliwe. Roy od śmierci Janine bardzo się zmienił: częściej chodził na mszę i miał w sobie jakiś spokój, który sprawiał, że lepiej się czuła w jego towarzystwie. To był jego pomysł, żeby matka i córka wreszcie ogłosiły rozejm i podjęły próbę przerwania między sobą mostu, choć Sarah powątpiewała, czy nawet tak słynny konstruktor jak Isambard Kingdom Brunei potrafiłby zbudować most wystarczająco mocny.

Gdyby jednak doszła z Maurą do porozumienia, być może odzyskałaby też wnuka. Spróbuje. Będzie próbować z całych sił, choć w głębi duszy nie cierpiała tej dziwki, którą urodziła.

Wzdrygnęła się na tę bluźnierczą myśl i zmówiła nowennę do Marii, Matki Bożej. Ale niechęć do córki nadal tkwiła w jej sercu, choć nikt poza Bogiem nie mógł zajrzeć tak głęboko.

◆◆◆

Roy i Benny kończyli śniadanie. Dobrze się czuli ze sobą, ale Roy odkrył, że po śmierci Janine to on bardziej potrzebował kontaktu z synem. Chciał mieć Bena koło siebie częściej niż kiedykolwiek przedtem. Pragnął wpływać łagodząco na jego zachowania, chociaż zdawał sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji.

- Tato, muszę się urwać na kilka godzin. A przy okazji, ogłoszę na fecie Maury nowinę.

- Co to takiego?

- Niespodzianka. Ale przyjemna.

Roy zamknął oczy, zanim zapytał cicho:

- Mam nadzieję, że nikogo nie zabiłeś?

Benny roześmiał się.

- Do jasnej ciasnej, tato, pewnie, że nie. Słuchając cię, ktoś mógłby pomyśleć, że jestem jakimś psycholem.

Roy ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, iż taka właśnie jest prawda znana im obu. Odwrócił wzrok. Benny złapał go za rękę i rzekł poważnie:

- Wiesz, co zalecił ci doktor. Nie zdręczaj się, tato.

Więści o załamaniu nerwowym Roya po śmierci Janine krążyły po przestępczym podziemiu i mówiono, że jest teraz Ryanem tylko z nazwiska. Nikt go jednak nie lekceważył, był przecież bratem Maury i ojcem Bena, a teraz Benny wraz z Garrym przejmowali pozycję królów londyńskiego podziemia. Ich połączone szaleństwo podnosiło włosy na głowach najgroźniejszych gangsterów, bo byli zupełnie nieprzewidywalni. Można było się im narazić byle czym, a wtedy szukali natychmiastowego rewanzu.

Krótko mówiąc, przerażali wszystkich, nawet własnych żołnierzy. Ludzie z organizacji i spoza niej zastanawiali się, jak długo Maura zdoła nad nimi panować. Ona sama też czasem się nad tym zastanawiała.

Roy doskonale wiedział, że zachowanie syna może doprowadzić do katastrofalnych następstw. Było to tylko kwestią czasu. Mógł ściągnąć nieszczęście na nich wszystkich i była to przerażająca perspektywa.

- Powiedz mi, synu, co znowu zbroiłeś?

Ben poczuł się dotknięty. Jego błękitne oczy, gdy patrzył na Roya, były niewinne jak oczy dziecka.

- Nic nie zbroilem, tato. Nic, choć może trudno ci w to uwierzyć.

Wyszedł z domu kilka minut później, a Roy wziął antydepresant, po który sięgał, kiedy miał kłopoty. Podczas rozmowy z synem miał przed oczami twarz zmarłej żony, która tyle razy błagała go, żeby trzymał Bena z dala od rodzinnych interesów. Wiedział, że miała rację. Od dawna się tym zadręczał, lecz czuł się bezradny.

Powtarzał błędy swojej matki, teraz to zrozumiał. Wychodował szaleńca, podobnie jak ona. Bo Michael też był szaleńcem. Uświadomienie sobie tego było prawie nie do zniesienia.

◆◆◆

Sheila i Lee wyprawiali dzieci do szkoły. Lee miał je podrzucić swoim nowiutkim busem. Większe auto stało się niezbędne. Pięciu synów i córka to spora gromadka, toteż Sheila wreszcie się ugięła i zgodziła na opiekunkę do dzieci. Dziewczyna była młoda, ładna i chętna do każdej usługi. Gdy uśmiechała się do Lee ponad głowami jego dwóch najmłodszych synów, miał ochotę powiedzieć jej, żeby spieprzała, ale żona ją lubiła i nie pozwoliła powiedzieć na nią złego słowa.

Sheila zmieniła się bardzo od śmierci Janine. Wcześniejsze zabójstwo Terry'ego też zburzyło jej spokój, ale na to, że Maura może ściągnąć na siebie nieszczęście, była przygotowana. Nigdy natomiast nie przychodziło jej do głowy, że oni także mogą być zagrożeni. Zrobiła się nadopiekuńcza w stosunku do dzieci, a niemiła dla Lee i choć wciąż ją kochał, ta sytuacja go męczyła. Do powrotu do domu skłoniły ją narodziny ich piątego syna, Jerome'a, ale wyraziła zgodę dopiero wtedy, gdy znalazł dom przypominający fortecę.

Spełniał wszystkie jej życzenia, ponieważ bardzo ją kochał i uwielbiał dzieci. Przez jakiś czas Sheila była kłębkim nerwów, ale kiedy Roy przeżywał załamanie nerwowe, to właśnie ona go odwiedzała i pomogła mu z powrotem stanąć na nogi.

Przedmiotem niepokoju Lee stały się bliskie kontakty żony z jego matką. Wiedział, że Sarah za jej plecami stara się wpływać na wnuki i urabiać je na swoją modłę.

Sheila naprawdę wierzyła, że ich samochód ma kuloodporne szyby, a jego wcale to nie śmieszyło, tylko smuciło. Miała nie mniejszą paranoję niż Roy. Zaczynała się też

zanieczyścić, a zawsze myślał, że na to sobie nigdy nie pozwoli. Rozumiał, że po tylu dzieciach miała prawo stracić figurę, ale ona nadal jadła jak koń i było to po niej widać.

Najbardziej jednak martwił się tym, że zmieniała się w stosunku do niego. Traktowała go jak idiotę, co go ścinało z nóg, Dwa razy omal jej nie powiedział, żeby zamknęła jadaczka ale w porę się pohamował. Miała nad nim władzę, wiedziała o tym i wykorzystywała to. Co się stało z jego ukochaną potulną żoną?

Wiedział, że najstarszy syn zaczyna się buntować przeciw narzucanym przez matkę rygorom i rozumiał chłopca. Gabriel oczekiwał, że będzie stawał po jego stronie, ale nie mógł tego zrobić, jeśli chciał zatrzymać żonę i dzieci przy sobie.

Porozmawia o tym z Maurą. Musi zrzucić to wszystko z serca, a siostra będzie najlepszą powierniczką. Garry by mu poradził, żeby po prostu stłukł Sheilę - i może nie byłoby to od rzeczy. W końcu całe imperium Ryanów oparte było na strachu i Lee dobrze wiedział, że strach zgina karki. Na dzisiaj jednak sam stulił uszy i robił, czego od niego wymagano. Co innego mu pozostało?



Tommy Rifkind jechał autostradą M1 ponad sto pięćdziesiąt na godzinę swoim ulubionym niebieskim rolls-royce'em corniche metallic. Nie mógł się doczekać wieczoru. Miał poznać matkę Maury i czuł, że to wielki krok naprzód. Wiedział, że u Sarah odbędzie się przyjęcie niespodzianka i że nie jest aranżowane przez Maurę, więc fakt, że Lee go zaprosił, wiele dla niego znaczył. Został oficjalnie uznany za kogoś ważnego w życiu Maury Ryan, a właśnie o to mu chodziło.

Joss Champion kręcił się nerwowo na siedzeniu pasażera. Nienawidził, kiedy szef prowadził, bo uważał Tommy'ego za gównianego kierowcę, co zresztą powtarzał przy każdej okazji.

- Girę z gazu, psiakręc, poluzujże, dobra?

Gdy zaczynał panikować, zawsze dochodził do głosu jego liverpoolski żargon.

Tommy zaśmiał się.

- Pamiętaj, że masz się dobrze zachowywać przy jej matce.

- Żadnego chlania i siorbania, jak to masz w zwyczaju, i żadnego bluzgania. Mówią, że jest bardzo religijna.

- Słyszałem to już pięćdziesiąt razy.

Tommy znowu się roześmiał.

- Tobie trzeba w kółko to samo powtarzać, Joss. Sam wiesz, jaki jesteś. Pamiętasz, jak ci się obrywało od mojej żony?

Twarz Jossa złagodniała.

- Brakuje mi Giny, a tobie?

Tommy zwolnił do stu dwudziestu kilometrów i odparł ze smutkiem:

- Jasne, że brakuje. Bardziej, niżbym kiedykolwiek pomyślał. Ale ona odeszła, a ja żyję i mam prawo do życia, stary.

- A gdybyś miał do wyboru: Maura albo z powrotem Gina, którą byś wybrał?

Tommy znowu wcisnął pedał gazu, krzyknąwszy w odpowiedzi:

- Pieprz się! Nie zadawaj więcej głupich pytań.

Był wkurzony i Joss dobrze o tym wiedział. I obaj znali odpowiedź: to nie byłaby Maura.

◆◆◆

Garry namiętnie pocałował Mary, swoją aktualną dziewczynę, a ona oddała mu pocałunek z impulsywnością siedemnastolatki.

Dziwił się sam sobie, że tak bardzo ją polubił. Odkąd po raz pierwszy zobaczył ją w tańcu erotycznym w swoim klubie, wiedział, że będzie jego. Jak postanowił, tak się stało. Nie zniechęcało go, że była nieletnia, przeciwnie, właśnie to go pociągało.

Od blond włosów po czerwone paznokcie u nóg była uosobieniem wszystkiego, czego wcześniej nie znosił u kobiet, a co teraz, u niej, wydawało mu się szczególnie atrakcyjne. Była dziwką, częściej ujeżdżaną niż słynny Red Rum. Trzymanie jej w cuglach bardzo go kręciło. Nawet gdy nią poniewierał, nigdy nie płakała. Rozpaczliwie walczyła o jego uczucie i była gotowa znieść wszystko.

Był ogarnięty obsesją - oszalał na punkcie jej małych piersi, które pragnęła chirurgicznie powiększyć, i jej ograniczonej inteligencji. Nie umiał trzymać rąk z dala od niej, ale życzył sobie, żeby dalej pracowała. Wiedział, że Mary wolałaby żeby był zazdrosny i nie pozwolił jej tańczyć pięć nocy w tygodniu. Nienawidziła tańca przy rurze i siadania klientom na kolanach. Miało to być tylko środkiem do celu i stało się zbędne, gdy znalazła chodzący portfel, o co jej zawsze chodziło. Zresztą od kiedy wiadomo było, że jest dziewczyną Garry'ego i tak nikt nie chciał się z nią zabawiać.

Tupnęła małą stopką, gdy powiedział jej, że ma dzisiaj pracować, co go rozśmieszyło i znowu ją pocałował. Zerknąwszy na zegarek, uznał, że wystarczy mu czasu na szybki numer, zanim wyruszy z domu.

Kiedy w nią wszedł, było już po nim. Wiedziała, że tylko taką ma nad nim władzę i wykorzystywała to bezwstydnie.

- Dobrze ci, Gal, co?

Wydał z siebie jęk rozkoszy, ale wyrwał ją z ekstazy, szepcząc jej w ucho, gdy się już z niej wysuwał:

- W twojej norce czuję się jak pieprzony Dyson, król odkurzaczy. - Klepnąwszy ją w pupę, ryknął - Jestem spóźniony jak diabli. Przez ciebie!

Ostatecznie jednak zadowolił ją i zostawił w dobrym nastroju.

◆◆◆

Carol Parson ucieszyła się na widok mężczyzny stojącego u drzwi wejściowych.

- Cześć, Benny. - Jej głos rozbrzmiewał autentyczną radością. - Dlaczego nie otworzyłeś kluczem?

Pozwolił jej wprowadzić się do swojego domu trzy miesiące temu i Carol jeszcze nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

- Zobaczyłem na zewnątrz jakiś obcy samochód, więc pomyślałem, że lepiej zapukam, bo może w czymś przeszkadzam.

Twarz Carol zachmurzyła się.

- Nie bądź niemądry, Benny. To kumpel mojego brata Trevora. Podrzucił mi laptopa.

Benny uniósł brwi.

- Laptopa? To coś nowego.

Carol była bliska płaczu.

- Błagam, Ben, nie teraz.

Do holu wszedł wysoki przystojny blondyn o atletycznej budowie. Benowi nie przypadł do gustu od pierwszego wejrzenia.

- Coś nie tak, stary?

Benny potrząsnął głową.

- „Coś nie tak, stary?”. Tylko tyle masz mi do powiedzenia, kiedy przychodzę do własnego domu i znajduję cię tu z moją dziewczyną?

Chłopak zbladł ze strachu.

- Spoko, chwileczkę...

Carol wiedziała, co się święci.

- Idź do domu, Paul. Po prostu idź do domu, nie ma z nim dyskusji, kiedy jest w takim nastroju.

Benny nie wierzył własnym uszom. Jak śmiała odezwać się tymi słowami i tym tonem?

- Czy się nie przestyszałem? - wycedził.

Paul przeszedł przez hol. Przy drzwiach wejściowych odwrócił się i zapytał Carol:

- Jesteś pewna, że poradysz sobie sama?

Gdy dostał w bok paralizatorem, padł na podłogę jak worek kartofli. Benny zaczął kopać nieprzytomnego chłopaka. Wrzaski Carol ściągnęły Abula. Odciągnął Bena od ofiary i wepchnął go do kuchni.

- Przestań, Ben! Przestań, do kurwy nędzy, ktoś może wezwać gliny.

Zaniepokojony głośnymi krzykami przerażonej Carol Abul przyciskał przyjaciela do piersi, próbując go uspokoić.

- Carol to dobra dziewczyna. Wiesz o tym. Stracisz ją, jak nie skończysz z tymi napadami zazdrości. Wyluzuj wreszcie, pogłówkuj trochę.

Benny trząsał się z wściekłości, która jeszcze nie znalazła ujścia.

- Zajebię i jego, i ją. Jeśli odkryję, że sobie ze mną pogrywa, odetnę jej głowę.

- Porąbało cię, Ben? Ile koki dzisiaj wciągnąłeś, co? Przez to robisz się gorszy niż jesteś, a i bez tego pojebany paranoj z ciebie. Idź tam i ugłaskaj dziewczynę, jest w strasznym stanie.

Kumpel mówił nie od rzeczy, ale Benny nadal nie mógł pogodzić się z faktem, że zastał Carol sam na sam z innym mężczyzną.

- Dlaczego to zrobiła? Wie, jaki jestem.

Abul wziął głęboki wdech, zanim odpowiedział.

- To normalna dziewczyna, Benny, nie ukryjesz jej przed facetami, którzy chodzą po tym pieprzonym świecie. Nawet ty jej nie ukryjesz.

Żałosne zawroty głowy Carol zaczęły wreszcie docierać do uszu Bena. Uwolnił się z uścisku Abula i wyszedł do holu. Objął Carol ramieniem i już spokojnie poprowadził ją do sypialni.

- Przepraszam, Cal. Niech mnie pokręci, żałuję. Nie mogę sobie poradzić... za bardzo cię kocham. Szaleję za tobą. Obiecuję, że wszystko naprawię, przyrzekam, wszystko będzie dobrze.

- Nie zniosę tego więcej, Benny. Znam Paula od urodzenia, to najlepszy kumpel Trevora. Chodzi z moją siostrą. Co ja powiem mojej rodzinie, kiedy się o tym dowiedzą? Wiesz, jaki jest mój ojciec. Wpadnie w szal.

Benny już miał chlapać, że najchętniej wysłałby jej ojca i całą jej pieprzoną rodzinę w kosmos, ale się pohamował. Powiedział tylko:

- Dopilnuję, żeby Paul nie pisnął ani słowa, OK? Przepraszę go, postawię mu drinka, zrobię tak, żeby nikomu nic nie mówił. Przyrzekam, że to będzie załatwione.

Wpatrzona w jego przystojną twarz Carol zastanawiała się, dlaczego nie może przestać kochać tego dzikiego faceta. Ale kiedy byli razem, tylko we dwoje, był zupełnie inny, czuły i kochający. No, w każdym razie często taki był.

- Ben, czy on jest ciężko ranny?

Kiedy zadała to pytanie, wiedział już, że wygrał, i przytulił ją mocno.

- Oczywiście, że nie. Nic mu nie jest.

Słyszał, jak w holu Abul pomaga tamtemu wstać i miał nadzieję, że chłopak nie jest zanadto poturbowany.

- Obiecuj mi, że z tym skończysz. Proszę, Ben, obiecasz mi, że z tym skończysz? Zwłaszcza teraz, kiedy...

- Będziemy mieć najwspanialsze wesele, zobaczysz.

- Nie tylko o wesele chodzi, Ben. Jestem w ciąży.

Jego twarz rozjaśniła się radością, więc mocno zabiło jej serce, choć wolałaby mu o ciąży powiedzieć w innych okolicznościach, a nie po akcie brutalnej przemocy w ich własnym domu. Wyobrażała sobie wcześniej, że mówi mu o tym, gdy szczęśliwi trzymają się w objęciach.

- Dziecko, Cal? Prawdziwe?

Kiwnęła głową.

- Płaczące, krzyczące, najprawdziwsze.

Przytulił ją mocno, ale nagle rozluźnił uścisk.

- Przepraszam, Cal, nie chciałem cię tak mocno przycisnąć.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie pokruszę się, Ben. Tylko nie narażaj mnie na takie wstrząsy teraz, kiedy jestem w ciąży. Nie powinnam się bać i stresować...

Jej głos drżał od wstrzymywanych łez, więc w porywie czułości wziął ją na ręce i ułożył delikatnie na wielkim, podwójnym łóżku. Wybiegł potem do holu i usłyszała, jak pokornie przeprosza Paula i prosi go o zachowanie tajemnicy. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu jego pełen skruchy głos sprawił, że zrobiło jej się jeszcze bardziej smutno. Rozglądając się po dużej, pięknej sypialni, poczuła, że ten luksusowy bungalow jest niczym więzienie, z którego teraz, nosząc w sobie jego dziecko, nie będzie mogła już nigdy uciec.

◆◆◆

- Z dzisiejszego wieczoru nic dobrego nie wyniknie, mówię ci, Dennis.

Głos Marge był donośny i kategoryczny jak zwykle, a jej mąż złapał tylko za autopilota, bo nie miał zwyczaju z nią polemizować.

- Jej matka robi to tylko po to, żeby wywołać rozróbę - dodała Marge. - Znam ją nie od dziś.

Krzętała się z właściwą sobie werwą po nowej kuchni w rustykalnym stylu, na twarzy miała swój przesadny jaskrawy makijaż, choć była dopiero dziesiąta rano, a jej bujne kształty skrywała długa powiewna tunika.

- Chodź do łóżka, Marge. Nie ma dzieci, wykorzystajmy te pół godzinki dla siebie.

Roześmiała się.

- To już nie jest najlepszy sposób na zamknięcie mi buzi, czas zrobił swoje, kochanie. Wołałabym raczej filiżankę herbaty. Boy George i ja, pomyśl, staruszk. Pasowalibyśmy do siebie, co?

Dennis roześmiał się. Kochał tę swoją puszystą żonkę. Nawet jej marudzenie było niczym muzyka dla jego uszu. Była lojalna i uwielbiał ją, mimo że ważyła ponad sto kilogramów i zużywała takie ilości cieni do powiek, że nie prześcignąłby jej w tym nawet Boy George, jej idol.

- Kocham cię, Marge.

Powiedział to z uczuciem, nie zdawkowo. Podeszła do niego i przytuliła się.

- I ja cię kocham, ty stary, łysy bałwanie.

Pocałowali się. Tak było zawsze, gdy byli ze sobą dłużej niż pięć minut.

- Pięćdziesiąt, powiadasz? Maura ma pięćdziesiątkę? Nie wygląda na tyle.

- Nie, nie wygląda, ale ona czuje te lata. Kocham ją i żal mi jej bardzo. Choć ma ciuchy, pieniądze i wielkie domy, nie ma tego, co my: dzieci i siebie nawzajem. Znam ją lepiej niż ktokolwiek inny, w jednej chwili pozbyłaby się tego wszystkiego, gdyby mogła mieć w zamian to, co my mamy.

Dennis dolał im jeszcze herbaty.

- Przecież ma teraz tego faceta Toma. Wydaje się, że on jest w porządku.

Marge wyduła wargi i prychnęła raczej jak koń niż dama.

- Nie lubię go, Den. Nie wiem dlaczego. Po prostu mu nie ufam. Dziwne, prawda? Powinnam się cieszyć, że Maura kogoś sobie znalazła, i cieszyłabym się, gdyby to był ktokolwiek inny, nie on.

- Ta twoja babska intuicja!

Pociągnęła łyk herbaty i usiadła przy wyszorowanym sosnowym stole, który zajmował centralne miejsce w jej nowej kuchni.

- Ciągle czuję się winna z powodu Terry'ego. Gdybyśmy jej z nim nie poznali, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej...

Głos jej się załamał, więc Denny ujął ją za rękę i ucałował pulchne palce.

- To było ponad trzydzieści lat temu.

- Och, nie przypominaj mi. Jak to możliwe, Den? Kiedy się tak zestarzeliliśmy?

Roześmiali się.

- Nie wiem, po prostu starość jest podstępna. Zapakowałaś prezent dla Maury?

Kiwnęła głową.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że będzie się jej podobał.

- Ja też. Kosztował niemało.

Marge machnęła ręką.

- Przecież nie mogłam jej kupić czegoś w Marksie and Spencerze, przyznaj.

- Raczej nie mogłaś. Skądinąd Maura wie, że nie mamy takich pieniędzy jak ona.

Marge nie słuchała już, obserwowała przez okno, jak najstarsza córka i jej mąż, Sikh, wyciągają dzieci z samochodu.

Dennis podążył za wzrokiem żony i westchnął.

- Kiedy się pobierali, każde z nich miało ponad dwadzieścia lat, Marge. W końcu musisz się do tego przyzwyczać.

- Przyzwyczyłam się i kocham te dzieci, wiesz o tym. Ale boli mnie, że ona siedzi w takim gównie, i wiem, że ją też to boli,

- Jest dorosła, Marge. Ich dzieci już dorastają. Zostaw ją w spokoju, niech sami to rozwiążą. Czepiasz się nieraz tej cholерnej Sarah Ryan, a sama nie jesteś lepsza.

Marge nie zdążyła zareplikować, bo w ich nowej kuchni pojawiła się córka.

- Och, mam, diablo tu ładnie.

- Podoba ci się? Siadaj, zrobię wam dobrej herbaty.

Dennis uśmiechnął się pod wąsem. Żona jak zwykle demonstrowała nienaganne maniere na użytek zięcia. Była prawdziwym okazem, ale kochał ją bezgranicznie.

Rozdział 7

Sarah zlustrowała stół zastawiony jedzeniem. Miała nadzieję, że nie pracowała cały dzień na darmo. Nie dopuszczała myśli, że Maura mogłaby odtrącić jej wyciągniętą do zgody rękę. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby pogodziła się z córką, zanim stanie przed obliczem Stwórcy. Bo przecież spotka się tam z mężem, Benjaminem Seniosem, i jak spojrzy mu w oczy, jeśli opuści tę ziemię poróżniona z jego ukochanym dzieckiem?

Rozejrzała się po kuchni. Dom na Lancaster Road w Notting Hill został kupiony przez Michaela i teraz należał do jej córki. Sarah dobrze wiedziała, że mieszka tu i żyje w komforcie, bo tak zarządziła Maura i nigdy tego matce nie wypominała. A skoro tak, może

jest dla nich jakaś nadzieja na porozumienie. Gdyby udało jej się sprowadzić córkę ze złej drogi, mogłaby umrzeć spokojnie.

Często teraz rozmyślała o śmierci. Chciała spotkać męża i synów, którzy dawno odeszli, nawet Michaela, który - nie wątpiła w to - też trafił do Królestwa Niebieskiego i jest teraz miłym człowiekiem. Nie uwierzyłyby, że Bóg Wszechmogący mógłby umieścić jej dzieci gdziekolwiek indziej. Czyż nie modliła się latami, żeby ich dusze spoczywały w spokoju?

Maura łagodniała z wiekiem i, jak Sarah słyszała od Roya, większość nielegalnych interesów przekazywała Galowi i Benowi. Właśnie to podsunęło Sarah pomysł, żeby nakłonić córkę do powrotu na łono Kościoła, do katolickiej trzódki. Gdyby Maura przeszła przemianę, może zmieniłby się także Benny,

Całym sercem kochała wnuka, niech Bóg ma go w swojej opiece. To był jej Michael, na nowo narodzony, i właśnie ze względu na Bena musiała spróbować pogodzić się z Maura.

Jeśli to się uda i odzyska w Maurze córkę, prawdziwą córkę, wtedy być może wspólnie przekonają Bena, że kroczy złą ścieżką. To wszystko jest przecież takie proste. Żałowała, że nie pomyślała o tym wiele lat temu.

W radosnym nastroju kręciła się po kuchni, dorabiając kanapki i dokładając ciasteczka. Dziś wieczorem nastąpi jej triumfalne pojednanie z córką.

Była tego pewna.



Benny dotarł do Mamy tuż po dwunastej. Myślami była przy Michaelu i nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że to on stanął przed nią. Dopóki Ben nie przemówił.

- Wszystko w porządku, Maws? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Z dnia na dzień robisz się coraz bardziej podobny do Michaela - odparła.

Benny był wniebowzięty. Wuj Michael był jego idolem. Benny odnajdywał starych wyjadaczy, dawnych kumpli nieżyjącego wuja, żeby wyciągnąć od nich jakieś anegdoty o nim. Tak bardzo chciał się upodobnić do Michaela, że próbował naśladować nawet jego dziwactwa.

Uśmiechnął się do ciotki.

- Chcę się wkraść w twoje łaski. Wyglądasz ślicznie. Zupełnie nie jak pięćdziesiątka.

Zirytował Maurę. Przymknęła oczy, myśląc w duchu, że jeżeli jeszcze raz usłyszy o pięćdziesiątce, niechybnie zrobi komuś krzywdę.

- Tak uważasz?

Benny uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Powiem ci coś w tajemnicy. Ja i Carol zdecydowaliśmy, że się pobierzemy. Ogłoszę to dzisiaj. Właśnie mi powiedziała że będzie miała dziecko, i w ogóle.

Maura rozpromieniła się.

- To cudowna wiadomość. Moje gratulacje.

Benny sprawiał wrażenie stremowanego. Zdziwiło Maurę, że z takim przejęciem i onieśmieleniem przekazuje tę wiadomość. Zabrał się nawet do robienia herbaty, by ukryć wzruszenie. Najwyraźniej był szczęśliwy. W Maurę wstąpiła nadzieja na przełom w jego życiu. Miał zakodowaną w genach lojalność wobec rodziny, więc mając dziecko, powinien usatkwować się i wyciszyć.

Oby tak się stało.

- To najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki mogłam dostać. Cieszę się razem z tobą, Ben - powiedziała, by go ośmielić.

Postawił czajniczek na stole i gdy nalewał herbatę, Maura nie po raz pierwszy obserwowała z rozbawieniem, z jakim namaszczeniem to robi. Kiedy już usiadł naprzeciwko niej, powiedział poważnie:

- Maura, jestem potwornie zazdrosny o Carol, zniszczę przez to nasz związek. Nie dam sobie z tym rady. Kocham ją jak wariat, mógłbym eksplodować z miłości, i wystarczy, że zobaczę, jak rozmawia z innym, żebym chciał zabić oboje... chociaż wiem, że Carol nie zrobiłaby niczego, co mogłoby mnie zranić. Ale boję się, że może kogoś polubić bardziej niż mnie, rozumiesz?

Jego oczy wyrażały prawdziwą udrękę. Ujawniał najskrytsze uczucia i Maura zdała sobie sprawę, że przyjście do niej z tym problemem musiało go dużo kosztować.

- Martwię się, że Carol otworzą się oczy. Uświadomi sobie, że jestem łajdakiem. Ignorantem i głupkiem w porównaniu z innymi.

Maurze ze współczucia niemal zbierało się na łzy. Mówił od serca i pokonał dumę, zmuszając się do zwierzeń. Oznaczało to, że jej ufa, że jest dla niego autorytetem. Mogła sobie pogratulować.

Patrzyła na jego zgnębioną twarz i nagle poczuła potrzebę ucieczki: od niego, od rodziny, od wszystkiego. Przychodzili do niej ze wszystkim, jakby ona sama nie mogła mieć własnych problemów. Ponieważ nie miała dzieci, nie miała też według nich prawa do własnego życia. Zawsze tak było. Zwalczyła odruch buntu.

Odezwała się spokojnie:

- I co masz zamiar zrobić? Zastanawiałeś się nad tym? Myślałeś, w jaki sposób mógłbyś zapanować nad takimi zachowaniami?

Kiwnął głową i pociągnął łyk parzącej język herbaty.

- Zastanawiałem się nad kursem kontrolowania agresji. Co o tym myślisz?

Mówił z taką determinacją, że znów ją wzruszył. Jednocześnie o mało się głośno nie roześmiała. Benny na kursie kontrolowania agresji? Król Airfixa z Essex? Człowiek, który w dzień i w nocy nosił ze sobą pałkę elektryczną, na wypadek gdyby ktoś ośmielił się wejść mu w drogę.

A jednak wiedziała, że Benny mówi poważnie. Że chce się zmienić, byle nie stracić swojej Carol.

Roześmiała się mimo woli, to było zbyt zabawne. Benny też zaczął się śmiać, choć był zdenerwowany.

- Dlaczego uważasz, że to nie jest dobry pomysł?

Rozczulał ją swoją niepewną miną.

- To zależy tylko od ciebie, Ben. Ale myślę, że powinieneś porozmawiać o tym z Carol, a nie ze mną. To ona nosi w sobie twoje dziecko i to ona potrzebuje gwarancji bezpieczeństwa.

Zorientowała się, że Ben zaczyna żałować, iż jej się zwierzył. Tak bywa, gdy w grę wchodzi najskrytsze uczucia: ktoś odkryje przed tobą duszę, a potem ma ci to za złe. Taka jest ludzka natura, pomyślała filozoficznie.

- Głupi świr ze mnie, co? Ale chcę coś z tym zrobić Maws. Znowu mnie poniosło dziś rano i śmiertelnie ją wystraszyłem. Nie mogę znieść myśli, że ją krzywdzę. Nawet podczas napadu szału wiem, co wyczyniam. No więc wiem, ale nie mogę zapanować nad wściekłością. Przesłania wszystko inne. Oślepia mnie.

Ścisnął ją mocno za rękę.

- Pomóż mi, Maws. Jesteś jedyną osobą, której posłucham, wiesz o tym.

- Michael był taki sam. I Garry jest taki. Bardzo przypominasz mi Michaela: to samo słyszałam nieraz od niego. Radzę ci, porozmawiaj z Carol i wyjaśnij jej, jak to z tobą jest. To forma nienawiści do samego siebie. Nie czujesz się dla niej dość dobry, prawda?

Pokiwał głową, zadowolony, że go zrozumiała, że mógł się przed nią wyżalić, nie czując się przy tym głupkiem, choć nie bardzo w smak mu było, co mówiła.

- Musisz uwierzyć, że jesteś jej wart. Znajdź w sobie siłę, żeby powstrzymać się od robienia scen o byle co. Rozumiesz, o czym mówię, Ben? Musisz się pilnować, żeby swoim zachowaniem nie unieszczęśliwiać Carol, a przez to i siebie. Okazuj jej szacunek i uznaj jej prawo do kontaktów z innymi ludźmi. Ona cię kocha, Ben, chyba to widzisz, prawda? Na pewno cię kocha, skoro pomimo tylu numerów, które jej wyciąłeś, nadal jest przy tobie.

- Masz rację, Maws - odparł.

Wyraźnie się rozluźnił, jakby zdjęto z jego barków ciężar zmartwień całego świata.

- Odtąd będę zostawiał ten pieprzony paralizator w samochodzie - dodał. - Będę brał głęboki oddech i powtarzał sobie, że ją kocham i nie mogę jej krzywdzić.

- O to chodzi, Ben. Mówisz do rzeczy. Jeszcze herbaty?

Potrząsnął głową.

- Nie, Maws. Muszę wracać. Chcę ją gdzieś zabrać na kilka godzin przed dzisiejszą uroczystością...

- A co się dzisiaj dzieje?

Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

- Niedługo się dowiesz. - Podniósł się z krzesła i uścisnął ją przez stół. - Dziękuję, ciociu Mauro. Ulżyło mi.

- Wszystko będzie dobrze, Ben, tylko musisz panować nad swoim temperamentem. Niech ci się przydaje w robocie ale rodziny nie tykaj. A Carol jest teraz twoją rodziną. Pamiętaj o tym.

Kiwnął głową.

Kiedy wyszedł, Maurę ogarnął smutek. Miała zepsuty dzień. Benny jest pomyłką, wszyscy to wiedzą. W ułamku sekundy potrafi przejść od żywiołowej wesołości do nieokleśnanej wściekłości. Jakie przekleństwo dotknęło jej rodzinę, skąd tylu narwańców wśród Ryanów? W głębi duszy winiła za to matkę. Czy gdyby żyło jej własne dziecko, też byłoby takie? Odrzuciła tę myśl - ona, Maura, nie dopuściłaby do tego. Janine i Sarah dorobiły się takich synów, bo miały obsesję na ich punkcie. Za to ani jedna, ani druga nie miała nigdy czasu dla swojej córki. To nie żadne przekleństwo, tylko grzechy matek, pomyślała Maura i westchnęła, znowu ogarnięta smutkiem.

Po chwili rozchmurzyła się na myśl o Bennym na warsztatach kontrolowania agresji. Wyobraziła sobie nagłówki w gazetach: „Uczestnik warsztatów kontrolowania agresji skleja oczy instruktorowi i atakuje go paralizatorem”.

W rzeczywistości wcale nie było to zabawne, ale nie mogła powstrzymać chichotu.

Ładując zmywarę, zastanawiała się, jak będzie wyglądało dalej jej życie. Skończyła pięćdziesiąt lat, była otoczona przez rodzinę oszołomów, których kochała, ale nie miała dzieci, które byłyby prawdziwą radością.

Zamknęła na chwilę oczy, znowu dopadło ją poczucie osamotnienia. Najlepiej będzie, jeśli wywikła się z interesów i zacznie używać życia, dopóki nie jest za późno. To było jedyne

rozsądne wyjście. Jeśli nie zrobi tego teraz, nie zrobi nigdy. Poświęcała się dla rodziny, ile mogła, i nadszedł wreszcie czas, by zadbać o siebie.

Oczami wyobraźni ujrzała Terry'ego uśmiechającego się do niej i poczuła ukłucie bólu. Otrząsnęła się z tego i wyszła z domu.

Już w samochodzie zaczęła się zastanawiać, dokąd do cholery ma jechać. Nie po raz pierwszy jechała donikąd. Od jakiegoś czasu regularnie się to powtarzało.

Pewne było tylko, że w końcu wyląduje przy grobie Michaela. Nawet kiedy postanawiała, że nie pojedzie na cmentarz, i tak właśnie tam kończyła się jej wyprawa. Tęskniła za nim i przy jego grobie odzyskiwała pewność siebie. Dlaczego tak się działo, nie wiedziała - nie żył przecież od tak dawna.

A jednak jej pomagał.



Sheila i Sarah przyglądały się szalejącym na dworze dzieciom. Śmiały się z wyczynów najmłodszego i jedynej dziewczynki, z którą chłopcy obchodzili się niezwykle szarmancko.

- Sarah, jedzenie wygląda wspaniale.

Staruszka wzruszyła ramionami.

- To wszystko ulubione rzeczy Maury. Pamiętam, jak chętnie mi pomagała, kiedy była małą dziewczynką. Była dobrym dzieckiem.

- Wszystkie dzieci są dobre.

Sarah uśmiechnęła się.

- Nie wszystkie. Garry był diabłem od pierwszego dnia, od pierwszego oddechu. Przez całe życie doprowadzał mnie do obłędu, on i jego niesamowita pomysłowość. Omal nie zabił kiedyś mojego Benny'ego.

Przez parę minut siedziała w ciszy, a potem dodała smutno:

- I tak go zabili, więc może byłoby lepiej, gdyby to się stało wtedy. Torturowali go, wiedziałas o tym? Mój Benny. Mój chłopczyk. Miał bolesną, straszną śmierć.

Obydwie się wzdrygnęły. Głowę Benny'ego znaleziono na Hampstead Heath. Na twarzy Sarah pojawiły się łzy i Sheila delikatnie objęła ją ramieniem.

- Nie rozpamiętuj tego.

Ale Sarah wyczuła w jej głosie lęk.

- Tak tylko wspominam, jak to w moim wieku. Michael miałby teraz grubo ponad sześćdziesiątkę. Czasem z trudnością uzmysławiam sobie, jaka jestem stara. Michael miałby dokładnie sześćdziesiąt pięć lat. Możesz to sobie wyobrazić?

- Mam nadzieję, że moje dzieci dożyją starości.

- Też tego chciałam, ale tak się nie stało. Przynajmniej w ich przypadku. -
Uśmiechnęła się. - Zresztą Michael nie potrafiłby znieść życia emeryta.

Roześmiały się i ponury nastrój minął.

- Za to Lee był dobrym chłopcem. Po prostu ulega braciom, zawsze tak było. Pamiętaj o tym, Sheila, kiedy będziesz na niego zła.

Poszła zrobić sobie kolejną filiżankę herbaty.

Sheila bacznie obserwowała dzieci. Była wyczulona na złe cechy Ryanów, zdecydowana tępić je w zarodku u własnych dzieci. Przysięgła sobie, że ona nie złoży do grobu żadnego z nich.

Godzinę później dom był pełen gości i wszyscy czekali tylko na przybycie jubilatki. Carla wyglądała fantastycznie, była dziś niesamowicie odszykowana. Każdy jej mówił, że wspaniale wygląda, więc chodziła napuszona jak paw.

Gdy Benny i jego dziewczyna prawili komplementy Carli, Sheila zerknęła w lustro i zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia sama się zaniedbała. Wprawilo ją to w przygnębienie. Kiedyś wyglądała atrakcyjnie i Lee ją adorował. Wiedziała, że nadal ją kocha, ale od śmierci Terry'ego i Janine w ich związku pojawiła się jakaś skaza.

Zobaczyła, że Roy całuje córkę, i pomyślała o nim z sympatią. Kojarzył jej się ostatnio z wielkim pluszowym misiem. Uszło z niego życie, jakby wraz ze śmiercią żony w nim też coś obumarło.

Pomachała Marge i Dennisowi, gdy wchodzili do pokoju. Marge miała na sobie ciepły płaszcz z wielbłądziej wełny, no i ten porażający makijaż na twarzy. W tym momencie mąż wyszeptał jej w ucho:

- O czym myślisz, Sheila?

Odwróciła się do niego i pocałowała go spontanicznie, zobaczyła na twarzy Lee miłe zaskoczenie i radość. Chciała powiedzieć, że bardzo go kocha, i przeprosić za swoją oziębłość. Ale zanim zdążyła otworzyć usta, do pokoju wszedł nieznany jej mężczyzna. Był dobrze ubrany i przystojny. Sarah Ryan bardzo ciepło go witała i Sheila domyśliła się, że to Tommy Rifkind, konkubent Maury, jak się teraz zwykło mówić o kochanku. Wyglądał wspaniale, to prawda, ale była zaskoczona, że wzbudził w niej tak silne emocje. Jakby serce miało jej wyskoczyć z piersi. Gdy patrzyła, jak Carla mizdrząc się, zmierza w jego kierunku, poczuła chęć, żeby wymknąć się do domu, przebrać się i powrócić szczupłą i piękną jak niegdyś. Bardzo chciała, żeby ten mężczyzna zwrócił na nią uwagę.

Oblała się rumieńcem aż po nasadę włosów.

Patrząc na stojącego przed nią mężczyznę, Sarah Ryan pomyślała, że co jak co, ale jej córka może jeszcze przebierać w facetach. Rifkind zdecydowanie przypadł jej do gustu, lecz jego ochroniarz nie bardzo. Wyglądał jak goryl ubrany w garnitur, kiedy jednak się do niej uśmiechnął, gdy podała mu rękę, i zrobił ruch przypominający dygnięcie, rozbawił ją i wszystkich.

Tommy przewrócił oczami, ale powiedział miękko:

- On się denerwuje w nowym towarzystwie. To mój przyjaciel od najdawniejszych lat, Joss Champion.

Benny klepnął Jossa w plecy i zabrał go do kuchni na drinka. Sarah gawędziła z Tomem Rifkindem i zastanawiała się, co ci wszyscy faceci widzą w jej córce. Czy chodziło o ten jej chłód, fascynujący wielu mężczyzn? Czy o ogromne piersi, jakby pożyczone od potężniejszej kobiety? Choć Maura starała się ich nie eksponować, nie dawały się ukryć przed światem. Sarah skarciła się w myśli za małostkowość, przypominając sobie, że wyzwaniem na dzisiaj jest budowanie mostów, i skoncentrowała się na rozmowie z Rifkindem. Musiała przyznać, że go od razu polubiła, nawet bardzo. Czy jednak potrafi wpłynąć na Maurę, czy przywróci jej rozum? Nie wiedzieć czemu, szczerze w to wątpiła.

Zadzwoił telefon uprzedzający o przybyciu Maury i Benny przygasił światła. Wszyscy stali w ciemności, czekając, aż Garry wprowadzi ją do domu. Tommy czuł nerwowe napięcie wśród obecnych i miał nadzieję, że nie dojdzie do żadnej sceny. Nienawidził scen.

Jego żona Gina była spokojną osobą, natomiast wszystkie jego laski były strasznymi jędzami, krzykliwymi dziewczuchami o donośnych głosach i burzliwym życiem. Robił się na to za stary. Sączył drinka i starał się nie zerkać na seksownie ubraną bratanicę Maury o uwodzicielskim spojrzeniu. Dobrze wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, łatwo wpakuje się w kłopoty.

Bo Tommy Rifkind za bardzo lubił kobiety. Taki już był.

◆◆◆

- Co to znaczy, że mama jest chora? A jeśli tak, to chyba jestem ostatnią osobą, którą chciałyby widzieć.

Garry zaczynał się niecierpliwić. Przez całą drogę klócił się z siostrą.

- Chce cię zobaczyć, rozumiesz. Do cholery, Maura, ona jest twoją matką, dzisiaj są twoje pięćdziesiąte urodziny i starsza pani chce zobaczyć swoją jedyną córkę. Powiesz jej dzień dobry, i tyle. Potem pojedziemy do „Ivy”...

- A więc niespodzianka jest w „Ivy”, tak?

Maura stłumiła śmiech.

- No dobra, wypuściłem kota z worka. Tylko mnie nie zdradź. Udawaj zaskoczoną, obiecujesz?

Miał nadzieję, że Maura nie urządzi sceny, gdy okaże się, że nie ma żadnego przyjęcia w „Ivy”. Naprawdę nie był w nastroju.

- Obiecujesz, Maws?

Skinęła głową.

Byli już pod domem na Lancaster Road i Maura westchnęła, patrząc na ponurą fasadę oraz ciemne okna.

- A więc chodźmy, miejmy to już za sobą. Ale jeśli ona znowu zacznie, pojedę do domu, nie żartuję.

- Och, zamknij się wreszcie, stara, smętna krowo.

- Tylko nie stara, wypraszam sobie.

Garry otworzył drzwi kluczem i weszli do środka. Maura od lat nie była w tym domu i natychmiast poczuła wszechobecny zapach jedzenia - jak w dzieciństwie. A gdy weszli do salonu i zapłonęło światło, ujrzała zgromadzoną całą swoją rodzinę i przyjaciół, a w środku, wyciągając do niej ramiona, stała matka.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, córeczko.

Głos Sarah, starczy i chrapliwy, brzmiał przyjaźnie. Maura padła w jej objęcia bez sekundy zastanowienia.

Tommy poczuł, że panujące w pokoju napięcie ustąpiło. Przykleił uśmiech do twarzy i kontrolował się, żeby nie zerkać zbyt często na apetyczną Carlę.

Był jednak przez cały czas świadomy jej obecności, a ona jego.

◆◆◆

Maura stała w ogrodzie z Tommym i Joeyem. W domu szły wśród chłopców zakłady, kiedy Joss przestanie jeść. Sarah natychmiast pokochała go za szczere zainteresowanie jej kulinarną ofertą.

Choć Maura odwzajemniła uściski matki, pozostała chłodna. Sarah wiedziała, że musi upłynąć sporo czasu, zanim będą znowu na dobrej stopie. Może już w ogóle nigdy nie będzie między nimi tak jak przed wielu laty, zanim Maura dorosła i stała się dla niej obcą osobą, której nie chciała znać, a tym bardziej kochać. Sarah nadal nie rozumiała, że główną przyczyną nieporozumień między nimi było to, że nie potrafiła pogodzić się z utratą kontroli nad życiem córki.

Tommy przytulił Maurę, a ona pozwoliła mu na to. W innych okolicznościach dyskretnie by się odsunęła, ale dzisiaj chciała, żeby wszyscy widzieli ich razem. Uśmiechnęła się do Carli, gdy bratanica pojawiła się w ogrodzie z wielką tacą.

- Dziękuję, Carla. Jedzenie jest wspaniałe, prawda?

- I jest go bardzo dużo. Niezły zawodnik z tego twojego przyjaciela, Tommy. Od dwóch godzin nie przestaje jeść.

Roześmiali się, a Maura patrzyła na nich, zadowolona, że się dogadują. Carla polubiła Toma od pierwszego zetknięcia się z nim i Maura wiedziała, że on też lubi jej bratanicę. Powinni się zaprzyjaźnić, bo jeśli wszystko się ułoży zgodnie z planem będą się często widywać. Dzisiejszego wieczoru Maura poczuła się beztrosko wśród bliskich. Tego w jej życiu brakowało. Miała jednak nadzieję, że przyjdzie odmiana.

Kiedy wszyscy znaleźli się w ogrodzie, Benny obwieścił nowinę. Carol zaróżowiła się ze szczęścia i Maura przez chwilę poczuła ukłucie zazdrości, wyobrażając sobie, co dziewczyna czuje. Miała dziecko rosnące w jej ciele i mężczyznę, który ją kochał. Maurze było dane przeżywać coś takiego zaledwie przez kilka ulotnych godzin, ale zapamiętała je na zawsze. Terry rzucił ją, gdy jeszcze nie otrząsnęła się z szoku wywołanego odkryciem, że jest z nim w ciąży. Obserwowała reakcję matki na zapowiedź pojawienia się prawnuka i widziała jej radość, gdy Benny pocałował ją i uściskał. Przyszło jej na myśl, że ostentacyjne lekceważenie, jakie Ben okazywał dotąd babce, mogło wynikać z tego, że Sarah tak zdecydowanie odcięła się od niej, od Maury. Ale może po prostu nie lubił jej matki, tak samo jak nie lubił swojej własnej. Tłamsiły go.

Miała nadzieję, że teraz, kiedy znowu są na tak zwanej dobrej stopie, Sarah nie zacznie wtrącać się w jej życie.

Abul pocałował Carol i potrząsnął dłonią Bena. Maura lubiła go, a on ją, szanowali się wzajemnie. Wiedziała też, że Abul jest jedyną osobą zdolną zapanować nad Bennym. Byli przyjaciółmi od czasów szkolnych i Benny kochał go jak brata.

Jego dziewczyna, Serena, uśmiechała się jak Kot z Cheshire, a Maura, wiedząc o planowanym ślubie Abula, próbowała zgadnąć, co by ta dziewczyna zrobiła, gdyby o tym wiedziała.

Serena była tylko jego kolejną łatwą zdobyczą, którą upolował w „Five Rivers” w Ilford, klubie dla Azjatów, gdzie zbyt wielu azjatyckich dziewcząt się nie spotykało. Jedynie białe albo czarne, nieliczne Hinduski.

Maurze czasami wydawało się, że zna Abula równie dobrze jak Bena, od tak dawna byli przyjaciółmi. Gdy podszedł do niej, powiedziała:

- *Borghal lugardi.*

Wybuchnął śmiechem. Gratulowała mu w języku pendżabskim udanej dziewczyny. Serena nie śmiała się, domyślając się, że się z niej nabijają.

- Jest tylko *dorst*, kumpelką.

Maura uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Wygląda mi na to, że jesteście nie tylko kumplami.

Serena, nieświadoma do kogo mówi, odburknęła:

- A kim ty niby jesteś, żeby to oceniać?

Abul popatrzył na nią, jakby oszalała.

- Natychmiast przeproś - powiedział ostro.

Benny zauważył, że coś jest nie tak, i podszedł do nich. Chwył Serene za ramię i wyprowadził ją z terenu posesji. Abul nie odstępował ich na krok, a zaniepokojona Maura po chwili wahania też ruszyła za nimi. Dziewczyna była młodziutka, bez wycucia, ale z pewnością nie chciała nikogo obrazić.

Usłyszała, jak za bramą Abul ryczy na dziewczynę:

- *Dharvaho*, ty dziwko!

Podeszła do nich i powiedziała:

- On mówi, żebyś spieprzała, kochanie. Może zamówić ci taksówkę?

Abulowi i Benowi władczym gestem wskazała dom.

- Zostawcie ją i wracajcie na przyjęcie, chłopcy.

Serena była zaskoczona tym, że tak potulnie zastosowali się do polecenia. Znała ich jako groźnych facetów. Właśnie z tego powodu Abul jej się podobał. Był kimś, gangsterem, i to ją kręciło.

Maura poczekała, aż odejdą, i dodała:

- Taksówkę znajdziesz za rogiem. Potrzebujesz pieniędzy?

Dziewczyna potrząsnęła głową. Zrozumiała, że już nie będzie widywać się z Abulem.

- Przepraszam, głupio mi.

Maura uśmiechnęła się do niej.

- Niepotrzebnie. Zabieraj się do domu i wiedz, że Abul jest jak inni faceci. Oni wszyscy wykorzystują kobiety. Oszukują z uśmiechem na twarzy. Abul ma się wkrótce ożenić z miłą dziewczyną z Radżasthanu. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Dziewczyna odeszła bez słowa.

- To było miłe z twojej strony, Maws.

Nawet nie zauważyła stojącego przy bramie Roya.

- Biedne ciele.

- Dziecko Bena to dobra wiadomość, prawda, Maws? I wesele oczywiście też.

Wyglądał na szczęśliwego, mimo tego, co przeszedł. Ścisnęło ją w gardle.

- Wspaniała nowina. Znowu zostaniesz dziadkiem, co?

Kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że ten wnuk nie będzie ciotą jak Joey.

Zszokowana jego słowami Maura nic nie odpowiedziała.

- Wszyscy mówią, że Benny jest jak Michael, ale w rzeczywistości to Joey jest taki jak on.

W domu puszczone na cały regulator Kylie Minogue i kiedy weszli do środka, ujrzeli Joeya tańczącego samotnie na środku pokoju.

- Widzisz teraz, co mam na myśli, Maws? Pedał jak nic. Tak jak Michael, to panienka.

Od kontynuowania tego wątku uratował Maurę Benny, który dla wygłupu zaczął tańczyć w parze z Joeyem, i chociaż robił z siebie małpę, nie zrażało to partnera. Był w centrum uwagi, co uwielbiał.

Po chwili dołączyła do nich Marge oraz Carla i nagle niemal wszyscy ruszyli do tańca. Maura zauważyła, że Carla podryguje przed nosem Toma, a on nie spuszcza z niej wzroku. Przemknęło jej przez głowę, że bratanica świadomie się przed nim popisuje.

Tommy zauważył, że weszła Maura i zaczął torować sobie do niej drogę z uśmiechem na przystojnej twarzy i kolejnym drinkiem w dłoni, rozogniony od alkoholu i koki. Domyśliła się, że pozwolili sobie z Bennym na małą działkę i nie miała o to pretensji. Za to wyraz twarzy Carli został jej w pamięci na resztę wieczoru. Miała nadzieję, że bratanica po prostu przesadziła z drinkami, bo jeśli na serio uwodziła Toma Rifkinda, a na to wyglądało, to Maura miała nowy problem.

Ubrała twarz w uśmiech i udawała zachwyconą przyjęciem. Spostrzegła jednak, że byстрыm oczom Bena nic nie uszło z tego, co się działo.

Bratanek uniósł szklanke, kiedy zauważył, że jest obserwowany. Maura uśmiechnęła się do niego podniosła swoją.

Postanowiła się upić. W końcu kończyła pięćdziesiąt lat i miała prawo zalać się w pestkę. I tak zrobiła.

◆◆◆

O trzeciej nad ranem spała obok Toma, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała zaspana, a potem gwałtownie usiadła na łóżku. Tommy, czując, że dzieje się coś bardzo niedobrego, też się poderwał.

- Kto to? - spytał.

Maura rzuciła słuchawkę, ale telefon prawie natychmiast zadzwonił ponownie.

- Kto to? Powiedzże do cholery!

Widział na jej twarzy całkowite zaskoczenie.

Po raz drugi cisnęła słuchawkę, po czym ściągnęła ją z aparatu. Wstała z łóżka, narzuciła na siebie czarny jedwabny szlafrok i pomaszzerowała na dół, a Tommy krok w krok za nią. Nadal nie powiedziała ani słowa.

Robił w portki ze strachu, przekonany, że ten telefon dotyczy właśnie jego. Kiedy zobaczył, że Maura nalewa sobie dużą szkocką i wypija ją jednym haustem, powiedział sarkastycznie:

- Nie miałaś dość na dzisiaj? I powiedz wreszcie, od kogo był ten pieprzony telefon, kobieto.

Ze złością wycelowała palec w jego twarz.

- Nie mów do mnie „kobieto”, Tom. Nigdy więcej nie mów tak do mnie. A jeśli chcesz wiedzieć, kto dzwonił, powiem ci, że to Vic, ten pieprzony Joliff.

Zobaczyła, że zbladł, i roześmiała się.

- Rozumiem, że też chcesz drinka.

- To nie mógł być...

- To był on. Wszędzie rozpoznałabym ten cholerny głos. Nikt nie potrafił go wytropić, kiedy zbiegł z więziennego szpitala, choć według mnie gliny nie za bardzo się trudziły.

- Czego on teraz chce? Minęło sześć lat. Myślałem, że zdechł albo zaszył się w Hiszpanii. Na jedno wychodzi.

Maura westchnęła.

- Och, Tom, nie bądź taki beznadziejnie głupi. Zamordowali jego żonę, a jemu podcięli gardło. Vic Joliff szuka zemsty.

Naląła dwie szkockie. Tej nocy już nie będzie mowy o spaniu.

Rozdział 8

Garry miotał się jak szalenciec. Tommy Rifkind miał okazję odświeżyć sobie w pamięci, z kim ma do czynienia. Nawet Joss był zszokowany zachowaniem Gala, a przecież sam był znany z tego, że miewa „momenty”. Natomiast Maura i bracia cierpliwie czekali, aż Garry się wyładuje, zachowując spokój, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. A wyglądał przerażająco. Nabrzmiały mu żyły na szyi, piana pokrywała usta, szarpał się za zmierzwione włosy, wykonywał jakieś niekontrolowane ruchy rękami i nogami. Tommy mógł sobie teraz wyobrazić, jak z ręki Garry’ego ginął jego własny syn. Zebrało mu się na mdłości.

Wreszcie Garry przestał walić pięściami i butami w ścianę, i przeklinać wszystkich, z Bogiem włącznie. Stopniowo się uspokajał, wracał mu regularny oddech.

W ciszy małego pokoju zadudnił głos Lee:

- Uspokój się, Gal, myśl głową, nie sercem.

- Chcesz mnie wkurzyć? Jak można się uspokoić, kiedy taki porąbany świr lata luzem po świecie? Mówiłem, żeby na niego zapolować. Czekaliśmy z tym, teraz mamy skutki.

- Może powinieneś być skuteczniej przepytawać Tommy'ego B, zanim wyzionął ducha. Wiedzielibyśmy teraz więcej - mruknął Benny.

Tommy drgnął, chociaż mógł się spodziewać takiego komentarza. Wszyscy automatycznie spojrzeli na niego. Utkwił wzrok w Bennym i nie odpuszczał, trwało to długo, wszyscy poczuli się nieswojo.

Ale Galowi jeszcze nie przeszła wściekłość i po chwili zaryczał:

- Mówiłem ci, kurwa, że to wina Lee. Rozłupał mu głowę zanim zdążyłem na dobre zabrać się do niego i przygotować go do przyjacielskiej pogawędki.

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że w pokoju obecny jest ojciec Tommy'ego B, i przepaszająco skinął głową w jego stronę. Złość opuściła go równie szybko, jak naszła, dyszał tylko ciężko. Zreflektował się. Chociaż z jego punktu widzenia miał wtedy po prostu odwalić robotę, i tyle. Nie było ważne, kim jest Tommy B. Zresztą kto mógł przewidzieć, że Maura upodoba sobie ojca tego chłopaka.

- Wiesz, co mam na myśli - warknął jeszcze.

Lee miał na tyle wyczucia, żeby wbić wzrok w podłogę.

Ku zaskoczeniu obecnych odezwał się Joss.

- Vic sięgnie po nas wszystkich. Wiecie, że to wściekły sukinsyn. Wypatroszy nas jak ryby, jeśli nie będziemy czujni. Znam go z dawnych czasów. Pamiętliwy jest, krzywdy nie daruje i, bez obrazy dla żadnej tu osoby, nie będzie się bał nikogo. Przez sześć lat miał dość czasu na hodowanie nienawiści i obmyślanie zemsty. I zebranie ludzi oraz pieniędzy.

Chłopcy lubili i szanowali Jossa, bo chociaż rzadko otwierał usta, jak już coś powiedział, zawsze miało to sens. Maura nie potrzebowała wykładu na temat Vica Joliffa, znała go od dawna. Joss nie musiał jej niczego uświadamiać, ale miała nadzieję, że jego słowa zapadną w pamięć pozostałym. Szczególnie Benowi, który wciąż nie rozumiał niuansów biznesu, choć powinien. W obecnej sytuacji bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Spójrzmy na to z dystansu - zaczęła spokojnie. - Vic stracił żonę, my straciliśmy Janine i Terry'ego. - Popatrzyła na Toma i dodała: - A ty swojego chłopaka, jak wszyscy wiemy. Sądząc po tym telefonie, Vic najwyraźniej nadal uważa, że to ktoś z naszych zastrzelił

jego żonę, choć ulica wie, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Nie rozwikłaliśmy do końca gestii udziału Rebekki w tym wszystkim. Tak się składa, że spotykam się dziś po południu z Joe Żydem z Silvertown... od jakiegoś czasu mam na niego oko. Zamienię z nim parę słów na temat Vica. Fakt pozostaje faktem, że w tej chwili nie jesteśmy ani trochę mądrzejsi niż sześć lat temu i nadal nie wiemy, kto co wtedy zrobił. Było w tym znacznie więcej matactw, niż ktokolwiek sobie wówczas wyobrażał. Teraz musimy się dowiedzieć, kto grał pierwsze skrzypce. Zaczniemy od gliniarzy. Jeśli ktokolwiek coś wie, to oni. Podobno inspektor Billings siedzi teraz przy biurku i grzebie się w papierach. Może kolejna wizyta u niego coś da, Ben.

Benny uśmiechnął się zadowolony. Podobał mu się pomysł ponownych odwiedzin u tego zbrojeńca. Wywoła skandal, bardzo mu to pasowało. Tym razem bowiem dla lepszego efektu złoży mu wizytę w pracy.

Wszyscy zamilkli. Zastanawiali się, co oznacza sygnał od Vica. Maura i jej bracia nigdy do końca nie uwierzyli, że wyłączną odpowiedzialność za tamte jatki sprzed lat ponosił Vic, z Tommym B u boku. Ale ostatnio pływali po bezpiecznych wodach i nikt przeciwko nim nie występował. Dopóki Vic nie wychynał na powierzchnię.

Garry'ego nie da się spacyfikować. Chce śmierci za śmierć, natychmiast. Maura umiała czytać w jego myślach.

- Nikt nie będzie niczego robił bez mojego wyraźnego polecenia, jasne? Tym razem musimy zebrać i przeanalizować wszystkie informacje, żeby wreszcie dojść, co tu, do jasnej cholery, jest grane - oświadczyła kategorycznie.

Wszyscy przytaknęli.

- A co z nami, Maura? Czego oczekujesz ode mnie i Jossa?

Głos Toma zabrzmiał nieswojo. I Tommy czuł się nieswojo, przyjmując rozkazy od kobiety, zwłaszcza że niecałe dziesięć godzin wcześniej był z nią w łóżku. Dzielił kobiety na dwie kategorie: takie, z którymi mężczyzna się żeni, i takie, z którymi się nie żeni. Jeszcze nie wiedział, do której zaliczyć Maurę Ryan, ale nie wątpił, że to nie on będzie podejmował decyzję.

- Będziesz robił to samo, co wszyscy inni, Tom - powiedział Garry. - Generalnie to, co ci każą, rozumiano?

Przełknął tę zniewagę bez słowa. Ale na długo miała mu pozostać w pamięci.

- Przestań, Gal. Mamy dość wrogów na głowie, a ty szukasz nowych.

Maura udzieliła bratu reprimendy ostrym tonem i Tommy musiał przyznać, że panuje nad swoimi braćmi znacznie lepiej niż potrafiłby mężczyzna. Oczywiście z wyjątkiem

szlachetnego Michaela. Zabawne: choć zawsze lubił Michaela za życia, martwy działał mu na nerwy. Mówili o nim po jego śmierci, jakby był Mesjaszem. Był bandziorem jak oni wszyscy, nie wyłączając jego samego. Tylko że Ryanowie uważali się za lepszych od całej reszty. To go czasem potwornie wkurwiało. A kiedy teraz zrobiło się gorąco, w ogóle zapomnieli, że stracił dziecko. I czy ktoś z nich pomyślał, jak się po tym czuł? Dla nich to normalka. Tommy B był niezłym sukinsynem, ale w końcu to była jego krew. Ciągłe mają swoją pieprzoną rodzinę na ustach, a co z jego rodziną?

Spojrzał na Maurę i domyślił się, że odgadła, co go jątrzy. Uśmiechnęła się do niego ciepło, odpowiedział tym samym.

- Wszyscy kogoś oplakujemy. Niech to nas mobilizuje, a nie osłabia.

Słowa Maury trafiły im do przekonania, a Toma po raz kolejny wprowadziła w zdumienie. Sprytnie manipulowała największymi zbirami po tej stronie Watford Gap.



Vic Joliff zawsze był podły i bezwzględny w interesach, lecz jego opinię ratowały przebłyksi wspaniałomyślności, na jakie potrafił się zdobyć, gdy ktoś znalazł się w kłopotach. No i oczywiście kochał Sandrę i dzieci. Po śmierci żony wszystko się zmieniło, nie pozostało nic ze wspaniałomyślności. Jego matka nazwała go najgorszą kanalią, jaka stąpa po tej ziemi. Wszystko to stąd, że został wykołowany, a nie znosił, gdy go oszukiwano lub wykorzystywano. Ktoś sobie na diabelnie dużo pozwolił, Vic nie zamierzał tego przelknąć. Ni chuja!

Za każdym razem, kiedy o tym myślał, czuł, że mógłby kogoś zamordować gołymi rękami. Powszechnie było wiadomo, że jest do tego zdolny.

Kiedy walczył o powrót do zdrowia, pozostawiony sam sobie z resztką pieniędzy i kontaktów, zniósł to po męsku. Po tym, jak zaprzyjaźniony gliniarz wywiózł go z kraju, przez dwa lata ukrywał się, żyjąc w jakichś dziurach, aż wreszcie poczuł się na siłach, by zacząć deptać po piętach starym kumplom, którzy bez wahania sięgnęli po jego narkotykowe układy i pieniądze, jakby go już nie było. Czekał przyczajony, wydzierając po trochu to, co jeszcze mógł odzyskać. Zdziwiło go, jak wielu ludzi, także spośród niby to najlepszych przyjaciół, pochowało go za życia - i to z nieklamana radością. Teraz niektórzy z tych ludzi już nie żyli, a pozostali nie ośmieliliby się po raz drugi wejść mu w drogę.

Vic Joliff wrócił. Wrócił, żeby się zemścić.

Czasami, patrząc na blizny na szyi, wpadał w taką wściekłość, że aż go dusiło. Pragnął natychmiastowego odwetu i to najokrutniejszego. Teraz jego życie sprowadzało się tylko do jednego: wytropić bydlaków, którzy mu to zgotowali, niech za to zapłacą.

Za część pieniędzy, które udało mu się odzyskać, kupił willę na Majorce, a na drugim końcu wyspy ulokował matkę i brata. Prawie ich nie widywał. Starał się nie wychodzić z ukrycia, żeby go nie zdemaskowano - taką umowę zawarł z Billingssem - poza tym po śmierci Sandry i zdradach, jakie go spotkały ze strony przyjaciół, stał się samotnikiem. Nie mógł znieść towarzystwa ludzi, nie chciał go i nie potrzebował. Samotność i cierpienie fizyczne spowodowały jednak, że złamał jedną ze swoich najstarszych żelaznych zasad: nie próbować towaru, którym się handluje. Nigdy wcześniej nie brał kokainy zawsze uważał, że jest dla frajerów, ale na wygnaniu stała się jego przyjaciółką, odskocznią i muzą, inspirowała go do snucia błyskotliwych planów.

Po jednej lub dwóch kreskach widział sytuację niezwykle klarownie, a przeprowadzenie obmyślonego rewanzu wydawało mu się najprostszą rzeczą w świecie. Ryanowie, uroiwszy sobie jego winę, zabili mu w odwecie żonę, a teraz tuczyli się dochodami z głównej sieci narkotykowej, którą on powinien trzymać rękach. Był tego bardzo blisko, on i jego wspólnicy. Co prawda z nimi też miał rachunki do wyrównania, ale na razie mogli być użyteczni. Namotał kilka narkotykowych transakcji, nic wielkiego, chciał ich tylko znowu wciągnąć w swoje sieci.

A wszystko dlatego, że Vic Joliff coś sobie przyrzekł. Obiecał sobie, że każdy, kto kiedykolwiek wszedł mu w drogę, pozna na własnej skórze, co znaczy ból i strach. Zmiecie ich z powierzchni ziemi jednego po drugim, a na sam koniec zostawi sobie Królową Dziwkę.

Śmiał się do siebie, najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, stąpając ciężko po parkiecie eleganckiego apartamentu w Dockland, jednej z nieustannie zmienianych dziupli. Nie mógł się doczekać powrotu do biznesu, do życia. Powróci jako Król Vic, będzie brylował wśród gangsterów i wybierał spośród nich członków swojego nowego gangu. Opanuje dystrybucję narkotyków w całym kraju. To dla niego betka. W głowie miał ułożony cały misterny plan.

Żeby nagrodzić samego siebie za przebiegłość, wciągnął kokainę, ale się skrzywił. Fałszują teraz ten towar. Musiał wziąć jeszcze dwie porcje, żeby odzyskać dobry nastrój i równowagę ducha. Po chwili uśmiechał się do siebie na myśl o piekle, jakie rozpęta.



Benny z Abulem jechali odwiedzić Billingsa w biurze. Maura nakazała wprowadzić, żeby trzymali się z dala od miejsca pracy inspektora, ale Benny potrafił dla wygody gruchnąć kiedy ponosiła go fantazja. Ubrał się dziś oficjalnie: granatowy garnitur, biała koszula i niebieski krawat. Wyglądał na godnego zaufania młodego człowieka, podobnie Abul. Mieli trudności z zachowaniem powagi, gdy anonsowała ich cywilna sekretarka, przypominająca strach na wróble Benowi nie przeszkadzały brzydkie dziewczyny, pod warunkiem że były

zadbane. Ta miała żółtawe zęby i zalatywało od niej potem. Typowy egzemplarz z zasobów policyjnych, pomyślał.

Zastanawiał się, czy Billings ją posuwa. Wiadomo było, że rznął, co popadło, i nie miał skrupułów. Z tym że ona wyrosła już ze szkolnego mundurka, a jego interesowały małolaty. Gdy zostali wprowadzeni do gabinetu, satysfakcję sprawił im wyraz twarzy Billingsa. Niedowierzenie pomieszczone z panicznym strachem. Dokładnie to, co Benny lubił.

- Kompletnie wam odbiło?

Billings odezwał się tak cicho, że Benny i Abul raczej się domyślali, niż słyszeli, co mówił. Benny udał oburzonego.

- Nie cieszysz się, że nas widzisz? A my specjalnie do ciebie przyjechaliśmy, prawda, Abul?

Hindus kiwnął głową.

- Jesteś starym niewdzięcznym zbrojeńcem, panie Billings. - Benny mówił łagodnie, spokojnie, z uśmiechniętą twarzą. Biurowa hala podzielona była na przeszklone boksy, ale obserwator zza szyby nie zgadłby na podstawie jego zachowania, co się dzieje w środku, tylko twarz Billingsa mogłaby to zdradzić. - Jestem dla ciebie jak dawno niewidziany siostrzeniec - wycedził. - Więc się, do kurwy nędzy, uśmiechaj i przytakuj, gdy będę mówił, co masz robić.

Billings był w szoku i przemknęło mu przez głowę, że po tej wizycie niechybnie trafi do szpitala.

Benny Ryan, jeden z najgłośniejszych przestępców w tym kraju, stał oto przed nim w jego biurze, jakby miał do tego najświętsze prawo.

Pokancerowana, ugotowana w spaghetti ręka Billingsa nie była miłym widokiem dla oczu i odruchowo trzymał ją blisko piersi. Po licznych przeszczepach skóry miał na twarzy tylko niewielkie blizny, ale ręka pozostała niesprawna, wykonywał nią tylko najprostsze ruchy. Odmówił przejścia na wcześniejszą emeryturę, chcąc dociągnąć do dwudziestu lat pracy i uzyskać prawo do pełnych świadczeń. Przyjaciele dopilnowali, żeby jego prośba została uwzględniona. Ale jeśli teraz się dowiedzą, że zgina kark przed tym młodym facetem, który jest odpowiedzialny za jego przedziwny „wypadek”, wszelkie przyjaźnie się skończą.

Słuchał jednak, siłąc się na opanowanie.

Benny, ze swoim przerażającym uśmiechem na twarzy, mówił niby to przyjaźnie:

- Widzisz, jak nam gładko idzie, nawet ty wczułeś się w rolę. Nie masz wyjścia. A teraz, szacowny panie Billings, rusz no głową i powiedz mi, gdzie według ciebie może

przebywać pan Victor Joliff, zwany inaczej Martwą Cipą. Nie musisz mi odpowiadać natychmiast. Łaskawie daję ci dziesięć sekund na pogmeranie w pamięci.

Główny inspektor Billings zapragnął, żeby ziemia się rozstała i pochłonęła go. Jednak nic takiego się nie zdarzyło, więc z przyklejonym do twarzy głupawym uśmiechem starał się nie krzyknąć, gdy Benny złapał jego okaleczoną rękę w mocny uchwyt, który mógł wydać się ciekawskiej sekretarce szczególnie serdecznym uściskiem dłoni.

- Paskudnie to wygląda - powiedział Ben. - Może filiżankę herbaty? Zaschło mi w gardle. Abul, włącz czajnik.

- Dobrze! Wszystko wam powiem, choć pewnie to tyle co nic. Notatka z rutynowego śledztwa mówi, że Vica widziano z człowiekiem o nazwisku Stern...

Benny uśmiechnął się promiennie.

- Widzisz, że to nie było takie trudne? Zawsze miło robi się z tobą interesy, panie Billings. Nie wiem, czy daleko byśmy zaszli bez takich ludzi w policji jak ty.

◆◆◆

Joe Żyd był starym człowiekiem. Miał łysą czaszkę pokrytą plamami wątrobowymi, artretyczne ręce i dziewiętnastoletnią dziewczynę. Była słodką istotką o imieniu Camilla, i stąd jego zaczęto nazywać Charlesem. Bardzo go bawiło, ilekroć ktoś tak się do niego zwracał.

Słynął z pogodnego usposobienia i robił wrażenie poczciwca, ale każdego, kto się dał na to nabrać, czekał szok. Joe był właścicielem chyba wszystkich szulerni i klubów hazardowych w East Endzie. Szedł z duchem czasu, posiadał więc również dwa kluby z tańcem erotycznym - w jednym z nich poznał Camillę - oraz sporo nieruchomości pod developerskie inwestycje. A do tego agencję windykacyjną i złomowisko. Miał swoje dojścia i czerpał zyski z budownictwa komunalnego już od drugiej wojny światowej. Był bogaty jak Krezus i chętnie się tym. Powtarzał, że Camilla jest jego trzecią nieletnią kochanką, ale w łóżku najlepszą ze wszystkich. Kolejny znak czasów. Dzisiaj młode dziewczyny pieprzyłyby się nawet z trupem za marne kilka funtów. Jego gadki o miłości zawsze wzbudzały śmiech, lecz Joemu to nie przeszkadzało.

Kiedy zobaczył Maurę Ryan, uśmiechnął się ciepło. Zawsze ją lubił, a w każdym razie odkąd uwzięła się na braci Milano, dwóch włoskich zboczeńców, handlarzy lodami, których gorąco nienawidził przez ponad pół życia. Właściwie lubił Maurę bardziej niż wielu innych ludzi. Był też bliskim przyjacielem Michaela i brakowało mu go. Tak samo brakowało mu Joego Ryby i innych ze starej gwardii.

- Maura Ryan! Wyglądasz wspaniale. Siadaj. Czego się napijesz? Ale przede wszystkim, czym mogę ci służyć?

Maura odwzajemniła jego uśmiech. Złożyła mu wizytę na złomowisku, gdzie zawsze można go było spotkać w ciągu dnia. Wystartował z tym w czasie wojny i okazało się żyłą złota. Joe uwielbiał złom, dobrze się czuł w tym biznesie, nie mówiąc już o tym, że ułatwiało to pozbywanie się tych, którzy ośmielili się wkroczyć w strefę jego wpływów.

- Doskonale wyglądasz, chłopie.

Roześmiał się, ukazując zęby stare i pożółkłe, ale, jak z dumą mawiał, własne.

- Co mam na to powiedzieć? Regularnie uprawiam seks i gorąco to polecam.

Rozbawił Maurę, zaśmiewała się ku jego zadowoleniu.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebowała więcej śmiechu. Widzę że zanikły ci zmarszczki mimiczne wokół oczu.

- Przynajmniej coś pozytywnego wynika z tego całego szamba.

Teraz z kolei ona jego ubawiła.

- Wy, kobiety, zawsze gonicie za młodością.

- Słyszałam o Camilli, więc ty też masz niezłe osiągnięcia w tym zakresie.

Pośmiali się jeszcze przez chwilę jak starzy przyjaciele, po czym Joe powiedział:

- Prawdę mówiąc, w moim wieku potrzebowalbym samego Arnolda Schwarzeneggera, żeby mi go dźwignął do góry, ale lubię, gdy myślą, że jeszcze jestem na chodzie. Faceci mi zazdroszczą, a kobiety się ze mnie śmieją. Ale jestem stary i w życiu liczą się już dla mnie tylko zadowolone twarze w moim otoczeniu.

Maura zrozumiała, co miał na myśli. W tym wieku człowiekowi zależy jedynie na szacunku innych. Ważne było dla niego, jak go postrzegają inni. Ale zawsze był taki.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Znowu kłopoty?

Kiwnęła głową, nie było już uśmiechu w jej oczach. Joe zawsze uważał, że Maura ma najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział u kobiety. Głęboko osadzone i wspaniale niebieskie, o takich oczach mogłaby marzyć każda przedstawicielka płci pięknej. Teraz miały stalowy odcień, wyzierał z nich smutek. Ten smutek był w nich od lat. Zastanawiał się, czy Maura zdaje sobie z tego sprawę.

- Kłopoty przez wielkie K, Joe. Vic Joliff chodzi luzem i rzuca groźby pod moim adresem.

Joe Żyd westchnął.

- Vic to duży kaliber, Maura. Ale to stara śpiewka, co?

- On uważa, że ja wiem, kto zabił jego żonę.

- A nie wiesz?

Maura westchnęła. Cała rodzina włożyła wiele trudu w rozgłaszanie wieści o dokonaniu przez Tommy'ego B serii zabójstw, a mimo to w kryminalnym półświatku górę wzięło stare powiedzenie „nie ma dymu bez ognia”.

- Nie myślisz chyba, że mogłabym mieć coś wspólnego z zabiciem jakiegokolwiek cywila. Miej trochę wiary we mnie po tylu latach przyjaźni.

Odpowiedział delikatnie:

- Może ty osobiście nie, ale ktoś z twojego otoczenia?

Zmarszczyła brwi.

- To znaczy?

Twarda nuta w jej głosie natychmiast przypomniała mu, z kim ma do czynienia, zmusił się więc do wątego uśmiechu. Zahartowała się i stwardniała w bardzo młodym wieku, taki los był jej pisany. A pamiętał jeszcze, jak jej brat, Michael, woził ją ze sobą, gdy zbierał haracze - była wtedy takim ślicznym, dobrym dzieckiem. Teraz wzbudzała postrach wśród gangsterów.

Wzruszył ramionami.

- Niby skąd mam wiedzieć? To było tylko retoryczne pytanie.

- Mój brat Garry dałby ci retorycznego kuksańca w ucho, gdyby to słyszał, wiesz?

Skwitował tę groźbę uśmiechem. Nie znalazł lepszej odpowiedzi. Jednak zasmucił go fakt, że on i Maura rozmawiają w taki sposób po tylu latach znajomości.

Uśmiechnęła się chłodno.

- A co z Rebekką Kowolski? Pamiętasz ją? Zalaźła komuś za skórę, co?

Rozłożył ręce.

- Rebekka, Rebekka... zawsze mnie o nią pytasz. Mówiłem ci już kiedyś, że to zachłanna kobieta, chciała żyć jak księżniczka, a jej mąż przynosił zebracze pieniądze. Uwikłała się w interesy z rosyjskimi lichwiarzami. To była okropna tragedia. Co więcej mogę powiedzieć? Nie miała nic wspólnego z twoimi kłopotami, klnę się na własne życie.

Patrząc mu prosto w oczy, wypowiedziała słowa, które miały na zawsze zniszczyć ich przyjaźń. Kłamał czy nie, musiał to usłyszeć. Nie mogła ryzykować, że uzna ją za naiwną, bo byłby to koniec ich wszystkich.

- Jeśli odkryję, że sprawy mają się inaczej, przyjdę po ciebie, Joe.

Starcza twarz zasepiła się, oczy Joego nie szukały już jej wzroku.

- Że też musiało do tego dojść... Zapamiętam to sobie, Maura... I miej oczy dookoła głowy.



Vic Joliff pojawił się w „Le Marais” ze swoim nowym przyjacielem i sprzymierzeńcem, Jamiem Hicksem. Zrobiło się wielkie poruszenie, gdy zorientowano się, kto wszedł - najszybciej zaskoczyli ludzie z branży. W tej restauracji, pamiętającej jeszcze czasy dawnej dzielnicy portowej, chłopcy z City spotykali się z przestępczym półświatkiem Essexu i Londynu. Nabrzeże Chandlery Wharf było ulubionym miejscem spotkań uzbrojonych bandziorów i handlarzy narkotyków, którzy załatwiali swoje transakcje w podobny sposób jak brokerzy i szacowni biznesmeni: przy dobrym posiłku i butelce wina. Dziś to był inny świat, życie ludzi interesu z wolną gotówką było gładkie. Większość z nich miała jednak brudne pieniądze i dostaliby kilka wyroków w razie wpadki, więc wyszarpywali co się dało i póki się dało.

Vic, świadomy, że w tym miejscu jest dla gangsterskiego świata gwiazdą na miarę gościa głównego wydania wiadomości telewizyjnych, delectował się ukradkowymi spojrzeniami i plotkarskim ożywieniem na sali. Ryanowie natychmiast się dowiedzą, że się pokazał ale on i Jamie spłyną stąd po jednym drinku i papierosie.

Garry dotarł na miejsce po upływie dwudziestu minut od wyjścia Vica. Fakt, że Garry Ryan pojawił się tu osobiście, powiedział starym wygom to, co powinni wiedzieć. Vic w coś grał, a jeżeli partię rozgrywał on i Ryanowie, należało przewidywać bardzo niebezpieczny scenariusz. Już tego popołudnia w dwóch miejscach można było robić zakłady. Prowadzili Ryanowie, ale minimalnie. Bo Vic Joliff był siłą, z którą należało się liczyć, i każdy, kto go znał, wiedział o tym.

- Jamie Hicks? Jesteś pewien? - dopytywała się z niedowierzaniem Maura.

Garry poczuł się urażony

- Jasne, do cholery, że jestem pewien! Mały obślizgły dupek. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem, kiedy go zamknęli! Pilnowałem, żeby zawsze miał parę funciaków, własną celę i drinka regularnie jak w zegarku. Wydałem fortunę, żeby mógł spać spokojnie, a ten zboczeniec ma czelność pokazywać się z Vikiem Joliffem! Dość tego, Maura. Próbowaliśmy załatwiać to w białych rękawiczkach, ale teraz powinniśmy załadować broń i celować do każdego, kto choćby się o Vica otarł.

Maura skinęła przyzwalająco głową. Tym razem Garry miał rację. Vic jest na wolności i trzeba mu publicznie dać nauczkę. Przemknęło jej przez głowę, że robi się za stara na to wszystko, co ją trochę przygnębiło. Chciałaby pojechać do domu i dać się przelecieć Tomowi, ale jego zachowanie ostatnio kazało przypuszczać, że nie umieścił tego w swoim programie dnia. Był wkurzony i trudno było go za to winić.

Co mogła na to poradzić? Znowu musiała pilnować braci. Takich raptusów nie można było pozostawić samym sobie. Garry jest sprytny, ale zbyt porywczy jak na bossa z prawdziwego zdarzenia. Brakuje mu dystansu, żeby na chłodno oceniać sprawy. Benny to Benny, nie trzeba nic więcej dodawać. Lee, Boże miej go w swej opiece, wiadomo, ma ptasi mózdzek. Roy leci na pigułkach niczym walijski dealer cracka, a żołnierze są tylko żołnierzami. Nie ma w tym gronie żadnego wschodzącego Machiavellego. Tak więc jak zwykle wszystko było na jej głowie, co stawało się już zbyt męczące.

W takie dni jak dzisiaj zastanawiała się, po co się tym wszystkim zajmuje.



Carla szła z Joeyem po Portobello Road. Bardzo się tu zmieniło od czasów jej młodości, ale w przeciwieństwie do Maury akceptowała te zmiany. Lubiała popatrzeć na gwiazdorski szpan i ocierać się o sławnych ludzi. Ona sama też przyciągała pełne zachwyty spojrzenia, lecz nie robiło to na niej wrażenia. Tylko jeden mężczyzna chodził jej teraz po głowie i choć wiedziała, że nie jest w porządku, że może ściągnąć na siebie kłopoty, od miesięcy myślała tylko o Tommym Rifkindzie. Należał do Maury, ale przecież w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone, prawda? Ta refleksja nie przyniosła jej ulgi. Ciotka nie przyjęłaby spokojnie wiadomości, że Carla ma ochotę na jej mężczyznę. To oznaczałoby wojnę.

Maura, choć emanowała słodyczą i ciepłem, w rzeczywistości była twardą suką. Carla zawsze to wiedziała. Jednak sam widok Toma sprawiał, że jej serce waliło jak młot, a ciotka na takie porywy namiętności była za stara. Miała to już za sobą, gdy skończyła siedemnaście lat. Ileż to razy Carla słyszała o aborcji Maury i jej wejściu zaraz potem do rodzinnej firmy. Babcia opowiadała o tym tyle razy, że zapadło to w pamięć Carli na zawsze.

Sama Maura nigdy o tym nie mówiła. Przez lata rozmawiały o wszystkim, nigdy o tym. Carla musiała przyznać, że Maura okazywała jej serce, kiedy jeszcze były dziećmi, a potem ciotka razem z babcią odebrały ją matce, gdy Janine poważnie Carłę pobiła. Wiedziała, że powinna być ciotce wdzięczna, ale ile czasu ma spłacać dług wdzięczności, do jasnej cholery? Jest dorosłą kobietą, ma syna i już nie będzie młodsza. Czowała, że wpadła Tommy'emu w oko. Rozsądek podpowiadał jej wprawdzie, że każdy mężczyzna zwróciłby na nią uwagę, gdyby się koło niego kręciła, ale tym razem była pewna, że on się zadurzył jak ona.

Jeśli tak, co może z tego wyniknąć?

Zdawała sobie sprawę, że igra z ogniem, ale od lat żaden mężczyzna nie pociągał jej w takim stopniu, więc postanowiła iść na całość.

Joey zwrócił nagle jej uwagę na piękną białą sukienkę, którą dostrzegł w oknie wystawowym.

- Och, mammo, patrz! Jest w twoim stylu.

Spojrzała. Rzeczywiście sukienka była piękna i jakby szyta z myślą o niej.

- To by zważyło Toma z nóg - dodał Joey.

Mówił wysokim, kobiecym głosem, ale tym razem jej to nie rozdrażniło. Uścisnęła go.

- Ty szelmo.

Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To ty, mammo, jesteś szelmą. Życzę ci szczęścia, ale uważaj. Naszej wspaniałej Maurze na pewno się nie spodoba, jeśli wyciągniesz rękę po jej własność.

Carla zaśmiała się nerwowo.

- Mam przymierzyć tę sukienkę?

- Byłoby zbrodnią tego nie zrobić, kobieto.

Poszła za nim do sklepu jak uczennica. Chichotali i śmiali się gdy mierzyła sukienkę, Zachowywał się raczej jak córka niż syn, co nagle bardzo spodobało się Carli.

Sukienka leżała na niej idealnie i bez wahania ją kupiła.

Wewnętrzny głos upominał ją, ostrzegał, ale nie chciała go słuchać. Czyż nie miała prawa do odrobiny szczęścia? Przymierzyła sobie jednak, że będzie to tylko przelotny flirt, nic więcej.

Stłumiła głos sumienia nawołujący do lojalności i wyszła ze sklepu z synem, ściskając w gorącej dłoni torbę z zakupem. Nawet jej nie przemknęło przez głowę, że zapłaciła za sukienkę pieniędzmi, które dostawała od Maury. Nigdy nie myślała o tych pieniądzach jako o „dawanych”. Uważała że jej się należą. W końcu była jedną z Ryanów i jako taka powinna mieć prawo do kawałka rodzinnej fortuny. I gdyby to od niej zależało, jej kawałek byłby znacznie większy. Doszła do wniosku, że to, co dostaje od Maury, nie zapewnia jej odpowiednio luksusowego życia.

Umacniała się w tym przekonaniu coraz bardziej, wsiadając do swojego nowiutkiego mercedesa SLK i ruszając do domu.

Rozdział 9

Maura wybrała się do osiedla domków komunalnych w Essex, gdzie mieszkała żona Jamiego Hicksa. Miała znaleźć się w ich domu po raz pierwszy od wielu miesięcy. Kiedy Jamie, jeden z żołnierzy Ryanów, dostał swego czasu siedem lat za posiadanie broni, było dla niej oczywiste, że musi objąć Danielle opieką. Garry z kolei dbał o Jamiego.

Zawsze była w dobrych układach z Danielle i lubiła ją. Ta kiedyś ładna dziewczyna, z naturalnymi blond włosami, uśmiechnięta i beztroska, zbyt wcześnie wydana za męża, wyrzucała z siebie dzieci w alarmującym tempie. Zmieniła się wkrótce we wrzaskliwą wiedźmę, która z trudem dźwigała nadmiar kilogramów i nadmiar obowiązków. Nie bez powodu Jamie pokazywał się w domu coraz rzadziej.

Maurę zdumiewało, jak wiele kobiet nie zdaje sobie sprawy, że dzieci wbijają klin między małżonków - tak jest w każdym razie, gdy dzieci jest dużo. Mężczyzna na ogół nigdy nie wyrasta z bycia dzieckiem i chce, żeby się nim opiekować. Kobieta z sześciorgiem dzieci na głowie nie ma chwili czasu dla siebie, a co dopiero dla swojego faceta. Maura westchnęła, wspominając, ileż to razy Danielle cierpiała z powodu romansów męża. Nawet zapuszkowany, kombinował z kobietami, kiedyś Danielle przyszła na widzenie jednocześnie z jakąś jego dziewczyną, która była w zaawansowanej ciąży i głośno opowiadała o miłości swojego życia. Danielle przyłożyła jej w szczękę tak jak wielu innym dziewczynom w czasie swojego małżeńskiego pożycia. Nawet sam Jamie miał się na baczności, kiedy ponosiły ją nerwy Danielle była wesoła, miła i zabawna, ale biada temu, kto nadepnął jej na odcisk. Wtedy stawała się przeciwnikiem, z którym trzeba było się liczyć. Mała, gruba, walcząca machina - zażartował kiedyś Garry i rzekł, że widział, by ją w ich rodzinnej firmie jako ochroniarza - było to po tym jak stanęła przed sądem za pobicie kogoś z opieki społecznej.

W gruncie rzeczy winą za to wszystko Maura obarczała Jamiego. Każdy dzień życia Danielle to była walka o przetrwanie. Jamie nie był hojny, przynajmniej nie dla żony. Musiała korzystać z pomocy społecznej, bo często znikał z domu. Wypuszczał się na długie wyprawy za dobrą dupą, jak nieraz chwalił się po pijanemu, a wtedy zupełnie zapominał o rodzinie. Kiedy w końcu przepity i bez grosza wtaczał się do domu, Danielle przygarniała go z powrotem.

Maura weszła do dwupoziomowego mieszkania - drzwi rzadko były tu zamknięte - i zawołała przyjaźnie:

- Wszystko w porządku, Danny! To ja, Maura.

Danielle zbiegła po schodach. Jak zwykle była zdyszana, i co Maura zauważyła z przykrością, w zaawansowanej ciąży.

- Witaj. Właśnie o tobie myślałam. Chodź na herbatę.

Maura weszła za nią do malutkiej kuchni i usiadła przy blacie, który służył do serwowania przez okienko potraw do salonu. Widziała stąd porozrzucane w nieładzie dziecięce rzeczy i zabawki. Meble były stare i zniszczone, co ją wkurzyło, bo Jamie przez lata dostawał od Ryanów całkiem pokaźne sumy i Hicksowie powinni mieszkać nie tutaj, ale w

ładnie urządzonym szeregowcu. Bóg świadkiem, że Jamie mógłby kupić pięć takich za pieniądze, które u nich zarobił. Kawał łajdaka, kiedy go znajdzie, powie mu bez ogródek, co o nim myśli.

Stawiając na blacie obtłuczony kubek z mocną herbata, Danny zapytała wesoło:

- To gdzie jest ten drań? Wysłał cię, żeby wybadać grunt?

Radość w jej głosie spowodowała, że Maura poczuła się niezręcznie. Danny widać nadal wyczekiwała na tę kupę gnoju, mimo że ściągnął ją tak nisko, w takie otoczenie, a potem zostawił, nie przejmując się ani nią, ani dziećmi.

Pociągnęła łyk gorącego płynu, po czym odrzekła:

- Miałam nadzieję, że to ty mi powiesz, gdzie on jest.

Danny spojrzała na nią z niepokojem.

- A Garry? On zawsze wie, gdzie szukać tego pijaka.

Jeszcze się uśmiechała. Nie traciła nadziei, że usłyszy to, co chciałaby usłyszeć. Maura wyczuwała jednak, że tę udręczoną kobietę ogarnia panika i zrobiło jej się przykro. Mogłaby nad nią zapłakać.

Potrząsnęła głową.

- Wszystko wskazuje na to, że ostatnio gra do innej bramki.

Na okrągłej twarzy Danny pojawiła się udręka i strach. Była na tyle inteligentna, żeby się zorientować, że Jamie musi siedzieć po uszy w gównie, skoro Maura osobiście go poszukuje.

- Co to znaczy? - zapytała pełna obaw.

- To, co mówię. Spiknął się z Vikiem Joliffem. Widziano ich wczoraj razem w „Le Marais”. Wygląda na to, że już nie jesteśmy dla niego dość dobrzy. Garry i ja chcemy zamienić z nim słówko, wyjaśnić sobie parę spraw.

- Jakich?

- Takich jak to, czego ten pieprzony Vic od niego chce.

Danny poczuła, że zamiera jej serce. W co Jamie wpakował ją tym razem? Miała przez niego nieustające kłopoty: dziewczuchy, niektóre z dziećmi, faceci ściągający długie, gliny. Ale jeszcze nigdy nie groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo - aż do tej chwili. Do chwili, gdy Maura, z którą zawsze się dogadywały, usiadła w jej kuchni i spytała, gdzie jest ten drań. I gdy dała jej do zrozumienia, choć nie wprost, a subtelnie, że tych parę funtów, które regularnie co tydzień dostawała, przestanie napływać, skoro Jamie wybrał wrogą firmę. Wystrzeliłaby tego łajdaka w kosmos, gdyby tylko wpadł jej w ręce. Instynktownie przyłożyła dłoń do wielkiego brzucha.

- Nie widziałam go, Maura. Myślałam, że przyszedł mi powiedzieć, że wraca do domu.

Zaczęła płakać bezgłośnie płaczem bez łez, tym bardziej wstrząsającym, że był taki przerażająco cichy.

Wiedząc, że Danny zawsze pali w ciąży, Maura podała jej już przypalonego papierosa. Danielle przyjęła go chętnie i wypaliła prawie do końca, zanim się odezwała.

- Dupek. Czasami go nienawidzę, wiesz? Wchodzi i wychodzi, jakby tu był jakiś hotel. Wykorzystuje mnie, a potem nagle zabiera się i znowu znika, nie interesując się, jak sobie radzę. A teraz jeszcze straciłam te parę funtów, które Garry podrzuca mi co tydzień. Jak ja przeżyję bez tych pieniędzy, Maura? Nie dam rady. Tyle mam do płacenia, bo i pożyczki, które zaciągnął na święta, i miałam tu wczoraj wizytę Trevora Tanksa ścigającego go za długie hazardowe. Groził mi, i w ogóle. Straszyl, że mnie porznie nożem, jeśli nie powiem mu, gdzie jest Jamie. Na szczęście wszedł na to mój mały Richie, więc nijako mu było robić mi krzywdę na oczach dziecka. Trevor nie jest złym facetem, po prostu chce odzyskać forszę. A teraz dowiaduję się jeszcze, że przez tego pieprzonego Jamiego, tej dwulicowej kupy gówna, tracę i forszę, i waszą ochronę!

Maura pozwoliła jej wyrzucić to wszystko z siebie. Danny musiała się rozładować.

- Znowu był u mnie w zeszłym tygodniu pracownik z opieki społecznej. Mój najstarszy, Petey, pobił w szkole innego pieprzonego chłopaka, coś mu złamał, do tego zwędził motor i zwymyślał glinę. Powiedziano mi, że mam z nim iść do sądu za dwa tygodnie, akurat tego samego dnia ma się rodzić to maleństwo. Mówię mu: „Petey, z twoim nazwiskiem jesteś naturalnym celem dla gliniarzy”. Ale on uważa, że jego pieprzony ojciec to gość z jajami. Chłopcy tacy są, no nie?

Rozpłakała się na dobre, aż się zanosiła. Maura objęła ją czule ramieniem.

- Pieniądze nie przestaną przychodzić, obiecuję. Ale ty też musisz mi w zamian coś obiecać. Jeżeli Jamie się pojawi, natychmiast mnie zawiadomisz. Lepiej, żeby porozmawiał ze mną niż z Garrym albo Bennym. Oni ostrzą sobie na niego zęby. Rozumiesz, co mam na myśli, prawda? Nie mów mu, że chcesz do mnie zadzwonić, kotku, tylko po prostu po cichutku daj mi znać.

Danielle przez dłuższą chwilę wpatrywała się w poważną twarz Maury, aż w końcu zapytała:

- Czy Garry chce go zabić?

Zaczynała wpadać w histerię, więc Maura odparła uspokajająco:

- Oczywiście, że nie. Ale być może trzeba mu będzie dać nauczkę. Narobił nam sporo kłopotów i nie możemy tego odpuścić.

Danielle odetchnęła z ulgą.

- Czy mogę prosić cię o przysługę? - zapytała.

Maura uśmiechnęła się.

- Oczywiście, Danny. O co chodzi?

- Połamcie mu nogi, jak go znajdziecie. Przynajmniej przez jakiś czas nie będzie nigdzie łąził.

Powiedziała to pół żartem, pół serio, ale Maura poczuła zadowolenie, że sama nie ma męża ani dzieci. Wikłają człowieka w sytuacje, które byłyby śmieszne, gdyby nie to, że są tragiczne. Ze smutkiem patrzyła na tę śliczną niegdyś dziewczynę tak upodloną przez faceta, a najgorsza była świadomość, że gdyby Jamie w tej chwili stanął na progu, Danny padłaby na kolana i dziękowała Bogu za wysłuchanie jej modłów.

Ale jeśli to tylko od Maury zależało, Jamie Hicks już nigdy nie wróciłby do domu.

◆◆◆

Sarah i Sheila były na porannej mszy i po powrocie do domu szykowały sobie lunch.

- Twoje włosy wyglądają teraz świetnie.

Sheila uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Dzięki. Kosztowało to majątek, ale nie żałuję ani centa.

- Wyglądasz ostatnio zupełnie inaczej. Gdybym nie znała cię tak dobrze, myślałabym, że jakiś mężczyzna pojawił się na horyzoncie.

Sarah zaśmiała się z własnego żartu, ale Sheili to nie rozśmieszyło. Wiedziała, że choć wygląda teraz super i Lee bardzo się z tego cieszy, zaczęła dbać o siebie z powodu Tommy'ego Rifkinda. To było głupie, zdawała sobie z tego sprawę, lecz poprawiało jej samopoczucie, a przy tym Lee twierdził, że wygląda bosko. Tyle że dla niego wyglądała bosko nawet w kaloszach i sztormiaku. Właśnie na tym polegał ich problem. Niełatwo jest być obiektem uwielbienia, gdy samemu trudno się zdobyć na wzajemność.

Rozległo się pukanie i Sarah poszła otworzyć drzwi. Ku zaskoczeniu Sheili wprowadziła do kuchni postawnego łysego mężczyznę z wielkim bukietem kwiatów. Mile się uśmiechał, ścisnął i obcałowywał Sarah, zachwyconą takim powitaniem.

- Jak się masz, dziewczyno?

Miał donośny i sympatyczny głos, a Sarah była cała w skowronkach. Uwielbiała, gdy okazywano jej względy, a ten mężczyzna ich nie szczędził.

- Doskonale pani wygląda, pani Ryan. Musiałem wpaść i powiedzieć dzień dobry. Byłem w pobliżu i pomyślałem, że muszę się dowiedzieć, jak żyje moja droga pani Sarah. Słyszałem o mężu, bardzo mi przykro. Fajny był z niego chłop. Siedziałem wtedy, ale pomodliłem się za niego w więziennej kaplicy.

Sarah omal nie rozpląkała się ze wzruszenia. Ten człowiek ją pamiętał, to jej pochlebiało.

- Jakie piękne kwiaty! Boże, są absolutnie fantastyczne. Dziękuję, synu. Dziękuję, że pamiętałeś o starej kobiecie.

Zachowywała się wręcz kokieteryjnie, takiej teściowej Sheila jeszcze nie widziała. Sarah włożyła kwiaty do zlewu przy oknie i powiedziała:

- Siadaj, dostaniesz herbaty. A może wolisz piwo?

Sheila przyglądała im się z rozbawieniem. Niektórzy znajomi Ryanów to jednak niesamowite typy, pomyślała. Dość rzucić okiem na tego tutaj, żeby chcieć uciekać, gdzie pieprz rośnie,

Sarah traktuje go jak dawno niewidzianego syna. Szramy na jego szyi świadczyły o tym, że nie unikał kłopotów.

- Nie mam czasu, kochana. Następnym razem, obiecuję. Po prostu nie mogłem przejść obojętnie obok tych drzwi, nie przywitawszy się i nie złożony wyrazów szacunku tak miłej pani.

Sarah była bliska omdlenia ze szczęścia.

- A kim jest ta druga miła dama?

Uśmiechał się do Sheili, patrząc na nią małymi czarnymi oczami. Potrafił być czarujący, miało się wrażenie, że tu i teraz nikt i nic się dla niego nie liczy poza tobą.

Sarah pacnęła się dłonią w czoło.

- Gdzie się podziały moje maniery! To żona Lee, Sheila.

Mężczyzna uściśnął delikatnie dłoń Sheili, ginącą w jego wielkim łapsku o zgrubiałej skórze.

- Dzień dobry, panie...

- Joliff. Nazywam się Vic Joliff. Nie zapomnij napomknąć Lee, że mnie poznałaś, dobrze? Nie mogę się doczekać, kiedy się z nim zobaczę. Będę w kontakcie.

Jeszcze raz uściśnął i ucałował Sarah, po czym wyszedł. W kuchni zrobiło się nagle pusto i cicho bez tej zwalistej, tchnącej dziwną i hałaśliwą zyczliwością postaci.

- Niezły wariat.

Sarah machnęła dłonią.

- Vic jest w porządku. W młodości był trochę narwany, ale który z nich nie był?

Była wzruszona, że ją zaszczycił wizytą. I te kwiaty! Miała jeszcze w oczach jego i Michaela jako nastolatków, trzymali się razem z Gerrym Jacksonem, najlepszym kumplem Michaela. Wiele lat temu wszyscy trzej byli przyjaciółmi.

Chciałaby wrócić w tamte czasy, ale z tym doświadczeniem, jakie ma dzisiaj. Jakże inaczej wszystko mogłoby wyglądać. Wzdychając ze szczęścia, zabrała się do układania kwiatów w wazonach. Vic Joliff sprawił jej wielką frajdę. Mało pamięta o starych ludziach, toteż Sarah poczuła się znowu kimś specjalnym i ważnym, czego rzadko ostatnio doświadczała.

◆◆◆

Tommy i Maura siedzieli przy stole w nowej rezydencji. Kupiła tę posiadłość przed pięciu laty i przeznaczyła na wynajem. Teraz wprowadziła się tu tymczasowo. Była to dobra baza, a poza tym odczuła ulgę, że nie mieszkają dłużej z Carlą i Joeyem. Tommy też był zadowolony z tej zmiany, co ją cieszyło.

Z przyjemnością popatrywała na niego podczas wspólnego posiłku. Był wspaniałym okazem mężczyzny i powinna czuć się szczęśliwa, że go zdobyła. Ale z drugiej strony nie była pewna, czy w ogóle chce być z jakimkolwiek mężczyzną w tak trudnym dla siebie okresie.

Zawsze tak z nią było. Michael mówił, że sama ma w sobie zbyt wiele z mężczyzny, i nie pierwszy raz zastanawiała się, czy nie miał racji.

- Co sądzisz o Joliffie, Maura?

Zamknęła oczy.

- Gdybym mogła zobaczyć się z Vikiem osobiście, umiałabym przemówić mu do rozsądku. Jestem o tym przekonana. Zawsze mnie lubił i wzajemnie. Pod wieloma względami jesteśmy podobni. Vic to gangster, uznający zasady gry, tyle że śmierć Sandry wytrąciła go z równowagi. Musi kogoś obwinić i wymierzyć karę. Ja to rozumiem i moi bracia też. Musielibyśmy zrobić to samo, gdyby zginął ktoś z naszej rodziny. Vic poszedł w odstawkę aż na sześć lat. Znam go na tyle, by wiedzieć, że toczyło go to w środku jak rak. Uznałam, że nie żyje, prawie wszyscy tak myśleli, jednak on nie umarł. Jest całkiem żywy, ale na mózg mu padło, jak by powiedział Garry. Wydaje mu się, że wymierza sprawiedliwość, a nie zna sprawców. Musimy mu uświadomić, że jest na błędnym tropie.

- I zabić go? - zapytał cicho Tommy.

Maura wzruszyła ramionami.

- Jeśli będzie trzeba.

Popatrzyła mu w oczy.

- Wydałabym wyrok na każdego, kto grozi mnie albo moim bliskim. A ty nie?

Zrozumiała swój błąd, gdy zauważyła ból w jego oczach.

- Nie musisz nic więcej mówić, Maura - rzekł ostro.

Zrobiło jej się głupio z powodu tej niezręczności i chwyciwszy go za rękę, powiedziała z nutą smutku w głosie:

- Przykro mi z powodu Tommy'ego B. Żałuję, że nie mogło być inaczej. Bo to już z nami pozostanie. On jest między nami jak milczący duch.

Nigdy dotąd, gdy byli sami we dwoje, żadne z nich nie powiedziało ani słowa na temat tego, co się stało z Tommym B. Mówili o tym po raz pierwszy i Maura obawiała się konsekwencji, ale była przekonana, że trzeba o tym porozmawiać - i to im wcześniej, tym lepiej.

- Nie obwiniam cię za to, co się stało, jeśli chcesz wiedzieć.

- A kogo obwiniasz, Tom?

Niełatwo było mu odpowiedzieć na to pytanie. Oboje zdawali sobie sprawę, że jego odpowiedź nie będzie bez znaczenia dla ich przyszłych relacji.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem odparł cicho:

- Myślę, że winny jest on sam. Jego szczeniactwo, głupota i arogancja. Winię go za to, że zmarnował swoje życie i złamał serce matce, na co nie zasługiwała. Oto, kogo winię. Ale byłbym kłamcą, gdybym nie przyznał, że czasami czuję nienawiść do Lee i Gala za to, co zrobili, chociaż wiem, że sam postąpiłbym podobnie, gdybym musiał.

Była zadowolona, że powiedział głośno, co myślał, ale w głębi duszy powątpiewała, czy to załatwi ich problem. W końcu pochował własne dziecko i jeśli nawet Tommy B był dwulicowym sukinsynem, który wręcz prosił się o to, co go spotkało, nic nie mogło zmienić faktu, że Tom był pogrążonym w bólu ojcem.

- Jak myślisz, czy to nas rozdzieli?

Potrząsnął smutno głową.

- Mam nadzieję, że nie. Jest mi bardzo dobrze z tobą. Po śmierci Giny zastanawiałem się, czy znajdę jeszcze kogoś, na kim mi będzie zależało. Przyznaję, że nieraz trudno mi zaakceptować cię w roli bossa. Ale wiem, że zawsze to robiłaś i potrafię to uszanować.

Objął wzrokiem luksusową dębową kuchnię, w której siedzieli. Miał pieniądze, ale nie na standardy Maury. Jego elegancka rezydencja w Liverpoolu była tej samej wielkości co ten dom i dopóki nie przyjechał tu, na południe, żeby spotkać się z tą kobietą, zadowalało go to, co posiadał. Teraz często bywał zde gustowany. Nie mógłby dorównać jej poziomowi życia.

Ten dom to przecież tylko jedna z jej nieruchomości. Ogromna rezydencja w Essex wystarczyłaby, żeby rozwiązać kryzys mieszkaniowy w Londynie. Maura nie mieszkała tam od wybuchu bomby. Ale Tommy wiedział, że ciężko pracowała przez całe życie, aby osiągnąć taki standard, i to budziło szacunek. Niemniej czasami narastał w nim bunt. Tu, na południowym wschodzie, nic nie mogło się wydarzyć bez wyraźnego przyzwolenia tej kobiety. Nawet on musiał grzecznie zapytać o zgodę, zanim obrabował bank albo pocztę, a potem płacił jej niewielki procent za ten przywilej. Dla mężczyzny było to poniżające, nie mógł tego polubić.

Chwyciła jego rękę.

- Naprawdę jesteś dla mnie ważny, Tom, i to bardzo.

- I wzajemnie, wiesz o tym.

- Terry miał problemy z moją rodziną... z tym, czym się trudnimy.

Tommy zaśmiał się złośliwie.

- To chyba oczywiste. On, były glina...

Zmieniła się na twarzy, więc urwał w pół zdania.

- Przepraszam.

Uśmiechnęła się blado.

- W porządku. Chłopcy nie inaczej o nim myśleli.

Palcem uniósł lekko jej podbródek i przyciągnął twarz Maury do swojej. Delikatnie ją całując, głaskał drugą dłonią jej jedwabiste włosy. Taką ją kochał. Uległą. Kobięcą. Z tymi wszystkimi cechami, jakie chciał widzieć w kobiecie. Poczul przypływ pożądania, które jej dotyk natychmiast wyzwalał w jego ciele, i chciał przeciągnąć tę chwilę jak najdłużej.

Odsunęła się pierwsza, jak zwykle.

- Co ty w nim widziałaś?

Usłyszała w jego głosie nieskrywaną ciekawość i dobrze się zastanowiła, zanim odpowiedziała. Zdobyła się na tyle szczerości, na ile mogła sobie pozwolić.

- Poznałam go jako młoda dziewczyna. To była randka w ciemno. Zaaranżowała ją Marge, moja przyjaciółka. Nie wiedziałam, że on jest gliną, a kiedy się zorientowałam, było już za późno. Zakochałam się w nim po uszy.

Jej otwartość sprawiła, że Tommy poczuł współczucie dla tamtej dziewczynki brutalnie wyrwanej ze snu.

- Byłam w ciąży, ale zanim mu o tym powiedziałam, zdążył się zorientować, czym zajmuje się Michael. Właściwie sama się dziwię, że tyle czasu byliśmy ze sobą, zanim

ktokolwiek się połapał. Michael cholernie się wkurzył. Omal go nie zabił. Ale Terry już wcześniej mnie rzucił. Nie dowiedział się nawet o dziecku...

Jej głos ścichł, gdy wspominała stare rany.

- A co się stało z dzieckiem?

Słuchał z dużym zainteresowaniem, gdyż nigdy dotąd nie mówiła o tak osobistych sprawach. Był nie tylko zaintrygowany, również zadowolony, że mu zaufała.

- Mama zabrała mnie na skrobankę do wschodniego Londynu. To były lata sześćdziesiąte, takie rzeczy robiło się gdzieś potajemnie, był strach, żeby sąsiedzi niczego się nie domyślili. Ale coś poszło nie tak i nie mogłam już mieć dzieci.

Głos jej się załamał. Pociągnęła łyk wina, zanim podjęła opowieść.

- Potem Michael wziął mnie do rodzinnej firmy. A Terry i ja spotkaliśmy się znowu, kiedy policja zaczęła nam deptać po piętach. Okazało się, że ani mnie, ani jemu nie przeszło i zeszliliśmy się znowu. Bo to była naprawdę miłość. Kochałam go i zawsze będę go kochać, choć teraz nie jestem w nim zakochana, jeżeli coś z tego rozumiesz.

Świadomie nie rozwodziła się nad okolicznościami, w jakich zetknęli się ponownie. To były rodzinne sprawy, nic do nich Tomowi. Nie musi wiedzieć, że jej własna matka poszła z donosem na policję, z obciążającymi Maurę papierami którymi Geoffrey, czarna owca wśród braci Ryanów, zamierzał ją szantażować, ale spotkał go zasłużony koniec z rąk IRA. A wcześniej jeszcze zabili jej ukochanego Michaela, sądząc, że wydał Brytyjczykom jednego z ich wysoko postawionych oficerów. Tymczasem stał za tym Geoffrey. Odmówiła uczestniczenia w jego pogrzebie na znak lojalności wobec Michaela. Lojalność była dla niej nadrzędną wartością. Właśnie na tym polegała siła Ryanów.

- To smutna historia.

Smutniejsza, niż ci się wydaje, pomyślała, ale powiedziała tylko:

- Nie jest smutniejsza od twojej i wielu innych. Gówna jest wszędzie pełno. Najtrudniej było mi pogodzić się z myślą, że pozbawiłam się szansy na macierzyństwo. To było w tym wszystkim najgorsze. Zamordowałam własne dziecko.

Tommy przyglądał się jej twarzy. Nawet w ostrym słońcu nie wyglądała na pięćdziesiąt lat. Prezentowała się pod każdym względem fantastycznie.

Widział, jak cierpi, wspominając wydarzenia sprzed ponad trzydziestu lat. Ale czy znalazłby się człowiek, który by niczego w życiu nie żałował? On sam żałował, że pozwolił synowi wplątać się w handel narkotykami, ale stało się i Tommy B przyplacił to życiem. Tommy Senior czuł się za to odpowiedzialny i czasem brzemień winy i żalu go przytłaczało.

- Wiesz co, Maws, chodźmy do łóżka na godzinę.

Uśmiechnęła się i poszła za nim na górę. To jedyne miejsce, gdzie jestem panem, pomyślał Tommy. Przynajmniej w łóżku poddawała się jego woli. Dwadzieścia minut później szczytowała, a on patrzył na nią i delektował się każdą sekundą.



Benny i Carol pojawili się w domu Sarah, oboje w świetnych nastrojach. Ben był szczęśliwy, że ma u boku ciężarną dziewczynę, uśmiechał się ciepło do nadskakującej im babki. Obie kobiety od razu przypadły sobie do serca. Kiedy Benny przyglądał się, jak babka przygotowuje kawę i zimne napoje, jego wzrok padł na kwiaty.

- Masz sekretnego wielbiciela, babciu? - zapytał ze śmiechem.

Sarah figlarnie pogroziła mu palcem.

- A mam. Wpadł dzisiaj stary przyjaciel, jeden z dawnych kumpli Michaela. Przyniósł mi kwiaty. Czy nie są wspaniałe?

- Kto to był, babciu? Gerry Jackson?

Bena mało to interesowało, ale chciał być uprzejmy. Był dzisiaj grzecznym wnuczkiem. Ot, jedno z jego wielu wcieleń.

- Nie, niech Bóg ma go w swojej opiece. Gerry dzwoni do mnie co tydzień. Nie sądzę, żebyś znał tego człowieka. Jeszcze cię wtedy nie było na świecie. Vic Joliff..

To nazwisko poderwało Bena z krzesła.

- Powiedziałaś: Vic Joliff?

Musiał się przesłyszeć, to jakieś nieporozumienie. Vic Joliff w tym domu!

- Właśnie to powiedziałam. Wszedł tutaj we własnej osobie...

Sarah, podekscytowana, jeszcze raz zaczęła opowiadać całą historię. Wcześniej uraczyła ją przez telefon swoją przyjaciółką, Pat Johnson. Nagle dotarło do niej, że wnuk jest bliski jednego ze swych napadów furii.

- Ten skurwiel Joliff był w tym domu?! Czy dobrze słyszę, babciu? Tak po prostu go tu wpuściłaś?

Wyrzucał z siebie słowa w rytmie staccato.

Sarah przestraszyła się, zrozumiała że zaszło jakieś okropne nieporozumienie. Ale wrodzona kłótniowość zwyciężyła i odparowała:

- A dlaczego nie, Benjaminie Ryan? Znałam go, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie.

Złapał się za głowę z rozpacz. Krew zastygła mu w żyłach na myśl, co Joliff mógł zrobić w tym domu. Ten buc jaja sobie z nich robi, jedzie na całego.

Spróbował jednak zapanować nad głosem i słowami.

- Posłuchaj, babciu, jeżeli kiedykolwiek pojawi się tu znowu, nie wpuszczaj go, dobrze? Słyszysz mnie czy... - Gwałtownymi ruchami rąk przeczesywał czarne włosy, aż mu się nastroszyły. Carol знаła te objawy i była przerażona.

- A jeszcze lepiej będzie, babciu, jak postawię kogoś przed twoim domem. Trzeba było to zrobić wcześniej, ale kto, do cholery, mógł przypuszczać... Vic Joliff to wściekły sukinsyn, babciu, i nie waż się rozmawiać z nim ani spotykać bez mojej zgody, dobrze?

- Nie będziesz mi mówić, z kim mogę, a z kim nie mogę rozmawiać. Nawet mój Michael nie miał prawa...

Napastliwy ton babki doprowadził Benny'ego do szału. Świadomie go sprowokowała. Miły nastrój przysł, gdy ryknął pełnym głosem:

- Zamknij się, głupia stara krowo! Mamy na pieńku ze starym Vikiem Joliffem. Nie przyszedł tu, żeby złożyć ci wizytę, wykorzystał cię, żeby nas wkurzyć i postraszyć. Nie widzisz tego, kobieto? Przeszedłby obojętnie obok ciebie nawet wtedy, gdyby atak serca powalił cię na progu jego domu. Nic by go to nie obeszło.

Sarah poczuła się upokorzona. Wyglądała, jakby uszło z niej życie, i wnuka ruszyło sumienie.

- Przestań, Ben - powiedziała cicho Carol. - Nie widzisz, że jest całkiem rozstrojona? Ma dość.

Próbowała pocieszyć Sarah, ale stara kobieta odtrąciła ją z zadziwiającą siłą.

- Posłuchaj, babciu... - zaczął Benny.

Jego głos był teraz spokojniejszy, lecz Sarah zbyła go machnięciem ręki, mówiąc ze znużeniem:

- Rozumiem, Benny. Wykorzystał mnie. Zostałam wykorzystana. Nie pierwszy raz coś takiego mi się zdarzyło, prawda?

Gdy wychodziła z kuchni, uświadomił sobie, jaka krucha malutka zrobiła się z wiekiem. Wszedł za nią. W holu odwróciła się do niego z dumnie uniesioną głową.

- Może już sobie pójdziesz? I zamknij za sobą drzwi, Benny. Wolałabym, żeby żaden z waszych wrogów nie wszedł tu znowu z kwiatami, chyba mi wierzysz?

Dotarło do niego, że od lat od nikogo nie dostała kwiatów. Było mu wstyd, był zły i poprzysiągł sobie, że dorwie Vica Joliffa i przetrąci mu kark za to, że ich tak poniżył. I robi to, choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu.



Sarah siedziała w sypialni, rozdrażniona i przygnębiona. Ciężko przeżyła upokorzenie ze strony ukochanego wnuka, krwi z jej krwi. Benny miał ją za nic. A ten Vic Joliff tylko przyszedł zdobyć punkty w grze, którą między sobą rozgrywali. Zraniło ją to bardzo.

Docierała do jej świadomości atmosfera narastającej paniki; nie była głupia: czyż nie wychowywała Michaela i jego siostry? Czy nie przechowywała broni w przybudówce i nie miewała kryminalistów przy stole? Benny potraktował ją jak głupią starą babę i nie mogła się z tego otrząsnąć. Brutalnie przypomniał jej, że jest stara i bezużyteczna, i to zabolowało najbardziej. Za młodu stawiała ramię w ramię z najlepszymi, jej synowie byli postrachem Notting Hill, a mimo to Benny potraktował ją jak idiotkę.

Odrodziła się w tym momencie niepamięcią od demontowanego zwykle sprzeciwu wobec trybu życia synów. Była wściekła na Bena. Chętnie by mu wykrzyczała, że jest matką najbardziej liczącego się gangsterskiego klanu na południowym wschodzie. Z tego powodu należał jej się szacunek i nagle stało się to dla niej bardzo ważne. Z nostalgią wspominała, jak to kiedyś kłaniali jej się nisko sklepikarze i sąsiedzi. Michael czuwał nad nią, była jego matką i uwielbiał ją. Gdyby jeszcze żył, Benny dwa razy by pomyślał, zanimby potraktował ją jak głupią babę.

Niekiedy bardzo pragnęła, żeby wróciły tamte dawne czasy. Czasy, gdy Michael, młody i silny, był głową rodziny. Miał wtedy jeszcze w sobie sporo z chłopca, dopiero później stał się bandytą. Pokłóciła się z nim o Maurę, bo choć akceptowała fakt, że synowie są kryminalistami, chciała, żeby córka była inna. Kolejno grzebała swoich chłopców, pięciu przystojnych mężczyzn, także Geoffreya zaprzędanego przez własną rodzinę. To Maura przez swoje kontakty z IRA spowodowała jego śmierć, ale Sarah nigdy się nie zdradziła, że o tym wie. W głębi serca czuła, że zasłużył sobie na to, bo zdradził Michaela, wrabiając go w donosicielstwo na rzecz Brytyjczyków.

Bogiem a prawdą imponowała jej sława matki Ryanów i tęskniła do przeszłości, zwłaszcza w takich chwilach jak ta, kiedy własny wnuk potraktował ją, jakby była nikim. Zapomniał, że nie byłoby go na świecie, gdyby nie ona.

Wiele lat temu, kiedy po śmierci Geoffreya próbowała doprowadzić do aresztowania Maury, była pewna, że chce jedynie, by jej synowie zeszli z przestępczej drogi. Teraz pragnęła, by okazywano jej szacunek należny matce słynnych gangsterów. Ale nie mogła narzekać. Ludzie nadal traktowali ją dobrze i wszystkie młode gnojki z sąsiedztwa, czarne i białe, czuły przed nią respekt. Jej portmonetka byłaby bezpieczna nawet wtedy, gdyby niosła ją na głowie. Była Starą Matką Ryan i wszyscy to wiedzieli. Nowi sąsiedzi, o znanych

nazwiskach, wypytywali ją o wyczyny jej dzieci, wielokrotnie opisywane na pierwszych stronach brukowców, choć nigdy nie udowodnione, bo potrafiła tego dopilnować jej córka.

Sarah westchnęła, zachciało jej się płakać. Czemu Benny ją tak potraktował? Ostatnio znowu zaczął z nią rozmawiać i przychodził z tą uroczą dziewczyną, a dzisiaj zaatakował jak dawniej.

Głupia stara krowa, myślałby kto! Zabrakło męża, który by dał gówniarzowi nauczkę.

Brakowało jej również Janine. Zawsze się rozumiały.

Usłyszała nagle, że otwierają się drzwi wejściowe, i na schodach zadudniły czyjeś kroki. Ogarnął ją lęk, a gdy drzwi sypialni gwałtownie się otworzyły, omal nie krzyknęła z przerażenia.

Ale to był Lee. Złapał ją w ramiona i ze sposobu, w jaki ją przytulił, zrozumiała, że bał się o nią. Dała w końcu upust łzom.

- Już dobrze, mamó. Jestem przy tobie.

Zerknąwszy przez okno, zobaczyła, że Ben i Carol jeszcze nie odjechali. To też ją ucieszyło. Jej wnuk nie był złym chłopcem, tylko w gorącej wodzie kąpanym. Czyż nie poczekał, aż ktoś do niej przyjedzie? W głębi serca musi się o nią troszczyć. Na pewno.

Ta myśl była jak balsam na jej zbolełą duszę.

Rozdział 10

Trevor Tanks, ciągnięty za włosy w górę schodów, czuł narastający strach i bał się, że napaskudzi w spodnie. Nie dopuszczał jednak myśli, że się zblamuje, w końcu miał nie byle jakie doświadczenie w takich sprawach jako siejący postrach egzekutor długów. Ale te typy były naprawdę ostre, wolał nie próbować niczego, co mogłoby sprowokować Bena Ryana do sklejania mu powiek albo użycia bydłęcego paralizatora. Znalazł się nagle po tej drugiej stronie i z psychologicznego punktu widzenia lekcja miała być bardzo upokarzająca. Usiłował zapanować nad strachem, mając nadzieje, że zdoła zadowolić te typy z piekła rodem bajeczkami, jakie chcą usłyszeć.

Maura stała na szczycie schodów w swoim biurze na Dean Street. Przywlekli go właśnie tutaj, bo był częstym gościem klubu „La Buxom” na dole, i gdyby okazał się skłonny do współpracy, mógłby tu nawet dostać darmową noc za fatygę.

Trevor odetchnął nieco, kiedy ją zobaczył. Jeśli ona tu była, sytuacja nie wymknie się spod kontroli. Przynajmniej taką miał nadzieję, mimo że Maura nie miała zachęcającej miny.

- Witaj, Trevor.

Choć jej głos był przyjazny, pocił się ze strachu.

- Usiądź.

Benny z takim impetem rzucił Trevora na krzesło, że omal nie złamał mu kości ogonowej.

- Może drinka? - zaproponowała Maura.

Jej głos był nadal spokojny, neutralny. Jakby sytuacja była zupełnie normalna - ot, zwyczajne spotkanie przy herbatce.

- A czy będę go pił, czy ścierał z gęby? - zapytał.

Nawet Benny się uśmiechnął. Trudno było nie śmiać się z powiedzonek Trevora, potrafił być zabawny. Mówił jak Jeremy Paxman, parodiujący *EastEnders*. Miał poczucie humoru.

Maura zaśmiała się.

- To zależy od Bena.

Chłopak zarechotał.

- Możesz się napić, Trev. Co chcesz? To co zwykle?

Trevor skinął głową, odprężając się trochę.

W ciągu kilku sekund postawiono przed nim bacardi z colą.

- A więc, co ja takiego zrobiłem?

Udawał pewnego siebie.

Maura uśmiechnęła się.

- A kto powiedział, że coś zrobiłeś, Trevor?

Cały czas była sympatyczna, wiedziała, jak to rozgrywać. Na szczęście Trevor Tanks też wiedział. Pociągnął łyk trunku.

- Niech pomyślę...

Odgrywał scenę namysłu, na jego ruchliwej zwykle twarzy pojawił się wyraz skupienia.

- Sądzę, iż sam fakt, że zostałem wyciągnięty z domu na oczach sąsiadów przez młodego rozwścieczonego osiłka - bez urazy, Ben - a potem umieszczony w bagażniku ładnego, lecz w tym przypadku niezbyt komfortowego pojazdu, mógł wzbudzić moje podejrzenia. Nie wiem jak dla ciebie, Maura, ale według mojego *savoir-vivre'u* takie traktowanie to zapowiedź kłopotów. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku - ale to tylko domysły - że musiałem diabelnie kogoś wkurzyć... a uściślając, narazić się twej zacnej osobie. Nie wiem, o co jestem podejrzewany, mam jednak nadzieję, że w najbliższej przyszłości zostanę oświecony. A wówczas będę błagał, i prosił, i wyśpiewam wszystko jak na świętej spowiedzi, i mam nadzieję, że potem będzie mi wolno się stąd oddalić.

Benny śmiał się do rozpuku.

- Powinieneś występować na scenie, Trevor. Straszy z ciebie jajcarz. Prawda, Maws?
Istotnie, ją także rozśmieszył.

Z dołu dobiegało dudnienie muzyki i głośne wybuchy śmiechu. Jak zawsze w takich miejscach, w powietrzu unosił się zapach tanich perfum i potu. Trevor lubił ten lokal i zamiast siedzieć tu na górze i gadać z dwójką świrów, wolałby znaleźć się na dole z zimnym drinkiem w rękę, w leniwym oczekiwaniu na mistrzynię w robieniu loda.

- Znowu grzecznie pytam, co ja takiego zrobiłem?

- Gdzie jest Jamie Hicks?

To pytanie wytrąciło go z równowagi. Miał prawo do świętego oburzenia, wtrącali się w jego sposób zarabiania na życie, do diabła.

- A więc o to chodzi. Cóż, mam ściągnąć z niego gigantyczny dług. Wiem, że jesteście potęgą i szanuję to, ale ja tylko pilnuję swojego biznesu, jak wiecie legalnego. Gdyby każdy, kto zasłużył na nauczkę, chował się za swoją spódnicą, błyskawicznie wyleciałbym z interesu.

Był teraz autentycznie zdenerwowany. Nie mógł sobie pozwolić na odpuszczanie długów. Nawet Benny mu współczuł. Rozumiejąc jego dylemat, obydwójce pospiesznie zapewnili go, że może się nie obawiać o swój biznes.

- Nie o to chodzi, stary. To nie ma nic wspólnego z długami. Chcieliśmy tylko wiedzieć, czy potrafisz zlokalizować Jamiego.

- Nie bierz mi tego za złe, Ben, ale naprawdę wystarczyło zadzwonić. Jasne, że go widziałem. Sam do mnie przyszedł i zapłacił mi wczoraj po południu. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony. Znany jest z tego, że nie płaci, to krętacz. Zwykle muszę dać mu wycisk, żeby chociaż dał ratę. Biedna ta żona, jak ona to wytrzymuje, nie wiem. On ma długi u każdego, duże sumy. Nie jakies tam kieszonkowe, żebyśmy się dobrze rozumieli. Wisi u Johnny'ego Ortegi na ponad dwadzieścia kawałków, ale nie słyszeliście tego ode mnie. Jest zadłużony u czarnuchów z Brixton i Żydów ze wschodniego Londynu, mówiąc krótko, ma więcej długów niż niejedna bananowa republika. Znaście Jamiego nie gorzej niż ja. Będzie pożyczał tak długo, aż wygra to, co jest winien.

- Był u ciebie sam?

Trevor przemyślał odpowiedź.

- Tak. Miał niezłe autko, co ciekawe. Białego jaguara, nowiutkiego, jeszcze pachnącego salonem. Uznałem, że zdobył skądś kasę i spłaca swoje długi. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale tak to wyglądało. Zapłacił z uśmiechem i był bardziej towarzyski niż zwykle, wiecie, co mam na myśli. Normalnie trzeba się niezłe nagimnastykować, żeby otworzył portfel, a tu nagle pojawia się z gotówką. Wyglądał przy tym, jakby wciągnął tyle

koki, że starczyłoby na szampański wieczór dla wszystkich gości nocnego klubu. Ale taki jest Jamie. Dziewczyny nazywają go Pan Niuch.

- Napomykał o Vicu Joliffie?

- Pieprzyć go! Nie gadam z Vikiem od ponad dziesięciu lat, bo posuwał moją byłą żonę. Choć teraz to już bez znaczenia. Prawda jest taka, że wszyscy pieprzyli moją żonę. Ja byłem ten jedyny, który nie dostawał swojego przydziału.

Maura i Benny ryknęli śmiechem. To były stare dzieje. Żona Trevora stała się legendą. Pieprzyłaby się z każdym, wszędzie, o dowolnej porze. Miarka się przebrała, gdy urodziła mieszańca. Trevor potrafił przełknąć wiele, ale nikt by nie uwierzył, że ten dzieciak jest jego. Był czarny jak as pikowy. Najdziwniejsze było to, że po rozwodzie Trevorowi przyznano prawo do opieki i pokochał chłopaka, a chłopak uwielbiał jego. Trevor mówił, że nie mógł zostawić małego przy matce, bo się nim w ogóle nie interesowała. Dwa razy zapomniała go w sklepie. Teraz była prostytutką, ale wszyscy wiedzieli, że Trevor nadal jest z nią w kontakcie i podrzuca jej po parę dolarów, gdy zawodzą ją klienci. Tanks był pod wieloma względami dobrym człowiekiem, choć dobrą sławą się nie cieszył.

- Jeżeli usłyszysz coś o Hicksie albo Vicu Joliffie, daj nam cynk. Czeka cię za to dobry drink.

Trevor uśmiechnął się, czując, że niebezpieczeństwo minęło.

- Podam ci ich na talerzu nawet bez drinka, dziewczyno. Ten alfons Joliff zasłużył na dobry łomot, a wy najlepiej to zrobicie. Mogę ci nawet dostarczyć Super Glue, Benny. Nienawidzę tego sukinsyna.

Maura była usatysfakcjonowana rozmową i powiedziała przyjaźnie:

- Idź na dół, do klubu. Dziś na koszt firmy.

Trevor uśmiechnął się.

- To miło z twojej strony, Maura. A czy mogę cię o coś prosić na przyszłość...

Kiwnęła głową.

- Następnym razem przyślij po mnie taksówkę. Za stary już jestem na podróżowanie w bagażniku.

Mówił grzecznie, ale dawał do zrozumienia, że Benny posunął się za daleko. Był przyjacielem Ryanów, nie wrogiem. Maura uznała jego racje. Postanowiła upomnieć Bena.

◆◆◆

Kenny Smith jechał na spotkanie ze starym kumplem. Ranek był piękny, Ken cieszył się, że zobaczy się z Jackiem Sternem. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio wspominali stare dzieje, bo od śmierci swojej ukochanej Lany Ken był w depresji.

Już na podjeździe omiótł spojrzeniem ekskluzywne samochody przed domem i uśmiechnął się do siebie. Sukinsyn Jack lubił szpanować.

Zaparkował na poboczu szerokiego podjazdu i pomaszerował do wejścia. Była to urocza posesja z domem z czerwonej klinkierowej cegły, który Jack przyjął zamiast normalnej zapłaty za morderstwo na zlecenie. Jack zabiłby każdego za odpowiednią cenę, ale poza tym był miłym facetem. Posłał do ziemi więcej ciał niż niejeden szwadron śmierci - nie byle co. Ale był dobrym kumplem i tylko to obchodziło Kena.

Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, więc wszedł śmiało, jak zwykle. Wiedział, że jest zawsze mile widzianym gościem. Kiedy jednak wkroczył do wielkiego salonu dziennego, na moment znieruchomiał.

Na krześle w stylu Ludwika XV, stojącym przy drzwiach balkonowych, siedział Vic Joliff, pałac potężnego skręta.

- Co słysząc, Ken? Wieki całe się nie widzieliśmy.

Nie odpowiedział. Vic był poszukiwany przez wszystkich. Nawet dziś Kenny miał telefon od Maury Ryan, która pytała, czy go nie widział, a teraz oto stoi przed nim w tym pokoju.

Szybko się opanował.

- Cześć, Vic, staruszku. Gdzie jest Jack?

- Będzie tu za moment, załatwia dla mnie pewną sprawę. Dlaczego nie siadasz, Ken? Jack na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

Traktowano go jak obcego w domu najlepszego kumpla. Ale przyjął zaproszenie i usiadł. Kenny był pośrednikiem w negocjacjach między firmami. Zastanawiał się więc, czy Vic nie przybył tutaj z powodu jego wizyty. Albo tak, albo chciał posłać kogoś na śmierć. Skądinąd mogło mu zależeć i na pośredniku, i na czyjejś śmierci. Z nim nigdy nic nie było wiadomo.

- Co cię tu sprowadza, Vic?

Joliff obserwował go beznamytnie przez kilka chwil nieruchomymi oczami, po czym odparł cicho:

- A kim ty jesteś? Pieprzonym gliną?

Kenny zebrał całą swoją odwagę.

- Nie mów tak do mnie, psiakrew! Też poniosłem stratę. Straciłem, kurwa, żonę. W domu zostało mi dziecko bez matki. Więc posłuchaj mnie, Vic. Mam kilka rachunków do wyrównania, ale nie z Maurą Ryan.

Vic spojrział na niego szyderczo, pogardliwie unosząc górną wargę.

- To twoje pieprzone prawo. Ja ukręcę jej głowę i zrobię to z dziką radością.

Kenny miał dość. Postanowił wygarnąć mu bez ogrrody prawdę:

- Posłuchaj sam siebie, Vic. Gadasz jak sycylijski mafioso z czarno-białego filmu. Jest dwudziesty pierwszy wiek, kurwa mać. Czasy się zmieniły. Teraz nie robi się dzikich jatek, nie wali się na oślep. Młodzież naśmiewa się z ciebie. Ryanowie nie mają z tym wszystkim nic wspólnego i ty o tym wiesz. Stoi za tym ktoś, z kim kombinowałeś w tamtych czasach, ale jesteś za głupi, żeby przyjąć to do wiadomości.

- Insynuujesz, że jestem dupkiem, Ken?

Kenny westchnął ciężko. Złość przeszła mu równie szybko, jak się pojawiła.

- Skądże, nie. Powiedz mi jednak, Vic, z kim byłeś w grze, gdy siedziałeś w Belmarsh? To ty musiałeś stać za tą bombą w samochodzie Maury... a przynajmniej wiesz, kto to zrobił. Cokolwiek myślisz o Maurze, to bystra dziewczyna. Do tej pory pewnie rozpracowała już co trzeba. Moglibyśmy pobierać u niej lekcje prowadzenia rozgrywki, zapewniam cię.

Vic przetrwał, co usłyszał, i odpowiedział w swoim mniemaniu logicznie i adekwatnie:

- Nie zdradzę, kogo miałem za murami, gdy siedziałem w mamrze, ale mogę ci powiedzieć tyle: są blisko niej. Blżej, niż przypuszczasz. I wiem, że Maura jak zwykle kryje się pod pieprzoną maską grzecznego dziewczynki. Ona wie, kto zabił moją Sandrę. Wie i nic jej to nie obchodzi. Pomyśleć, że ten dupek Rifkind trzyma się Maury i jej bandy, chociaż zabili mu chłopaka! To powinno ci podpowiedzieć, co sądzić o tych łaknących krwi szumowinach.

Z palcem wymierzonym w twarz Kena stał nad nim jak anioł zemsty. Był na haju i był nieźle wlany. Kenny wiedział już, że ten człowiek goni w piętę. Nie nadązał za logiką Vica i nie miał do niego za grosz zaufania.

- Może ty przeszedłeś do porządku dziennego nad swoją Laną ale ja nie mogę tego tak zostawić. Za dużo sobie pozwolili. Ona i ten jej pierdolony alfons z Liverpoolu. Najpierw miała gliniarza, teraz alfonsa. Pieprzy się z najgorszymi gnojaczami na ziemi i myśli, że nie śmierdzi. Mam tego dość. Mam dość całej tej krwawej bandy. Czas posprzątać i zrobię to po swojemu.

Wejście Jacka uratowało Kena od wysłuchiwanie dalszych tyrad.

- W porządku, Vic. Uspokój się, stary. Właśnie odebrałem telefon z Glasgow ze skargą na hałas.

Joliff wgapił się w niego. Miał zapadnięte oczy i szklane spojrzenie, a w kącikach jego ust zebrały się kropelki śliny.

- Czy to miało być zabawne, Jack? - warknął.

Stern podszedł do niego zdecydowanym krokiem. Był niskim mężczyzną o krótkich nogach i potężnym torsie, ukształtowanym przez lata ćwiczeń z ciężarkami. Nie bał się nikogo i Vic w porę się zreflektował. Potrzebował w tym momencie Jacka, co ten dobrze wiedział.

- Mnie wydawało się to bardzo śmieszne, ale jak wszyscy wiemy, poczucie humoru nigdy nie było moją mocną stroną. Pamiętaj, że jesteś gościem w moim domu, a ten facet jest moim najlepszym kumplem.

Vic na sztywnych nogach wyszedł z pokoju i po chwili usłyszeli pisk opon na podjeździe. Obydwaj odetchnęli z ulgą. Jack ze smutkiem potrząsnął głową.

- Chyba go porąbało.

- Może szuka kontraktu... - mruknął Ken.

Jack ryknął śmiechem.

- Kontraktu? Do cholery, on chce, żebym zlikwidował połowę południowego wschodu i niemal wszystkich w Liverpoolu! Jedyńą osobą, która nie znajduje się na jego liście ludzi do załatwienia, jest pieprzony Garry Glitter, a tego dupka zabiłbym za darmo.

Kenny pokręcił głową.

- I co masz zamiar zrobić?

- A co mogę zrobić? Muszę porozmawiać z Ryanami, no nie? Zorganizuj jakieś spotkanie. Ale jedno mogę ci powiedzieć, Vic jest już skończony. Rzecz w tym, że on nie jest lekko stuknięty, jemu całkiem odjęło rozum.

Przez chwilę milczał, po czym dodał:

- Jest mi teraz potrzebny jak dziura w moście. Mam pracować dla chłopców z Newcastle, a Vic siedzi mi cały czas na karku.

- Dobrze mówisz, Jack, lepiej skontaktujmy się z Maurą Ryan, dowiemy się, co ona o tym wszystkim myśli.

- Niech tak będzie, Ken. Załatwione. A teraz co powiesz na szkocką? Spłuczmy niesmak po tym świrze.

◆◆◆

Roy przyglądał się Carli zajętej przygotowywaniem mu zupy i kanapek. Była tak bardzo podobna do matki, że jej widok przywoływał bolesne wspomnienia.

- Wyglądasz uroczo, Carla, naprawdę pięknie.

Ucieszył ją ten komplement. Uśmiechnęła się, a jej zielone oczy rozblęły.

- Jak się czujesz, tato? Lepiej?

Kiwnął głową.

- Myślę, że tak. Po tych tabletkach jestem stale jak na haju, ale wydaje mi się, że wracam do dawnej formy. Powolutku.

- To chyba dobrze, prawda?

Znowu kiwnął głową. Carlę zdumiewała zmiana, jaka w nim zaszła. Jej ojciec stał się martwą repliką człowieka, którego znała przez całe swoje życie. Nawet ubranie smętnie jakoś wisiało na jego potężnej sylwetce.

Wyglądał na całkiem załamane, a przecież pogardzał jej matką, gdy żyła. Carla zresztą też. Janine - nawet w myślach nie nazywała jej matką - była samolubną suką. Interesowała się jedynie swoim synem, Bennym Anthonyem.

Ale Benny nienawidził jej z całego serca. Nienawidził za metody, jakich się chwyciła, by jak najdłużej trzymał się jej spódnicy. Czuł urazę także do babki za to, że tak bardzo zaciążyła na jego dzieciństwie, ale teraz - trzeba przyznać - starał się odbudowywać więź z Sarah ze względu na mające się urodzić dziecko. Carla uważała, że kiedy to dziecko przyjdzie na świat, stanie się dla całej rodziny postacią centralną jako pierwszy prawnuk, dający początek nowemu pokoleniu Ryanów.

Na myśl o nich wszystkich czasem aż ją mdliło. Wielka heca dziecko, urodzić każda może. Z wyjątkiem Maury oczywiście. Zresztą może to i dobrze. Na kogo wyrosłoby jej dziecko!

Ale ze mnie suka, pomyślała, jednak w gruncie rzeczy czuła się z tym dobrze. Była chorobliwie zazdrosna o ciotkę, do bólu. Maura zawsze miała wszystko, czego chciała, teraz nawet znalazła wspaniałego faceta, a stuknęła jej przecież pięćdziesiątka na miłość boską. Według babskich czasopism kobieta po czterdziestce ma większe statystycznie szanse na to, że stanie się ofiarą terrorystów, niż na znalezienie partnera. A tu proszę, Maura skończyła pięćdziesiąt lat i pieprzy się jak jakaś dziewiętnastolatka.

To wszystko było wkurzające.

Być może gdyby to był ktoś inny, nie Tommy Rifkind, Carla by to zniosła, chociaż jej uczucia do ciotki zmieniały się od dawna i nagromadzone przez lata żale potrzebowały ujścia.

Była przez Maurę utrzymywana - przez kobietę raptem o pięć lat od niej starszą. I była traktowana przez nią, jakby ciągle jeszcze była dzieckiem. Miała ponad czterdzieści lat, a oni wszyscy rozmawiali z nią jak z opóźnioną w rozwoju.

Czasem, kiedy były razem, miała ochotę wygarnąć Maurze, że obciachowo wygląda w tych swoich staromodnych ciuchach i nieśmiertelnych czółenkach. Za kogo ona się uważa? Wspaniała i szlachetna Maura, która troszczy się o wszystkich. Ale własne dziecko nie było

przedmiotem jej troski. Dała sobie wyrwać z brzucha to biedne stworzenie bez chwili zastanowienia. Ponieważ jednak zrobiła to Maura, każdy miał jej współczuć. Nawet Benny, rodzony brat Carli, uważał ją za nadzwyczajną osobę. Wszyscy inni zresztą też, obserwowała to dzień po dniu z coraz większą irytacją.

A co z nią? Bardzo chciałyby to wiedzieć. Co z nią? Czyż nie zasługiwała na trochę szacunku, na coś więcej niż zdawkowe powitania i komplementy, po których stawała się dla nich niewidzialna? A co z biednym Joeyem? Wiedziała, co o nim mówili, ale ona im jeszcze pokaże. Sprzątnie Maurze sprzed nosa Toma Rifkinda i będzie się z nich wszystkich śmiała w kułak.

Żal i gorycz wzbierały w niej od lat, ale dopiero Tommy stał się katalizatorem, który pozwolił jej się przed samą sobą do tych uczuć przyznać. Pieprzyć Maurę Ryan, pieprzyć wujów i ojca. Roy - złoty chłopiec Maury, a ona - jego niebieskooka dziewczynka. Mają rację ludzie, którzy szepcą, że Ryanowie trzymają się za rączki jak dzieci. Jest coś chorego w ich wzajemnym stosunku do siebie.

Tak, oni wszyscy są chorzy, to odpowiednie słowo. A Maura będzie chora z zazdrości, kiedy Carla odejdzie z Tomem Rifkindem. Bo na pewno z nim odejdzie. Tak postanowiła. Pokaże im, że jest niezależna, warta zainteresowania i podziwu.

Pod wpływem tych myśli uśmiechnęła się do siebie. Był to uroczy uśmiech, maska, pod którą kryła się żmija.

Roy, który obserwował córkę, zapytał nagle:

- Wszystko w porządku, kochanie? Wyglądasz dziwnie.

Znowu się uśmiechnęła.

- Tak tylko się zamyśliłam, tato, wiesz, jak to jest.

Roy sposepniał. Dokładnie wiedział, o czym myślała Carla.

Bardzo dokładnie. I właśnie to go niepokoiło.

◆◆◆

Carol i Abul odbywali kolejną rundkę po sklepach i Abul miał już tego dość. Carol uśmiechnęła się współczująco.

- Znudzony?

Kiwnął głową.

- Trochę. Zakupy to nie moja specjalność.

- Zwłaszcza oglądanie rzeczy dla niemowląt, co?

- Zwłaszcza.

- No to chodźmy na jakiś lunch.

Wszedł za nią do „Bluebell Restaurant” w Chigwell. Kiedy już wygodnie usiedli, zadzwonił do Bena, informując go, gdzie są. Tego właśnie Benny od niego oczekiwał, a Abul nie miał nic przeciwko temu. Carla, siedząc przy stole z miną księżniczki, machała rękę, pozdrawiając przyjaciół. Wiedziała, że ludzie się z nią przyjaźnią, bo jest dziewczyną Bena Ryana. Teraz już mu wierzyła, kiedy obiecywał, że nie zrobi jej żadnego świństwa. Nadal była mu we wszystkim uległa. Ale brutalny seks się skończył ze względu na ciążę i bardzo się z tego cieszyła.

Niekiedy dawał jej jednak powody do niepokoju. Zmieniał się, jak pogoda, nigdy nie było wiadomo, kiedy żartuje, a kiedy jest serio. Dziś rano przyłapała go na tym, że ją bacznie obserwuje. Po prostu siedział i tylko się na nią gapił. Wyglądał dziwnie i trochę ją przestraszył. Wyprowadził ją z równowagi.

Jakby czytając w jej myślach, Abul powiedział:

- Ben cię kocha. Nie widziałem go takim z żadną inną.

Uśmiechnęła się, ale na jej ślicznej twarzy błąkał się smutek.

- Często się zastanawiam, jak to z nim jest, Abul. I martwię się, że coś złego mu się stanie.

Machnął tylko ręką.

- A co może mu się stać, skarbie? Nic złego nie może przytrafić się Benowi Ryanowi.

Westchnęła.

- Masz rację. Ale czasami się martwię. Boję się... Jest wplątany w tyle spraw, a ja nic o nich nie wiem.

Abul poruszył się nerwowo.

- Chyba nie chcesz nic wiedzieć, Carol, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Chyba nie.

Wiedziała, że to koniec rozmowy, i przez resztę lunchu gawędzili o niczym. Gdy szli z powrotem do samochodu, Abul był zadowolony, że zakupowa męka wreszcie się skończyła. Od jakiegoś czasu był to jego codzienny obowiązek. Benny nie pozwalał Carol ruszać się samej z domu nawet na zakupy, więc Abul asystował jej nie tylko wtedy, gdy kupowała jedzenie i ubranie, lecz musiał także włączyć się po sklepach z artykułami dla niemowląt i butikami dla przyszłych matek. Nie najlepszy sposób spędzania czasu w upalne dni. Ale nie narzekał. Benny był spokojny, a przecież o to chodziło.

Gdy pół godziny później znaleźli się przed domem, zauważył na podjeździe zaparkowany samochód Bena. Ku jego zdziwieniu w domu nie było jednak ani śladu

obecności właściciela. Nastawił kawę, a Carol poszła zmienić ubranie. Przebierała się około dwudziestu razy dziennie i choć Abul bardzo ją lubił, uważał, że nie jest to w najlepszym stylu.

Wystukał numer komórki Bena, jednak zamiast sygnału usłyszał: abonent czasowo niedostępny. Zaczynał się niepokoić choć starał się nie poddawać panice. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Wskoczył z kuchni, wpadł do sypialni i ku swojemu zaskoczeniu ujrzał Bena. Leżał nagi na łóżku i ryczał ze śmiechu, podczas gdy przerażona Carol zalewała się łzami.

- Ty cholerny draniu, przestraszyłeś mnie!

Benny ze śmiechu nie mógł nic odpowiedzieć, a Carol dalej trzęsła się ze strachu. Abul wiedział, że to nie czas ani miejsce na łatwe pocieszenie.

- Wskoczył na mnie z garderoby! To cholerny, zwariowany drań!

Benny wciąż zanosił się wariackim śmiechem. Widok nagiego Bena w parkoszymach śmiechu był zabawny, ale Abul się nie śmiał. Dzisiaj jego przyjaciel naprawdę sprawiał wrażenie obłąkanego. Oczywiście miał nienaturalnie błyszczące i było jasne, że koka, wciągana ostatnio stanowczo zbyt często, ani trochę nie służy kontrolowaniu napadów szału.

Bo Benny miał właśnie swoje pół godziny świra. Tak na własny użytek określał te stany Abul. Zdarzały się raz na jakiś czas i wtedy Benny był groźny nie tylko dla siebie, ale również dla otoczenia. Był niepoczytalny i brutalny.

W takich momentach w ogóle nie kontrolował tego, co robi Abul pamiętał jego pierwszy taki występ. Chodzili jeszcze do szkoły, byli smarkaczami. Wtedy po raz pierwszy zobaczył u Bena nieobecne spojrzenie i ten dziwny wyraz twarzy. Przeraził się.

Ben zaatakował maczetą szkolnego łobuza, Jimmy'ego Bonda. Nie zrobił mu wielkiej krzywdy, ale i tak wyładował na trzy miesiące w poprawczaku. Zyskał sobie reputację zabijaki, bo Jimmy był od niego o dobre trzy lata starszy. Szkoła była oburzona. Oburzony był sędzia i tylko dzięki Maurze Ryan i jej kontaktom nie zamknięto Bena na dłużej.

Wtedy Abul był wystraszony. Teraz najczęściej bywał tym znudzony. Gdy zapłakana Carol uciekła do łazienki, przyszło mu do głowy, że na pewno nie zrobiła interesu życia wiążąc się z Benem Ryanem. Choćby sama uważała inaczej.

Benny przestał się śmiać, tępo wpatrywał się w przestrzeń. Abul po cichu wyszedł z pokoju i wrócił do kuchni. Wysączył filiżankę kawy, a dwadzieścia minut później dołączył do niego Benny, już ubrany i w jowialnym usposobieniu.

Kiedy do kuchni weszła Carol, pociągając jeszcze nosem, Benny popatrzył na Abula i wzruszył ramionami.

- Co się z nią dzieje?

Abul nie odpowiedział. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Te kretyńskie baby... - mruknął Benny. - Kto je zrozumie?

Dalej pił kawę i nawijał, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Abul był zadowolony, że „pół godziny świra” się skończyło.

Aż do następnego razu oczywiście.

Rozdział 11

Tommy i Joss pakowali bagaże do samochodu. Tommy wracał do Liverpoolu, aby zająć się sprawami, które wymagały jego osobistego nadzoru. Maura w gruncie rzeczy odczuwała ulgę, choć się z tym nie zdradziła. Tydzień z Tommym jakoś znosiła, ale potem zaczynał ją irytować. Była samodzielną kobietą i miała swoje nawyki.

Pamiętała, że Michael też był typem samotnika, jednak wcale jej to nie pocieszało. Mawiał, że samotne życie staje się nałogiem, z którym trudno zerwać. Teraz rozumiała, co miał na myśli. Wspaniale jest robić to, na co ma się ochotę i kiedy ma się ochotę, bez uzgadniania tego z kimś innym. Nawet z Terryem było czasami ciężko, bo miał swój ustalony tryb życia i nie lubił, gdy coś go zakłócało. Ale nie pora myśleć teraz o Terryem.

Joss pocałował ją i przytrzymał w niedźwiedzim uścisku, któremu się poddała. Bardzo lubiła tego olbrzyma. Czowała zapach Paco Rabanne, jego wody po goleniu. Naszło ją wspomnienie nieżyjącego brata, Geoffreya. Też używał tej wody. Szybko odcięła się od przeszłości. Geoff gryzie ziemię. Sama się do tego przyczyniła, kiedy zdradził Michaela.

Tommy wyrwał ją z objęć Jossa i namiętnie pocałował. Odczekała chwilę na podjeździe, machając im na pożegnanie.

Będzie jej brakowało Toma, ale nie za bardzo. Osaczały ją problemy, pragnęła samotności. W przeciwieństwie do Michaela, nigdy z nikim nie dzieliła się swoimi kłopotami, nawet z Terryem. Zwłaszcza sprawy biznesowe wolała przemyśleć sama.

Tony Dooley Junior robił jej w kuchni herbatę. Podziękowała mu i poszła do swojego gabinetu popracować. Sprawdziła pocztę głosową i dowiedziawszy się, że ma dwanaście wiadomości, znudzona i roztargniona siadła do ich odsłuchiwania.

Dzisiaj praca jej nie interesowała. Nie mogła się skupić, i to ją denerwowało. A na głowie miała problemy z Vikiem.

Zapatrzyła się na ogród za oknem. Był nieskazitelnie utrzymany, co ją cieszyło. Wypielegnowane trawniki z idealnie zadbanymi klombami w porównaniu z zapamiętanym z dzieciństwa zachwaszczonym ogródkiem. Nienawidziła tamtej biedy i cokolwiek by myśleć o Michaelu, robił wszystko, żeby wyciągnąć rodzinę z nędzy. Tak samo ona, chociaż czasami

zastanawiała się, dlaczego jeszcze się o to martwi. Cała ta sprawa z Vikiem dała jej w kość. Miała dość przemocy, za dużo było tego w jej życiu. Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła, uśmiechem dziękując Tony'emu, który przyniósł dzbanuszek z herbatą.

Gdy została sama, nalala sobie herbaty i dopaliła papierosa. Ale jej myśli znowu powędrowały do Geoffreya. Wyobraziła sobie, że jest tu przy niej. Zdarzało się jej to czasami. Czowała, że jej przebaczył, i po tych wszystkich latach ona też chciałaby móc przebaczyć jemu. Ale Geoffrey zdradził Michaela, wystawił własnego brata na łaskę i niełaskę IRA, nie mógł popełnić gorszego grzechu. Miała też trudności z wybaczeniem matce udziału w tym wszystkim. Sarah znalazła dokumenty, które przechowywał Geoff, i przekazała je policji, naiwnie wierząc, że jeśli Maura wyląduje w więzieniu, chłopcy zejną z przestępczej drogi. Akurat. Do pewnego stopnia mogła zrozumieć dziecinne rozumowanie matki, ale nigdy nie zdołała pojąć zachowania Geoffreya. Zawieść to bardzo destrukcyjna siła.

Przyszła jej na myśl Carla. Pod wieloma względami przypominała Geoffreya. Nigdy nie było wiadomo, o czym myśli. Postrzegało się ją w jednym wymiarze, a miała różne oblicza co Maura uświadomiła sobie dopiero niedawno.

Pocziwa Carla, zawsze z przyjaznym uśmiechem i ręką wyciągniętą do pomocy, ostatnio zrobiła się dziwnie tajemnicza, a do tego potrafiła wierzgnąć jak oślica, jeśli coś nie szło po jej myśli. Jak choćby awantura z tego powodu, że Maura nie zgodziła się dawać jej więcej pieniędzy na bieżące wydatki. Dwa tysiączki miesięcznie i żadnych opłat, a ona uważa, że nie może z tego żyć! Wypłakuje się przed bratem i ojcem. Ale z drugiej strony do tej pory nikt jej nigdy niczego nie odmawiał. Przez całe życie podawano jej na talerzu, co tylko chciała. Na złotym talerzu. Czy rzeczywiście dobrze się przysłużyli Carli tą nieustającą hojnością? Mieszkała w domu, który jej dali, i trwonila bez opamiętania ich pieniądze.

Odpędzała te myśli, wywołane przypuszczalnie urazą z powodu zachowania Carli wobec Toma. Poczowała się zawstydzona. Carla była ostoją w jej życiu. Maurę rozbawiło, że z jej powodu staje się na stare lata psem ogrodnika. Tommy bezsprzecznie należał do niej i jeśli Carla się w nim zadurzyła, było to zabawne i smutne, ale niegroźne.

Jednak wewnętrzny głos podszeptował dalej, że bratanica nie dzwoni już tak często jak dawniej i nawet Joey prawie się z nią nie kontaktuje. Był synkiem mamusi, zawsze tak było. Rzadko widywał ojca i wołał przebywać w towarzystwie matki niż rówieśników. Był taki sam jak Carla. Obydwoje nie mieli prawdziwych przyjaciół, tylko znajomych. Maura zastanawiała się, dlaczego nie odkryła tego wiele lat temu. Ten sam wewnętrzny głos odpowiedział jej: „Nie chciałaś drażnić, Maura. Bo z rodziną jest tak, że nigdy nie wiadomo, co wyjdzie na wierzch”.

Odruchowo chwyciła za telefon i wybrała numer komórki Carli. Usłyszawszy jej radosny głos, szczerze zawstydziała się swoich myśli.

- Cześć, Maws, właśnie do ciebie jadę.

- Cudownie. Joey jest z tobą?

- Nie - Na linii coś zatrzęszczało. - Pojechał do East Ham Market. Wiesz, jak on lubi zakupy.

Maura uśmiechnęła się do niej, zapominając, że Carla nie widzi jej twarzy przez telefon.

- Tom jeszcze jest u ciebie? - zapytała bratanica.

Maura nie spodobało się to pytanie i nie mogła otrząsnąć się z niemiłego wrażenia, że jest obcesowe i z podtekstem. A może tak jej się tylko wydawało? Raczej nie.

- Nie. Bo co?

Była bardziej szorstka, niż zamierzała. Carla nie od razu odpowiedziała.

- Tak tylko pytam, to wszystko. Nie denerwuj się, złotko.

Znowu to samo, ta arogancja w jej głosie. Zupełnie jakby chciała sprowokować ją do jakiejś reakcji. Ale dlaczego? Maura zdecydowała, że lepiej przerwać tę rozmowę, zanim powie coś, czego potem będzie żałowała.

- A więc do zobaczenia!

Odłożyła telefon z ciężkim sercem. Niczego sobie nie imaginowała, cały czas czuła w głębi duszy, że coś jest nie tak. Czekwała, ale Carla się nie pojawiła, czego można się było spodziewać. Nie miała po co przyjeżdżać, to jasne. Przecież Tommy wyjechał. Maura miała świadomość, że ta sytuacja to kolejny problem dla niej.

Ale na dzisiaj miała dość, nie chciała zawracać sobie tym głowy. Wyglądało na to, że zaczyna brakować jej energii. W odpowiednim czasie, gdy groźna afery, w jaką są wplątani, wreszcie się skończy, odda wodze w ręce Gala.

Natychmiast poczuła ulgę, podjąwszy taką decyzję. Przekaze wszystko chłopakom, a jeśli spaprzą coś w interesach, to trudno. Ona już dostała za swoje.

Miała tylko nadzieję, że konflikt z Vikiem nie będzie eskalować. Nie było miejsca w Londynie, gdzie by się Vic nie pokazał, niestety nikt nie mógł go przy skrzynie. Umykał glinom, ale nie szukali go zbyt pilnie. Wyglądało na to, że ma teraz życie usłane różami. Ktoś poruszał potężne sprężyny i jeśli ona za tym nie stała, to kto? W całym kraju nie było nikogo mocniejszego od Ryanów, więc kto był najnowszym pretendentem do ich korony? W przeszłości było ich wielu, ale dzięki Bogu wszystkich się pozbyła. To jej ostatnia batalia i wycofa się z wojny o wpływy.



Jamie Hicks był u bukmachera w Bethnal Green. Właśnie stracił mnóstwo forsy i wiedział, że Vic wypruje z niego flaki jeśli się o tym dowie. Dzisiaj biegł jeden z ulubionych koni Jamiego i nie mógł przegapić tego zakładu. Problem w tym, że czekając na główny wyścig, nudził się i obstawił kilka innych.

W niespełna godzinę stracił dziewięć tysięcy.

Szef punktu spóźniał się tego dnia, a kiedy wreszcie dotarł był mile zaskoczony, ujrawszy Hicksa. Przywitał go przyjaźnie, zaproponował kawę i herbatę, po czym pomaszerował na zaplecze i zadzwonił do Bena Ryana z dobrą nowiną. Do jego przyjazdu nie odstępował już Jamiego, zabawiając go rozmową.

Patrząc, jak Hicks szasta pieniędzmi i robi z siebie widowisko, zgrywając ważniaka, Les Grimes zastanawiał się, czy ten ciul nie potrzebuje psychiatry. Co go opętało? Facet poszukiwany przez Ryanów przychodzi do bukmachera będącego pod ich kontrolą? Zwariował?

Ale Les wiedział, co opętało Hicksa. Był beznadziejnie uzależnionym hazardzistą. Przeszedłby po rozżarzonych węglach, żeby postawić ostatnie dwadzieścia pensów na psa bez nogi, gdyby ktoś do niego zadzwonił i powiedział mu, że to pewniak.

Wszyscy bukmacherzy znali Jamiego Hicksa, był legendą. Złodziej i blagier, opowiadał bajki o swoich wielkich wygranych i śmiał się z jeszcze większych strat. Nawet teraz robił przedstawienie, otwierając portfel w taki sposób, by każdy widział, że ma w nim gruby plik banknotów. Plik, który topniał z każdą chwilą. Co skłaniało tego gościa do popisywania się przed taką kupą gnoju jak tutejsza klientela? Był tu inżynier z firmy BT, który chyba nigdy nie pracował, emeryt, który spędzał całe dni typując kumulację na pięćdziesiąt gonitw, oraz kilku bezrobotnych, którzy regularnie co tydzień przepuszczali zapomogi i zasiłki rodzinne na dzieci. Można tu było przypatrzeć się życiu.

Trudno byłoby wyobrazić sobie lepszego szefa zakładów niż Les Grimes. Miał głowę do liczb i szczerze nienawidził hazardu. Nie znosił również picerów i dlatego tak szybko zadzwonił do Bena Ryana. Ulica wiedziała już, że Jamie i Vic są poszukiwani. Les wydałby Jamiego bez chwili zastanowienia i za darmo, takie czuł do niego obrzydzenie, lecz gratyfikacja od Ryanów też była nie do pogardzenia.

Biorąc to wszystko pod uwagę, był to owocny ranek.

Zabrzęczała komórka Hicksa, ale ten widać wiedział, kto dzwoni, bo nie odebrał. Les zaśmiał się w duchu. To się nie spodoba Vicowi. O to nawet on, Les, mógłby się założyć o duże pieniądze. Nie był facetem, którego telefonów się nie odbierało.

Podtrzymywał rozmowę, żeby Hicks nie wyszedł za wcześnie. Dziesięć minut później Benny i jego hinduski goryl otworzyli drzwi i wpadli do środka niczym bohaterowie kowbojskiego filmu.

Biedny stary Jamie. Publika nie wykazała większego zainteresowania, gdy wyciągano go z lokalu przy akompaniamencie jego głośnych protestów. Gdy ucichł, słychać było tylko głosy komentatorów telewizyjnych i stałych bywalców, darmozjadów i mętów, wymieniających uwagi o koniach i psach.

Jeśli chodzi o Lesa, to właśnie lubił.

◆◆◆

Vic był wściekły. Kiedy zatrzymywał się pod domem Kena Smitha, zanotował sobie w pamięci, żeby przy najbliższej nadarzającej się okazji skrócić kark Jamiemu Hicksowi. Jak on śmiał tak zniknąć! Cholerny łodziarz, będzie wkrótce wrzeszczał z bólu na moich oczach, mruknął do siebie.

Kenny zobaczył Vica zmierzającego w stronę jego domu i jego serce zamarło. Tylko tego było mu trzeba. Dzięki Bogu matka wyszła z wnuczką. Szybko wyjął mały pistolet i schował go w górnej szufladzie kuchennego kredensu. Zabiłby Vica bez żadnych skrupułów, chociaż wiedział, że Ryanowie nie byliby mu za to wdzięczni, bo woleli go sami dorwać. A, pies trącał, nie miał zamiaru dostać się w łapy Joliffa. Jednak ręce Gala i Bena Ryanów nie były, trzeba przyznać, kuszącą alternatywą.

Pieprzyć ich! Nie będzie się nimi przejmował na zapas.

Kiedy wpuszczał do domu radośnie uśmiechającego się Vica, ogarnęło go poczucie bezsilności - normalna reakcja ludzi na widok Joliffa. Nawet takich twardzieli jak Kenny. Jeżeli Vic chciał się z tobą zobaczyć, to się z tobą zobaczył. Nie powstrzymałaby go nawet zamknięta i okratowana cela więzienna. Wjechałby do niej shermanem, sukinsyn. Z zaproszeniem lub bez.

- Jak tam, stary przyjacielu?

Dziś w głosie Vica słychać było wymuszoną wesołość. Kiedyś był w miarę porządnym gościem, przed śmiercią Sandry. Teraz wszystko wskazywało na rozwijającą się u niego paranoję. Przez chwilę Kenny mu współczuł.

- Czym mogę panu służyć?

Niegdyś tak się do siebie zwracali, wiele lat temu. Dwaj młodzi i głupi gangsterzy, którzy chcieli się czymś wyróżniać. No i się wyróżnili, obydwaj. Co z tego teraz mają?

- Już pokłóciłeś się z Jackiem? - zapytał Kenny.

Vic rozejrzał się po kuchni pogrążonego w ciszy domu.

- Jack zawsze był krętaczem. Niezła chałupa, Ken. Musiała kosztować parę funciaków.

- Dość, by doprowadzić mnie do łez. Lana chciała tej chaty bardziej niż ja.

Vic kiwnął ze zrozumieniem głową. Jego żona była taka sama.

- Wiesz, brakuje mi mojej Sandry. Czasami była wiedźmą. Gęba jej się nie zamykała i często miałem ochotę ukrećić łeb tej zgadze. Ale miała też w sobie coś takiego, że miękłem. O, tutaj. - Uderzył się w pierś. - Nie uwierzyłbyś, że serce może pękać z żalu za kobietą, co?

- Chyba nie. Ale teraz już nie jestem pewien. W każdym razie nie po tym, co się stało z moją żoną. Jej też każdy chciał łeb ukrećić. Nawet ksiądz unikał jej jak plagi.

Vic roześmiał się jak dawniej. Odprężył się, co ucieszyło Kena. Był absolutnie gotowy zastrzelić Vica w razie konieczności, ale wolałby nie. Vic należał w końcu do starej gwardii i znali się tyle lat.

Wydawało się, że Joliff czyta w jego myślach.

- Nie martw się, stary. Nie będzie dzisiaj żadnej rozróby, obiecuję.

- Dobrze to słyszeć. Herbaty, kawy, drinka?

- Wystarczy herbata.

Kiedy Kenny robił herbatę, Vic wyjął pękata torebkę z białym proszkiem i usypał dwie kreski koki na marmurowym blacie. Wciągnął je przez niewielką słomkę, odchylił w tył głowę i przez dłuższą chwilę pociągał głośno nosem.

- No, teraz lepiej.

- Powinieneś odpuścić sobie na jakiś czas, pieprzy ci się od tego pod czachą.

Vic potrząsnął łysą głową.

- Nie mnie. Dużo lepiej mi się po tym myśli.

Kenny postawił przed nim kubek z herbatą.

- Tak tylko ci się wydaje, Vic. To iluzja. Pamiętasz tego palanta z Baring's Bank? Myślał, że jest niezniszczalny. Nie był. Koka zrobiła jak zawsze swoją brudną robotę.

Vic nie słuchał, wyglądał przez okno na różany ogród.

- Lubię róże. Pamiętam, że kiedyś w Parkhurst zapisałem się na warsztaty plastyczne. Prowadziła je taka jedna z twarzą tygrysy i wielkimi cycami, więc pomyślałem sobie, że pójdę i rzucę okiem. Narysowałem różę. Powiedziała, że jestem dobry i w ogóle.

Znowu zamilkł, a Kenny zastanawiał się, kiedy pozna cel jego wizyty. Nie musiał długo czekać.

- Chcę widzieć wszystkich Ryanów martwych.

Kenny, zdenerwowany, zamknął oczy. Sprawdzało się jego straszne przeczucie, że właśnie coś takiego usłyszy z ust Vica.

◆◆◆

Jamie Hicks był ledwo żywy ze strachu, niemal czuł jego smak w ustach. Benny Ryan, śmiejąc się jak wariat, stał nad nim ze swoim osławionym klejem Airfix i paralizatorem.

- I co, Jamie, jak tam twoje dzieci? Chyba pamiętasz, jak wyglądają, co? Tylko że to my utrzymujemy je, dbamy, żeby miały, do czego przywykły. W każdym razie dba o to moja ciotka Maura. Pamiętasz moją ciotkę Maurę i mojego wuja Gala? Pracowałeś dla nich jakiś czas temu, zanim zapragnąłeś śmierci.

Zaśmiał się paskudnie.

- O ile dobrze pamiętam, mój wuj był dla ciebie bardzo dobry, prawda? Załatwił ci wygodną pojedynkę w więzieniu, zaopatrywał w drinki, dawał po parę funtów na hazard. Opiekował się Danielle i dziećmi, o których ty nie pamiętasz... Myślę, że było ci jak w raju. Nie, Abul?

Popatrzył na przyjaciela, który przytaknął ochoczo. Abul miał nadzieję, że Garry i Maura wkrótce się pojawią. Benny zaczynał wariować, zaczynało się jego sławetne pół godziny świra i mogło się zdarzyć, że zabije Hicksa, zanim ktokolwiek będzie miał szansę wyciągnąć z niego choćby jedno słowo.

- Masz ochotę na piwo i kanapkę, Benny?

To był jedyny znany mu sposób, żeby czymś Bena zająć, póki nie nadejdą pozostali. Benny zachowywał się w takiej robocie jak na pikniku, to była dla niego frajda. Przyjemny sposób na spędzenie popołudnia lub wieczoru. W takich chwilach Abul zastanawiał się nad ich przyjaźnią. Benny ani razu nie był wobec niego agresywny. Skumplowali się od pierwszego dnia i do niedawna Abul kochał go jak brata. Wiedział, że Benny nie przestał odplacać mu wzajemnością.

- A co masz?

Benny głodnym wzrokiem obrzucił torby z Marksa and Spencera.

- Wszystko to, co lubisz.

Jamie z niepokojem patrzył, jak wypakowują torby. Nie zdziwiłby się, gdyby były w nich fiolki z kwasem albo płynem hamulcowym. Ale to było jedzenie. Odetchnął z ulgą.

- Kurczak i awokado. To, co uwielbiam.

Benny zerwał opakowanie i ugryzł duży kęs kanapki.

- Fajowo. Nalej piwa, Abul, robimy przyjęcie. Popatrzył na Jamiego i zapytał przyjaźnie - Głodny?

Jamie potrząsnął głową.

- Twoja strata, dupku. Wyrzekłeś się właśnie swojej Ostatniej Wieczerzy.

Śmiał się z własnego dowcipu. Abul mu wtórował, ale Hicksowi nie było do śmiechu. Z jego punktu widzenia nie było w tych słowach nic a nic zabawnego.

Podczas gdy Benny z Abulem jedli i pogadywali sobie, Jamie rozglądał się po piwnicy, w której został uwięziony. Był w jakimś domu w północnym Londynie, tyle się domyślał, a ponieważ była to rudera, wiedział, że jego krzyków nikt nie usłyszy. Nie miał szans na ucieczkę, postanowił więc, że popróbuje targów. Nie z Bennym, ale z kimś z pozostałych. Zawsze dobrze dogadywał się z Garrym, toteż pomyślał, że z nim pójdzie mu najlepiej. Powie im wszystko, jeśli tylko będzie mógł wywinąć się śmierci.

Serce waliło mu w piersi i czuł, jak w jego krwi podnosi się poziom adrenaliny. Dobrze wiedział, że emocje mu nie służą. Odkryto u niego szmery w sercu, choć nigdy się tym nie chwalił. Teraz, kiedy czekał, aż skończą jeść i zaczną się z nim zabawiać, w uszach słyszał cały czas łomotanie swojego serca.

Drzwi do piwnicy otworzyły się i z ulgą stwierdził, że to Lee schodzi po schodach.

- Co to? Piknik pieprzonych misiaczków?

Mówił to ze śmiechem i Benny, już niezłe nakręcony zarechotał w odpowiedzi.

- Można tak powiedzieć. Chcesz kanapkę?

- A jakże, przecież jak zwykle ominął mnie lunch. Sheila jest ostatnio nieznośna, dziecko daje jej się we znaki. Nic, tylko narzeka i narzeka. Zawsze lubiła być w ciąży, a teraz tylko cały czas nawija, że czuje się gruba. A ja nie mogę powiedzieć: „Czujesz się taka cholernie gruba, bo masz powód”. Jak łatwo się domyślić, raczej nie jest w nastroju do wysłuchiwania takich rzeczy.

Abul i Benny uśmiechnęli się. Wiedzieli, jak bardzo Lee kocha żonę i to ciągle utyskiwanie na nią nie było na serio.

- A jak ona się czuje? Wszystko w porządku?

Przyjazna odzywka Hicksa równie dobrze mogła być odgłosem karabinowego wystrzału. Pozostali trzej mężczyźni nagle zamilkli, a Lee podszedł do siedzącego na podłodze Jamiego i z całej siły kopnął go w twarz. Jamie poczuł w głowie eksplozję bólu.

- W co ty pogrywasz? Myślisz, że to jakaś pieprzona zabawa, ty zdradliwy alfonsie?

Jamie znieruchomiał. W jego mózgu włączył się autopilot, podpowiadający, żeby ich więcej nie drażnić. Sytuacja była poważna, bardzo poważna i nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest już trupem.

Nie będzie tu dzisiaj żadnych układów, najwyżej uda mu się wytargować szybką śmierć. Tyle tylko może dla siebie zrobić. Poprosić ich, żeby go zastrzelili albo... Niech załatwią to jak najszybciej. A on w zamian powie im wszystko, co wie. Uświadomiwszy sobie, w jakim siedzi gównie, zaczął płakać. Pozostała trójka całkowicie go ignorowała, dalej jedli i gadali.

Jamie wyteżał słuch, żeby nie uronić nic z tego, co mówili, i wydedukować, jaki los go czeka. Miał nadzieję, że Maura też przyjdzie. Modlił się o to. Byłby to jedyny głos rozsądku w tym chórze świrów, potrzebował jej. Jezus, jak bardzo jej potrzebował.

Nagle Benny wstał. Cisnął resztkę kanapki na ziemię, podniósł pałkę elektryczną i podszedł do Hicksa.

- Rozbieraj się.

- Co? - wyjąkał Jamie.

Próbował odwlec to, co nieuniknione. Benny uderzył go paralizatorem po nogach i śmiał się, patrząc na podrygujące na podłodze ciało.

Rozbierz go, Abul.

Ten zrobił, co mu kazano, zdzierając z Hicksa ubranie. Potem polał go lodowatą wodą z węża. To ocuciło biedaka na tyle, by wiedział, co się z nim dzieje.

Jego twarz była piekącą raną, podobnie noga. Widział dwa oparzenia w miejscu, gdzie paralizator przepalił dżinsy i dotknął skóry. Stał nad nim nie tylko Benny, ale także Lee. Jamie próbował zakryć rękami genitalia.

- Przytrzymaj go - powiedział Benny do Lee i wyciągnął klej Airfix.

- Proszę, Ben, tylko nie to. Tylko nie to...

Benny, głuchy na te błagania, krzyknął:

- Och, zamknij się, ty męska dziwko!

Jamie skamlał:

- Proszę cię, błagam cię, stary...

Benny ryknął:

- Zamknij się wreszcie! Trzeba było myśleć, kiedy wybierałeś sobie tego dupka Vica Joliffa na nowego kumpla. Naprawdę uważałeś, że się o to nie pogniewamy? Że powiemy: „Nic się nie stało, Jamie. Pieprzyć wszystko, co dla ciebie zrobiliśmy?”. Rusz mózgowicą. Sam sobie nawarzyłeś tego Piwa, pij je teraz i zachowuj się, kurwa, po męsku. A wy dwaj przytrzymajcie mu głowę.

Lee i Abul wykonali polecenie.

Rozdzierające wycie Hicksa, gdy zaklejano mu powieki, nie robiło na nich żadnego wrażenia. Wiedzieli z doświadczenia, że zanim minie dzień, będzie wył jeszcze głośniejsze. Że niewidzące oczy są gwarancją, iż w ofierze będzie narastał śmiertelny strach. Nie wie, co i kiedy ją czeka, i to jest najgorsze. Zwykle odbywało się to tak, że Benny zdejmował buty i podkładał się do więźnia, a kiedy nagle dotykał paralizatorem jego ciała zaskoczony facet przeżywał spotęgowany szok.

Jamie miał wrażenie, że już jest martwy. Nie miał czucia w rękach, brakowało mu powietrza, jakby na jego piersi leżała bryła lodu.

Pomyślał o Danielle i dzieciach i poczuł żal, że ich krzywdził. Przed oczami stanęła mu matka, która zawsze starała się wyciągać go z kłopotów, gdy był dzieckiem. Potem ojciec, nigdy trzeźwy, z szerokim skórzanym pasem w ręku. Potem siostra z armią chłopaków, którzy robili jej dzieci i znikali. Miała pogodną twarz, zanim rzuciła szkołę i odkryła, że jeśli opierdala partnerów, potrafią jakiś czas się jej trzymać. Potem wszystko pokryła łaskawa ciemność.

- Patrzcie, zemdlął!

Benny znowu się śmiał, ale był rozdrażniony. Zabawa jeszcze się na dobre nie rozpoczęła. Chciał dowiedzieć się wszystkiego o Joliffie, gdzie jest i co zamierza. Wypili kolejne piwo i znowu polali Jamiego wodą z węża, ale nawet nie drgnął. Lee i Abul zaniepokoiли się.

- Oddycha? - spytał cicho Lee.

Abul sprawdził Hicksowi puls i pokręcił głową. Przygryzał wargi, niezdolny wydobyć głosu.

- Nie żyje?

W głosie Benny'ego słychać było urazę, jakby Jamie umarł ze strachu, żeby mu zrobić na złość.

- A to pieprzony onanista. Umarł. Miał czelność mi to zrobić... nie wierzę.

- Maura się wścieknie.

Lee powiedział na głos to, czego wszyscy się w duchu bali.

Benny zwiesił głowę jak skarcony uczeń.

- Wygląda na to, że umarł ze strachu - mruknął Abul.

Nagle wszyscy trzej zaczęli się śmiać.

- Maura wpadnie w szal, no nie?

Rechotali dalej i tak ich zastała dziesięć minut później - robili sobie niesmaczne żarty z leżącego przed nimi ciała. Jak gdyby nie rozumieli, co się stało. A stało się bardzo źle.



Vic wciągał kokę i próbował wyjaśnić Kenny'emu, dlaczego Maura Ryan i cała reszta powinni zginąć.

- Ale ona nie miała nic wspólnego ze śmiercią Sandry. Ile razy można ci to powtarzać, Vic? Za to ty wysadziłeś jej samochód, do cholery. Ty albo twoi wspólnicy, tylko nie chcesz powiedzieć, kto to był. I co, oczekiwałeś, że Maura to przełknie? Wiem na pewno, że ze śmiercią Sandry i mojej Lany nie miała nic wspólnego. To zrobił ktoś, kto stoi za tobą i miesza. Dlaczego, do jasnej cholery, nie wyrzucisz z siebie kto to?

Vic popatrzył na Kena.

- Jeszcze na to nie wpadliście? Nikt w mieście tego nie zgadł? Ciekawe, ile jeszcze czasu potrzeba tej kupie dupków, żeby odkryć, kto pociąga za sznurki.

- A kto to jest, Vic? Powiedz kto!

W głosie Kena było tyle desperacji, że Vic zastanowił się, czy mu nie powiedzieć. W końcu ten gościu miał do tego prawo. Ale jeśli puści farbę, trzeba będzie od razu wykonać wszystkie ruchy. A do przeprowadzenia całej gry Vic potrzebował ludzi. Teraz miał już niezbędne pieniądze, ale z jakiegoś powodu trudności nastęczała rekrutacja i dlatego potrzebował pomocy Kena.

Smithy, nie jestem taki zielony, na jakiego wyglądam, ale w tym momencie pasuje mi, żeby ludzie uważali, że chcę pomścić Sandrę. Co nie znaczy, że tak nie jest, nie zrozum mnie źle, ale gdy raz zacznę puszczać parę z gęby, znajdę się w podwójnym niebezpieczeństwie. Muszę dotrzeć do tych ludzi i muszę mieć swoją armię. Pomóż mi w tym, Kenny. Ty znasz wszystkich.

Kenny powoli potrząsnął głową.

- Masz tupet, wiesz? Jestem pośrednikiem, a nie pieprzoną agencją werbunkową. Sam sobie znajdź żołnierzy... ja muszę być neutralny.

Vic mrugnął do niego.

- Niekoniecznie wtedy, gdy chodzi o pewną uroczą klientkę, co? Ale jest, jak jest. Czy możesz jednak zrobić coś dla mnie? Zanieś wiadomość Maurze Ryan. Chcę się z nią spotkać na jej terenie. Tylko ja i Maura możemy przywrócić dawne porządki.

Ken patrzył na faceta przed sobą: tik nerwowy wprawiał mu w drganie policzki, ręce trzęsły się tak, że rozlewał herbatę, aż cały spodeczek w niej pływał. Wiedział, że jeśli przedstawi tę prośbę Maurze, ona prawdopodobnie się zgodzi na spotkanie, ale on sam nie mógłby się z tym pogodzić. Umiał odróżnić odwagę od głupoty. Z Vikiem w tym stanie umysłu wszystko było możliwe.

- Nie mogę tego zrobić, Vic. Nie mogę się wplątywać w coś tak ryzykownego.

Vic westchnął.

- Może to i lepiej. Sam poczułem się przez chwilę zbyt miękkki. Coś ci powiem. Jeśli nie chcesz zanieść mojej prośby, to może przekażesz groźbę?

Kenny nabrał pewności, że się nie myli co do Vica. Był nieprzewidywalny, zmieniał front w mgnieniu oka. Joliff i Maura działający ręką w rękę na rzecz przywracania porządku? To byłby absurd.

- Powiedz jej, że muszę najpierw załatwić kilka innych spraw, ale jest na mojej liście. Wkrótce się z nią zobaczę. Przekaż jej to, dobrze? - nalegał Vic.

Kenny z ociąganiem skinął głową. Niech szlag trafi neutralność. Ryanowie byli dobrymi klientami i to Maura pilnowała żeby wszystko się kręciło, więc powie jej co trzeba - we własnym, dobrze pojętym interesie.

- Porządny z ciebie chłop, Ken. I chyba nie sprawi ci to trudności. Skontaktuj się z nią.

Kenny nie wiedział, co go bardziej irytowało: to, że zgodził się na rolę wysłannika tego szaleńca, czy fakt, że Vic go przejrzał. Bo Ken zasłaniał się chłodnym profesjonalizmem, a tymczasem troszczył się bardziej niż powinien o Maurę Ryan i o to, żeby nie stała jej się krzywda.

Rozdział 12

Maura była rozsierdzona nie na żarty. Trzej dorośli mężczyźni stali na baczność jak niegrzeczni chłopcy, gdy na nich wrzeszczała. Nie żałowała gardła. Kiedy weszła i zobaczyła leżące na podłodze ciało, miała tak porażające wrażenie *déjà vu*, że omal nie zemdląła. Powrócił Sammy Goldbaum. Powrócił przyjaciel Michaela, Jonny. Powróciły wspomnienia, o których wołałaby zapomnieć.

- Czy nie mogę was z żadną sprawą zostawić samych? Jak zostajecie sami choć na minutę, zaraz mamy trupa.

Żaden z nich się nie odezwał przez moment.

- Maura, to był wypadek, nie chcieliśmy tego - Benny ośmielił się otworzyć usta.

- Oczywiście, że nie. Przy was nawet modły w klasztorze nie obyłyby się bez ofiar.

Ich zakłopotanie rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

- Czy skleiłś mu oczy, Ben? Wyraźnie powiedziałam ci, żebyś akurat jemu tego nie robił, prawda?

Nie odpowiedział.

- Zadałam ci pytanie, do jasnej cholery!

Patrzył na nią baranym wzrokiem. Uświadomiła sobie, że bratanek jest niebezpiecznym psychopata. Na razie jeszcze miała nad nim kontrolę. Ale jak długo da się go kontrolować?

Nawet Roy, zanim branie prozacu zamazało mu obraz rzeczywistości, też się nad tym zastanawiał. A przecież był jego ojcem.

Benny odpowiedział jej z butą, jaka nie mogła jej się spodobać:

- Przecież nie zrobiłem tego specjalnie. Już ci powiedziałem, to był wypadek.

Maura obrzuciła wzrokiem wszystkich trzech. Wyglądali jak uczniacy stojący pod gabinetem dyrektora, przyłapani na paleniu. Ale oni kogoś zabili. Ktoś, do cholery, nie żył.

I żaden z nich nic sobie z tego nie robił.

Wiedziała, że w ich branży czasem nie da się uniknąć zabójstwa. Ale najgorsze, co się mogło zdarzać, to zabijanie bez potrzeby. Benny miał za dużo frajdy z tej roboty, to było od lat oczywiste. Gdy był jeszcze dzieckiem, już odzywała się jego prawdziwa natura. Rozpieszczany przez matkę i babkę, marzył tylko o tym, żeby wyrosnąć na twardego mężczyznę. Od małego chciał być taki. Gdyby wiedział, co naprawdę znaczy być mężczyzną, mogłaby spokojnie zostawić ich własnemu losowi. Patrząc na nich teraz, z rozpaczą myślała, że nigdy się od nich nie uwolni.

Benny i Lee uśmiechali się do siebie znacząco, co ją jeszcze bardziej rozzłościło.

- To nie jest śmieszne.

Abul i Lee popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem, a Benny im zawtórował. Gdy stała w chłodnej piwnicy i patrzyła na nich, miała wrażenie, że z nią także jest coś nie tak, jakby była pod wpływem jakiegoś środka halucynogennego. Podobne uczucie miewała już w przeszłości - jakby przypadkowo znalazła się w czyimś koszmarnym śnie.

Jamie leżał na podłodze, miał sklezione oczy, jego nieruchome ciało było skrzyżowane pod nieprawdopodobnym kątem i z jakiegoś powodu trzymał się za jądra. Cierpienie, jakiego doświadczył przed śmiercią, było wypisane na jego twarzy.

Widok był nie do zniesienia, przygnębiający, przykry. Maura wstydziła się, że ma w tym swój udział. Za życia Michaela nigdy nie doświadczała aż takiego poczucia winy. Obecnie jednak cała odpowiedzialność spoczywała na niej. Jamie okazał się palantem, sprzedał się oferującemu wyższą stawkę. Był hazardzistą. Na nich nigdy nie można polegać, jednak ten zdradliwy dupek nie zasługiwał na taki los. Najtrudniej będzie powiadomić jego żonę, no i potem trzeba zadbać o zapewnienie jej środków do życia. Danny kochała tego łajdaka. Był ojcem jej dzieci. Dla niej i dzieci był ważny i nie miało znaczenia, że mieli o nim fałszywe wyobrażenie.

Popatrzyła na swoich mężczyzn. Już się nie śmieli, ale wiedziała, że w ich mniemaniu nic takiego się nie stało. „Ciotka robi z igły widły” - to było ostatnio ulubione powiedzenie Bena.

Próbowała się uspokoić. Pieprzyć Jamie Hicksa, był już historią. Ale potrzebowała informacji o Vicu. Taki był cel całej tej operacji. Najważniejsze dla rodziny było to, co Jamie miał do powiedzenia.

Westchnęła ciężko. Złość jej nie przeszła, ale wściekanie się nie miało sensu, nie robiło na nich najmniejszego wrażenia.

- Co Jamie miał do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie, zanim umarł? - zapytała cicho.

W jej głosie słychać było znużenie. Odpowiedzią były zakłopotane miny i głucha cisza. Wyglądali, jakby pragnęli być gdziekolwiek, byle nie w tej piwnicy w północnym Londynie. Ona sama też byłaby szczęśliwa, gdyby mogła znaleźć się teraz w dowolnym miejscu globu, tylko nie tu. Nie patrzeć na martwego Jamiego Hicksa. Nie zastanawiać się, jak przekazać tę wiadomość jego żonie, żeby nie poroniła.

- No słucham, miejmy to za sobą. Nie chcę sobie spieprzyć całego dnia.

Benny potrząsnął głową.

- Nic.

- Nic?! - Jej głos znowu przechodził w krzyk. - Co to, do cholery, znaczy?

Benny wzruszył ramionami. Zaczynało go to wkurzać.

- To, co powiedziałem. Nic. Pieprzyć go.

Prowokował ją znowu.

Wtrącił się Lee:

- On właściwie od razu umarł, Maws. Prawie go nie dotknęliśmy co nie chłopaki?

Pomyślała, że musiała się przesłyszeć. Wodziła po nich wzrokiem, jakby widziała ich po raz pierwszy w życiu.

- Nie wierzę. Chcecie mi wmówić, że ot tak po prostu wziął i umarł bez słowa?

Abul kiwnął głową.

- Według mnie umarł ze strachu - powiedział autorytatywnie.

Z jakiegoś powodu rozzłościło ją to jeszcze bardziej.

- A kim ty jesteś, Abul? Pieprzonym doktorem Bronowskim? Każdy idiota zauważy, z jakiego powodu Hicks umarł. Jedno spojrzenie na te zwłoki powinno wystarczyć nawet wam, skończone głąby, żeby wiedzieć, dlaczego umarł.

- Czego chcesz, Maws? Pieprzonej sekcji czy co? Jest sztywny, i tyle. Wielka sprawa. To nawet dla niego lepiej, był dupkiem.

Bezczelność Bena doprowadziła ją do furii. Jej twarz stężała. Benny szybko przypomniał sobie, z kim ma do czynienia. Do czego jest zdolna.

- Dobrze, przemądrzały byczku, to dupek, ale niestety martwy. A my nie jesteśmy ani trochę mądrzejsi, jeśli chodzi o Joliffa. Jamie coś o nim wiedział. Więc co proponujesz teraz? Wynająć jakieś pieprzone medium? Albo może masz bezpośredni telefon do Doris Stokes?

Uratowało ich przybycie Garry'ego. Rzucił jedno spojrzenie na scenę przed nim i zaklął głośno:

- A niech to szlag...

Stał na schodach, patrząc z niedowierzaniem na ciało Jamiego Hicksa. Ich paszport do Vica Joliffa. Maura widziała, że aż zakipiał ze złości, dosłownie nim zatrzęsło. Ktoś będzie musiał zapłacić za spieprzenie roboty, pomyślała, i bardzo ją to cieszyło. Naprawdę bardzo. Zaśmiała się cierpko, mówiąc:

- Nie usłyszałeś jeszcze najlepszego, Gal. Jest jeszcze ciekawiej. Wyzionął ducha, zanim się czegokolwiek dowiedzieli. Przeraził go Benny, Król Airfixu. Jamie umarł ze strachu

Garry milczał przez chwilę, która wydawała się trwać całe wieki, a potem zapytał tylko:

- Chyba żartujesz?

Maura i Lee wiedzieli, kiedy Garry wpada w furję, widywali go w takim stanie wielokrotnie i oboje cofnęli się, gdy zbiegał ze schodów. Odpychając stojącego mu na drodze Abula, rzucił się na Bena i chwycił go za gardło. Benny dostanie dobrą nauczkę od tego furiata i może zrozumie wreszcie, że zawsze może trafić na groźniejszego niż on sam pomyleńca, pomyślała Maura.

- Ty pojebany popaprańcu! Coś ty, kurwa, narobił!

Garry jeszcze kontrolował głos, ale w jego oczach i ruchach widać było wściekłość.

- Nauczę cię posłuchu, zobaczysz! Nie będziesz odgrywał ważniaka. On był naszym dojściem do Joliffa, a ty go sprzątnąłeś bez chwili zastanowienia. Ty sukinsynu!

Gdy zaczął kopać Bena, Maura wyszła z piwnicy. Miała tego wszystkiego dość. Tonny Dooley otworzył przed nią drzwi samochodu, wsiadła do mercedesa i zapaliła papierosa.

Nie musiała patrzeć, jak Benny dostaje cięgi, choć szczerze się z tego cieszyła. Nie było to na wyrost. Należało chwycić go w cugle i dobrze, że Gal wziął się za niego. Garry

przerażał wszystkich, zawsze tak było, nawet jako osiemdziesięciolatek wciąż będzie budził strach. Teraz był po sześćdziesiątce i ludzie nadal panicznie się go bali. W jego twarzy i zachowaniu wyczuwało się coś niepokojącego nawet w chwilach, kiedy był miły i przyjazny. Tak naprawdę był wtedy jeszcze bardziej przerażający.

Przyszło jej nagle do głowy, że mogłaby robić w życiu ciekawsze rzeczy niż sprzątać po braciach. Po tej dzisiejszej wpadce bardziej niż kiedykolwiek była przekonana, że przy najbliższej nadarzającej się sposobności powinna wydostać się z tego gówna.

Mogłaby wyprowadzić się stąd i osiąść w Liverpoolu. Zostawić ich, niech sobie radzą sami. Zamieszkałaby z Tommym Rifkindem. Uznała, że to rzeczywiście świetny pomysł. Tommy był wprawdzie płotką - choć nigdy by mu tego nie dała do rozumienia - ale miała już dość gangsterskich baronów.

- Maura, wszystko w porządku?

Tonny Dooley Junior chciał być tylko uprzejmy, jak zawsze. Nie pozwoliłby sobie na dociekliwe pytania.

- Tak, Tony, wszystko układa się wspaniale. Nie mogłoby być lepiej. Co lepszego mogło mi się dzisiaj zdarzyć niż facet, który wyzionął ducha ze strachu?

Uznał, że lepiej zostawić ją sam na sam z jej myślami. Wyglądała na rozeźloną i nie zamierzał ustawiać się na jej celowniku, kiedy miała muchy w nosie. Nauczył się już tego.

◆◆◆

Maura wylądowała w końcu u matki. Sarah zadzwoniła do niej i wręcz błagała, żeby wpadła. W rodzinnym domu, z kawałkiem ciasta i filiżanką herbaty w dłoni, patrząc na pełną energii starą matkę, Maura uspokajała się powoli. Dom pachniał jak dawniej. Brakowało jedynie zapachu potu chłopaków, unoszącego się niegdyś w powietrzu. Ale aromat pieczonego ciasta, zapach matczynej wody lawendowej i woń stęchłych dywanów były takie same.

- Co mogę dla ciebie zrobić, mamo?

Zabrzmiało to dość oficjalnie. Obie z matką próbowały budować porozumienie, ale nie było to łatwe. Zbyt wiele wody upłynęło przez te lata.

- Chodzi o Carlę. Martwię się o nią, niemal odchodzę od zmysłów.

Maura zdziwiła się. Carla zawsze była dla Sarah niebieskooką dziewczynką. Słyszała wprawdzie, że doszło między nimi do wielkiej awantury, ale o tym nie wspomniała.

- Co się z nią dzieje? - zapytała, starając się mówić obojętnym tonem.

- Ona nie jest w porządku, a ten jej Joey... Czy nie sądzisz, że on może być... trochę... no wiesz...

Maura uśmiechnęła się, widząc wyraźne zmieszanie matki.

- Gejem?

Sarah kiwnęła głową.

- Myślę, że spokojnie możemy przyjąć, że tak. Sądząc po jego zachowaniu, byłabym raczej zdziwiona, gdyby tak nie było.

- To takie okropne...

Maurę bawiło zakłopotanie matki.

- Jeżeli jest gejem, to nie on pierwszy w tej rodzinie, prawda?

Oczy Sarah zwęziły się z gniewu. Słowa córki uznała za zniewagę, potwarz rzuconą pod adresem jej syna i wnuka. Maurze nagle zrobiło się żal matki; była z innej epoki, żyła w innym wymiarze.

- Słuchaj, mamo. Takie rzeczy nie mają teraz znaczenia. I tak powinno być. To, co ludzie robią w swoich domach, jest ich prywatną sprawą. Jeśli czują się szczęśliwi, co to komu przeszkadza?

Sarah rozzłościła się teraz nie na żarty. Jej chudziutkie ciało dygotało z emocji.

- Zaczniemy od tego, że to grzech przeciwko Bogu.

- Wszystko można uznać za grzech, jeśli się zechce. Biblia mówi, że fałszywi prorocy, na przykład media i niektórzy ludzie są źli, prawda? Że powiedzą dziewięć prawdziwych rzeczy, a dziesiąta będzie kłamstwem. I to właśnie ona sprowadzi na ciebie kłopoty. Wiesz to wszystko, prawda? A jednak nie powstrzymało to ciebie i Pat Johnston od chodzenia do Kościoła Spirytystycznego. Bo chciałaś nawiązać kontakt z Michaelem, tatą, Anthonym i Bennym... - i pewnie jeszcze z królem Arturem. A wracając do Joeya: jest taki, jaki jest, i ani ty, ani nikt inny go nie zmieni. Biblia ma dwa tysiące lat. Teraz wszystko wygląda inaczej i trzeba iść z duchem czasu.

- Nie ja - odparła Sarah.

Powiedziała to z typową dla Ryanów butą, wypływającą z poczucia, że są inni niż wszyscy. Maura westchnęła.

- Cóż, mamo, to wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć - Życzę Joeyowi wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że jest szczęśliwy, bo to najważniejsze w życiu.

Sarah usłyszała smutek w głosie córki i przytuliła ją mocno do swojej kościstej piersi. Idealna fryzura została zwichrzona, ale Maura poczuła się szczęśliwa. Odwzajemniła uścisk, łzy cisnęły jej się do oczu.

Sarah odepchnęła ją ze śmiechem, mówiąc:

- Zrobię jeszcze herbaty.

Maura kiwnęła tylko głową, żeby głos nie zdradził jej wzruszenia.

- Myślę, że masz rację, jeśli chodzi o Joeya. Rzeczywiście jestem dinozaurem. Chciałabym, żeby wszystko było jak dawniej. Chciałabym, żeby wróciły czasy, kiedy byliście dziećmi, ja byłam całym waszym światem, a to był wasz wszechświat. - Sarah wyciągnęła ręce w stronę kuchni. - Czasy, kiedy prowadziłam was wszystkich na mszę, odświętnie ubranych i tak pięknie wyglądających, i szłam z wysoko uniesioną głową, chcąc krzyknąć: „Patrzcie na moje dzieci! Czyż nie są wspaniałe?”.

- To było dawno temu, mamo.

Sarah posmutniała.

- Wiem, kochanie. Ale co się z nami stało? Co noc, leżąc w łóżku, rozmyślałam o tym i staram się zrozumieć. Odmawiam różaniec i nie śpię, myśląc o was wszystkich. Najczęściej o tobie i Michaelu. O moim kochanym synu i kochanej córeczce, pierworodnym i najmłodszej. Was dwojga pragnęłam bardziej niż któregokolwiek innego z moich dzieci. Zastanawiam się, czy nie spotyka mnie kara za to, że was dwoje, Boże wybacz mi, uwielbiałam tak bezgranicznie.

Maura wiedziała, że matka mówi prawdę.

- Ja jestem tu z tobą, mamo, i trudno mi się pogodzić z tym, że już nie masz Michaela. Kochał cię bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Czczył ziemię, po której stapałaś.

Sarah uśmiechnęła się z zadowoleniem. Oczywiście miała smutne ale jej głos był mocny.

- Wiem - odparła. - Czasami czuję, że jest przy mnie. On chce, żebyśmy się znowu przyjaźniły. Chce, żebyśmy były sobie bliskie jak dawniej, i ja też tego chcę. Brakuje mi ciebie. Wierz lub nie wierz, lecz bardzo mi ciebie brakuje. Tak nienawidziłam cię, ale jednocześnie kochałam. Moją najmłodszą, moją jedyną córeczkę.

Maura nie mogła powstrzymać się od cynicznej refleksji, że ten nagły zwrot może mieć coś wspólnego z tym, że Sarah poróżniła się z Carlą, więc teraz, gdy Janine nie żyje, a Sheila się oddaliła, zabrakło jej kobiety, którą mogłaby rządzić. Bo taka właśnie była jej matka. Mając jak najlepsze intencje, wchodziła ludziom na głowę.

Jednak patrząc na Sarah krzątającą się w dużej, luksusowej kuchni, Maura mimo wszystko poczuła do niej cień dawnego uczucia. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak ciężko przeżywa się utratę dziecka, a Sarah pochowała tylu synów. Wszyscy zginęli gwałtowną śmiercią, bo taką się parali robotą. Teraz Maura była głównodowodzącą tego biznesu. Brukowce nazywały ją królową londyńskiego podziemia, dopóki najlepszy prawnik, jakiego dało się kupić za pieniądze, nie położył temu kresu.

Ta smutna, drobna kobieta, jej matka, odchowała wszystkie dzieci, by połowę z nich złożyć do grobu. Dźwigała straszne brzemię. To dlatego nigdy nie wyprowadziła się z tego domu. Wciąż brzmiało w nim echo ich głosów i śmiechu. Maurze zebrało się na płacz. Przed oczami stanął jej widok własnego dziecka w jaskrawopomarańczowej misce i mocno zacisnęła powieki, żeby wymazać ten obraz. Ale ciągle tam był. I zawsze czaił się na dnie duszy. Przez cały czas, dzień po dniu. Jak więc musiała się czuć jej matka, kiedy grzebała dzieci, które niegdyś tuliła do piersi, karmiła, ubierała i chroniła. Prowadziła do szkoły, do komunii i bierzmowania. A potem, kiedy już wykonała swoje zadanie i powinna odpocząć, ciesząc się dorosłymi synami, zostali brutalnie zamordowani, zabici jak wściekłe psy przez ludzi, którzy na zimno wykonywali brudną robotę.

Uśmiechnęła się do siebie kwaśno. Starzejesz się, Mauro Ryan, robisz się sentymentalna, pomyślała. Ale czy to naprawdę takie złe?

- Mogę więcej ciacha, mamuś? Pychota.

Sarah rzuciła zmywanie i rozplakała się. Jej córka przypomniała sobie język dzieciństwa. To oznaczało, że naprawdę wróciła do domu.

Gdy godzinę później Maura wychodziła, stąpała lekkim krokiem. Mercedes stał na zewnątrz, ale nigdzie nie było widać Tony'ego. Zadzwoiła do niego na komórkę. Była wyłączona. Poczula ukłucie niepokoju. Tony był bardzo odpowiedzialny, nigdy samowolnie nie opuściłby samochodu. Nigdy. Znał swoje obowiązki i cenił sobie pracę u Maury.

Zauważyła, że bagażnik jest odrobinę uchylony i podeszła do auta zatrwożona. Gdy podniosła pokrywę bagażnika, zobaczyła Tony'ego.

Z całą pewnością był martwy.

Zamknęła delikatnie bagażnik, próbując pozbierać myśli. Sąsiad, gwiazdor rockowy, uśmiechnął się i pomachał jej, przebiegając obok ze swoim ochroniarzem, a ona bezwiednie odwzajemniła pozdrowienie. Zanim z powrotem weszła do domu matki, zadzwoniła do Garry'ego, pospiesznie komunikując mu, co się stało. O tym, żeby jechała przez Londyn z trupem w bagażniku, nie mogło być mowy.

W zapomnienie poszły myśli o rzuceniu tego wszystkiego. Poprzysięgła zemstę i tylko to się teraz liczyło.

◆◆◆

Jack Stern był zmęczony, ale zadowolony. Miał za sobą owocny dzień. Leżąc w łóżku ze swoją aktualną dziewczyną, Leonie, czuł się naprawdę szczęśliwym człowiekiem. Szczęśliwym i bardzo bogatym.

By dopełnić miary szczęścia, miał zamiar zrelaksować się, pozwalając małej Leonie, by mu dogodziła swoim popisowy numerkiem. To był jedyny powód, dla którego z nią był. Znajomy powiedział mu, że robienie loda to jej specjalność, więc ją odszukał. Dziewczyna była przekonana, że ujęła go urokiem swojej nieprzeciętnej osobowości, a on z litości nie mówił, że trudno się w niej doszukać jakiegokolwiek osobowości.

Leonie miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale była cycata jak królowa porno. A każdy centymetr tych wspaniałości był naturalny i każdy należał do niego. Kiedy leżał na swoim szerokim na dwa metry łożu i czekał na przeniesienie do Krainy Rozkoszy, zadzwoniła komórka.

Odsunął głowę Leonie i odebrał telefon. Rzucił krótkie: „Czego?”, po czym wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Wychodząc z sypialni, usłyszał przymilny głosik: „A co ze mną?”. Leonie, z migdałowymi oczami i gąszczem ciemnobrązowych loków, jeszcze próbowała go zwabić.

Spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, i bez słowa wyszedł.

Leonie rzuciła mu w plecy:

- Pieprz się, Jack.

Szybko pocieszyła się, że przynajmniej w spokoju poogląda sobie „Eastenders” i „Bad Girls”. Z uśmiechem ułożyła się z powrotem na łóżku - pilot w dłoni i brodawki wycelowane w sufit. Przeciągnęła się jak kot, postanowiła zamówić pizzę i nie żałować sobie drinków.

Gdziekolwiek Jack się wybrał, miała nadzieję, że poszedł sobie na całą noc. Nie miała nic przeciwko temu, żeby od niego odpocząć. Fakt, kasę miał, ale Leonardo DiCaprio to on nie był. Był stary i pomarszczony, a ją ciągnęło do młodości. Jak chyba każdą kobietę. Z tego co wiedziała, miało to coś wspólnego z doborem naturalnym.

◆◆◆

Jack przejechał trzy mile i zaparkował przed opuszczonym warsztatem samochodowym. Wewnątrz zobaczył kolegę po fachu i jego pomagiera. Spojrzawszy na ich ponure miny, rzekł szybko:

- Na miłość boską, powiedzcie, że to nieprawda.

- To najprawdziwsza prawda, Jack. Jak to, że stoję tu przed tobą. Ochroniarz Maury został sprzątnięty tuż pod jej nosem. Musi być w tym ręka Vica, chyba się nie mylę, co?

- Czy tego świra do reszty pojebało? Nie zdaje sobie sprawy, że zagraża wszystkiemu, na co tyle lat pracowaliśmy?

- Musisz z nim pogadać, Jack. Żeby przejrzał na oczy. Nie możemy działać na oślep. Do celu musimy dochodzić stopniowo, najpierw trzeba zwerbować ludzi. Powiedziałbym mu to sam, ale jest nieuchwytny. Wydaje się, że ciebie bardziej słucha.

Jackowi ścierpła skóra.

- Nie powinienem się w to znowu pakować. Wiedziałem, kurwa, że wdeptuję w gówno. Tony Dooley Senior uaktywni się teraz, zdajecie sobie z tego sprawę? Stanie za nim połowa czarnuchów z Brixton.

Tommy Rifkind zaśmiał się złośliwie.

- A kto mówił, że będzie łatwo?

Jack pokręcił głową i powiedział nieswoim głosem:

- Jesteś najbardziej zdradliwym draniem, jakiego znam. Sprzymierzasz się z powrotem ze swoją ukochaną, Maura, tak?

Tommy uśmiechnął się przebiegle.

- Może tak. A może nie.

Odkręcił się na pięcie i wyszedł z budynku należącego do Jacka. Było to tak, jakby rozmyślnie zostawiał go w potrzasku. Bo co, jeśli ktoś obserwował Tommy'ego? Jackowi zrobiło się słabo ze strachu. Siedział w tym gównie po uszy. Co go opętało, żeby wplątywać się w coś takiego po raz drugi? Zachłanność, nieuleczalna zachłanność. Nagle pieniądze wydały mu się już nie takie ważne.

Joss spojrział na niego i potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to wszystko, panie Stern. Naprawdę mi się nie podoba. Maura jest w porządku i nie zasługuje na taką zemstę, cokolwiek Tommy o tym myśli. Ten jego chłopak sam się prosił o kłopoty. Spójrzmy prawdzie w oczy, kiedyś musiało się to tak dla niego skończyć.

Jack nie czuł już złości, tylko paraliżujący strach.

- Ten Rifkind to dwulicowy dupek. W co ja się wpakowałem.

- Sam sobie odpowiedz, panie Stern. Bardzo się o to prosiłeś, więc masz.

Jack popatrzył na Jossa wrogo i zaskrzeczał:

- Odpierdolcie się wszyscy ode mnie, dobrze?

Joss wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

- Trzeba było wcześniej myśleć. Bo smutny będzie tego koniec, wspomnisz moje słowa.

Jack doszedł już trochę do siebie.

- Nie wątpię w to - odparł. - Pytanie tylko, kto smutno skończy?

Udawał spokój, choć wcale go nie czuł. Joss znowu wyszczerzył zęby.

- Nie trzeba być pieprzonym Einsteinem, żeby się nad tym długo nie głowić. Mam nadzieję, że poza tym jest pan czysty, panie Stern, bo jeśli Ryanowie nas nie dorwą, zrobią to gliny. Na wyjście z tego bez guza mamy takie same szanse jak śnieżynka w piekle, i obaj doskonale o tym wiemy.

Jack nic na to nie odpowiedział.

Wychodząc z warsztatu, Joss kopnął przykryte czarnym plastikiem paczki, ustawione pod ścianą. Było ich ze trzysta, a w każdej dobry kilogram czystej kokainy.

- Jest tu dość koki, żeby nas posłać za kratki do końca naszego żywota. Zabierz ją stąd, zanim gwizdną ją Ryanowie. Założę się, że już o niej wiedzą.

Tommy czekał na niego w samochodzie.

- Dokąd, szefie?

Głos Jossa był chłodny. Zażyłość między nimi słabła z każdym dniem.

- Przecież wiesz.

- A jeśli cię tam zobaczą, to co?

Tommy zaśmiał się.

- A co, jeśli spadnie jakaś pieprzona bomba? A co, jeśli nastąpi powtórne przyjście Chrystusa? Zamkniesz w końcu tę swoją, pieprzoną jadaczkę i ruszysz?

Joss ruszył.

◆◆◆

Kiedy Maura wróciła do siebie, zastała w domu Tony'ego Dooleya Seniora. Padli sobie w ramiona.

- Tak mi przykro, Tone, tak strasznie przykro.

- Wiem, Maws. To ryzyko zawodowe. Był dobrym chłopcem.

Walczył z napływającymi do oczu łzami. Był uderzająco podobny do syna. Maura kochała go jak brata. Był jej pierwszym ochroniarzem, a potem wyszkolił najstarszego syna, by przejął po nim posadę. Mógł sobie pogratulować godnego następcy.

- Miał szybką śmierć?

Kiwnęła głową.

- Tak myślę. Był czujny. To musiał być ktoś, kogo znał. Tony potrafiłby wywęszyć niebezpieczeństwo. Miał nosa do takich rzeczy.

- Przejmę jego obowiązki, dopóki kogoś nie znajdziesz, dobrze?

- Jesteś pewien?

Jeszcze raz ją uścisnął.

- Oczywiście, Maura. Powiedziałem jego matce i dziewczynie, że wpadł pod samochód. Nie chciałem zwiększać ich rozpacz.

Ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Należę brandy, dobrze nam zrobi.

- Czy to robota Joliffa? On odważył się pozbawić moje wnuki ojca?

Przytaknęła.

- Będzie miał wojnę, jakiej jeszcze nie toczył. Pozostali moi synowie i wszyscy krewni są w gotowości.

Westchnęła z ulgą. Słowo „krewni” oznaczało wszystkich, czarnoskórych w Brixton, Tulse Hill i Norwood. Było to mnóstwo ludzi.

- Powiedz im, żeby do mnie przyszedli, a wciągnę ich na listę płac. Ten, kto przyproceedzi Joliffa żywego, dostanie okrągły milion w gotówce.

Tony kiwnął głową z zadowoleniem. Syn był dla niego wart więcej, ale nagroda była przyzwoita. Mocny bodziec. Podała mu brandy.

- Dobry był dzieciak z tego mojego Tony’ego, cholernie dobry dzieciak.

Trzymał Maurę w ramionach, gdy płakała. Po raz pierwszy widział u niej łzy. Stała się w jego oczach najbardziej kobiecą kobietą ze wszystkich, jakie dotąd spotkał. Opłakiwała jego syna i było to dla niego stokroć więcej warte od cegokolwiek innego.

◆◆◆

Carla uśmiechała się lubieżnie, gdy Tommy wsuwał się do niej do łóżka. Była szczęśliwa, że znowu z nią jest. Od pierwszego razu, kiedy ją pocałował, a ściślej rzecz biorąc, kiedy to ona pocałowała jego, był dla niej jak narkotyk. Pragnęła jego ciała, jego dotyku. Nie przejmowała się swoimi wujami ani ciotką, której odbierała kochanka. Taki układ dodawał całej sprawie pikanterii. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła choćby cień takiej fascynacji facetem jak obecnie. Zupełnie oszalała z miłości.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Tommy może się nią tylko bawić.

W żadnym wypadku, nigdy.

Rozdział 13

- Kto to zrobił? Bardzo chciałbym wiedzieć. Ja pierdołę, widać w tym rękę zawodowca, bez dwóch zdań. Ruchliwa ulica i nikt niczego nie zauważył. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem.

Lee nie ukrywał podziwu dla zabójcy Tony’ego Juniora, co rozdrażniło pozostałych. Maura uważnie obserwowała ich wszystkich. Musiał być w to zamieszany ktoś z jej najbliższego otoczenia. Była zdruzgotana tym, że zaczyna podejrzewać kogoś z obecnych tu

w pokoju, kogoś z własnej rodziny. Wewnętrzny głos podszeptował, by nie zapominała, co kiedyś zrobił Geoffrey. Ale tym razem nie może tak być. Ufała tym mężczyznom, ręczyłaby za nich własnym życiem. A jednak musiał to być ktoś, kogo Tony Dooley Junior znał i komu ufał. Był najlepszy z najlepszych i dlatego pracował dla Maury. Wielokrotnie próbowano go podkupić, taki był dobry. To ją jednak cofało do punktu wyjścia.

Tony znał swojego zabójcę, znał go dobrze. Czy gdyby było inaczej, ktoś mógłby podejść do niego na tyle blisko, by go zamordować?

- Kapelusze z głów, panowie... - mruknął Lee.

Jego całkiem jawne uznanie dla tych, którzy wykonali tę brudną robotę, zaczynało Maurę wkurzać.

- Może się w końcu zamkniesz? - warknął Garry. Kiedy ich dopadniemy, pozwolę ci obciągnąć im fiuta, w porządku? Zanim ja wyrwę im jaja. Miał tupet sukinsyn, kimkolwiek jest. To nie mógł być sam Joliff, bo Tony podniósłby alarm. A więc kto? Musiał to być ktoś, kogo Tony znał. I ten ktoś go udusił. Czy znamy kogoś, kto pasuje do takiego portretu?

Wyraził głośno ciche podejrzenia Maury, mogła się zresztą tego po nim spodziewać. Potrafił myśleć analitycznie, choć czasami zachowywał się jak stuprocentowy świr.

Zobaczyła szok malujący się na ich twarzach, gdy uświadomili sobie sens tego, co powiedział. Benny zsiniał z gniewu.

- To chyba jakiś kiepski żart?

Garry potrząsnął głową.

- Nie. Pomyśl tylko: Tony był jednym z najlepszych. Nie dałby się podejść pieprzonemu Joliffowi i nie pozwoliłby mu zbliżyć się do Maury. A więc musiał to być ktoś, kogo znał.

- A dokładniej ktoś, komu ufał.

Głos Maury był cichy, kiedy wypowiadała te słowa, co nadało jej słowom silniejszą wymowę.

- No to świetnie. Do tego wszystkiego mamy jeszcze pieprzonego zdrajcę we własnym gronie. Tak jak kiedyś, nie?

Benny, jeszcze posiniaczony i obolały, wymazał na razie z pamięci ostre spięcie z Garrym. Teraz przede wszystkim był Ryanem.

- Ale kto? Kto to może być, do kurwy nędzy? - zapytał z przejęciem piętnastolatka.

- Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Od tej pory spotkania rodzinne są zamknięte, zgoda?

Wszyscy kiwnęli głowami.

Abul wiedział, że zostaje z tych spotkań wykluczony, ale uznał, że jakoś sobie z tym poradzi. Nikt co prawda nie popatrzył wprost na niego. Ale też nikt się nie odezwał. Milczeniem wyrazili swoją aprobatę.

W końcu Roy, który również brał udział w spotkaniu, przymknąwszy oczy, powiedział:

- Czuję się już znacznie lepiej i mogę przejąć od was część obowiązków. Oczywiście jakieś mniej ważne sprawy... Maura uśmiechnęła się do niego ciepło. Zawsze był jednym z jej ulubionych braci.

- Dziękuję, Roy - odparła. - Gdybyś mógł znowu zająć się klubami, bardzo by nam to pomogło.

- Dla ciebie wszystko, Maws, przecież wiesz.

Lee i Garry też uśmiechnęli się do niego i te jednoczesne sygnały rodzinnych uczuć rozczuliły go prawie do łez. Ostatnio ciągle był na granicy płaczu. Jakby tłumione przez lata łzy szukały teraz ujścia.

- Czy dobrze słyszałem? Jesteś Chrisem Tarrantem gangsterskiego podziemia?

Maura aż zmrużyła oczy z zaskoczenia.

- Co przez to rozumiesz, Ben?

- Chcesz poświęcić okrągły milion, tak? No a jak złapiemy tego dupka, czy nie zadzwoni przypadkiem po kumpli?

- Nie sądzę, żeby zależało mu wtedy na publiczności.

Dowcip Roya skwitowali zgodnym rykiem śmiechu. Potrzebowali dla odprężenia chwili wesołości. Interesy interesami, a śmiech śmiechem - tak zawsze było w firmie Ryanów.

◆◆◆

Sarah przyglądała się Carli. Były w kuchni. Jak poprzedniego wieczoru zauważyła Maura, staruszka spędziła tu prawdopodobnie więcej godzin życia niż gdziekolwiek indziej.

Śmiały się wczoraj z tego, mimo że Maura wróciła przygnębiona po stracie swojego ochroniarza. Cudownie było ją widzieć z powrotem tak szybko. Dla Sarah oznaczało to, że wracają do dawnej bliskości. Ale dzisiaj martwiła się wnuczką.

- Wyglądasz jak dziwka, Carla. Wiesz o tym?

Carla wlepiła wzrok w sufit, przewracając oczami.

- Wyglądam, jak wyglądam.

- Przechodzisz przedwczesną menopauzę czy co? Zachowujesz się ostatnio jak...

Zirykowało to Carłę.

- Mam tylko czterdzieści cztery lata, babciu. To niewiele w dzisiejszych czasach. Popatrz na Madonnę, Sharon Stone...

Moje słowa trafiły w próżnię, pomyślała Sarah.

- Och, dajże mi spokój, dobrze? Przyprawiacie mnie wszyscy o mdłości. Jakbym nie mogła mieć własnego życia.

- Nie opowiadaj głupot, dziecko.

- Nie jestem dzieckiem. Nie jestem niczym dzieckiem. Jestem, kurwa mać, dorosłą kobietą.

- Przestań kłąć. Ubierasz się i mówisz jak dziwka. Wstyd mi przynosisz. Nawet Maura powiedziała wczoraj...

- Och, mam to gdzieś - burknęła Carla. - Ty i Maura jesteście znowu najlepszymi kumpelkami, co? Obgadujecie rodzinę jak dwie czarownice. Pieprzyć ją i ciebie też pieprzyć, babciu. Będę robić, co chcę, lepiej zacznijcie się do tego przyzwyczajać, jasne?

- Maura powiedziała, że według niej jesteś nieszczęśliwa, tylko tyle. Kocha cię jak córkę.

Carla znowu wbiła wzrok w sufit.

- Jak mogę być córką tej wypalonej wiedźmy? Jest tylko pięć lat starsza ode mnie. Chyba o tym zapomniałaś. Głaszcze mnie po główce i traktuje jak ulubionego pudelka. Tak wygląda moje zasrane życie, babuniu. A ja wiem, że zasługuję na coś więcej. Nawet moja matka, chociaż mnie odrzucała, traktowała mnie z większym szacunkiem.

Sarah usiadła ciężko na najbliższym krześle. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Żeby tak bluźnić! Niewiarygodne.

- Jesteś naćpana czy co?

- Gdybym była, to ta rodzina byłaby moim głównym dostawcą, nie?

- Zastanów się, co mówisz. Co w ciebie wstąpiło? Gdzie się podziała moja wspaniała dziewczynka?

- Wreszcie dorosła i poczuła pieprzonego bluesa, to wszystko.

Sarah patrzyła na wnuczkę. Carla miała na sobie spódniczkę, która mogłaby uchodzić za pasek, i przezroczysty top niepozostawiający pola dla wyobraźni. Jej długie nogi opinały wysokie czarne buty. Ubierała się dla mężczyzn, a raczej dla jednego mężczyzny, to było oczywiste. Wygląda jak dziewczyna z niedzielnego dodatku ilustrowanego do gazety, jak jedna z tych pannic, o których piszą, że sypiają z gwiazdami rocka czy politykami, pomyślała Sarah. Nie jak moja kochana dziewczynka.

I ta jej poza... zniknął gdzieś uległy uśmiech, a co pojawiło się w jego miejsce? Jakiś rys wulgarności, współgrający ze strojem. Świat stanął na głowie.

Carli zrobiło się przykro, gdy zauważyła przygnębienie babki, przytuliła ją, mówiąc miękko:

- Po prostu zostawcie mnie w spokoju. Pozwólcie mi być sobą, nie urabiajcie mnie na swoją modłę. Nie chcę być waszą milutką Carłą, maskotką rodziny. - Jej głos spoważniał. - Czy proszę o zbyt wiele?

- Ale popatrz na siebie, moje dziecko...

Carla przerwała jej z irytacją w głosie.

- Proszę cię, babciu, odpuść sobie. Właśnie taka się sobie podobam. Zrozumi, całe życie robiłam to, co się podobało innym, to, czego ode mnie oczekiwali. Nie byłam sobą. Pozwólcie mi się odnaleźć, proszę. Zostawcie mnie w spokoju.

- Po prostu martwię się o ciebie.

Carla przestała się kontrolować. Wstała, wyprostowała się i wrzasnęła:

- To się nie martw! Niepotrzebna mi twoja troska. Czy nie rozumiesz, kurwa, najczystszej angielszczyzny? Przestań wreszcie przeżywać życie za innych, żyj swoim własnym, kobieto. Szczerze ci to radzę.

Po tych słowach wyszła i kilka sekund później drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem. Sarah została sama w swoim wielkim domu. Rozzaliła się nad sobą, swoją starością i samotnią. Żyj własnym życiem, powiedziała Carla, a przecież jej życie dobiegało już kresu. Cieszyła się nadchodzącym końcem. Im szybciej dołączy do nieżyjących członków rodziny, tym lepiej. Jej mozolna ziemską wędrówką się kończy. Z ochotą uda się na wieczny spoczynek. Uświadomiła sobie w tym momencie, że żyje zbyt długo i życie już jej nie cieszy.

◆◆◆

Jack Stern próbował ustalić, gdzie jest Vic Joliff, kiedy na podjeździe ujrzał gości, jakich się tu nie spodziewał. Wybiegł z domu z powitalnym uśmiechem, widząc Ryanów - Maure, Garry'ego, Benny'ego i Lee - wysiadających z czarnego mercedesa. Za kierownicą siedział Tony Dooley Senior, który nie odpowiedział na jego uśmiech, co Jack sobie zakonotował.

Kiedy wszyscy wysiedli, zobaczył, że Tony odjeżdża w stronę garaży. Kolejny złowróżbny znak. Czy to znaczy, że nie chcą, by ktokolwiek zauważył ich tutaj? Na przykład Vic - czyżby oczekiwali, że się tu pojawi? Znowu zrobiło mu się słabo. W co on się wpakował? Chyba odjęło mu rozum.

- Co was do mnie sprowadza?

Był zdecydowany zachowywać się jak najnormalniej. Maura wzruszyła ramionami.

- Byliśmy w sąsiedztwie.

Jack zaśmiał się i zaprosił ich do środka.

- Właśnie wychodziłem, ale mogę wam poświęcić dwadzieścia minut.

Maura spojrzała mu w oczy.

- Poświęcisz nam resztę życia, jeśli cię o to poprosimy.

Jej ton powiedział mu wszystko.

- W czym problem?

Starał się być rzeczowy, ale widać było, że się denerwuje. Pocił się ze strachu.

- A kto mówi, że jest jakiś problem?

Głos Bena był ostry jak stal, co przypomniało Jackowi wszystko, co wiedział o jego okrucieństwie. Próbował zamaskować niepokój śmiechem.

- Każdy, kto tu przychodzi, ma jakiś problem.

- Naprawdę? Problem?

Ben jawnie szydził sobie z niego i Jack zastanawiał się, na ile jeszcze bezczelności młody Ryan sobie pozwoli i na ile on sam zechce mu pozwolić. Miał nadzieję, że nie dojdzie do próby sił.

- Umówiliśmy się tu z Kennym, więc poczekamy na niego. Wtedy przystąpimy do rzeczy. Bez sensu byłoby opowiadać dwa razy tę samą historię, chyba się zgodzisz?

- Podać kawę, herbatę albo drinka?

Zgodnie pokręcili przecząco głowami.

Jack denerwował się coraz bardziej. To na pewno nie była przyjacielska wizyta, oznaczała kłopoty. Westchnął do Boga. Nie tracił nadziei, że uda mu się jakoś z tego wykręcić.

W pokoju jak gdyby nigdy nic pojawiła się Leonie, świeżo po domowym solarium. Miała na sobie jedynie mały ręcznik i obdarzyła gości entuzjastycznym uśmiechem. Tylko Garry odpowiedział jej uśmiechem. Byłaby wymarzoną kaskiem dla niego, choć nie był już młodzikiem. Zawsze lubił ciemne dziewczyny. Jack zauważył, że Garry się jej przygląda i atmosfera w pokoju jeszcze bardziej się ochłodziła.

- Zjeżdżaj i załóż coś na siebie, kurwo.

Maurze zrobiło się żal dziewczyny, tak brutalnie potraktowanej przez Jacka. Jej samej nigdy by coś takiego nie mogło spotkać, bo za nią stała rodzina. Z jakiegokolwiek zresztą rodziny by pochodziła, nie sprzedawałaby się za parę funtów mężczyźnie, który mógłby być jej ojcem.

Gdy Leonie, zawstydzona i zła, wyszła z pokoju, Garry powiedział:

- Słowo daję, Jack, te dzisiejsze dzieciaki to same problemy, co?

Jack nie odpowiedział.

Siedzieli dalej w milczeniu. Upłynęło dwadzieścia minut aż pojawił się Ken Smith, ale dla Jacka Sterna była to cała wieczność.

◆◆◆

Trzy mile dalej, pod opuszczoną stodołą Jacka Sterna, stał duży biały transit. Trzej potężni mężczyźni, o ponurych facjatch, ładowali do samochodu paczki z koką. Pracowali, nie odzywając się do siebie. Nieco dalej, przy tej samej drodze dwaj nieumundurowani policjanci zaparkowali nieoznakowaną sierrę. Bacznie obserwowali załadunek. Jeden liczył paczki wynoszone z budynku.

- Od cholery w tym kasy, sierzancie.

Był absolutnie oszołomiony widokiem takiej ilości koki. Ten drugi skinął tylko głową i palił papierosa, obserwując pracujących mężczyzn.

◆◆◆

- A więc przejdźmy do interesów.

Jak tylko Ken się pojawił, Maura przejęła inicjatywę. Kenny i Jack czuli się nieswojo i starali się na siebie nie patrzeć. Zbierało się jej na śmiech, gdy ich obserwowała. Dwaj dorośli mężczyźni. Czy oni wszyscy są dziećmi w przebraniu? Niejednokrotnie w obecności facetów odnosiła takie wrażenie.

- Co wiecie o Vicu Joliffie, a przede wszystkim, gdzie się teraz podziewa?

Jack usiadł na poręczu wytartej skórzanej kanapy i potrząsnął głową.

- To jakiś żart czy co? Nie możemy zdradzać takich informacji. Nikt by nam więcej nie zaufał. Prawda, Ken?

Kenny milczał. On wiedział, jak poprowadzić tę rozgrywkę

- Z tego żyjemy, o tym mówię.

- Serce mi pęka z żalu nad tobą, Jack. A co z innymi twoimi źródłami utrzymania? Mam na myśli handel kokainą i crackiem. Towarem, który odbierasz z małego lotniska w Kent? Czy mam dalej wyszczególniać źródła twoich dochodów?

Garry patrzył Jackowi prosto w oczy.

- Są ludzie, którzy mogliby podejrzewać, że chcesz im wejść w paradę. Mógłbym wymienić z tuzin takich, którzy nie byliby zadowoleni, wiedząc, że podkupujesz ich wtyki w Harwich, Gatwick i Heathrow. Przyjaźnie w urzędach celnych mogą cię drogo kosztować.

Rozmawiałem ze swoim starym kumplem, jest grubą rybą, i twoje nazwisko często powracało w rozmowie. Zabawne, co?

Benny zaczął się śmiać.

- Mogę go uświadomić, Gal?

Garry zarechotał i kiwnął głową.

- Widzisz, Jack, tak się składa, że mamy zaprzyjaźnionego glinę, który kręci się koło twojego warsztatu. Nawet teraz, kiedy my tu sobie gawędzimy. Jest takie powiedzenie: „znależne należy do znalazcy”. Więc jeśli znajdziemy trzysta kilo koki, to nieźle się obłowimy, prawda? Jack zawsze wiedział, kiedy przegrywa.

- Mówiły nam też jaskółki, że ty i Vic trzymacie teraz ze sobą. A skoro jesteś także naszym przyjacielem, powinieneś podzielić się z nami tym, co wiesz.

- Kto wam to powiedział?

Jack pytał z niepokojem w głosie. Ryanowie wiedzieli, że już go mają. Garry roześmiał się.

- Żeby było śmieszniej, jeden z twoich dawnych informatorów, Mały Sammy. Pamiętasz go? Jakies piętnaście lat temu doniosłeś psom na niego... chodziło o rabunek i narkotyki. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie ścigali cię za podatki. A tak przy okazji, czy w końcu cię dopadli? Sammy pracuje teraz w jednym z moich kasyn, ale nadal ma swoje kontakty tu i tam. Jak zasięgaliśmy języka na twój temat, wprost nie mógł się doczekać, kiedy nam wszystko opowie. Nie jesteś lubiany, wiesz o tym?

Maura odczekała, aż Jack przetrawi tę informację, po czym rzekła krótko:

- Dość tego pieprzenia. Gdzie jest Vic Joliff?

Jack milczał. Kenny patrzył na niego w napięciu.

- Lepiej im powiedz, stary.

Był zmartwiony uporem kumpla.

- A co ty im powiedziałeś?

Kenny wzruszył ramionami.

- Wszystko, co wiedziałem. Myślałem, że zamierzasz się skontaktować z nimi osobiście.

- Ty skończony kretynie...

Benny śmiał się do rozpuku.

- Nieładnie tak traktować gościa. Basil Fawlty z hotelu „Zacisze” lepiej by się spisał.

- Posłuchaj mnie, gnojku. Vic naszedł mnie tak samo jak wy teraz. Żądał, żebym was wszystkich zlikwidował, nie wyłączając Maury. Powiedziałem nie. Wiele razy mnie

proszono, żebym kogoś z was załatwił, zwłaszcza ciebie, Benny. Nie jesteś lubianym chłopczykiem... szczerze mówiąc, jesteś bardzo nielubianym chłopczykiem. Ale też mówiłem nie. Trafiają do mnie z dziwnymi prośbami. Pewien szaleniec chciał mnie nawet zatrudnić do sprzątnięcia Margaret Thatcher, ale nie zrobiłem tego. Ktoś mnie kiedyś prosił, żebym załatwił Karola, bo źle traktuje Dianę. Łapiecie, o co mi chodzi? Nie każdą robotę biorę. To się nazywa biznes i będę wam wdzięczny, jeśli przestaniecie wtykać nos w moje sprawy. Ja nigdy nie pytałem o wasze. A jeśli chodzi o kokę, jest to moja koka. Moja, psiakrew, nie wasza. Kosztowała mnie kupę szmalu, a wy mi ją kradniecie. To rozbój w biały dzień. Każda paczka jest warta dwadzieścia dziewięć tysięcy.

- Kupa szmalu, fakt. Ile jest dwadzieścia dziewięć tysięcy razy trzysta?

Benny śmiał się, gdy zwracał się z tym pytaniem do Lee. Udawał, że sam też liczy.

- Ja pierdolę, ale forsa! - zawołał.

Wszyscy zarechotali, a Jack miał wrażenie, że śni mu się jakiś koszmar. Najgorsza była świadomość, że na pewno się z niego nie obudzi.

Maura popatrzyła na niego i zapytała poważnie, przerywając ogólną wesołość.

- Więc Vic prosił cię, żebyś nas wszystkich załatwił, a ty mu odmówiłeś, dobrze rozumiem?

- Tak, do tego by się to sprowadzało.

Głos Garry'ego nie zdradzał żadnych emocji, gdy wtrącił:

- Ludzie, jeżeli w to uwierzycie, uwierzycie we wszystko!

Garry rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na Kennym Smithie.

- Kenny?

- Tak, Gal?

- Czy my wszyscy mamy wytatuowane na czołach „dupki”?

Jack westchnął ciężko. Najbardziej cierpiał z powodu koki.

- Do kurwy nędzy, Gal...

Ale Garry i Benny wstali już z krzeseł. Jack instynktownie zakrył twarz rękami. Garry wyjął z kieszeni kawałek ołowianej rurki. Gdy uderzył nią Jacka w twarz, w pokoju dał się słyszeć głośny trzask. Jack upadł na kolana, a spomiędzy palców jego rąk zasłaniających nos zaczęła sączyć się krew. Benny znowu ryknął śmiechem.

Wychodząc, Maura skinęła na Kena, żeby poszedł za nią.

Był jej wdzięczny.

- Zostawmy to im. Chodźmy do kuchni, zrobię herbatę. - Uśmiechnęła się blado. - Będzie mówił, a wtedy wreszcie dowiemy się, co jest grane.

Poszedł za nią do dużej, supernowoczesnej kuchni.

- Dziękuję za pomoc, Ken.

- Nie jestem z siebie zadowolony. Jack ma swoje racje, wiesz o tym.

Wiedziała, że nie może brać ich pod uwagę.

- Minęły już czasy gry zgodnej z regułami, Ken. Teraz jest wojna. Musimy dostać tego wściekłego sukinsyna Joliffa. To nie żarty.

Kenny kiwnął głową.

- Tyle i ja wiem. Dla mnie bez cukru, Maws. Jestem na diecie.

Tak jak Maura wiedział, że nie ma sensu rozwodzić się dalej nad czymś, czego nie można uniknąć i czemu nie można zapobiec. Rozmawiali więc o jego córeczce i o poszukiwaniu przez niego odpowiedniej niani. Kiedy zadzwonił telefon Maury, szybko pozbyła się rozmówcy, nadając głosowi zniechęcające brzmienie. Zawodowstwo, pomyślał, spodobało mu się to.

- Przywieź kiedyś małą do mojej mamy. Będzie zachwycona - powiedziała, spojrzawszy znowu na niego.

Kenny uśmiechnął się. Chętnie to zrobi. Matka Ryanów była przemiłą staruszką, dobrze gotowała, i w ogóle. Pamiętał, jak wpadali tam z Michaelem i Geoffreyem po każdym poważniejszym skoku i dostawali za jednym zamachem dobre śniadanie i alibi.

Leonie siedziała w sypialni. Odgłosy rozmowy dochodzące z pokoju dziennego przeszkadzały jej w słuchaniu muzyki z MTV, ale wiedziała, kiedy ma siedzieć jak mysz pod miotłą.

◆◆◆

Tommy Rifkind czekał na Carlę w swoim rolls-roysie. Wybierali się na lunch do Kentu, jak najdalej od miejsc, gdzie zazwyczaj bywali. Ona była nienasycona, a on zastanawiał się, po co mu to. Mógł mieć dużo ładniejsze i młodsze, ale rzecz w tym, że zawsze lubił narobić pod własnymi drzwiami. To dodawało przygodzie pikanterii.

Zauważył idącego ulicą Joeya. Od razu widać, że gej, pomyślał. Nie lubił tego dzieciaka. Miał w sobie coś takiego... ale w końcu prawie wszystkim Ryanom brakowało piątej kleпки, a ten na dodatek sprzedalby własną babkę, gdyby dostał dobrą cenę.

Zadzwonił do Maury, pytając, jak się miewa. Będzie przekonana, że telefonuje z Liverpoolu, a sama raczej nie zadzwoni, nie robiła tego zbyt często. Miała oschły głos, więc domyślił się, że jest zajęta. Szybko się rozłączyła, co go zirytowało. Traktowała go czasem, jakby był nikim. Niedługo czeka ją szok, bez dwóch zdań.

Schował telefon z powrotem do kieszeni, zapominając o zablokowaniu klawiatury. Joss patrzył na niego krzywo, nie od dziś zresztą, i to go martwiło. Ale musi pogodzić się z tym, że on robi to, na co ma ochotę. Tak było zawsze i będzie. Tyle że teraz doszło między nimi do wyraźnego rozdźwięku i Tommy cierpiał z tego powodu. Jeśli w ogóle kiedykolwiek kogoś kochał, to tym kimś był Joss.

Do samochodu wsiadła Carla i Tommy gwizdnął ze zdumienia. Nie miała na sobie majtek. Wsadził jej rękę pod sukienkę, zapiszczała, że zimna, ale wcale nie miała zamiaru go powstrzymać.

Trzepotała kokieteryjnie rzęsami jak nastolatka, a on widział zmarszczki wokół jej oczu. Jest dość ładna, fakt, ale daleko jej do Maury, pomyślał. Maura ma klasę. W najzwyklejszej sukience, która na większości kobiet wyglądałaby jak szmata, prezentuje się wspaniale.

Ilekcroć wchodził z Maurą do restauracji, nawet młodzi faceci się za nią oglądali. Miała w sobie to coś. Nigdy nie nosiła wyzywających ciuchów, jak ta tutaj. Nie musiała odsłaniać ciała, żeby zwracać uwagę. I tak wszyscy ją zauważali.

Carla to Maura dla ubogich i chyba nawet sama zdaje sobie z tego sprawę. Mimo stanika na fiszbinach i samoopalaczy nigdy nie przeskoczy swojej ciotki. To była jej słabość, na której Tommy grał. Znał się na tym dobrze, był starym wyjadaczem.

Carla przywarła do niego, gdy zaczął jej dotykać. Czuł jej usta, język i perfumy Versace.

Objął ją mocno.

◆◆◆

Telefon Maury zadzwonił znowu, gdy razem z Kennym oglądała pobojowisko, które wcześniej było salonem Jacka. Ze zniecierpliwieniem przerwała połączenie. Jednak telefon natychmiast powtórnie zadzwonił.

- Halo? - odezwała się szorstko.

Ale nie słyszała niczego poza odgłosami w tle. Potem słyszała ruszający samochód i zorientowała się, że telefon Tommy'ego włączył się przypadkowo, wybierając numer ostatniego rozmówcy. Jej numer. Gdy już miała się rozłączyć, usłyszała kobiecy głos. Serce zamarło jej w piersi. potem usłyszała odpowiedź Toma. Tych dwoje świntuszyło podczas jazdy samochodem.

- Wszystko w porządku, Maws?

Benny jakoś dziwnie jej się przyglądał. Inni próbowali ocucić Jacka i niczego nie zauważyli.

- Nie najlepiej się poczułam. Jestem dziś w kiepskiej formie.

- Nie w tak kiepskiej jak ten biedny dupek.

Maura nie mogła się zmusić, by wyłączyć telefon, chociaż instynkt podpowiadał jej, że powinna to zrobić. Niepewnym krokiem wyszła z salonu z komórką przyklejoną do ucha. Słuchała, jak rozmawiali, i była pewna, że w pewnym momencie zaczną mówić o niej. Chciała to słyszeć i zarazem drżała na samą myśl o tym.

Garry wyszedł za nią i zawołał:

- Lepiej chodź, Maura! Jest gotowy, będzie śpiewać.

Nie odpowiedziała.

- Kogo masz na linii? I co się z tobą dzieje? Wyglądasz na chorą, dziewczyno. O co chodzi?

Podawała mu telefon, przyłożył go do ucha i przez chwilę słuchał. Potem popatrzył na nią smutno i przerwał połączenie, a komórkę zgniółł butem.

- Pieprzyć go. I ją też, tę małą dziwkę. Nie są ciebie warci, Maws. Ale przynajmniej mamy odpowiedź na kilka pytań.

- Co masz na myśli, Gal?

- Później. Najpierw skończmy z tym alfonsem. Kiwnęła głową i weszła z powrotem do salonu, tłumiąc uczucie żalu i zawodu.

Nie pierwszy raz i nie ostatni musiała zapomnieć o sobie. Rodzina zawsze jest na pierwszym miejscu. Tak uczył siostrę Michael Ryan.

Rozdział 14

Vic obserwował najazd bandy Ryanów na jego ostatnią kryjówkę. Rozśmieszał go widok facetów biegnących jak wielkie karaluchy dookoła starej stodoły w Ingatestone, którą zaadaptował na swoje schronienie. Nie pozostawił w niej nic, co mogłoby im cokolwiek zdradzić. Z wyjątkiem namazanego sprayem na ścianie pozdrowienia: „Pieprzyć was! Ha, ha!”.

Ilekoć sobie to przypomniał, uśmiechał się pod wąsem.

Od jakiegoś czasu miał pod obserwacją każdego z Ryanów i gdy tylko dostał wiadomość, że naszli Jacka, ewakuował się stąd. Teraz przez lornetkę przyglądał się, jak szukają wiatru w polu, i miał niezłą uciechę.

Leżał w wysokiej trawie i żałował, że nie zabrał ze sobą automatu. Mógłby ich wszystkich powystrzelać, jednego po drugim. Cieszyło go, że jak dotąd udawało mu się być zawsze jeden krok przed nimi.

Wyjął portfel, a z niego zdjęcie Sandry. Była prześliczna i z każdym dniem coraz bardziej mu jej brakowało. Miała w sobie coś szczególnego; wytworzyła się między nimi więź, jaka nie łączyła go wcześniej z żadną inną kobietą. Doskonale się rozumieli.

Ryanowie zapłacą za jej śmierć, a on przy okazji zgarnie trochę kasy. Sentymenty nie mogą przesłonić interesów, to jasne. Życie musi toczyć się do przodu. Nawet gdyby miało to być zupełnie puste życie.

Pogwizdywał przez zęby, patrząc na zamieszanie tam w dole. Motocykl z silnikiem o pojemności 1000 centymetrów sześciennych ukrył u podnóża góry, by zwinąć się, jak tylko teren się oczyści.

Lubił motory, bo hełmy zapewniały anonimowość. A na niej mu ostatnio szczególnie zależało.



Tommy podwiózł Carlę do domu, ale odrzucił jej zaproszenie na kawę. Wypiłowała go do ostatka i musiał przyznać w duchu, że nie jest w stanie sprostać jej seksualnym potrzebom.

Nadaśała się jak mała dziewczynka, a on jęknął:

- Dość na dziś, Carla. Wykończyłaś mnie.
- Moglibyśmy tylko wypić kawę i porozmawiać.

Pokręcił głową. Rozmowa z Carla przy kawie była ostatnią rzeczą, na jaką miałby ochotę. Opowiadałaby, co wyczytała w „Hello”. Nieszczególny materiał do stymulującej wymiany zdań.

- Nie dzisiaj.

Ale ona nadal siedziała w samochodzie, patrząc na niego, i Tommy zrozumiał, że tak łatwo się jej nie pozbędzie. Najwyraźniej doszła do wniosku, że sytuacja dojrzała do poważnej rozmowy. Miał duszę na ramieniu. Oczy Carli zrobiły się zimne jak dwa zielone szkiełka. Dlaczego wcześniej tego nie widział?

- Co z nami będzie, Tom?

Znowu ten dziecinny głosik. Nie pasował ani do jej wieku, ani doświadczenia życiowego. Tommy zeszywniał w swoim fotelu. Podejrzewał, że kiedyś dojdzie do takiej rozmowy, ale jeszcze nie teraz. Jej się spieszyło, jakby zapomniała, że nie skończył romansu z jej ciotką. Nie wiedziała, że wcale nie miał takiego zamiaru.

- A co ci chodzi po głowie, złotko?

Pytał protekcyjnym tonem, jaki mężczyzna rezerwuje dla kobiet pewnego pokroju.

- Kiedy powiesz o nas Maurze?

Uśmiechnął się z politowaniem.

- Dlaczego miałbym mówić o tym Maurze? Ja ją kocham.

Z grymasem bólu wyrzuciła z siebie:

- Naprawdę? Wobec tego co jest między nami, jeśli tak bardzo ją kochasz?

- Chcieliśmy się trochę popieprzyć, dla sportu, nie pamiętasz już, Carla? To były twoje słowa, kochanie, nie moje.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno.

- Nie, to nie tak, Tommy. Miałam wrażenie, że chcemy być ze sobą. Wiem, że ciężko ci będzie powiedzieć o tym Maurze. Ja mogę to zrobić, chcesz?

A więc według tej dziwki powstrzymywał go lęk przed jej ciotką i gotowa była sama ogłosić jej nowinę. Oczywiście z największą przyjemnością. Piękne świadectwo lojalności w klanie Ryanów.

- Posłuchaj, Carla: powiesz, co chcesz i komu chcesz, ale to nie zmieni faktu, że chciałem cię tylko przelecieć i to wszystko. Jestem znany z tego, że nie przepuszczam żadnej spódniczce, więc ciebie też zerznąłem. A teraz zapomnij o marszu weselnym i weź się w garść.

Zabłyły jej łzy w oczach.

- Jesteś skurwysynem, Tommy Rifkindzie.

Znowu uśmiechnął się z politowaniem.

- Mówiły mi to już lepsze laski niż ty, kochanie.

Carla wyskoczyła z samochodu, dając mu jeszcze okazję, by nasycił oczy widokiem jej pupy, której nie skrywały majtki.

Gdy wchodziła do domu, uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji naprawdę nie do pozazdroszczenia. Wiedział, niemal słyszał, co na to powie Joss: „Mówiłem ci, że tak będzie”.

Siedział jeszcze przez chwilę w samochodzie przed domem Carli, postukując palcami w kierownicę. Wpadł w tarapaty w jakich jeszcze nie był.

Kiedy odjeżdżał, nawet nie zauważył, że na ogonie siedzi mu Abul.

◆◆◆

Kenny przyprowadził lekarza, bo Jack bezwzględnie wymagał pomocy medycznej. Odmówił pójścia do szpitala, nawet do zaprzyjaźnionej prywatnej kliniki, więc Kenny wydzwonił znajomego medyka, który teraz sprawnie i szybko zszywał Jacka.

- Sam sobie to gówno zgotowałeś - mruknął Kenny.

Jack nie odpowiedział, przepłukując gardło kolejnym łykiem swojej pięćdziesięcioletniej brandy.

- Dlaczego nie powiedziałeś im, co chcieli wiedzieć? Nie pograżyłbyś się przez to w niczyich oczach. A tak, tylko spójrz na siebie: wyglądasz, jakby cię potracił samochód.

Jack odezwał się wreszcie:

- Mam cię gdzieś, Ken, i twoje rady dobrego wujaszka. Oni są najgorszym ścierwem...

- Dobra, dobra. Ty za to jesteś głupim kutafonem, skoro myślisz, że możesz z nimi wygrać. Na litość boską, Jack, to przecież Ryanowie. Czy naprawdę myślisz, że ktokolwiek ośmieli się ich lekceważyć? Nawet Vic nie jest na to dość dobry. Przełknij tę gorzką pigułkę i niech to cię czegoś nauczy. Daj sobie parę tygodni i ogłoś zawieszenie broni dla dobra nas wszystkich. W ciągu kilku godzin będzie o tym wiedział każdy londyński macher, już Garry tego dopilnuje. Bo chyba nie myślisz, że pozwoli na powtórkę scenariusza? Vic będzie przyparty do muru. Jeśli już go nie dopadli.

- Vic ma ich wszystkich pod obserwacją.

- Kim się wysługuje?

Jack uśmiechnął się kpiąco.

- To by było donosicielstwo, nie sądzisz? Mogę ci tylko powiedzieć, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Kenny wzniosł oczy do sufitu.

- Dostałeś chyba niezłego kopniaka w głowę, bo zaczynasz mówić zagadkami. Zrób sobie tomografię mózgu, idioto.

Jack zachichotał.

- Ryanów czeka wielki szok.

Kenny o nic więcej nie pytał; usłyszał już wystarczająco wiele. Wcale nie był przekonany, czy w ogóle chce coś wiedzieć. Zaczynało go to wszystko przerastać. Im mniej będzie wiedział, tym lepiej dla niego. Ma córkę i musi ją chronić.

Zamilkli. Lekarz, który udawał, że nie słucha, powtórzy wszystko Benny'emu lub Garry'emu, tego Kenny był pewien. Nie pogardzi nawet paroma funciakami, bo został pozbawiony prawa wykonywania zawodu za pijaństwo i dobieranie się do pacjentek. Każda kasa by go zadowolila, a za relację z tej rozmowy będzie mógł tego sobie popić.

Doktor z półuśmiechem na czerwonej, pijackiej gębie kontynuował swą posługę przy Jacku.

◆◆◆

Maura i Roy siedzieli w „Le Buxom”. Był wczesny wieczór, w klubie panował spokój. Dziewczeta dopiero się schodziły, ich trajkotanie niesło się w górę po schodach. Panowała tu dobra, przyjazna atmosfera. Nic nikomu w tym miejscu nie groziło. Chyba że któryś z klientów nie chciał zapłacić mocno słonego rachunku, wtedy wybuchała awantura. Maura dotąd pamiętała, jak po raz pierwszy oglądała wykidajkę w akcji. Kłótlivy klient siedział na krześle w suterenie, a bramkarz powtarzał monotonicznie między jednym ciosem pięści i drugim tylko dwa słowa: „Zapłać damie”.

Klient zapłacił, a Maura nauczyła się czegoś na całe życie. Za wszystko trzeba płacić. I nie wolno wyobrazać sobie, że może być inaczej.

Lubiła klimat tego lokalu, familiarny i beztroski. Nie było mowy, że któraś z dziewczyn spróbuje kogoś zabić. No, może jedna rzuci się na drugą, ale to zdarzało się zupełnie wyjątkowo i jeśli wszczynaly awanturę, chodziło tylko o klienta.

Klub świetnie prosperował, choć obawiała się, że zostaną wyeliminowani przez modny taniec erotyczny. I rzeczywiście na krótko stracili klientów, ale wkrótce ściągęli z powrotem. Gwarantowane jebanko bez trudu wygrywało z innymi atrakcjami i klub znowu cieszył się powodzeniem.

Spoglądając na Roya, mozolnie podliczającego wpływy kasowe, Maura poczuła przypływ ciepłych uczuć do niego. Nie powinien dowiedzieć się o Carli. Sama nie wiedziała jeszcze co z tą sprawą zrobi.

Jak Carla mogła właśnie jej zrobić coś takiego! To było nie do uwierzenia - miała do niej zaufanie nie mniejsze niż do Marge. Nigdy by nie dała temu wiary, gdyby nie słyszała wszystkiego na własne uszy.

Najbardziej martwiła się o Roya. Carla zostanie teraz pozbawiona ich opieki, bo trudno, żeby mogła dalej na nią liczyć. Jak Roy poradzi sobie z kolejnym spadającym na niego ciosem? Patrzyła na niego, jak kasuje na kalkulatorze podliczone sumy i liczy od początku.

- Kocham cię, Roy.

Podniósł na nią wzrok, zaskoczony i mile połechtany.

- Ja też cię kocham, dziecko. A o co ci chodzi, Maws?

Zdziwiło ją to pytanie.

- Dlaczego ma mi o coś chodzić? Czy nie mogę ot, tak sobie powiedzieć mojemu ulubionemu bratu, że go kocham?

Złączył palce rąk i pochylił się nad biurkiem.

- Czy myślisz o Carli i Tommym?

Dostrzegła w jego oczach lęk zmieszany ze smutkiem i drgnęło jej serce.

Kiwnęła głową.

- Słuchaj, Maura, ona nie miała złych intencji.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

- Obserwowałem Carlę przez lata. Matka odtrącała ją od siebie. Ty wzięłaś ją pod swoje skrzydła. Nie zaznała ciepła i dobrego traktowania ze strony chłopców. Ona czuje się zagubiona... zagubiona i bardzo niepewna siebie.

- Czyżby?

Nie chciała tego dalej słuchać.

- Bardzo niepewna siebie, tak? Ale to nie przeszkadza jej ściągać majątek przy lada okazji, prawda?

Jadowity ton Maury ukłuł Roya do żywego.

- I jeszcze zapominasz, że ona żyła na mój koszt. Dawałam jej wszystko, także miłość i ciepło. Traktowałam jak własne dziecko - Otrzymywała ode mnie znacznie więcej niż od matki i od ciebie. Teraz wygląda na to, że chętnie zajęłaby moje miejsce. Sypia z tym samym mężczyzną, z którym ja sypiam. Jak, twoim zdaniem, mam się do tego ustosunkować?

- Nie rób jej krzywdy...

Ale Maura była już na serio wkurzona.

- Dzięki za radę, Roy.

Potrząsnął gwałtownie głową.

- Proszę tylko, nie potraktuj jej okrutnie. Cokolwiek chodzi jej teraz po głowie, ona cię potrzebuje. Zawsze tak było i tak będzie. Jej problem polega na tym, że chciałaby być tobą.

- Daruj, ale najwyraźniej naoglądałaś się za dużo programów Oprah Winfrey. To psychologia dla ubogich. Carla jest zdradliwą dziwką. Ona dobrze wie, co robi, Roy. Ma czterdzieści pięć lat, do cholery jasnej. Nie jest już dzieckiem, chociaż lubi się tak zachowywać. Nawet nasza matka zwróciła mi uwagę na to, że bardzo się ostatnio zmieniła.

Roy pokiwał głową.

- Właśnie, właśnie. Zastanów się przez chwilę. Czterdzieści pięć lat i jeszcze nie jest dorosła. Nadal uważa, że kobieta bez mężczyzny się nie liczy. Przy tym nigdy nie pracowała.

Maura zrobiła okrągłe oczy, a jej głos przeszedł w krzyk:

- A czyja to wina, psiakrew? Pewnie moja, jak się domyślam. Ja zawsze jestem wszystkiemu winna, tak?

Roy westchnął ciężko.

- Maws, chciałbym tylko, żebyś spróbowała postawić się na jej miejscu. Może wtedy ją zrozumiesz. Ona ci zazdrości, zazdrości ci wszystkiego, co osiągnęłaś.

- Zapłaciłam wysoką cenę za te tak zwane osiągnięcia. Nie przychodziły mi lekko, o czym wiesz równie dobrze jak ja.

Patrzył na nią, bez słowa.

- Przez całe życie była pod parasolem ochronnym. Traktowało się ją jak księżniczkę. Ale mam już jej absolutnie dość.

- A co z nim?

Maura zaśmiała się jadowicie.

- Z kim niby? On już nie istnieje. To prehistoria, Roy. Pieprzyć ich obydwójce.

◆◆◆

- Ty dumny gnoju!

Joss był tak rozwścieczony, że Tommy po raz pierwszy w życiu po prostu się go bał.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co się stało, Tommy? Tkwisz po same uszy w gównie przez swojego nienasyconego fiuta.

Joss kręcił głową z niedowierzaniem i dezaprobatą.

- Miałeś kobietę, dla której większość facetów dałaby sobie obciąć jaja, a ty podłożyłeś jej świnię. I to z kim ją zdradzałeś - z jej własną siostrzenicą! Naprawdę myślałeś, że ci to ujdzie płazem? - Znowu pokręcił głową. - Jesteś kutafonem, przyznaj to wreszcie.

Tommy najwyraźniej przyznawał Jossowi rację, bo bez protestu przełykał jego obelgi. Siedział bez ruchu w samochodzie z głową ukrytą w dłoniach.

- Co mam teraz zrobić?

Joss zaśmiał się.

- Mnie się pytasz, ty Oślawiony Kutasio? Sam się władowałeś w kłopoty, sam się z nich wyciągaj.

Wysiadł z samochodu.

- Gdzie idziesz, Joss?

- Zobaczyć się z Maura, to chyba oczywiste. Spróbuję ratować własną skórę, tobie nic już nie pomoże. Chcę, żeby wiedziała że przez ostatnie sześć miesięcy byłem wobec niej lojalny, czego nie można powiedzieć o tobie.

- Chyba żartujesz!

- Czyżby?

Joss ruszył do swojego samochodu, nie oglądając się za siebie, a oszołomiony jego słowami Tommy dalej bez ruchu siedział w swoim. Wiedział, że tym razem grubo przesolił.

Kochał Maurę i choć czasem go drażniła, bardzo mu na niej zależało. Joss miał prawo mu się dziwić - jak u licha mógł liczyć na to, że mu się upiecze? W dodatku nie tylko to miał na sumieniu.



Billy Mills wszedł do klubu Maury jak udzielny książę. Wszystkie dziewczęta go uwielbiały, więc jak tylko rozchodziła się wieść, że jest w klubie, jedna przez drugą biegly do niego. Billy rozdawał uśmiechy jak łaskawy monarcha, całował ich dłonie, każdej mówił „moja kochana” i „najdroższa”. Traktował je z szacunkiem, co dla uprawiających ten zawód dziewczyn wiele znaczyło. W każdym razie właśnie tym je kupował.

Był przystojny i nie był sknerą, więc dziewczyna, której udało się go złapać na noc, miała podwójną satysfakcję.

Dwie blondyny, jedna z silikonem, rywalizowały o niego bez wrogości. Billy, zwolennik naturalnego wyglądu, wybrał dziewczynę z małymi kształtnymi piersiami - przynajmniej nie będą mu latały pod ręką na boki. Uważał, że nie ma nic gorszego niż tanie implanty. Od razu przechodziła mu ochota.

Zamówił sobie podwójne remy martin i sączył koniaczek, leniwie obmacując wybraną blondynkę, Stellę, która naprawdę nazywała się Gloria Stennings. Miała dwadzieścia osiem lat i mieszkała z gapowatą rastą. Była uzależniona od koki, jak większość dziewcząt, i oczy błyszczały jej nienaturalnie, gdy opowiadała o sobie niestworzone historie.

Billy’ego guzik to obchodziło, był przyzwyczajony do bajdurzenia dziwek i nawet lubił dziewczyny z odrobiną wyobraźni.

Roy zszedł do niego na dół z prośbą, żeby pofatygował się na górę porozmawiać z Maurą. Nie chciało mu się, ale nawet nie pomyślał, że mógłby odmówić. Uszczypnąwszy jeszcze cycki Glorii i szepnąwszy jej w ucho: „Rozgrzewaj się, mała” poszedł. Czekala w blasku chwały wybranki Billy’ego na tę noc. Był miłym facetem i dobrze płacił. Czego więcej może chcieć dziewczyna?



Leonie wróciła do swojego małego mieszkania w Woodford Green. Po fatalnym dla Jacka popołudniu uznała, że powinna na jakiś czas zniknąć z horyzontu. Była przerażona, gdy zobaczyła, co mu zrobili, ale domyślała się, że ich sprowokował. Jack miał zbyt wygórowane mniemanie o swoich talentach w łóżku i poza nim. Dał jej niemało okazji, by poczyniła to spostrzeżenie. Odczeka parę tygodni, może sam się z nią skontaktuje. Najgorsze, że będzie teraz wyglądał jak monstrum. Przypominał jej Frankensteina, zanim jeszcze dostał się w łapy Ryanów.

Potrzebowała gotówki. Pieniądze przepływały jej przez ręce jak woda i zawsze ich brakowało. Była drogą utrzymanką i szczyliła się tym. Wydzwoniła paru kumpli i podsunęli jej niezłego frajera. Dostała też zajęcie tancerki w „Spearmint Rhino”. Życie musi toczyć się dalej, wiadomo.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ją, otwierała niechętnie. Odskoczyła gwałtownie, bo czymś w nią rzucono. Ale gdy zobaczyła chmurę dziesięciofuntowych banknotów, opadających powoli na podłogę niewielkiego holu, zapiszczała z radości.

- Ty wariacie! Co robisz?

W jej głosie była słodycz, jaka wzbierała w Leonie jedynie na widok pieniędzy.

Garry Ryan wyjął kolejny plik banknotów i zaczął nim potrząsać nad jej głową. Leonie była w siódmym niebie. Nie zamierzała patrzeć darowanemu koniowi w zęby. Miała na sobie króciutki szlafroczek z „Victoria’s Secrets”, więc przemknęło jej przez głowę, że powinna ogolić nogi.

- To jak, dogadaliśmy się?

Kiwnęła głową. Był trochę podstarzały, to fakt, ale wyglądał na niezłego ogiera.

- Oczywiście.

- Obszukaj mnie. No, nie bój się.

Rozpiął marynarkę, odsłaniając wypchane forszą wewnętrzne kieszenie. Z przodu jego spodni uwydatniała się wyraźna wypukłość - raczej nie jest to kolejny zwitek banknotów, pomyślała Leonie, na pół z zadowoleniem, na pół z żalem. W porównaniu z nim Jack był żalonym sknerą, a jej najbardziej wilgotno w majtkach robiło się na hasło „pieniądze”.

Piszczala z uciechy i Garry śmiał się razem z nią. Miał nadzieję, że warta jest dziesięciu tysięcy, a zważywszy na odpowiadający jego gustom egzotyczny kolor skóry, warta była w każdym razie tego, żeby dać jej szansę wykazania się swymi talentami.

Splótł dłonie, aż zatrzeszczały mu palce w kostkach.

- Bierz sprawy w swoje ręczki, kochanie. Przed tobą niepowtarzalna życiowa szansa.

Leonie nie miała nic przeciwko temu. Zawsze chępiła się, że w tej sztuce doszła do mistrzostwa.

◆◆◆

Vic zaszył się w kolejnej dziupli. Tym razem był to apartament na Dolphin Square. Młoda Azjatka, która tu pomieszkiwała, powitała go uśmiechem. Odpowiedział uśmiechem na uśmiech, ale postanowił dopilnować, żeby się wyprowadziła następnego dnia rano. Nie znosił ciemnoskórych pańienek.

Uznawał jedynie młodziutki Angielki, bo był nie tylko rasistą, lecz także brytyjskim nacjonalistą. Nienawidził każdego, kto nie był czystej krwi Anglikiem, nie wyłączając Irlandczyków i Walijczyków. Nie postrzegał siebie jako rasisty, ale jako człowieka, który potrafi odróżnić to, co dobre, od tego, co złe.

Zajrzał do lodówki, w której znalazł wędzonego łososia i szampana. Westchnął. Miał ochotę na jajka na bekonie i dużą porcję tostów, a nie na to pedalskie jedzenie. Zrobił sobie jakieś kanapki i sprawdził, czy ma nowe wiadomości na swoich komórkach. Zmieniał telefony codziennie. Chociaż były niemożliwe do namierzenia, nie pozwalał sobie na żadne ryzyko.

Właścicielem mieszkania był jego stary kumpel, z którym wiele lat temu siedział w więzieniu w Durham za zbrojny napad.

Georgie Baxter był znowu na odsiadce, ale miał głowę na karku i nieźle się urządził, zanim go zamknęli. Założył kilka stron porno razem z innym wyjadaczem, entuzjastą Internetu którego wyszukał w Wandsworth, i teraz ciągnęli z tego grubą forszę. Bawić się w porno biznes lubił i jeden, i drugi, ale żaden nie potrzebował Vica Joliffa uwieszonego u szyi.

Vic zadzwonił do swojej starej matki i pogawędził z nią chwilę, nieświadom tego, że właśnie zaczynają się do niego dobierać.

◆◆◆

Billy pilnie słuchał Maury, oczy mu błyszczały, na twarzy pojawił się nerwowy tik.

- Mówisz serio?

Kiwnęła głową.

- Jak najbardziej serio. Znajdziesz Vica, a ja dam ci okrągłe trzy miliony w gotówce. O co chodzi, nie wyglądam na tyle kasy?

Mówiąc to, otworzyła skórzaną teczkę. Zobaczył taką kupę forsy, jakiej nie widział na oczy przez całe życie.

- Uruchom wszystkie swoje kontakty i znajdź mi tego alfonsa. Mam dość tej zabawy w kotka i myszkę. Muszę wiedzieć, kto go osłania. Przysięgam, że nigdy nie wyjawię źródła informacji, nawet moim braciom, OK?

Billy kiwał głową, rozważając wszystkie za i przeciw.

- Słyszałem... ale to tylko pogłoski, pamiętaj, nie do powtarzania... więc słyszałem, że skumplował się z twoim dawnym irlandzkim współnikiem. Kelly, tak chyba ten facet się nazywa.

Maura przymknęła oczy.

To właśnie Kelly zabił jej najstarszego brata w przekonaniu że Michael w latach osiemdziesiątych, w szczytowym okresie fachów bombowych na terenie Anglii, wydał Brytyjczykom współpracowników IRA.

- A po jaką cholere ludzi z IRA mieliby wiązac się z Vikiem?

Nie mogła uwierzyć tym pogłoskom.

- Mają także powiązania z kimś z twojego najbliższego otoczenia, Maura.

Najwyraźniej był zakłopotany, a jej zabrakło tchu, jakby otrzymała cios w spłot słoneczny.

- Czy nie chodzi przypadkiem o Toma Rifkinda?

Przytaknęła.

Pobladła i wparła się mocniej w fotel. Do pokoju wszedł Roy z drinkami.

Vic i Irlandczycy? To jednak miało sens. Wiedziała, że Vic był w Belmarsh w tym samym czasie co dawny współpracownik Kelly'ego, Patrick O'Loughlin. Nie kto inny przecież, tylko Maura i Garry ułatwiali im znieść odsiadkę, załatwiając co trzeba. Jakimiż głupcami byli! A Tommy miał z nią do wyrównania rachunki z powodu swojego chłopaka. Pytanie tylko, od jak dawna pracował przeciwko niej. Czy od samego początku ją oszukiwał, zdobywając jej zaufanie, żeby nią manipulować? To podejrzenie wzburzyło ją bardziej, niż mogłaby przypuszczać.

Ale ewidentnie tak było. Miłosne zaklęcia i manifestowanie przywiązania były tylko grą, i to dobrą grą. Brała wszystko za dobrą monetę. Musiał się z niej śmiać w kułak. Jego pieprzonej mordzie nie będzie jednak do śmiechu, kiedy w końcu go dopadnie!

Wzięła do ręki telefon i wystukała numer. Billy zauważył, że drżą jej ręce. Sam czuł się jak nie w swojej skórze. Żałował, że na dzisiejszy wieczór wybrał akurat to miejsce spośród tylu innych na świecie.

Głos Maury był ostry jak brzytwa, co mu znowu przypomniało, że nie jest jak inne kobiety. Narazić się jej oznacza narazić się całemu klanowi Ryanów.

A tych drani nie wystraszyłaby nawet IRA.

◆◆◆

Garry, zadowolony, leżał obok Leonie. Warta była tych dziesięciu tysięcy funciaków - każdy by to przyznał. Spędził właśnie najwspanialszą godzinę swego życia, a co zabawniejsze to samo można było powiedzieć o Leonie. Ku swemu zdumieniu pierwszy raz miała orgazm bez pomagania sobie ręką lub wibratorem. Wtuliła się w ramiona Gala, a on mocno ją przycisnął do siebie.

Jak wcześniej Vic teraz i on spotkał kobietę, z którą poczuł się związany, a ona spotkała mężczyznę swoich marzeń. To nie było zwykłe jebanko, obydwójce to wiedzieli.

- Pewnie nie uwierzysz, Gal, ale nigdy nie było mi tak dobrze jak teraz.

Uśmiechnął się do niej.

- Mnie też nigdy.

Milczeli przez jakiś czas, leżąc spokojnie, wreszcie Leonie przerwała ciszę.

- Chcesz herbaty?

Przytaknął ochoczo.

- Tego mi właśnie trzeba, dziewczyno.

Wstała, dając mu okazję podziwiania swojego smukłego ciała, gdy w podskokach wybiegała z pokoju. Zobaczył na podłodze otwartą walizkę i uśmiechnął się do siebie. Wyprowadziła się od Sterna, więc dopełnieniem szczęścia będzie reakcja tego palanta na to, że Leonie postawiła na niego, Garry'ego Ryana. Nagle między częściami bielizny dostrzegł w walizce skrawek papieru. Wyskoczył z łóżka, wziął kartkę, przeczytał ją szybko i wsunął do kieszeni swoich spodni. Leonie nieświadomie obdarowała go czymś jeszcze - miał teraz dokładanie wszystko, czego potrzebował do pełnego zadowolenia.

Dziewczyna wróciła do pokoju z dwoma kubkami herbaty i tostami z masłem. Zdecydował, że sprowadzi ją do siebie w ciągu tygodnia. Pieprzyć inne dziewczyny, to chyba miłość. O ile Garry Ryan w ogóle był zdolny do takiego uczucia.

◆◆◆

Maura spotkała się z Jossem Campionem u siebie w domu. Było jej go żal. Zawsze lubiła Jossa.

- On nie miał złych intencji, Maura. To jest w tym najgorsze. Nie umie się powstrzymać. Gina to rozumiała. Zaakceptowała to, że jest urodzonym dziwkarzem.

Nic nie odrzekła. Słuchała go, siedząc i sącząc whisky. Wiedziała, że Joss czuje się fatalnie w związku z tym, co się stało. Gdy tak siedzieli, w salonie pojawił się niezapowiedziany Patrick O'Loughlin. Maury to nie zdziwiło, ale Jossa tak. Nie uszło to jej uwadze.

Pokiwał jeszcze ze smutkiem głową, widać było, że jest mu bardzo przykro.

- Wiem, Joss. Wiem teraz wszystko.

- Nie, Maura, jeszcze nie wszystko. - Spojrzał na Patricka i zapytał się ostro: - Ty jej powiesz czy ja?

Patrick westchnął. Był to niski, przysadzisty mężczyzna z czarną czupryną i głęboko osadzonymi oczami.

Był na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych osób, odkąd porzucił swoich towarzyszy i przyłączył się do radykalnego odłamu IRA. Nie wierzył w wielkopiątkowe porozumienie z 1998 roku o zawieszeniu broni, był zwolennikiem kontynuowania walki. Zajmował się handlem bronią i innymi ciemnymi interesami, dlatego zainteresował się Vikiem.

- Ja jej powiem, człowieku. Ale przyznaj, że twój Tommy jest śmierdzącym ścierwem. Joss potakująco kiwnął głową.

- Mnie to mówisz?

Patrick zaśmiał się. Podobał mu się ten zabawny olbrzym z ponurą gębą.

- Jesteś przyzwoitym facetem, Joss.

Maura westchnęła.

- Czy możemy darować sobie tę wzajemną adorację i przystąpić do interesów?

- Twarda z ciebie babka, Mauro Ryan.

Zaśmiała się sarkastycznie.

- Pewnie jest we mnie trochę irlandzkiej krwi.

Rozdział 15

Garry był szczęśliwy jak nigdy dotąd. Miał nową zabawkę. Leonie będzie uprzyjemniała mu życie - po to są kobiety. Traktował je instrumentalnie, nie po partnersku. Wyczuwał zresztą, że Leonie chętnie mu się podporządkuje. Dopóki miała pieniądze i gwarancję bezpieczeństwa, była szczęśliwa, a Garry mógł jej zapewnić jedno i drugie. Dzięki niej zdobył informacje na temat Vica, za co był jej dozgonnie wdzięczny.

Gwizdał przez zęby, wjeżdżając na Chigwell High Street. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, z nadejściem weekendu Vic będzie już tylko historią, a on poleci z Leonie do Marbelli. W hiszpańskim słońcu nasyci się urokami jej zwinnego ciała i seksualnymi akrobacjami. Do tej pory wolał puszyste kobiety, które były mu wdzięczne za okazywane im zainteresowanie. Lubił mieć nad nimi władzę i całkowicie uzależniał je od siebie. Teraz niespodziewanie zakochał się i dobrze się z tym czuł. Leonie była do niego podobna, byli bratnimi duszami, nawet nie marzył, że coś podobnego może mu się jeszcze Przytrafić. Z racji swego wieku uważał, że miłość i romanse są dla innych. Tymczasem ta mała dziewczyna z Romford, z matniami o jedwabnym życiu i piersiami, które mogłyby zatrzymać ruch na M25, udowodniła mu, że się mylił.

Gdy chwilę później wjeżdżał w Verderers Road, nadal się uśmiechał.



Abul i Benny jedli obfitą gorącą kolacją w „Rosina Cafe” w Essex, przy szosie A13. Arteria była bardzo ruchliwa, więc kafejka położona w tym punkcie przyciągała kierowców ciężarówek. Było to też dobre miejsce do dyskretnego kontaktowania się i nielegalnych transakcji. W odróżnieniu od „Granady” w West Thurrock nie miało złej sławy ośrodka handlu narkotykami i bronią. Idealny lokal, żeby zjeść niewyszukany posiłek i porozmawiać z kimś z kontynentu, Holendrem czy Niemcem. Pod osłoną parkujących tu tirów mogło się wiele dziać.

Jedząc i rozmawiając, Abul i Benny mieli oczy i uszy otwarte, wypatrując dawnych znajomych. Byli tu umówieni na odbiór broni, ale była to też ekspedycja łowiecka. Zarzucili przynętę i mieli nadzieję na branie przed końcem dnia.



Maura i Patrick śmiali się, a Joss podziwiał jej odporność psychiczną. Większość kobiet byłaby zdruzgotana, gdyby przeszła to co ona w ciągu kilku zaledwie miesięcy, a zdrada Tommy’ego, jakby tamtego wszystkiego było mało, każdą inną by dobiła. A ona zachowywała się, jakby wszystko toczyło się normalnie. Ale gdy pomyślał o życiu Maury, nie bardzo wiedział, co mogło być dla niej normalne. Tommy twierdził, że nie dopuszczała do prawdziwej bliskości i Joss nie tylko w to wierzył, ale także rozumiał Maurę. Jego ojciec należał w Liverpoolu do grupy zwanej Scally i był twardym facetem. Joss miał przyrodnych braci i siostry, o których jego matka nie miała pojęcia. Czasem się z nimi spotykał, choć byli mu obojętni. Wiedział, jak to jest, gdy trzeba żyć z maską na twarzy. Skrywa w sercu tajemnice, których zdradzenie mogłoby wyrządzić krzywdę wielu ludziom. Wziąć na swoje barki zapewnienie bytu rodzinie, próbując jednocześnie żyć własnym życiem. Maura robiła to wszystko i jeszcze więcej, bo choć bracia nie byli tego w pełni świadomi, to właśnie ona chroniła ich przed pójściem za kraty i kontrolowała każdy ich ruch. Ale wszyscy zadawali sobie pytanie, jak długo jeszcze zdoła kontrolować Bena.

Joss miał nadzieję, że Tommy Rifkind, jego przyjaciel od najdawniejszych lat, zrozumiał już, iż Ryanowie po niego przyjdą, bo przyjdą na pewno. Wystarczającym powodem był skandal z Maurą i Carlą. Po raz pierwszy od lat Jossa przy nim nie będzie. Po raz pierwszy zostawi przyjaciela samemu sobie. Najwyższy czas. Tommy musi się obudzić. Może nastąpi to tym razem. Może dostanie nauczkę, której nie zapomni do końca życia. Jeśli w ogóle jeszcze trochę pożyje, w co Joss bardzo wątpił.



Patrick i Maura zostali wreszcie sami. Sącząc szkocką, przyglądali się sobie z rezerwą.
- Czy Tommy działał sam?

Patrick potrząsnął głową.

- Nie, pracował ręką w rękę z Vikiem. Prawdopodobnie także z innymi, ale ja kontaktowałem się tylko z nimi dwoma. Nie mogłem za dużo powiedzieć przy Jossie, sama rozumiesz. Tommy jeszcze nie wie, że go rozpracowaliśmy. Zresztą Joss mógł nie wiedzieć o wszystkim. Zrozumiałe, że Tommy nie odkrywa wszystkich kart. Znalazł się w takim punkcie, że nie może nikomu ufać.

Słuchając tego, Maura poczuła, że się rumieni. Patrick Przeczesał dłonią włosy.

To się zdarza, moja droga. Każdy z nas wcześniej czy później zostaje zdradzony. A jeśli zdradzają nas ludzie, których kochamy, tym trudniej się z tym pogodzić. Czyż moja własna matka nie próbowała mnie kiedyś wsypać?

Maura westchnęła.

- Wiem, byłem przy tym.

Uśmiechnął się.

- Pamiętam. Wszystko przez to śmierdzące ścierwo, Geoffreya. Nie chcieliśmy zaszkodzić Michaelowi. To był po prostu biznes.

Kiwnęła głową.

- Pogodziłam się z tym już dawno temu. Zresztą nie miałam wyboru, prawda?

- Straciłaś mnóstwo bliskich. Braci, Terry'ego Pethericka, a teraz siostrzenicę.

Popatrzyła mu w oczy.

- Tak jak ty, Pat.

Pokiwał głową, kończąc swoją szkocką.

- Wiesz, moja matka zmarła kilka lat temu. Poszedłem odwiedzić ją w szpitalu. Ukrywałem się wtedy. Wszyscy mnie szukali. Ale wszedłem, zaryzykowałem. Otworzyła oczy i powiedziała, że nie może się doczekać, kiedy umrze, żeby już więcej mnie nie oglądać. Nazwała mnie zbrodniczą kanalią. Zawsze miała w zanadrzu dosadny epitet.

W jego głosie wyraźnie słychać było rozgoryczenie i Maurze przez chwilę zrobiło się go żal.

- Pieprzyć matki, po co one komu?

Zaśmiał się głośno.

- No, no, nikogo z nas nie byłoby tu bez nich, dziewczyno, to pewne. Przez całe życie staramy się je zadowolić, wiedząc, że cokolwiek zrobimy, to i tak będzie za mało. Wszyscy sprawiamy naszym rodzicom zawód... pewnie mamy to w genach.

Maura nie odpowiedziała, naląła sobie tylko następnego drinka.

- Ty wiesz chyba najlepiej, co to znaczy zawieść się na kims, Maura.

Położyła się na kanapie i przytknęła zimne szkło do czoła.

- Patrick, co mam robić? To wszystko lada chwila wybuchnie, a ja mam już dość przemocy.

Wzruszył ramionami i usiadł na kanapie, kładąc jej stopy na swoich kolanach.

- Musisz przez to przejść. Nic nie możesz na to poradzić. Garry się wkurzy, jak się o tym dowie... nigdy nie lubił Tommy'ego. Każdy to wie.

Uśmiechnęła się.

- Garry nikogo nie lubi. Nie potrafi. Taką ma naturę.

- Ciebie kocha.

Potrząsnęła głową. Whisky uderzała jej już do głowy, powinna przestać pić, ale wiedziała, że nie przestanie, nie teraz. Była dotknięta do żywego. Nie chodziło tylko o Carłę, ale o powiązania Toma z Vikiem. Powinna się tego domyślić, ale był dobrym aktorem, trzeba mu przyznać. Był dziwkarzem, pogodziła się z tym, jednak nie wiedziała, że jest też dwulicowym, przebiegłym, kłamliwym alfonssem, spiskującym przeciwko jej rodzinie. To ją naprawdę zabolalo. Przywiodła zdrajcę pod ich drzwi. Zastanawiała się, kto jeszcze mógł wiedzieć o tym wszystkim. Kiedy to się rozejdzie, będzie publicznie upokorzona. Oto liverpoolczyk nie tylko ośmieszył Maurę Ryan, ale wykiwał także chłopców.

- Garry nie umie kochać. Albo cię szanuje, albo traktuje jak przedmiot. W tym jego siła. Nie obchodzi go, co inni o nim myślą.

Patrick pokiwał głową.

- To zawsze będzie jego mocna strona.

- Od jak dawna wiesz o Vicu i Tommym?

Usiadł wygodniej i westchnął.

- Od sześciu lat. Rifkind trzymał już z Vikiem, kiedy ty jechałaś do Liverpoolu rozprawić się z jego synem. Tommy Senior był tym brakującym ogniwem, którego ciągle szukałaś, Vic nie powiedział ci tego, bo miał swoje powody. Przypuszczam, że czekał, by Tommy sam się podłożył, i nie musiał długo czekać.

Na chwilę zaniemówiła.

- A skąd ty tyle wiesz na ten temat? - zapytała wreszcie.

- Jak ci już wiadomo, Vic poprosił nas o pomoc, ale mówiąc między nami, my nie mamy w tym interesu. Narkotyk to nie nasza specjalność, choć jego oferta była całkiem dobra. Ale my walczymy o wolną Irlandię i ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie życzyli, to épająca Irlandia. Narkotyki już stanowią poważny problem w Dublinie i Belfaście, to szerząca

się zaraza Vic wybrał niewłaściwych ludzi. Powinien to wiedzieć. My nie chcemy narkotyków.

Maura zaczęła gwałtownie trzeźwieć.

- Chcesz mi powiedzieć, że wy też polujecie na Vica?

Na jego twarzy pojawił się chytry półuśmieszek.

- Moja stara matka zwykła mówić, że w pajęczą sieć zawsze ktoś wpadnie. Pamiętasz moją staruchę? Biedny Vic nadal uważa, że jesteśmy najlepszymi kumplami od czasów Belmarsh. Niech jeszcze przez jakiś czas tak myśli.

Maura z aprobatą pokiwała głową.

- Chcecie go sprzątnąć?

- Nie, tę drobną robotę zostawiamy tobie, Maura.

- Wielkie dzięki.

- Dlatego tu jestem. Wiedzieliśmy, że jak się dowiesz, co jest grane, będziemy mogli złożyć to w twoje ręce. Nie możemy się mieszać w tego rodzaju rzeczy, nie w takich nerwowych czasach. Powiedzmy, że kiedy już będzie po wszystkim, też nie odmówimy ci przysługi, zgoda?

Maura zaśmiała się.

- Masz chyba na myśli cholernie dużą przysługę.

Patrick wzruszył ramionami i delikatnie ściskając jej stopy, odpowiedział:

- Co tylko sobie zażyczysz.

- Wy, Irlandczycy, lubicie, jak ktoś wykona za was brudną robotę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jasne. Anglicy przez lata wysługiwali się innymi. To musiało się kiedyś skończyć. Jeśli nie masz psa, Mauro Ryan, musisz sama szczekać.

Mówiąc to, miał tak komiczną minę, że szczerze ją rozbawił, słowa Patricka przypomniały jej, że jego irlandzcy towarzysze potrafią być bardzo groźni, i ta świadomość ją otrzeźwiła. Skończyli swoje drinki w milczeniu.

◆◆◆

Nellie Joliff miała niespełna sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i niezdrową nadwagę. Była starą mieszkanką East Endu i szczyliła się tym. Używała dawnego slangu i dbała o dobrze zasłużoną reputację Starej Matki Joliff, rodzicielki Szalonego Vica. Wiele osób mówiło, że wygląda jak Vic w miniaturze, tyle że w damskich ciuchach.

Jeździła po całym kraju, odwiedzając syna w każdym miejscu jego odsiadki, i przy okazji pomagała młodym więźniarkom pogodzić się z ciężkim losem, gdy długi wyrok

wydawał im się zbyt trudny do zniesienia. Na swój sposób była dobrą osobą, znaną z tego, że pomaga każdemu, kto potrzebował pomocy. Była też niepospolitą gadułą, więc Vic trzymał przy niej język za zębami, jeśli nie chciał, by coś było rozprowadane po okolicznych pubach i ulicach.

Teraz gościła u swojej siostry w Chigwell i miała już dość. Chciała jak najszybciej wrócić na Majorkę, bo Vic znowu się ukrywał, a ona tęskniła za tamtejszymi przyjaciółmi i swoim małym, ale własnym domkiem.

Codziennosc z niedosłyszającą, nawiedzoną wyznawczynią Pisma Świętego była przygnębiająca, więc kiedy zobaczyła na progu Garry'ego, uśmiechnęła się do niego serdecznie, dziękując Bogu za odmianę.

- Dzień dobry, pani Joliff, czy zastałem Vica?

Zwracał się do niej z należnym respektem i uprzejmym tonem. Zachowywał się jak podstarzały uczeń, co Nellie Joliff bardzo się spodobało.

- Wejdz, wejdz, mój drogi.

Szeroko otworzyła drzwi.

Garry wszedł do środka, uśmiechając się. To było takie proste, tak łatwo było naśladować scenkę odegraną przez Vica u Sarah. Pięć minut później trzymał w dłoni kubek z herbatą a pani Joliff opowiadała mu historyjki z życia syna na Majorce.

Nadal się uśmiechał, gdy godzinę później wychodził stamtąd bardzo z siebie zadowolony.

Ciekawe, czy Vicowi spodoba się, że jego rodzina też została wciągnięta w to gówno. To może być dla niego cenna nauka.

◆◆◆

Benny i Abul wnieśli do domu na Lancaster Road ciężką pacę. Gdy Sarah robiła im herbatę, otwierali skrzynię w ogrodzie. Były w niej cztery cacka firmy Armalites. Z trudem powstrzymywali się od wyciągnięcia ich, żeby się trochę pozabawiać jak w dzieciństwie, gdy bawili się bronią na niby.

- Kurde, popatrz na to, Abul. Ale bajer - mruknął z podziwem Benny.

Abul też był pod wrażeniem.

- Zrobiliśmy dobry interes, nie?

Chichotali bez przerwy, a Sarah przyglądała im się przez kuchenne okno. Przypominali jej Michaela i Geoffreya. Michael zawsze był przywódcą, a Geoffrey jego asystentem. Pod tym względem Benny bardzo przypominał wuja - musiał dominować, występować w roli psa przewodnika.

Ben i Abul byli przyjaciółmi od dzieciństwa i Sarah wiedziała, że będą nimi aż do śmierci; wolała nie myśleć o tym, kiedy po nich przyjdzie. Benny był jej oczkiem w głowie, ale gdy obserwowała go teraz, musiała sobie nie po raz pierwszy uprzytomnić, że ukochany wnuczek jest niebezpiecznym bandziorem. Nie tak jak jej dzieci. Ben miał warunki, żeby wyrosnąć na człowieka, ale nawet śmierć jego biednej matki nic w niw nie obudziła. A przecież Janine została zastrzelona na progu własnego domu i miało to związek z tak zwanymi interesami, jakimi parała się rodzina.

Ta śmierć niczego nie zmieniła, nie natchnęła Bena do przewartościowania życia. Był jednym z Ryanów - nic dodać nic ująć. A to właśnie na niej ciążyła odpowiedzialność za to, kim stali. Patrzyła na nich teraz bardzo trzeźwo i wiedziała, że musi ich akceptować takimi, jakimi są. Benny podniósł na chwilę wzrok i napotkał jej spojrzenie. Mrugnął do niej i uśmiechnął się, a dla Sarah słońce wyszło z za ciemnej chmury. To był cały Michael, jej Michael. Cokolwiek by zrobił, wszystko potrafiłaby mu wybaczyć.

- Kiedy to zrobimy, Benny? - zapytał Abul.

- Jak tylko Maura da sygnał.

- A co się stanie z całą tą koką?

Benny wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Maura tym zarządzi. Przestań zadawać głupio pytania. Dlaczego ciągle mnie o wszystko wypytyujesz?

W mgnieniu oka zmienił mu się nastrój i Abul wiedział, że lepiej zostawić go teraz w spokoju.

◆◆◆

Justin Joliff miał pięćdziesiąt lat i był potężnym mężczyzną. Tak jak matka był otyły bo lubił sobie dobrze pojeść. Nie inaczej niż brat lubił podłe chwytły, nie tylko wobec wrogów, lecz i w interesach. Ale był też tchórzem, przez całe życie chował się za plecami Vica, żył w cieniu brata i jechał na jego reputacji. Vic nie pozwalał, żeby ludzie nim poniewierali, i Justin był tego świadom. To tylko potęgowało jego nienawiść do otoczenia. Uganiał się za kobietami, marzyłby mu się cały harem, ale miał problemy ze zdobyciem choćby jednej, co go nie zniechęcało do próbowania szczęścia z każdą, która mu się nawinęła. Niestety, nawet tancerki erotyczne w jego ulubionym klubie żądały od niego podwójnej stawki, jeżeli już nie zdołały mu się wymknąć, a lekceważenie demonstrowały w wyzywający sposób, co nie było trudne, zważywszy na to, jak skąpo były ubrane.

Matka go kochała, ale nie tak bardzo jak Vica. Justin to wiedział, Vic to wiedział, sama Nellie też się do tego przyznawała. W każdym razie Justin był nieźle popieprzonym

facetem, ale przybierał pozę Attyli. Kiedy otwierał drzwi swojej wielkiej willi na przedmieściach Santa Ponsa, miał groźną minę. Zniknęła z jego twarzy, gdy przystawiono mu lufę do obrosłego tłuszczem podbródka. Zmuszono go do przegięcia głowy do tyłu, poczuł dotkliwy ból naprężonych mięśni szyi.

- Witaj, staruszk. Co powiesz na przejażdżkę w bagażnik auta miłego faceta?

Nie odpowiedział. Nie mógł. Był zbyt przerażony.

Dwaj ciemnoskórzy bracia, starzy kumple Geoffreya, zarechotali, nie mogąc zamknąć bagażnika, bo Justin był za gruby.

- I co zrobimy?

- Kropniemy go tutaj?

- Co ty, zastrzelić go tutaj? Tu, na podjeździe? Mówisz serio?

Zupełnie nie przejmowali się tym, że facet w bagażniku wszystko słyszy. Rozmawiali ze sobą, jakby Justina nie było, co napędziło mu jeszcze większego stracha.

- Równie dobrze mogliśmy pójść do domu obok i zapytać, czy pozwolą nam zastrzelić go na ich podjeździe. Nie bądź idiotą! A co z hałasem?

- No dobra, to co robimy?

Starszy pukał się palcem w brodę i intensywnie myślał.

- Weźmiemy go z powrotem do domu i zastrzelimy w sypialni. Jeśli obłożymy mu głowę poduszkami, stłumimy odgłos wystrzału.

- W porządku - mruknął młodszy i zwrócił się do Justina: - Wyłaż z bagażnika, proszę grzecznie.

Ale on ze strachu nie mógł się ruszyć.

- Prosisz go? Popieprzyło cię?

- Wyłaż z tego cholernego kufra, grubasie, albo załatwię cię tutaj i pierdolę sąsiadów, jasne?

Popatrzył na brata, a potem znów na Justina.

- Zrozumiałeś czy mam ci to petem wypalić na czole?

Justin nadal się nie ruszał.

- Nie rób mi na złość, facet. Przecież chcesz być grzeczny, nie? Więc rób, co ci każe.

Justin słuchał tego, śmiertelnie przerażony. Nie mógł wiedzieć, że to wszystko było elementem zaplanowanej strategii zastraszania.

Mężczyźni, klnąc, wyciągnęli go z bagażnika, po czym kopiąc i okładając pięściami wprowadzili z powrotem do domu. przeszukali całą willę od piwnicy po dach. W końcu wepchnęli Justina na tylne siedzenie samochodu i razem z nim odjechali.

Siedział spokojnie, już całkiem zobojętniały, a dwaj bracia nadal się kłócili w drodze do Pollensy.



Maura jeszcze długo po wyjściu Irlandczyka leżała na kanapie w szoku, niemal bez czucia. Nie mogła zebrać w sobie dość energii, żeby wstać. Zdrada Toma była nie do zniesienia. Gorsza jeszcze była świadomość, że ją ośmieszył. Dbała o swój wizerunek i szczyliła się nim. W jej świecie był ważny. Tu nikt nie miał prawa dać się wystrychnąć na dudka. Będzie musiała patrzeć w oczy ludziom, którzy wiedzą, że sypiała z Rifkindem, podczas gdy on spiskował przeciwko niej z Vikiem Joliffem i w dodatku pieprzył się z jej bratanicą.

Zakryła twarz dłońmi. Nawet w gęstniejącym mroku miała wrażenie, że widać, jak zaczerwieniła się z upokorzenia.

Czy aż tak brakowało jej męskiego dotyku, że dała się oszukać temu krętaczowi? Co było z nią nie tak? Czy samotność po utracie Terry'ego uczyniła ją na tyle ślepą, że nie przejrzała Toma Rifkinda? Garry i Lee zamordowali jego dziecko. Jak mogła uważać, że jej związek z Tomem ma szanse? Czyżby traciła ostrość spojrzenia?

A teraz jeszcze wplątali się w to wszystko Irlandczycy. W przeszłości wchodziła z nimi w układy, ale za każdym razem wiązało się to z jakimś ciężkim przeżyciem. Nadszedł chyba właściwy moment, żeby oddać ster w ręce braci, a samej używać życia.

Ale czego można oczekiwać od życia w jej wieku, męża, bez dzieci? W ostatecznym rozrachunku co tak na prawdę miała?

Dobre domy, dobre samochody i dobre ciuchy.

A dobrych przyjaciół?

Miała kilkoro prawdziwych przyjaciół, przede wszystkim Marge. Miała też Carlę, którą traktowała jak własne dziecko ale to się skończyło. Zamknęła się też ta karta w jej życiu kiedy miała męża i kochanka w osobie Terry'ego. Od jego śmierci starała się o nim nie myśleć, żeby poczucie winy nie doprowadziło jej do obłędu. Teraz, jak niegdyś Michael, odkrywała, że wszystko było na próżno. Że całe jej życie było pozbawione sensu.

Powstrzymywała łzy napływające do oczu. Niejedno gorzkie doświadczenie miała za sobą i nauczyła się, że płacz niczego nie rozwiązuje. Postanowiła wstać, ale okazało się, że to zbyt duży wysiłek. Położyła się więc z powrotem i rozplakała jak nigdy dotąd w życiu.

Był to nieutulony, spazmatyczny płacz - tym bardziej wstrząsający, że niemal bezgłośny. Rozpaczliwe ciche łkanie uśmierzające straszliwy ból, który ją wyniszczał.

Wreszcie się uspokoiła. Leżała na kanapie, wspominając Terry'ego i chwile, gdy byli razem. Jak kochał ją w ciemności, jakby była jedyną kobietą na świecie. Wspominała wspólnie spędzane wakacje, wspólne posiłki. Rozmowy o jej dzieciństwie i rodzinie. Żył dla niej, a potem przez nią zginął, bo przed sześciu laty dała się znowu wciągnąć do gry.

Gdyby tamtego dnia nie odpowiedziała na telefon Roya, który domagał się jej interwencji, nadal byliby razem, ciesząc się swoim domem i spokojnym życiem.

A jednak z własnej woli odwróciła się od niego. Zrobiła to dla rodziny. To rodzina była zawsze przyczyną konfliktów między nimi. Ale czy mogła postępować inaczej? Potrzebowali jej wtedy, tak jak i teraz potrzebują. Zawsze była głosem rozsądku, wołałaby jednak nie ciągnąć tego wózka dalej.

Otworzyły się drzwi pokoju i w półmroku zobaczyła kobiecą postać. Natychmiast się podniosła.

- Że też miałaś czelność przyjść tutaj, Carla.

Za bratanicą stał Tony Dooley Senior.

- Próbowałem ją zatrzymać.

Maura przejechała dłonią po twarzy, ścierając ślady łez przed zapaleniem światła.

- W porządku, Tone. Poradzę sobie z tym.

Wyszedł z pokoju, a Carla powiedziała cichutko:

- Przykro mi, Maws.

Maura włączyła lampę obok krzesła.

- Jest ci przykro? I to ma wystarczyć, żeby wszystko naprawić?

- Oczywiście, że nie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło...

- Tommy Rifkind cię opętał, tak?

Carla wyglądała równie źle jak ona sama i Maura pomimo złości poczuła dla niej odrobinę współczucia, uświadamiając sobie, że bratanica nie otrzymała od życia prawdziwej szansy. Nie miała jednak zamiaru litować się teraz nad nią. Była przebiegłą dziwką, która poszła do łóżka z jej facetem i zrobiła to bez chwili zastanowienia. Dziewuchą, która od lat żyła na jej koszt i ani razu za to nie podziękowała. Ani razu. Brała wszystko, co Maura miała do zaoferowania, jakby to jej się należało. No i należało się, bo była rodziną, a rodzina to przecież wszystko.

Ale już się nie należy.

- Proszę cię, Maura, pozwól mi wszystko wyjaśnić.

Potrząsnęła głową.

- Odchrzań się!

Carla z niedowierzaniem patrzyła na ciotkę. Takiej jej jeszcze nie znała. Wściekłość w głosie Maury uświadomiła Carli, że ciotka nie zamierza jej słuchać, cokolwiek powie.

- Błagam cię, Maws... - spróbowała tonu zranionej dziewczynki. W przeszłości to działało.

Maura uniosła dłonie do twarzy i westchnęła.

- Powiedziałam, żebyś się odchrzała. Wynoś się.

Było to powiedziane zimno i kategorycznie, więc Carla ze zgnębiłą miną odwróciła się do drzwi. Dotąd myślała o Maurze jako o swojej ciotce, teraz miała do czynienia z Maura Ryan głową rodziny. Ogarnął ją strach. Wszyscy wiedzieli, że to Maura stała za śmiercią Geoffreya. Carla wystraszyła się nie na żarty. Przypomniała sobie, co mówiła babcia: że Maura jest twarda i nigdy nie pozwoli, by ktoś z nią wygrał. Ruszyła więc do wyjścia, z ciężkim sercem i świadomością, że jej dotychczasowy świat legł w gruzach.

- Aha, Carla...

Odwróciła się do ciotki z nadzieją, że może drgnęło jej serce.

- Nie przychodź tu więcej. Masz tydzień na opuszczenie domu.

Carla była zszokowana.

- A co z Joeyem... z moimi rzeczami?

Maura miała ochotę parsknąć śmiechem. Cała Carla, pyta, co z nią będzie, jakby było oczywiste, że dla niej zawsze robi się wszystko.

- To twój problem, kotku - odparła. - Powinnaś pomyśleć o tym wcześniej. A może widziałaś już siebie jako panią domu u Toma Rifkinda w Liverpoolu?

Był to celny cios.

- Wiesz, Maura, nie mogę uwierzyć, że mi to robisz.

Z twarzą naznaczoną rozpaczą i wspaniałymi rudymi włosami błyszczącymi w świetle bardzo przypominała Janine. Była piękną kobietą i Maura nadal ją kochała, chociaż jej nie lubiła.

- Ja ci coś robię? Krzywdzę cię? Miałam ci pozwolić drwić sobie ze mnie? A może powinnam dać ci Toma na tacy, tak jak dawałam wszystko inne?

- Miałam na myśli to, że zabierasz mi mój dom.

Maura prychnęła.

- Twój dom? Mój dom, chciałaś powiedzieć. Jest moją własnością, a ty mieszkałaś w nim za darmo. Gratis. Po prostu zabieram to, co jest moje, skarbie.

- Ale co ja mam teraz ze sobą zrobić?

Żałosna nuta w jej głosie znowu rozbawiła Maurę.

- Znajdź pracę, to pierwsze, co mi przychodzi do głowy, dobrze by ci to zrobiło. Zarób na swoje utrzymanie.

Zaśmiała się głośno.

- A może powinnaś się zarejestrować jako bezrobotna? Bo raczej nie jesteś wrywna, jeśli chodzi o pracę. Opłacałam ci nawet sprzątaczkę, bo inaczej twój dom wyglądałby jak sracz. Albo może byłabyś hostessą w klubie? Wyglądasz i zachowujesz się tak, że pewnie byś się podobała klientom. Chociaż nie, jesteś trochę za stara jak na ten zawód.

Wycelowała palcem w bratanicę.

- Jesteś leniwą dziwką i lepiej weź się za siebie i swoje sprawy. Ja nie będę już więcej tego za ciebie robić. A teraz spieprzaj już, dwulicowa krowo.

- Maura, naprawdę chcesz mi to zrobić?

- Owszem.

- Z powodu faceta? Rozbijesz rodzinę z powodu faceta?

- Tak. Mam nadzieję, że był tego wart.

Znowu się zaśmiała. Carla wiedziała, że już po niej, ale jeszcze próbowała się tłumaczyć.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Gdybym mogła cofnąć czas...

- Wychodząc, zamknij drzwi wejściowe, dobrze? - rzuciła Maura, minęła bratanicę i weszła do kuchni, gdzie zaczęła nalewać wodę do czajnika.

Carla stała jeszcze przez dobrych kilka sekund, zanim po cichu wyszła z domu. Różnych reakcji spodziewała się po Maurze, ale nie takiej wyrafinowanej obojętności. Wszystko inne by zniosła. Była przygotowana na to, że Maura spuści jej łomot, chybaby to wolała. Przynajmniej byłaby to normalna reakcja.

Gdy doszła do samochodu, usłyszała za sobą kroki, a kiedy się odwróciła, na jej twarz chlusnęła zawartość kubła zimnej Wody.

Rzucając w nią pustym kubelkiem, Maura wyrwała jej z ręki kluczyki samochodowe.

- Weź taksówkę, cukiereczku. Ten samochód, tak wszystko inne, należy do mnie.

Tony Dooley Senior, który się temu przyglądał, pokręcił głową. Zdecydowanie wolał awantury w męskim wydaniu.

◆◆◆

Komórka Vica zadzwoniła, gdy oglądał program *Match of the Day*. Odebrał i burknął:

- Czego?

Na wyświetlaczu był numer jego brata Justina.

- Wszystko w porządku, Vic? - zapytał jakiś męski głos. Usiadł i wcisnął na pilocie przycisk wyłączający głos z telewizora.

- Kto mówi?

- Twój najgorszy koszmar, Vic. Posłuchaj tylko.

Usłyszał jęki Justina w tle, a potem wystrzał i krzyk brata.

- Ty pierdolony sukinsynu! Jak cię dorwę...

Mężczyzna na drugim końcu linii zarechotał.

- Jasne, Vic. Nie rozłączaj się. Myślę, że druga noga braciszka też zasługuje na kulkę.

Vic siedział bezradnie, słuchając kolejnego strzału i kolejnego wrzasku. Zszokowany i wściekły, miał wrażenie, że przestanie mu bić serce. Jeśli przez niego zabiją Justina, matka mu tego nigdy nie wybaczy.

- Ostrzegam cię, kimkolwiek jesteś, nie uciekniesz przede mną...

W odpowiedzi na tę groźbę głos w telefonie stał się bardziej zjadliwy, a Vic, zgrzytając zębami, słuchał dalej.

- Jesteś dupkiem, Victor. Czy twoja mamuśka jest jeszcze z wizytą na Verderers Road, w Chigwell? A może to Murderers Road, skoro ty jesteś właścicielem tej chałupy, co? Podobno siostra działa jej na nerwy. Powinieneś się do niej odezwać. Sprawdzić, jak biedna stara krowa sobie radzi.

Telefon kliknął i zamilkł. Vic przez chwilę siedział oszołomiony, gapiąc się na aparat jak na prehistorycznego potwora, który nagle wypełził z jego własnego ucha.

Potem wystukał numer matki.

Nie odpowiadał.

Pocąc się ze strachu, zaczął się ubierać. Jeśli cokolwiek stało się jego matce lub bratu, to na południowym wschodzie poleje się krew, a Ryanowie będą na samej górze jego listy.

Jadąc do matki, dzwonił do kumpli z Anglii i Majorki. Nie tracił animuszu, ale martwił się, co jeszcze Ryanowie wyciągną z rękawa.

Rozdział 16

- I co ja mam teraz zrobić, babciu?

Kołysząc wnuczkę w ramionach, Sarah wyszeptała w odpowiedzi:

- Nie wiem, kochanie. Pewnie będziesz musiała wrócić tutaj.

A w duchu myślała, że Carla jest ostatnią osobą, którą chciałaby widzieć na stałe w swoim domu, zwłaszcza że wnuczka ostatnio zrobiła się niemiła. Ewentualność mieszkania pod jednym dachem z Joeyem przeraziła Sarah. Na samą myśl o jego głośniejszej muzyce i dziwnym zachowaniu cierpła jej skóra. Michael był, jaki był, lecz przynajmniej

zachowywał się jak mężczyzna. Nie mizdrzył się jak Joey i nie zamęczał otoczenia egzaltowanymi „och, ach” i piskliwym głosem.

Zastanawiała się, czy nie porozmawiać o tym z Royem. Ale on miał ostatnio tyle spraw na głowie, że każdego dnia ledwie dożywał wieczoru. Nawet bez zamartwiania się o tę dwójkę która mogłaby każdego doprowadzić do obłędu.

- Nie mogę uwierzyć, że ona chce mi to zrobić.

Sarah uznała, że wnuczka przesadza z tym rozczulaniem się nad sobą, i choć Maura ją samą niekiedy doprowadzała do szału, tym razem była po jej stronie. To, co zrobiła Carla, było niewybaczalne. I tak wywinęła się z tego tanim kosztem.

- Cóż, mogłaś się domyślić, że nie będzie zachwycona, niemożliwe, żebyś się nie zastanawiała, jak Maura zareaguje, jeśli się o tym dowie.

- To on... to on za mną łąził, babciu.

Carla naprawdę teraz w to wierzyła. Zawsze przeinaczała fakty, kiedy jej to pasowało.

- Daj spokój, dziecko. Na własne oczy widziałam, jakie numery odstawialiście w tym domu. Maura powinna dawno wyniuchać, co się święci, nawet z zawiązanymi oczami. Masz szczęście, że tak długo wykrecałaś się sianem. On zresztą też.

- Więc jesteś po jej stronie?

Sarah z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- W takich sprawach jak ta nie ma stron. Nie powinnaś robić jej tego. Kropka.

- Ja też mam prawo do szczęścia.

- Tak, ale nie wolno szukać szczęścia czyimś kosztem. Maura była dla ciebie dobra, cokolwiek teraz o niej myślisz.

- Ciągle tylko słyszę, jaka ona jest dobra - burknęła Carla. - I jakie to dla mnie szczęście, że ją mam. I ile mi okazuje dobroci.

Westchnęła ciężko. Znowu omal się nie rozplakała.

- Ale co ze mną, babciu, co ze mną?

Sarah zaczęła tracić resztki cierpliwości.

- Co z tobą? Dostawałaś wszystko, czego dusza zapragnie, i jeszcze nie jesteś szczęśliwa. Prawda, matki nie miałaś najlepszej, ale trzeba oddać Maurze sprawiedliwość, że opiekowała się tobą jak matka, choć jest starsza od ciebie zaledwie o kilka lat. Całe życie traktowała cię jak księżniczkę. Pomagała ci przy dziecku, dawała, co tylko chciałaś. Czy ani trochę nie wstydzisz się tego, że za jej plecami uciełaś sobie romans z Tommym?

Carla spojrzała babce w oczy i odpowiedziała:

- Nie, nie wstydzę się, bo on wołał mnie, nie ją. Gdyby nie całe obecne zamieszanie, nadal by ze mną był.

Sarah zastanawiała się, co się stało z tą stojącą przed nią piękną kobietą. Jak mogła robić, co jej się żywnie podoba, brać wszystko, na co tylko ma ochotę, i myśleć, że nigdy w żaden sposób za to nie zapłaci?

- Potraktowała mnie, jakbym była wcieleniem zła, a tymczasem sama jest taka. To jej się wszyscy boją, nie mnie. To ona nie mogła pogodzić się z tym, że Tommy wołał mnie, nie ją. To ona wyrzuca mnie i moje dziecko na bruk.

Sarah już dość wysłuchiwała. Odgrywanie przez wnuczkę niewiniątka z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami zaczęło jej grać na nerwach. Wybuchła.

- Zamknij się, do cholery, i zrozum, że jesteś zakłamaną dziwką, która zasłużyła sobie na karę i powinna być wdzięczna za to, że jeszcze chodzi po tym świecie. Nie komu innemu tylko Maurze Ryan podłożyłaś świnię. Chyba ci rozum odjęło, skoro myślałaś, że coś takiego ujdzie ci na sucho? Ona wzbudza strach u najtwardszych facetów, a ty liczyłaś na to, że tobie się upiecze?

- Święte słowa, babciu, a ty zapamiętaj je sobie, Carla.

Benny odezwał się cicho, ale obydwie aż podskoczyły.

- Jesteś moim bratem, a śpiewasz w jednym chórze ze wszystkimi. Ona i tylko ona się liczy. Jedyna osoba godna zainteresowania.

Benny uśmiechnął się.

- Może dlatego, że ona jest interesującą osobą i dużo w życiu osiągnęła. Gdybyś chciała coś ze sobą zrobić i nie żyła na cudzy koszt, też zasłużyłabyś na trochę szacunku. Bo widzisz, Carla, jesteś już trochę przeterminowana, a rozumujesz i gadasz jak niedowarzona nastolatka. Obudź się, do cholery, kobieto. Gdybyś mnie coś takiego zrobiła, zanimbym to przetrwał wiałabyś się już w mękach, więc możesz uważać, że masz szczęście. Kubek zimnej wody na głowę to nic, ja polałbym cię butelką kwasu, dziewczyno... siostra czy nie siostra.

Carla rozszlochała się na dobre na ramieniu babki. Piekły ją podkrążone z braku snu oczy.

A Benny, wstawiając wodę na herbatę, dalej znęcał się nad nią.

- Popatrz na siebie, Carla. Nazywasz się Ryan? Uważasz się za porządną kobietę? Tymczasem kompletnie ci odbiło i dałaś się wykorzystać człowiekowi, który teraz ukrywa się, żeby ująć z życiem. Ale znajdziemy go, a wtedy gwarantuję ci, będzie wrzeszczał i błagał o litość. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Nie zazna litości, osobiście tego dopilnuję. A teraz przestań ryczeć, bo działasz mi „a nerwy.

Sarah westchnęła. Ileż to razy w ciągu minionych lat słyszała podobne słowa? Zabijanie, okaleczanie, przemoc... nie schodziły z ust jej własnym dzieciom. Kiedyś w jednej chwili wymazywała takie rzeczy z pamięci. Choć potrafiła zaakceptować to u swoich synów, nigdy u córki. A jednak to dzięki niej trzymali się razem. Maura nawet Carlę wzięła pod swoje opiekuńcze skrzydła. Sarah wciąż pamiętała ten dzień, kiedy pojechali do domu Roya i znaleźli pijaną Janine. Mała Carla miała ogromnego siniaka na przedramieniu i wyglądała jak cygańskie dziecko - brudna i zaniedbana. W całym domu panował nieład. Sarah zabrała Carlę do siebie i odtąd opiekowała się nią Maura. I patrzcie, jak dziewczyna się jej odpłaca. Maura była dla niej więcej niż matką. Była siostrą, matką i najlepszą przyjaciółką w jednej osobie. A Carla nawet nie chce przyznać, że wrednie wobec niej postąpiła. Chyba podobnie jak Benny, jest straconym przypadkiem i nikt na to nic nie może poradzić, doszła do wniosku Sarah.



Garry, Lee i Maura zaśmiewali się z Vica. Kiedy wraz z bandą swoich żołnierzy wtargnął do małego domku ciotki w Chigwell, dowiedział się, że matka wyszła i dobrze się bawi, grając w bingo. Gdy wreszcie pojawiła się cała i zdrowa, besztła go przy wszystkich. Maura potrzebowała czegoś dla poprawy nastroju i Gal jej to właśnie zafundował.

- Pojawiliśmy się tam tuż po nich, ale nie dało rady zapolować. Stary Vic jest dobry, muszę mu to przyznać. Zgubiliśmy go. Wiemy tylko, że jednym z jego ludzi jest Mickey Ball - opowiadał Lee.

- Też nowina, zawsze byli kumplami.

W głosie Gala wyczuwalne było napięcie. Przyjaźnił się kiedyś z Vikiem i przykro mu było, że stali się wrogami. Z jednej strony bardzo chciał mu ukrócić łeb, z drugiej - rozumiał jego żal po Sandrze. Zwłaszcza teraz, gdy sam miał Leonie. Jeśli cokolwiek by jej się stało, też straciłby rozum. Była jak jego bratnia dusza, zgadzali się we wszystkim, a w każdym razie Leonie zgadzała się z nim we wszystkim.

- Co się dzieje z Rifkindem?

Maura, choć się tego spodziewała, jeszcze czuła się bezbronna i zażenowana. Wszyscy wiedzieli o jej porażce i najtrudniej było znosić ich współczucie. Nienawidziła być obiektem litości.

Od konieczności odpowiadania na to pytanie wybawił ją Garry.

- Zostaw go mnie, Lee. Ja go rozpracuję. Najpierw musimy wytropić Vica, ale z pomocą jego brata to nie powinno być trudne. Kiedy będziemy mieli Vica, będziemy mieli także Tommy'ego. A tak na marginesie, sukinsyn nie pokazuje się ani w okolicy swojego domu w Liverpoolu, ani w żadnym ze swoich ulubionych miejsc. Ale gdzieś się pojawi. Brak

mu pomysłu, żeby nie poślizgnąć się wcześniej czy później. Wyzaczyłem niezłą sumkę za jego głowę, więc wkrótce da się złapać na czyjś haczyk.

Lee skinął głową.

- A co się stanie z Carla? - zapytał po chwili.

Musiał już o wszystkim wiedzieć i martwił się o nią.

- Nic się z nią nie stanie, Lee. Co ty próbujesz insynuować?

Głos Maury był ostry jak brzytwa, co nie tylko potwierdzili że słusznie się martwił o Carlę. On sam pomyślałby dwa razy zanimby próbował wykiwać Maurę. Nie chciałby być w skórze Carli nawet za milion dolarów. Padło jej na głowę, skoro myślała, że się z tego wywinie, a jeśli chodzi o Toma... i tak zawsze myślał, że Rifkind jest dupkiem.

- Słyszałem, że wyrzuciłaś ją z jej domu...

- Z mojego domu, Lee. Wyrzuciłam ją z mojego domu. Ja jestem właścicielką.

Westchnął.

- Nieważne, ona jest przerażona, Maws.

- I dobrze. To dwulicowa dziwka.

W głosie Gala wyczuwało się wrogość, która nawet Maurę zdziwiła.

- To nieodrodna córeczka swojej mamuśki. Janine była taka sama. Nienawidziła rodziny i naszych interesów, co jej nie przeszkadzało żyć z tego zafajdanego procederu. Wypisz, wymaluj, nasza własna mamuśka, jeśli o to chodzi. Pierdolić Carlę, niech wraca do Sarah, niech sama się o siebie zatroszczy. Może trochę doceni rodzinę.

- Mówi, że Tommy za nią łąził.

- Och, zamknij się, Lee, kretynie. Nieważne, kto za kim łąził, nie jesteśmy w przedszkolu. Zrobiła to. Gdyby gliny proponowały jej góry złota, myślicie, że nie wzięłyby? Nie wsypałyby nas, gdyby jej się to opłacało? Jest po prostu zdradliwą dziwką i nie mam zamiaru dawać jej więcej zasiłków. Ani jej, ani temu pedziowi. Zostawcie ich obydwójce mamie.

Lee zwiesił głowę, uznając rację Gala, ale dodał:

- Mama też jest wstrząśnięta. Myśli, że Carla ma nie po kolei w głowie, i w ogóle. Ale chodzi też o to, że i nam nie będzie łatwo. Wpadamy sobie do staruszki, a tam jest Carla...

Garry wzruszył ramionami, jakby nie widział w tym problemu - bo i nie widział.

- Po prostu traktujcie ją jak powietrze. Ja tak właśnie zamierzam robić.

Lee kiwnął głową, jak zawsze potulnie przyjmując wskazówki brata. W Maurze obudziło się nagle autentyczne współczucie dla bratanicy, ale słowa, które mogłyby zapewnić Carli bez troskę, utknęły jej w gardle.

- Benny wygarnął jej dzisiaj prawdę w oczy - powiedziała tylko.

Garry zaśmiał się.

- Niech lepiej uważa, żeby jemu ktoś nie wygarnął.

Przytyk Gala pod adresem Bena wcale go nie rozbawił. Nie potrafił śmiać się z siebie.

- Jak się ma Roy? - zapytał Garry.

Maura wzruszyła ramionami.

- Nie rozmawiałam z nim dzisiaj.

- Ale porozmawiasz, prawda?

- Jest przygnębiony?

Garry popatrzył na nią.

- A ty byś nie była na jego miejscu? Ty i Carla jesteście dla niego najważniejsze.

- Będzie musiał to przeboleć.

Garry uśmiechnął się,

- Oto Maura, jaką znam i kocham.

Lee obserwował brata i siostrę, uświadamiając sobie nie po raz pierwszy, jak bardzo podobny jest ich sposób myślenia i nastawienie do życia. Jego żona miała rację: oni nie byli normalni, ani trochę. Ale nie wyobrażał sobie życia poza tą rodziną. Bez nich, a zwłaszcza bez Maury, prawdopodobnie pracowałby gdzieś od dziewiątej do piątej i umierał z nudów.

Życie polega na dokonywaniu wyborów, a oni dokonali wyboru wiele lat temu. Za późno już było na zmiany.

Nawet gdyby ich zapragnęli.

◆◆◆

Billy Mills był szczęśliwy. Miał kilka dolarów w kieszeni, konia pewniaka i ładną dziewczynę u boku. To jedna z jego stałych dziewczyn, a nie żadna hostessa czy tancerka erotyczna. Umawiała się z nim, bo naprawdę lubiła jego towarzystwo.

Zabierał ją tym razem na wyścigi konne w Brighton, miał biegać koń jego przyjaciela. Billy lubił Brighton. To był tor na każdą pogodę z sympatyczną restauracją, w której serwowano dobre, suto posiłki. Janette była ślicznotką, a dzisiaj przeszła samą siebie. W kostiumie z czarnej skóry będzie przyciągała wzrok facetów. Miała dużą pupę i nie maskowała jej jak inne kobiety z podobną figurą. Przeciwnie, szczyciła się nią - A Billy lubił duże pupy i przy każdej okazji ją podszcypywał.

Pomógł jej wsiąść do nowego jaguara, obmacując ją przy tym. Kiedy się wyprostował, serce zamarło mu w piersi. Obok samochodu stał Jack Stern z dwoma muskularnymi goryłami i szczyrzył do niego zębami.

- Kiepsko wyglądasz, Jack.

- I czuję się kiepsko, a poza tym jestem o dobre parę funciaków lżejszy dzięki Ryanom.

- Pewnie chcesz, żebym zaaranżował spotkanie. Dobrze myślę?

- Dobrze. Właśnie to zawsze w tobie lubiłem, Billy. Nie tracisz czasu.

- Spadaj, Jack. Dziś mam wolny dzień.

- Już nie, Billy.

- Jaja sobie robisz czy jak? Jadę na wyścigi.

Jack westchnął ciężko i rozejrzał się wokół. Stali przy pustej drodze.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię porwał. Nie chce mi się, a to naprawdę nie może czekać.

- Z pewnością może poczekać dwadzieścia cztery godziny.

Janette wystawiła głowę przez okno.

- Jedziemy, psiakręć, czy nie?

Jack zachichotał.

- Skąd ją wytrzasnąłeś? Robiła za sukę na wyścigach chartów w Walthamstow?

Billy również się roześmiał. Jack potrafił być zabawny, miał duże poczucie humoru.

- Nie. Spotkałem ją w Henlow. Niby to też wyścigi psów ale znalazłem ją wśród widzów.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Trafiła ci się okazja. Ja też miałem w swoim życiu kilka dobrych suk.

Obaj zarechotali.

Po chwili Jack odezwał się już poważnie:

- To spotkanie musi się odbyć jak najszybciej, Billy. Wynagrodzę ci to, przecież wiesz. Ale to superważne. Znosi się na kłopoty i potrzebuję zaprzyjaźnionego posłańca. Nie masz wyboru, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Billy westchnął i pogodził się z losem. Fakt, że Jack pojawił się osobiście, mówił sam za siebie. Zerknął jeszcze na patrzącą spode łba Janette, wyciągnął z kieszeni dwie setki i rzucił jej na kolana przez otwarte okno samochodu.

- Przepraszam, Janette, wiesz, jak to jest.

- Pieprz się!

Wzruszył najpierw ramionami, ale potem roześmiał się do niej.

- Wolałbym pieprzenie z tobą, kochanie, ale inne obowiązki wzywają.

Jack i jego żołnierze ryknęli śmiechem. To było przyjazne spotkanie, mogli sobie pozwolić na wielkoduszność. Dziesięć minut później Janette stała samotnie na ulicy z dwustoma funtami i żądzą mordy na ślicznej buzi.



Danielle Hicks odpoczywała na swojej wysłużonej kanapie z dłońmi splecionymi na wielkim brzuchu. Najstarszy dzieciak, Petey, otworzył Maurze, która zatrzymała się niezdecydowana w progu, zawieszając wzrok na Danny. Dziewczyna wygląda jak własna karykatura i to jest zasługą Jamiego, pomyślała Maura.

Danielle spojrzała na nią smutno.

- Spodziewałam się tego. Gliny kręciły się tu bez przerwy.

Maura skinęła głową.

- Wiem.

Danielle zmusiła się do uśmiechu.

- Domyślałam się, że się pojawisz, jak wszystko ucichnie. A tak przy okazji, dostałam te pięćset funtów. Powiedziałam glinom, że to zrzutka od sąsiadów. Przelknęli ten bajer. Przetrzęsęli dom, diabli wiedzą, czego szukali. - Uniosła się na kanapie i krzyknęła:

- Petey, zrób herbatę!

Maura usłyszała, że chłopak nastawia czajnik.

- Ja mogę to zrobić.

Danielle potrząsnęła głową.

- Siadaj. Powiedz mi tyle, ile muszę wiedzieć, i poprzestańmy na tym.

Maura usiadła w fotelu, który stracił sprężyny wiele lat temu, jeszcze zanim stał się własnością Danielle. Rozejrzała się po pokoju, ogarniając wzrokiem wyblakłe zasłony, wytarty dywan, tapetę odłazącą od wilgotnych ścian, pudło zabawek wepchnięte do kąta, piętrzący się na podłodze stos rzeczy do prania. Niemal czuła zapach bezsensu życia spędzonego na rodzeniu zbyt wielu dzieci, jednego po drugim.

Danielle obserwowała Maurę.

- Śmietnisko, nie? Jamie odwalił tyle numerów i gówna z tego mamy. To zabawne, ale odkąd go nie ma, powodzi mi się jak nigdy.

Zaśmiała się.

- Gliny uważają, że mogę dostać odszkodowanie. Przyszli tu całą gromadą, w kombinezonach i ochraniaczach na butach. Zapytałam: „Po co wam taki strój? Tutaj nie jest aż tak brudno”.

Zachichotała z własnego dowcipu.

- Zabrali coś?

Przytaknęła.

- Tak, ale dla nich to bez wartości. Bo pierwsza rzecz, jaką zrobiłam na wiadomość o jego śmierci, to oczyściłam dom ze wszystkiego, co mogłoby obciążać Jamiego albo kogokolwiek innego, jeśli o to ci chodzi. Wszystko jest u mojej kumpeli. Ona nie wie, co to jest, i nie chce wiedzieć. Oddam ci wszystko kiedy tylko będziesz chciała, OK?

Maura kiwnęła głową.

- A co dalej?

- Wydam to dziecko na świat, a potem pochowam tego dupka. Jest jeszcze w lodówce, a oni nie podają mi daty wydania zwłok. Ale widziałam wyniki sekcji. Wiem, że miał sklezione oczy. Uważają, że właśnie to było przyczyną śmierci. Ze strachu dostał ataku serca.

Zaśmiała się cicho.

- Kto by przypuszczał, że on może dostać zawału serca. Nie sądziłam, że w ogóle miał serce, przecież wiadomo, jak traktował mnie i dzieci.

Jej głos był pełen gorzkości.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze w tym wszystkim? Teraz, kiedy on nie żyje? Przynajmniej wiem, że nie jest z żadną babą, i jestem zadowolona.

Maura pogratulowała sobie, że nigdy nie pozwoliła dać się komukolwiek zawłaszczyć w taki sposób, w jaki Danielle poddała się władzy Jamiego. Wprawdzie Tommy ją zranił, ale da sobie z tym radę. Najbardziej ucierpiała jej duma. Danielle straciła swoją wiele lat temu.

- Czy wiesz, Maura, że chodziłam po domach różnych dziewczuch, szukając go? Mimo że gdyby chciał być ze mną, toby tu był. Wychodził, mówiąc „odpieprz się”, wydzierał się na mnie i kłął. Ale kiedy za parę dni wracał z przeproszącym uśmiechem i wdzięczny się do mnie, brałam jego fiuta i wycierałam gębę, zadowolona, że mam go z powrotem.

Maura wzięła dwa kubki herbaty od chłopca, który wydał jej się nienaturalnie cichy, i postawiła je na stoliku do kawy.

- Teraz go nie ma i co mi zostało? Siedmioro dzieci, to wszystko. Nie mam dla nich prawdziwego domu ani porządnych mebli. Ten samolubny dupka nawet nie był ubezpieczony.

- To nieważne, bo jesteśmy ci winni rekompensatę. Był głupcem i zapłacił za to, ale dopilnuję, żeby wszystkie twoje potrzeby były zaspokojone, nie martw się. W Woodford Greek jest bliźniak do wzięcia. Dobry rejon, szkoła blisko, a dom łowiony i umeblowany, z dużym ogrodem i oranżerią. Jedno słowo i jest twój. Chyba nie myślałaś, że zostawię cię bez zabezpieczenia?

Danielle potrząsnęła głową.

- Zostałam bez niego i tyś to sprawiła. Ty go zabiłaś, a w każdym razie twoja rodzina.

Maurę zaskoczyła zawziętość w jej głosie. Choć rozumiała gorycz osamotnionej, skrzywdzonej i przerażonej Danielle - zirytowała się. Wychyliła się ze swojego fotela i powiedziała cicho, żeby dzieci nie mogły jej usłyszeć:

- Posłuchaj, Danny, Jamie miał rozeznanie w sytuacji, jak my wszyscy. Przypomnę ci znane przysłowie: „Nie kładź głowy pod topór”. I jest jeszcze jedno, nawet bardziej adekwatne: „Nie kłóć ręki, która cię karmi”.

To była zawołana groźba. Danielle miała sobie przypomnieć, z kim ma do czynienia. Maura ze swoim perfekcyjnym makijażem i perfekcyjną fryzurą, w eleganckich ciuchach i butach, Maura, z którą można było się pośmiać i dostać od niej kilka funtów, nagle stała się Maura Ryan, która musi strzec rodziny, bo ta kobieta w zaawansowanej ciąży może ich wszystkich wyspać. W tym momencie Danielle zdała sobie sprawę z tego, że Jamie wciągnął ich w bagno głębsze, niż przypuszczała.

Dopóki grasz zgodnie z zasadami narzuconymi przez Maurę Ryan, będzie się tobą opiekować, ale jeśli zagroźysz jej lub rodzinie, pilnuj się.

- Nie odgrywaj przede mną biednej starej zrzędy, Danny. Dostaniesz swoje odszkodowanie, a mnie Jamie nie spędzi z powiek ani sekundy snu. Szczerze mówiąc, wszyscy uważają, że jestem głupia, oferując ci jakiegokolwiek odszkodowanie. On nas wyrolował, kotku, wyrolował nas koncertowo. Skorzystaj więc z mojej rady i zapamiętaj sobie to drugie przysłowie.

Danielle była zdenerwowana i Maurze przez chwilę zrobiło się jej żal, ale musiała grać twardo, bo tylko w ten sposób mogła sobie zagwarantować, że dziewczyna będzie trzymała buzię na kłódkę. Koniec końców to było najważniejsze.

Znowu gadano o Bennym i jego popisowym numerze sklepania oczu. Narastała w niej chęć zamordowania łobuza za ściągnięcie im na głowy nowych kłopotów, ale to się już stało i jedyne, co można było zrobić, to zminimalizować szkody. Jeżeli w tym celu trzeba zastraszyć tę biedną dziewczynę, musi tak być.

Przecież Danielle orientowała się, w czym rzecz. Odbiło jej teraz i musiała dać jej nauczkę, żeby nie latała z jęzorem i nie ujawniała prawdy o śmierci męża. Maura pocieszała się, że lepiej będzie dla Danielle, jeśli tej lekcji nie będzie udzielał jej Garry czy, uchwaj Boże, Benny, tylko ona sama.

Grała więc swoją niewdzięczną rolę i choć straciła przyjaciółkę, a zyskała wroga, będzie mogła spać spokojnie, zniechęciwszy Danielle do komentowania śmierci męża.

- Wypij herbatę, kochanie, to pokażę ci zdjęcia domu. Ma cztery sypialnie, miałybyś więcej miejsca dla dzieci. Decyzja należy do ciebie.

Danielle cała się trzęsła i Maura znowu poczuła wyrzuty sumienia. Ujęła dłoń dziewczyny i powiedziała ciepło:

- Robię dla ciebie, co mogę, więcej niż inni zrobiliby na moim miejscu.

Danielle niepewnie oswobodziła dłoń z uścisku, choć miała ochotę ją wyrwać. Przykleiła uśmiech do twarzy.

- Wiem i naprawdę to doceniam. Jestem tylko trochę zdenerwowana, to wszystko.

Maura dostrzegła jednak w oczach Danielle nienawiść i strach tak wyraźnie, jakby dziewczyna głośno o tym mówiła.

Kilka chwil później wyszła i wsiadła do wozu, ale nie ruszyła. Obserwowała otoczenie. Młodziutkie mamy odbierały dzieci z przedszkola, z samochodów i mieszkań dochodziła głośna muzyka. Tu i tam biegały dzieci z umorusanymi buziami i choć jeszcze w pieluchach, już miały w oczach chytryść i mądrość ulicy. W powietrzu wisiał zapach moczu, zużyte strzykawki zaśmiecały zdeptaną trawę, przed domami stały zardzewiałe samochody. Skrajna nędza wprawiała w osłupienie. Maura zastanawiała się, jak nowy rząd, tyle mówiący o moralności i edukacji seksualnej, mógł pozwolić na to, by ludzie żyli w takich warunkach.

Jej matka powiedziała wiele lat temu, że slumsy to ludzie, nie domy. Nie miała racji. To był pierwszy i końcowy przystanek dla większości tych, którzy nic innego nie znali. A jednak mimo okropności tego miejsca Danielle wolałaby do końca życia pozostać tu z mężem, tym uganiającym się za spódniczkami dupkiem i kłamcą, niż mieszkać w komfortowym domku i nie martwić się więcej o przyszłość dzieci, lecz żyć bez tego faceta przy boku.

Chwilę później Maura odjechała, ale było jej ciężko na sercu. Nawet zdrada Carli nie zraniła jej tak bardzo jak nienawiść w oczach Danielle. Wreszcie ujrzała siebie taką, jaką widzieli ją inni, i nie podobał się jej ten wizerunek ani trochę.

Wzdychając, zastanawiała się, jak to wszystko się skończy. Czy Vic ją zabije? Zadała sobie to pytanie po raz pierwszy i ku swemu zdziwieniu uświadomiła sobie, że mało ją to obchodzi. Nie dbała już o nic poza chłopcami, rodziną. A Bóg świadkiem, że takie życie było nie do pozazdroszczenia.



Carol przeglądała szafy, wybierając stare ubrania. Miała je dostarczyć swojej mamie pracującej dwa razy w tygodniu w sklepie z używaną odzieżą, którego dochód przeznaczony był na cele charytatywne. Nuciała pod nosem, otwierając kolejne pudełka z butami i torbami,

przymierzając ubrania, żeby sprawdzić, czy pasują jeszcze na jej zaokrąglającą się figurę. Cięża odmieniła jej spojrzenie na życie, była szczęśliwa. Tego Benny potrzebował, właśnie dziecka, żeby wydorosnąć. Nawet jego przerażające zmiany nastroju zdarzały się rzadziej, odkąd dowiedział się o ciąży.

Czuła się szczęśliwą i spełnioną kobietą, i w takim stanie ducha przeglądała swoje rzeczy, decydując, co sobie zostawi a czego nie potrzebuje. W tym momencie to drugie było istotniejsze.

Słyszała odkurzającą na dole sprzątaczkę Debbie. Chwilę później dziewczyna przyniosła jej herbatę i kilka ciasteczek. Trochę poplotkowały, a potem Carol wróciła do szaf. Wszystko ją cieszyło. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Wreszcie miała pieniądze i pozycję.

Po uporaniu się ze swoją garderobą postanowiła wziąć się za ubrania Bena. Chętnie wysyłał rzeczy jej mamie do sklepu i zawsze dawał pieniądze żebrakom przychodzącym pod drzwi, więc nie miała skrpułów, przystępując do przeglądania jego szafy. Zamierzała odłożyć na kupę niepotrzebne jej zdaniem rzeczy, żeby Benny mógł je przejrzeć i schować z powrotem te, które chciałby jeszcze sobie zostawić.

Dzień był gorący i klimatyzacja ułatwiała jej pracę przy wyciąganiu szuflad i przeszukiwaniu półek. Wzięła krzesło od toaletki, weszła na nie i otworzyła górne szafki. Zaczęła wyciągać pudła, najpierw swoje, potem Bena.

Postawiła wszystkie pudła na podłodze i poszła zrobić sobie kolejną herbatę. I drugą dla Debbie, która jeszcze była w domu. Pogadały i pośmiały się chwilę, po czym Carol z filiżanką w ręku wróciła do sypialni. Otwierała pudła jedno po drugim i nagle poczuła dziwny zapach. Pociągając nosem, zlokalizowała go w szafie Bena, na głębokiej górnej półce nad wieszakami.

Wydawało jej się, że dochodzi z kremowego pudła na kapelusze wciśniętego na sam tył. Jeszcze raz weszła na krzesło, wspięła się na palce i przyciągnęła pudło do siebie. Było cięższe od innych i to ją zaintrygowało. Jakiś głos podpowiadał jej, żeby je zostawiła, ale górę wzięła ciekawość, poza tym obawiała się, że do pudła dostało się coś żywego i zdechło. Może mieli w domu myszy. Postawiła pudło na podłodze i klękła przed nim. Było szczelnie zaklejone taśmą i Carol zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście chce wiedzieć, co jest w środku. Teraz zapach był intensywniejszy.

Zaczęła odrywać taśmę i wstrzymując oddech, zdjęła wieko. Szklanymi, zamglonymi oczami patrzyła na nią ludzka głowa, wykrzywiając usta w nienaturalnym grymasie. Była w zaawansowanym stadium rozkładu.

Krzyk przerażenia i obrzydzenia ściągnął sprzątaczkę, czego Carol miała żałować do końca życia. Wrzask Debbie dołączył do jej krzyków i sąsiedzi wezwali policję. Dwadzieścia minut zajęło im dotarcie na miejsce, ale minął cały dzień, zanim opuścili dom.

Benny nie odwiedził Carol w szpitalu ani nie dowiadywał się, czy jest ryzyko poronienia, i to powiedziało jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć.

Rozdział 17

- Co takiego?

Garry osłupiał. Jego mina rozśmieszyła Maurę. To był nerwowy śmiech, bo jednocześnie chciało jej się krzyczeć i wyc, od czego z trudem się powstrzymywała. Rzecz była tak odrażająca, że aż trudno było uwierzyć, iż zdarzyła się naprawdę. A zdarzyła się, nie było wątpliwości, choć Maura bardzo chciałaby, żeby to nie była prawda.

- Głowa, odcięta głowa, którą przechowywał w szafie! Boże! Nie pytaj mnie, w jakim celu, Garry, bo nie mam zielonego pojęcia i nawet nie chcę wiedzieć, po co ją tam trzymał.

Jej brat był zupełnie oszołomiony.

- On jest kompletnie szurnięty.

Maura zaśmiała się szyderczo:

- Co ty powiesz? Nigdy sama bym na to nie wpadła.

- Jak się teraz przedstawia sytuacja?

- No więc Benny jest jeszcze na wolności, ale wrzaski biednej Carol ściągnęły sprzątaczkę i sąsiadów, którzy wezwali gliny. Pewnie niedługo go dopadną

Garry podumał chwilę, po czym z całą powagą zapytał:

- Czy nie możemy powiedzieć, że ktoś tę głowę tam podłożył?

- A niby kto ją mógł podłożyć? Pieprzony Alan Titchmarsh?

Roześmiał się.

- No dobrze, ale czyja to głowa?

Maura wzruszyła ramionami.

- Aż boję się pomyśleć. Znasz Bena, może być czyjokolwiek. Garry śmiał się dalej.

- Nie chce mi się wierzyć, że prowadzimy taką rozmowę.

Maura pokręciła głową.

- To w ogóle nie jest śmieszne, Garry, ani trochę.

- Zależy czyja to głowa, nie uważasz? - Roześmiał się, ale tym razem speszyła go mina Maury. - Gdzie on się podziewa?

- Na razie jest bezpieczny.

- Czy to była głowa Rifkinda? Jak myślisz, Maws? Może chciał ci ją podarować na gwiazdkę albo z innej okazji? Wiesz, jaki z niego psychol.

Maurę mimo woli rozśmieszyła niedorzeczność tego, co powiedział, choć w przypadku Bena niczego nie można było wykluczyć.

- Rozkład był już daleko posunięty, więc nie, to nie mógł być Tommy. Nie on, niestety.

Garry pokręcił głową.

- Ten chłopak nadaje się do czubków. Jako ciężki przypadek. Czy matka już wie o tym?

Maura wzruszyła ramionami.

- Była wzmianka w wieczornych wiadomościach telewizyjnych, więc przypuszczam, że podejrzewa coś złego. Ale nie odzywała się do mnie.

Podjadę do niej i zobaczę, co z nią, dobrze?

- Lee prawdopodobnie już tam jest. Jadę z tobą.

Gdy wsiadali do samochodu, Garry znowu wybuchnął śmiechem. Przed posesją stało dwóch policjantów po cywilnemu, do których wykrzyknął wesoło:

- Mój bratanek nadał całkiem nowe znaczenie powiedzeniu „stracić głowę”, nie?

Zarechotał z własnego dowcipu.

- Daj spokój, Garry, na miłość boską! - syknęła zdenerwowana Maura.

Sprawa była tak absurda, że trudno było ją traktować poważnie, ale gliny będą musiały się nią zająć. Ci dwaj policjanci byli przerażeni. Wystarczyło na nich popatrzeć.

- Daj im spokój, Garry, oni ledwie wyrosli z pieluch. Usadowiła się w samochodzie i dodała: - Gliny najwyraźniej myślą, że jest seryjnym zabójcą, chyba coś takiego mówili w wiadomościach. Gromadzi trofea, powiedział psychiatra. Możesz polegać na ITV, że ze wszystkiego zrobią sensację. W domu Benny'ego gliny przewracają wszystko do góry nogami, można tylko mieć nadzieję, że nie ma tam nic więcej, co by jego albo nas obciążało. A jeśli znajdą cały skład głów?

Garry wzruszył ramionami.

- Tak czy siak to już nie ma znaczenia. Zostawmy sprawę policji.

- Pozwolić im działać, Gal?

Na jej zdziwienie odpowiedział chytrym uśmiechem. - Powiem krótko, Maws: nic teraz nie zrobimy. Dowiem się, kto prowadzi sprawę, i przeniosę ją, gdzie trzeba. Skądinąd pobyt w mamrze dobrze by naszemu chłopcu zrobił. Może, kurwa, wyciągnąłby z tego jakąś lekcję. Czy mam dopuścić do osadzenia go w areszcie?

Maura westchnęła w rozterce. Gal rozumował logicznie, pomysł był wart zastanowienia.

- Jeszcze zobaczymy, dobrze?

Garry uruchomił samochód i pomachał ręką „cywilom”. Jeden nerwowo odwzajemnił ten gest. Podczas jazdy Maurze przyszło do głowy, że jest jednak i dobra strona tego wszystkiego, mianowicie to, że ich wrogowie uświadomią sobie teraz, z kim mają do czynienia. Za wszelką cenę należało spotkać się z Vikiem. Bez tego nie wydobędą się z tego całego gówna. Wszystko ciągle wymykało jej się z rąk i była tym zmęczona.

- Niech posiedzi w areszcie, Gal. Masz rację, to dobrze zrobi temu gówniarzowi, brat uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

- Dostanie w kość, Maura. Ciekawe, jak mu się spodobają brodate panienki.

- Skoro mowa o panienkach, powinnam jeszcze odwiedzić Carol.

Garry ziewnął, nagle znudzony.

- To raczej twoja sprawa, nie moja. Nie chcę oglądać tej głupiej cipy. To wszystko jej wina. Ciekawska. Jak każda baba musi wsadzać nos w nie swoje sprawy.

- Bądź fair, Garry, przecież nie mogła wiedzieć, co znajdzie.

- Nie w tym rzecz. Wskazała palcem na nas wszystkich, może nie? Wyobrażasz sobie, jakie śmierdzące będą konsekwencje? Mam nadzieję, że następnym razem Ben jej utnie głowę.

Dalszą drogę do Notting Hill odbywali w milczeniu. Maura rozmyślała. Za żadne skarby świata nie chciałyby znajdować się teraz na miejscu Carol. Nie miała wątpliwości, że Benny także widzi w niej głównego winowajcę. Jak bracia zawsze zwał winę na kogo innego. Typowe dla Ryanów. Nie mogła powstrzymać natrętnych myśli o tej głowie. Dlaczego trzymał ją tak długo? Czy ją wyjmował i oglądał? Na samą myśl o tym zrobiło się jej niedobrze, ale wiedziała, że to do niego podobne. Już niczym nie mógłby jej zaskoczyć.

◆◆◆

Sarah i Carla siedziały w kuchni przy herbacie. Z trudem przychodziło im uwierzyć w to, co tym razem zrobił Benny. Lee przysiadł na schodach i odebrał telefon, który dzwonił i dzwonił. Wszyscy troje byli na wpół otepiali.

Wszedł Roy i skierował się wprost do kuchni, ignorując Lee który uśmiechnął się do niego na powitanie.

- Jak się masz, mamó. Czy Maura już jest? - zapytał.

Ostrzegął córkę, było oczywiste, że boi się awantury z ciotką.

Sarah pokręciła tylko głową.

- Pomieszało mu się w głowie, dobrze mówię?

Roy przytaknął.

- Na to wygląda, mamó. Rozmawiałem z nim... jemu to się wydaje bardzo zabawne.

Sarah cmoknęła z dezaprobatą.

- Co z Carol? Jak zniosła taki straszny szok?

- Jest w szpitalu. Zawieźli ją do Basildon na oddział położniczy. Nie brzmi to za dobrze. - Przeciągnął dłonią po twarzy w geście bezsilnego gniewu. - Mógłbym go zamordować. Janine stale mu powtarzała, że ma źle w głowie. Nie powinna tego robić. Była popieprzoną wariatką, i tyle.

Sarah zdumiałały jego słowa. Wydawało się, że po śmierci żony Roy wyniósł ją na piedestał. Teraz znowu chciał w niej widzieć przyczynę wszystkich nieszczęść.

- Synu, uspokój się. Idź po brandy do salonu. Wszystkim nam dobrze zrobi.

Spojrzał na matkę z niedowierzaniem w oczach.

- Brandy, mamó, brandy, psiakrew? Nawet garść tabletek ekstazy w herbacie nie poprawiłaby nam nastroju. Gliny opadną nas jak zgraja psów. Już warują pod moją chałupą i tutaj też są, o tam.

Machnął ręką w kierunku drzwi wejściowych. Sarah westchnęła.

- To nic nowego, Roy, obserwowali ten dom przez lata. Swego czasu miałam zwyczaj częstować ich herbatą.

- Nie sądzę, żeby podanie herbatki ugłaskało tych, za oknami, mamó. Co za palant z tego Benny'ego!

Sarah z nagłym ożywieniem powiedziała:

- Przez tego drania muszę znosić wstyd i upokorzenie! Jak spojrzę w oczy sąsiadom? A co gorsza, jak pokażę się w kościele.

Roy zbył ją.

- Masz na to swój sposób, mamó: potrząsniesz dobrze kiesą. Kto jak nie ty może im wykupić drogę do nieba?

Nigdy dotąd nie mówił do matki w ten sposób i wyraz jej twarzy świadczył o tym, że poczuła się dotknięta.

Lee warknął spod drzwi:

- Przyhamuj, Roy, dość tej gadki. Nie widzisz, że matka ma powody do zmartwienia?

- Zmartwienia? Dla ciebie to są zmartwienia? - ironizował Roy.

- Przesadnie reagujesz - stwierdził Lee. - Do rana wszystko się ułoży. Zostaw mamę w spokoju, jest zdenerwowana.

Roy odwrócił się w stronę brata, podszedł do niego i ryknął mu w twarz:

- Ona jest zdenerwowana?! A co powiesz o mnie? To mój syn! Wyhodowałem szaleńca. Boże, zachowujecie się, jakby to, co zrobił, było normalne. Jest niebezpiecznym świrem i wszyscy to wiemy, ale pasuje nam ktoś taki w rodzinie, może nie? Budzi postrach, pracuje dla nas, przydaje się. Ryanowie! Wszyscy popieprzeni i obłąkani. W porządku, ale dla mnie to za wiele. Głowa w pudle na kapelusze w jego szafie? W tym samym pokoju kocha się z dziewczyną, która ma w brzuchu jego dziecko. Cały czas wie, że ta głowa tkwi w tym cholernym pudle, rozkładając się i zasmradzając pomieszczenie... i mówi się, że ja przesadnie reaguję. Kpicie sobie, do kurwy nędzy, czy co?

Carla zaczęła płakać.

- Przestań, tato, przerażasz mnie.

Roy ledwie rzucił na nią okiem.

- Powiem ci coś, mamó. Powinnaś skończyć na Michaelu i Geoffreyu. Ale ty, jak pieprzona kotka, rodziłaś naszemu staremu kolejnych pomysleńców, a teraz my wydajemy na świat własnych. Ponosisz odpowiedzialność za jakieś pięćdziesiąt procent ciężkich przestępstw w Londynie, lecz jesteś za głupia, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Ludzie, którzy dla nas pracują, prostytutki, dealerzy... to też twoja niezamierzona produkcja. Więc tym razem daj hojną ofiarę, kochana. Drogo cię będzie kosztować spokój sumienia i miejsce w niebie.

Sarah zbladła. Bardzo zaboląły ją te słowa z ust własnego syna. Na widok jej zgębnionej twarzy Lee bez zastanowienia rzucił się na Roya i zdzielił go w szczękę. Roy zwałił się na podłogę jak worek kartofli. Gdy Garry i Maura wchodzili do domu, usłyszeli przeraźliwy wrzask Carli.

Garry spojrzał na siostrę i zażartował:

- Czyżby jeszcze jedna głowa?

Maura westchnęła i mimowiednie się uśmiechnęła.

- Kurczę, mam nadzieję, że nie, Gal.

Widząc pandemonium w kuchni, zorientowała się w sytuacji. Objąwszy matkę ramieniem, wyprowadziła ją stamtąd. Zdecydowała, że to dobry moment na próbę prawdziwego pojednania między nimi.

- Spakuję trochę twoich rzeczy, mamó. Zabiorę cię do siebie na kilka dni, co ty na to?

Sarah skinęła tylko głową, niezdolna wydobyć z siebie głosu po tym, co usłyszała od Roya. Maura przytuliła ją mocno.

- Wiem, co czujesz, mamó. Gnębi mnie to tak samo. To wyraźny sygnał alarmowy, nie sądzisz?

Sarah przytaknęła.

Po raz pierwszy od lat była naprawdę zadowolona z obecności córki. A Maura po raz pierwszy od lat była zadowolona, że jest przy matce.

◆◆◆

Abul i Benny byli nawaleni i rechotali jak wariaci.

- W garażu jest jeszcze jedna głowa.

- Żartujesz, Ben!

Abul był zszokowany albo udawał.

- Co ty... wiesz, jak to mówią, co dwie głowy, to nie jedna.

Hindus znowu zaczął się pokładać ze śmiechu.

- Przestań, Benny. Brzuch mnie boli.

- Tylko mi tu nie umieraj ze śmiechu, stary. Już i tak mam dosyć kłopotów.

Zrywając boki, z trudem skręcali kolejnego jointa.

- Więc nie wiesz, kto to był?

Benny teatralnym gestem podrapał się w głowę.

- Ni cholery.

Abul wiedział, że Benny łże.

- Jesteś chory na umyśle.

Benny spowaźniał.

- Nie będę polemizował z tą diagnozą. To samo powiedzieli mi specjaliści, a kimże ja jestem, żeby podawać w wątpliwość opinie medycznych autorytetów?

- Czy mam przynieść kanapki z samochodu?

Benny pokręcił przecząco głową.

- Nie, wyjdziemy i zjemy w knajpie, OK?

Abul nie był zachwycony.

- To nie jest dobry pomysł.

Benny wyszczerzył zęby.

- Wiem. Ale jak pojedziemy drogą na Ilford, możemy zjeść w knajpie twojego wuja.

Marzy mi się curry z ryżem.

Widział, że Abul nie aprobeuje tego pomysłu, ale się nie przejmował.

- Skręcę nam podwójnego, to pociągniemy w samochodzie. Mam towar na silnego kopa.

- Rodzina nie będzie zachwycona.

Benny wzruszył ramionami.

- Znalaziono u mnie w szafie głowę, skądinąd niczego sobie, więc myślę, że wypad na szybką kolację plasuje się bardzo nisko na skali wykroczeń, nie uważasz?

- Ty tu rządzisz.

Benny sapnął z zadowoleniem.

- Jeśli Carol, ta wścibska głupia cipa, straci moje dziecko, przemielę ją na miazgę, nie żartuję. Gdyby nie wtykała nosa...

Robił się wściekły i Abul wiedział, że z powodu naćpania znowu mu odbija.

- Opanuj się, Benny, ona nie zrobiła tego rozmyśla. Założę się, że była w szoku. Przeraziła się.

Benn zarechotał.

- Na pewno nie aż w takim szoku jak ten dupek, kiedy mu ucinałem głowę. - Zeskoczył z kanapy. - No, ruszajmy umieram z głodu.

Abul wyszedł za nim. Wychodzenie z ukrycia było szaleństwem, nawet jak na standardy Bena. Ale skoro wymarzył sobie curry, będzie je miał. Zawsze musiał mieć, co chciał i stąd wynikała połowa jego kłopotów.

◆◆◆

Billy Mills siedział właśnie u Jacka. Po odebraniu telefonu Jack włączył *Sky News*. Prezenter relacjonował domysły na temat roli, jaką Ryanowie odgrywali w londyńskim świecie przestępczym, od kontrolowania ulicznej sprzedaży lodów i hot dogów po prowadzenie licznych klubów, pubów i innych przedsięwzięć.

Głowa w szafie przyciągnęła uwagę publiki. Nie było akurat innych sensacyjnych wydarzeń, tak że z punktu widzenia dziennikarzy nie mogło się to zdarzyć w lepszym czasie. Trafiła im się nie lada gratka.

Oglądając telewizję razem ze swoimi ochroniarzami, Jack czuł rozpełzający po całym ciele lęk. Billy potrząsał głową z pełną niedowierzania miną.

- Najgorsze z tego wszystkiego, Jack, jak znam Bena Ryana, jest to, że on ani chybi obciął facetowi głowę bez powodu. Za to, że zajechał mu drogę czy coś takiego. Założę się, że za nic poważnego. Benny to kawał drania, każdy to wie, ale jest dobrym kumplem. Znamy się od wieków. Pamiętam, jak kilka lat temu, a był jeszcze smarkaczem, pokieroszował w Silvertown starego wygę tylko dlatego, że wydawało mu się, iż facet źle się o nim wyraził.

Billy mówił to wszystko w określonym celu, on zawsze miał dobre kontakty z Bennym. Miało to być ostrzeżenie dla Jacka, że nie chciał go przekazywać w zbyt oczywistej formie.

- Im szybciej ktoś go sprzątnie, tym lepiej.

Billy wzruszył ramionami.

- Trzeba by najpierw unieszkodliwić Abula, dopiero potem samego Bena... nie mówiąc już o reszcie Ryanów, którzy strzegą jeden drugiego, a mają jastrzębie oczy. Terminowi „dobrze funkcjonująca rodzina” nadali specyficzne znaczenie. - Uśmiechnął się, siląc się na swobodę, i dodał: - Ale jeśli nalesz na spotkanie, oczywiście zaaranżuję je dla ciebie.

- Czy mógłbyś się wreszcie zamknąć?

Głos Jacka brzmiał markotnie i Billy już wiedział, że trafił w czułe miejsce.

- Słuchaj no, straciłem cały dzień wyścigów i dwa murowane pewniaki, konia i laskę... i mam siedzieć tu i oglądać pieprzone newsy? O co chodzi?

- Chcę odzyskać swoją własność, okradli mnie - odparł Jack. - To był rozbój w biały dzień.

Nie mógł przeboleć utraty kokainy.

- Trzysta kilogramów, kurwa, tyle te piździelce ukradły. Przelicz sobie, ile to było warte przy cenie prawie trzydzieści tysięcy za paczkę.

Użalenie się Jacka na niesprawiedliwość, i to przed nim, było absurdalne i komiczne, ale Billy wiedział, że jego wesołość nie spotkałaby się z uznaniem.

- To kupa szmalu. Jaka będzie moja działka, jeśli dojdzie do zwrotu? Pięć procent?

Jack zdławił irytację. Nietrudno było się domyślić, że Billy zażąda pieniędzy, ale nie powinien pozwalać sobie na zbyt wiele.

- Dwa i pół to dobry udział, Billy, więc nie próbuj być zbyt zachłanny. I tak nadużyłeś mojej cierpliwości.

Wycelował palec w jego twarz. Billy wiedział, kiedy naciskać a kiedy zrobić krok do tyłu. Kiwnął głową.

- Przystaję na tyle, Jack. Ale nie mogę ci niczego gwarantować.

Jack pociągnął głośno nosem.

Dobili targu, jednak Billy wiedział, że ten cały interes nie ma żadnych perspektyw. Znając Ryanów, domyślał się, że wystąpią z ofertą wykupu koki przez Jacka, a wtedy negocjacje zaczną się na nowo. Przejęli kokę, żeby udowodnić swoją siłę ni mniej, ni więcej. Jack jest palantem, skoro nie potrafi ich rozszyfrować.

Ale nigdy nie był bystrzakiem, jakkolwiek miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Za to Billy miał dobry nos do interesów. Pośredniczył w ryzykownych pertraktacjach i zawsze udawało mu się ująć z nich z życiem, bez względu na to, z kim je prowadził. Ogólnie rzecz biorąc, był zadowolony z roli pośrednika Jacka Sterna. Sprawy jakoś się potoczą, on swoje i tak ugra.

- Czy mogę dostać jeszcze jedną brandy, Jack? Będą po przerwie snuć domysły, do kogo należała głowa.

Celowo nie dawał Jackowi o tym zapomnieć. Jego staruszek pouczał go wiele lat temu: „Rób użytek z tego, co ci wpadnie w ręce. Dobrze wykorzystaj każdą nadarzącą się okazję. Nigdy nie obiecuj niczego, czego nie możesz dać, i zawsze załatwiał interesy z uśmiechem i przyjaznym słowem”. Te rady ojca zawsze mu się przydawały w jego robocie.



Carol była nadal pod wpływem środków uspokajających, gdy Maura pojawiła się u niej w opłacanej prywatnie pojedyncze szpitala Basildon. Ścisnęło jej się serce. Trudno było nie współczuć dziewczynie, która straciła dziecko, i to w takich przerażających okolicznościach. Carol wyglądała okropnie.

- Jak się czujesz, kochanie?

Wzruszyła ramionami, leciutko, bezradnie, robiąc na Maurze wrażenie jeszcze młodszej i bardziej bezbronnej.

- Czy Benny szaleje? Odgraża się?

W jej głosie był lęk, w oczach paniczne przerażenie.

- Oczywiście, że nie, kochanie. Zamartwia się o ciebie.

Kłamstwo przyszło Maurze łatwo. Carol i tak miała za wiele problemów.

- To była makabra, Maura, zobaczyć to... tę głowę...

Przeżywała tamtą sytuację na nowo. Maura ukreśliłaby w tym momencie kark bratankowi, gdyby stanął tu przed nią.

- Posłuchaj, Carol, to w ogóle nie powinno się zdarzyć. W żadnym wypadku nie było w tym twojej winy.

Carol niepewnie kiwnęła głową. Chwytała się każdej nadziei.

- To była głupota przeglądać jego ubrania. Powinnam trzymać się z dala od jego szafy. Ciągle mi powtarzał, że bym omijała jego osobiste rzeczy.

Twarz jej się ściągnęła.

- Tyle z tego kłopotów, on mnie chyba zabije, Maura. I straciłam moje dziecko... mój dzidzius. Na pewno Benny powie, że to też moja wina. Dlaczego mnie tu nie odwiedził, jak myślisz?

Jej głos przechodził w krzyk, ogarniała ją panika. Drżącą ręką ocierała łzy. Maura pogładziła ją czule po głowie i delikatnie ucałowała.

- Nic ci nie zrobi, Carol. Obiecuję, kochanie. Jednak policja będzie chciała z tobą pomówić o tym... o tym, co znalazłaś, rozumiesz? Myślę, że to ma jakiś związek z Bennym.

Dziewczyna popatrzyła na nią podejrzliwie, ale Maura brnęła dalej w kłamstwa, starając się nadać głosowi wiarygodne brzmienie.

- Uważamy, że ktoś ją podłożył, nie wierzymy, że ma to cokolwiek wspólnego z Bennym. Przestań się martwić, kochanie.

Carol potakiwała głową, jakby rozpaczliwie chciała wierzyć tym słowom.

- Tak, on by tego nie zrobił. Aż takim pomyleńcem nie jest, prawda? Jest czasem trochę niezrównoważony. Ma gwałtowny charakter, to wszystko.

Maura poklepała ją po ręku.

Wyglądała tak młodziutko z ciekącym nosem i przepononymi włosami przylepionymi do czoła. Była śmiertelnie blada i miała wielkie sińce pod oczami. Pochlipywała cichutko. W Maurze znowu wezbrała chęć rozprawienia się z Benem.

- Wszystko będzie w porządku, przyrzekam.

Ale Carol odwróciła się od niej i schowała głowę w poduszkę.

- On mnie za to zabije. Wiem, że to zrobi.

Maura przysiadła na łóżku i przytuliła zrozpaczoną dziewczynę.

- Nie robi. Cierpi tak jak ty z powodu dziecka, ale rozumie, dlaczego tak się stało, kochanie. Jestem pewna że rozumie.

Carol usiadła.

- Oj, ja go znam. Na pewno jest wściekły. A ja przecież nie mogłam się powstrzymać od krzyku. Kiedy to zobaczyłam, kiedy zobaczyłam tę głowę... To był szok, to było takie straszne...

Maura znowu przytuliła ją do siebie.

- Podrzuciono ją do jego pokoju, żeby rzucić na niego podejrzenia... - Brzmiało to nedorzecznie, ale konsekwentnie trzymała się tej wersji.

Dziewczyna odepchnęła ją.

- Obydwe wiemy, że tak nie było. Włożył ją tam ten zwariowany sukinsyn.

- Nie możesz tego wiedzieć, kochanie...

Carol rozplakała się na dobre i powiedziała szeptem:

- To była głowa Deana Marksa, mojego poprzedniego chłopaka.

Maura poczuła, że krew jej odpływa z twarzy.

- Czy już o tym komuś mówiłaś?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Dean pojechał do pracy w Hiszpanii. Wyjechał, bo Benny nie dawał mu spokoju. Znasz Bena, nie mógł znieść myśli, że mogłam być z kimś przed nim, nieważne z kim.

Przetarła znowu oczy, a Maura zauważyła, że jej zwykle wypielęgnowane paznokcie są obgryzione do żywego mięsa.

- Nie dawał Deanowi spokoju ani na moment. Nachodził go w domu, w pracy. Raz, kiedy spotkaliśmy go w klubie, zaciągnął mnie do niego i zaczął nas straszliwie wyzywać, Dean nie był typem zabijaki, przeraził się. Wiedział, kim jest Benny. Wyjechał do Hiszpanii, żeby przed nim uciec.

Znowu zaczynała wpadać w histerię. Maura trzymała ją w ramionach i próbowała uspokoić.

- Dean był sympatycznym, nieszkodliwym facetem. Był po prostu normalny, rozumiesz? Nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Ale kiedy właściwie Benny mógł go dorwać? - zdziwiła się Maura.

- Nie mam pojęcia. Jeżeli Dean pojawił się tu z powrotem, nic o tym nie wiedziałam. Ale Benny był jakiś czas temu w Hiszpanii, wynajętym jachtem, z jakimiś facetami z Amsterdamu, nie pamiętasz?

Maura kiwnęła głową i przyknęła oczy, przetrawiając te rewelacje.

- Właśnie wtedy musiał go dopaść. Potem trzymał to w szafie, a ja nie wiedziałam, że biedny Dean...

Carol znowu się rozplakała, z nadmiaru emocji dławilo ją w gardle.

Benny pojechał do Hiszpanii specjalnie po to, żeby zapolować na tego nieszczęśnika tylko dlatego, że był kiedyś chłopakiem jego aktualnej dziewczyny. Maura siedziała na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach i czuła, jak wzbiera w niej gniew - tak silny, że mogłaby eksplodować. Benny złamał kardynalną zasadę gangu. Zlikwidował cywila, i to wyłącznie z tego powodu, że facet chodził kiedyś z dziewczyną, w której on sam się rzekomo zakochał. Przez jego głupotę i nikczemność cała rodzina znalazła się pod ostrzałem mediów i londyńska policja będzie musiała ścigać ich wszystkich. Tylko tego Ryanom było potrzeba, gdy toczyli wojnę z innym gangiem w obronie własnego terytorium.

- Posłuchaj, Carol, nie wolno ci nigdy, ale to nigdy powiedzieć nikomu tego, co od ciebie usłyszałam. - To było żądanie. Maura próbowała zminimalizować szkody.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Jasne, że nie powiem. Aż taka głupia nie jestem.

- Nawet swojej mamie. Przyrzeknij mi to, Carol.

Przyrzekła, ale była smutna. Wyglądało na to, że wbrew wszystkiemu brakuje jej Benny'ego. Trudno zerwać z przyzwyczajeniem, pomyślała Maura.

- Ja wszystko załatwię, OK? Ty zadbaj o swoje zdrowie i pogodę ducha.

Carol wyglądała wprawdzie tak, jak gdyby pogoda ducha nie groziła jej już nigdy w życiu, ale o to Maura nie mogła się teraz martwić. Zamówiła jej prywatnego lekarza i pobyt w leżącej na uboczu prywatnej klinice. Bardzo pomocna okazała się policjantka dyżurująca za drzwiami, wobec której Maura zachowywała się z wielką uprzejmością, choć wewnątrz wszystko się w niej gotowało.

◆◆◆

Benny i Abul siedzieli w restauracji usytuowanej w bocznej uliczce odchodzącej od Ilford High Street. Byli nawaleni i zachowywali się hałaśliwie. Właściciel lokalu, wuj Abula, akurat wyszedł, a jego synowie nie bardzo wiedzieli, co mają zrobić ze swoim kuzynem i jego pijanym kumplem.

Abul usiłował wszelkimi sposobami uspokoić Bena, ale ten po dziewięciu głębszych, wielu skrętach i prochach nie dawał się spacyfikować. Gdy do restauracji wkroczyli Maura i Garry z czterema czarnoskórymi mięśniakami, Abul nie wiedział, czy ma czuć ulgę, czy się zmartwić.

Kiedy jednak Maura wyciągała z restauracji klnącego, wrzeszczącego i protestującego Bena, zaczął się o niego martwić. Zwłaszcza gdy zobaczył, że goryle wpychają przyjaciela na tył dużego białego transita. Maura odjechała za furgonetką swoim sportowym mercedesem.

Abul obserwował tę scenę, zastanawiając się, co będzie z przyjacielem. Benny posunął się za daleko i choć był na wariackich papierach, nie powinien zapominać, że z własną rodziną musi się liczyć.

Morderstwo uszło mu na razie na sucho, bo nazywał się Ryan. Ale wyglądało na to, że sami Ryanowie zaczynają mieć go dość.

Rozdział 18

Siedząc w pubie „Black George's” w Toxteth, Tommy Rifkind czuł się nieswojo. Umówił się tu z jednym z dawnych kumpli swojego syna i teraz, gdy na niego czekał, uświadomił sobie, że zapomniał już, jak wygląda ta część Liverpoolu. A przecież tutaj

dorastał i nawet po zrobieniu grubszej forsy lubił od czasu do czasu przyjeżdżać do Toxteth na dziewczynki, bo pozostało mu upodobanie do miejscowych ślicznotek. Matka Tommy'ego B też się tutaj urodziła i wychowała.

Patrząc na opłakany stan tego starego pubu przy Matthew Street, pomyślał, że jednak oderwał się od swoich korzeni. W szytym na miarę garniturze i z wysadzonym diamentami zegarkiem czuł się tu nie na miejscu. Widział, że ludzie wpatrują się w niego i bardzo dobrze się orientują, kim jest i jaki jest ważny.

Jonas Morphin, młody człowiek o niefortunnym nazwisku i z jeszcze bardziej niefortunnym uzależnieniem od heroiny, wszedł do pubu dwadzieścia minut spóźniony i jak zwykle wyglądał, jakby wyczołgał się właśnie z kontenera na śmieci w centrum Bejrutu. Niepewnym krokiem zmierzał w stronę Rifkinda, który przymknął oczy z odrazą. Jonas, już dobrze nabuzowany, uśmiechał się szeroko, pokazując poczerwiałe zęby i obłożony język.

- Tommy! Tommy Rifkind! Kopę lat!

Teraz wszyscy wpatrywali się w nich obu. Jonasowi zamarło serce, gdy napotkał wycelowane w niego spojrzenie Toma.

- Lepiej od razu zadzwoń po miejscowego glinę, bo może cię nie dosłyszeli, ty niewyparzona gębo!

Tommy powiedział to cicho, ale wszyscy w pubie usłyszeli, co mówił, i na wszelki wypadek odwrócili od nich wzrok. Wiedział, że został rozpoznany, gdy tylko wszedł do lokalu. Miał na sobie drogie rzeczy, nie ciuchy z byle jakim logo. Nie dresowe spodnie i rozciągnięty T-shirt, lecz garnitur od najlepszego krawca i zegarek wart dziesięć tysięcy. Kiedy Tommy B jeszcze żył, tu spotykali się na drinka. Teraz chciał wyjść stąd jak najszybciej, ale musiał jeszcze załatwić sprawę z tym odrażającym strzępem człowieka.

◆◆◆

W tyle furgonetki siedzieli Garry, Lee i Bing, brat Tony'ego Dooleya Juniora. Benny leżał na podłodze wozu, pierś przygniatała mu wielka stopa Binga. Furgonetka pędziła z zawrotną szybkością, a miny wujów i Binga nie wróżyły nic dobrego.

- Złaż ze mnie, Bing!

- Pieprz się, ani myślę.

Beznamiętny głos Binga oznaczał tylko tyle, że facet wykonuje polecenia. Benny odwrócił głowę, żeby odczytać coś z twarzy wujów, ale obaj patrzyli na niego znudzonym wzrokiem.

- Czy to jakiś kurewski żart?

Garry odpowiedział cicho:

- Zamknij mordę, Benny.

Benny wiedział, że to najmądrzejsze, co może w tej sytuacji zrobić. Próbował jednak dalej:

- Gdzie jedziemy?

- Dowiesz się - odparł Garry i zapalił papierosa. Dym podrażnił nozdrza Bena. Kombinacja dymu, wódki, skuna i prochów okazała się w tej ciasnej przestrzeni mieszanką wybuchową - curry i ryż natychmiast podeszły mu do gardła. Gdy wybluzgiwał je z siebie na podłogę, Bing parsknął śmiechem.

- Strach cię oblatuje, co, Benny?

Nieszczęśliwy wyraz twarzy Bena rozśmieszył także Gala i Lee.

◆◆◆

Podniósłszy wzrok, Tommy ujrzał Lizzie Braden. Ucieszył się, choć nie spodziewał się, że ją dziś wieczoru zobaczy.

- Cześć, chłopczyku.

Zawsze tak się do niego zwracała i tak samo mówiła do syna.

- Cześć, Lizzie. Fajnie wyglądasz, kochanie.

Oboje wiedzieli, że to z jego strony grzecznościowe kłamstewko.

- Ty tak, ale ja wyglądam jak śmieć.

Dała znak barmance.

- Co cię tu sprowadza?

Nie była ciekawa odpowiedzi, bo ją znała.

Młodziutka barmanka z zielonymi włosami i kolczykiem w nosie przyniosła jej duże bacardi z colą. Lizzie wypła drinka trzema haustami i natychmiast dała ręką sygnał, że chce więcej.

- Powinnaś przestać pić, Liz.

Zaśmiała się zgryźliwie.

- Psiakrew, nie udawaj, zawsze obchodziłam cię tyle co zeszłoroczny śnieg... i twój syn tak samo, jeśli o to chodzi.

Widział, że jest już dobrze wlana, więc zdusił złość.

- To niesprawiedliwe, Lizzie, sama wiesz.

Wypiła duszkiem kolejny drink. Jonas obserwował ich bacznie. Wyczuwał między nimi antagonizm i najchętniej znalazłby się u siebie, z podgrzaną łyżką heroiny i puszką tennants.

Lizzie znowu się zaśmiała. Jej zęby, niegdyś jeden z jej największych atutów, były żółte od nikotyny. Gdy Tommy patrzył na nią, ogarnęło go uczucie smutku. Była piękną dziewczyną w swoich najlepszych czasach, ale teraz wyglądała na znacznie więcej lat, niż miała. Tommy'ego B urodziła jako siedemnastolatka, więc miała zaledwie czterdzieści, lecz wydawała się dużo starsza. Żadnych szans u facetów - w przeciwieństwie do Maury Ryan czy nawet Giny, gdy była w jej wieku. Nie miał wątpliwości, że to on zniszczył jej życie; spędzała je w oczekiwaniu na jego powrót do niej, choć wiedziała równie dobrze jak on, że to się nigdy nie zdarzy.

Ale od czasu do czasu ją odnajdywał, znowu szeptał czule słówka, a po przespaniu się z nią znikał na całe miesiące lub nawet lata. Nie dawał o sobie zapomnieć i wiedział, że to jest złe. Jak bardzo złe, uprzytomnił sobie dopiero teraz. Mógł przecież zabrać stąd ją i Tommy'ego B, ale tego nie zrobił. Nie bardzo rozumiał, dlaczego pozwolił im gnić tutaj. Chłopak uwielbiał go, mimo że Tom nie traktował go jak własnego dziecka, choć nie było co do tego żadnych wątpliwości. Czy przeszkadzało mu, że Tommy był nieślubnym dzieckiem, czy też czuł się winny wobec Giny, która wiedziała o chłopcu - nie potrafił powiedzieć. Dobrze jednak wiedział, że tylko udawał miłość i troskę, a teraz, gdy Tommy B nie żył, miał wyrzuty sumienia. Fakt, że chłopak został zamordowany, doskwierał mu tym bardziej. Mimo wszystko to była jego krew.

- Nie ma nagrobka, Tommy. Nie ma gdzie napisać, że był naszym synem.

Mówiąc to przesywała go oskarżycielskim wzrokiem. Tommy spojrzał na Jonasa i westchnął.

- Nie teraz, Lizzie.

- A tak przy okazji, widziałam pomnik Giny. Jest piękny. „Kochająca żona i matka...”. Chwyciło mnie za serce, szczerze. Ale wszyscy wiedzą, że powinno być: „Gina Rifkind. Udawała głuchą i ślepą przez lata i wychowała snoba, który odziedziczy pieniądze ojca, chociaż go nienawidzi”.

Znowu dała znak barmance. Tommy dziwił się sam sobie, dlaczego, do cholery, wysłuchuje tego pieprzenia. Ale rozumiał, że Lizzie musi wyrzucić to z siebie i zgnoić go wreszcie. Poprawiała sobie samopoczucie, lecz mówiła samą prawdę.

Jego legalny syn nie kontaktował się z nim od śmierci matki, swoich wnuków, których uwielbiał, nie widział od dwóch lat.

- Zamknij się, Lizzie - syknął.

Chrząknęła głośno i pochyliła się do przodu na krześle.

- Czy ty w ogóle potrafisz sobie wyobrazić, jak ja się czuję? Czy rozumiesz, co przechodzę każdego dnia? Okaleczyli go, do cholery. Dopadli mojego cudownego chłopca i zaszlachtowali go.

Chwyciła szklanę z nowym drinkiem i zdrowo z niej pociągnęła, po czym mówiła dalej:

- Nie widziałeś go, Tommy. Nie mogłam cię zlokalizować. To oczywiście nie nowego, wiadomo. Potwierdzałam tożsamość naszego syna, rozpoznając nie jego, tylko fragmenty ciała. Każdego dnia mam przed oczami jego twarz. Każdej nocy, kiedy próbuję zasnąć, widzę mojego chłopca poćwiartowanego, na sekcyjnym stole. A wszystko przez ciebie, Tommy. Wykorzystałeś go do swoich celów i nie obeszło cię, co się z nim stało.

Wysączyła drinka do dna.

- Jesteś gnojem, ale trzeba było dopiero śmierci mojego chłopca, żebym to zrozumiała. Byłeś dla mnie wszystkim, Tommy. Ty i mój synek. Jedyne osoby, na których mi w życiu zależało.

Wyciągnął portfel, odliczył pięćdziesiąt banknotów i położył je na stole.

- Masz tu okrągły tysiączek, Lizzie, spraw mu płytę.

Przez kilka chwil wpatrywała się w pieniądze, a potem się roześmiała.

- Udław się tymi pieniędzmi, Tommy Rifkindzie, za późno na nie. Dwadzieścia lat po czasie. Nie chcę twoich pieniędzy, chcę usłyszeć od ciebie, że nie zmarnowałam życia, wychowując twojego syna. Chcę usłyszeć, że był dobrym dzieckiem. Że ktoś jeszcze poza mną go kochał. Tyle że on cię w ogóle nie obchodził. Niestety, wiedział o tym. Poszedł w twoje ślady, żeby zdobyć twoją miłość, bo kochałeś tylko tego drugiego. Chryste, jak on o tobie mówił... jakbyś był bogiem.

Czuła się skrzywdzona i była zrozpaczona - słyszał to w jej głosie.

- Kochałem go, Lizzie, wiesz, że tak było.

Wiedział jednak, jak niewiarygodnie brzmią jego słowa. Wytarła nos wnętrzem dłoni i wtedy dostrzegł na nadgarstku ślady po samobójczej próbie. Chwycił jej rękę, przekręcił i popatrzył na czerwone blizny.

- Jezu, Lizzie...

Zaśmiała się i przez moment dojrzał w niej dziewczynę, jaką niegdyś była. Dwadzieścia lat temu wyglądała wystrzałowo, mężczyźni uganiaли się za nią. Dla niej jednak nikt poza nim się nie liczył - wiedział o tym doskonale. Zamknął jej drogę do normalnego życia, bo nikt nie śmiałby jej nawet dotknąć - należała do Toma Rifkinda, była naznaczona. Nawet kiedy już się ostatecznie rozeszli, nadal żyła z przekleństwem jego nazwiska i z jego

dzieckiem. Nikt by się nie poważył wziąć sobie na głowę jego eks-dziewczyny z dzieckiem. Dlaczego ich stąd nie wyrwał, nie dając ani jej, ani chłopcu szansy na lepsze życie?

Musiał w końcu przyznać sam przed sobą, że jest egoistą. Nigdy nie było inaczej. Dlatego właśnie znalazł się teraz w takim położeniu. Coś mu podpowiadało, że tonie, a nie widział dla siebie deski ratunku. Odrzucił złe myśli. Wykaraska się z tarapatów. Zawsze umiał sobie radzić.

Lizzie uniosła rękę i na stoliku jak za dotknięciem różdżki pojawił się kolejny drink. Tym razem sączyła go powoli.

- Zabieraj swoje pieniądze, Tommy. Nie kupisz nimi spokoju sumienia, stary.

Wstała niepewnie i patrząc na Jonasa, spytała cicho:

- Masz moją działkę?

Jonas zerknął na Toma i szybko spuścił wzrok. Tommy przenosił spojrzenie z jednego na drugie, po czym spytał z niedowierzaniem:

- Działkę? Pytałaś o pieprzoną działkę?

Był wściekły. Jonas zamknął oczy i westchnął ciężko. Nie od dziś matka Tommy'ego B dawała mu do wiwatu, ale w tej chwili miał ochotę ją udusić. Po pogrzebie Tommy'ego dał jej jedną działkę, żeby się odprężyła. Od tamtej pory bez przerwy zawracała mu głowę. Towar był ekstra. Powinien wiedzieć czym się to skończy, bo sam brał od lat.

Lizzie patrzyła na Toma. Jej oczy powiedziały mu, że to nie alkoholem jest zamroczona, tylko herą. Jakaś potworność, pomyślał. Ogarnęło go obrzydzenie do niej i do siebie samego. Nie Lizzie, Lizzie jest silna - kołatało mu w głowie.

Włączyła się szafa grająca. Słuchał powracającego motywu *Holding Back the Years* w wykonaniu zespołu Simply Red a Lizzie uśmiechała się do niego, kołysząc się w takt muzyki. Rozejrzał się po sali. Straszni ludzie i wewnątrz. Miał ochotę uciekać stąd jak najdalej. Zniszczył dwa ludzkie życia, własnego syna i jego matki.

Nie zależało mu nigdy ani na niej, ani na nim. Nawet Gina musiała na niego długo czekać. Był obdarzany uczuciem przez całe życie, sam ani razu nie odwzajemnił miłości.

U Maury irytowało go, że wszystko kręciło się dla niej wokół rodziny. Musiał jednak przyznać, że w przeciwieństwie do niego była przyzwoitym człowiekiem. Strzegła braci, bez względu na to, jacy byli. Nawet Carlą, która zrobiła jej teraz świństwo, opiekowała się przez całe życie. Natomiast on krzywdził swoich bliskich, zwłaszcza Lizzie.

Uświadomił sobie, że nie jest takim człowiekiem, za jakiego się dotąd uważał. Niszczyl wszystkich wokół siebie i prawdopodobnie sam sobie zgotował zgubę. Wiele osób

padło ofiarą jego matactw, lecz ostatnio próbował wykołować niewłaściwych ludzi. Ryanowie znajdują go, był tego pewien.

Widział, jak Jonas daje Lizzie działkę. Wyszła z pubu, nie oglądając się za siebie. Żył dotąd ze świadomością, że Lizzie gdzieś tu jest. Była schronieniem w czasie burzy. Teraz ją traci na zawsze jak syna. Lizzie i Tommy B byli w niego wpatrzeni, przy nich się dowartościowywał. Tommy B kochał ojca bałwochwalczo, był wobec niego lojalny do końca.

Zamknął oczy i w wyobraźni zobaczył Lizzie taką, jaka była, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Rozczulił się na chwilę. Powinien wybiec za nią, potrzebowała jego pomocy. Ale pieniądze były ważniejsze, a Jonas zajmował się dla niego dealerką, przynoszącą niezły dochód. Zgarniając banknoty ze stolika, spojrzął na młodego ćpuna i zapytał:

- Jak wygląda sytuacja? Szykują się jakieś kłopoty?

Jonas odetchnął z ulgą. Tommy przyszedł tylko po odbiór swojego udziału, nie miał o nic pretensji. Zawsze trzymał dla niego pieniądze - wiedział, że wcześniej czy później Tommy się po nie zgłosi.

Rifkind zgrywał ważniaka, ale przestawał się liczyć w hierarchii, o czym Jonas nie zamierzał go informować. Z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami powiedział mu dokładnie to, co Tommy chciał usłyszeć.

◆◆◆

Benny znalazł się w tej samej piwnicy, w której rozstał się z życiem Jamie Hicks. Ironia losu, pomyślał. Popatrywał na wujów oraz na Binga Dooleya i jego braci. Na stopniach schodów w milczeniu stała ciotka. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

- O co tutaj, kurwa, chodzi?

Maura skinęła głową i wycofała się po schodach na górę. Gdy zniknęła z pola widzenia, Benny zobaczył, że czterej czarnoskórzy faceci wyciągają gumowe pałki. Popatrzył na Garry'ego wzrokiem pełnym niedowierzania.

- To jakiś żart! Wujku Lee... - Zwrócił błagalne spojrzenie na Lee, wiedząc, że ma najmniejsze serce, ale spotkał się z zimnym wzrokiem i brakiem zainteresowania.

- Powinieneś wcześniej pomyśleć o konsekwencjach, synu.

Był to głos jego ojca, schodzącego właśnie w dół po stopniach piwnicy. Garry podszedł do brata.

- Idź stąd. Nie musisz na to patrzeć.

Roy odsunął go szorstko.

- Chcę zobaczyć, jak ten mój zasraniec dostaje za swoje. Ale najpierw muszę wiedzieć, czyją głowę trzymał w tej cholernej szafie.

Roy wyglądał okropnie. Benny wiedział aż za dobrze że ta wymizerowana twarz z siecią zmarszczek jest jego zasługą.

- Czyja to była głowa, Ben?

Wzruszył ramionami, patrząc ojcu w oczy.

- Nie pamiętam.

Młodzi Dooleyowie nie podejrzewali, że jest aż takim świrusem. Bing ze śmiechem zapytał:

- Bawiłeś się w kolekcjonera?

Mężczyźni parsknęli śmiechem - z wyjątkiem Roya i Bena.

- Tak, to nie jest zabawne, prawda? Pytam cię jeszcze raz: kto to był?

Wciąż patrzył ojcu w twarz, ale w przyćmionym świetle piwnicy zerknął też w stronę wujów. Wreszcie, nabrawszy głęboko powietrza, powiedział nonszalancko:

- Nazywał się Dean. To dupek, który prowadził się kiedyś z moją Carol.

- Czy to możliwe, że mściłeś się na nim tylko dlatego, że dawniej chodził z twoją dziewczyną?

Lee był zszokowany.

Benny kiwnął głową. Dla niego był to wystarczający powód.

Roy wziął pałkę z rąk Binga. Benny błyskawicznie ustawił się masywnym ciałem w najdogodniejszej pozycji do odparcia ciosów. Ale źle ocenił siłę i determinację Roya, spotęgowane gniewem, rozpaczą i pogardą. Pierwszy cios trafił go w grzbiet nosa. Przyjął go z kamienną twarzą.

Roy walnął go znowu, tym razem mocniej.

Benny ani drgnął.

Bing i jego bracia byli pod wrażeniem. Po kolejnym ciosie Roy rzucił pałkę Bingowi i powiedział ze znużeniem:

- Zróbcie mi przysługę, chłopaki, zabijcie go. Do kurwy nędzy, ktoś powinien zabić tego wcielonego diabła.

Benny odprowadzał wzrokiem wychodzącego z piwnicy ojca, intuicyjnie wyczuwając, że to koniec między nimi, że ojciec się z nim rozstaje na dobre. I pogodził się z tym równie łatwo, jak z czekającą go jeszcze nauką. Benny nie przejmował się niczym. Taki już był.

Lee obserwował przebieg wydarzeń z mieszanymi uczuciami. W postawie Bena, w jego hardości, ujrzał jak w lustrzanym odbiciu swojego najstarszego syna Gabriela. W jakim świecie on i wszyscy żyli? Sheila miała rację: byli bandą psycholi.

Wyszedł z piwnicy i zobaczył, że Maura siedzi za kierownicą swojego auta, paląc papierosa. Pochylił się do okna pasażera. Roy ani drgnął, zapatrzony w przestrzeń.

- To, co się dzieje na dole, to jakiś obłąd - wymamrotał Lee.

- On jest draniem i wariatem. Mam nadzieję, że z nim skończą. Jeśli oni tego nie zrobią, zrobię to sam - powiedział twardo Roy.

Maura nie odezwała się. Przymknąwszy oczy, nadal paliła papierosa. Nie mogła zebrać myśli. Benny posunął się za daleko, wszyscy tak uważali. Nawet Garry powiedział, że Ben wypadł za burtę. Mimo własnego szaleństwa Gal przeczuwał najgorsze. Jak ona sama, Roy i Lee. Zastanawiała się, jak w takiej sytuacji postąpiłby Michael.

Potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ze względu na więzi rodzinne Michael chroniłby swojego bratanka. Więcej, Michael by go uwielbiał, widząc w Benie własny portret z młodości. Czytała gdzieś, że ludzie skłonni są doszukiwać się w innych swojego odbicia. A kochając siebie, trudno nie kochać kogoś, kto jest do nas podobny.

Nadal nie była pewna, jak postąpić z bratankiem. Roy już opowiedział, że sam pozbawi syna życia, jeśli nie będzie można inaczej zapobiec jego okrucieństwom, zwłaszcza wobec cywilów.

Nie miała wątpliwości, że policja w końcu odkryje, kim była ofiara. Rodzina chłopaka już zgłosiła jego zaginięcie. Było oczywiste, że Carol, na razie bezpiecznie ulokowana w prywatnej klinice, wcześniej czy później ujawni tajemnicę. Trudno byłoby oczekiwać, że zachowa milczenie, zwłaszcza że ich związek z Bennym należało uznać za skończony. Nawet wobec dziewczyny, która go kochała, pozwolił sobie na zbyt wiele. Życie Carol legło w gruzach, będzie musiała spróbować zbudować na nich nowe.

Maura postanowiła, że Bena należy trzymać z dala od niej. Istniało ryzyko, że zrobi jej krzywdę mszcząc się za utratę dziecka, którego pragnął. Z tych samych powodów równie dobrze może zechcieć mieć ją z powrotem. Maura nie była pewna, co byłoby gorsze dla tej biednej dziewczyny. Tak czy owak była zdecydowana ją chronić. Przynajmniej tyle mogła dla niej zrobić.

- Nie martwcie się, napędzą Benny'emu porządnego stracha. Zmądrzeje.

Lee i Roy pokiwali głowami. To pierwsze wiedzieli sami, w to drugie powątpiewali.

◆◆◆

Justin leżał na łóżku, miał zaklejone taśmą oczy i zakneblowane usta. Był na Majorce. Żałował teraz, że urządził sceny. Narobił w spodnie, a że do tego był związany, więc z punktu widzenia porywaczy sytuacja wymagała, żeby wreszcie się na coś zdecydowali. Jak dotychczas nie dostał nic do jedzenia i mdliło go z głodu. Od czasu do czasu wlewali mu

wodę do gardła, co przynosiło trochę ulgi. Nie przestawali go wypytywać i coraz trudniej było mu wykręcać się sianem. Wiedział jednak, że nie może wsypać Vica.

Kiedy wycelowali do niego z pistolem, omal nie dostał ataku serca. Zważywszy na stan jego nerwów i otyłość, zagrożenie życia było realne. Teraz smażyli jajka na bekonie i zapach sprawił, że ślina ciekła mu z ust. Nie wiedział, że robią to, aby go zmiękczyć.

Dziwił się, dlaczego wpłacenie okupu zajmuje Vicowi aż tyle czasu. Był przekonany, że porwano go dla pieniędzy. Miał absolutny zamęt w głowie i uznał, iż straszą go, żeby nie sprawiał kłopotu. Zastanawiał się, ile zażądali. Miał nadzieję, że nie za dużo. Vic nie był jego fanem, bo Justin potrafił mu nieraz dokuczyć. Teraz tego żałował. Głowił się też, co Vic mógł powiedzieć matce. Na pewno nie rozumiała, co się dzieje.

Zapach boczku doprowadzał go do szaleństwa; zawsze dziwił się jak żydzi wytrzymują ten zapach bez połakomienia się choć na jeden kęs. Jego ojciec był żydem, a matka katoliczką. Ojciec nie był człowiekiem religijnym, jednak wieprzowiny nie tykał. Gdy matka robiła śniadanie, jadł wszystko poza bekonem. Mimo że Justin często myślał o ojcu, miał nadzieję, że nie grozi mu szybkie spotkanie z nim. Ojciec zmarł wiele lat temu, a Justin chciał jeszcze trochę pożyć. Jeśli o niego chodzi, ojciec był w porządku, natomiast Vic i matka byli odmiennego zdania, bo stary lubił kieliszek i hazard. I co w tym złego? Justin nie miał pojęcia, że brat zaczął utrzymywać rodzinę już jako nastoletni chłopak. To porwanie trwa stanowczo za długo, pomyślał. Kiedy już będzie po wszystkim, opierdoli brata jak jeszcze nigdy w życiu.

Poczuł, że uwalniają go z pęt. Po chwili mrużył oczy w ostrym świetle popołudniowego słońca. Starszy z mężczyzn trzymał talerz z jajkami na bekonie i tostami. Przynieśli także dzbanek z herbatą.

- Dokucza ci głód, Justin?

Popatrzył na nich podejrzliwie, ale kiwnął głową.

- A jak myślicie?

Mężczyźni zaśmiali się całkiem przyjaźnie.

- Dostaniesz to wszystko, tylko odpowiedz na kilka pytań.

- Jakich pytań?

- Wiesz jakich. Chodzi o Vica i jego aktualne interesy w Anglii.

Justin był już przepytany na tę okoliczność ze trzy razy i coraz trudniej było mu odmawiać odpowiedzi.

- Czy wpłacił za mnie okup?

Mężczyzna postawił talerz na stoliku obok. Justin nie spuszczał wzroku z jedzenia.

- Posłał nas do diabła.

Justin nie uwierzył w to, ale głód szarpał mu wnętrzności więc postanowił mówić. W tym momencie miał gdzieś Vica. Powinien dojść do takiego wniosku dużo wcześniej.

Wziął głęboki oddech i przyjął pozę pełną godności. Jeśli w tej sytuacji było to w ogóle możliwe.

- Co chcecie wiedzieć?

◆◆◆

Danielle Hicks leżała na łóżku, pochłonięta oglądaniem fotografii nowego domu zaproponowanego jej przez Maurę. Obok niej na narzucie stało pudło z dokumentami, które tuż przed nalotem policji wyniosła kiedyś z domu.

Rozejrzała się po sypialni. To była nora, nikt nie musiał jej tego mówić. Jej matka widziała zdjęcia i zgromiła ją za zagładanie darowanemu koniowi w zęby, jak się wyraziła. Wypunktowała wszystkie korzyści dla dzieci i dla samej Danielle: nikt nie będzie wiedział, kim są, zamieszka w przyzwoitym otoczeniu, dzieci pójdą do przyzwoitych szkół.

Nie była wielbicielką Jamiego Hicksa, więc poczuła ulgę po jego śmierci i uważała, że Ryanom należy się najwyższe uznanie za wyeliminowanie faceta, którego obarczała odpowiedzialnością za zrujnowane życie swojej pięknej córki. Nieustannie wytykała jego wady: niewierność w małżeństwie, okropne traktowanie ludzi, arogancję. Lista przywar Jamiego potrafiła ciągnąć się w nieskończoność. Nienawidziła go zapamiętała - jak zresztą cała rodzina Danielle.

Ale nie znali go tak jak ona. Nie czuli przyspieszonego bicia serca na dźwięk jego głosu czy na widok jego uśmiechu.

Wiedziała, że matka miała rację co do Jamiego. Był draniem, hazardzistą i kłamcą. Musiała przyznać przed sobą samą, że traktował ją okropnie, porzucał na całe tygodnie ją i dzieci, a zdarzało się, że i na parę miesięcy.

Mimo to czuła, że przyjmując oferowany jej dom i odkodowanie pieniężne, zdradzi pamięć zmarłego męża.

Przejrzała zawartość pudła. Zamierzała przekazać to wszystko Laurze Ryan. Zawsze ją lubiła, zawsze, ale teraz w ogóle nie miała ochoty z nią rozmawiać ani jej oglądać.

Niestety, będzie musiała, nie tylko z powodu tych dokumentów, lecz także po to, żeby jej odpowiedzieć, czy przyjmie dom i odszkodowanie. Hojne dary. Vic Joliff nic jej nie zaproponował, o czym stale przypominała jej matka.

Westchnęła ciężko. Najstarszego syna, Peteya, nie było jeszcze w domu, więc z trudem wstała, krzywiąc się z wysiłku, bo brzuch jej ciążył, i wyjrzała przez okno sypialni.

Zobaczyła Peteya z papierosem w ustach - miała nadzieję, że to papieros, a nie joint - przechadzającego się po wąziutkim pasku trawnika przed ich blokiem. W pewnej chwili dostrzegła trzech chłopaków za jego plecami. Serce podskoczyło jej do gardła, ale okazało się, że tylko przeszli obok niego, pozdrawiając go wrzaskliwie. Odetchnęła.

Kilka minut później usłyszała, że wchodzi do domu i natychmiast - jak miał w zwyczaju - otwiera lodówkę, by wyciągnąć puszkę coli. Po schodach wszedł cicho i zza uchylonych drzwi pojawiła się najpierw jego głowa.

- Wszystko w porządku, mamciu?

- Tak, tak. A u ciebie?

Siedząc już na łóżku, rozpiął kurtkę i wyciągnął zwitek dwudziesto funtowych banknotów. Z namaszczeniem położył je na łóżku, uśmiechając się do niej.

- Skąd to masz?

Pytała szeptem z uwagi na młodsze dzieci.

On także odrzekł szeptem, nie przestając się uśmiechać:

- Obróciłem z towarem dla jednego faceta z drugiej strony osiedla. Nawet jak mnie złapią, nie wsadzą, bo jestem małym. - Był zachwycony sobą. - Kupisz jakieś rzeczy dla dziadziusia.

Przycisnęła rękę do ust, żeby powstrzymać krzyk cisnący się na usta. Przełknąwszy ślinę, powiedziała możliwie normalnym tonem:

- Źle zrobiłeś, Petey. Tego nie wolno robić.

Wzruszył ramionami.

- To łatwy zarobek, mam, i facet mówił, że mogę u niego pracować codziennie po szkole. - Sapnął radośnie. Powiedział, że jestem bystrzak.

To by się nie zdarzyło, gdyby żył Jamie, ale teraz, kiedy odszedł, to blokowisko wchłonie dzieci. Chyba że ona do tego nie dopuści. Wzięła pieniądze i pocałowała Peteya.

- Nigdy więcej, mały. To był pierwszy i ostatni raz, rozumiesz?

Nie odpowiedział. Wszedł z sypialni i za chwilę usłyszała, że myje zęby. Położyła się na łóżku, podjęła już decyzję. Z samego rana powie Maurze, iż zgadza się na jej propozycję.

Popatrzyła na fotografię męża i przeprosiła go w duchu, że pozwala się obdarowywać ludziom, którzy doprowadzili do jego śmierci. Była pewna, że zrozumiałby, dlaczego musi to zrobić.

Rozdział 19

Tommy czekał na kumpla w knajpie „Mosquito” na Victoria Street. Bywał tu częstym gościem. Kilka razy przyprowadził do tego lokalu Maurę. Zawsze schodzili na dół, do baru „Vampire”, którego wystrój - futony i kotary zapewniające prywatność - bardzo przypadły Maurze do gustu. On też lubił to miejsce. Jednak teraz, gdy siedział tu samotnie, wolałby być gdzie indziej. Był skrupowany, obserwowali go ludzie, ale był to jedyny nocny klub, w którym mógł się bezpiecznie spotkać z Jackiem Sternem. W grę wchodziło jedynie miejsce publiczne. Jack był na niego wkurzony z powodu utraty koki i kłopotów z Ryanami, więc Tommy wolał nie ryzykować.

Muzyka dudniła głośno i lokal szybko się zapełniał. Był to dość ekskluzywny klub i klientela miała pieniądze. Wiezorami przychodziły tu gwiazdy seriali telewizyjnych, piłkarze i inne osobistości Liverpoolu. Bywała tu również śmietanka liverpoolskiego świata przestępczego - wiele interesów ubito przy posiłku w restauracji bądź drinkach w kameralnym barze „Vampire”.

Obok przechodził Charlie Siega, najbarwniejsza postać miejscowego półświatka, więc Tommy się uśmiechnął i wyciągnął dłoń, by się przywitać. Ale Charlie spojrzał na niego chłodno i poszedł dalej. To wystarczyło Tomowi. Już wiedział, że Ryanowie puścili w obieg wieści także na jego terenie. Był niemal chory z nerwów i miał wielką ochotę wyjść. Nie mógł jednak, przynajmniej dopóki nie porozmawia z Jackiem.

Nagle zobaczył Jossa i odprężył się. Nie rozmawiał z nim od tamtej nocy, kiedy Joss, wygarnawszy mu, co o nim myśli pojechał do Maury zawrzeć z nią przymierze. Tomowi bardzo brakowało starego kumpla, więc kiedy ujrzał go teraz, gdy był w najgłębszym dołku, wydało mu się, że los znowu zacznie się do niego uśmiechać.

Joss powoli szedł w jego stronę.

Tommy pociągnął łyceczek, czekając, aż kumpel dojdzie do niego wzdłuż długiego baru. Ale Joss go minął i Tommy z niedowierzaniem zobaczył, że po zamówieniu drinka dołączył do Charliego i jego koleżków. Twarz Toma zapłonęła z upokorzenia. Nigdy w życiu nie doświadczył czegoś takiego. Chyba jednak powinien się tego spodziewać. Joss darzył Maurę Ryan wielką sympatią i szacunkiem, a przy tym, w przeciwieństwie do Toma, cechowała go lojalność.

Tommy nie chciał o niej myśleć, mimo że mu jej brakowało. Nie przywykł do przegrywania w męsko-damskich układach. Przyzwyczyił się, że zawsze to on gra pierwsze skrzypce.

Ukradkiem spojrzał na zegarek. Jack był prawie godzinę spóźniony, ale należało wziąć poprawkę na korki na M1. Tommy zamówił kolejnego drinka i sącył go, przyglądając

się ludziom zapelniającym lokal. Podziwiał biusty młodych kobiet, gdy nagle usłyszał znajomy głos.

- Jack nie przyjdzie, Tom. - Joss stał za nim przy barze, nie patrząc na niego. - Chodzą słuchy, że Ryanowie cię szukają. Jack spotyka się z nimi dziś wieczorem, próbuje naprawić stosunki. Nie pokazuj się w domu ani w żadnym z miejsc, w których zwykle bywasz.

Natychmiast odszedł, a Tommy, przyjmując do wiadomości to, co usłyszał, podniósł się kilka minut później i udając nonszalancję wyszedł z lokalu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak upokorzony. Ani taki samotny.

A więc Jack próbował pogodzić się z Ryanami? Tommy to rozumiał, w końcu mieli jego kokę. Ale gdzie, do diabła, on sam był w tym wszystkim? Przecież to on przygotował grunt, a teraz znalazł się za burtą. Sześć lat temu połączyli siły: Tommy działał w Liverpoolu, Vic na południowym wschodzie, a Jack miał w zamian za udziały finansować całą operację z pieniędzy zgromadzonych przez trzydzieści lat mordowania na zlecenie.

Po powrocie do Anglii Vic nie kontaktował się w ogóle z Tommym, co nie wróżyło nic dobrego. Chodziły słuchy, że nadal wini Ryanów za śmierć Sandry, ale Tommy nie dawał temu wiary. Wyglądało na to, że Vic potrafił spieprzyć dokładnie wszystko, do czego się zabierze.

Kiedy Tommy otwierał samochód, kątem oka dostrzegł nagle z boku błysk metalu. Tuż przy nim stał jakiś młody człowiek z długimi włosami i kozią bródką, trzymając nóż z długim ostrzem. Joss zaszedł chłopaka od tyłu i powalił go potężnym ciosem w głowę.

- Lepiej sływać, Tom. Ostatni raz mogłem ci pomóc. Jasne?

Odwrócił się szybko i odszedł.

- Joss... Joss, zaklinam cię...

Błaganie i uraza w głosie Toma Rifkinda nie wzruszyły Jossa, nie zatrzymał się. Tommy nawarzył sobie piwa i teraz musi je wypić. Joss nie miał zamiaru iść z nim na dno. Do nikogo nie żywił uczucia tak bliskiego miłości jak do Toma, ale nie mógł mu wybaczyć tego, co zrobił Maurze i rodzinie Ryanów. Po tylu latach spędzonych razem wreszcie odkrył w nim zdradliwego drania.

Tommy patrzył, jak Joss odchodzi, a potem spojrzał w dół, na nieprzytomnego chłopaka leżącego na ziemi, i kopnął go w głowę. Po chwili wsiadł do samochodu i ruszył.

Ale dokąd miał jechać? To było dobre pytanie.

◆◆◆

Gdy Maura wchodziła do domu, powitał ją zapach potrawy wołowej i świeżo ugotowanych warzyw. Przywołała na twarz uśmiech, zanim weszła do kuchni i pozdrowiła matkę.

- Ładnie pachnie - zauważyła.

Sarah miała na sobie fartuch nałożony na suknię z golfem, a na jej pomarszczonej twarzy widniał grymas niezadowolenia.

- Jak ty, u licha, możesz gotować na tej diabelskiej kuchence?

Maura zaśmiała się.

- Przyzwyczaisz się do niej, mamó.

- Usiądź, moja droga, zrobię ci dobrej herbaty.

Maura usiadła przy kuchennym stole i powiedziała od niechcenia:

- Dziś wieczorem przychodzi do mnie kilka osób na biznesowe spotkanie.

Sarah popatrzyła na nią gniewnie.

- Biznesowe spotkanie o tak późnej porze?

Maura kiwnęła głową.

- Czy ja wyglądam na durną babę, Mauro Ryan?

Uśmiechnęła się do matki.

- Zrobię wobec tego trochę kanapek - oświadczyła Sarah. - Chyba wystarczy?

Maurze coraz ciężiej było utrzymać uśmiech na twarzy.

- W porządku, mamó...

- Robiłam to zawsze dla Michaela, gdy pracował w domu. Mężczyźni mogą jeść o każdej porze dnia i nocy. Kiedy jedzą, robi się bardziej przyjazna atmosfera.

Maura wzięła z jej rąk herbatę i roześmiała się.

Matka podała jej miseczkę z potrawką i Maura zaczęła jeść ze smakiem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak bardzo była głodna. Po aferze z Bennym nie wierzyła, że jej żołądek będzie w stanie przyjąć jakiegokolwiek jedzenie.

- Co się z nim stało?

- Masz na myśli Bena, mamó?

Sarah kiwnęła głową. Nie mogła wypowiedzieć imienia wnuka, nie chciała o nim myśleć, ale musiała wiedzieć, co go czeka.

- Zgłosił się na policję pół godziny temu, z własnej woli i z adwokatem. Uważamy, że ktoś podłożył głowę w jego domu, żeby go obciążyć.

Brzmiało to absurdalnie nawet w jej własnych uszach, a skłonienie prokuratora do przyjęcia takiego oświadczenia kosztowało ich niezłą sumkę. Jednak warto było, wszyscy to

niechętnie przyznali. Lepiej, żeby Benny pozostawał pod ich czujnym okiem, a krótki pobyt w areszcie będzie dla niego nauką na przyszłość.

Sarah uczepliła się tego wyjaśnienia.

- Dzięki Bogu! Wiedziałałam, że nie jest do tego zdolny, jest draniem, ale tak daleko by się nie posunął.

Maura nie odpowiedziała. Delektowała się pysznym jedzeniem. Benny był pobity i sponiewierany i miała nadzieję, że wreszcie dotarło do niego coś bardzo ważnego. Że wszyscy Ryanowie mieli go już serdecznie dosyć.



Tommy Rifkind Junior mieszkał w ładnym domu w Chester. Ojciec kupił mu go wiele lat temu, jak tylko Tommy Junior się ożenił. Był to duży, solidny dom, teraz wart trzy razy tyle, ile Rifkind Senior za niego zapłacił. Porośnięty bluszczem front i wysokie wiktoriańskie okna nadawały mu szacowny wygląd. Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, a sprawiał wrażenie, jakby stał w tym miejscu co najmniej od stu. Tommy nie zwykł płacić za byle co.

Kiedy zatrzymał się na podjeździe, zorientował się, że syn, i synowa są w domu. Denerwował się, gdy szedł w stronę wejścia. Tommy Junior otworzył drzwi, zanim ojciec podszedł na tyle blisko, by nacisnąć dzwonek.

Pierworodny Toma był potężnym, przystojnym mężczyzną, nosił modne okulary i kaszmirowe swetry. Tommy był dumny z niego i jego akademickich osiągnięć, ale nie lubił go jako człowieka, uważał go za hipokrytę. Nie lubił też swojej synowej Angeli. Była snobką, która wyprowadziła się z komunalnego domu, a teraz udawała, że pochodzi z wyższych warstw klasy średniej. Gina była z nią w dobrych układach, bo Gina dobrze żyła ze wszystkimi, jednak Tommy ścierał się z Angelą od pierwszego dnia.

Nie mógł zrozumieć, co u diabła jego syn dostrzegł w tej płaskiej jak deska kobiecie z owłosioną górną wargą i afektowanym, nosowym głosem. Przyznawał, że ma ładne włosy i zęby, ale to za mało dla podtrzymania związku.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że nie każdy mężczyzna ocenia kobietę w skali jeden do dziesięciu i przedkłada cechy fizyczne nad osobowość i inteligencję. Jego syn żył w udanym małżeństwie z kobietą, która go kochała, mieli miłe dzieci i poważnie traktowali swoje rodzicielskie role. Chętnie podróżowali i zabierali ze sobą dzieci. Mieli duże grono znajomych, wydawali udane przyjęcia, darzono ich sympatią. Jego wnuki były szczęśliwe i dobrze wychowane, jednak Tommy Senior nadal nie mógł zrozumieć, co do cholery jego syn widzi w tej nadętej krowie, którą nazywał swoją żoną.

Żyli w innym świecie niż on, a Tommy, jak to on, nie mógł pojąć, jak mogli być w nim szczęśliwi.

Na twarzy stojącego w drzwiach Juniora malowała się wrogość. Tom zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Witaj, synu.

Słyszał drzenie własnego głosu i próbował się opanować. Tommy Junior długo mu się przyglądał, zanim lodowatym tonem zapytał:

- Co cię tu sprowadza?

- Chciałem zobaczyć dzieci.

- O tak późnej porze?

Popatrzył znacząco na zegarek.

Angela stała za mężem, Tommy widział obawę na jej twarzy.

- Moje dzieci nie siedzą po nocach, a my mamy gości. Więc wybaczone, ale...

Próbował zamknąć mu drzwi przed nosem i Tommy, nie mając dokąd pójść, wpadł w panikę. Wstawił stopę w szparę, żeby uniemożliwić zamknięcie drzwi. Czuł zapach jedzenia i słyszał szmer rozmów dochodzący z jadalni.

- Kto u was jest?

Tommy Junior westchnął ciężko. Byli do siebie tak podobni, że wyglądali, jakby byli sklonowani.

- Nikt, kogo byś znał. Do tego domu nie mają wstępu mordercy, złodzieje i oszuści.

Z rozpaczą spojrział synowi w oczy.

- Proszę cię, Tommy, nie rób mi tego, nie dzisiaj.

Syn patrzył na niego przez kilka sekund, po czym powiedział cicho:

- Zostaw nas w spokoju, dobrze? Zostaw mnie i moich bliskich w spokoju. Nie chcemy cię tutaj, rozumiesz?

- Jestem twoim ojcem...

Tommy Junior odsunął się od drzwi, pociągając za klamkę, by je zamknąć. Jego głos przeszedł w syk, kiedy mówił:

- Zrób mi przysługę, tato: wracaj do rynsztoka, z którego wypelzłeś, i nie przychodź tu nigdy więcej.

Wszedł z powrotem do domu, zatraskując ojcu drzwi przed nosem. Tommy stał pod domem jeszcze przez kilka minut. Rozpaczliwie potrzebował pomocy syna. Nie miał dokąd pójść. Wszyscy go poszukiwali, więc nie śmiał pojawić się w swoim domu ani w pobliżu miejsc, w których zwykle bywał. Zatrzymał się w hotelu tuż pod Liverpooliem, ale

wymeldował się, bo miał dziś jechać z Jackiem na spotkanie z Vikiem. Fakt, że spotkanie nie doszło do skutku, oznaczał, że tamci byli teraz jego wrogami, a wrogów miał już zbyt wielu.

Siedział w samochodzie i patrzył, jak syn zasuwa zasłony w salonie. Odjeżdżając spod domu, czuł łzy napływające do oczu. Połykał je, pełen żalu nad sobą i wstydu. Nigdy nie był ojcem dla syna, dla żadnego z synów. Ignorował jednego i wykorzystywał drugiego.

Teraz przyszło mu za to zapłacić. Gina zawsze mówiła że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Były to prorocze słowa.



W kuchni u Maury Leonie pomagała Sarah w robieniu kanapek, zabawiając ją opowieściami ze swego dzieciństwa. Pojawiając się ze swoją nową dziewczyną, Garry zaskoczył matkę i siostrę, ale powitały ją miło. Było to tak nietypowe dla niego, że Maura i Sarah popatrzyły na siebie, unosząc brwi ze zdumienia. Jednak Leonie szybko oczarowała je obydwie i Maura uznała, że jako dziewczyna Gala podoba jej się znacznie bardziej niż wtedy, kiedy spotkała ją w domu Jacka Sterna. Potem przypomniało jej się, że na dzisiejszym spotkaniu ma być Jack, i serce jej zamarło.

Garry natomiast uważał, że może się to okazać szalenie zabawne.

Sarah obiecała, że zatrzyma dziewczynę w kuchni, a Maura doszła do wniosku, że da się zapobiec katastrofie, bo sama Leonie będzie unikać swojego byłego.

Tony Dooley i jego synowie nadal byli w domu, więc Sarah postawiła przed nimi pełną wagę potrawki, podając do tego gorące bułeczki z piekarnika. Uwielbiała karmić ludzi, a ci potężni mężczyźni mieli potężne apetyty, więc była szczęśliwa, gdy opróżniali talerze i nie szczędzili jej szczerych komplementów.

Popatrzyła na Maurę ponad głową ślicznej Leonie i rzekła wesoło:

- Jak za dawnych czasów, co? Michael zawsze spraszał mnóstwo kumpli, a ja do woli wyżywałam się w kuchni.

Patrząc na matkę szczęśliwą z tego powodu, że jest użyteczna i potrzebna, Maura pomyślała, że jednak mimo wszystko ją kocha. Sarah uśmiechnęła się do Leonie.

- Miałam dziewięć dzieci, więc całe swoje zaszrane życie spędziłam na gotowaniu. Zawsze coś się pichciło na kuchni. Ale lubiłam to, byłam taka dumna z mojej gromadki...

To były czasy, kiedy dopiero zaczynali się piąć w przestępczym świecie. Sarah gotowa była poświęcać się dla każdego, nawet dla obcych. Taką Sarah Ryan chciała Maura znać i kochać. Przytuliła staruszkę, wykrzykując wesoło:

- Ona ma osiemdziesiąt siedem lat, Leonie. Czyż nie jest wspaniała?

Matka odepchnęła ją niby to gniewnie, ale śmiała się.

- Nie ma powodu rozgłaszać tego na cały świat - burknęła.

- Ale z pani fajna laska, pani Ryan! - zawołała Leonie.

Wszystkie trzy roześmiały się, a Garry, słysząc to, był bardzo zadowolony. Leonie powinna dogadywać się z jego rodziną, zwłaszcza z Maura i matką - to było ważne. Jeśli nic się nie zmieni, zamierzał się z nią ożenić. Uroczysta ceremonia w kościele, pełna gala, tort, tłumy. Już on dopilnuje, żeby wszyściusieńko było jak trzeba.

Popatrzył na zegarek. Zbliżała się pora spotkania. Jack miał się pojawić o wpół do trzeciej. Garry miał nadzieję, że dowiedzą się od niego wszystkiego, co potrzebowali wiedzieć. W przeciwnym razie będzie musiał go zabić.

Miał absolutnie dość tego jałowego obcyndalania się.

◆◆◆

Benny siedział w celi na komisariacie w Basildon. Nie mógł uwierzyć, że coś takiego mogło mu się przydarzyć. Siedział na twardym łóżku i rozglądał się. Wszystko tu było nie do zniesienia: zapach, graffiti na ścianach i kompletna izolacja.

Rodzina zadbała jednak, żeby go dobrze traktowano; miał butelkę dobrego wina przyniesioną z pobliskiej restauracji, dostał także zastrzyk temazepamu, żeby nie wariował, bo tylko tego by teraz wszystkim brakowało. Sam się przeraził tym, co zrobił. Maksymalnie wszystkich wpienił i wiedział, że musi na razie położyć uszy po sobie. Miał uniknąć oskarżenia, wszystko było prawie załatwione. Musi tylko wytrzymać tu kilka dni.

Ułożył się jak mógł najwygodniej na wąskim łóżku i zaczął myśleć o tym, w jaki sposób rozprawi się z Carol. Zastanawiał się, jak sobie radzi bez niego Abul.

Czuł zapach własnego potu i nie było to przyjemne, ale usiłował się rozluźnić. Był tu zaledwie od paru godzin i już miał tego dość. Próbował techniki głębokiego oddychania, którą stosował jako nastolatek, żeby się uspokoić. Nie bardzo pomogło, odwróciło jednak jego uwagę od niedogodności miejsca, w którym się znalazł. Wiedział, że dzisiaj ma się odbyć spotkanie z Jackiem Sternem. Bardzo chciał na nim być. Wiedział też, że Tommy Rifkind jest ścigany, a marzyło mu się przecież, że go dopadnie i wykończy.

Coraz bardziej się nakręcał.

Na domiar złego pijak w sąsiedniej celi obudził się i na okrągło śpiewał: „Jeśli szczęście masz i to wiesz, w dłonie klaszcz, w dłonie klaszcz”.

Biorąc to wszystko razem, Benjamin Ryan miał tę noc z głowy.

◆◆◆

Tommy ukrył swój samochód w garażu niedaleko Knowsley i zamienił go na zdezelowaną fiestę ze swojego szrotu. Rozglądał się po placu, zastanawiając się, czy jego

nieżyjący syn nie pozostawił tu jakichś fluidów. Niedawno oglądał na Discovery program o miejscach nawiedzanych przez dusze ludzi, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, a trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej makabryczny koniec niż to, co spotkało jego syna.

Próbował przywołać twarz Tommy'ego B, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak chłopak wyglądał. Pojechał do Toxtet i zaparkował na cichej uliczce. Zamknął samochód na kluczyk i resztę drogi przeszedł na piechotę.

Cichutko wspinał się po schodach głównej klatki kilkupiętrowego bloku i delikatnie zapukał do odrapanych drzwi na samej górze. Było tu brudno, zalatywało tanim tłuszczem i śmierdziało z worków na śmieci. Nikt nie otwierał. Zapukał znowu, tym razem mocniej.

- Idź do diabła!

Uśmiechnął się półgębkiem na dźwięk tego głosu.

Wkładając rękę do skrzynki na listy, ku swemu zdziwieniu stwierdził, że klucz nadal jest w tym samym miejscu. Włożył go do zamka, ale nie pasował. Na odgłos manipulowania przy zamku lokatorka mieszkania podeszła do drzwi.

- Kto tam?

W głosie Lizzie słysząc było teraz strach.

- To ja, kochanie. Wpuść mnie.

- Tommy?

- Otwórz wreszcie te cholerne drzwi, dobrze?

Drzwi się uchyliły i wszedł do mieszkania. Dużo czasu minęło, odkąd tu był po raz ostatni, ale na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo jak zawsze. Zamknął drzwi, wyjrzawszy przedtem na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi.

- A więc to prawda?

Popatrzył na nią i rozłożył ręce w geście niezrozumienia.

- O czym ty mówisz?

Westchnęła, odwróciła się i weszła z powrotem do małego saloniku, gdzie ułożyła się na kanapie. Poszedł za nią. W pokoju było jak zawsze ciepło i przytulnie, ale panował w nim bałagan. Dawniej Lizzie nie zniosłaby choćby jednej rzeczy nieleżącej na swoim miejscu - była to cecha, którą bardzo w niej lubił. Wiedział jednak, że heroiniści nie należą do ludzi dbających o porządek.

Usadowił się na podłodze. Słuchała albumu Pink Floydów *bark Side of the Moon*, więc też zaczął tego słuchać.

- Zrób głośniejsze Lizzie, to dobry kawałek.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

Roześmiał się jak z dobrego dowcipu.

- Co ty wygadujesz?

Próbował ją rozbawić, chciał zostać do rana, jeśliby się dało. Westchnęła i przetarła dłonią spoconą twarz.

- Głowa mnie boli. Niedawno wstałam i czuję się okropnie. Lubię muzykę, ale wyciszoną, wtedy mnie odpręża. Przypomina mi czasy, kiedy mój mały Tommy puszczał coś po cichu w swoim pokoju, a ja słuchałam przez ścianę...

Beznadziejny smutek bił z jej głosu, Tom nie wiedział, co powiedzieć. Jednak Lizzie nie oczekiwała odpowiedzi.

Jak większość heroinistów, była szczęśliwa, leżąc cicho i wsłuchując się w siebie.

- Zrób herbatę, Tommy. Niech będzie z ciebie jakiś pożytek, skoro już tu jesteś.

Poszedł do małej zagraconej kuchni i nastawił czajnik. Przygotował kubki i czekając, aż woda się zagotuje, rozglądał się wokół. Było tu jak w chlewie. Musiał umyć kubki, bo były zarośnięte brudem. Pod zlewem znalazł proszek do czyszczenia. Błat był zaplamiony herbatą, kawą i Bóg wie czym jeszcze. Porozmawia z nią rano. Spróbuje przemówić jej do rozumu.

Zaniósł herbatę do saloniku, ale Lizzie spała. Był zadowolony, bo i tak nie wiedział, o czym z nią rozmawiać. Znowu usiadł na podłodze i popijał herbatę. Album się skończył i Tommy siedział dalej w ciszy. Słyszał muzykę dochodzącą z innych mieszkań i psa szczekającego na jednym z balkonów. Zapomniał już, jak hałaśliwe są takie miejsca. Mógł sobie pogratulować, że stać go było na duży, piękny, wolno stojący dom z kilkoma akrami ziemi i rozległym widokiem.

Odezwała się tak nagle, że aż podskoczył.

- Co cię tu przyniosło, Tom? Niepowodzenia?

Był zaskoczony jej domyślnością, ale natychmiast zaprzeczył.

- Chyba żartujesz. Widziałem cię wieczorem w „Black George’s”. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak źle znosisz śmierć Tommy’ego B. Pomyślałem...

Otworzyła jedno oko i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. To nowość, Tommy Rifkindzie, że przy kobiecie nie myślisz o nagości, cyckach czy innych seksualnych sprawach, że w ogóle stać cię na myślenie.

Zamknął oczy i powstrzymał się od riposty. Nie mógł sobie pozwolić na kłótnię z tą kobietą. W każdym razie nie przed jutrzejszym rankiem.

- Daj spokój, Lizzy. Kochałem cię.

- Tak, jasne. Tak samo jak kochałeś swoją żonę i dzieci. Czy chociaż wiesz, że masz wnuczkę?

Był zaskoczony, a ona roześmiała się, widząc wyraz jego twarzy.

- Dziewczyna Tommy'ego urodziła po jego śmierci. Słodkie maleństwo... mówię o dziecku, nie o dziewczynie. Mała ma na imię Leanna. Wyobraź sobie, że jest czarna. Dla ciebie to koszmar, co?

Nawet poprzez zamroczenie narkotykowe widziała, że osłupiał i nerwowo przełyka ślinę.

- Nie martw się. Nic od ciebie nie chcemy. Rodzina dziewczyny jest wspaniała, jej matka i ojciec to bardzo fajni ludzie, pozwalają jej mieszkać u siebie i pomagają, jak mogą. Rozumiesz: rodzina. Nic się z nią nie równa, Tommy, a twoja rodzina w ogóle nie jest rodziną.

Pozwalał jej mówić. Znał Lizzie, lepiej było dać jej się wygadać.

- Wiesz, że Gina tu przyszła po śmierci Tommy'ego B? Zaskoczyła go, widziała to. Mówiła dalej z uśmiechem:

- Miła z niej była kobieta. Stanowczo za dobra dla ciebie, teraz to wiem. Nawet ja byłam za dobra dla ciebie, Tommy Rifkindzie. Omal nie umarłam, kiedy zobaczyłam ją na schodach, ale powiedziała, że przyszła złożyć kondolencje i naprawdę tak było. Była tu jeszcze kilka razy przed swoją śmiercią. Wiele sobie powiedziałyśmy. Uwierzyła, że czułam się wobec niej podle z powodu naszego romansu. Mówiła, że taki już z ciebie typ, ciągle potrzebujesz nowych kobiet, żeby podbudować poczucie własnej wartości. Powiedziała, że kiedy ktoś cię bliżej poznaje, to odkrywa, jaka z ciebie miernota. Popatrz, co zrobiłeś ze mną... Nasze dziecko zginęło, a ciebie to nic nie obeszło. Ale widzisz, ja wiem, że pozwalałeś na to by ryzykował życie. A przecież to ty byłeś uwikłany w spisek przeciwko tym palantom z południa. Tommy B też o tym wiedział. Zorientował się, jaki jesteś, a mimo to nie zdjął cię z ołtarza. Zdradziłeś własnego syna... to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś.

Tommy ukrył twarz w dłoniach.

Czy Gina rzeczywiście tu przychodziła i mówiła o nim takie rzeczy? Ale to leżało w jej charakterze, znał ją przecież. Chciała zadośćuczynić krzywdzie. Sam nie mógł teraz znieść myśli o tym, co zrobił Tommy'emu B.

- To wszystko nie tak, Lizzy...

Uniosła się na łokciach, z wykrzywioną twarzą.

- Och, idź w cholere, Tommy! Nie dam się więcej nabrać na twoje gadki-szmatki. W dniu, kiedy nasz chłopiec zginął, znenawidziłam cię i nigdy nie przestanę nienawidzić.

Zmarnowałam przez ciebie życie, nie rozumiesz tego? Nie rozumiesz, co zrobiłeś mnie i naszemu synowi?

Wykrzyczała te okrutne słowa w twarz mężczyzny, którego kiedyś kochała każdą cząstką swej duszy. Nigdy do niego w ten sposób nie mówiła, zawsze usiłowała mu dogadzać, w nadziei, że zdoła go skłonić do powrotu. Nigdy więcej.

Zadzwoiła jej komórka. Odebrała, powiedziała tylko „OK” i rozłączyła się.

- Kto to był? - Tommy próbował zmienić temat. - Chyba trochę za późno na telefony, nie?

Nagle ogarnął go niepokój. Z wyrazu jej twarzy w ułamku sekundy odgadł, co się dzieje.

- I jak to jest, Tom? - szydziła.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Nie zrobiłabyś...

Wybuchnęła śmiechem.

- Nie? To się przekonasz, chłopczyku. Wyznaczono dobrą cenę za twoją głowę, Tommy Rifkindzie. Te pieniądze zabiorą moją wnuczkę w inny świat, jak najdalej od tego miejsca.

Wstał szybko, ale nie patrzył na nią, nie chcąc widzieć triumfu na jej twarzy. Podszedł do okna i zerknął przez szparę między zasłonami. Serce mu zamarło, gdy zobaczył, kto stoi przed domem.

- Ty cipo jedna!

Ruszył do niej z uniesionymi pięściami. Podniosła ręce, by zasłonić się przed ciosami. Nie uderzył, bo usłyszał, że otwierają się drzwi wejściowe. Specjalnie zostawiła je niezamknięte na klucz. Rozpaczliwie próbował otworzyć drzwi balkonowe, ale nie puściły. Od lat nie były używane.

Odwrócił się i zobaczył Abulę oraz dwóch mięśniaków od Ryanów wchodzących do pokoju.

- Proszę bardzo, cały i zdrowy.

Nigdy jeszcze nie słyszał u Lizzie tak dziarskiego głosu, i to pomimo krążącej w jej żyłach hery. Za osiłkami wszedł Jonas z półuśmiechem na wyniszczonej twarzy.

- Ruszaj się, Tommy. Musimy złapać samolot. - Abul uśmiechnął się do Lizzie i dodał: - Za kilka dni ktoś przyniesie to, co ci się należy, OK?

Uszczęśliwiona skinęła głową.

Przechodząc obok niej, Tommy plunął jej w twarz.

- Ty zdracliwa dziwko!

Roześmiała się.

- Przyganiał kocioł garnkowi, Tommy. - Wyszła za nimi z mieszkania i krzyknęła jeszcze: - Nie zapomnij Pomyśleć o mnie i o moim chłopcu, kiedy będziesz umierał, zasrańcu!

Abul uśmiechnął się do Tommy'ego i patrząc mu w oczy, zapytał:

- Czyżbyś przypadkiem naraził się czymś tej miłej pani?

Tommy spojrział na niego z pogardą i nic nie odpowiedział.

- Zrażanie do siebie kobiet to chyba twoja specjalność prawda, panie Rifkind?

- Pieprz się, ty zdracliwy sukinsynu.

Abul uśmiechnął się.

- Przyganiał kocioł garnkowi, jak już wspomniała ta miła pani.

Jego kompani zarechotali.

Tommy nie odezwał się ani słowem przez całą drogę na prywatne lotnisko. Nie znał facetów, którzy byli z Abulem więc uznał, że na razie lepiej trzymać język za zębami.

Rozdział 20

W kuchni, do której Maura przyszła po kolejną czarkę lodu do drinków, jej matka i Leonie nadal plotkowały jak stare przyjaciółki. Maura uśmiechnęła się do nich. Obie były już wyraźnie zmęczone, ale się nie rozstawały, jakby to pierwsze spotkanie miało być zarazem ostatnim. Nowy członek rodziny, któremu można opowiadać stare dzieje, to była dla Sarah nie lada gratka.

Jack nie miał pojęcia, że Leonie jest w tym domu, i wszystkim to odpowiadało, a zwłaszcza dziewczynie.

- Jest wolny pokój, gdybyś się poczuła zmęczona - powiedziała do niej Maura.

Leonie z uśmiechem potrząsnęła śliczną główką.

- Jest mi dobrze tu z Sarah.

Odlotowa dziewczyna, pomyślała Maura. Nie dziwiła się, że wpadła Garry'emu w oko, właśnie takie lubił. Raczej była zaskoczona tym, że i jej Leonie bardzo się spodobała.

- Zrobić więcej kanapek, Maws?

Maura potrząsnęła głową.

- Jest jeszcze mnóstwo żarcia, a my przechodzimy już do sedna sprawy, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Ale dziękuję, wszystko było pyszne.

Sarah pomyślała, że Maura mizernie wygląda. Zdawała sobie sprawę, że córka ma na głowie mnóstwo problemów. Teraz nie chciała jednak o tym myśleć. Jak za dawnych czasów, miała wokół siebie całą rodzinę i cieszyła się każdą chwilą. Od lat nie była taka szczęśliwa.

Właśnie tego jej brakowało: dzieci na co dzień i uczestnictwa w ich życiu. Coś jej podszeptowało, że jest hipokrytką, bo przecież do niedawna na mnie pomstowała. Zignorowała tę refleksję w jedną sekundę. Dziś czuła się potrzebna i kochana. To się naprawdę liczy dla kogoś, kto ma prawie pięćdziesiąt lat i pogodził się już z myślą o odejściu na wieczny odpoczynek.

Przygotowała kolejny czajniczek herbaty i usiadła, by dalej plotkować z uroczą dziewczyną, którą przyprowadził Garry. Leonie mogłaby być jego córką, a nawet wnuczką, ale Sarah przeszła nad tym do porządku dziennego. Jest kobietą, a kobiety rodzą dzieci - o to przecież na tym świecie chodzi.



Jack i Billy siedzieli w dużej jadalni u Maury. Stół zawalony był jedzeniem i butelkami, a okno balkonowe szeroko otwarte, by mógł nim uchodzić dym papierosowy. Jack przygotował sobie kilka kresek koki, żeby przetrwać noc, i atmosfera była na razie przyjacielska, chociaż wszyscy byli czujni.

Garry zachowywał się nienagannie, za co Maura dziękowała Bogu. Roy i Lee wyglądali na zrelaksowanych.

Jack Stern baczny okiem obserwował Ryanów, a wreszcie zapytał wprost:

- No to co będzie z moim towarem?

Gdy tylko zadał to pytanie, wciągnął koke, więc Garry zażartował:

- Zatrzymaliśmy ją tylko po to, żeby cię powstrzymać od wciągania zysków.

Celny dowcip rozśmieszył nawet samego Jacka.

- Bardzo zabawne, Gal, ale to nie odpowiedź na moje pytanie.

Arogancki ton jego głosu otrzeźwił pozostałych uczestników spotkania. Billy Mills z wściekłości przymknął oczy. To on miał negocjować w sprawie narkotyków. Jack spieprzył wszystko przez swoją niecierpliwość.

- A co z Vikiem Joliffem? Czy nie powinniśmy zacząć od najważniejszej sprawy?

Garry powiedział to spokojnie, widać było jednak, że zaczynał się wkurzać.

- Słowo daję, nie mam pojęcia, gdzie jest Vic. To znaczy jest ze mną w kontakcie, ale nie mówił, gdzie jest.

Roy wziął kanapkę z szynką i odgryzł kęs, zanim rzekł cicho:

- Jesteś zakłamanym dupkiem, człowieku.

Jack natychmiast zerwał się z miejsca, wrzeszcząc:

- Wolnego, kurwa! Jakim prawem ośmielasz się tak do mnie mówić, Roy?

Garry wyjął pistolet i kierując lufę w stronę Jacka, rzucił wesoło:

- Takie prawo. Wystarczy ci na początek?

Maura nakazała gestem, by usiedli.

- Bez dziecinnych demonstracji, panowie. Siądźcie na tyłkach i załatwmy to raz na zawsze. - Wzięła głębszy oddech. - Roy wie, co mówi, Jack. Kombinujesz z Vikiem przy tej dostawie, wszyscy to wiemy...

Uniosła rękę, gdy próbował jej przerwać. Z trudem hamowała irytację, gdy wymierzywszy w niego palcem, mówiła dalej:

- To Vic dostarczył ci tę kokę, nie próbuj zaprzeczać. Nie popełniaj więcej tego błędu i nie traktuj mnie ani moich braci jak durniów. Nie pozwalamy innym grupom na takie duże dostawy. Wyrażając się jaśniej, powinieneś uwzględnić nas w tym biznesie, ale na razie to zostawmy. Usiłujemy dorwać Vica i inne pretensje odkładamy na razie na bok.

Rozejrzała się po pokoju i dodała:

- Tommy Rifkind jest właśnie w drodze do nas, w naszym samolocie, który leci z Liverpoolu i wylądjuje na pobliskiej farmie. Gwarantuję ci, że dotrzemy dziś do sedna spraw. Abul przywiezie go tutaj samochodem.

Obserwowali reakcję Jacka. Jak potem zgodnie zauważyli przyjął tę wiadomość z zaskakującym spokojem. I właśnie to go zdradziło, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Maura kontynuowała:

- Kenny Smith też jest w drodze. Widział się z Vikiem przekazał mi wiadomość od niego. Być może dzięki Kenny'emu dopukamy się do rozsądku tego szaleńca, ale najpierw musimy go znaleźć i ty nam w tym pomożesz.

Jack nigdy w życiu nie był wystawiony na tak ciężką próbę. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych w pokoju.

- Nie mogę tego zrobić, Maura, dobrze o tym wiesz.

Jej oczy miały barwę stali, ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie jestem jakimś zasranym kapusiem. Vic jest moim kumplem i moim partnerem...

Zaczynał wpadać w panikę. Nikt się nie odezwał, przy stole zapanowała złowroga cisza.

- Zabiłeś mojego syna, człowieku - powiedział w końcu Tony Dooley Senior.

Jack był oburzony.

- Klnę się, że to nie ja...

Tony Dooley Senior smutno pokręcił głową.

- Wiedziałeś o Tommym i byłeś w zмовie z Vikiem. To przez ciebie mój chłopak nie żyje.

Młodzi Dooleyowie pokiwali głowami, przytakując ojcu.

Billy'ego Millsa ogarnęło przerażenie. Sytuacja zaczynała przybierać groźny obrót.

Jack potrząsnął głową, koka zaczęła działać i mąciła mu myśli. Zdjęty strachem, popadał w paranoję. Nie mógł się powstrzymać od słownej agresji, choć wiedział, że pogrąża się jeszcze bardziej.

- To tak ma wyglądać przyjacielskie spotkanie? Zawsze możesz liczyć na to, że Ryanowie podłożą ci świnie. Vic ma rację, należycie do przeszłości. On was przeżuje i wypluje.

Garry rozejrzał się po pokoju.

- Mówiłem wam, że on będzie tylko zatruwał powietrze. Chce mieć ciastko i zjeść je. A może nie ciastko, lecz kokę? Myślał, że wejdzie tu jak gdyby nigdy nic, ubije interes, po czym spokojnie sobie wyjdzie, a my nie będziemy niczego podejrzewali. Czy można popisać się większą głupotą? To nie miała być jednorazowa transakcja, co, Jack? Znamy ciebie i znamy Vica. Chcieliście tylko wybadać teren, może nie? Vic Joliff chce tego, co należy do nas, i nie spocznie, dopóki tego nie dostanie.

Jack wstał, kipiąc ze złości.

- Pieprzę to! Nie mam zamiaru siedzieć tu i słuchać tych pierdół.

Dał znak swojemu goryłowi, ale Jeny Sinclair ani drgnął. Jack pokręcił głową.

- Kupili cię, tak?

Jerry wzruszył ramionami. Guzik go obchodziło, co się stanie z Jackiem.

- Oto pieprzona lojalność.

- Nigdy nie płaciłeś mi dość za lojalność, Jack.

Mężczyźni przy stole zareagowali na to śmiechem. Jack był zdruzgotany, na jego twarzy widać było coraz większe przerażenie.

- Chcesz jeszcze jednego drinka, zanim zjawi się Tommy?

Uprzejme pytanie Roya brzmiało jak szyderstwo, ale Jack kiwnął głową. Wiedział, że jest skończony. Dość miał na sumieniu, by mieli powód się z nim rozprawić. Jeżeli dowiedzieli się od Toma, jak dawno to się zaczęło, nie ma nadziei na litościwy strzał w głowę. Jeśli nie nastąpi jakiś cud, już jest martwy. Szybko wychylił drinka. Czuł, że potrzebuje alkoholu - ile tylko dadzą. Żeby uśmierzyć ból, kiedy się do niego zaborą.

Wciągnął kolejną kreskę koki i podsunął lusterko Garry'emu, ale on potrząsnął głową.

- Dziękuję, Jack. Mam mnóstwo własnej, stary.

Wszyscy znowu parsknęli śmiechem. Oczywiście z wyjątkiem Jacka Sterna.

◆◆◆

Benny'ego obudził odgłos otwieranych drzwi. Uniósł ręką by zasłonić oczy przed oślepiającym światłem z korytarza. Zobaczył, że do celi wpuszczają młodego mężczyznę w modnych ciuchach i z ogoloną głową. Drzwi natychmiast zamknęły się z powrotem. W Bennym wezbrała złość. Nie miał zamiaru dzielić z nikim celi. Zdecydowanie nie miał ochoty na współlokatora.

Młody człowiek był najwyraźniej pijany i po jakiejś bójce. Benny uznał, że facet dostał niezły łomot, wskazywał na to stan, w jakim się znajdował.

Chłopak ziewnął i zapytał sennie:

- Wszystko w porządku, stary?

Benny gapił się na niego, jakby nigdy w życiu nie widział istoty ludzkiej. Ten typ zagadał do niego, jakby byli kumplami albo co. Powstrzymał się na razie od dania mu nauczki.

Tamten osunął się po ścianie i zapalił papierosa, głośno wydmuchując dym. Po chwili judasz się zamknął i Benny usłyszał zaciąganie kraty.

- Co słyhać, Benny?

Zarechotał przyjaźnie, a Ben szeroko otworzył oczy, zorientowawszy się w końcu, kto jest z nim w celi.

- Jonny White?

Chłopak kiwnął głową.

- Od razu wydawało mi się, że to ty, kiedy mnie wrzucili do tej celi. Ale na wypadek, gdybyś był tutaj incognito, nie zdradziłem się, że cię znam. Kurde, co za zbieg okoliczności!

Benny przestał się uśmiechać.

- Co ma niby znaczyć ten zbieg okoliczności?

Jonny zaśmiał się nerwowo.

- Daj spokój, Benny, zawsze reagujesz paranoją.

- No to powiedz, co ci się stało.

Jonny skrzywił się.

- Jak zwykle otworzyłem gębę o jeden raz za dużo. Poszliśmy całą bandą do nocnego klubu, do „Raquel”, na wieczór kawalerski Micky'ego Harpera. Co za speluna. Wyszedłem stamtąd i spróbowałem szczęścia z jedną laską, pech, że miała brata wielkiego jak szafa. Reszta, jak mówią, jest milczeniem.

Benny zaczął się śmiać. To był cały Jonny.

- Jak tu trafiłeś? No tak, jakbym nie wiedział! - nawijał Jonny. - Oglądałem wszystko w telewizji. Cały naród o niczym innym nie mówi, kurde.

Benny napuszył się.

- Ktoś mnie wrobił. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Jonny znowu się uśmiechnął.

- Co? Ktoś wszedł do twojego domu i wsadził ludzką głowę do twojej szafy? Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Benny przytaknął z powagą. Jonny nie uwierzył, ale w porę przypomniał sobie, z kim rozmawia. Jeżeli Benny Ryan mówi, że został wrobiony, to został wrobiony. Gdyby Benny Ryan powiedział, że matka Jonny'ego jest kurwą, też by z nim nie polemizował.

- Co za diabelny tupet, Benny.

- Z ust mi to wyjąłeś, Jonny. Komuś zależy, żeby mnie wymiksować z gry.

Ziewnął i ponownie ułożył się wygodnie na łóżku. Jonny wiedział już, że nie będzie na nim spał, tyle na razie było jasne.

- A jak się miewa Abul? Nie widziałem się z nim ostatnio.

- Jak zawsze w formie.

Jonny kiwnął głową.

- Widziałem go jakiś czas temu w „Circus Tavern”.

- Co? Abula? - zdziwił się Ben. - Naprawdę był w „Circus Tavern”? Z kim?

Jonny wzruszył ramionami.

- Nie wiem, widziałem go tylko na parkingu. To była jedna z tych nocy ze sportowymi kurewkami, jeśli wiesz, co mam na myśli. Straszne zdziry, ale mają formę i nadają się do tej zabawy, jeśli za mną nadążasz. Pomyślałem, że Abul przyjechał tam po crack. - Jonny beknął głośno i dodał: - Wypiłem chyba beczkę różnych drinków, rano będę szmata.

- Z kim był?

- Kto?

- Pieprzony Abul, głupku. Z kim?

W Bennym narastało zniecierpliwienie i Jonny poczuł się niepewnie.

- Nie wiem, z jakimś starym facetem.

Benny przewrócił oczami.

- Jakim starym facetem?

Jonny przez chwilę zbierał myśli.

- Po prostu z facetem, nie wiem, kto to był. Ale szpaner, to pewne. Ciuchy na miarę za kilka tysięcy i nowiutki błękitny roller. Zajebisty zestaw!

Benny zerwał się z łóżka i chwytając Jonny'ego za kurtkę, jednym ruchem poderwał go z podłogi.

- Jesteś pewien, że to był Abul? Gadaj, i to już, pieprzony dupku!

Jonny zaczął kiwać głową jak oszalały.

- Tak, tak! Odezwałem się do niego i powiedziałem cześć.

Benny opuścił go z powrotem na podłogę, a potem przycisnął dzwonek przy drzwiach celi. Jak zwykle nikogo to nie zainteresowało. Stał z palcem przyciśniętym do dzwonka, ale po dziesięciu minutach nadal nie było odzewu.

- Pieprzyć to, pieprzyć, pieprzyć!

Jonny obserwował go czujnie. Tylko tego trzeba mu było na zakończenie wieczoru. Benny Ryan miotający się w napadzie szału. Choć teraz wyglądało to groźnie, może kiedyś będzie z tego dobra dykteryjka, a życie płata przecież różne figle.

Miał tylko nadzieję, że przeżyje, żeby móc tę cholerną historię opowiadać. Benny Ryan nie wyglądał jak miły misiaczek. Zresztą nigdy nie wyglądał milutko.

◆◆◆

Abul usiadł obok Tommy'ego w sześciomiejscowej cессnie. Nie zamienili ze sobą ani słowa podczas całego lotu na lądowisko w Rottendon, gdzie Tom, brutalnie wypchnięty z samolotu potknął się i upadł na kolana. Abul chwycił go za kark i bezceremonialnie załadował do czekającego na nich samochodu. Sam wskoczył na tylne siedzenie obok niego, a do młodego Hindusa w turbanie warknął:

- Jedź!

Tommy był nieźle wkurzony. Otrzeputując garnitur, dostrzegł jeszcze we wstecznym lusterku dwóch ogłupiałych osiłków pozostawionych na pasie do kołowania. Abulowi rzucił ostrzeżenie.

- Lepiej uważaj, chłopcze. Pamiętaj, co o tobie wiem. Ten wyszczerzył zęby i rozsiadł się wygodnie.

- Spokojnie, Tom. Wiadomo, że wiesz. Ale nie myślisz chyba, że zabieram cię do Maury, co? Jedziemy spotkać się z Vikiem, bracie.

Tommy zbladł, jednak natychmiast przeszedł do ataku.

- Wiesz, że siedzisz w gównie po uszy - powiedział ostro. - Twój kumpel, myślę o Bennym, zabije cię, skoro zaczniesz grać w otwarte karty.

Abul wzruszył ramionami.

- Będzie musiał mnie najpierw znaleźć.

- Vic też pewnie chętnie cię zadźga w sposobniejszym czasie - nie poddawał się Tommy. - Jest zwolennikiem czystości rasowej, członkiem założycielem Inner City Firm. A poza tym ma powód, żeby cię nienawidzić, prawda?

Abul uśmiechnął się półgębkiem i odrzekł znudzonym głosem:

- Szczerze mówiąc, Tommy, to właśnie na ciebie jest najbardziej wkurzony. Ja wiem, jak radzić sobie z takimi psycholami jak Vic... w końcu zdobyłem niemałe doświadczenie. Mogę przymknąć oko na jego żalotne rasistowskie poglądy, o ile nie szkodzi to biznesowi. To nowy świat, Tommy, i zamierzam być w nim głównym graczem. Ryanowie i inne bandziory tego typu to już przeszłość. Zapomnieli o bardzo ważnej zasadzie. Gdy mowa o władzy, najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, kiedy przekazać ją innym. Jeśli tego nie wiesz przyjdzie ktoś silniejszy, kto i tak ci ją zabierze.

Tommy roześmiał się.

- No proszę! Wy wszyscy z tego pieprzonego East Ham niedługo przeskoczycie Osamę bin Ladena.

Abul również się roześmiał.

- Zdumiewające, przyznaj, jak Ryanowie szybko uznali za oczywiste, że do końca życia będę się plątał w cieniu Bena. Będę go uspokajał i wykonywał jego polecenia, bo tylko do tego się nadaję. Kiedy gang z Silvertown zgłosił się do mnie ze swoim pomysłem, byłem więcej niż gotów ich słuchać. Przynajmniej dopóki mi to pasowało. Okazali się bandą przeciętniaków.

- Ale tak załatwić Rebeccę i jej starego... nie wywracały ci się flaki?

- Po tym, co widziałem przy tym pomyśleńcu Bennym, nic mnie już nie rusza, Tommy. Zresztą ta baba była wredną suką. Nie wytrzymała presji, musiałem ją uciszyć. Poza tym warto było zobaczyć, jak Ryanowie wpadają w panikę.

Tommy pamiętał, że Maurę wielokrotnie budziły koszmary, o których nie chciała mówić, i przez moment poczuł wyrzuty sumienia. Jak widać, ta noc wyjątkowo im sprzyjała.

- Tak, tak, bardzo sprytnie kombinujesz - rzekł poirytowany. - Ale posunąłeś się grubo za daleko i dokąd doszedłeś, co? Minęło sześć lat i nadal jesteś Przynieś-Podaj. Teraz wrócił Vic i oczekuje paru odpowiedzi. Nie mów mi, że wybaczył ci twoje grzechy, bo na pewno w to nie uwierzę.

Abul potrząsnął głową i powoli wyciągnął rękę z kieszeni.

- Oczywiście, że nie. Vic Joliff nie z tych, co przebacząją. Wkrótce sam się o tym przekonasz.

Tommy poczuł ostry ból w nodze, zerknął w dół i zobaczył wbitą w nią strzykawkę.

- Zaraz, co ty mi robisz? Co to do diabła jest?

Abul odparł uspokajająco:

Hera, Tom. W najczystszej postaci. Podziękujesz mi za to... jeśli kiedykolwiek odzyskasz przytomność. Widzisz, Vic zdradził mi, co zamierza, i to nie będzie przyjemne, o nie. Módl się, żebyś zdążył przekręcić się po tym strzale. Narkotyk już działał, Tommy mówił z trudem.

- Ale... to nie mój pomysł. Ty, Abul. Mówiłeś, że za wolno... niepotrzebny Vic. Nie mój pomysł...

Głos go zawiódł. Wnętrze samochodu kurczyło się, zamykając go w potrzasku. Abul pochylił się, żeby dać kierowcy wskazówki, po czym odwrócił się i oparł Tommy'ego o drzwi.

- Bardzo dobrze, idź spać. Tak będzie dla ciebie lepiej.

Był gangsterem nowej generacji - preferował cywilizowane metody, nawet gdy pozbywał się groźnego wroga.

Kiedy tylko dowiedział się, że Vic wrócił, było dla niego jasne, że musi do niego dotrzeć, zanim ten porozmawia z Tommym. Ryanowie doprowadzili go do Jacka Sterna, a jego ludzie - lojalni wobec niego bandyci i dealerzy tylko czekający na jego ostateczny ruch - zdołali wytropić Vica.

Wmówił mu, że zamordowanie Sandry i zamach na niego samego w więzieniu były dokonane na rozkaz Toma Rifkinda. W rzeczywistości to Abul zaplanował wyeliminowanie Vica jako współnika w przejmowaniu władzy nad podziemiem, a seria zabójstw miała służyć ściąganiu na Ryanów coraz większych kłopotów. Chciał ich jak najszybciej doprowadzić do upadku, zabił więc Sandrę i Janine oraz wysłał do Belmarsh polecenie, żeby wykończyli Vica. Tommy B został poinformowany, że jego ojciec i Abul planują zabić Lanę i Sarah - Abul dorzucił je do swojej listy, wszystko wyglądało bardziej dramatycznie i zagadkowo. Tommy B był prostym człowiekiem. Nie popierał zabijania starszych pań ani donoszenia na własną rodzinę. I na to Abul liczył.

Spojrzał na leżącego bezwładnie obok człowieka. Z kącika jego zwiotczonych ust na kołnierzu szytego na zamówienie garnituru ściekała cienka strużka śliny. Vic go dzisiaj załatwi, a potem będzie uganiał się za Ryanami, żeby przejąć ich narkotykowe imperium. Kiedy już wykona całą brudną robotę do akcji wkroczy Abul i zakończy to, co rozpoczął sześć lat temu.



Benny szalał. Musiał jakoś zawiadomić Maurę i resztę o tym co planuje Abul. Jeszcze nie potrafił do końca w to uwierzyć. Jakby ktoś wbił mu nóż w serce. Abul... jedyny człowiek na tym całym zaszranym świecie, na którego, jak sądził, zawsze mógł liczyć. Teraz to się skończyło. Ten zakłamany gnojek chciał zagarnąć wszystko, co mieli Ryanowie. Musiał ostrzec rodzinę.

Spojrzał na swojego dawnego szkolnego kumpla Jonny'ego i powiedział:

- Mam zamiar cię stłuc, więc wrzeszcz najgłośniejsz, jak potrafisz.

Jonny potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Jaja sobie robisz czy co?

Benny wzruszył ramionami i podszedł do niego. Podnosząc swoją wielką pięść, mruknął przeproszająco:

- Bez urazy, stary.

Jonny zaczął wrzeszczeć, zanim dosięgnął go pierwszy cios. Był śmiertelnie przerażony, nie wiedząc, czym to się skończy.

◆◆◆

Tony Dooley Senior odebrał telefon, słuchał przez chwilę, a potem powtórzył uczestnikom spotkania, co usłyszał: „Tommy samowolnie oddał się z Abulem Haseemem. Próbuje ich wysledzić, ale dali naszym dwóm żołnierzom nogę na lotnisku. Abul nie odbiera telefonów, posłużył się nieznanym kierowcą. Przykro to mówić, ale wygląda na to, że jest w zмовie z Tommym”.

Kenny Smith szepnął do Maury:

- Chyba musiałaś coś podejrzewać.

Potrząsnęła głową, miała śmiertelnie bladą twarz.

- Nie Abula. Nie, nie wierzę. Opiekowałam się nim, odkąd był dzieckiem. On i Benny byli jak bracia.

Jack Stern prychnął:

- A jakimi braćmi byli Kain i Abel? Nigdy nie ufałem pieprzonym asfaltom...

Tony Dooley Senior popatrzył na Jacka, który natychmiast sobie przypomniał, gdzie jest i z kim. Głos Maury ciął jak nóż:

- Życie ci niemiłe, Jack?

Tony wstał. Tego już było dla niego za wiele. Co za bezczelny drań. Jego synowie również się podnieśli, żeby go uspokoić, za co Maura była im wdzięczna.

- Daj spokój, tato, to tylko nędzna szumowina. Nie tutaj, starsza pani Ryan jest w kuchni.

Maura i jej bracia przyglądali się, jak próbują ułagodzić ojca. Garry wyszedł zza stołu i ruszył do kuchni. Wrócił z Leonie i z satysfakcją obserwował twarz Jacka, patrzącego na swoją byłą kochankę.

- Pozbieraj szkło, kochanie, i przynieś jeszcze trochę kanapek mojej matki, dobrze?

Leonie prawie nie patrzyła na Jacka. Zebrawszy puste butelki, pocałowała Garry'ego w czubek głowy i jak gdyby nigdy nic wyszła z pokoju.

Maura zauważyła, że dziewczynę cieszy ten mały triumf i mimo wszystko współczuła Jackowi.

Wszyscy wzięli sobie dokładki jedzenia. W końcu Kenny Smith, ziewając, powiedział:

- Osobiście jestem za tym, żeby skończyć. Niczego więcej dziś nie zdziałamy.

Maura wstała, więc Jack, patrząc na nią, zapytał:

- A co ze mną?

Westchnęła ciężko. Był ślepy czy jak? Cieszyła się, że nie wybrała życia w krainie ułudy, jaką był świat kokainisty.

- Ciebie, Jack, oddaję we sprawne ręce jednego z moich najstarszych przyjaciół. Powiesz Tony'emu wszystko, co chcemy wiedzieć. - Popatrzyła na Dooleya Seniora i dodała: Będzie mówił, co, Tony?

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech.

Nic dobrego te uśmiechy nie wróżą, pomyślał Jack.

- W końcu byłeś wplątany w to wszystko, co się ostatnio wydarzyło, prawda?

Wiedział, że jest skończony. Nie będzie żadnych układów, już po wszystkim. To własna chciwość doprowadziła go do upadku.

- A więc mam przechłapanie, tak?

Garry uśmiechnął się.

- Doskonale to ująłeś, Jack.

Jack przyglądał im się, kiedy zbierali się do wyjścia. Próbował pochwycić wzrok Kenny'ego, ale jego stary kumpel nawet na niego nie spojrzał. Spieszyło mu się do domu, do córeczki, która była jasnym promykiem w jego życiu. Maura odprowadziła go do drzwi.

- Miałabyś ochotę spędzić jutro kilka godzin w parku ze mną i Alicią? - zapytał.

Maura uśmiechnęła się.

- Czemu nie? Byle nie bardzo wcześnie.

- Zadzwoń do ciebie.

Kiwnęła głową.

- Co za noc. Ale niedługo to wszystko się skończy, tak albo inaczej.

- Mam nadzieję, Maura, że dobrze dla nas.

◆◆◆

Vic rechotem obłąkańca powitał Abula i jego kierowcę wchodzących do opuszczonej stodoły trzy mile od domu Jacka Sterna i ciągnących Toma Rifkinda uwieszonego na ich ramionach.

Klasnął w dłonie, oczy błyszczały mu z radości i narkotykowego odurzenia.

- A więc udało się, synu. Jesteś prawdziwym artystą, sprzątnąłeś im go sprzed nosa. Ale coś ty mu zrobił? Już wygląda na martwego.

Abul był pewien, że się jakoś wytłumaczy z przykrej niespodzianki, jaką zrobił Vicowi.

- Zrobił się trochę nerwowy w samochodzie, próbował uciekać. Dałem mu uspokajacza, żeby chciał współpracować.

Vic uniósł jedną z powiek Toma i z wyrzutem potrząsnął głową.

- Szkoda, żeś sam się za to zabrał, to mi się nie podoba. Kiedy się nastawiam na dłuższy spektakl, chcę, żeby moja publika była przytomna. Inaczej nie ma zabawy.

Był autentycznie niezadowolony, a Abul przeklinał swój pech. Od Bena Ryana do Vica Joliffa - dlaczego trafiają mu się sami psychole?

Uśmiechnął się pojednawczo. Im szybciej napuści Vica na Ryanów, tym szybciej będzie mógł jawnie wkroczyć na scenę i zebrać plony.

- Przykro mi, ale wiesz, jak to jest. Takiemu draniowi jak Tommy nie można dać ani cienia szansy...

- Tak, wiem - mruknął Vic. Cofnął się o krok i wsadził rękę pod marynarkę. - Doskonale wiem. I właśnie dlatego...

Strzelił kierowcy w oko. Mężczyzna upadł, zbyt zaskoczony, by choćby krzyknąć. Abul próbował uciekać, ale Tommy nadal był uwieszony u jego szyi, więc pod ciężarem bezwładnego ciała padł na kolana. Wytoczył się spod niego i rzucił do drzwi, a Vic strzelił mu w udo. Abul przeturlał się po brudnej podłodze i uniósł dłonie.

- Co ty robisz, człowieku? Przecież zawarliśmy umowę...

Vic podszedł do niego z drwiącym wyrazem twarzy.

- Rzeczywiście, zawarliśmy. Obiecałeś, że dostanę człowieka odpowiedzialnego za śmierć mojej Sandry i za to małe rękodzieło. - Szarpnął kołnierzyk koszuli, odsłaniając blady naszyjnik blizn. - Myślałeś, że uda ci się zamydlić mi oczy, ty nadęty menelu?

- Vic, proszę, mogę wszystko wyjaśnić... - zaczął Abul starając się brzmieć przekonująco.

- Daj spokój - warknął Vic - nie jestem tym twoim rąbniętym Ryaniątkiem, żółtodziobem w naszym fachu. Nie wierzę w pierwszą lepszą bzdurę, którą mi się sprzedaje. Zwłaszcza gdy próbuje mi ją wcisnąć czarnuch. Nie myśl sobie, dotarłem do wiarygodnego źródła, aby poznać prawdę. Joe to gość starej daty i jego słowu zawsze dam pierwszeństwo przed twoim.

Abul na moment zamknął oczy. Był sam sobie winien, że nie dopilnował tego szczegółu i nie sprzątnął starego. Ale Joe dał się tak łatwo zastraszyć i do tego okazał się użyteczny, wciskając Maurze, że Rebekka i jej mąż zginęli z rąk rosyjskiej mafii. To zacierało ślad. Gdyby jego człowiek z Belmarsh nie schrzanił roboty, nic takiego by się nie wydarzyło.

Przesunął dłoń w dół po udzie, aby ukradkiem sprawdzić, czy rana jest poważna.

Vic opuścił broń.

- Nie martw się. Dostałeś tylko w mięsień - powiedział. - Kiedy przyjdzie mój kumpel Mickey, opatrzy ci nogą. Zawsze ma ze sobą apteczkę, chociaż twierdzi, że używa jej tylko wtedy, kiedy ja jestem w pobliżu.

Abula zaczął ogarniać strach.

- Co chcesz ze mną zrobić?

Vic podrapał się po głowie.

- Jeszcze się nad tym zastanawiam. Najpierw Mickey pomoże mi rozprawić się z tym wesołym chłopcem. - Machnął bronią w stronę leżącego na podłodze Toma.

Abul poczuł ulgę. Sądził, że to on miał być poddany obróbce Mickeya, ale wyglądało na to, że Vic zamierza przede wszystkim ukarać Toma za uknuć spisku, mimo że to nie on był jego inicjatorem.

- A ty... no cóż, muszę poświęcić temu trochę czasu. Wymyślić coś naprawdę odłotowego. I w ten właśnie sposób na to popatrz, Abul. Twoje imię przejdzie do gangsterskich kronik: nikt nigdy nie zapomni, jaką śmiercią zginąłeś.

Skrzecztał jeszcze jak papuga, kiedy przybył Mickey Ball z kilkoma innymi mężczyznami. Zabandażowali Abulowi nogę i wsadzili go, szarpiącego się i protestującego, do bagażnika samochodu. Ostatnia rzecz, jaką widział, zanim zatrzasnęła się nad nim kłapa, to Vic klepiący Toma po twarzy, żeby go ocucić, przeklął sam siebie za miękkość i podanie Rifkindowi hery. Teraz sam dałby wszystko za tak lekkie umieranie.



Jonny sprawił się jak należy. Wrzeszczał wniebogłosy, gdy Benny go tłukł, gdzie popadło i nie popuszczał do momentu, kiedy otworzyły się drzwi celi, a wtedy trzeba było aż trzech funkcjonariuszy, żeby oderwać go od ofiary i wyciągnąć z celi.

Z kolei z policjantami zaczął walczyć Jonny.

Wszystko poszło błyskawicznie jak pożar buszu.

W zamęcie bijatyki Benny ruszył korytarzem i po kilku sekundach był już na tyłach komisariatu. Pięć minut później wyrzucił dwie dziewczyny z peugeota zaparkowanego obok furgonetki z kebabami, tuż przy High Street. Odjechał szybko, wyciągając ile się dało z głównianego silnika. Nie mógł uwierzyć, że prowadzi peugeota. To było dobre przypięczętowanie tego całego zaszranego dnia.

Potem zauważył telefon komórkowy i nagle poczuł, że los odmienia się na lepsze.

◆◆◆

Maura leżała w łóżku, słuchając chrapania matki dochodzącego z pokoju po przeciwnej stronie podestu. Zapomniała, że matka chrapie. Kiedy spała z nią jako dziecko, lubiła słyszeć te odgłosy, bo czuła się wtedy bezpiecznie.

Ubiła poduszkę, żeby się wygodnie ułożyć. Była ciekawa, co się dzieje z Tommym, ale nie zamierzała się tym przejmować. Zdrada Abula na pewno mocno uderzy Bena. Dobrze, że chwilowo został zdjęty ze sceny. Szukałby zemsty i zszedł z drogi naprawy. Zaciśnęła mocno powieki i próbowała wyciszyć myśli. Był już prawie ranek i potrzebowała trochę snu. Mimo że wypila brandy, nie czuła senności.

Żeby nie myśleć o tym wszystkim, zaczęła sobie wyobrażać jutrzejszy dzień w Marsh Farm. Dawno nie widziała córki Kena Smitha i cieszyła się na spotkanie z nią w parku.

To jednak nie pomagało. Nie mogła spać i nie mogła odpędzić od siebie niepokojących wizji. Nigdy w życiu nie czuła się taka bezradna.

Rozdział 21

Kenny był wykończony. Kiedy otwierał drzwi do domu, usłyszał pikanie swojej komórki. Spojrzał na tekst i serce mu zamarło. Muszę być czujny, pomyślał, Vic być może siedzi u mnie i stąd wysyła wiadomość.

Oddzwonił na wyświetlony numer i odetchnął z ulgą, nie słysząc w pobliżu sygnału.

Vic natychmiast się odezwał.

- Miło spędziłeś wieczór z Ryanami?

- Czego chcesz, Vic?

Mówił spokojnym głosem.

- Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy. Mam tu Rifkinda i myślę, że ty i ja powinniśmy przedyskutować parę spraw.

- Jakich spraw?

- Jesteś mediatorem, prawda?

- Tak mówią.

Vic zaśmiał się i Kenny niemal widział jego łysą głowę i białe zęby. Prawie czuł jego zapach, tak silne było wrażenie jego obecności. Wiedział, że Vic chowa coś w zanadrzu, ale wiedział też, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Nie miał jednak wyboru, był tego świadom. Westchnął.

Vic powiedział przyjaznym tonem:

- Żadnych kłopotów, obiecuję.

Kenny znowu westchnął.

- Co Tommy ma ci do powiedzenia?

- Na zewnątrz czeka samochód. Przyjedź, sam się przekonasz.

- Jestem skonany. Czy to nie może poczekać?

Vic zachichotał.

- Po prostu wsiądź do samochodu, bądź grzecznym chłopcem.

Rozłączył się. Kenny z ochotą roztrzaskałby telefon. Był ledwo żywy ze zmęczenia, miał absolutnie dość tego wszystkiego. Kiedy to się wreszcie skończy, wycofa się z interesów. Zdecydowanie się wycofa.

Sięgnął po domowy telefon i wystukał numer Maury. Powinna wiedzieć, co się dzieje. Po rozmowie z nią poszedł na górę i spojrzał na śpiącą córeczkę. Dzięki niej po śmierci Lany odnalazł nowy sens w życiu. Gdyby żona żyła, na pewno dziecko nie byłoby mu aż tak bliskie. Obecnie najbardziej by mu odpowiadało być ojcem na pełnym etacie i do tego zmierzał. Kiedy ta afera się skończy, na dobre odejdzie z biznesu. Zapewni córeczce możliwie najlepsze życie. Da jej wszystko, co będzie w jego mocy, cały swój czas i miłość.

Czasami z nieszczęścia wynika coś dobrego. Niejednokrotnie to słyszał, teraz pojął, ile w tym prawdy. Bóg dał mu szansę na drugie życie, chwyci się jej pazurami i wykorzysta ją. W małej Alicii odnalazł wartość nieporównywalnie większą niż pieniądze i prestiż. Kochał ją całym sercem.

Wyszedł z domu równie cicho, jak do niego wszedł. Wycieczka z Maura i córeczką musi poczekać. Ale będzie jeszcze wiele dobrych dni, jeśli Bóg pozwoli.



Benny dojechał ukradzionym gratem do mieszkania Abula. Otworzył sobie własnym kluczem. Abul na pewno jest przekonany, że on dalej siedzi w mamrze. W szaleńczym tempie przebiegł przez mieszkanie, sprawdzając, czy nie ma właściciela, po czym zaczął przewracać wszystko do góry nogami.

W jednej z szuflad znalazł telefon komórkowy i najpierw sprawdził SMS-y oraz zapisane numery. Większość znał, należały do ich wspólnych kumpli. Następnie przeszukał kuchnię, znalazł ładowarkę i podłączył do niej komórkę znaną w samochodzie. Nie działała. Podłączył do ładowania telefon komórkowy z szuflady, po czym podniósł słuchawkę stacjonarnego. Już miał wybrać numer, ale się wstrzymał.

Ma zadzwonić do Maury czy do Gala? Ostatecznie zdecydował, że do ojca.

Roy był zaspany, ale głos syna natychmiast go rozbudził.

- Znowu coś zmalowałeś, do jasnej cholery?

Poczuł się urażony tonem ojca.

- Jeszcze nie słyszałeś?

- Czego?

- Uciekłem z aresztu.

- Co takiego? Naprawdę jesteś aż tak dumny?

Benny zamknął oczy ze zdenerwowania.

- Nic nie rozumiesz, tato, nie rozumiesz, co się dzieje...

Długo patrzył na telefon w swojej dłoni. Roy się rozłączył.

Benny niemal rozplakał się ze złości. Nikt nie zamierzał słuchać, co miał do powiedzenia. Sam jest sobie winien, wiedział, ale i tak go to wkurzało.

Pokazywali akurat jego zdjęcie w telewizji. Jego i Abula - w Ascor, z dwiema dziewczynami w wielkich kapeluszach i drogich kreacjach. Abul otaczał Bena ramieniem i obaj uśmiechali się do kamery. Zamknął oczy, by wymazać ten obraz z pamięci. Kochał Abula jak brata, przyjaźnili się od dzieciństwa. Ufał mu bardziej niż komukolwiek innemu spoza rodziny.

Wszystko robili razem, dosłownie wszystko, nawet chodzili razem z dziewczynami do łóżka. Odkrywszy, że Abul prowadził podwójną grę, Ben poczuł się odpowiedzialny za wszystko, co przydarzyło się ostatnio rodzinie. Za śmierć matki, za załamanie psychiczne ojca. Abul wiedział, kto zabił Janine.

Nieważne, czy matka była Benowi bliska, czy nie - był z jej krwi.

Przypomniął sobie, jak Abul pocieszał go, że ojciec wyjdzie z depresji. Był z nim w dobrych i złych chwilach. Benny zlecił mu nawet czuwanie nad swoją ciężarną dziewczyną. Nie mieściło mu się to w głowie.

Jego najlepszy przyjaciel cały czas spiskował przeciwko niemu i on, Benny, niczego się nie domyślał. Nigdy mu nie zaświtało w głowie, że coś może być nie tak.

Zabije Abula - zapewni mu powolną i bolesną śmierć.

Jedną rzecz powinien Abul wiedzieć, to mianowicie, że nie wolno oszukiwać Bena Ryana. Chyba że komuś w ogóle nie zależy na życiu. Abulowi Haseemowi najwyraźniej nie zależało. Pragnął śmierci, to wydawało się logiczne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie drażniłby Bena. Nikt, kto ma choć odrobinę rozumu.

Kontynuował systematyczne przeszukiwanie mieszkania. Jeśli jest tu cokolwiek do znalezienia, znajdzie to. A jeśli niczego nie znajdzie, to na pewno nie dlatego, że niestarannie szukał. Rozmontował nawet telewizor i wieżę.

◆◆◆

Maura ubrała się z powrotem i popijała kawę z Garrym. Spodziewała się, że Benny się z nią skontaktuje. W końcu to zrobi, była tego pewna. Garry czekał na Lee, a ona zastanawiała się, czy Roy też przyjedzie. Kiedy z nim rozmawiała, odniosła wrażenie, że ma już serdecznie dość swojego syna.

Dobrze rozumiała, jak jej brat się czuje.

Policja zorganizowała poszukiwania i prawnik powiedział jej, że tym razem nawet kwota równa długowi publicznemu pewnie nie wystarczyłaby, żeby wykupić tego sukinkota.

Maura postawiła człowieka pod pokojem Carol w klinice na wypadek, gdyby Benny postanowił odwiedzić biedaczkę.

Aż do tego wieczoru nie zastanawiała się nad tym, jak bardzo telefony komórkowe zmieniły ich życie. Przedtem, żeby się z kimś skontaktować, trzeba było znaleźć się w domu albo szukać budki telefonicznej. Teraz można się porozumiewać o każdej porze dnia i nocy, nie wychodząc z domu lub samochodu. Ludzie przyzwyczaili się rozmawiać, kiedy tylko mają na to ochotę. Jeśli komórka nie jest wyłączona, rozmawiasz, denerwujące było więc siedzenie i czekanie, aż Benny się do nich odezwie, ale nie pozostawało im nic innego.

- Zastanawiam się, jak Kenny poradzi sobie z Vikiem. Powiedział, że Tommy też tam będzie - mruknął Garry.

Sprawił wrażenie zmęczonego, a i ona czuła się tak, że najchętniej położyłaby głowę na stole i spała przez miesiąc. Zobaczyła lustrzane odbicie własnego wyczerpania na twarzy brata i posłała mu ciepły uśmiech.

- Jeśli ktokolwiek może przekonać Vica do czegoś, to tylko Kenny. Chciałabym wiedzieć, co zrobi Benny, kiedy dowie się o Abulu.

Garry pokręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Ale to musi być prawda, inaczej Abul przywiózłby tutaj Rifkinda.

Przytaknęła.

- Myślałem, że to wszystko robota Rifkinda, a ty?

- Prawdopodobnie działali razem. - Maura potrząsnęła głową i dodała: - Ale przynajmniej wiemy, kto załatwił młodego Tony'ego Dooleya. Tylko Abul mógł nie wzbudzić w nim podejrzeń. Towarzysze broni, obaj chronili Ryanów.

Garry milczał przez chwilę.

- Uważałem Abula za wzór zdrowego rozsądku. Jedyne człowiek spoza rodziny, który potrafił radzić sobie z Bennym. Lepiej się czułem, wiedząc, że chłopak z nim jest. Wiadomo było, że uchroni Bena przed wpadkami, porozmawia z nim, przekona go. Niech mnie diabli, sam chciałbym mieć takiego kumpla jak Abul. Nastaly takie czasy, że nikomu nie można ufać.

Maura kiwnęła głową.

- Na to wygląda. Mam nadzieję, że Vic nie zrobi nic złego Kenny'emu.

- Kto wie? Ale na razie nie zrobił. Jeszcze trochę rozumu mu zostało.

- Chciałabym, żeby to się już skończyło.

Garry roześmiał się.

- Mamy asa atutowego, kochana, i dlatego Vic chce się spotkać z Kennym. Dopóki mamy Justina, trzymamy Vica za jaja.

Skończył zwijać skręta.

- Vic będzie chciał z nami ubić jakiś interes, lecz to my ubijemy interes z nim. - Przypalił skręta, zaciągnął się mocno i dodał: - Potem go zabiję, oczywiście razem z tym wypierdkiem Abulem.

- A co z Tommym?

Garry wzruszył ramionami.

- On już nie żyje, Maws. Jeśli Vic albo Abul jeszcze go nie załatwili, to my go dopadniemy, jak tylko wychyli głowę. Nie musisz się w to angażować. Po prostu spróbuj o nim zapomnieć.

Maura wiedziała, że nie zdoła, ale Garry nie słuchałby żadnych babskich zwierzeń.

- To była cholernie długa noc, Gal - powiedziała tylko.

Uśmiechnął się.

- Jeszcze się nie skończyła. Słońce już wstało i dla wszystkich zaczyna się dzień, ale nie dla nas. Ta gra polega na czekaniu, więc będziemy czekać. Tylko tyle możemy zrobić.

◆◆◆

Cashę Haseema obudził bolesny cios w twarz. Gdy otworzył oczy, zobaczył nad głową wymierzoną w niego pięść. Próbował się uchylić, ale cios dosięgnął kości policzkowej.

Wtedy zorientował się, kto go atakuje.

Benny Ryan wyszczerzył zęby i jeszcze raz uniósł potężną pięść.

- Co ty do cholery wyrabiasz, Benny?

Casha był równie zdziwiony, co przerażony. Stał nad nim najlepszy kumpel jego brata.

- Rozkwaszam twoją pieprzoną gębę. Takiś tępy, że sam nie potrafisz pokapować, co się dzieje?

Chłopak usiadł i zasłonił twarz rękami, żeby osłabić kolejne ciosy. Benny walił go raz po razie.

- Gdzie, do kurwy nędzy, jest Abul? Ostrzegam, lepiej mi powiedz, bo zabiję najpierw ciebie, a potem całą twoją rodzinę.

Casha zastanawiał się, czy to nie sen. Groził mu facet, którego jego brat kochał jak nikogo innego.

- A skąd mam to wiedzieć? On mi nigdy nic nie mówi, dobrze wiesz.

Był bliski płaczu ze strachu. Benny zobaczył, że jego twarz puchnie, i uderzył jeszcze raz.

- Człowieku, na litość boską! Co w ciebie wstąpiło?

Benny dźgnął go palcem w czoło.

- Gdzie jest twój brat? Pytam po raz ostatni.

Cashę aż mdliło ze strachu.

- Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Może być wszędzie.

Benny wiedział, że chłopak mówi prawdę, było oczywiste, że w ogóle nie ma pojęcia, o co chodzi. Był zasranym tchórzem. Gdyby wiedział, toby powiedział.

- A kto może to wiedzieć? Z kim się kumpluje oprócz mnie?

Widział, że Casha gorączkowo szuka odpowiedzi.

- No, gadaj. Nie mam zamiaru przepieprzyć tu całego dnia.

- Dezzy... Zapytaj tego cholernego Dezzy'ego, często wałęsają się razem.

- Mówisz o kuzynie Dezzym?

Casha przytaknął i Benowi nagle zrobiło się go żal.

- Nic do ciebie nie mam, Casha, OK?

Ten kiwnął głową, czując ulgę, że już po wszystkim.

- O co tu, do cholery, chodzi, Ben? Co się za tym kryje?

Benny popatrzył na mały stolik przy łóżku i wziął stamtąd budzik. Był bardzo ciężki, cały mosiężny, z rzymskimi cyframi. Uderzył nim chłopaka w głowę, a potem powtórzył to wielokrotnie. Każdy cios był silniejszy od poprzedniego.

Obserwował swoją ofiarę obojętnie. Casha wiedział, że umiera, i walczył o życie. W końcu przestał się ruszać. Benny był pewien, że nie musi sprawdzać, czy oddycha.

To miała być wiadomość dla Abula. Eks-przyjaciel wypelza z najgłębszej nory, gdy rozejdą się wieści o śmierci brata. Przejrzał rzeczy Cashy i znalazł jeszcze jeden numer Abula. Schował karteczkę do kieszeni i zszedł na dół. Aż dygotał z podniecenia. Rozwiąże to wszystko sam, a wtedy Maura i Garry przekonają się, że potrafi kontrolować sytuację i samego siebie, kiedy trzeba.

Natychmiast zapomniał o zwłokach Cashy stygnących w sypialni. Zrobił sobie w kuchni kawę i grzanki. Włączył przenośny telewizor i zobaczył, że mówią o nim w wiadomościach. Biedny Jonny został oskarżony o pomaganie mu w ucieczce. Trzeba będzie dopilnować, żeby dostał gratyfikację. Załatwi tę sprawę, kiedy to wszystko się skończy. Przełączył na talk-show *Trisha* i jedząc śniadanie, oglądał ludzi, którzy poddali się badaniu DNA w celu ustalenia ojcostwa.

Uwielbiał takie programy i zawsze go dziwiło, że ludzie sami sobie szykują taki podły los. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby przyjrzeć się sobie. Szczerze wierzył, że jest absolutnie normalnym facetem, że jest w porządku. Oglądając tych biednych durniów w telewizji, nie mógł zrozumieć ani ich samych, ani ich pogmatwanego życia, ale tragedie innych go fascynowały.

Pomyślał o dziecku i nagle ogarnął go żal. Gdyby Carol nie była tak cholernie wścibska, gdyby nie grzebała w jego szafie, można byłoby uniknąć kłopotów.

Tak bardzo zgłodniał, że musiał zrobić sobie więcej grzanek i kawy, zanim się nasycił. Przypomniawszy sobie, że nie jadł od poprzedniego wieczoru, więc miał prawo być bardziej głodny niż zwykle. No i w końcu miał za sobą wyczerpującą noc. Był zmęczony i zdenerwowany. Niedobra kombinacja w przypadku Bena Ryana. Ale uważał, że upora się ze wszystkim, a potem przekima parę godzin i wstanie jak nowo narodzony, jak mawiała babcia.

Wziął szybki prysznic i pogwizdując, ruszył w dalszą drogę. Tym razem wziął samochód Cashy. Było to sympatyczne małe bmw i w nim czuł się świetnie za kierownicą,

zwłaszcza po przejeździe lichym peugeotem. Spaliłby się ze wstydu, gdyby ktoś znajomy zobaczył go w tamtym gruchocie. Na wieki okryłby się hańbą. Za to bmw było takim świętym autkiem, że pomyślał, czy nie warto kupić takiego dla siebie.

Śmiertelnie wystraszył innego kierowcę, przejeżdżając na czerwonym świetle i przecinając mu drogę. Wkurzył go ten człowiek, ale nie miał czasu, aby się z nim rozprawić. Misja, jaką miał do wypełnienia, nie pozwalała na zwłokę.

W takim stanie umysłu Benny Ryan wyruszał na poszukiwanie dawnego przyjaciela.



Jack płakał z bólu, a Tony Dooley Senior powtarzał w kółko:

- Powiedz mi to, co chcę usłyszeć, Jack, a obiecuję, że skończymy szybko.

Torturowany Jack był bliski obłądu. Miał złamaną rękę, a twarz go paliła od kwasu, którym Tony kropla po kropli kapał mu na twarz w regularnych odstępach czasu. Ale padnie trupem, a nie zacznie mówić. Połamali go i wykończą, lecz umrze, mając choć tę satysfakcję, że nie zmusili go do mówienia. Nie chodziło tu o żadną lojalność, tylko o zawodowy honor. Zabił na zlecenie dziesiątki ludzi i zawsze patrzył z pogardą na tych, którzy bełkocząc błagali o litość i dopóki nie wydali ostatniego tchnienia, próbowali iść na układy. Przysięgał sobie wtedy, że sam nigdy się do tego nie zniży.

- Zaczynam tracić cierpliwość, Stern.

Jack prawie majaczył, twarz paliła go żywym ogniem.

- Proszę, Tony, daruj już sobie, bracie. Dość!

Próbował usiąść.

Tony skinął na swojego drugiego pod względem starszeństwa syna i Winston Dooley przytrzymał w górze zdrową rękę ofiary, a ojciec roztrzaskał łokieć kijem baseballowym.

Jack zawył, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Jeśli o nich chodzi, mógł sobie wyć do woli. Nikt go nie usłyszy w tym szeregowym garażu w Brixton, zważywszy na hałas wokół. A nawet gdyby usłyszał, i tak uzna, że to nie jego pieprzony interes. Taka dzielnica. W sąsiednim garażu była zainstalowana aparatura nagłaśniająca i cały czas leciała muzyka reggae. Dla Jacka było to nawet gorsze od tego, co mu robili. Wymiotując z bólu, bezskutecznie próbował przeturlać się na bok, nie mogąc wspomóc się rękami. Nigdy w swoim życiu nie doświadczył takiego bólu.

Tony otworzył butelkę z kwasem i uniósł ją nad okiem Jacka

- Wypalę ci dziurę w mózgu, jeśli mi nie powiesz, co chcę wiedzieć. Nie wywiniesz się z tego, słyszysz?!

Dooley Senior trząsał się z wściekłości. Bardzo kochał swojego najstarszego syna, a Maura Ryan była jego najlepszą przyjaciółką. Tony Junior nie żył i Jack musiał zapłacić za prowadzenie podwójnej gry. Powinien dwa razy pomyśleć, zanim zrobił sobie wrogów z Dooleyów i Ryanów.

- Już jesteś martwy, Jack. Możesz umrzeć szybko albo powoli, ale umrzesz, to już koniec. Vic na pewno nie łudzi się, że wytrzymasz, każdy by pękł po takich torturach. Nie przyniesie ci to ujmy.

Jack nie mógł nawet ruszyć ręką, żeby ochronić twarz i oczy. Kilka kropli kwasu kapnęło na jego gałkę oczną. Odruchowo zacisnął powieki, ale kwas natychmiast je przeżarł. Przez chwilę Jack wrzeszczał, a potem stracił przytomność. Tony wylał na niego wiadro zimnej wody.

- Odkręćcie wodę i polejcie go z węża.

Zapalił papierosa Benson & Hedges i patrzył, jak cucą jego ofiarę. Był pod wrażeniem. Jack zniósł znacznie więcej, niż wydawało się to możliwe. Tony poruszał się w świetle, w którym każdy człowiek był tylko bydlakiem.

Teraz widział, jak bardzo się mylił.

◆◆◆

W opuszczonej stodole na terenie posiadłości Sterna nie było już nikogo oprócz Vica, gdy Kenny tam dotarł.

- O co chodzi tym razem? - zapytał znużony. - I niech to będzie dobry powód, Vic, bo potrzebuję snu dla zachowania urody.

Vic poklepał go jowialnie po ramieniu.

- Snu nigdy za mało. - Objął Kenny'ego ramieniem. - przyrządzimy sobie jakieś śniadanie. Umieram z głodu.

Kenny rozejrzał się dookoła.

- Gdzie jest Tommy Rifkind?

Vic wzruszył ramionami.

- A kto to wie, bracie? Na pewno nie ja. Cały Vic, zapowiada, że organizuje spotkanie, a potem nawala. Z każdym dniem coraz bardziej odbiera mu rozum. Kenny rzucił niby to mimochodem:

- A tak przy okazji, Benny Ryan wyrwał się wczoraj w nocy na wolność. Pomyślałem, że może chciałbyś to wiedzieć.

Vic ryczał ze śmiechu, kiedy wsiadali do range rovera.

- Pięknie! A z tego Abula jest niezły kawał dwulicowego sukinsyna. Ale był ważnym elementem mojej wielkiej intrygi. Nie był przy zdrowych zmysłach, to oczywiste. Był też nafaszerowany koką. Kenny cieszył się, że nigdy się w to nie wciągnął. Zawsze wolał się napić.

- Dokąd jedziemy, Vic?

- Do domu Jacka. Byłoby wstyd, żeby tyle pięknej przestrzeni się marnowało. A tak między nami, żyje on jeszcze?

Mówił przyjaznym głosem, na luzie, i Kenny odpowiedział w podobnym tonie:

- Kto to wie? Kto to może wiedzieć?

Vic wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A dokładniej rzecz biorąc, kogo by to miało obchodzić?

Kenny zastanawiał się, co robi jego córka. Obiecał zabrać ją do Marsh Farm zoo, chciała karmić zwierzęta. Miał nadzieję, że kiedyś wreszcie będzie mógł pobyc w domu. Chciał z nią spędzać czas. Dla niego liczyła się teraz tylko Alicia i nie miał zamiaru dalej grzęznąć w tym bagnie. To nie było warte zachodu. Nic z tego gówna nie było tego warte.

Żałował, że takiej nauczki jak ostatnio nie dostał wiele lat temu. Nie siedziałby teraz w takim gnoju.

Miał dość pieniędzy, żeby przeżyć w komforcie resztę życia więc po kiego licha bawi się w mediatora, skoro mógłby być w dowolnym miejscu świata, zamiast siedzieć potulnie w range roverze z takim pieprzonym świrem jak Vic Joliff?

Ile pieniędzy to dużo pieniędzy, do jasnej cholery?

Uznał, że to dobry temat do rozmyślań. Wszystko było lepsze od zastanawiania się nad kłopotliwym położeniem, w jakim się teraz znajdował. Był tu dla Maury Ryan, tyle wiedział. Jeśli niańczenie psychopaty i kokainisty pomoże zapewnić jej bezpieczeństwo, będzie to robił bez użalania się nad sobą. Maura umiała wzbudzić w nim poczucie lojalności i... chyba coś więcej.

- Zastanawiasz się czasami, jak wpakowaliśmy się w takie życie? - zapytał Vica.

Tamten wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie. Co innego mielibyśmy robić?

Kenny westchnął.

- Nie wiem. Ale w tym pieprzonym życiu na pewno musi chodzić o coś więcej.

Vic zjechał na pobocze i patrząc na Kenny'ego, powiedział poważnie:

- Kiedy spotkałem Sandrę, czułem się tak, jakby ktoś włączył cholernie jasne światło, w którym zobaczyłem, czego mi przez lata brakowało. Pod pewnymi względami był z niej

niezły numer, wiem, ale dla mnie była jakby moją drugą połową. Tą, której we mnie brakowało. Jeśli to jest miłość, Kenny, to ją kochałem. Tyle wiem. Nigdy nie odczuwałem czegoś takiego. Czy czułeś coś podobnego do Lany?

Kenny milczał przez chwilę.

- Tak, czułem. Czasem nie była słońkiem na niebie, ale nie widziałem poza nią świata.

- Przynajmniej tyle było nam dane. Miejmy nadzieję, że one to wiedziały. W momencie śmierci - mruknął Vic.

Uruchomił range rovera i jechali do domu Jacka w ciszy, każdy zatopiony we własnych myślach. Kenny nadal nie wiedział, dlaczego ten szaleniec chciał się z nim spotkać, i podejrzewał go o najgorsze. W czasie jazdy Vic co jakiś czas pocierał nos i po brodzie ściekała mu strużka krwi, rozpryskując się na kierownicy. Wydawało się, że tego nie zauważa.

Chyba jest już na wylocie, pomyślał Kenny. Można by grać w orła i reszkę, co wykończy go wcześniej - koka czy gang Ryanów.

◆◆◆

Dezzy Haseem był w swoim sklepie w Forest Gate, kiedy zobaczył w drzwiach Bena Ryana. Próbował uciekać, ale Benny go dopadł. Chwyciwszy kuzyna Abula za turban, wyciągnął go ze sklepu i wepchnął do zaparkowanego na ulicy samochodu.

Dezzy wrzeszczał, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Nawet jego ojciec nie próbował powstrzymać Bena, popatrzył tylko na żonę i rzekł zgnębiony:

- Wiedziałem, że to się musi tak skończyć. Wychowałam kryminalistę.

Matka Dezzy'ego wybiegła ze sklepu, żeby ratować najstarszego syna. Przeklinała i miotła się jak wariatka, ale Benny już odjeżdżał. Osunęła się na chodnik i krzyczała, błagając przechodniów o pomoc. Zignorowali ją. Nikt nie chciał zostać w to wmieszany.

Mąż wciągnął ją do środka i zamknął sklep. Miał powyżej uszu swoich dzieci. Żadne nie spełniło jego oczekiwań. Synowie albo włóczyli się z angielskimi dziewczynami, albo ćpali, albo wałęsali się z kumplami. Rozczarowali go wszyscy. Nawet córka wyprowadziła się z domu i mieszkała z chłopakiem.

Myśleli, że on nie ma o niczym zielonego pojęcia, ale tak nie było. Wiedział o wszystkim, choć żona by go o to nie posądzała. Pochodziła z Coventry i to było według niego źródłem problemów. Powinien wrócić do Indii i znaleźć sobie kobietę, która byłaby mu posłuszna. Matka go ostrzegała i miała rację. Zeuropeizowana żona oznacza kłopoty. Gorszył się i wściekał z powodu upokorzeń, jakie musiał znosić przez dzieci.

Miał nadzieję, że Benny Ryan skopie jego synowi dupę. Byłoby to dla niego niezłą nauzką.



Dezzy siedział w skradzionym bmw, trzęsąc się ze strachu Benny spojrzał na niego i uśmiechnął się, co jeszcze bardziej pogorszyło samopoczucie Dezzy'ego. W oczach Bena dostrzegł błysk szaleństwa.

- Jak się ma Abul?

Odpowiadając, Dezzy jękał się ze strachu.

- Nie wiem... ty go widzisz... częściej niż ja.

Benny uśmiechnął się i jakby toczyli zwykłą rozmowę, powiedział lekko:

- Mam zamiar rozciąć mu brzuch i wyjąć wątrobę. A jeśli nie odpowiesz na moje pytania, zmuszę cię, żebyś ją zeżarł.

Dezzy zemdłał, a Benny nadal się śmiał, śmigając przez kolejne skrzyżowania na czerwonych światłach. Zachowywał się dzisiaj jak furia. Sam uznał poziom własnej agresji za niepokojący. Była to dla niego nowość i jeszcze jeden powód, żeby obwiniać dawnego przyjaciela, Abula Haseema.

Nie mógł się doczekać, kiedy go zabije.

Dezzy zaczął odzyskiwać przytomność i Benny uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Zrób mi przysługę, co? Rusz mózgowicą i powiedz, gdzie znajdę Abula, a wtedy ja, twój dobry stary kumpel, nie wyślę cię na wieczne odpoczywanie... jak Cashe.

Dezzy znowu zemdłał.

Benny zarechotał. Kuzyn Abula nigdy nie należał do odważnych, ale to tylko ułatwi sprawę. Pod warunkiem, że uda się go na dłużej ocucić.

Rozdział 22

Maura słuchała, jak matka gawędzi z dwoma policjantami siedzącymi w kuchni przy herbacie. Jeden z nich, Tennant, czuł się najwyraźniej bardzo swobodnie, jak we własnym domu.

Był przyjazny, co oznaczało, że znajdował się na ich liście. Maura była pod wrażeniem zręczności, z jaką prowadził wywiad, i miała zamiar powiedzieć Garry'emu, żeby dał mu ekstragratyfikację. Matka wprost się w nim zakochała, trudno było tego nie zauważyć.

- Doskonale rozumiem, pani Ryan. Tak, taka jest prawda... jeśli ktokolwiek zna tego chłopca, to pani.

Wiedział, kto mu płaci, i zamierzał utrzymać te lewe zarobki jeszcze przez długi czas. Sarah pławiła się w jego pochlebstwach.

- Zawsze był trudnym dzieckiem, a od śmierci matki żył cały czas w napięciu. To się chyba w dzisiejszych czasach nazywa stresem. Ale tak naprawdę to kochany chłopiec.

Partner Tennanta, Tom Kenning, był zszokowany. Benny Ryan miał ewidentnie nie po kolei w głowie, a oni mówili o nim jak o normalnym facecie. Zastanawiał się, do czego tacy ludzie są zdolni. Może dla rozrywki podpalają sierocińce albo torturują kocięta? Nic by go nie zdziwiło, jeśli o nich chodzi. Nawet ich starej matce brakowało piątej klepki.

Pił w milczeniu herbatę i słuchał uważnie. Znał plotki na temat komisarza Tennanta, a teraz miał dowód.

Ale Maura Ryan wydała mu się urocza, i to go zaskoczyło. Patrząc na garnitur Tennanta z ekskluzywnego domu mody i przypominając sobie jego opowieści o wakacjach i weekendowych wyjazdach zagranicznych, zastanawiał się, czemu sam ma pozostać głupcem, który nie wykorzystuje szansy poprawienia sobie życia. W końcu jeśli Ryanowie mieli w kieszeni tylu ludzi i jeśli prawdziwe były plotki, że to oni decydowali, kto awansuje, a kto nie, też powinien zadbać o swoją karierę.

Posłał staruszce najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów i zapytał przymilnie:

- Można jeszcze trochę tego wspaniałego ciasta? Jeżeli była choć trochę podobna do jego własnej babki, to te słowa powinny mieć magiczną moc. I miały. Sarah zerwała się z krzesła i ukroiła mu następny kawałek. Tennant skinął głową na znak aprobaty i puścił oko do Maury, która uśmiechnęła się.

Wygląda na to, że mają nowego rekruta. Najlepiej było werbować młodych, bo przyzwyczajają się ich do pobierania dużej kasy, zanim zdążyli się zorientować, czego się od nich wymaga za te pieniądze.

- Jeśli się pokaże, to skontaktujecie się z nami? - zapytał Tennant.

Maura i Sarah przytaknęły.

- Oczywiście. Martwimy się o niego tak samo jak wy - powiedziała Maura.

Rzeczywiście się martwiła. Może znowu kogoś zabił, tym razem w biały dzień? Wiedziała, że jest do tego zdolny.

Sarah nadal się uśmiechała, kiedy odprowadzały dwóch młodych mężczyzn do wyjścia. Gdy wyszli, przedrzeźniała ich, chichocząc:

- „Jeśli się pokaże, skontaktujecie się z nami?”. - Nie przejmując się lekko zgorzowaną miną Maury, dodała: - Akurat! Jezu, ten chłopak będzie musiał wyjechać z kraju, żeby się z tego wypłatać, ktokolwiek by za nim stał. Załamanie nerwowe! Jeśli w to uwierzą, da się im wcisnąć wszystko.

Maura uśmiechnęła się.

- Mogę mu kupić opinię medyczną, jaką zechcę, mamie powinnaś to wiedzieć.

- Oczywiście, że możesz, ale czy zrobiłabyś mądrze? On jest całkiem świrnięty, to pomylenie Garry do kwadratu... co można więcej powiedzieć. Boże, wybac mi, przecież Gal jest moim dzieckiem, ale zawsze miał nie po kolei w głowie.

Maura przytuliła ją i powiedziała wesoło:

- Mamie, w tej rodzinie wszyscy jesteśmy trochę zwariowani.

Sarah wywinęła się z jej objęć i rzekła bardzo poważnie:

- Cóż, to dziedzictwo po linii ojca. Oni rzeczywiście byli trochę dziwni. Jego matka miała manię wielkości. Kiedy mój ojciec zobaczył ją po raz pierwszy, zapytał: „Kim jest ta macadamia?”.

Pokiwała głową dla podkreślenia wagi swoich słów i zirytowała ją reakcja Maury, która padła na krzesło w przejściu i ryczała ze śmiechu. Hysteryczny śmiech, pomyślała Sarah. Jeśli ktokolwiek żyje w prawdziwym napięciu czy stresie, jak to nazywają teraz w czasopiśmie, jest to na pewno jej córka - kochana, zagubiona i z gruntu dobra.

- Chodź, chodź, zrobię jeszcze herbaty, chociaż mamy już jej po dziurki w nosie.

Maura potulnie poszła za matką.

Gdy siedziały razem w kuchni, Sarah z zaskoczeniem stwierdziła, że nie ma dla niej znaczenia, czy wróci do swojego domu, czy nie. Córka jej potrzebowała, więc pozostanie tu tak długo, jak Maura będzie chciała. Ich przywrócona na nowo bliskość została przypieczętowana raz na zawsze. Dobrze jej było przez te kilka ostatnich dni. Czuła się znowu użyteczna i kochana. Miłość córki otuliła ją jak płaszcz, a niczego nigdy bardziej nie pragnęła, niż czuć się kochaną przez własne dzieci i być im potrzebną.

◆◆◆

Carla leżała w łóżku w domu Sarah w Notting Hill i rozmyślała nad swoim życiem. Wydawało jej się, że po awanturze z Maurą o Toma powoli wychodzi z jakiegoś transu. Dlaczego zrobiła to, co zrobiła? Aż tak rozpaczliwie pragnęła mężczyzny, że sięgnęła po cudzego? Bawiło ją, że to był facet Maury? Postanowiła zapomnieć o bolesnej sprawie. Podobnie jak ciotka miała wybiórczą pamięć. I tak jak ciotce doskonale jej to służyło.

Całe życie żyła w cieniu Maury i nikt z rodziny nie traktował jej poważnie. Powinna pracować, spróbować wziąć własne życie w swoje ręce, to prawda. Ale uzależniła się od opieki Maury, pieniędzy bez pracy i pozycji. Gdy ludzie dowiadawali się, do jakiej należy rodziny, traktowali ją jak księżniczkę. W pewnym sensie rozumiała Bena. Rozpaczliwie pragnął być taki jak Michael, jak „chłopcy”, jego wujowie, i nadrabiał swoje kompleksy

brutalnością. Chciał w ten sposób prześcignąć Michaela. Jednak nie miał jego zalet - powstała więc niebezpieczna mieszanka.

Carla szukała dla siebie usprawiedliwienia, ale nie zmieniało to faktu, że postąpiła źle, bardzo źle. Jednak od lat żywiła do Maury urazę. Gdy dostała od niej nowy samochód i pochwaliła się nim przed ojcem, uderzył ją wyraz jego twarzy. Nagle zrozumiała, że i on, i matka uważają ją za darmozjada. Janine spojrzała na samochód i powiedziała, że wygląda na bardzo drogi. Ojciec nic nie powiedział, tylko odszedł, co bardzo Carlę zraniło i zarazem rozżłościło. Pocieszyła się wtedy tym, że Benny, zachwycony autem, wyprosił przejażdżkę, żeby się pochwalić koleśiom. Szczerze mówiąc, też lubiła się popisywać przed wszystkimi, czym tylko mogła.

W końcu przejrzała na oczy - ludzie uważają ją za pijawkę i mają rację. Dzięki Maurze łatwo jej się żyło. Ciotka dawała jej wszystko, czego tylko zapragnęła, i dawała z uśmiechem, z serca. A ona brała to, skrycie nienawidząc kobiety, która była dla niej taka hojna.

Teraz jednak zrobiłaby wszystko, by znowu wkraść się w łaski ciotki. Chętnie wskoczyłaby do samochodu i pojechała do niej, gdyby tylko wiedziała, że zostanie ciepło powitana i potraktowana życzliwie, jak było do niedawna. Bo Maura zawsze akceptowała ją taką, jaka była. Niestety, ona sama siebie nie akceptowała. Ale za to też winiła ciotkę, za własne poczucie niższości. A przecież sukces Maury sama uznała za wzór dla siebie, choć w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że nie mogło być mowy o rywalizacji między nimi - ciotka wygrywałaby zawsze, z założonymi rękami.

Bardzo się różniły. Maura chętnie pomagałaby każdemu, uszczęśliwiała innych, na ile to było w jej mocy, a ona lubiła oczerniać i wyszydzać ludzi, jeśli nad nią górowali.

Bez rodziny byłaby nikim, kompletnym zerem. Ale była zbyt samolubna, żeby przejmować się ich problemami. Załamanie ojca działało jej tylko na nerwy, choć skrzętnie to ukrywała. Nawet gdy robiła to, czego od niej oczekiwano, nikt nie miał pojęcia, co naprawdę myśli.

Chciała, żeby jej syn był idealny, a nie był. Teraz, kiedy potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek, Joey, nieodrodny syn swojej matki, zaczął ją lekceważyć, bo nie miała pieniędzy. Był wstrętnym egoistą. Nadal dostawał kieszonkowe od Maury, lecz nie zaproponował Carli, że się z nią podzieli. A ona była pod kreską - wciąż za dużo wydawała, weszło jej to w nawyk. Przedtem zajmowała się tym Maura, jak wszystkim innym. Teraz Carla była dokładnie splukana i nikogo nic a nic to nie obchodziło.

Zachciało jej się płakać. Benny nie miał dla niej czasu, jak reszta rodziny. Miała przyjaciół, ale to nie byli prawdziwi przyjaciele. Obmawiali się nawzajem i śmiali z cudzych niepowodzeń, tylko pozorowali zażyłość. Bawił ich żart, że przyjęcia się przeciągają, gdyż nie ma odważnego, kto by pierwszy wyszedł, bo reszta natychmiast wzięłaby go na języki. Z takimi ludźmi spędziła większą część życia i wiedziała, że tylko traciła z nimi czas. Gdyby dowiedzieli się o aferze z ciotką unikaliby jej jak trędowatej. Przecież przyjaźnili się z nią głównie ze względu na Maurę Ryan. Uwielbiali słuchać opowieści o niej, ale teraz Carla rumieniła się ze wstydu, przypominając sobie, co czasami wygadywała na temat ciotki.

Była wobec niej wredna i paskudna, a ona naprawdę na to nie zasługiwała; w życiu Carli znaczyła więcej niż wszyscy tak zwani przyjaciele. Oni cieszyliby się, gdyby wiedzieli, że Carla wypadła z łask, choć słyszałaby słowa współczucia. Musiała odzyskać zaufanie Maury, i to nie tylko ze względu na finanse. Potrzebowała przyjaznych ramion, żeby się wypłakać, a jedynie ona je oferowała.

Kiedy usłyszała dzwonek, otworzyła drzwi i oniemiała na widok brata. Twarz jej się na moment rozjaśniła, ale chwilą potem przypomniała sobie o głowie w szafie.

- Co ty tu u diabła robisz?

Omam jej nie przewrócił, wchodząc do środka.

- Miłe powitanie, siostrzyczko. Przypomnij mi, żebyś się zrewanżował tym samym, kiedy cię następnym razem zobaczę.

Ruszył przez kuchnię do ogrodu, a ona za nim.

- Zrób mi herbaty, bądź grzeczną dziewczynką.

Zamknął jej przed nosem drzwi przybudówki, a Carla nie była taka głupia, żeby pchać się, gdzie jej nie proszą. Wróciła do domu i zrobiła herbatę. Dwie minuty później wpadł z powrotem do kuchni.

- Kto był w przybudówce?

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko zostało wyczyszczone, zanim cię zapuszkowali. Rusz makówką, Benny. Kiedy gliny przyszły tu potem, przewróciły wszystko do góry nogami.

Kiwnął głową, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co się stało. Zdarzało mu się, że ważne sprawy wylatywały mu z pamięci. Pustym wzrokiem gapił się właśnie w przestrzeń, a Carla przyglądała mu się z niepokojem.

- Kto jest w samochodzie? - zapytała, bo dostrzegła, że ktoś siedzi w nieznanym bmw zaparkowanym przed domem. - Wygląda jak Dezzy.

Jej słowa przebiły się przez mgłę zasnuwającą jego umysł i wyszedł z domu, nie mówiąc już ani słowa. Wybiegła za nim.

- Masz jakieś pieniądze, Ben?

Wsadził rękę do tylnej kieszeni i wyciągnął plik banknotów, które zabrał z domu Abula. Rzucił je w jej stronę, wsiadając do auta. Zanim pozbiierała pieniądze, już go nie było. Wróciła do domu z lżejszym sercem. Przynajmniej miała trochę funtów.

Joey spłynął ze schodów w jej szlafroku i zawołał wesoło:

- O, forsa! Ile ci dał?

Nagle zobaczyła go oczami babki i oczami wszystkich innych: to po prostu chciwy, antypatyczny pedał. Był to moment olśnienia.

- Odpieprz się, Joey.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wstałaś dzisiaj z łóżeczka lewą nogą? Przepraszam, zapomniałem, że nie masz już własnego łóżeczka.

Z uśmiechem patrzył na jej urażoną minę. Przestał się uśmiechać, gdy pięść Carli wylądowała na jego kości policzkowej. Z płaczem pobiegł na górę, a ona krzyknęła za nim:

- Zdejmij z siebie mój szlafrok, do cholery!

Poprawił jej się nastrój, kiedy mu przyłożyła. Weszła do kuchni i przeliczyła pieniądze. Dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że może powinna kogoś zawiadomić, że jej brat grasuje po mieście.

◆◆◆

Jack był jedną krwawiącą raną. Dooleyowie byli naprawdę pod wrażeniem. Palili go kwasem i torturowali na różne sposoby, ale choć mając z bólu, nadal nie chciał mówić.

Tony zapalił kolejnego papierosa, zadzwonił do Maury na komórkę i powiedział, jak wygląda sytuacja. Nie przerywała mu, wysłuchała szczegółowej relacji o stanie Jacka. Czując mdłości na myśl o tym, co przeszedł, zapytała:

- I co zamierzasz teraz zrobić?

- Nie rezygnujemy, Maws. Mam ampułkę adrenaliny i zaraz mu ją zaaplikuję. Mam nadzieję, że podtrzyma go to przy życiu przez jakiś czas, choć szczerze mówiąc, myślę, że on się nie złamie. Nie sądziłem, że usłyszysz coś takiego, ale to prawdziwy twardziel.

- Na to wygląda. Informuj mnie na bieżąco.

- Co się dzieje z Bennym?

Zaśmiała się, lecz nie był to radosny śmiech.

- Skąd mam wiedzieć, Tony? Nie możemy go zlokalizować.

- Potrzebne ci to, dziewczyno?

- Jak cholerna dziura w moście. Dzwoń do mnie, dobrze?

- Jasne. To już nie potrwa długo.

Tony rozłączył się. Słuchając jednym uchem Shaggy'ego w piosence *Oh, Carolina*, przytupywał sobie do taktu. Jack był w opłakanym stanie. Twarzy już właściwie nie miał, połamali mu też prawie wszystkie kości. Znowu odzyskał przytomność i mamrotał coś niezrozumiale. Tony popatrzył na swoich synów, którzy pili kawę od McDonalda i palili skręta. Był z nich bardzo dumny. Dobrzy, porządni, pracowici chłopcy, którzy dbają o to, by ich żonom i dzieciom niczego nie brakowało. Miał rodzinę, którą można było podziwiać. Rozmyślał, co może się stać z Bennym Ryanem, i chciał o tym pogadać z synami.

Porozmawiali chwilę o prawnych konsekwencjach jego ekscesów i wrócili do Jacka. Był już prawie martwy. Polali go wodą z węża i zrobili zastrzyk w serce.

Ocknął się, ale był półprzytomny. Oczy miał całkowicie wypalone. Tony polał go benzyną i wydawało się, że zmysły mężczyzny zareagowały jeszcze na woń oparów. Wydał z siebie jakiś okropny dźwięk i synowie Tony'ego popatrzyli na siebie spode łba.

- Jeśli mnie rozumiesz, Jack, lepiej powiedz, co chcę usłyszeć, a szybko to skończę, obiecuję! - krzyknął Tony prosto w ucho Jacka, a raczej w to, co z niego zostało. - Zaczyna mówić... zamknijcie się, do cholery! Próbuje mi coś powiedzieć.

Pochylił się i wsłuchiwał uważnie. Wreszcie usłyszał: „Pieprz się!”.

Zerwał się, jednym pstryknięciem otworzył srebrną zapalniczkę Zippo, prezent od nieżyjącego syna, i rzucił ją na wrak człowieka u swoich stóp. Ciało buchnęło ogniem i Tony wraz z synami patrzył, jak Jack wije się na podłodze.

- Co za cholerna strata czasu, tato.

Tony wzruszył ramionami. Patrzył na płonące ciało.

- Niezupełnie. Zapłaciliśmy mu za Juniora. To bardzo ważne. Stern okazał się twardy i choć nienawidziłem go z całego serca, muszę wyrazić swoje uznanie. Niewielu facetów zniosłoby to, co mu zgotowaliśmy.

Pokiwali głowami. Tony ziewnął i dodał.

- Wyrzucicie go na wysypisko, ale najpierw zapakujcie do jakiegoś worka. Ja idę do domu trochę się zdrzemnąć.

Powiedziawszy to, zostawił ich i pojechał do pogrążonej w rozpaczony żony. Po drodze zadzwonił do Maury i zdał jej relację. Wcale nie był z siebie zadowolony. Robił się za stary na tę robotę. Był czas, kiedy cieszyło go wymierzanie okrutnej kary, ale tamte dni należały

już do przeszłości i zdecydowanie nadeszła pora, by oddać ster chłopcom. Dzisiaj się o tym przekonał.

Dwa razy wymiotował na poboczu, zanim dotarł do domu, musiał też zjechać do zatoki, żeby opróżnić jelita, ale wiedział, że zapach palonego ciała będzie go jeszcze długo prześladował.

◆◆◆

Kenny i Vic pili kawę w supernowoczesnej kuchni Jacka.

- Ciekawe, kto to wszystko dostanie.

Vic zaczął wciągać kolejną linijkę koki.

- Powinieneś to rzucić, stary. Miesza ci w głowie, a przy okazji także i mnie, a mamy się dogadać - powiedział Kenny.

- Założę się, że już siedzisz w majtkach u Maury Ryan. Dobra jest? - Widząc oburzony wyraz twarzy Kena, roześmiał się i dodał: - To tylko żart, ale już wiele lat temu byłeś na nią napalony. Pomyślałem sobie, że skoro ten ostani absztyfikant pomieszał jej szyki, mógłbyś wystartować do niej i zająć jego miejsce.

Przybrał minę lubieżnika, tak że Kenny mimo wszystko miał ochotę się roześmiać. Vic znowu był dawnym Vikiem. Przez krótki moment.

- Jak to się wszystko stało? Moja Sandra, twoja Lana. Jaka kanalia się za tym kryje?

Kenny nie odpowiedział.

- Chcesz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, Ken? Żebyś mógł pojechać z powrotem do Ryanów i za powtórzenie im tego odzyskać dla mnie kokę?

Kenny wstrzymał oddech.

Vic wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu, którego bali się wszyscy, nawet jego stara matka.

- Takiego wała! Powiedz swojej Maurze, że będę pertraktował tylko z nią samą, jasne?

Kenny potrząsnął głową.

- Ryanowie tego nie kupią...

Vic przerwał mu.

- Pieprzyć cię, Kenny. I pieprzyć ich wszystkich. Jeśli chcą coś wiedzieć, tak właśnie ma być. Podam im czas i miejsce w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Nie było już wiele do powiedzenia. Vic wciągał następną porcję koki i Kenny wiedział, że nie warto sobie strzępić języka.

- Porwali mojego brata... Mogę to przełknąć, tak pogrywamy, ale niech choć włos spadnie ze łba tego sukinkota, wtedy bez dwóch zdań będę się mścił. Ale powiedz im, że teraz

chodzi mi o kokę, a dokładniej o kokę Jacka. Byliśmy partnerami i jest tam ładnych parę funtów.

Kenny kiwnął głową.

- Zrozumieją to. Jeszcze nigdy nikogo nie wystawili do wiatru.

- Na razie nie. Choć Tommy, jak sądzę, powiedziałby co innego.

- A gdzie jest Tommy?

Vic poklepał się po nosie i mrugnął do niego.

- Zostaw to. Niedługo się dowiesz. Być może zdejmę z pierwszych stron gazet nawet Bena Ryana.

Kenny miał złe przeczucia.

◆◆◆

Radon „Coco” Chatmore był zaskoczony i przerażony, gdy zobaczył w drzwiach Benny’ego Ryana, trzymającego za turban Dezzy’ego Haseema, ciężko pobitego i nieprzytomnego. Ben z całej siły pchnął chłopaka na Radona, który stracił równowagę. Leżał teraz na podłodze obok bezwładnego ciała swojego kumpla i partnera w interesach.

- Cześć, gnojku. Wykiwałeś ostatnio więcej swoich koleżków?

Radon próbował podnieść się z podłogi, ale Benny zaserwował mu potężny kopniak w brzuch.

- Mamy ze sobą do pogadania. Ale wiesz co? - Uśmiechnął się. - Nie mam ze sobą Super Glue.

Zauważył, że Coco odetchnął z ulgą, więc wyciągnął coś z kieszeni i powiedział wesoło:

- Ale patrz, co znalazłem w samochodzie Cashy...

Trzymał w ręku przemysłowy zszywacz.

- Mam tylko problem, czy zrobić ci oczy otwarte, czy zamknięte. A ty jak wolisz?

Z całą powagą pytał Radona o opinię w tej sprawie, jakby była dla niego bardzo ważna.

Dezzy jęknął. Wtedy Coco zauważył, że powieki jego kumpla zostały wielką zszywką szczipione z brwiami, a gałki rozwartych oczu są całkiem wyschnięte.

- Co ty wyprawiasz, Benny, przecież jesteśmy twoimi przyjaciółmi!

Przystojna twarz Bena wykrzywiła się w grymasie psychotycznej złośliwości.

- Już nie, Radon. Nie, ty dwulicowy palancie. Jesteś dla mnie śmieciem, głównem na moich butach i umrzesz w potwornym bólu, a ostatnia rzecz, jaką zobaczysz, to zszywacz, który szcypi twoje pieprzone oczy, żebyś ich już nigdy nie otworzył.

Zarechotał.

Ponieważ Dezzy znowu się poruszył i zaczął jęczeć, schylił się i wbił mu zszywkę w czoło.

- Poręczne narzędzie, co? Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę z tobą, Coco.

Zmusił Radona, żeby zaciągnął Dezzy'ego do salonu. Kiedy zobaczył tam aktualną dziewczynę Radona, Shamillę, rzucił wesoło:

- Cześć, Sham, jak się masz, kochanie?

Shamilla patrzyła, jak Coco wciąga do pokoju pobitego Dezzy'ego, zauważyła zszywki na jego oczach i rzekła szybko:

- Właśnie wychodziłam.

Benny cmoknął z niezadowoleniem.

- A dokąd to? Jesteś z kimś umówiona?

Przytaknęła.

Pochylił się nad nią i ryknął jej w twarz:

- Nigdzie nie idziesz, zdiro! Zrób mi kanapkę i herbatę. Mocną i słodką, taką jak lubię.

Wybuchnęła płaczem, ale Benny chwycił ją za prowokacyjny top z nadrukiem „Twarda sztuka” na piersiach i zaciągnął do kuchni.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, Sham, bo pożałujesz. Zrób herbatę i nie drażnij mnie, bo skopię ci dupę, jasne?

Kiwnęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. Wiesz, o co mi chodzi.

Słyszała, jak pogwizduje, przywiązując Radona do krzesła.

Pośpiesznie zrobiła herbatę. Zanosilo się na kłopoty i nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Absolutnie nic. Ale miała przecucie, że na jakiś czas tutaj utknęła. Otworzyła lodówkę i zaczęła robić kanapki, o które prosił Benny. Gdyby kazał jej tańczyć nago dookoła stołu, zrobiłaby to, zresztą nie pierwszy raz zażądano by od niej czegoś takiego.

Weszła z herbatą do salonu w momencie, gdy Benny trzymał zszywacz nad lewym okiem ofiary. Kiedy Radon wrzasnął z bólu i przerażenia, upuściła na podłogę filiżankę z herbatą i poparzyła sobie nogi. Zainspirowany tym Benny wziął z kuchni czajnik z wrzątkiem i chlusnął nim w twarz Radona.

Słyszając jego krzyki i widząc, jak próbuje rozerwać więzy, Shamilla poczuła, że robi jej się słabo. Ryan był wariatem, wszyscy to wiedzieli, ale obserwowanie go w akcji było szokiem.

Gdy Radon opowiadał o Bennym, słuchała go chętnie i śmiała się, jego powiązania z tym słynnym świrem imponowały jej. Jednak oglądanie go przy robocie nie było już takie zabawne. Zwłaszcza że w każdym momencie mógł swoją agresję skierować przeciwko niej.

A ona chciała jedynie być z powrotem w domu u mamy, siedzieć sobie w salonie i oglądać w telewizji *Emmerdale*. Pobieгла zrobić następną herbatę. Nie mogła ani sekundy dłużej patrzeć na swojego poparzonego chłopaka.

Benny załatwił zszywaczem drugie oko Radona. Sam się sobie trochę dziwił, że tak łatwo mu ignorować prośby i błagania kumpla. Skończył swoje dzieło i przysunął skórzany podnózek. Usiadł na nim i powiedział:

- A teraz powiedz mi wszystko o Abulu, sobie i Vicu Joliffie, którego już możesz uznać za nieboszczyka.

Groteskowo wyglądająca głowa Radona drżała dziwnie. Wkrótce drgawki opanowały całe jego ciało, a Benny popijał herbatę i zajadał kanapki, obserwując, co się z nim dzieje. W końcu zawołał Shamillę.

- Dobre żarcie, Shamilla, ale twoi starzy chyba robią w gastronomii, nie? Nadal mają tę milutką kawiarenkę na Islington?

Kiwnęła głową, z oczami pełnymi przerażenia utkwionymi w biednym Radonie. To właśnie Benny Ryan uwielbiał - mieć władzę nad innymi ludźmi. Kochał wzbudzać strach, a w tym pokoju strach wisiał ciężko w powietrzu, był niemal namacalny. Mógłby go wyczuć dotykiem w oczach dziewczyny.

- Często ostatnio widywałaś Abula? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale dzwonił wczoraj wieczorem. Mówił, że dostarcza Vicowi paczkę do magazynu Jacka. Nie wiem, co to znaczy, ale przekazałam wiadomość dalej.

Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie więcej informacji, a Benny tylko się uśmiechał, widząc, jak rozpaczliwie stara się go zadowolić.

- Gdzie Radon trzyma broń, kochanie?

- W sypialni, w szafie. Ma podwójne dno...

- Zamknij się, ty pieprzona suko! - wychrypiął Radon.

Benny uderzył go w twarz z taką siłą, że poparzona wrzątkiem skóra policzka przywarła mu do dłoni. Shamilli zrobiło się niedobrze, gdy wycierał rękę w mokrą koszulę Radona.

- Chodźmy do sypialni, Shamilla.

Poszła za nim chętnie. Jeśli chce się pieprzyć, będzie miał najlepszą jazdę w życiu. Czegokolwiek Benny Ryan zażąda, dostanie. Chodziło o jej życie, była zdecydowana ratować je za wszelką cenę. Chyba nie musi umierać tylko dlatego, że była na tyle głupia, by związać się z Coco Chatmore'em.

Przynajmniej miała taką nadzieję.

Rozdział 23

- Poda ci czas i miejsce. Znasz Vica. Lubi stawiać ludzi na baczność. Odgrywać wielkiego ważniaka.

Po rozstaniu się z Vikiem Kenny przyjechał prosto do Maury, by zdać jej relację. Wyglądała na zmęczoną i wymizerowaną.

- Szczerze mówiąc, Vic to w tej chwili mój najmniejszy problem. Benny jak dzika bestia zostawia po sobie ślady w całym Londynie, a my nie możemy tego drania znaleźć.

Kena to raczej nie interesowało. Benny to Benny. Stuknięty facet, największy świr londyńskiego półświatka.

- Vic chce się z tobą spotkać, Maws. Domagał się, żebyś była sama, ale powiedziałem mu, że to niemożliwe. Zgodził się, żebym był obecny, obiecał, że powie ci wszystko, co będziesz chciała.

Kiwnęła głową. Propozycja była nie do odrzucenia.

- W zamian za jego brata i kokę, jak przypuszczam?

Kenny, patrząc jej w oczy, odparł:

- Tak, jego brat ma być częścią układu, ale koka chyba jest dla niego ważniejsza. Rozumie jednak, dlaczego porwaliście Justina. Ale dopóki go dobrze traktujecie, pogodzi się z tym. Mam wrażenie, że jego brat nie orientuje się, co robi Vic, więc przypuszczam, że gównem z niego wycisnęliście.

- Dobrze przypuszczasz. I zapewniam cię, że nic poważnego mu nie grozi, choć komfortu nie ma.

Kenny odetchnął.

- A więc jeszcze żyje?

Maura uśmiechnęła się lekko.

- O ile wiem, to tak.

Widać było po niej, że jest u kresu sił, ale zadał pytanie które od dawna chciał jej zadać, tylko brakowało mu odwagi.

- Co zrobisz, jeśli Tommy nie żyje?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli mam być szczerą, miałabym problem z głowy. Zdradził moją rodzinę i bracia poprzysięgli mu zemstę.

Próbował wyczytać z jej twarzy, co naprawdę czuje, ale jak zwykle była nieprzenikniona.

- A Benny?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Prawdę mówiąc, chętnie bym się go pozbyła. Mam go serdecznie dość. Ale poczuwam się do odpowiedzialności. Od lat wiedziałam, że ma nierówno pod sufitem, i nie powinnam dopuścić do tego, żeby się tak rozkręcił. Jednak stało się i teraz musimy postarać się zminimalizować szkody.

Kenny miał ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić, ale się nie odważył. W każdej sprawie inicjatywa należała do Maury. W dodatku z żalem musiał przyznać, że nie jest największym przystojniakiem na tym świecie. Nawet jego matka mawiała, że nie o takich modlą się panny.

- Jak córeczka? - zapytała.

Uśmiech wygładził rysy jego poznaczonej szramami twarzy.

- Diabło śliczna. Chciałbym, żeby już było po wszystkim. I jeśli przetrwamy, to ja się wypisuję, Maws. Koniec. Wychodzę z tego. Jestem za stary na to całe gównno.

Popatrzyła na niego przeciągle i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko.

- Ta mała stworzy cię na nowo, Ken. W przeciwieństwie do mnie masz się o kogo troszczyć, masz kogoś, kto cię potrzebuje. To cudowne. Też bym tak chciała. Po prostu żyć normalnie, to by mi zupełnie wystarczyło. Własny dom i spokojne życie, a Benny na dożywociu... Boże, wybacz mi.

Roześmiał się.

- Byle nie za spokojne było to życie. Chyba jeszcze zostało w nas trochę energii, co?

Uśmiechnęła się.

- Czy wiesz, że dzięki Alicii jeszcze długo pozostaniesz młody? Będziesz wiedział, co jest na szczycie listy przebojów, co wchodzi w modę, a co z niej wyszło. Będziesz oglądał programy telewizyjne, których sam nigdy byś nie włączył. Dzięki niej zachowasz młodość w sercu i umyśle. Będziesz patrzył, jak rośnie i dojrzewa, rozparty w fotelu, kochający i kochany, dumny z córki. Czy masz pojęcie, jaki ty jesteś cholernie szczęśliwy?

W jej smutnym głosie czuło się brzemie samotności, odkrywała się wreszcie, ujawniając tęsknotę za tym, co on miał po prostu dane jak większość kobiet i mężczyzn.

- Zmarnowałam całe swoje życie - przyznała z bólem Maura. - Chciałam być oparciem dla Carli i dostałam od niej potężnego kopa. A Benny jest wariatem, zostawia za sobą tylko śmierć i zniszczenie, gdziekolwiek się pojawi. Po to się tak szarpałam? Wszystko jest źle, Ken. Wszystko poszło źle. Nawet Marge unika mnie teraz jak morowego powietrza, bo boi się, że zostanie wplątana w wendetę Vica. Ale to znowu sprowadza się do dzieci, prawda? Ona o nie się boi, nie o siebie. To samo dzieje się z tobą, i dobrze, jeśli dzięki temu wydobędziesz się z tego szaleństwa, które bierzemy za prawdziwe życie.

Kenny był pełen współczucia. Każde wypowiedziane przez nią słowo płynęło z potrzeby spojrzenia prawdzie w oczy. Gorzkiej prawdzie. Przytulił ją przyjacielskim gestem, który odwzajemniła.

- To się wkrótce skończy, Maws, a wtedy uciekaj od tego wszystkiego, dziewczyno. Vic i jemu podobni ludzie zawsze będą wśród nas. Niech inni radzą sobie z ich obłędem.

Maura obejmowała go mocno, jakby tonęła. Została wepchnięta w odmęt wydarzeń i nie wiedziała, jak wydobyć z tego siebie i rodzinę.

- Czuję się tak, jakby mój mózg miał eksplodować z przeciążenia. Benny znaczy swój szlak śmiercią, wszystkich nas zniszczy, jeśli temu nie zapobiegniemy. Przekroczył wszelkie granice, nie potrafi już racjonalnie myśleć. Nawet się z nami nie skontaktował, co mówi samo za siebie. Pewnie uważa, że uda mu się wszystko wyprostować bez naszej pomocy. To moja wina, bo ciągle go wykupywałam, gdy wpadał w tarapaty, a teraz ściągnęłam na nas wszystkich takie kłopoty, że nawet Billowi Gatesowi byłoby ciężko się z nich wykupić.

Kenny czuł zapach jej perfum. Wydawała mu się taka delikatna. Przytulił ją mocno jeszcze raz, ciesząc się jej bliskością i przyzwoleniem na czułość. Chciał ją pocałować, poczuć jej smak. Zobaczyć, jaka jest, gdy wychodzi z roli szefowej. Maura uniosła wzrok i z jej oczu wyczytał, że odwzajemnia jego uczucia. Ale może to było tylko jego pobożne życzenie? Lana kochała go na swój sposób. Jego paskudna gęba nigdy jej nie przeszkadzała, widziała w nim człowieka, który był wart jej uczucia. Miał nadzieję, że Maura Ryan też potrafi patrzeć w głąb jego serca.

- Co się tutaj dzieje? Knujecie coś potajemnie?

Kiedy usłyszeli głos Garry'ego, na pół rozbawiony, na pół zdziwiony, szybko odskoczyli od siebie.

- Nie podkradaj się tak niepostrzeżenie, Gal - warknęła Maura.

Wiedział, że powodem jej złości było zakłopotanie.

- Ooo, jaka drażliwa. Gdzie mama?

- Jak zwykle na jednym ze swoich maratonów zakupowych. Ma nieustanną potrzebę karmienia ludzi, wiesz przecież.

Garry uśmiechnął się.

- Ale robi świetne żarcie, trzeba jej to przyznać.

Maura westchnęła. Żołądki braci najmniej ją w tym momencie obchodziły. Gdyby uczestniczyli w Ostatniej Wieczerzy, to jedynie ze względu na jedzenie. Poza zabijaniem, okaleczaniem i robieniem szmalu interesowało ich tylko żarcie.

- Zostań na obiad, Gal, zapraszam cię.

- Jesteś straszną suką, Maws, wiesz?

- Tak mówią. A przy okazji, Vic skontaktuje się z nami w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Garry musiał przetrwać tę informację. Po chwili uśmiechnął się szeroko.

- Zabijemy go, tak?

Maura zirytowana przeczesła ręką włosy.

- Może najpierw posłuchamy, co ma do powiedzenia. Oboje wiemy, że za tym wszystkim kryje się bardzo dziwna historia i chciałabym ją usłyszeć.

- Ja też - wtrącił Kenny.

Garry, który dotąd ignorował Kena, teraz zaszczycił go dłuższym spojrzeniem.

- Tak myślałem.

W tych dwóch słowach pobrzmiwał ton groźby.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Garry?

Kenny był wyraźnie zirytowany.

- To, co chcesz słyszeć.

Atmosfera robiła się paskudna, naładowana agresją. Kenny miał tego dość.

- Posłuchaj no, Garry Rynie, nie boję się ciebie, nigdy się nie bałem. I pamiętaj: w tej chwili to ty potrzebujesz mnie bardziej niż ja ciebie.

Garry natychmiast uniósł się honorem.

- Chyba nie wiesz, kurwa, do kogo mówisz. Wydaje ci się, że możesz tu włączyć i wtykać nos w sprawy mojej rodziny? Myślisz, że masz jakieś specjalne prawa? To dowiedz się, że nie masz.

Maura huknęła pięścią w stół i krzyknęła:

- Na litość boską! Czy ja muszę wysłuchiwać awantur za każdym razem, gdy się w czymś nie zgadzamy? Posłuchajcie mnie uważnie, chłopcy. Mnie nie przestraszycie, nie boję

się was, nie bałam i nigdy nie będą się bała. Miałam do czynienia z najlepszymi i żaden z nich mnie nie przestraszył.

Dwaj mężczyźni spoglądali na nią bez słowa. Po chwili milczenia Kenny oświadczył dobitnie:

- Tak się składa, iż żaden z nich nie przestraszył też mnie.

Garry oblizwał wargi i spytał, rechocząc:

- Nawet twój stary kumpel Vic Joliff?

- Zwłaszcza Vic.

Ken wyszedł z pokoju. Maura odprowadziła go wzrokiem ze ściśniętym sercem. Był jedynym normalnym człowiekiem w jej otoczeniu i po jego wyjściu miała ostre poczucie straty.

- Dlaczego to robisz, Gal? Dlaczego zawsze wszystko tak cholernie utrudniasz?

Wiedziała, że nie rozumiał, co złego zrobił. Zawsze ją winił, uważając, że to ona gmatwa sprawy.

- Kenny próbował nam pomóc - dodała. - Facet jest w porządku, a ty wtrącasz się ni z tego, ni z owego. Ta twoja cholerna arogancja i wrogość! Nie spotkałam jeszcze drugiego takiego, co potrafiłby schrzanić wszystko, czego się dotknie.

- Ja też chcę pomóc! Chcę skończyć tę aferę tak samo jak ty! - wrzasnął Garry, wbijając w nią dziki wzrok.

- Ty to nazywasz pomocą? - krzyknęła.

Tak ją zirytował, że wszystko się w niej gotowało ze złości. Mogła sobie darować racjonalne argumenty. Nie miały sensu, ponieważ Garry nikogo nie słuchał i nigdy nie będzie słuchał. Ale niech przynajmniej usłyszy teraz za swoje.

- Nie poradziłbyś sobie nawet w najprostszej rozgrywce. Częściej ściągasz kłopoty, niż im zapobiegasz. Ty i Benny! Obaj jesteście porąbanymi świrami. To ja wszystkim kręcę. Ja! To ze mną ludzie chcą robić interesy, bo zachowuję rozsądek i nie rwę się do ukręcania ludziom łbów! Oczywiście tobie chętnie bym go ukręciła. Mogłabym to robić codziennie, tak mnie wkurza twoje zachowanie. Mam tego po dziurki w nosie, słyszysz? Po cholerne dziurki w nosie. I wiesz, co ci powiem? Sam to załatwiał. Pozabijaj wszystkich i wyłącz mnie z tego. Mam dość. Wreszcie mam dość.

Stała przed nim czerwona ze złości i Garry w głębi duszy przyznał, że jej słowa są w pełni usprawiedliwione.

- Nie wiem, czemu mieszam, Maura - wymamrotał pokornie, nie patrząc jej w oczy.

- Nie wiesz, czemu mieszasz? Nie ty jeden, na moje nieszczęście.



Shamilla płakała i Benowi zaczęło to grać na nerwach.

- Zamknij się, do cholery, Sham. Można by pomyśleć, że to ciebie torturują.

Słyszając w jego głosie irytację, próbowała powstrzymać łzy.

- Idź i przynieś trochę lodu w jakiejś szmacie - powiedział.

Pobiegła wykonać jego polecenie. Kiedy wróciła, Benny wbijał kolejne zszywki w twarz Dezzy'ego, która nabrała groteskowego wyglądu. Shamilla była zadowolona, że nadal był nieprzytomny. Benny przyłożył ścierkę z lodem na opuchliznę i zniecierpliwiony przytupywał, czekając, aż ofiara się ocknie. Chciał, żeby zabawa trwała trochę dłużej.

- Myślisz, że Dezzy jest już dobrze przyprawiony?

Zaśmiał się hałaśliwie z własnego dowcipu.

Shamilla obciągnęła swój top z nadrukiem. Nie sięgał pępka i miała świadomość, że uwydatnia jej duże piersi. Benny zauważył to i wyszczerzył zęby.

- Szkoda by mi było na ciebie fiuta, kochanie. Jestem wybredny. Nie na mój gust takie wymiona. Dziwne, co? Przecież rznąłem różne zdziry. Ale ty jesteś bezpieczna, nie musisz się martwić. Nie jestem aż w takiej potrzebie.

Mimo silnego stresu zabolą ją ta obraza. Kiedy zobaczył jej urażoną minę, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Będiesz wykorzystywana przez całe życie, Sham, takie osoby jak ty zawsze to spotyka. Jesteś urodzoną ofiarą, kochanie, i pójdiesz do grobu zajebana i zużyta, pozostawiając gromadę dzieci i niespełnione marzenia.

Z zadowoleniem patrzył, jak płacze. Mocno w nią uderzyły te słowa. Rozejrzał się po pokoju, z satysfakcją patrząc na swoje ofiary i rozkoszując się poczuciem własnej mocy. Uwielbiał siać strach i zniszczenie.

W tym był dobry. To dzięki temu jest tym, kim jest. Benny Ryan, szaleniec, świr. Psychol. Uwielbiał przydomki, które mu nadawano. Przypomniała mu się Carol i zastanawiał się przez moment gdzie ona może być. Nie chciał o tym myśleć. Będzie miał mnóstwo czasu, żeby się nią zająć, kiedy to wszystko się skończy.

Spojrzał na zszywacz w swojej dłoni i uśmiechnął się. Ją też kiedyś pozszywa, a kiedy skończy przy niej tę robotę, nikt nie będzie chciał jej dotknąć nawet drągiem. To ona była przyczyną jego obecnych problemów, teraz widział to jasno. Dopóki jej nie spotkał i nie zakochał się w niej, jego życie szło właściwym torem. Przez nią się zmienił i wszystko potoczyło się źle. Ona wszystko zepsuła.

Kiedy pozalutwia sprawy, znowu wróci na właściwy tor. Wtedy Maura i Garry przekonają się, jaki jest naprawdę - będzie podporą biznesu. Zrozumieją, że chociaż nawalił, potrafił to wszystko naprawić. Zobaczą, że w gruncie rzeczy jest bardzo sprytnym facetem, który pokona każdą przeszkodę. Był triumfu tak pewny, jak tego, że nazywa się Ryan. Maura i Gary ujrzą go we właściwym świetle. Tak jak on sam siebie widzi, jak go widzą inni. Będzie odpowiednim następcą, kiedy przyjdzie pora. Weźmie ich pod swoją opiekę. Ojca, rodzinę, nawet tę cipę, swoją siostrę. A temu jej chłopakowi, pieprzonemu odmieńcowi, wybije z głowy jego dziwactwa. Ktoś się powinien wziąć za Joeya już parę lat temu. Kiedy on obejmie rządy, wszystko będzie grało.

Nucił pod nosem, gdy rozwiązywał Radona i ciągnął go do łazienki. Pracowity dzień dopiero się dla niego zaczął, dzień faceta, który miał misję do wypełnienia. Dotrze do prawdy, a potem pójdzie do Maury i Garry'ego jako triumfator. Ta myśl ogromnie go radowała.

Radon domyślił się, jaki jest następny punkt obłąkańczego planu jego oprawcy, i znowu zaczął się szamotać.

Benny westchnął ze znużeniem. Przemknęło mu przez głowę, że trzymanie steru może być irytujące, i jego podziw dla ciotki wzrósł dziesięciokrotnie.

Rola przywódcy była o wiele trudniejsza, niż mu się początkowo wydawało.

◆◆◆

Garry i jego matka siedzieli w kuchni, a Maura robiła dla wszystkich herbatę. Kiedy wlewała wodę do czajnika, przyszło jej do głowy, że w ciągu tych lat przez ręce Sarah musiały przejść dziesiątki tysięcy filiżanek herbaty. Teraz ona szła w jej ślady jako Herbaciana Królowa Południowego Wschodu. Starzała się i o dziwo, akceptowała to.

- Roy będzie tu lada chwila, wyjmij jeszcze jedną filiżankę, Maws.

Wyciągnęła dodatkową filiżankę, myśląc tylko o tym, żeby wreszcie zadzwonił telefon i żeby Vic podał im czas i miejsce spotkania. Gdy się już spotkają, wszystko wróci do normy. Oczywiście pod warunkiem, że przeżyją. Vic nie należał do ludzi, którym można ufać. Przynajmniej w tej kwestii ona i Garry byli zgodni.

Kiedy nalewała herbatę, usłyszała głos Roya:

- Zabił Cashę i przepadł gdzieś z Dezzym. Porwał go w biały dzień, wyobrażacie sobie? Na oczach jego matki i połowy pieprzonej Green Street. Powieszę gnoja za to, przysięgam.

Maura usłyszała cmokanie matki. Zapomniała już, jaki to irytujący dźwięk.

- Jezu, ten facet jest do cna pomyłony.

- Ogłaszasz nowinę, mamó?

Garry wziął od niej pełną tacę i niezbyt delikatnie postawił ją na stole.

- Nie możemy mu dalej pomagać, chyba zdajecie sobie z tego sprawę? Będzie musiał zniknąć. W Hiszpanii czy gdziekolwiek indziej.

- Jeśli o mnie chodzi, gdziekolwiek brzmi bardzo dobrze. A jeszcze lepiej sześć stóp pod ziemią... mam go dość - powiedział cicho Roy. - Doszło do tego, że go nienawidzę, po prostu nienawidzę własnego syna. Im więcej o nim słyszę, tym bardziej ta nienawiść narasta. - Zapalił papierosa z paczki Maury i dodał zdławionym głosem: - Założą się, że już zabił Dezzy'ego. Stawiam funta przeciwko pensowi, że już unicestwił biednego gnojka.

Sarah serce waliło jak młot. Rodzina rozpadała się na jej oczach. Czuła w pokoju atmosferę strachu: Roy bał się o syna, a Maura i Garry bali się spotkania z Vikiem Joliffem. Zawsze go lubiła, lecz on przyszedł do niej do domu, żeby ich zastraszyć. Taka była zadowolona, że go widzi, tak się cieszyła, że o niej pamięta, a on ją wykorzystał.

Ciągle jej to doskwierało.

Chciałaby mieć nadzieję, że wkrótce wszystko wróci do normy. Miała jednak złe przeczucia i gniotło ją w lewym boku - zupełnie jak wtedy, kiedy jej syn, Benny, został zamordowany. Obudziła się z tym gniecieniem dzisiaj w nocy i była przekonana, że to ostrzeżenie przed czymś strasznym wiszącym nad rodziną, którą jednocześnie kochała i nienawidziła.

Maura objęła ją ramieniem i zapytała łagodnie:

- Wszystko w porządku, mamó?

Kiwnęła głową, zmuszając się do uśmiechu.

- Oczywiście, moje dziecko. Przystaniesz wreszcie doprowadzać mnie do szału swoimi pytaniami?

W jej słowach było więcej irytacji, niżby chciała. Zobaczyła pytające spojrzenia Roya i Garry'ego.

- Nie wsyspałaś nas znowu, mamó?

Gal zażartował, ale Sarah poczuła się zdruzgotana aluzją do przeszłości. Jej stara, zmęczona twarz ściągnęła się jeszcze bardziej.

- Daj spokój, Gal. Czy nie dość napsuleś mi dziś krwi?

Maura przytuliła matkę.

- Nie słuchaj go, wiesz, jaki bywa upierdliwy. Sarah wstała i wyszła z pokoju.

- Jesteś z siebie zadowolony, Gal?

Wzruszył ramionami i dalej popijał herbatą.

- Przeboleją to.

Roy z niechęcią przyglądał się bratu i siostrze gotowym do zwarcia.

- Powinieneś pamiętać, ile matka ma lat. Czy kiedykolwiek pomyślałeś o czymkolwiek poza sobą i swoim nienasyconym żołądkiem? - wycedziła Maura.

Garry zarechotał. Prowokował ją, wiedziała o tym.

- Posłuchaj no, morały w rodzaju „nie rób drugiemu, co tobie niemiłe” zostaw na własny użytek. Odchrzań się. Nie będziesz mną rządzić, nigdy nie rządziłaś. Ani Michael, ale on był zbyt tępy, żeby to zauważyć.

- Doprawdy? Ale przynajmniej zachowywał się przyzwoicie wobec matki. Wielka szkoda, że bardziej go nie przypominasz. On przynajmniej potrafił w porę dostrzec niebezpieczeństwo.

Garry nadal rechotał.

- I przewidział, że przyjdzie IRA, co? A jak oni się mają, Maws? Miałaś ostatnio jakieś wieści od swoich kumpli? Nadal jesteś w dobrej komitywie z ludźmi, którzy zamordowali Świętego Michaela?

Kręciła z niedowierzaniem głową, słuchając tych słów.

- Ty draniu!

Roy wstał i rzucił Galowi w twarz:

- Mój Benny to drugi ty. Z wyglądu przypomina Michaela, ale to cały ty. Pobiłby się nawet z własnym cieniem. Wzoruje się na tobie. Mówiłem to przedtem i powiem jeszcze raz. Mama nie powinna mieć dzieci. No bo kim my jesteśmy? Popatrzmy na siebie.

Rozejrzał się dookoła z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Czym jesteśmy? Dzikimi zwierzętami. Im starsi, tym gorsi. Do tak krwawej rozprawy jeszcze nigdy się nie szykowaliśmy.

Westchnął i zgarnął paczkę papierosów ze stołu.

- Ja idę. Mam dość. Możecie sobie robić, co wam się podoba. - Już na progu odwrócił się jeszcze do Gala. - Coś ci powiem. Nigdy cię nie lubiłem. Nawet kiedy byliśmy dziećmi, nie trawiłem cię. Więcej przemawiało za biednym Goeffreyem niż za tobą, jeśli o mnie chodzi. Przyjrzyj się nam przyjrzyj się dobrze. Została nas tylko połowa. Trzymamy się w kupie, bo musimy, a nie dlatego, że chcemy. Nie możemy już nikomu ufać, nawet sobie. Witajcie w rodzinie Ryanów. Ale dam wam na koniec jedną radę: niech Maura to wszystko rozpracuje, bo tylko ona ma odrobinę rozumu.

Garry potrząsnął głową i warknął do pleców wychodzącego brata:

- Łykaj swoje tabletki, wariacie, łykaj swoje tabletki!

Gdy po chwili spojrział na zgnębioną Maurę, zmienił się wyraz jego twarzy. Wiedziała, że to typowy dla niego przeskok z jednego skrajnego nastroju w drugi, jak u Bena i niegdyś u Michaela. Roy miał rację, oni wszyscy byli szurnięci, cała rodzina była naznaczona.

- To napięcie, Maws. Napięcie z powodu tej całej afery. Usiądź i skończ herbatę, a ja pójde poprawić swoje notowania u mamy.

Maura usiadła przy stole i zapaliła jeszcze jednego papierosa. Roy miał rację i to było najgorsze. Miał rację i wszyscy o tym wiedzieli, ale do czasu rozprawienia się z Vikiem nie mogli zajmować się refleksjami nad własnym życiem.



Joe Żyd był jak zwykle na swoim złomowisku. Siedział w biurze i gapił się z roztargnieniem na ekran przenośnego telewizorka, w którym leciał jakiś pornos. Mówiło się, że to jedna z jego ulubionych rozrywek, podtrzymująca jego sławę sprawnego fiuta po osiemdziesiątce. Ale tak naprawdę jęki udawanej rozkoszy wcale go już nie rajcowały, choć nikomu by się do tego nie przyznał.

Nudziły go te filmy, jeśli miał być szczery. Żył z poczuciem uciekającego czasu. Serce nadal miał silne, wiedział to z regularnych kontroli medycznych. Ale na jak długo mógł jeszcze liczyć?

Skrupulatnie uporządkował swoje sprawy i był gotów przekazać wszystko swojemu młodemu krewnemu, bystremu chłopcu studiującemu w szkole biznesu w Stanach. Pieniądze i firmę pożyczkową mógł przejąć zupełnie legalnie, nocnych klubów prawdopodobnie nie - chyba żeby poszedł tą samą drogą, co jego rodzice i sam Joe. Wybór należał do niego.

Joe wiedział, jakiego wyboru sam by dokonał, gdyby mógł cofnąć czas.

Całe życie funkcjonował na pograniczu świata przestępczego, przy czym jego wykroczenia polegały głównie na fałszerstwach w księgowości, dopuszczaniu się przemocy przy egzekwowaniu długów oraz handlu bronią i organizowaniu hazardu bez licencji. Przez dziesięciolecia zapewniało mu to wygodne życie i nigdy nie potrzebował bardziej brudzić sobie rąk.

Sześć lat temu popełnił fatalny błąd, gdy włączył się do intrygi mającej na celu wygryzienie Ryanów i przejęcie ich imperium narkotykowego. Jeszcze teraz nie mógł się nadziwić swojej głupocie - choć oczywiście miał wtedy swoje powody. Kiedy wszystko wywróciło się do góry nogami, zdołał pozacierać prowadzące do niego ślady i nie wychylał się - poczciwy stary Joe, poprzesztający na swoich obskurnych klubach i zaśmieconym szrocie

oraz młodej gojce. Jednak nie miał złudzeń: jego względny spokój był jak zamek zbudowany na lodzie.

Kiedy Vic Joliff wrócił na scenę niczym zły dzinn wypuszczony z butelki, sięjąc wokół spustoszenie, Joe powiedział sobie, że dla niego samego jest to początek końca.

Ujawnił Vicowi, co ten chciał wiedzieć, i zgodził się wyświadczyć mu parę przysług. Ta ostatnia bardzo mu ciążyła.

Ściszył głos pilotem, uniósł głowę i nasłuchiwał. Wydawało się, że jest spokojnie. Lecz po chwili znowu się zaczęło wściekłe walenie dochodzące znad sufitu.

Dźwignął się na nogi i mamrocząc pod nosem przekleństwa otworzył drzwi w kącie pomieszczenia, po czym ruszył ciężko po zakurzonych schodach na małe poddasze.

Ukląkł na ostatnim stopniu i wymacał latarkę, którą tam zostawił. Świecąc w ciemność przed sobą, mógł jedynie dojrzeć białka oczu nad zwojami taśmy klejącej owiniętej wokół twarzy. Więzień był oprócz tego skuty, ale łańcuchy były najmniejszą dolegliwością. W taśmie pozostawiono na usta tak wąziutką szparkę, że zapewniała dość powietrza tylko wtedy, kiedy siedział cicho i spokojnie.

- Już ci mówiłem - warknął zirytowany Joe - że tylko pogarszasz swoją sytuację. Musisz się uspokoić... jak to mówi Camilla? Ochłonać. No właśnie. Musisz ochłonać, Abul, mój przyjacielu. Nie pójdziesz do nieba, dopóki Vic Joliff nie wyda takiej dyspozycji. A teraz zamknij się, do jasnej cholery, dobrze? Próbuję tam na dole oglądać pornosa, ale wybijasz mnie z nastroju.

Rozdział 24

Radon już nie żył i Benny był zły na siebie, że za ostro się do niego zabrał. Musiał przyznać, że kumpel wiele zniósł. Zaimponował mu. Wytrzymał więcej, niż ktokolwiek z ludzi byłby w stanie, i nie powiedział nic więcej ponad to, co Benny sam potrafił wydedukować. Nie przyszło mu do głowy, że Radon mógł po prostu nic więcej nie wiedzieć.

Abul, jego najlepszy przyjaciel, planował przejęcie imperium Ryanów od 1994 roku. Wszyscy Ryanowie mieli pójść na odstrzał, a tajni wspólnicy Abula mieli dostać udział w zyskach i odpowiednią pozycję w nowej organizacji.

Gdy tylko Radon o tym powiedział, Benny napluł mu w twarz i z wściekłości wrzucił do wanny piecyk elektryczny.

Zszedł potem do salonu. Dezzy wyglądał okropnie, a Shamilla siedziała cicho, gapiąc się w telewizor. Na MTV szedł teledysk z tłumem czarnych mężczyzn i skąpo ubranych czarnych dziewczyn. Benny patrzył na to przez kilka sekund, po czym oświadczył:

- Wychodzę i nie biorę Dezzy'ego ze sobą. A ty, Shamilla?

Powiedział to zupełnie normalnym głosem, jakby potworne wydarzenia dnia były dla niego zabawą na pikniku. Dziewczyna patrzyła na niego z przerażeniem. Westchnął ciężko, znudzony. Nie miał tu już nic do roboty, bo Radon nie żył.

- No, Sham, nie mam całego dnia do przepieprzenia. Idziesz do mamy? Mogą cię podrzucić, jeśli chcesz.

- A co... co z... Wskazała na sufit.

- Z Coco?

Kiwnęła głową.

- Sztywny, dupek jeden.

- I mogę iść do domu?

Dławiło ją w gardle ze strachu, gdy zadawała mu to pytanie Benny zaczął się irytować.

- No to gdzie masz zamiar się wybrać: do Harrodsa na zakupy czy gdzie indziej, do cholery?

Potrząsnęła głową.

- Nie, Benny, chcę tylko do domu.

Uśmiechnął się, zadowolony, że wreszcie doszli do porozumienia.

- Podrzucę cię, dobra?

Przytaknęła.

- Ale trzymaj głowę na kłódkę, Sham. To były prywatne sprawy, jasne?

Przyłożył palec do ust, a ona omal nie nadwerczyła mięśni szyi, tak energicznie pokiwała głową.

Zostawili Dezzy'ego leżącego na podłodze i wyszli z mieszkania.

- Poczekaj chwilę w samochodzie, Sham.

Wziął z bagażnika kanister z benzyną i po pięciu minutach obserwował, jak cały dom staje w płomieniach.

- Czy oni na pewno nie żyli, Benny?

Wzruszył ramionami.

- Radon tak, a co do Dezzy'ego nie mam pewności. Ale teraz na pewno jest martwy.

Nie odezwała się przez całą drogę do matki. Benny zachowywał się bardzo uprzejmie i na pożegnanie pocałował ją nawet delikatnie w policzek.

- Do zobaczenia, Sham.

Gdy wysiadła z samochodu, pociągnął ją za ramię. Uśmiechając się do niej znowu, przyłożył palec do ust.

- Powiedz tacie, że go pozdrawiam.

To zabrzmiało jak groźba i było nią, oboje o tym wiedzieli. Kochała ojca bardziej niż kogokolwiek na świecie. Pokiwała głową i próbowała się uśmiechnąć, żeby mu się przypodobać,

Gdy weszła do domu, usłyszała muzykę z serialu *Inspektor Morse*. Skuliła się, gdy dobiegł ją chrapliwy głos matki:

- To ty, Sham?

Mogła ją sobie wyobrazić, jak siedzi w fotelu pokrytym różowym dralonem, pomarszczona na twarzy, przedwcześnie postarzała od nadmiaru papierosów i taniego alkoholu.

- Przywiewa cię czasem do domu? Co się stało, pokłóciłaś się ze swoim gachem?

Shamilla czuła odstręczający zapach odgrzewanych gotowych dań z marketu i dymu papierosowego. To był zapach jej dzieciństwa, zapach całego jej dotychczasowego życia. Żeby od tego uciec, czepiała się Coco Chatmore'a i mężczyzn jego pokroju. Nie zamierzała iść w ślady matki. Nie chciała ugrzęznąć w takim życiu. Nienawidziła tego miejsca, jednostajnych dni i rozpaczliwej beznadziei życia matki. Ojciec spędzał cały wolny czas ze swoją dziewczyną, Włoszką z wielkimi cycami i karminowymi ustami. Shamilla nie winiła go, matka była nudna jak flaki z olejem. Kochała ojca i uważała, że to przez matkę ojciec stopniowo znika z jej życia.

Jednak w tej chwili, po tym, czego dopiero co była świadkiem, nawet nudne życie matki wydawało jej się sielanką.

Pobiegła prosto do swojej sypialni, a matka, kiedy w końcu pofatygowała się do niej na górę, doszła do wniosku, że córka rozpacza z powodu mężczyzny.

- Och, Shamilla, weź się w garść, kochanie. Żaden chłop nie jest tego wart. Każdy z nich to palant.

Zdumiała ją reakcja córki, która klęcząc na łóżku, obłożona plakatami z Shaggym i Goldiem, wrzasnęła na nią:

- Odpieprz się, mammo!

Następnego ranka nadal płakała, ale matka nawet nie pomyślała, żeby zapytać, co się stało. Może i dobrze, bo pewnie wolałyby nie usłyszeć odpowiedzi.

Nie minął tydzień, jak Shamilla zatrudniła się w barze w Marbelli. Policja nie spieszyła się z jej odszukaniem, co przyjęła z ulgą. Nie zobaczyła matki przez kolejne sześć lat. Więc jednak coś dobrego z tego wszystkiego wynikło, myślała gdy przypominał jej się tamten okropny dzień.



Maura i Garry nadal bez skutku czekali na telefon od Vica. Wybrała się więc do West Endu, ponieważ kluby trzeba było nadzorować bez względu na to, co się działo. Chętnie wyszła z domu, bo obydwójce byli rozdrażnieni i miała świadomość, że jeśli nie znajdzie się z dala od brata, skończy się to kolejną awanturą.

W „Le Buxom” trafiła na zamieszanie. Pobiły się dwie dziewczyny, i to na oczach klientów. W użyciu były paznokcie, włosy fruwały w powietrzu, gdy Maura wkraczała, by je rozdzielić. Bramkarze nie mieli najmniejszego zamiaru się wtrącać; przy tych dziewczynach lepiej było nie zapominać o AIDS i żółtaczce.

Jedna z dziewczyn, wielka Afrykanka z włosami w warkoczyczkach i paznokciami jak u wampira z *Hammer Horror*, nie była skłonna rezygnować z walki, więc cierpliwość Maury się wyczerpała i wrzasnęła groźnie:

- No dalej, Wanda, spróbuj tylko!

Obydwie dziewczyny oprzytomniały w jednej sekundzie i przestały się drzeć - to nie była wyrozumiała Maura, jaką znały. Jej oczy, normalnie wesołe, były teraz surowe, a twarz bledsza niż zwykle. Nawet włosy, zwykle nieskazitelnie uczesane, miała w lekkim nieładzie. Krótko mówiąc, wyglądała na skrajnie wyprowadzoną z równowagi. Dziewczyny już tylko popatrywały na siebie z niechęcią, ale zrezygnowały z rękoczynów.

- O co do cholery poszło?

- Odbijała mi klienta, pani Ryan - wyjaśniła z miną niewiniątka Angielka, ciemnooka blondyna z Gillingham.

Afrykanka zaprotestowała.

- O nie, to nieprawda. W ogóle cię nie chciał. Niemcy wolą czarne dziewczyny, wiadomo nie od dziś.

Maura powiedziała lodowato:

- Biłyście się w moim klubie, przy klientach, a z nich są pieniądze, i myślicie, że będę wysłuchiwać tych bzdur?

Dziewczyny wlepiły wzrok w podłogę, a pozostałe przysłuchiwały się temu wszystkiemu, wstrzymując oddech.

- Zabierajcie swoje rzeczy i spieprzajcie, obydwie. Znajdźcie sobie inny klub do walki wręcz.

Reakcja Maury zszokowała nawet główną hostessę. Nieraz dochodziło do bójek, zwłaszcza kiedy zdarzała się gówniana noc bez klientów i zarobku. Gdyby Maura się nie pojawiła, obydwie dziewczyny wyładowałyby się i wszystko rozeszłoby się po kościach. No,

ale od jakiegoś czasu chodziły słuchy, że Ryanowie są w poważnych tarapatach, dlatego pewnie szefowa przyszła dzisiaj taka podminowana, pomyślała. A więc w plotkach musiało być coś z prawdy.

- Daj spokój, Maura - powiedziała, próbując ratować swoje podopieczne.

Nie zrobiło to na Maurze wrażenia.

- Zamknij się! Płacę ci za to, żebyś trzymała te dziewczyny z dala od narkotyków i pilnowała porządku. Jeśli sobie z tym nie radzisz, zastąpi cię ktoś inny. Rozumiemy się?

Nie była w odpowiednim stanie ducha do załatwiania takich spraw i kiedy dziesięć minut później wyprowadzała obie dziewczyny z lokalu, żałowała, że wywołuje niepotrzebną sensację.

Nie pomogła jej ta refleksja i po chwili wywrzaskiwała na bramkarzy tak głośno, że było ją słychać pomimo muzyki towarzyszącej występowi striptizerki, a potem jeszcze głośniej, gdy dziewczyna zaczęła zrzucać kolejne części stroju w rytm nasilających się dźwięków *Wannabe* w wykonaniu Spice Girls.

Dwaj mężczyźni stali na baczność i wysłuchiwali ochrzanu. Ale nie byli zadowoleni i raczej tego nie kryli. Porozumiewawcze spojrzenia, jakie sobie rzucali ukradkiem, sygnalizowały brak szacunku. Uświadomiło to Maurze, że o problemach rodziny jest już głośno na mieście. Michael mawiał, że o tym, jaką masz pozycję w świecie, dowiadujesz się ze sposobu, w jaki odnosi się do ciebie najemny personel. Przekonywała się teraz o tym na własnej skórze. Rozzłoszczona i sfrustrowana, posunęła się jeszcze dalej i dała jednemu z mężczyzn w twarz. Przetarł tylko policzek, ale wiedziała, że jej to zapamięta. Vic był teraz tematem numer jeden i wyglądało na to, że już uchodził za Króla Dżungli. Ryanowie muszą za wszelką cenę udowodnić, że tak nie jest i nie będzie. To był nakaz chwili - muszą wygrać tę próbę sił albo jak samobójcy zacząć pisać list pożegnalny.

- Na co się u diabła gapisz?

Bramkarz wpatrywał się w nią przez chwilę, zanim spuścił wzrok.

- Odpowiedz, jak cię pytam. Płacę ci niezłą kasę, a ty nie potrafisz nawet rozdzielić dwóch dziwek. To co robisz, kiedy klient zaczyna rozrabiać? Spieprzasz na Teneryfę na wakacje?

Nadal jej nie odpowiadał.

- Lepiej weźcie się serio za swoją robotę, bo wypierniczę obu, i tyle. Nie będę tolerować nieudaczników. Ani ja, ani nikt z mojej rodziny. A teraz spływać i sprężyć się. Nie potrzebuję tu przedszkolank, tylko bramkarzy. Jeśli wam to nie odpowiada, możecie spadać.

Poczekala, aż obydwaj spuszcza wzrok, po czym ryknęła:

- Na co jeszcze czekacie? Na wasze mamusie? Żeby przyszły i zabrały was do domciu? Róbcie to, za co wam płacą, i to dobrze płacą.

Była na powrót sobą, Maura budzącą lęk. Spokornieli. Przestaną spisywać ją na straty, cokolwiek myśleli sobie przedtem. Znała zalety ostrej, bezwzględnej reprimendy. Rzadko robiła z tego użytek, ale jeśli już, to z dobrym skutkiem.

Hostessy bały się przy niej nawet przeklinać, wiedząc, że tego nie lubi.

Oznaki braku szacunku zaniepokoiły ją jednak bardziej, niż mogłaby przypuszczać. Była przyzwyczajona, że jej nazwisko robi na ludziach wrażenie, że inni schodzą jej z drogi. Zmiana w zachowaniu personelu wyprowadziła ją z równowagi. To był jeden z momentów, gdy chciałaby się na kimś wesprzeć, pogadać z kimś. Myślała kiedyś, że ma takie oparcie w Terrym, potem w Tommym Rifkindzie, ale w rzeczywistości jedyną taką osobą był Michael. Na niego mogła zawsze liczyć, był jej nauczycielem, jej mentorem, a także jedynym mężczyzną, którego szanowała.

Czy nie na tym polegał jej główny problem? Nie zależało jej na mężczyznach, bo była zbyt pochłonięta prowadzeniem biznesu. Nie musiała okazywać im szacunku, ponieważ stali niżej od niej w hierarchii. Tak było z większością facetów, z którymi się stykała. Byli przy niej spięci, bali się, że nie spodoba jej się jakieś słowo lub gest. Była przecież kobietą, która rządziła największą rodziną w Londynie. Zrozumiała teraz, że Tommy musiał przeżywać przy niej trudne chwile, co nie znaczy, że nie był cholernym, zakłamanym sukinsynem.

Głowa bolała ją z napięcia, a w ustach zaschło - za bardzo się zdenerwowała. W biurze wychyliła dużą brandy, żeby się uspokoić. Kiedy skończy z Vikiem, zabierze się za siebie. Do tego czasu była jednak uziemiona.

Dzisiaj pobrała lekcję, której długo nie zapomni. Plotki szybko wędrują po mieście i wyglądało na to, że Ryanów próbuje się już skreślać. Niedoczekanie wasze, pomyślała. Zobaczycie, że jest jeszcze życie w starej suce, zobaczycie to już w najbliższych dniach. Wszyscy się przekonają, kto dzierży ster, i niech nikt nie próbuje znowu rzucać jej wyzwania.

◆◆◆

Tommy otworzył oczy i natychmiast tego pożałował. Czuł się jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa i dokładnie coś takiego musiało go spotkać. Ciemno, ciasno, duszno. Czuł przylegające do niego drewniane panele, a lekko podkurczonym nogom jakby brakowało miejsca. Ciarki przeszły mu po plecach.

Ponownie zamknął oczy, gwałtownie narastała w nim panika. Wsadzono go do jakiejś skrzyni i nagle uświadomił sobie, że to trumna, co mogło oznaczać tylko jedno - został pochowany żywcem. Tylko Vic mógł uznać to za dobry żart.

Poczuł podchodzącą do gardła żółć i z trudem ją przełknął. Było tu dostatecznie źle bez zapachu wymiocin. Próbował oddychać głęboko, żeby uspokoić tłukące się w piersi serce, lecz panika go nie opuszczała i miał ochotę krzyknąć.

Jak przez mgłę przypomniał sobie dźwięk gwoździ wbijanych w drewno i towarzyszący temu głos Vica - balansował wtedy jeszcze między świadomością i heroinowym zamroczeniem, zanim ostatecznie zapadł w niebyt.

Próbował podnieść pokrywę kolanami i rękami, zużywał na to cenną energię, ale wiedział, że to na nic.

Vic i jego psy na pewno zadbali, żeby pozostał w tej trumnie na wieczność.

◆◆◆

Garry siedział z matką, kiedy do kuchni weszła Carla, a tuż za nią Tony Dooley Senior.

- Powiedziała, że pani kazała jej przyjść, pani Ryan - wyjaśnił.

Sarah kiwnęła głową.

Garry przyglądał się zimno bratanicy, a wreszcie warknął:

- Czego chcesz, Carla, do jasnej cholery?

Wargi jej drżały, patrzyła z wyrzutem na babkę i wuja, którzy zgodnie dawali jej do zrozumienia, że nie jest tu mile widziana.

- Benny się pojawił. W domu babci.

Garry wzruszył ramionami

- No i?

Carla pociągnęła nosem.

- Myślałam, że powinniście o tym wiedzieć. Gliny go szukają, byli już dwa razy.

Popatrzyła na Sarah i uśmiechnęła się przymilnie.

- Przewrócili cały dom do góry nogami, ale już wszystko posprzątałam. Dla ciebie.

Sarah zrobiło się przykro, że wnuczka musi zabiegać o powrót na łono rodziny. Zmusiła się do uśmiechu.

- Usiądź, dziecko, zrobię ci herbaty. Nie wyglądasz dobrze. Zakrzętnęła się wokół czajnika, a Carla pomyślała, że lepiej by było, gdyby Garry wyszedł. Napięcie by zelżało. Nie zrobił jednak tego. Rozsiadł się na krześle i przyglądał bratanicy, a ona czuła się skrępowana jak nigdy.

- Czy Tommy pytał cię kiedykolwiek o coś związanego z rodzinnym biznesem?

Nie miał zamiaru się z nią ceregielić. Zaskoczył ją tym pytaniem. Potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że nie. Nawet gdyby próbował, nic bym mu nie powiedziała.

Garry zaśmiał się szyderczo.

Carla przechyliła się przez stół, długie rude włosy opadły jej na twarz.

- Nie mogę mówić o czymś, o czym nie mam pojęcia, prawda? Zastanów się nad tym, wujku Garry. Co miałabym mu powiedzieć? Nigdy nie traktowaliście mnie jak kogoś liczącego się w tej rodzinie.

Mówiła prawdę, to było jasne, ale miał ochotę się nad nią poznęcać.

- Wiedziałaś wystarczająco dużo o Bennym i Maurze.

Wzruszyła ramionami.

- Nic takiego, czego by nie było w nagłówkach niedzielnych brukowców. Zresztą głównie stamtąd czerpałam swoje informacje o was wszystkich. Nie jesteście zupełnie anonimowi.

Garry pokręcił głową ze zjadliwym uśmiechem.

- Za chwilę będzie tu Maura, dociera to do ciebie? A mnie przypomniało się takie stare powiedzenie o zdradzonej kobiecie co to gorsza jest od diabła...

Sarah trzepnęła go w tył głowy.

- Po co dolewasz oliwy do ognia i nie dasz jej w spokoju wypić herbaty? Poradzę sobie z Maurą. I z tobą też, jeśli będzie trzeba. To wszystko ciągnie się już za długo. Ostatnie wydarzenia powinny nauczyć nas przynajmniej tego, że musimy trzymać się razem, a nie szarpać nawzajem.

Usiadła z powrotem przy stole i obiema rękami ujęła dłoń syna. Poczuł papierową starczą skórę i nagle ogarnęła go fala uczucia dla tej kobiety u schyłku życia, która jako matka zasługiwała na lepsze traktowanie z jego strony.

- Musimy trzymać się razem, Garry. Jej brat sieje spustoszenie w mieście i Carla przyszła nam powiedzieć, że go widziała, więc udzielmy jej kredytu zaufania. Ciągłe płynie w niej nasza krew, a to znaczy więcej niż cokolwiek innego.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, w kuchni pojawiła się Maura. Oboje obserwowali, jak Maura i jej bratanica wpatrują się w siebie. Matka mocniej ścisnęła jego dłoń, a Garry bezwiednie odwzajemnił uścisk.

- Przyszła powiedzieć nam o Bennym, tak, Gal? - zapytała Maura.

Kiwnął głową.

- Był w domu mamy. Szukał broni, którą tam schowaliśmy, a to może oznaczać tylko jedno: na własną rękę poluje na Vica i Abula.

Maura zdjęła żakiet i powiesiła go starannie na jednym z kuchennych krzeseł, nie spuszczać wzroku z bratanicy.

- Jak wyglądał?

Carla była zadowolona, że Maura zwróciła się bezpośrednio do niej.

- Jakby był w amoku. Miał w samochodzie Dezzy'ego. Myślę, że zrobił mu jakąś krzywdę. Sami wiecie, jaki jest Benny, kiedy się wnerwi.

Sarah wstała, ale Maura powstrzymała ją delikatnie.

- Nie rób mi herbaty, mamó. Należę sobie dużą brandy. - popatrzyła na Gala i Carlę. - Ktoś chce się przyłączyć?

To była ręka wyciągnięta na zgodę, wszyscy tak to zrozumieli, z Carlą na czele.

- Ja proszę - mruknął Garry.

Był pełen podziwu dla Maury. Okazała wielkoduszność z uwagi na matkę. Słyszał, jak staruszka odetchnęła z ulgą.

- Dla mnie też... ze względów zdrowotnych, oczywiście - powiedziała Sarah.

Wszyscy uśmiechnęli się do niej ciepło i staruszka aż poczerwieniała z radości. Tego chciała, tego potrzebowała bardziej niż wszystkich skarbów świata. Miłości własnych dzieci.

Wiedziała oczywiście, że musi upłynąć sporo czasu, zanim Maura i Carla wrócą do dawnej zażyłości, ale przynajmniej będzie mogła spokojnie umrzeć, wiedząc, że już nie skaczą sobie do gardeł.

Gdy sączyli brandy, Maura zdała Garry'emu relację z wydarzeń w klubie. Nie wydawał się zaskoczony.

- Słyszałem, że jeden z naszych punktów przyjmowania zakładów omal nie został zdemolowany w samo południe. Facet, który go prowadzi, Sal Bawdy, musiał wyciągnąć gnata, żeby przepędzić napastników. Chyba powinniśmy wpaść tam po drodze. Skończył drinka i dodał: - Gorzka prawda, co, Maws? Dupki, których byt od nas zależy, uciekają jak szczury.

- Kto to był?

Wyszczrzył zęby.

- Dwaj chłopcy od Joego Żyda.

Maura przetrawiła tę informację, zanim pociągnęła kolejny łyk swojego drinka.

- Myślisz, że Vic zamierza się z nami skontaktować?

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

- Wiem tyle, co i ty.

- Siedzimy tu od ponad dwudziestu czterech godzin czekając na telefon, który nigdy nie zadzwoni. Bawi się z nami, ale wiesz, co ci powiem? Pożałuje tego.

Huknęła wściekle szklanką o stół, a Sarah pomyślała, że siła jej osobowości najpełniej ujawnia się w chwilach gniewu. Trzęsły jej się ręce, kiedy zapalała papierosa, ale było dla wszystkich oczywiste, że to z wściekłości, nie ze strachu.

Zaciągnęła się i głośno wypuściła dym. Zaciśnęła powieki próbując się opanować. Carla, patrząc na nią, dziwiła się samej sobie, jak mogła oszukiwać tę kobietę. Maura była dla niej dobra, ale potrafiła być przerażającym wrogiem.

- Chcą mnie ograbić? O to w tym wszystkim chodzi? Jeszcze raz pociągnęła papierosa i zauważyli, że stopniowo się uspokaja.

- A więc dobrze. Mam już tego dość. Wiesz co teraz zrobimy, Garry?

Potrząsnął głową, uśmiechając się półgębkiem. Ona też uśmiechnęła się do niego.

- Wyślemy Vicowi makabryczny i denerwujący prezencik. Wyciągniemy go w ten sposób z podziemia.

- Ale jak to zrobić? Nie wiadomo, gdzie się ukrywa.

Maura znowu zaciągnęła się głęboko, a potem powiedziała wesoło:

- Wyślemy matce Vica ucho jego brata.

Oboje z Garrym wybuchnęli śmiechem, a Carla i Sarah poczuły się wyłączone z tej komitywy.

- Dostaniemy taki drobny fragment ciała w krematorium we wschodnim Londynie. Karen Harper nie odmówi, jest nam winna przysługę.

Garry śmiał się do rozpuku.

- Możemy też zacząć nachodzić wszystkich dawnych pomagierów Vica. Pieprzyć go! Nie obowiązują już białe rękawiczki, będziemy robić, co nam się żywnie podoba.

- A co z twoim głosem rozsądku, Maws? To nie w twoim stylu.

Przelknęła swoją brandy, rzucając wojowniczo:

- Taki będzie odtąd mój styl.

Rozdział 25

Matka Sandry Joliff i dwie osierocone córki były na cmentarzu w Romford, gdzie Sandra została pochowana. Był pogodny dzień. Dziewczynki kierowały się znajomymi alejkami do grobu matki, urozmaicając sobie drogę zabawą w „ciepło-zimno”. Zatrzymały się, bo babka zapalała kolejnego papierosa Benson & Hedges. Jej suchy kaszel niósł się daleko w ciszy cmentarza.

Chantel, starsza o piętnaście miesięcy, chwyciła młodszą siostrę za rękę, gdy czekały, aż babka do nich dojdzie. Rachele, delikatna, drobna i ciemnowłosa, przeciwieństwo siostry blondynki, wysunęła rękę z uścisku i pobięła naprzód.

Zatrzymała się przy kamieniu nagrobnym z czarnego marmuru ze złotymi literami, którymi wypisane było imię i nazwisko matki oraz data urodzenia. A dalej „Ukochanej żonie i matce”. Rachele wiedziała, że mama jest tam, pod ziemią, babcia wyjaśniła jej, że trzeba być pochowanym, żeby pójść do nieba. Gdy jakiś chłopak w szkole powiedział, że jej mamę jedzą robaki, wpadła w histerię. Nauczycielka, pani Harding, zbeształa go i jeszcze wytłumaczyła, że robaki nie mają zębów, więc Rachele poczuła wielką ulgę.

Kopiec wyglądał, jakby ktoś go naruszył. Dziewczynka uklękła i zaczęła ugniatać ziemię wokół kwiatków, które ona i siostra posadziły do czasu położenia płyty. Dzisiaj miały ozdobić grób prześlicznymi różowymi kamykami. To się mamie spodoba. Tak jak córki była fanką Barbie i zawsze kupowała im dla lalek wszystkie najmodniejsze różowe akcesoria.

Wreszcie nadciągnęła babcia z Chantel. Przypatrywała się przez dłuższą chwilę grobowi, po czym powiedziała:

- Wygląda, jakby ktoś tu kopał, nie?

Chantel kiwnęła głową.

- Pewnie robili pomiary do płyty - stwierdziła babka.

Uklękła koło wnuczek i wpatrywała się w miejsce ostatniego spoczynku Sandry.

- Słyszałam, jak mama mnie wołała - powiedziała cichutko Rachele.

Była miniaturką matki, ale nie miała w sobie pokrętności Sandry. Babka, Lily Camborn, sześćdziesięciolatka, wyniszczona papierosami i przeciwnościami losu, przytuliła młodszą wnuczkę i wyszeptła:

- Mama odeszła, kochanie, odeszła już dawno temu. Ale czuwa nad tobą i nad Chantel. Zawsze będzie nad wami czuwać. Jest aniołem, przebywa w niebie z Jezusem.

- Nie, babciu. Słuchaj.

Chantel i Lily wyteżyły słuch. Rachele twierdziła, że dochodziło ją jakieś wołanie, a nie miała zwyczaju kłamać. Nic nie usłyszały.

- Połóżcie kwiaty i obrazki, musimy już iść. Po drodze do domu wstąpimy do McDonalda.

Słońce się schowało i zrobiło się chłodno. Lily nienawidziła cmentarzy, zawsze tak było, a stanie przed grobem córki przygnębiało ją podwójnie. To ona powinna być pierwsza pochowana, a nie Sandra. Jej pełna życia dziewczynka, która wszystko obracała w zabawę.

Wspominając teraz córkę, widziała przeszłość przez różowe okulary. Wyrugowała z pamięci pyską, kłótliwą kobietę, która wciągała kokę i regularnie upijała się do nieprzytomności.

Nagle usłyszała ciche pukanie i przebiegł po niej zimny dreszcz. Na pewno ma omamy. Słuchała z sercem w gardle, ale pukanie już się nic powtórzyło. Jestem rozstrojona psychicznie, pomyślała. Często śniła jej się córka. Czuła, że jest blisko. Chciała wierzyć, że Sandra czuwa nad swoimi córeczkami, ma nad nimi pieczę - nie udawało jej się to za życia.

Medium powiedziało jej, iż Sandra jest wolna i szczęśliwa, a że bardzo chciała w to wierzyć, odżałowała pokaźną sumę pięćdziesięciu pięciu funtów, żeby to usłyszeć od starej kobiety ze zmęczonymi oczami w cuchnącym domu w Dagenham. Nie pogodziłaby się z myślą, że jej córka jest nieszczęśliwa i nie ma spokoju w grobie. Gdyby tak miało być, już nigdy nie przespałaby ani jednej nocy.

Musiała wierzyć, że córka odpoczywa w pokoju wiecznym, a nie wali w wieko trumny, żeby się wydostać na świat. Poza tym od jej śmierci upłynęło już zbyt wiele czasu, żeby to było w ogóle możliwe. Vic zamówił pomnik, grób będzie wyglądał pięknie i dziewczynki będą mogły przychodzić tu z nią częściej.

Odsunęła więc od siebie niedorzeczne myśli.

- Wracamy, dziewczynki. Ściągajcie się do bramy, a potem idziemy do McDonalda, dobrze?

Puściły się pędem, a ona ruszyła powoli za nimi. Ten stłumiony odgłos wytrącił ją z równowagi. Ale wiedziała, że istnieje racjonalne wytłumaczenie. To pobudzona wyobraźnia spletała jej figła. Obejrzała się przez ramię na grób. Wyglądał jakoś inaczej, jednak nie mogła dojść dlaczego.

Wzdychając, wystawiła pomarszczoną twarz do słońca, które wyszło zza chmury, i rozkoszowała się jego ciepłem na skórze. W słonecznym świetle wszystko wyglądało inaczej. Nabierało się otuchy i chciało się żyć.

Odrzuciła od siebie wszystkie przerażające myśli i śledziła wzrokiem dziewczynki, które śmignęły ku wyjściu z cmentarza jak gazy. Wiatr zaszeleścił gałęziami pobliskiego cisu i usłyszała ciche stukanie wiadra huśtającego się na ręcznej pompie. Oddychając z ulgą, przyspieszyła kroku, mówiąc sobie w duchu, że jest głupią babą.

Przez ułamek sekundy naprawdę wierzyła, że usłyszała głos zza grobu, i śmiertelnie się wystraszyła.

Szła do bramy tak szybko, jak tylko zdołały ją nieść artretyczne nogi, nieświadoma, że była ostatnią osobą, która odebrała znak życia od Toma Rifkinda.



Leonie śpiewała, sprząając mieszkanie Garry'ego. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Dzięki Galowi dowartościowała się i była mu za to wdzięczna. Do tej pory nic dobrego nie doznała od mężczyzn.

Zanim skończyła piętnaście lat, już wiedziała, że piękne ciało to dar od losu, którym należy się umiejętnie posługiwać. Marzyła o tym, aby zostać striptizerką albo tancerką egzotyczną. Zadowolili się w końcu tańcem erotycznym, ale teraz była już tym zajęciem nieco znużona, a Garry stanowił dobrą alternatywę.

Miał pieniądze i pozycję - warunek niezbędny, by w ogóle zauważyła faceta - poza tym był dla niej uprzejmy i dobrze ją traktował. Domyślała się, że jest pierwszą kobietą, którą się poważnie zainteresował, i to również ją cieszyło. Było dla niej dowodem, że jest kimś szczególnym, co zresztą Garry często jej powtarzał.

Mogłaby nawet mieć dziecko, aby scementować ten związek i zapewnić sobie parę funtów na wypadek, gdyby kiedyś to się rozsypało. Dziewczyna musi myśleć o przyszłości, a Leonie zawsze była zaradna i przedsiębiorcza.

Ładowała zmywarke, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi wejściowe. Pobieгла do salonu i zobaczyła stojącego tam potężnego mężczyznę. Spojrzała poza niego, spodziewając się ujrzeć za jego plecami Gala. Ciemnowłosy gość wyglądał jakby znajomo.

- Kim pan jest? Gdzie jest mój Garry?

Jej głos lekko drżał.

Mężczyzna nadal wpatrywał się w nią ciemnoniebieskimi oczami.

- Może mi pan odpowiedzieć?

Ogarnął ją strach. To były minusy wiązania się z kimś takim jak Garry. Podobnie było z Jackiem. Ich wrogowie automatycznie stawali się jej wrogami.

- To ja chcę wiedzieć, gdzie jest Garry.

Zachowywał się grzecznie, ale to jej ani trochę nie uspokoiło. Potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia, nie omawia ze mną swoich ruchów.

- Założę się, że parę ruchów ci jednak pokazał, co, kochanie?

Zirytował ją. Odwróciła się obrażona i poszła z powrotem do kuchni. Benny podążył za nią.

- Masz do niego numer?

Potrząsnęła głową.

Benny, wyprowadzony z równowagi bezskutecznością pytań, złapał ją za włosy i mocno odchylił jej głowę do tyłu. Było to bardzo bolesne.

- Auu, co ty, do cholery, robisz?

Prychnął tylko.

- Masz numer jego komórki?

Jeszcze raz zaprzeczyła. Benny odepchnął ją, wrócił do salonu i zaczął go przeszukiwać. Kiedy znalazł w jej torebce telefon komórkowy, przejrzał książkę adresową.

Nic.

Była zbyt sprytna, by wpisywać tam autentyczne imiona.

Zaczął wydzwaniać pod wszystkie numery, jeden po drugim. Leonie obserwowała go z kuchni. Źle mu patrzyło z oczu, to pewne. Po chwili uprzytomniła sobie, że to jeden z krewnych Gala. Niech ją Bóg broni, żeby kiedyś spotkała jego wroga.

◆◆◆

Micky Ball obserwował Joliffa. Vic rozmawiał przez komórkę z zapłakaną ciotką, która poinformowała go, że kilka minut wcześniej doręczono jej odcięte ucho. Vicowi żyły nabrzmiały na skroniach, rozciągnął usta w paskudnym grymasie, wyszczerzając zęby jak wściekły pies przed atakiem.

- Pieprzone kanalie! Zabierają się do straszenia starych kobiet, nie do wiary.

Kopnął krzesło, które obok niego stało. Przewróciło się i uderzyło Mickeya w nogi. Ten, mimo bólu, nic nie powiedział. Byli teraz sprzymierzeni przeciwko Ryanom, to prawda, jednak nie odważyłby się drażnić Vica, gdy był w takim stanie.

◆◆◆

Sarah siedziała z Lee, podczas gdy Maura i Garry wyruszyli realizować pierwszy etap planu. Lee miał zgnębiającą minę - wiedział, że Sheila zrobi mu piekło z powodu ostatnich wydarzeń i grożącego znowu niebezpieczeństwa.

- Wszystko w porządku, synu?

Potrząsnął głową.

- Niezupełnie, mamó.

- Coś nie tak z Sheilą?

Westchnął.

- Wszystko nie tak, jeśli chcesz znać prawdę.

Sarah przyglądała mu się, jak palił papierosa, i pomyślała sobie że biedak nie tylko postarzał się ostatnio, ale i przygarbił. Sheila, jak wiadomo, jest nieustępliwa i pewnie daje mu do wiwatu. Nie potrafi docenić tego, co ma. Sześcioro dzieci, kolejne w drodze i mąż, który ją uwielbia i zapracowuje się dla nich wszystkich. Jest zbyt wymagająca wobec swojego mężczyzny i jeśli się nie opamięta, Lee znajdzie sobie wreszcie inną twarz do oglądania rano na poduszce obok.

- Czy ona cię denerwuje?

- Od tego incydentu z głową w szafie zupełnie zszokowała, ale właściwie trudno mieć do niej o to pretensję. Zyskałem nawet jakieś punkty w jej oczach.

- Jezu, ja też o tym bez przerwy myślę. Benny to psychiatryczny przypadek, bez dwóch zdań. Nawet cieszę się, że Janine nie żyje, bo to na pewno by ją zabiło.

Zobaczyła, że Lee z trudem powstrzymuje się od śmiechu, i poczuła, że ogarnia ją złość. Taka była reakcja jej dzieci na wszystko - obśmiać to. Najgorszą rzecz zawsze obracali w żart. A niektóre rzeczy, jakie robili, wcale nie były śmieszne. Benny, który ucina głowę młodemu człowiekowi, wcale jej nie śmieszył. Był odrażający i zdeprawowany, ale nie śmieszny. Ani trochę.

- Na Bennym świat się nie kończy, synu. Nawet Sheila musi to zrozumieć.

- To jej nie interesuje, mamó. Chce, żebym się z tego wycofał, a jeśli się nie zgodzę, zażąda rozwodu. Garry i Maura znają sytuację, dlatego dotąd pozwalali mi trzymać się na uboczu w tej cholernej aferze z Vikiem.

- A jak twoi chłopcy?

Uśmiechnął się szeroko.

- Są wspaniali. A małeństwo... och, mamó, ona jest cudowna.

Kochał dzieci, widziała to w jego oczach, słyszała w jego głosie. Chwyliła dłoń syna.

- Idź do domu, synu. Maura i Garry to rozumieją, wytłumaczę cię.

Był taki przystojny z tymi czarnymi włosami i głęboko osadzonymi niebieskimi oczami - te dwie cechy były jak znaki firmowe Ryanów. Co tu dużo mówić, byli dorodną rodziną i na swój sposób czuła się dumna z nich wszystkich i każdego z osobna. Nawet Maura dostarczała jej powodów do dumy od czasu ich pojednania.

- No już, uciekaj do domu. Masz dużą rodzinę, musisz o nią dbać, a ja mam przecucie, że będzie bardzo ciężko, zanim ta sprawa się rozwiąże.

- Nie mogę, mamó, choć bardzo bym chciał. Mam tego wszystkiego dość, tak samo jak ty, ale nawet Roy został wciągnięty do ostatecznej rozgrywki. Miejmy nadzieję, że to szybko się skończy i nie będzie za dużo krwi.

Pokiwała głową, wiedząc, że marnuje czas. Syn zrobi, co musi, nie posłucha jej bez względu na to, co mu powie. Tego nauczyła się przez lata.

Nie wiedziała jednak, że Lee miał za zadanie jej strzec. Gdy odcięte ucho zostanie doręczone ciotce Vica, a pewnie już tak się stało, Vic będzie tropił każdego z Ryanów i nie zawaha się nawet przed mordem. A facet był zawzięty i uparty. Skądinąd Maura również.

Lee miał dość tego piekła. Oby się wreszcie skończyło. Wtedy będzie mógł wrócić do domu, do rodziny. Już postanowił że wycofa się z biznesu. Sheila miała rację, tego stanowczo za wiele. Zagrożone było ich życie i życie dzieci. Najwyższy czas wyrwać się z matni i odbudować rodzinne szczęście, zanim będzie za późno.



Kenny spotkał się z Maurą na stacji obsługi w Thurrock. Wsiadając do jej samochodu, był z jednej strony zachwycony, że znowu ją ogląda, z drugiej niepokoił się, jaką też rozróbę tym razem szykuje. W każdym razie odczuwał satysfakcję, że chce go mieć przy sobie. To oznaczało, że go ceni, nawet jeśli nie chodzi o nic więcej.

Obdarzyła go uśmiechem, a on zauważył, że jest znacznie bardziej pewna siebie niż podczas poprzedniego spotkania, kiedy pokłócił się z Garrym.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Do ciotki Vica. Sprawdzimy, czy tam nie wpadnie pocieszać swoją starą matkę.

Niebieskie oczy Kena wyrażały sceptycyzm. Ma ładne oczy, pomyślała Maura. W innym odcieniu niż oczy Ryanów, bardziej przejrzyste i jaśniejsze. Ale w ich spojrzeniu nie było słabości. W Kennym Smithie w ogóle nie było żadnej słabości. Patrzył ludziom prosto w oczy. Wzbudzał zaufanie. Maura przypuszczała, że musiał pracować nad swoim wizerunkiem ze względu na to, czym się trudnił, ale to nie miało znaczenia - i tak dodawało jej otuchy.

- Myślę, że powinnaś czekać, aż się odezwie.

- Nie mogę, Ken. Naprawdę nie mogę już dłużej siedzieć i czekać na tego dupka. Mówi się na mieście, że jesteśmy skończeni, a to może spotęgować nasze kłopoty, chyba że zdusimy problem w zarodku, i to raz na zawsze. Ktoś próbował napadu na jeden z naszych punktów bukmacherskich, sam wiesz, co to oznacza.

Słuchał jej z uwagą, nie przerywając, by wtrącić swoje trzy grosze, czego nie znosiła u Rifkinda i swoich braci.

- I jeszcze jedno. To dwaj chłopcy od Joego Żyda próbowali obrabować punkt. Ciekawe, nie sądzisz? Musieli dostać od kogoś zlecenie, a przecież nie ode mnie. Cały czas wydawało mi się, że ten stary dupek coś ukrywa. On jest w zмовie z Vikiem. Czuję to.

Kenny na chwilę zamknął oczy, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie się zaczyna to, czego się cały czas obawiał. Zmasowany atak na Ryanów, a Maura jest na pierwszej linii.

Zerknęła na niego. Przywdział zawodową maskę, nic nie mogła odczytać z jego twarzy. Ogolona głowa, głęboka blizna i masywne ciało sprawiały, że robił wrażenie bezwzględного faceta, twardego drania. Ale Maura wiedziała, że jest przyzwoitym człowiekiem. Natomiast z racji wyglądu twardziela musiał przyciągać do siebie kobiety

niezbyt interesujące. I pewnie nawet w połowie nie byłyby nim tak zachwycone, gdyby poznały łagodną stronę jego natury, którą ona, Maura, z każdym upływającym dniem coraz bardziej ceniła.

Otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale w tym momencie odezwał się telefon. Natychmiast rozpoznała głos Vica Joliffa.



Carla i Joey szli po Lancaster Road. Zawarli rozejm i mając pieniądze od Bena, zrobili sobie maraton po sklepach. Maura nie zamierzała otwierać szeroko ramion, ale w ich stosunkach również zapanowała zdecydowana odwilż i bardzo to Carle cieszyło. Przynajmniej pozbyła się ściskania w żołądku na myśl o tym, co zaraz zrobi czy powie Maura.

Nawet Joey wydawał się szczęśliwszy. Ciągle gdzieś wychodził, ale z powodu jego aberracji seksualnej, jak to Carla nazywała, nie pytała go nigdy, dokąd się wybiera. Szczerze mówiąc, nie chciała wiedzieć.

Przyglądała mu się, gdy szli obok siebie. Wysoki i przystojny, zawsze miał wielu znajomych, choć niekoniecznie przyjaciół. Był z natury bardzo towarzyski i przyjacielski, jednak w szkole miał kiedyś problemy z powodu dziewczęcych zachowań. Fakt, że był krewnym Ryanów, oczywiście położył temu kres.

Jedynymi osobami, z którymi naprawdę się dogadywał, byli Benny i Abul. Benny dokuczał mu wprawdzie bezlitośnie, ale Abul zawsze miał dla niego czas. Teraz, z wiadomych powodów, był z tym koniec.

Niedobrze się stało, że nie utrzymywali bliższych kontaktów z jego ojcem. Dopiero ostatnio, kiedy Joey dorósł, Carla zdała sobie sprawę, że w jego życiu powinien być mężczyzna. Ale kiedy wiele lat temu Malcolm zdradził ją z tą nadętą suką, swoją sekretarką, wszystko się między nimi skończyło, a Maura i wujowie pilnowali, żeby nigdy nie pojawiał się w pobliżu bez wyraźnego przyzwolenia.

Joey zakwiczał z radości, machając do sąsiada babci zza płotu, aktora, który wystąpił w wielu filmach i zawsze grał gangstera albo psychopatę. Tamten także machał i piszczał z uciechy z taką samą głośną egzaltacją jak jej syn. Gdyby tylko legion żeńskich fanek gwiazdora mógł go teraz widzieć - i tych wszystkich ładnych chłopców, którzy wchodzili i wychodzili o różnych porach nocy. Nawet sprzątać przychodził chłopak z Filipin, mający jędrne ciało i dość zużyty mop.

Pomachała mu bez entuzjazmu, a on odpowiedział jej urzekającym uśmiechem, który roztopiłby najtwardsze żeńskie serce.

- Ona cię lubi, mammo.

- Czy przestaniesz wreszcie mówić o mężczyznach „ona”? Proszę, Joey, to mnie irytuje.

Pociągnął głośno nosem.

- Wszystko cię ostatnio irytuje.

Carla wiedziała, że to prawda, i uśmiechnęła się do niego przepraszająco. Popatrzył na nią spode łba. Zrobiło jej się przykro, że go uraziła. Że zraniła go wiele, wiele razy swoimi słowami i zachowaniami.

- Słuchaj, Joey, wiem, że nie rozumiesz mojego punktu widzenia...

Pobiegł do przodu, a ona ruszyła za nim po schodach.

- Proszę cię, Joey.

Otworzył drzwi swoim kluczem i wszedł do środka. W kuchni nastawił czajnik, a ona usiadła przy stole, próbując znaleźć słowa, które by rozładowały sytuację. Dlaczego nie potrafiła jak Maura akceptować ludzi takimi, jakimi byli, zamiast zmuszać ich do spełniania jej oczekiwań?

- Posłuchaj, Joey, dla mnie to też nie było łatwe, przecież wiesz.

Spojrzał na nią szyderczo.

- Doprawdy? Nie zauważyłbym, gdybyś mi tego nie powiedziała! Droga mamusiu, sama nakręcasz wszystkie swoje problemy. Wiedziałaś, że Tommy jest z Maurą, ale byłaś na tyle głupia, żeby na niego polecieć, kiedy nawet dla mnie nie jest tajemnicą, że tacy jak on lubią się tylko zabawić na boku. Nie jesteś już nastolatką, wiesz? A teraz, kiedy cię pogonili, chcesz mieć mnie. Troszkę już, do cholery, za późno. Nie potrzebuję cię, nie potrzebuję nikogo z was i wkrótce wszyscy się o tym przekonacie.

Patrzył na nią z góry jak dumny posiadacz jakiejś wielkiej tajemnicy. Coś ukrywał przed nią. Powiedział jej o tym wyraz zadowolenia, który pojawił się na jego ładnej twarzy.

- Co ty u diabła knujesz?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Wkrótce się dowiesz. Mam kilka asów w rękawie.

- Jakich asów?

Wyraźnie go cieszyła jej konsternacja.

- Wkrótce się dowiesz - powtórzył.

- Posłuchaj, Joey, życie czasami bywa bardzo trudne...

Roześmiał się drwiąco. Była ostatnią osobą, której rad by słuchał. Niech je zachowa dla siebie.

- Życie? A co ty wiesz o życiu? To do mnie życie się wreszcie uśmiechnęło, co tobie nigdy nie było dane.

Zrobił się nagle tak wściekły, że się zaniepokoiła. Do złudzenia przypominał rozsierzonego Garry'ego. Jakby był zdolny do wszystkiego.

Odwrócił się do czajnika i zaczął robić kawę, perorując dalej:

- Nawet nie próbuj prawić mi kazań. Spójrz prawdzie w oczy, nie jesteśmy ze sobą tak blisko, jak ci się wydawało i wydaje, w dodatku jest już za późno, żeby to naprawić. Więc napijmy się kawy, a potem mnie nie ma, wychodzę.

Nie odezwała się. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co powiedzieć.

Rozdział 26

Przysłuchując się rozmowie Maury z Vikiem, Kenny miał wrażenie, że krew mu się w żyłach ścina. Gdy zaczęła się śmiać, oniemiał ze zdumienia, że wykazuje takie opanowanie, podczas gdy serce musi podchodzić jej do gardła.

- Nie, to ty mnie posłuchaj, Vic. To ty zmieniłeś reguły gry. Powinieneś zadzwonić, jak zapowiedziałeś. Myślisz, że nie mamy nic lepszego do roboty, niż czekać na twój telefon?

Przez chwilę słuchała, a potem znowu się roześmiała.

- Jestem taaaaka przerażona, Vic. Nie słyszysz, jak głos mi drży? A nie, przepraszam, to twój. Ale skończmy już z tym pieprzeniem, dobrze? Ty chcesz się spotkać, my też. Zrobimy to jednak po naszymu. Twój kumpel Jack nie będzie potrzebował swojej posiadłości w najbliższym czasie, więc możemy się spotkać na jego terenie jutro w południe, bez krawatów, z bronią. Odpowiada ci to, Vic?

Rozłączyła się bez czekania na odpowiedź i popatrzyła na Kena.

- Zastanawiam się, skąd miał numer mojej komórki.

Kenny pokręcił głową.

- Jest bezpieczna?

- Najbezpieczniejsza z możliwych. Dostałam ją dopiero wczoraj.

Zmarszczył brwi, nasunęło mu się pewne podejrzenie.

- Od kogo?

- Od Stukniętego Boba, faceta z British Telecom. Dostarcza mi je od ładnych paru lat.

- On jest raczej pewny. Sam z niego korzystam. Ciekawe czy pracuje też dla Vica?

Maura zasępiła się.

- Możliwe. Myślę, że wizyta u niego nie będzie od rzeczy, co ty na to? Zawieziesz nas tam, Ken? Muszę jeszcze poinstruować Gala w sprawie przygotowań na jutro. Potem zobaczysz, jak fortuna śmiałym służy.



Sheila lubiła zostawać sama w domu, choć brakowało jej harmidru, jaki robiły dzieci. Rozkoszowała się właśnie gorącą kąpielą z olejkiem lawendowym, gdy usłyszała na schodach ciężkie kroki.

Zamknęła oczy poirytowana, że koniec spokoju, i czekała, aż Lee wejdzie do łazienki. W końcu zawołała go po imieniu, a wtedy huknęły pchnięte z dużą siłą drzwi. Otworzyła oczy i zobaczyła patrzącego na nią Vica Joliffa.

Uśmiechał się z uznaniem.

- Pani Ryan, proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam w ablucjach. Ale musimy porozmawiać.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?

Próbowała zasłonić rękami nagie ciało.

Rzucił jej ręcznik.

- Proszę wyjść z wanny i zejść na dół. Jak najszybciej.

Zapamiętała go z dnia, kiedy przyniósł kwiaty do domu Sarah, i z jakiegoś powodu wcale się go nie bała. Nie wiedziała dlaczego. Zdawała sobie sprawę, że powinna być przerażona, nawet bardzo, ale nie była.

Wytarła się szybko i włożyła na siebie jasnoniebieski welurowy szlafroczek. Zauważyła, że telefon został wyrwany ze ściany, ale mogła się tego spodziewać. Schodząc po schodach do kuchni, była zdziwiona, że jest taka spokojna.

Vic już zrobił dla nich obojga herbatę i powitał ją przyjaznym spojrzeniem.

- Muszę cię przeprosić za to najście, ale nie mam wyboru. Rodzina twojego męża nie ustaje w zatrucaniu mi życia.

- Czego chcesz?

Usiadła na jednym z barowych stołków przy blacie śniadaniowym.

- Ładna chałupa, kochanie, bardzo przytulna.

Skwitowała ten komplement uśmiechem.

- Bardzo dziękuję.

Zachowywał się przyjaźnie i pomyślała, że mimo wszystko go lubi.

- Po co tu przyszedłeś?

- Chcę złapać grubą rybę, a ty, kochanie, jesteś przynętą. Wypij swoją herbatę i ubierz się. Przed nami mała podróż.



Stuknięty Bob miał około czterdziestki, a swój przydomek zdobył po drace w pubie w Bristolu. Spędzał tam weekend i posprzeczał się z dwoma miejscowymi szpanerami z których jeden „stuknął” go butelką w twarz. Czterdzieści szwów, mnóstwo bólu, ale i tak miał porażone mięśnie mimiczne i nawet kiedy się uśmiechał, wyglądał ponuro.

Gdy robił zakłady w punkcie bukmacherskim, bardzo się zdziwił na widok Maury Ryan stojącej w drzwiach i dającej mu znaki, żeby wyszedł. Nie byłby sobą, gdyby nie skończył obstawiania, dopiero wtedy opuścił lokal i podszedł do dużego sedana, obok którego stała.

- Nie spieszyles się.

Upomniała go tak ostrym głosem, że się zaniepokoił.

- Wsiadaj! - rzucił towarzyszący jej drab, skądinąd mu znany.

Obecność Kenny'ego nasunęła Bobowi podejrzenie, że coś się musiało stać i być może grozi mu niebezpieczeństwo, więc bez szemrania wsiadł do samochodu. Maura usiadła z nim z tyłu, co z jakiegoś powodu zaniepokoiło go jeszcze bardziej.

- Podawałeś ludziom nasze numery, Bob?

Mówiła spokojnie, ale wiedział, że znalazł się na cienkim lodzie.

- Skąd takie podejrzenia, Maura?

Skrzywiła się.

- Nie wciskaj mi kitu, Bob, bo do tego, żebym sprawiła ci łomot, tyle brakuje - pokazała mu niemal złączony kciuk i palec wskazujący. - Dałeś nasze numery Vicowi Joliffowi?

Kenny widział, że Bob nie może się połapać, o co chodzi.

- Czemu miałbym mu dawać wasze numery? Nawet go nie znam.

Było oczywiste, że mówi prawdę.

- Komuś je jednak dałeś.

- Tylko twojej rodzinie, kochanie, nikomu więcej.

- Komu na przykład?

- Twojej bratanicy, Carli... dałem jej kilka numerów, bo zgubiła telefon. Aha, i jej synowi, temu pedziowi. Dałem mu numery, bo powiedział, że Benny o nie prosił.

- Kiedy to było?

- Carla była u mnie kilka tygodni temu, a chłopak wczoraj. Ten dzieciak bez przerwy wisi na telefonie. Wiecie, jaki z niego idiota. Powiedziałem mu, że powinien sobie książkę telefoniczną wytatuować na dupie. Działa mi na nerwy, kiedy zawodzi tym swoim pedalskim, piskliwym głosikiem.

- Joey, wczoraj?

Przytaknął.

- Tak. Znowu chciał twój ostami numer. I chciał też bezpieczną komórkę dla siebie, więc zawiozłem mu aparacik niecałą godzinę temu.

- Dokąd mu go zawiozłeś?

- Był w winiarni na końcu Portobello Road. Potem podrzuciłem go z powrotem do domu matki.

- Jaki jest jego nowy numer?

Otworzył czarny skórzany organizer i podał jej numer.

- Dziękuję, Bob.

Jego usta wykrzywiły mu się szyderczo. Był to najbliższy uśmiechu grymas, na jaki mógł się zdobyć po niezbyt udanej operacji plastycznej,

- Proszę cię bardzo. Mogę już iść?

Kiwnęła głową.

Kiedy zostali sami w samochodzie, Kenny stwierdził:

- Miałem przecucie, że to ktoś z twojego najbliższego otoczenia, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to on. Vic musiał do niego dotrzeć przez Rifkinda albo Abula, nie?

- Na to wygląda.

Była bliska łez na wieść o tej nowej zdradzie.

- Dawałam temu chłopakowi wszystko. Zająłam się nim i jego matką, kiedy nie wyszło z Malcolmem, i oto jak mi odplaca. Założę się, że naśmiewali się ze mnie. Założę się, że ich to cholernie bawiło. Głupia Maura, frajerka, która płaci rachunki.

- Nie bądź dla siebie taka surowa.

- Surowa? - Roześmiała się. - Coś ci powiem, Ken. Nawet Benny, mimo że jest kretynem i wariatem, ma więcej lojalności w małym palcu niż oni w całym ciele. Zabawne, co?

Kenny nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Coś jest ze mną nie tak, Ken? Najpierw Tommy i Carla. Teraz Joey. I do tego pieprzony Abul. Sam fakt, że zwinął nam sprzed nosa Tommy'ego, o czymś świadczy. Od tego czasu nikt o Abulu nie słyszał. Musiał przejść do Vica. Dlaczego nie widzę, jacy naprawdę są ludzie, na których mi zależy?

Zapaliła papierosa.

- Podobno jestem spryciarą, tak? Ludzie czują przede mną respekt, bo jestem twarda i mam tak zwaną głowę do interesów. Jednak moja bratanica i jej syn przerobili mnie na cacy, a ja ich nawet przez chwilę nie podejrzewałam. Ani Tommy'ego, no i z pewnością nie Abula. Ci dwaj zamienili ze sobą może dwa słowa.

- Kryli się...

- Właśnie o to chodzi! Powinnam to przewidzieć. Powinnam przejrzeć ich, do diabła, a nie potrafiłam. To dla mnie ważny sygnał. Starzeję się, mój drogi. Nie mogę ufać własnym osądom a bez tego nie mogę być głową rodziny. Staję się kulą u nogi.

- Co za bzdura! Masz więcej zdrowego rozsądku niż jakikolwiek znany mi facet czy baba.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Posłuchaj mnie, Tommy Rifkind był stuprocentowym gnojkiem, a ja tego nie widziałam, nie chciałam widzieć. I przeze mnie rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie, bo spodobał mi się wygadany liverpoolczyk.

Była bliska płaczu, więc odparł łagodnie:

- Nie mogłaś tego wiedzieć.

Strząsnęła jego dłoń ze swego ramienia.

- Powinnam była wiedzieć. Jeśli ktokolwiek powinien rozgryźć tego dupka, to właśnie ja. Ale byłam ślepa, nie widziałam jego wad, tak samo jak byłam ślepa w przypadku Terry'ego.

- Kochałaś Terry'ego, bez względu na to, jaki był.

Westchnęła ciężko.

- Patrzyłam na niego oczami innych, Ken, nigdy własnymi, nigdy głębiej. Myślałam seks z miłością. Miałam wspaniały seks z Terryem i równie wspaniały z Tommym. To spowodowało, że zaczęłam tonąć.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wierz mi lub nie, ale Terry pod wieloma względami był typem dominującego drania, a teraz wiem już, że Tommy również. Cokolwiek bym robiła w życiu, nie miało to znaczenia. Mogłabym być dyrektorem pieprzonej ICI, a zarówno jeden, jak i drugi w domu chciałby widzieć we mnie potulną kobietkę. W moim życiu wszystko zawsze obracało się wokół innych, ja się nie liczyłam.

Kenny tak samo ją postrzegał, ale postanowił tę refleksję zachować dla siebie.

- Z Terryem, jak myślę, nie udało mi się, bo był gliną i próbował wziąć mnie w karby. Marzyło mu się, że będzie facetem, dla którego Maura Ryan się ustatkowała. Miał też

poczucie winy z powodu krzywdy, jaką mi zrobił wiele lat temu, porzucając mnie. Sądził, że jeśli zrobi ze mnie Gospodynię Domową Roku, będzie to jego wielkie osiągnięcie. Dla mnie był miłością mojego życia, ojcem jedyne go dziecka, jakie kiedykolwiek w sobie nosiłam, i w końcu chciał ze mną być, więc osiągnęłam, co chciałam. Ale za jaką cholerną cenę? Moja mama mawiała: „Bacz, o co prosisz, bo możesz to dostać”.

Wcisnęła się głębiej w oparcie tylnego siedzenia.

- Z Tommym chodziło tylko o seks. Ale on był ze mną wyłącznie dla lepszego kawałka tortu. Jako facet Maury Ryan zyskiwał w oczach wszystkich, oczywiście z wyjątkiem moich braci i rodziny. Garry go nienawidził i chyba Tommy od początku o tym wiedział. Wykorzystał mnie i wykorzystał Carlę, na szczęście chyba sama już to rozumiała.

Wyglądała tak żałośnie, że Kenny miał ochotę objąć ją i przytulić. Nie zrobił tego jednak, zabrakło mu odwagi. Maura pstryknęła niedopałkiem papierosa przez okno i przesiadła się na miejsce kierowcy.

- Zmarnowałam już dość czasu na mężczyzn. Kropka. No, a teraz ruszajmy w drogę.

◆◆◆

Lee siedział z matką i oglądał z nią *Countdown*. Kiedy odebrał telefon, usłyszał wiadomość, która poderwała go na równe nogi. Był to jego najstarszy syn Gabriel, który powiedział, że nie zostali odebrani ze szkoły, a matka nie daje znaku życia.

- Prędko, do samochodu. Musimy jechać po dzieci - zarządził Lee.

Sarah była zaskoczona tym pośpiechem.

- A gdzie, u diabła, jest Sheila? Dlaczego ich nie odebrała?

Lee był przerażony i potraktował matkę bardziej szorstko, niżby chciał.

- Gdybym wiedział, to chyba nie jechałbym teraz po dzieci, jasne?

Kiedy wkładała płaszcz, wściekał się, że taka prosta czynność zajmuje jej tyle czasu.

- Błagam, mamó, ruszaj się, ruszaj!

Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby ktoś nastawał także na dzieci. Z pewnością nawet Vic Joliff nie posunąłby się do tego. Ale dopóki nie będą siedziały bezpiecznie w jego samochodzie, nie zamierzał na to liczyć.

◆◆◆

Vic i Sheila sączyli koktajle i jedli kanapki kupione w delikatesach w Gants Hill. Na Sheili duże wrażeniem zrobił dom w którym się znalazła; był w nim basen i największy telewizor, jaki w życiu widziała. Oglądali wideo z Frankiem Sinatrą, którym Vic się zachwycił.

- Masz coś przeciwko temu, żeby moja matka przyszła do nas na chwilę?

- Chyba mam niewiele do powiedzenia, prawda?

Vic sprawiał wrażenie dotkniętego.

- W porządku, Sheila, jeśli nie życzysz sobie towarzystwa mojej matki, nie będę cię zmuszał. I zapewniam cię, że jesteś całkowicie bezpieczna. Raczej nie przedstawiałbym cię swojej matce, gdybym miał jakieś ukryte zamiary, nie sądzisz?

Sam się sobie dziwił. Było jednak w tej kobiecie coś, co budziło jego sympatię. Prawdopodobnie fakt, że jest matką sześciorga dzieci, i to wspaniałą matką. Zawsze podziwiał też Lee Ryana jako głowę rodziny. Vic szczylił się bowiem tym, że potrafi oddać ludziom sprawiedliwość.

Sheila może nie wyglądała już szalowo, ale sześcioro dzieci odbiłoby się nawet na wyglądzie Kate Moss. Miała jednak w sobie godność i zasługiwała na traktowanie jej z szacunkiem.

Porwał ją, choć w ogóle nie była zaangażowana w interesy Ryanów, żeby ich zmusić do spełnienia jego żądań. Oni mieli jego brata, a on jedną z ich żon. To będzie uczciwa wymiana.

Nawet Ryanowie pomyślą dwa razy, zanim cokolwiek zaryzykują, jeśli on ma Sheilę. Wprawdzie to nie bardzo w porządku, bo ona jest cywilem, ale Vic już nie dbał o etykietę. Chciał odzyskać brata, swoją kokę i chciał namieszać - i to jak najszybciej. Tylko tyle mógł teraz działać. Został przerobiony jak dupek pierwszej klasy. Nie mógł tego puścić płazem, by nie wyjść na rasowego palanta. Vic Joliff może być wszystkim, tylko nie palantem.

Zamierzał jeszcze pokazać, co potrafi. Na razie, niestety, pierwotny plan przejęcia imperium zaczynał się podejrzanie sprowadzać do ogryzania kości. Tego nie mógł znieść. Dobijała go myśl, że ludzie, choćby nawet obcy, będą uważać go za frajera. Każdy człowiek ma swoją dumę, a nie ma człowieka bardziej dumnego niż Vic Joliff.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś wszedł mu na głowę i żył na tyle długo, by o tym opowiedzieć. Od tego zależało przetrwanie w tym świecie. Zasłużony rozgłos, umiejętność budzenia w ludziach strachu i bezwzględność to atrybuty, które odróżniają mężczyznę od chłopca. To dzięki nim facet staje się legendą, a wtedy nikt nie wyraża się o nim obraźliwie, nikt nie traktuje go jak mięczaka i nikt nigdy nie każe mu płacić za drinka w żadnym liczącym się pubie. Nie ma mowy, żeby zrezygnował z tego wszystkiego z powodu zafajdanych Ryanów.

Przeprosił Sheilę i wyszedł do kuchni, gdzie szybko wciągnął dwie kreski koki, jedną po drugiej. Do pewnego stopnia zdawał sobie sprawę, że ma problem z kokainą, ale kiedy proszek drażnił go już w nosie, zapominał o obawach i czuł się niezwyciężony. Czuł, że

poradziłby sobie nawet z pięćdziesięcioma rodzinami Ryanów i po obiedzie mógłby zająć się jeszcze mafią i CIA.

Nazywał się Victor Joliff i miał w sobie wystarczająco dużo siły, by zmusić świat do wymazania z pamięci, iż jest potomkiem byłej prostytutki i zapijaczonego złodzieja. Udowodnił innym, że jest facetem, którego należy podziwiać i szanować. A co ważniejsze - facetem, który może przejąć rynek narkotykowy na południowym wschodzie i w całym Zjednoczonym Królestwie. Będzie Escobarem Anglii i niech Bóg ma w opiece wszystkich, którzy spróbują stanąć mu na drodze.

Usłyszał dochodzący z salonu nosowy głos matki i szybko przejrzał się w małym lusterku służącym mu do usypywania kresek koki. Matka nie znosiła, kiedy był na haju, i nie oszczędzała wtedy strun głosowych.

Nalał sobie dużą porcję rumu Morgan's i po dodaniu likieru miętowego zabrał drinka do salonu, gdzie Nellie Joliff zdejmowała właśnie wełniany płaszcz.

- Trafiłam tylko jeden numer na tej pieprzonej loterii, Vic.

Przyoblekł twarz w wyraz współczucia.

- Nie martw się. A to moja znajoma. Ma na imię Sheila, mamó.

- Bardzo mi miło.

Sheila uśmiechnęła się do niskiej, tęgiej staruszki, która niewątpliwie dopiero teraz doczekała się lepszych czasów. Zużyta i zmarnowana kobieta, która przez całe życie ciężko pracowała, głównie z tego mając.

Uświadomiła sobie nagle, że w ogóle nie martwi się o dzieci. Powinna odchodzić od zmysłów z obawy, że już nigdy ich nie zobaczy. Ale tak nie było. Szczerze mówiąc, nie tęskniła do ich obecności, za to cieszyło ją, że Lee dostanie niezłą nauczkę. To może go zmotywować do zastanowienia się nad sytuacją rodziny.

Vic to w gruncie rzeczy porządny człowiek, była tego pewna. A przynajmniej miała taką nadzieję. Obserwowała go, gdy grzecznie słuchał wywodów matki, jakby była najciekawszym rozmówcą świata. Co zabawne, stwierdziła, że lubi tego uprzejmego człowieka, który ją porwał i trzymał dla okupu.

Vic uśmiechnął się do swojego gościa i cała irytacja z niego spłynęła. Nic nie mówił, skupiał się na jutrzejszym dniu. Ustalił już wszystko z chłopcami i Irlandczykami. Niech ten dupek Kenny gada sobie o pokojowych negocjacjach, Vic Joliff wkroczy do akcji z bronią gotową do strzału.



Maura do późnej nocy rozmawiała przez telefon albo jeździła do ludzi. Odbyła rozmowy ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek byli w przyjaznych układach z Ryanami, a także z niektórymi wrogami. Była przyjacielska, była przymilna, niektórym groziła. Robiła wszystko, żeby przeciągnąć ludzi na stronę Ryanów i zniszczyć resztki wiarygodności, jakie pozostały jeszcze Vicowi Joliffowi. Wiedziała, że najlepszym sposobem na uniknięcie totalnej wojny jest przekonanie kogo trzeba, iż lepiej trzymać z diabłem, którego się zna, niż z nieznanym.

Chciała do minimum ograniczyć rozlew krwi. Na razie Vic nie był w stanie wysadzić Ryanów z siodła i prawdopodobnie sam już do tego doszedł w rzadkich momentach trzeźwości. Ale to nie powstrzyma go od działania. Przez sześć lat uciekał i ukrywał się, a jutro miała się odbyć ostateczna rozgrywka - na pewno się pojawi, choćby się waliło i paliło. Na to liczyła.

O jedenastej wieczorem, schrypięta po całodziennym mordędze, niczego tak bardzo nie pragnęła, jak dużej brandy i własnego łóżka, więc poprosiła Kena o przysługę. Miał towarzyszyć Bingowi i Carltonowi Dooleyom oraz kilku starannie wybranym żołnierzom w wyprawie na złomowisko Joego Żyda w Silvertown.

Joe był w kantorze przy stosach złomu. Dwóch ochroniarzy z owczarkiem alzackim szarpiącym się na smyczy zaprotestowało, gdy przybysze taranowali bramę, ale znikli, jak tylko zdali sobie sprawę, z kim mają do czynienia.

- Zostańcie na schodach - polecił Kenny reszcie. - Sam to załatwię.

Joe oczywiście widział ich przybycie. Kiedy Kenny bez pukania wparował do kantoru, zastał go już w płaszczu, siedzącego za biurkiem i trzymającego w rękach dwa listy.

- A, to ty, Kenny - powiedział, udając zaskoczenie. - Byłem pewien, że Maura sama po mnie przyjdzie. To kobieta która nie rzuca słów na wiatr.

Kenny zmarszczył brwi.

- Ma jutro ciężki dzień, co zawdzięcza tobie i twoim kumplom. Ryanowie i ich sprzymierzeńcy staną do bezpośredniej konfrontacji z Vikiem i jego ludźmi. Maura chce, żebyś tam był. Tymczasem mam cię umieścić na noc w bezpiecznym miejscu. Rozumiem, że nie będziesz stawiał oporu?

Joe rozejrzał się po opuszczonym podwórku.

- Chyba nie. W dzisiejszych czasach nie ma czegoś takiego jak lojalność.

Twarz Kena stężała.

- Powiedz to Maurze. Słyszałem, że byliście kiedyś zaprzyjaźnieni. Co cię napadło, na Boga, żeby wystąpić przeciw niej i jej rodzinie?

Pomarszczona twarz Joego wydała się nagle bardzo stara.

- Właśnie odpowiedziałeś na swoje pytanie, Kenny, choć pewnie tego nie wiesz. Ale wyjaśnię wszystko tylko Maurze, nikomu więcej. Czy mogę prosić cię o przysługę? - Wręczył Kenowi dwie koperty. - Dopilnujesz, żeby trafiły do właściwych ludzi? To moje ostatnie życzenie.

Jedna była adresowana do Camilli, dziewczyny Joego. Bez wątplenia jej odprawa. Drugi... spojrzawszy na nazwisko, Ken zrozumiał nagle, co zmusiło Joego do zaangażowania się w tę żalosalną aferę.

- Dopilnuję, żeby zostały przekazane - odparł. - A teraz pospiesz się.

Schodząc po schodach na zewnątrz, eskortowany przez Binga i Carltona'a Dooleya, Joe nagle zatrzymał się i spojrzał do tyłu.

- Och, byłbym zapomniaw. Bracia Dooley, nie mylę się? - zwrócił się do nich.

Bing przytaknął bez słowa.

- Co za szczęśliwy traf! Na pewno zainteresuje was spotkanie z moim gościem. Wejdźcie na strych. Drzwi są w rogu kantoru.

Kenny skinął głową Bingowi, który wszedł do środka z dwoma żołnierzami. Po chwili dobiegły stamtąd głośne okrzyki zdziwienia.

- Abul... to jest Abul! Dajcie tutaj te nożyce.

Kenny i Joe czekali na podwórzu, podczas gdy reszta rozwiązywała Abula. Wreszcie pojawił się na szczycie schodów. Ledwo mógł ustać na nogach, rana na nodze paliła go żywym ogniem, twarz piekła po oderwaniu taśmy. Otaczający go mężczyźni wydawali się uradowani, że go znaleźli.

- Co się stało, człowieku? - spytał Bing. - Myśleliśmy, że pojechałeś gdzieś z Tommym Rifkindem.

- Czy to on cię tak urządził? Panna Ryan rozesłała za tobą wici. Uważała, że to ty nas załatwiłeś - włączył się Carlton.

Abul otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Joe go ubiegł.

- Dlaczego go nie zapytacie, kto zabił waszego brata?

Abul zaczął protestować chrapliwym głosem.

- Nie! To nie ja... to Vic.

Kenny zrobił krok naprzód.

- Teraz to ma sens. Nigdy nie wierzyłem, że Vic mógłby zbliżyć się do Tony'ego Juniora niepostrzeżenie. Chłopak był zawodowcem, nie dałby się podejść. A jeśli nawet, dlaczego Vic miałby na tym poprzestać? Dlaczego nie zabił od razu Maury? Nie, to zrobił

ktos inny i z innych pobudek, w dodatku ktos, kogo Tony znal. Dlaczego to zrobiles, Abul? Mial cos na ciebie?

Przez moment panowala pelna napiecia cisza, po czym Dooleyowie jak jeden maz ruszyli na Abula. Zepchneli go z zelaznych schodow i rzucili sie na niego z taka zaciekloscia, ze nawet Kenny poczul ciarki. Odwoływal ich przez dobrych pare minut.

Wiedzial, ze Maura chcialaby miec Abula zywego, ale jego szanse na przezycie byly teraz rowne zeru.



Garry, Roy i Tony Dooley Senior zjawili sie w sluzacej za magazyn opuszczonej stodole Jacka Sterna o swicie. Garry wyslal swoich ludzi, by dla bezpieczenstwa przeczesali okoliczny teren. Nie mozna bylo wykluczyc, ze Vic obsadzil juz to miejsce swoimi i przyczail sie, by zrobic im jakas paskudna niespodzianke. Jak dotad byl nieuchwytny. Roy powiedzial to, o czym wszyscy mysleli:

- Pojawia sie i znika, jakby uzywal magii, nie?

Garry pokiwal glowa.

- Nasi ludzie objechali wszystkich, ale niczego sie nie dowiedzieli.

- Nie moze byc daleko. Będzie tu, prawda?

Tony pokręcił głową.

- Nie umiem powiedziec, czlowieku. Naprawde nie umiem powiedziec.

- A ten cholerny Benny... jak tylko sie znajdzie, mam zamiar przepuscic go przez maszynke do miesa. Za kogo on sie do cholery uwaza? Za pieprzonego Roya Rogersa? - wsciekal sie Garry.

Roy kilka razy glęboko odetchnal.

- Wez sie za niego, Garry. Choć osobiście uważam, że to moja wina. Kiedy zadzwonił, powiedziałem mu won. Teraz go potrzebujemy, a jego nie ma. Użyłem za ostrych słów. Powiedziałem, że nikt z nas nie chce już mieć z nim nic do czynienia.

Przygnębiony dodał z lękiem w głosie.

- Nie do wiary, że nie skontaktował się po raz drugi... Garry i Tommy też się zastanawiali, czy Benny jeszcze żyje, choć żaden nie odważył się powiedziec tego głośno.

- A co myśleć o tym cholernym Abulu? - Zapytał Roy. - Ciagle nie mogę tego przełknąć.

Wiadomość, że to Abul zamordował Tony'ego Dooleya Juniora oraz że był w zмовie z wrogiem, zaszokowała i zgnębiła wszystkich.

- Ważne, że go mamy. - Garry położył rękę na ramieniu Tony'ego Seniora. - I Maura dopilnuje, żeby dostał, na co zasłużył.

Tony zmusił się do uśmiechu, a obaj Ryanowie pokleпали go po plecach.

Podeszli do drzwi budynku, pod który co chwila podjeżdżały samochody. Wszyscy, którzy stanęli po stronie Ryanów, ścigali na umówioną odprawę. Garry był zdecydowany takim czy innym sposobem dorwać dziś Vica Joliffa i zlikwidować go.

Była to teraz jego osobista sprawa, ten obślizgły drań robił sobie z nich jaja.

Z uśmiechem powitał Gerry'ego Jacksona. Pomimo zaawansowanego wieku i peruki, jednej z całej kolekcji, stary gangster wyglądał bardzo groźnie, a blizny po pożarze w klubie wiele lat temu jeszcze potęgowały to wrażenie. Dla młodych był legendą jako najlepszy przyjaciel Michaela Ryana. Samo to powodowało, że był ważną osobą. Przeżył też podłożoną bombę, nie wypuszczając broni z ręki.

Nawet Garry czuł przed nim respekt. Ścisnął dłoń Gerry'ego, poklepując go po ramieniu, co było u niego oznaką przyjaźni i szacunku.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, Ger.

Gerry wyszczerzył się.

- Za żadne skarby świata nie przegapiłbym czegoś takiego. Zgadnij, kto jest na zewnątrz. - Uśmiechając się nadal, sam odpowiedział na swoje pytanie: - Czterech moich najstarszych chłopców.

Synowie Gerry'ego byli narkotykowymi baronami i rządzili w swoim rodzinnym Kencie. Mówiło się, że nic nie ma prawa wejść tam do doków ani z nich wyjść bez ich pozwolenia. Kanał La Manche też do nich należał i Garry wielokrotnie robił z nimi interesy w ciągu ostatnich kilku lat. Uważał ich za godnych zaufania, a przy tym załatwiali sprawy rzeczowo i grzecznie. Będą atutami w tej rozprawie, cieszył go ten gest solidarności. Niewielu ludzi stanie za Vikiem Joliffem, był więcej niż pewny, i z satysfakcją myślał o zademonstrowaniu siły. Uzyskali większe liczebnie i szersze poparcie, niż ktokolwiek by się spodziewał.

Ryanów poparli Azjaci ze wschodniego Londynu i Deptford, Hindusi z południowego Londynu i rewolwerowcy z całego miasta. Garry modlił się tylko, żeby nie doszło do zatargów między nimi przed finałem. Niech sobie Maura mówi o unikaniu rzezi, szykuje się wojna na całego i wygrają ją.

Od lat nie był taki ożywiony, cieszył się z góry na każdą sekundę najbliższych kilku godzin.

Rozdział 27

O dziesiątej rano w dniu konfrontacji Benny zadzwonił wreszcie do Maury do domu. Uznał, że rozmowa z ciotką jest najlepszą opcją. Była, jak przewidywał, spokojna i rzeczowa, ale odmówiła dyskusowania z nim o cokolwiek. Wyjaśniła, że konfrontacyjne spotkanie jest w południe, podała miejsce, kazała natychmiast wziąć dupę w troki i rozłączyła się.

Teraz jechał tam, złość w nim kipiała, a nowi kumple, których zwerbował, trąkali z tyłu białego vana transita. Byli to Hindusi, czterej bracia, rodzina pochodziła z Bangladeszu, a mieszkali w Forest Gate. Wszyscy czterej byli zaprzysiężonymi wrogami Abula, w ciągu ostatnich kilku lat dochodziło między nimi do licznych drak. Benny dowiedział się od nich dopiero teraz, po czasie, że jego dawnemu kumplowi uszło na sucho morderstwo dzięki jego związkom z potężną rodziną Ryanów i przyjaźni z nim samym.

Wszyscy wiedzieli, że oni obaj trzymają sztamę, i jeśli chodzi o Bena, rzeczywiście tak było. Ale Abul przez cały czas miał własny plan. Sukinsyn zasłużył na tortury, powolną straszną śmierć.

Ricky D, najstarszy z braci, zawsze był w dobrych stosunkach z Bennym. Przez lata handlowali narkotykami poprzez pośrednika, wspólnego znajomego, Radona Chatmore'a. Ricky nie płakał nad rastą. Jego śmierć otwierała drogę rodzinie Ricky'ego i cementowała ich nowe przymierze z Bennym.

Za chwilę Benny miał stanąć przed własną rodziną. Jechał z nowymi współnikami, śmierć dawnych przyjaciół miała być dowodem jego lojalności. Denerwował się, ale miał nadzieję, że ciotka i wujowie nie będą robili z niego idioty na oczach Ricky'ego i jego braci.

Dał im powody. Toczyła się właśnie wojna na śmierć i życie, a on dostał się do rejestru poszukiwanych i stał się wrogiem publicznym numer jeden z powodu tego incydentu z głową. Ta głowa okropnie go drażniła, gdy o niej pomyślał. Powinien ją wyrzucić, teraz to rozumiał. Był głupcem, że ją trzymał, ale cieszyła go świadomość, że ona tam jest. Zrobiła się z tego afera z winy Carol, która na dodatek straciła ich dziecko. Gdyby nie była taką głupią suką, nic by się nie zdarzyło.

Była to dla niego nauczka na przyszłość. Zniesie po męsku wyznaczoną mu przez rodzinę pokutę i udowodni, że jest godny nazwiska Ryan. Pozwoli, żeby go wykupili z tarapatów, w jakie ostatnio wpadł - choć najpierw honorowo odmówi przyjęcia ich pomocy. Niech się trochę pomartwią. Na pewno by nie chcieli, żeby został świadkiem koronnym, on zresztą też nie.

Gdy zbliżali się do terenów Jacka Sterna, był już w bardzo dobrym nastroju. Maura na pewno utoruje mu drogę powrotu do rodziny. W głębi duszy musieli wiedzieć, że cokolwiek złego zrobił, wobec nich był lojalny i zawsze będzie, choćby nie wiem co.

Należał do Ryanów i był z tego dumny. Maura dobrze go przyjmie, jest nastawiona rodzinie, zawsze była. W końcu cała ich siła bierze się stąd, że są Ryanami, królewską rodziną przestępczego podziemia.

Dla Ryanów więzy krwi były i są najważniejsze.



Sarah zrobiła sobie herbatę i małą grzanekę. Nakarmiła już dzieci i usadziła je przed telewizorem. Znowu odczuwała ten ciągnący ból, jak wtedy, kiedy jej syn Benny został schwytany, i wtedy, kiedy Michaela zastrzelili na ulicy.

Wiedziała, że zanoszą się na poważne kłopoty, skoro Vic Joliff porwał Sheilę. Była zgorzonna, że można czyjąś żonę porwać jako zakładnika, ale Roy powiedział, że to znak czasów. Nie było już na tym świecie żadnej przyzwoitości. Dziewuszki biegały nago po ekranie telewizyjnym i to były tylko reklamy. Czy można się dziwić, że zmienił się ustalony porządek i tacy ludzie jak Vic wplątywali kobiety z rodzin w gangsterskie rozgrywki.

Skubała grzanekę i popijała herbatę. Nie była głodna ani nie chciało jej się pić, ale przynajmniej zabijała czas.

Dużo myślała dzisiaj o swoich nieżyjących synach. Atmosfera była teraz taka sama jak wtedy, kiedy zginął Michael i kiedy zabrali Benny'ego. Jej wspianego chłopca, najmłodszego.

Otrząsnęła się z tych myśli. Życie i tak jest wystarczająco ciężkie, bez wyszukiwania problemów - same przyjdą. Cóż z tego, kiedy ból stawał się coraz bardziej natręczywy i ogarniał ją taki lęk, że aż ją mdliło.

Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła różaniec. Pomagał jej przetrwać wiele kryzysów. Wykonany z drewna oliwnego, był już prawie całkiem zużyty tak jak ona. Uśmiechnęła się na tę myśl. Przeżegnała się i ucałowała krzyżyk, modląc się o szczęśliwy powrót Sheili i wszystkich swoich dzieci.

Wszystkich.



Vic już wiedział, że Ryanowie i ich sprzymierzeńcy zdążyli obleźć teren Jacka jak wysypka. Spodziewał się tego. Ale miał też kilka asów w rękawie. Potrząsnął głową, aby rozjaśnić myśli, i zjechał swoim range roverem na bok, żeby wciągnąć więcej koki. Jego kompani obserwowali go i wyczuwał, że obawiają się nadchodzącej rozprawy.

- Mam duże siły rezerwowe na liście płac. Chyba nie zaczynacie robić w portki ze strachu?

Pospiesznie zapewnili, że skądże, ale już nie był ich pewien, nie był już pewien niczego. Zaczynała ogarniać go paranoja - nie powinien wciągać takiej ilości koki przed konfrontacją. Ale spoko, on miał Sheilę, a oni mieli Grubasa i musi dojść do wymiany. Robi to tylko ze względu na matkę, bo dla niego Justin mógłby sobie zgnić. No i do tego musi jeszcze odzyskać swoją kokę i uśmiercić Ryanów. Wszystkich, nawet Maurę, do której nie czuł już nienawiści, od kiedy poznał całą prawdę. Ale należało przytrzczyć jej nosa i on był tym facetem, który to zrobi najlepiej.

Kiedyś przyszło mu do głowy, żeby ją przelecieć, ale jak dla niego była za stara. Wiedział jednak, że Kenny nie wyrzuciłby jej z łóżka. Ta myśl wywołała uśmiech na jego twarzy. Kenny był drugi w kolejce po Maurze. Przeznaczył go na straty razem z kilkoma innymi kumplami, którzy przerzucili się na Ryanów.

Tak, ma jeszcze kilka rachunków do wyrównania i wyrówna je. Ma ciężką artylerię. Nieważne, kogo Ryanowie zebrali, on ma samą śmietankę. Pozyskał ludzi wzbudzających większy strach niż banda recydywistów. Prawdę mówiąc, byli to jedyni ludzie, którzy zadarli z tymi dupkami Ryanami i wygrali. Ta refleksja poprawiła mu samopoczucie.

Ale najpierw musi przekonać tę zgraję z tyłu, że to on tu rządzi. Że ma środki i opracowaną taktykę. Widział we wstecznym lusterku Mickeya, swojego najbardziej lojalnego współpracownika. Mężczyzna wyglądał przez szybę, gdy range rover pędził wiejskimi drogami. Vic złapał z nim kontakt wzrokowy w lusterku. Mickey uśmiechnął się do niego i zapalił kolejnego papierosa.

- Czekaj tam na nas grupa Irlandczyków, więc przestańcie trząść dupami i trzymajcie broń w pogotowiu. Będzie nam potrzebna.

Wiadomość, że są w to zaangażowani Irlandczycy, poprawiła nastroje, wszyscy odetchnęli z ulgą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaczynałby z IRA.

Jednak Mickey Ball doszedł do wniosku, że jego stary kumpel Vic zaczyna go niepokoić. Obmyślił cały plan jak przebiegły i rozważny gracz, ale z biegiem czasu jego zachowanie stawało się coraz bardziej szokujące. I nie chodziło tylko o kokę. Vicowi zawsze brakowało piątej klepki i teraz Mickey zastanawiał się, czy bez tej klepki uda mu się rozprawić z Ryanami.

Właśnie dlatego miał swój plan awaryjny. Nie zamierzał zdradzać się z nim przed Vikiem, dopóki nie będzie wiadomo, jak się sprawy mają.

Vic śpiewał głośno za kierownicą i w pewnym momencie zrobił gwałtowny skręt, żeby uniknąć czołowego zderzenia. Od kilku minut jechał złym pasem, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć. Jak zwykle nucił piosenkę z *Flippa*, jedyną, jaką znał w całości.

Mężczyźni siedzący w range roverze wymienili spojrzenia. Trzymanie z Vikiem wydało im się nagle niezbyt dobrym pomysłem, czy stali za nim Irlandczycy, czy nie. Dzięki Bogu Mickey miał dość zdrowego rozsądku, by zapewnić im asekurację.

◆◆◆

- Vic już jedzie. Właśnie dostałem SMS-a od Mickeya Balia - ogłosił Gerry Jackson.

Garry kiwnął głową. Teraz, kiedy Maura i Kenny już przybyli, zabawa mogła wreszcie się rozpocząć. Wszędzie rozstawił ludzi. Budynek był pod strażą, a policja uprzedzona - zgodnie z planem. Zanim gliny się zjawią, miejsce zostanie posprzątane jak należy i będzie to zrobione bardzo dokładnie. Jedyne, co mają znaleźć psy, to Vic i jego pieprzona martwa kohorta.

Kenny i Maura palili, patrząc na mężczyzn uwijających się po całym terenie i dopinających wszystko na ostatni guzik.

Pojawił się biały transit i zatrzymał z piskiem opon. Maura jęknęła w duchu, gdy Benny i jego kumple wyskoczyli z niego jak triumfatorzy.

- Wszystko w porządku, Maws?

Jak można się było spodziewać, Benny ruszył prosto do niej.

Kątem oka dostrzegł Gala biegnącego w jego stronę gruntową drogą, z szybkostrzelnym karabinem w prawym ręku. Gdy zobaczył wyraz twarzy wuja, lęk skręcił mu wnętrzności,

- Gdzie byłeś, skurczybyku?

Benny był przerażony, ale nadrabiał miną. Jego nowi kumple byli pełni podziwu, że nie stracił rezonu. Wyglądał, jakby zupełnie się nie przejmował, choć było jasne, że musi się bać.

- Wszystko dobrze, Gal, przyprowadziłem ze sobą paru chłopców. Mam dla ciebie mnóstwo informacji.

Garry uderzył go kolbą karabinu tak mocno, że Benny osunął się na kolana. Między nich wkroczyła Maura, powstrzymując brata przed powtórzeniem ciosu.

- Już wszystko wiemy, ty beznadziejny durniu. Uważasz nas za głupców, którzy potrzebują chłopaczków do wyreki w brudnej robocie? - warknął Garry.

Mówił tak cicho, że inni go nie słyszeli, ale Benny miał wrażenie, że wuj krzyczy mu prosto w ucho. A najbardziej zranił go wyraz pogardy na twarzy ojca.

- Za kogo ty się uważasz, Benny? - szydził Garry. - Uciekasz z mamra, kiedy masz kupiony ulgowy wyrok, i wyruszasz na gówno wartą jednoosobową wendetę, a potem masz czelność pojawić się tutaj niczym pieprzony Clark Kent przybywający z odsieczą. Masz

pojęcie, w jakim gównie siedzisz? I że omal nie wciągnąłeś w to nas wszystkich? - Głos wuja przeszedł w krzyk: - Z tego już cię nie wykupimy, chłopcze. Tym razem posunąłeś się za daleko. Nawet nam trudno byłoby wytłumaczyć porwanie w biały dzień, podpalenie i trzy morderstwa po tej cholерnej odciętej głowie w szafie. Czy jesteś aż tak tępy, że nie rozumiesz, iż pewnych rzeczy po prostu nie wolno robić?

- Nie myślałem, Garry...

- Na tym właśnie polega problem z tobą, Ben, że ty nigdy nie myślisz. To południowy wschód, koleżko, a nie pieprzony Dziki Zachód. Najbardziej przeraża mnie, że według ciebie nic się nie stało, choć odrąbałeś głowę jakiemuś biednemu gnojkwowi tylko dlatego, że przed tobą pieprzył się z twoją dziewczyną. Nie sądzisz, że to już zdecydowane przegięcie, nawet w twoim przypadku?

Zanim Benny mógł odpowiedzieć, Maura gestem nakazała ciszę. Machał do niej Geny, trzymając w górze swoją komórkę.

- Widziano ich!

Garry tylko skinął głową i znowu zajął się Bennym, rozkładając go kopniakiem na ziemi. Chłopak zakrył głowę rękami, przyjmując kolejne kopniaki w milczeniu i z godnością. Patrzący na to mężczyźni podziwiali go, zastanawiając się jednocześnie, jak taki głupi facet znalazł się w tej rodzinie tęgich głów. Niestety, nie odziedziczył rozumu, jak widać.

Benny spokojnie zniósł i ból, i upokorzenie, ale postanowił, że pewnego dnia odplaci Galowi. I ojcu też - za to, że stoi na uboczu i na to pozwala.

W końcu do akcji znowu wkroczyła Maura, choć Benny nie mógł nie zauważyć, że nic jej nie obeszło, co Garry z nim wyczyniał - w jej pojęciu miał pewnie do tego święte prawo.

- Są na zakręcie w Rettenden - powiedziała. - Wszyscy na swoje pozycje.

Geny z Tonym Dooleyem pomogli Benowi wejść do wewnątrz. Był w takim stanie, że nie byłby pomocny w walce z niemowlęciem, a co dopiero w wojnie gangów na taką skalę. Był z tego powodu rozżalony, wiedział jednak, że musi to przełknąć i zapomnieć. Zastanawiał się, co zaplanowała Maura, ale wolał nie pytać.

Zauważył, że w budynku znajdują się uzbrojeni mężczyźni i natychmiast przyszło mu do głowy, że nie siedzą tu ot, tak sobie, tylko go pilnują. Dopiero teraz zaczął się naprawdę bać.

◆◆◆

Vic zobaczył trzech ludzi z IRA, gdy skręcił w uliczkę prowadzącą do siedziby Jacka. Uśmiechając się, zwolnił. Dopiero kiedy poczuł przy skroni lufę broni wsuniętej przez okno kierowcy, zdał sobie sprawę, że został wrobiony.

Michael Murphy wyszczerzył do niego zęby.

- Cześć, Vic. Kopę lat. Przyjechałeś z wizytą do moich przyjaciół Ryanów?

Poczuł lodowate ściskanie w żołądku i gorącą krew buchającą do głowy.

- Ty pieprzony dwulicowy...

Murphy znowu się wyszczerzył.

- Do tyłu, Vic.

Został wyciągnięty z range rovera, dokładnie przeszukany i bezceremonialnie wepchnięty na tył auta. Poczuł, że zalewa go fala upokorzenia, kiedy ujrzał Mickeya Balia ściskającego dłoń Binga Dooleya, jednego z chłopców Tony'ego, wysłanego z grupą powitalną.

Uświadomił sobie, że znalazł się pod ścianą. Powinien to przewidzieć, a on nie miał nawet najmniejszych podejrzeń i ten fakt powiedział mu wszystko o nim samym i konsumpcji rośliny zwanej koką.

Działanie narkotyku słabło, wychodził z haju i lada chwila miała go dopaść deprecha. Włożył rękę do kieszeni i ścisnął foliową torebkę, dzięki której będzie mógł z powrotem znaleźć się w siódmym niebie.

- Potrzebujesz działki, Vic?

Jawna kpina w głosie Mickeya Balia rozjuszyła Vica. Musieli go powstrzymywać chłopcy Binga i para kajdanek.

- Nie zostawiajcie śladów! - przykazał Bing. - Żadnych śladów, żadnych siniaków, nic takiego, jasne?

Miał u nich posłuch, mężczyźni bez wahania zastosowali się do jego polecenia.

Vic obrzucał ich nienawistnym wzrokiem, ale w tym momencie nic nie mógł zrobić.

◆◆◆

Maura przyglądała się, jak mężczyźni parkują range rovera Vica przy wąskiej alejce prowadzącej do budynku gospodarczego Jacka. Nie istniało ryzyko, że pojawią się jakieś samochody, bo była to prywatna droga, nieużywana przez nikogo poza Jackiem i jego klientami. Wyciągnięto Vica z samochodu.

Gdy znalazł się wewnątrz budynku, zobaczył Bena i uśmiechnął się do niego. Benny splunął w jego kierunku dla zademonstrowania pogardy.

Vic nie zauważył Lee, ale ten dopadł go w ułamku sekundy.

- Gdzie jest moja żona?!

Stary gangster uśmiechnął się, ale nie otworzył ust. Zamiast niego odpowiedział na to pytanie Mickey Ball:

- Jest bezpieczna, nie martw się. Moi dwaj najlepsi chłopcy pilnują jej i matki Vica. Za kilka minut będzie już w drodze, w porządku?

Lee wyraźnie się rozluźnił, jednak towarzyszący mu do tej pory straszliwy lęk, że ktoś mógł skrzywdzić Sheilę, nie minął mu do końca. I nie minie, dopóki nie zobaczy jej na własne oczy. Wściekły ruszył do ataku na Vica, ale zatrzymali go Garry i Tony.

- Pamiętaj, nie może być na nim żadnych śladów.

Lee kiwnął głową, jednak i tak został wypchnięty na zewnątrz.

Do środka weszła Maura, a za nią dyskretnie trzymający się z tyłu Kenny. Vic utkwiał w niej wzrok. Miała zaciętą twarz, zaciśnięte usta.

- Cześć, Vic.

Wykrzywił się do niej, czerwony ze złości, łysa czaszka świeciła mu od potu po kokainie i wysiłku.

- Jakbyś wygrała kumulację na loterii, co, Maura?

Potrząsnęła głową.

- Nie chcieliśmy tego, Vic, ale jak widzisz, gdy przyszło co do czego, wszyscy zainteresowani chcieli być z nami, bo jesteśmy najlepsi. Stało za nami całe podziemie, każdy, kto się liczy w tym kraju.

- Mam nadzieję, że dzięki temu czujesz się bezpieczniejsza.

Pokręciła głową nad jego głupotą.

- Sam tego chciałeś. Próbowałeś mnie wykończyć i zabiłeś żonę Roya. Powinieneś wiedzieć, że nigdy w życiu nie tknęlibyśmy Sandry, nigdy. Ty zacząłeś wciągać w to rodziny, nie my.

- To nigdy nie był mój styl, Maura. Zgoda, twój też nie, jednak dopiero niedawno zdałem sobie z tego sprawę. Trochę za późno, ale żeby moja biedna Sandra tak umierała... czasem trudno mi pozbierać myśli, wiesz?

Zwłaszcza po dobrej działce lub dwóch, pomyślała Maura, widząc jego trzęsące się rękę, co na pewno nie było objawem strachu. Nawet teraz, otoczony przez armię rodziny Ryanów, wcale się nie bał. To jej odpowiadało. Powinien być spokojny i chętny do rozmowy, jeżeli miała poznać całą prawdę.

- Chciałabym usłyszeć twoją wersję, Vic. Różne sprawy przestały nam się układać już sześć lat temu. Gliny zaczęły przymykać ludzi i podejrzewano, że to my sypiemy kumpli na potęgę.

- Bo sypaliście w pewnym sensie - powiedział łagodnie.

Maura zrobiła krok do tyłu, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

- Ty bezczelny draniu! Ja i moi bracia dyktujemy glinom, co mają robić. Nie musimy węszyć i wyświadczać im przysług.

Vic odchylił głowę do tyłu i śmiał się szczerze, jakby nie otaczały go groźne twarze i wymierzone w niego lufy.

- Powiedziałem: w pewnym sensie. Nie wy osobiście, ale mieliście na wszystkich swoich spotkaniach niejakiego Abula Haseema, przydomek „Długie Ucho”, prawda?

- Ty cholerny dwulicowy dupku! - wybuchł Garry. - Już wiemy, że był w zмовie z Rifkindem, ale...

Vic pokręcił smutno głową.

- Nie udało się wam dojść do kłębka. To cud, że tak długo przetrwaliście.

Maura posłała bratu ostrzegawcze spojrzenie. Normalnie nie przepuściłby czegoś takiego, ale dzisiaj nic nie było normalne i musieli przełknąć obelgi Vica, żeby odkryć całą prawdę.

- Układ z Tommym to późniejsza sprawa. Abul już w tym siedział, zanim jeszcze w oku Rifkinda pojawił się błysk chciwości. Siedział w tym po szyję. A wiecie, kto go zwerbował do tej całej kampanii brudnych chwytów przeciwko wam? Rebekka Kowolski. Albo inaczej Rebekka Goldbaum. A ona miała do was uzasadnione żale, prawda, Maura?

- Powinna była sama na to wpaść. Trzeba kobiety, żeby wymyślić taki misterny plan... najpierw zepsuć nam reputację, a potem wkroczyć i zabrać, co nasze. Ale czy Rebekka naprawdę sądziła, że potrafi prowadzić nasze biznesy?

- Ona i Joe mieli się zająć narkotykowym hurtem. Abul miał wziąć pozostałe interesy i dystrybucję na południowym wschodzie. Od lat budował własną organizację wśród kolorowych. Oni zawsze szukają okazji, żeby się zaczepić. Tylko że wy byliście zbyt tępi, żeby to zauważyć.

Garry ruszył na Vica z pięściami.

- Dajcie mi tego dupka. Dość już usłyszałem. Chcę...

- Zostaw go - rozkazała Maura. - To już nie potrwa długo, Gal, ale musimy wszystko usłyszeć. Cały czas nie mogę uwierzyć, że dwoje takich nieudaczników jak Rebekka i Joe porwało się na przejście naszych narkotykowych operacji.

- Otóż to. Dlatego mieliśmy wkroczyć my, pozostali. Bardzo szybko zorientowali się, że potrzebują bankiera: Jacka, tworzącego swój fundusz emerytalny. A także dystrybutorów na południowym wschodzie, czyli naszych przyjaciół z Liverpoolu, oraz twardego faceta do prowadzenia rozmów z dostawcami... zgadnijcie kogo, nagród nie będzie. Wszyscy zgodziliśmy się w to wejść, pod warunkiem że przedtem zdołają was obalić. No i siedzieliśmy z założonymi rękami i przyglądaliśmy się, jak obrywacie. To była cholerna frajda! Porwali się na Ryanów i wygrywali, wykorzystując tylko donosy i szeptaną propagandę. Bomba! Tommy mówił, że to była taka frajda, jakby przeżywać wszystkie bożonarodzeniowe święta w jednym.

Maura nie zareagowała na to, spokojnie słuchała chełpliwej relacji Vica.

- A potem gliniarze dorwali mnie za jakąś starą zadymę, o której zapomniałem, a ponieważ była krwawa, wylądowałem w Belmarsh. Co zresztą wcale nie było takie złe. Zaprzyjaźniłem się z Irlandczykami, blatowałem klawiszy. Mógłbym stamtąd ciągnąć swoją część roboty, potrzebowałem tylko czasu, żeby wszystko ustawić. Ale ten pieprzony Abul nie chciał czekać, chociaż mógł. Uznał, że wszystko dzieje się za wolno, i przekonał Toma Rifkinda, że mogą to pchać beze mnie. Kombinował, żebyśmy ty i ja skoczyli sobie do gardeł albo żeby przynajmniej na to wyglądało. Podłożył ci bombę w samochodzie... nie mógł uwierzyć, że zamiast ciebie wysadził byłego glinę. Rozszyfrowałem go i wiem, że załatwił Sandrę i żonę Roya, a potem wysłał Tommy'ego B do Lany Smith i twojej mamy. Kenny to facet powszechnie lubiany, więc Abul kombinował, że to wzbudzi jeszcze większą nienawiść do Ryanów. Tommy B zrobił, co mu kazano, bo jego ojciec prowadził interesy z Abulem, ale nie chciał zabijać starej kobiety i zamiast tego tylko ją trochę poturbował.

Potem dotarli do mnie do więzienia. Z martwego mieliby więcej pożytku... byłbym kolejną pozycją w statystyce gangsterskich rozrachunków klanu Ryanów. A Rebekka nieraz dawała im popalić. Była mądrą babą, ale pyskata, a na twoim punkcie, Maura, miała zajoba. Zaczęła grać Abulowi na nerwach. Zabijając ją w taki sposób, jak to zrobił, jakby zostawił waszą wizytówkę.

Maurę zalewała zółć. Trudno jej było to wszystko strawić - zdrada i oszustwo ze strony przyjaciela i kochanka, sięgające tyle lat wstecz. Przynajmniej jeden znajdował się w jej rękach i wkrótce wyrówna z nim rachunki. Ale drugi był poza jej zasięgiem.

- Gdzie jest Tommy? - zapytała.

- Co się stało, Maura, kochanie? Brakuje ci go?

Tym razem to Kenny nie wytrzymał. Po jego potężnym ciosie w szczękę Vic zakołysał się na piętach. Omal nie stracił równowagi, lecz po chwili nonszalancko wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że tę tajemnicę wezmę ze sobą do grobu, zgoda? Został rozliczony, Maura. Był szumowiną. Wykorzystał twoją bratanicę, sprowadził jej syna do mojej orkiestry, a co najgorsze, wykołował także mnie. Tommy Rifkind nie znał słowa lojalność. Mógł uratować tyłek swojego chłopaka, gdyby się odezwał. Ja czy ty zrobilibyśmy to bez chwili zastanowienia, Maura, bo dla nas rodzina naprawdę się liczy. O to Joss miał do niego pretensję, właśnie o to.

Potrząsał z ubolewaniem głową, widząc, że nie mogą się pozbierać, usłyszawszy o draństwach Rifkinda. Uznał to za dobry moment, żeby wypowiedzieć swoje ostatnie życzenie.

- A teraz karty na stół. Wiem, że nie mam najmniejszej szansy z tego wyjść. Proszę tylko, żebyście zostawili w spokoju moją matkę i Justina. Tak będzie fair, poszedłem na współpracę, może nie?

Maura przytaknęła, chcąc nie chcąc oddając mu sprawiedliwość. Vic był psychopata, stracił kontakt z rzeczywistością z powodu narkotyków, ale nie był wyzuty z wszelkich zasad jak Tommy Rifkind. Była to trzeźwiająca refleksja.

Vic odetchnął z wyraźną ulgą.

- Dziękuję, Maura. Wiesz, że całkiem dobrze na tym wyszłaś? Ze starym, dobrym Kennym będzie ci lepiej. W jego przypadku bierzesz to, co widzisz.

Kenny zarumienił się i wyszedł na zewnątrz.

- Mam jakąś szansę na ostatnią działkę, żebym poszedł na spotkanie Pana z uśmiechem na gębie? - zawołał za nim Vic. Gdy rozległ się warkot uruchamianych samochodów, rzucił nonszalancko: - Zaczyna się exodus.

◆◆◆

Sheila z rozłożonymi szeroko ramionami witała dzieci, każde po kolei tuliła do siebie. Powiedziano im, że była u przyjaciółki, więc nie rozumiały tych czułości i natychmiast się wyrwały i wróciły do oglądania telewizji. Postanowiła pozwolić im później położyć się spać i nie wysyłać ich następnego dnia do szkoły. Nadszedł czas, by Lee podjął wreszcie decyzję. Nie zapewnił jej bezpieczeństwa i została wciągnięta w ten ich pokręcony świat. To powinno go przekonać, że musi się wycofać, że tak będzie lepiej dla nich wszystkich. Zanim go zabiją albo zapuszczają, albo ona go zostawi.

Uścisnęła teściową, a staruszka odwzajemniła uścisk.

- Wszystko dobrze, kochanie?

Sheila kiwnęła głową.

- Vic był wobec mnie w porządku. Nie bałam się, naprawdę.

Sarah uśmiechnęła się.

- Pewnie, zawsze był z niego porządny chłopak. Kiedyś bardzo przyjaźnili się z Michaeliem. Prawdę mówiąc, gdyby mój Michael żył, nic takiego by się nie wydarzyło.

Sheila zamknęła oczy i pozwoliła jej gadać. Chciała być dla teściowej miła, choć niekiedy miała serdecznie dość jej bajdurzenia.

Rozdział 28

Abul, Joe i Vic przez cały czas byli trzymeni na celowniku. Obserwowali trwającą wokół nich operację oczyszczania terenu, zastanawiając się, kiedy przyjdzie kolej na nich.

Opowiedziawszy swoje, Vic uspokoił się i przygasł. Nie chciało mu się nawet kąsać swoich współników. Był zmęczony i pogodzony z losem. Do tego spadał z orbity szybciej niż samolot nad Lockerbie. Gwałtownie potrzebował działki, ale nie widział na to szans.



Benny siedział w jednym z aut Ryanów, przyglądał się czyszczeniu i szorowaniu range rovera Vica i podziwiał gigantyczną operację, którą przeprowadzili. Maura ma łeb na karku, bez dwóch zdań.

Garry przeszedł obok, ignorując go kompletnie. Benny poczuł łzy pod powiekami. Każdy traktuje go jak powietrze, nawet własny ojciec. Kiedy Roy pojawił się jakiś czas potem, zawołał do niego przymilnie:

- Tato, proszę...

Roy zatrzymał się i patrzył na syna. Kochał go kiedyś całym sercem, a teraz nie mógł się zmusić do tego, by do niego podejść. Benny był kopia Michaela, ale to był Michael nowego tysiąclecia: osobnik samolubny i niebezpieczny. Nawet jego dziewczyna nie potrafiła go oswoić. Bezmyślną agresję wyładował na Bogu ducha winnym chłopaku, a następstwem było to, że stracił własne dziecko.

Ryanowie dopuszczali się przemocy, żeby osiągnąć swój obecny stan posiadania. Roy zdawał sobie z tego sprawę, ale przecież były to kontrolowane akty przemocy, dopuszczali się ich, gdy nie mieli innego wyjścia. Rodzina zawsze traktowała te sprawy z dystansem i rzadko uciekała się do przemocy fizycznej. Tymczasem jego chłopak, jego własny syn uprawiał ją jak sztukę dla sztuki, dla śmiechu, co Roy uważał za odrażające, choć żał mu było Bena, że znalazł się w takim położeniu.

Zauważył jego błagalne spojrzenie i omal się nie złamał. Przypomniała mu się jednak głowa w szafie.

- Tato, proszę, odezwij się do mnie. Przecież przeprosiłem, nie?

Roy oparł się ciężko o samochód. Przyglądając mu się z bliska, Benny zauważył, że dosłownie z dnia na dzień przybyło mu dobrych parę lat. Miał więcej siwych włosów i wyglądał mizernie.

- Przeprosiny tym razem nie wystarczą. Posunąłeś się za daleko.

Benny zaczynał się buntować. Co się stało, to się nie odstanie, a w ogóle o co tyle krzyku? Rozsądek nakazywał jednak nie polemizować z ojcem.

Traktowali go tak, jakby zabił pieprzoną królową czy kogoś takiego. A w sumie to był przyszcz, postąpiłby jeszcze raz tak samo, tyle że następnym razem by dopilnował, żeby gnojek zniknął na dobre.

Dostał dobrą nauczkę. Zrozumiał, że w najbliższym czasie będzie musiał spuścić głowę i nadstawić tyłek, ale dlaczego teraz nie przejdą nad tym do porządku i nie pozwolą mu włączyć się do akcji?

Nie spuszczał wzroku z odchodzącego Roya, widział jego pochylone ramiona i zmęczenie. Przypomnił sobie ojca sprzed wielu lat - dużego mężczyznę, który przychodził i brał go na barana. Który z nim rozmawiał i pomagał radzić sobie z problemami dorastania. Podawał mu wszystko na talerzu. Ojciec go kochał i nadal kocha, Benny był tego pewien. Sprawił ojcu ból, fakt, i bardzo tego żałował, ale to się jakoś ułoży, jak zawsze. Roy wreszcie oprzytomnieje, a inni pójdą za jego przykładem. W końcu Benny należy do rodziny.

◆◆◆

Garry rechotał z uciechy - bardzo podobał mu się chytry plan Maury. Nawet Kenny musiał przyznać, że to mistrzowskie zagranie. Posiadłość Jacka niemal całkiem opustoszała i czekali tylko na właściwy moment, żeby zakończyć operację. Brakowało jeszcze jednego elementu do zrealizowania planu, ale oni będą już w domu, poza podejrzeniami, gdy ten ostami manewr zamknie całą sprawę.

- Powiem ci coś, Maura: cholernie bystra z ciebie dziewczyna.

Michael zawsze tak mówił. Przypomniały jej się dobre stare czasy, kiedy to nie na niej spoczywał ciężar odpowiedzialności. Teraz jeszcze nie mogła się odprężyć, dopóki wszystko się nie skończy.

Kenny stał obok niej i czujnym okiem obserwował operację oczyszczania terenu.

- Nikt się nigdy nie dowie, co się tutaj wydarzyło, prawda?

- Nikt, kto się liczy.

- Wiesz, Garry ma rację. Jesteś mądrzejsza od wielu mężczyzn. I to wcale nie jest komplement, tylko fakt.

Uśmiechnęła się.

- Chcę, żeby to się już wreszcie skończyło.

- A my nie? Jak myślisz, co Vic zrobił z Tommym? Wszystkich innych udało się zlokalizować, ale o nim nikt jakoś nie chce mówić, zauważyłaś?

Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk whisky.

- On nie żyje, czuję to.

- Jest ci przykro?

Było to pytanie z głębokim podtekstem.

Maura milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- Chyba nie.

Zauważyła ulgę na twarzy Kena i uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś sympatycznym facetem, wiesz?

Odpowiedział szerokim uśmiechem i tylko jego wesołe oczy i ten przyjazny uśmiech widziała, a nie twardziela ze szramą jak inni.

- Nie mów tego nikomu. To tajemnica.

Śmiali się razem, dopóki twarz Maury znowu się nie zachmurzyła.

- Mamy dzisiaj zrobić coś strasznego.

Kenny nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

- Tak, to straszne, przyznaję, lecz konieczne - odparł w końcu. - Bo to położy wszystkim kres raz na zawsze. Cała ta historia nareszcie się skończy.

Skinęła głową, wpatrzona w szklankę szkockiej w swojej dłoni.

- Mam nadzieję, Ken. Naprawdę mam nadzieję.

◆◆◆

Sarah leżała w łóżku, ale nie mogła się wygodnie ułożyć w żadnej pozycji. Ból stawał się coraz silniejszy i nie był to już ciągnący ból, lecz ostry, promieniujący do ręki i pleców.

Zastanawiała się, jak się miewa mała Carol. Sama ciężko przeżyła utratę praprawnuka. Prawie tak ciężko, jak niegdyś utratę biednego maleństwa Maury. Wtedy przygniotło ją to do ziemi. Przez lata wmawiała sobie, że dla tego dziecka lepiej było nigdy się nie narodzić, ale teraz nie była tego taka pewna. Maura, Boże miej ją w swojej opiece, była z natury opiekuńcza i powinna mieć mnóstwo dzieci.

Próbowała odsunąć od siebie te dręczące myśli.

Ilekróć myślała o tamtym dniu, budziło się w niej poczucie winy. Czasem aż ją mdliło. To ona zaprowadziła tam swoją córkę, przytrzymała ją, gdy brudne babsko od skrobanek wrywało z brzucha Maury jedyną dobrą rzecz, jaka jej się w życiu trafiła. A wszystko dlatego, że ona, Sarah, bała się spojrzeć sąsiadom w oczy, bała się takiej hańby dla swojego dziecka i rodziny.

Nieślubne dziecko. Teraz to na porządku dziennym, ale wówczas było hańbą ciągnącą się za kobietą do końca życia. Tak, bała się wstydu i oczywiście reakcji Michaela, choć on by się z tym w końcu pogodził.

Co za ironia losu! W porównaniu z całym tym szambem, z którym musiała się pogodzić jako matka tej rodziny, nieślubne dziecko Maury to była żadna sprawa. Dziś byłoby dorosłe, kochałoby mężczyznę lub kobietę, a Maura miałaby kogoś z własnej krwi, kogo mogłaby obdarzyć miłością.

Powróciła żywa pamięć tamtej strasznej chwili sprzed lat. Dziecko, płód jeszcze, w pomarańczowej miednicy, całe we krwi. Sarah zacisnęła oczy, żeby wymazać ten okropny obraz.

Ale nie chciał zniknąć.

Znowu przeszywał ją ból, więc przewróciła się na bok, szukając ulgi. Wynagrodzi Maurze to wszystko, tak postanowiła. Zamknęła oczy i zaczęła codzienną modlitwę:

- Najświętsze Serce Jezusowe...

Bóg jest dobry, zapewni jej spokój i zasłużony odpoczynek, była tego pewna. Modliła się za to dziecko, tak jak modliła się za swoje dzieci i za wieczne odpoczywanie męża. Musi wybłagać łaskę niebios dla wszystkich, zanim opuści ziemski padół. Modliła się więc żarliwiej niż zawsze. Nie wiedziała, co więcej mogłaby zrobić. Ból się nasilał. Ścisnął obręczą jej pierś i miała problemy ze złapaniem tchu.

Zmusiła się do głębokiego, miarowego oddychania i cały czas się modliła. Ale ból był nieznosny.

Widziała Bena i odciętą głowę, widziała, jak trzyma ją w rękach i śmieje się. Nie zdawał sobie sprawy, iż zrobił coś bardzo złego. W jej Michaelu nie było tyle zła - chociaż miał trudny start, a Benny dostawał wszystko, co według telewizji i gazet dziecko powinno otrzymać. Jednak od zawsze był łobuzem i nie minie wiele czasu, a sprowadzi na nich coś jeszcze gorszego niż ostatnie nieszczęścia.

Mimo to kochała go całym sercem i duszą. Kiedy się do niej uśmiechał lub ją przytulał, czuła się najszczęśliwszą istotą na świecie. Było to szczególne uczucie: jakby

zaufało ci dzikie zwierzę. Benny miał tak mało miłości do ofiarowania, że kiedy ją dawał, było to zniewalające, bo wiązało się z tym poczucie przynależności do garstki wybrańców.

Serce Sarah zaczęło bić szybciej i intensywnie się pociła. Zmusiła umysł do powrotu do modlitw i miała nadzieję, że ta noc szybko się skończy. Cokolwiek przyniesie nowy dzień, wiedziała, że sobie z tym poradzi. Bóg dał ci grzbiet do dźwigania ciężarów, tak mówiła jej matka. A Sarah miała mocny grzbiet i silną wiarę - i to było wszystko, czego potrzebowała. Pójdzie na mszę o ósmej i przystąpi do komunii świętej. To ją zawsze uspokajało, kiedy miała zmartwienie.



Tony Dooley i Geny Jackson zrobili przegląd zabudowań i terenu wokół, teraz oświetlonego lampami łukowymi. Wszystko wyglądało nieskazitelnie. Nie pozostawiono niczego obciążającego, żadnych odcisków opon czy butów mogących świadczyć o tym, że ktokolwiek z nich był tutaj. Żadnych obciążających ich śladów.

Usiedli wewnątrz magazynu i zapalili razem skręta, wspominając stare dzieje. Niebezpieczeństwo krwawej potyczki zostało zażegnane i będą mogli bez przeszkód wrócić do domu.

Przynajmniej taką mieli nadzieję, czekając na przyjazd gliniarzy. Wtedy dopiero, nie wcześniej, będą mogli stąd wyjechać.

A tamtym się nie spieszyło.

Tony Dooley zaczął zwijać kolejnego skręta.

- Człowieku, jak ja nienawidzę czekać.

Gerry wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyboru. Ale kiedy już się załatwimy z tymi w kajdankach, wszystko to skończy się nie tylko na dzisiaj, lecz raz na zawsze. Wiesz, Tony, to dziwne i śmieszne, ale lubiłem Vica. Ja i Michael szlajaliśmy się z nim lata temu. To przez prochy tak się z nim stało, nie? Każdemu odbierają rozum.

Tony przytaknął.

- Na ilu takich się napatrzyłem... Przeciągnął powoli językiem po bibułce do skręta i dodał cicho: - Najbardziej żal mi Roya.

Gerry westchnął.

- Gdyby to był mój chłopak... wolę o tym nie myśleć.

- Benny jest pojebany, to wariat, ale takie jest życie. Należało zrobić z nim porządek, gdy był jeszcze dzieckiem.

Gerry pokiwał z ubolewaniem głową, a w duchu był zadowolony, że żaden z jego synów nie odbiega od normy. Byli zimnymi i bezwzględными draniami, ale w końcu dobrze im to służyło.

Oparli się o ścianę i palili skręta, użalając się nad Royem i jego kłopotami, dobrze im się gadało ze sobą. Obaj byli przerażeni tym, co się miało jeszcze wydarzyć, ale wiedzieli, że to konieczne. W gruncie rzeczy aż dziwne, że to się nie stało wcześniej. Benjamin Ryan był od kilku lat jak niewypał, który w każdej chwili może wybuchnąć.

Gerry zaciągnął się głęboko i spojrzał na swoich przystojnych chłopaków, którzy właśnie kończyli pracę. Był dumny z każdego po kolei i zadowolony, że wyrosli na zdrowych przeciętniaków.

Wąską alejką podjeżdżał samochód. Obaj mężczyźni patrzyli, jak Maura i Garry idą w jego kierunku. Instynktownie położyli dłonie na broni. W końcu to wszystko jeszcze się nie skończyło. Daleko do tego!



Carla jeszcze nie spała, siedziała na łóżku z papierosem Silk Cut, ogarnięta strachem, jaki w kobiecie może wzbudzić tylko niechciana ciąża. Patrzyła na tester, ale niebieska linia wciąż była wyraźnie widoczna. Była tam od pięciu godzin, lecz Carla ciągle miała nadzieję, że to pomyłka.

Była w ciąży - i to w dodatku z Tommym.

Popiła wodę ze szklanki stojącej na nocnej szafce i zapaliła następnego papierosa. Zastanawiała się, co ma zrobić z tym fantem. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała kobieta w jej wieku, to drugie dziecko.

Maura zachowywała się w stosunku do niej przyzwoicie, ale to uleci z wiatrem, kiedy dowie się o ciąży. Wzięła do ręki komórkę i ponownie wybrała numer Rifkinda.

Od razu odezwała się poczta głosowa i Carla zostawiła wiadomość, żeby oddzwonił natychmiast po odsłuchaniu wiadomości, bo to bardzo ważna sprawa. Wiedziała, że tego nie zrobi, ale jeszcze łudziła się, że przyjedzie i wybawi ją z tego kłopotu, zadba o nią i o dziecko. Jeśli nie zadzwoni, trzeba będzie usunąć płód prywatnie i po cichu. Nic innego nie wchodziło w grę, bo Maura na pewno nie życzyłaby sobie, żeby takie małe wspomnienie po Tommym Rifkindzie kręciło się w jej pobliżu. Na zabieg potrzebne były pieniądze, a jedyną metodą ich zdobycia był jak najszybszy powrót do łask.

Popatrzyła na zegar. Minęła trzecia nad ranem, a jej nie chciało się ani trochę bardziej spać niż pięć godzin temu. To była głupota zadurzyć się w Tommym Rifkindzie, ale trudno

było mu się oprzeć. Był seksy i ekscytująco niebezpieczny. I miał wielkiego fiuta. A jak ją posuwał! Teraz została ze wspomnieniami i ciężą.

Żałowała, że go spotkała i oszalała na jego punkcie. Ale stało się i musiała jakoś to rozwiązać.

Jak by to nazwał Joey? Konfrontacją z rzeczywistością? No to czekała ją najgorsza konfrontacja z rzeczywistością w całym jej życiu.

◆◆◆

Maura patrzyła, jak główny inspektor Billings wyłącza silnik i siedzi sztywno, czekając, aż do niego podejda. Ział bezsilną nienawiścią. Facet bez jaj w potrzasku, pomyślała.

Dziś miał popracować na swoje łapówki i nikt nie udawał, że to będzie przyjemne.

- Dzień dobry, panie Billings. Przyjechał pan szybciej, niż się spodziewałam.

Ironia Maury, czytelna dla niego i wszystkich innych, ubodła inspektora.

Garry otworzył bagażnik samochodu policjanta i wyjął duży, zawinięty w koc pakunek. Zważył go w rękach, po czym z szerokim uśmiechem na twarzy wyciągnął z niego cztery karabiny automatyczne robione specjalnie dla policyjnych snajperów.

- Czyste?

Billings kiwnął głową.

- Oczywiście.

Garry wyszczerzył zęby.

- Dobrze. Możesz już spieprzać.

◆◆◆

Trzej więźniowie mieli świadomość, że wreszcie przyszedł na nich koniec. Maura patrzyła beznamiętnie, jak Vic i Abul, wyciągani z budynku, szarpia się i protestują, choć wiedzą, że nie unikną tego, co im pisane. Poleciała innym, by na chwilę zostawili ją samą z Joem.

- Nadal tego nie pojmuję - oświadczyła. - Wiem, że Rebekka mnie nienawidziła i może miała powód, ale ty? Byliśmy kiedyś skumplowani.

Wyglądał na wycieńczonego i miał zapadnięte oczy, ale jego głos był zaskakująco silny, kiedy powiedział gorzko:

- Dopóki w mojej rodzinie nie zdarzyła się tragedia, której sprawcami byliście ty i Michael.

Maura była zaskoczona.

- Przecież ty nie masz rodziny, Joe. Jesteś jedynym samotnym osiemdziesięcioletnim playboyem, jakiego znam.

Westchnął ciężko i odparł:

- Każdy ma rodzinę. Każdy ma korzenie. I nie tylko wy, Ryanowie, to cenicie. Sammy Goldbaum był moim kuzynem.

Przez moment nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Nie wiedziałam.

- Nigdy się tym nie chwaliłem. Był nicponiem, hazardzistą. Ludzie przychodzili do mnie, żebym spłacał jego długi. Ale był synem ukochanej siostry mojej matki, jedynym z tej strony mojej rodziny, który w czasie wojny dotarł do Anglii. Reszta zginęła w Łodzi. Kiedy moja matka była na łożu śmierci, obiecałem jej, że zawsze będę się opiekował kuzynem Sammym, i gdy zginął... - Głos Joego załamał się. - Oczywiście pomagałem jego żonie i dzieciom. Rebekka była uroczą istotą, przywiązałem się do niej jak do córki, której nigdy nie miałem. Okazało się, że ma niesamowitą głowę do rachunków. Uczyła się księgowości i pracowała dla mnie. Przez lata zarobiła dla mnie miliony, miała piękny dom i syna, z którego była dumna. Ale nie mogła zapomnieć, jaka śmierć spotkała jej ojca. Nienawidziła Ryanów za to, co zrobili, i kiedy wymyśliła ten plan, błagała mnie o pomoc, więc co miałem zrobić? Była rodziną. Wiesz, jak to jest.

Nie musiała odpowiadać. Oboje wiedzieli, że Maura wydaje na niego wyrok w obronie pozycji swojej rodziny w hierarchii podziemia. Wymógł jednak na niej obietnicę, że Ryanowie nie wejdą w jego biznesy, które przejmie spadkobierca, Sammy Kowolski, syn Rebekki.

Nikt nie musiał wyciągać Joego na zewnątrz. Wyszedł z uniesioną wysoko głową i sam wszedł na tył auta.

◆◆◆

Benny z zaparkowanego samochodu obserwował, jak jego przyjaciela od dzieciństwa, cały czas trzymanego na muszce, wpychają do rangę rovera. Nadal się dziwił, dlaczego Abul go zdradził, ale tłumił żądzę zemsty. Wiedział, że ma zachowywać się nienagannie i nie przeciągać struny. Obgryzał paznokciec kciuka, co było u niego oznaką niepokoju. Zobaczył, że podchodzi do niego wuj Garry. Uśmiechnął się, choć bolało jak jasna cholera i marzył tylko o tym, by położyć się i zasnąć.

Kiedy dotarło do niego, że to on ma zabić Abula, wpadł w euforię, uznał to za dowód, że uzyskuje przebaczenie. To się w końcu musiało stać, ale bardzo się cieszył, że już teraz i że dostaje szansę wykazania się.

Był zdecydowany się popisać. To będzie godzina jego życia. Dzięki temu wróci do łask, a na tym zależało mu najbardziej na świecie.

Garry otworzył drzwi samochodu i powiedział miękko:

- Chodź. Pora oddzielić chłopców od mężczyzn.

Wszyscy patrzyli, jak obaj idą powoli w stronę range rovera.

◆◆◆

Sarah w końcu wstała z łóżka i usiadła na wyściełanym krześle koło okna. Poranny chór rozpoczął już swoje trele i słuchała ich jednym uchem. Miała wrażenie, że jej klatka piersiowa za chwilę eksploduje. Głęboko odetchnęła kilka razy i zmusiła się do podźwignięcia.

Rękę nadal miała bez czucia. Rozcierała ją drugą, zdrową, i zastanawiała się, czy nie miała udaru, chociaż pamiętała, że czuła się tak samo za każdym razem, gdy umierało jedno z jej dzieci.

Powoli wyszła z sypialni i ostrożnie zaczęła schodzić po schodach. Nie usnęłaby teraz. Woląla zrobić sobie herbatę i poczekać, aż córka wróci do domu.

Jedna ręka zwisała bezwładnie wzdłuż ciała, więc przytrzymała ją drugą na brzuchu.

Zaschło jej w gardle i czuła, że ogarnia ją lęk, ale nie miała pojęcia, czego się boi.

◆◆◆

Benny patrzył na swojego dawnego kumpla i uśmiechał się do niego. Abul był skutym kajdankami podobnie jak dwaj pozostali więźniowie i nie miał szans na ucieczkę.

- Załatw to wreszcie, nie opieprzaj się, Benny - powiedział, pryskając śliną przez powybijane zęby.

Zawsze był z nich taki dumny, pomyślał Benny. Przystojny, czarujący Abul, jego najlepszy przyjaciel. Vic zaśmiał się sarkastycznie.

- Zastrzelcie nas już, do cholery ciężkiej, wszystkim należy się wreszcie trochę snu.

Wyglądał jak zjawą w słabym wewnętrznym oświetleniu range rovera. Gdy Benny strzelił mu w pierś, osunął się na siedzeniu. Joe Żyd zemdłał i Benny wziął go jako następnego, używając kolejnej sztuki broni. Pozostał Abul. Garry i Maura przyglądali się uważnie, podobnie jak wszyscy pozostali, gdy Benny wziął trzeci karabin i powoli namierzał cel.

Abul nie spuszczał wzroku z dawnego przyjaciela, arogancja zniknęła z jego twarzy. Stanęły mu przed oczami obrazy z dzieciństwa. Przypomniały mu się figle, jakie razem płatali. I to, że był hołubiony przez Ryanów, jakby należał do rodziny. Ale chciał więcej, chciał przejąć władzę i nie wyszło mu to na dobre.

- Przepraszam, Ben.

To był prawie szept.

- I ja też, stary.

Benny poczuł, że ręce trzęsą mu się ze zdenerwowania. Nigdy przedtem nie wahał się, gdy miał zabić, nie żałował swojej ofiary, lecz dawnemu przyjacielowi nie chciał zrobić krzywdy. Nie chciał widzieć Abula martwego. Nie w tym momencie, kiedy tamten patrzył na niego takim samym wzrokiem, jak kiedy byli dziećmi i Benny podle się zachowywał.

- No dalej, Benny, nie mamy całej nocy przed sobą - ponaglił go Garry.

Benny po raz ostatni popatrzył na Abula, a potem powoli nacisnął spust. Ten strzał wydał mu się znacznie głośniejszy niż dwa poprzednie. Jeszcze dzwoniło mu w uszach, gdy opuszczał broń, nadal wpatrzony w przyjaciela. Nie było mu fajnie z tym, co zrobił. Jedyne człowiek, na którym mu kiedykolwiek zależało, nie żył.

Gdy Abul opadł głową w przód na siedzenie pasażera, Roy podszedł z tyłu do syna, łagodnym gestem odwrócił go przodem do siebie i strzelił mu prosto w serce.

Benny osunął się na ziemię z wyrazem zdumienia na twarzy.

Maura odwróciła głowę, a Kenny przygarnął ją do swojej piersi, chcąc jej oszczędzić widoku umierającego bratanka.

- Co to, do diabła, ma znaczyć? - warknął Garry. - Powinieneś poczekać, aż wsiądzie do samochodu, tak ustaliliśmy.

Roy klęczał na ziemi, patrząc na nieruchome ciało syna. Maura oderwała się od Kenny'ego i podeszła do brata.

- Och, Maura, co ja zrobiłem?

Przytuliła go do siebie i płakała razem z nim. Benny wyglądał tak niewinnie leżąc na ziemi, zupełnie jak Michael we śnie, kiedy ona i Marge wślizgiwały się do jego pokoju i podkradały mu drobne, żeby kupić sobie cukierki.

Wyglądał tak młodo i spokojnie.

Garry westchnął, patrząc na Maurę i Roya, którzy płakali jak dzieci, trzymając się w objęciach. Trzeba było to zrobić, Roy to wiedział. Benny niechybnie skończyłby w pierdlu z dożywociem, ale jaką jatkę by jeszcze urządził, zanimby do tego doszło? Nie mówili Maurze wcześniej, jakie mieli w stosunku do niego plany. Uważali, że kiedy już będzie po wszystkim, zrozumie ich racje, byli tego pewni. To Roy zdecydował, że jego syn też powinien umrzeć, a Garry się z nim zgodził.

Podszedł teraz do Tony'ego Dooleya i Gerry'ego Jacksona, którzy obserwowali wszystko stojąc z boku, i cmokał z satysfakcją. Zauważył jednak smutek na ich twarzach, więc nic już nie powiedział.

Spojrzał na trzech martwych mężczyzn w rangę roverze. Ich śmierć od kul z policyjnych karabinów wszystkich zaskoczy, ale czy to pierwszy raz gliny wykonywały egzekucje na znanych przestępcach? Z tego co wiedział, niemal stało się to ich rozrywką. Potem wystawiali publicznie paru palantów, na których niby to sypnęły się gromy, a między sobą poklepywali się po plecach za dobrą robotę na polu zwalczania przestępczości.

Zajmą się i tą sprawą. Pieprzyć ich, najwyższy czas, żeby posmakowali własnego lekarstwa.

Rozpaczliwe łkanie Maury nawet jego rozstroiło, więc odszedł do jednego z samochodów i pociągnął spory łyk chivas regal prosto z butelki. Potem pomaszerował z powrotem i wcisnął ją bratu do ręki. Roy przyjął ją z wdzięcznością i też się napił. Popatrzył na zdumioną twarz Benny'ego i ostami raz pocałował go w czoło. Potem wstał i powiedział mocnym głosem:

- Pomóż mi wsadzić go do samochodu, Gal.

Trzydzieści minut później posiadłość Jacka opustoszała, został na niej tylko range rover ze swoją makabryczną zawartością. Nic innego nie wskazywało, że ktokolwiek tu był w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Żadnych odcisków butów koło auta. Garry zadzwilił sobie z policji i rozśmieszało go to za każdym razem, gdy tylko o tym pomyślał.

Broń porzucono w pobliżu, żeby znalazł ją przypadkowy przechodzień. Prasa dostanie cynk, że w użyciu były karabiny policyjne, których kradzież nie została wcześniej zgłoszona.

Bena i Abula zjednoczyła śmierć, podobnie jak byli zjednoczeni za życia. Ciało Bena zostało ułożone obok zwłok jego przyjaciela i wyglądali niemal tak, jakby trzymali się za ręce.

◆◆◆

Sarah nagle poczuła się znacznie lepiej. Rozprostowała ramiona i ból odpuścił. Uśmiechnęła się i nastawiła czajnik. Stała w oknie kuchennym i wyglądała na rozległy ogród Maury. Słońce było już wysoko i zapowiadał się piękny dzień.

Postanowiła, że pójdzie na mszę, by podziękować Bogu za wspaniały dzień i przywróconą energię życiową pulsującą na nowo w jej ciele. Usłyszała, samochód Maury na podjeździe i postawiła na stole drugi talerzyk i filiżankę. Miała przeczucie, że odtąd wszystko już będzie dobrze.

Epilog

- Chodź, Maura, pospiesz się!

Kiedy usłyszała dobiegający z dołu głos Kenny'ego, pozwoliła sobie na ostami rzut oka na odbicie całej swojej sylwetki w dużym lustrze w sypialni. Wyglądała dobrze, wiedziała o tym, ale właśnie dzisiaj było to szczególnie ważne. Wzięła bladą różową szminkę i przeciągnęła nią po wargach. Na tym zakończyła toaletę i jeszcze raz się do siebie uśmiechnęła.

Jej wzrok powędrował do fotografii stojących na parapecie obok. Roy i Benny, spoglądający na nią swoimi niebieskimi oczami. Ona i Michael w klubie, śmieją się do siebie, oboje młodzi i beztroscy. Jest też stare, wyblakłe, czarno-białe zdjęcie z nimi wszystkimi jako dziećmi, przypominające Maurze wszystkich braci, żyjących i tych, którzy odeszli. Matka i ojciec dumni ze swojego potomstwa. Maura wzruszyła się do łez.

Z powrotem przywołała uśmiech na twarz. Nic nie zepsuje dzisiejszego dnia, nie pozwoli na to.

- Co robisz, Maws? Masz tam na górze drugiego faceta?

Śmiejąc się, zbiegła na dół po schodach swojego nowego domu. Trzymała w ramionach dużego pluszowego misia w szkockim stroju, z tradycyjną skórzaną torbą zawieszoną u pasa.

- Skąd wzięłaś tego pluszaka?

- Zobaczyłam go w Roman Road Market i musiałam mieć. Gdzie ona jest?

- A jak myślisz? Pewnie u niemowlaka.

Przeszli przez dom do nasłonecznionego pokoju dziennego i nie mogli się nie uśmiechnąć na widok Alicii, z zachwytem przyglądającej się malutkiemu synkowi Carli, Michaelowi.

- Kocham tego dzidziusia, Maws. Zobacz, uśmiecha się do mnie!

Alicia uwielbiała bawić się z małym Michaeliem.

- On też przepada za tobą, Ali. Patrz, jak jego buźka się rozpromienia, gdy cię widzi.

Carla obrzuciła je spojrzeniem i uśmiechnęła się blado. Była teraz inną kobietą. W pewnym sensie szczęśliwszą, a w każdym razie pogodzoną z losem. Ale Maura często całą siłą woli powstrzymywała się od rozprawienia się z nią na dobre. Wiedziała jednak, że tego nie robi, nie mogła. Chociaż malutki Michael był wykapanym Tommym Rifkindem, nie przeszkadzało jej to bezgranicznie go kochać.

Kenny obserwował Carlę. Uważał, że to tylko kwestia czasu, kiedy odda dziecko ciotce, jak ją samą kiedyś oddała matka. Historia lubi się powtarzać. Carla już spotykała się z jakimś asfalem z Deptford, cwany facetem, który obiecywał jej złote góry, a w zamian

Maura miała dopilnować jego zawodowej kariery - choć nikt jeszcze nie ustalił, jaka jest jego profesja. Jedno było pewne: gdyby sprzedawał skuna równie efektywnie, jak go jarał, dla wszystkich byłoby to korzystne.

Nikt z braci Ryanów nigdy nie przebaczy Carli ani Joeyowi, ale Maura zachowywała się tak, jakby im darowała, i jej bracia musieli to przełknąć.

Ktoś kiedyś powiedział: „Trzymaj przyjaciół blisko, lecz wrogów jeszcze bliżej”. Mądry człowiek, nieważne, kim był, pomyślał Kenny.

Maura jeszcze raz pochyliła się nad niemowlakiem, a chłopczyk ścisnął jej palec. Był silnym dzieckiem, więc wyrośnie na silnego mężczyznę - i oczywiście będzie nosił nazwisko Ryan.

Uśmiechnęła się do tej myśli.

- Czy to dla mnie?

Alicia od dłuższej chwili nie spuszczała wzroku z pluszaka.

- Oczywiście, że dla ciebie. Ja jestem już za duża na misia, nie sądzisz?

Uklękła, a dziewczynka mocno ją uścisnęła. Czując małe pulchne rączki wokół szyi, Maura znowu się wzruszyła.

- Gdzie jest Sarah? - zapytała.

Carla skrzywiła się.

- Zgadnij, do trzech razy sztuka.

- Chyba nie robi kolejnej herbaty!

Nawet Kenny się zaśmiał.

- Powiedz jej, żeby wyjęła szampana. Za chwilę wszyscy tu będą.

Maura wzięła Alicie za rękę i poszła z nią do ogrodu.

- Wyglądasz ślicznie, wiesz?

Dziewczynka napuszyła się, dumna z pochwały.

- Czy od jutra będziesz moją mamą? - zapytała.

Kiedy Kenny słuchał tej rozmowy, serce omal mu nie eksplodowało z nadmiaru miłości i szczęścia.

- Skoro chcesz, żebym była twoją mamą, to z radością nią zostanę - odparła Maura.

Kenny widział, że Alicia zdobyła jej serce.

- Kocham cię, Mauro Ryan - wyszeptala.

Zaśmiała się cichutko.

- Wkrótce będę Maura Smith.

- A więc, Mauro Smith, kocham cię.

Rozpromieniła się.

- Wiem.

- Mogę pójść do babci Sarah i pokazać jej misia?

- Oczywiście, że tak, skarbie.

Dziewczynka wybiegła, kurczowo trzymając pluszaka.

- Jesteś szczęśliwa, Maws?

Popatrzyła na poważną twarz Kena. Całując go delikatnie w usta, potwierdziła:

- Szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Uśmiechnął się do niej ciepło, a ona pomyślała, że los wynagrodził ją wreszcie przyzwoitym człowiekiem. Nie najprzystojniejszym na tym świecie, ale - jak oboje żartowali - mała Alicia, na szczęście odziedziczyła urodę po matce. Za to był godny zaufania i Maura była dumna, że wychodzi za niego za męż. Uwielbiała go i uwielbiała jego córkę.

- Kocham cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić, Ken.

Był jej przeznaczeniem, oboje to wiedzieli.

◆◆◆

Eileen Smith i Sarah Ryan weszły w bliską komitywę ku uciesze ich dzieci. Sarah pokochała Kenny'ego za jego siłę i niezawodność, a Eileen Maurę za to, że nie była dziesiętnastoletnią idiotką w rodzaju tych, jakie jej syn zaczął sprowadzać do domu po śmierci Lany.

- Kiedy wrócimy z kościoła, zajmiemy się dostawcami, dobrze?

Eileen skinęła głową na znak zgody, a mistrz kucharski, Frankie Barber, odpowiedzialny za weselne śniadanie, westchnął ciężko. Nie zaproszono tłumu gości, ale wszystko musi być zapięte na ostami guzik. Bez względu na to, co te dwa babska jeszcze wymyślą. Oczywiście nie wychylał się z uwagami, nie był głupi. W końcu te staruchy były matkami tylu bandytów, że mogliby zaludnić miasto wielkości Chicago!

Sarah, wzdychając z zadowolenia, przyglądała się córce i przyszłemu zięciowi, spacerującym po rozległym terenie otaczającym ich nowy dom w Essex.

Nareszcie jej Maura wychodziła za męż. W wieku pięćdziesięciu jeden lat porzuciła nazwisko Ryan i Sarah była przekonana, że znajdzie wreszcie spokój w ramionach Kennetha Smitha.

Carla cały czas obserwowała Maurę. Sarah zauważyła to kątem oka i uśmiechnęła się do wnuczki.

- Wszystko u ciebie w porządku, kochanie?

Wiedziała, że będzie jej dzisiaj ciężko.

- Ładnie razem wyglądają, prawda, mamó?

Słyszac glos Garry'ego, obydwie podskoczyly. Sarah odwróciła się. W drzwiach stał jej syn i ta mała, z którą aktualnie żył. Leonie była ubrana w najlepszą kreację, jaką miał do zaoferowania Versace, a mimo to nadal wyglądała, jakby brała od mężczyzn pieniądze za godzinę. Sarah zawstydzila się tą refleksją i przytuliła dziewczynę. W gruncie rzeczy ją lubiła.

- Wyglądasz wspaniale, moje dziecko.

- Dzięki - odparła Leonie, nie odwzajemniając się komplementem.

- Przyjechali już Lee i Sheila z dziećmi. Czy skierować ich do ogrodu i tam podamy szampana?

Sarah przejrzała zamysł Frankiego. Chciał się jej pozbyć z kuchni, lecz jeśli myślał, że pozwoli mu rządzić w taki dzień, był w błędzie. Mrugając do Eileen, wyniosła tacę z kieliszkami i podała ją Joeyowi, który kręcił się w pobliżu z nerwowym uśmiechem na twarzy. Postawił tacę na jednym z ogrodowych stołów koło patio. Nie miał się co łudzić, nadal mu nie wybaczone. Garry, Roy i Lee cały czas traktowali go jak powietrze i upłynię mnóstwo czasu, zanim znowu będzie na równej stopie ze wszystkimi.

W całym ogrodzie dał się słyszeć donośny glos Marge, gdy krzyknęła z zachwytu na widok Maury w białym ślubnym stroju.

- Wyglądasz cholernie ładnie, dziewczyno!

Maura wyściskała ją, a Dennis zażartował:

- Z Marge można iść do kogoś tylko dwa razy... drugi raz po to, żeby przeproszać.

Kenny zaśmiał się z dowcipu, a Garry i z dowcipu, i z niego, bo śmieszyło go, że taki kawał byka niczym psiaczek wodzi pełnym oddania wzrokiem za Maurą.

Pojawił się Roy, trzymając w ramionach wnuka. Podchodząc do siostry, rzekł ciepło:

- Dobrze robisz, Maws.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Wiem, Roy.

- Tak sobie myślę, co wyrośnie z tego malca.

Parzył w oczy swojego wnuka, jakby chciał z nich wyczytać jego przyszłość.

- Będzie w porządku.

Pocałował pokrytą meszkiem główkę i uśmiechnął się.

- Maura Ryan wychodzi za mąż. Sądziłem, że nigdy nie doczekam się tego dnia.

- I ja też - odparła, a potem dodała poważnie: - Myślisz, że jestem na to za stara?

Powiedz szczerze. Za stara na to wszystko?

Zatoczyła ręką łuk, ogarniając nim ogród i dom udekorowane jak na uroczyste wesele młodej pary z wyższych sfer.

- Nie, wcale nie. Zaslugujesz na szczęście bardziej niż ktokolwiek, kogo znałem w życiu. Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwą z Kennym, on tak bardzo cię kocha.

Mały Michael zaczął płakać. Był głodny. Maura odprowadziła wzrokiem brata, który wrócił do domu, gdzie maleństwo zostanie nakarmione i przewinięte. Potem, patrząc na przybywających gości i uśmiechniętą matkę, szczęśliwą, że nareszcie wydaje za mąż swoją jedyną córkę, powiedziała sobie, że podjęła dobrą decyzję.

Alicia podbiegła do niej z rozłożonymi rączkami. Maura podniosła dziewczynkę i mocno ją przytuliła.

- Maura Smith. Tata mówi, że to teraz jego ulubione imię i nazwisko, po moim oczywiście.

Maura uśmiechnęła się.

- Zabawne, bo teraz jest to też moje ulubione imię i nazwisko. - Pocałowała dziewczynkę w okrągłutki policzek. - Po Alicii Smith oczywiście.

Śmiejąc się i trzymając za ręce, szły przez trawnik z twarzami rozświetlonymi słońcem.

Kenny czekał na nie i Maura wiedziała, że odtąd zawsze będzie na nią czekał. Ta świadomość sprawiła, że poczuła się naprawdę dobrze.